



AMINATTA  
FORNA

PAMIĘĆ MIŁOŚCI

# *Pamięć miłości*

Aminatta Forna

---

Fascynująca epicka opowieść o miłości, zdradzie i wierności młodzieńczym ideałom, osadzona w ogarniętej wojną domową zachodniej Afryce.

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym



Wydanie elektroniczne

# O książce

Brytyjski psycholog, Adrian Lockheart, którego małżeństwo sypie się w gruzy, przybywa do Freetown, stolicy Sierra Leone, by nieść pomoc ludziom, którzy ucierpieli podczas działań wojennych. Bariera językowa i kulturowa, a także olbrzymia ilość cierpień, z którymi się nieustannie styka, sprawiają, że zadanie to wydaje się ponad jego siły. Po kilku tygodniach Adrianowi zostaje właściwie tylko dwoje pacjentów: umierający na zwłóknienie płuc profesor uniwersytetu Elias Cole, który opowiada mu historię swego życia, widząc w nim w równym stopniu terapeutę co spowiednika, oraz Agnes – starsza kobieta cierpiąca na rzadką chorobę, której objawami są powtarzające się co pewien czas ucieczki z domu i amnezja.

Cole wspomina pełne optymizmu lata 60. i spalającą go toksyczną miłość do Saffii – żony charyzmatycznego kolegi Juliusa Kamary, którego serdecznie nienawdził, a równocześnie podziwiał. Z biegiem opowieści historia ta staje się coraz bardziej mroczna, a wysłuchujący jej psycholog mimowolnie zmienia się z terapeuty w śledczego. Coraz bardziej wątpiący w sens swojej misji Adrian poznaje miejscowego chirurga, Kaia, nie znającego tego typu wahań: swoją użyteczność mierzy liczbą pacjentów, którzy po operacji odzyskują władzę w rękach i nogach. Okazuje się, że i Kai skrywa mroczną tajemnicę: ponura trauma, którą przeżył, doprowadziła go do rozstania z jedyną miłością jego życia, córką Saffii i Eliasa.

# AMINATTA FORNA

Pisarka i eseistka brytyjska, autorka książek nagrodzonych lub nominowanych do prestiżowych nagród literackich, m.in. Samuel Johnson Prize, Orange Prize i IMPAC Dublin Award. Urodziła się w 1964 w Szkocji, wychowywała w Sierra Leone i Wielkiej Brytanii; część dzieciństwa spędziła w Iranie, Tajlandii i Zambii. Jej ojciec, Mohamed Forna, był lekarzem i działaczem politycznym; za swoje przekonania spędził 3 lata w więzieniu. Forna studiowała prawo na University College London oraz (w ramach stypendium) na University of California w Berkeley. W latach 1989-1999 pracowała dla BBC jako reporter i realizator filmów dokumentalnych (m.in. Through African Eyes i Africa Unmasked). Jest członkiem zarządu Królewskiego Teatru Narodowego, członkiem rady Królewskiego Towarzystwa Literackiego i jednym z jurorów Man Booker Prize. Prowadzi wykłady z kreatywnego pisania na Bath Spa University. Jej dorobek literacki obejmuje trzy powieści – Kamienie przodków, Pamięć miłości i The Hired Man – oraz wspomnieniową książkę The Devil That Danced on the Water.

[www.aminattaforna.com](http://www.aminattaforna.com)

Tytuł oryginału:  
**THE MEMORY OF LOVE**  
Copyright © Aminatta Forna 2010  
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Aleksandra i Andrzej Kuryłowicz 2014

Polish translation copyright © Andrzej Szulc 2014

Redakcja: Beata Kaczmarczyk

Konsultacja medyczna: dr nauk medycznych Marcin Szulc

Ilustracja na okładce: Photodisc/Getty Images/Flash Press Media

Ilustracja okładkowa: Holly Macdonald/Bloomsbury Publishing

Projekt graficzny okładki: Andrzej Kuryłowicz

ISBN 978-83-88722-87-5

Wydawca

**WYDAWNICTWO ALEKSANDRA I ANDRZEJ KURYŁOWICZ**

adres korespondencyjny:

Hlonda 2a/25, 02-972 Warszawa

[www.wydawnictwoalbatros.com](http://www.wydawnictwoalbatros.com)



Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Skład wersji elektronicznej:

[Virtualo Sp. z o.o.](http://Virtualo Sp. z o.o.)

**VIRTUALO**  
Digital platform of tomorrow

# Spis treści

[O książce](#)

[O autorze](#)

[Dedykacja](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)



[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Rozdział 30](#)

[Rozdział 31](#)

[Rozdział 32](#)

[Rozdział 33](#)

[Rozdział 34](#)

[Rozdział 35](#)

[Rozdział 36](#)

[Rozdział 37](#)

[Rozdział 38](#)

[Rozdział 39](#)

[Rozdział 40](#)

[Rozdział 41](#)

[Rozdział 42](#)

[Rozdział 43](#)

[Rozdział 44](#)

[Rozdział 45](#)

[Rozdział 46](#)

[Rozdział 47](#)

[Rozdział 48](#)

[Rozdział 49](#)

[Rozdział 50](#)

[Rozdział 51](#)

[Rozdział 52](#)

[Rozdział 53](#)

[Rozdział 54](#)

[Rozdział 55](#)

[Rozdział 56](#)

[Podziękowania](#)

[Przypisy](#)

**Simonowi – z miłością**

# ROZDZIAŁ 1

Na żelaznym łóżku wąskie prześcieradło przybrało kształt leżącego pod nim mężczyzny. Na nocnej szafce, przy wazonie ze sztucznymi kwiatami w jaskrawych kolorach leży niewielki stos kołonośników. Ich okładki wytarły się od częstego używania, kartki pomarszczyły od wilgoci. W atmosferze pokoju unoszą się i formują wspomnienia. Leżący na łóżku człowiek opowiada historię. Nazywa się Elias Cole.

Adrian słucha. Jest tutaj nowy.

Elias Cole opowiada:

\*

Pewnego ranka, idąc na uczelnię, usłyszałem piosenkę. Dobiegała z radia stojącego na mijanym przeze mnie straganie. To była piosenka z dalekich stron, o utraconej miłości. Tak w każdym razie mi się wydawało, ponieważ nie rozumiałem słów. W niskich tonach melodii słyszałem rozpacz z powodu straty, jaką poniósł ten mężczyzna. A wysokie sugerowały, że to piosenka o czymś, co nigdy nie mogło się zdarzyć. Od lat już nie płakałem. Lecz tam i wtedy, na zakurzonej ulicy pełnej obcych ludzi, zebrało mi się na płacz. Ta melodia pozostała w mojej pamięci przez długie lata.

Podobnie dzieje się, gdy widzimy po raz pierwszy kobietę, o której wiemy, że moglibyśmy ją pokochać. Ludzie myślą się, mówiąc o miłości od pierwszego wejrzenia. To nie jest miłość ani pożądanie. Nie. Kiedy ta kobieta od nas odchodzi, czujemy, że coś tracimy. Mamy przecucie straty.

Nigdy nie sądziłem, że usłyszę ponownie tę piosenkę. I nagle miesiąc, a może dwa miesiące temu, kiedy siedziałem sam, w pokoju, który służy mi jako gabinet, usłyszałem niewyraźnie przez otwarte okno, jak ktoś ją gwizdze i powtarza słowa refrenu. Kobięcy głos. Ta sama melodia jak wtedy, przed laty. Zawołałem Babagaleh, który choć raz stawiał się na pierwsze wezwanie, i wysłałem go na ulicę, żeby odnalazł osobę, która gwizdała. Nie było go przez całe wieki. A ja mogłem tylko siedzieć i słuchać, jak moje serce dotrzymuje kroku niecierpliwości.

Człowiek, którego przyprowadził mi Babagaleh, był murarzem z plemienia Fula, w podartych spodniach i z gołym torsem obsypanym cementowym pyłem, który przypominał prochy zmarłego. Babagaleh przegonił go z dywanu, lecz ja powiedziałem, żeby podszedł bliżej. Poprosiłem, żeby zaśpiewał, a on wykonał jakąś inną piosenkę. Babagaleh nie był człowiekiem, który przyprowadziłby mi pierwszą lepszą osobę, którą zobaczył za bramą. Zanuciłem kilka taktów tak, jak je zapamiętałem.

I wtedy stojący przede mną mężczyzna zaśpiewał, i to były ta melodia i ten głos, dziewczęcy i wysoki. Kiedy umilkł, zapytałem, co znaczą te słowa. Piosenka była rzeczywiście o stracie, ale nie chodziło o kobietę. Młody człowiek tęsknił za dawnymi czasami, znanymi mu wyłącznie z opowieści tych, którzy w nich żyli. Śpiewał o życiu, które było dla niego stracone, ponieważ miał pecha i urodził się znacznie później, kiedy świat zmienił się nie do poznania.

\*

Tego ranka obudziłem się później niż zwykle. Babagaleh był już na nogach od wielu godzin.

Jest muzulmaninem z północy i budzi się codziennie przed wezwaniem do modlitwy o piątej, co trzeba mu zaliczyć na plus. Poza tym nie pije i jest uczciwy, czym nie może się pochwalić zbyt wielu ludzi. Ci z północy są jednak porywczy. Kazałem mu przynieść do łazienki wiadro gorącej wody, żebym mógł się ogolić. Od jakiegoś czasu nie ma gorącej wody, mamy szczęście, jeśli jest zimna. Krany są najczęściej suche i tak właśnie było w ciągu ostatnich paru dni. Na taką ewentualność trzymamy z tyłu domu beczkę.

– Chcę dzisiaj skończyć gabinet – powiedziałem mu. – Przyjdź tam do mnie, kiedy wrócisz z targu.

– Dziś mamy piątek – odparł, nalewając wody do umywalki i szykując się do wyjścia. Ubrany w piżamę, siedziałem na skraju wanny i zbierałem siły, by się podnieść i podejść do umywalki. No tak, piątek. Babagaleh wybiera się do meczetu. Nikt nie będzie mi pomagał przez cały dzień.

– No dobrze – mruknąłem. – Pamiętaj, żeby wrócić prosto do domu. Bez tracenia czasu na pogaduszki i congosa<sup>1</sup>.

Nie doczekałem się odpowiedzi, co oznaczało, że zrobi, jak mu się spodoba. Odstawiwszy wiadro, podszedł i stanął nade mną jak kat nad dobrą duszą. Odprawiłem go. Po jego wyjściu nabrałem w płuca tyle powietrza, ile byłem w stanie, i wstałem, łapiąc się wieszaka na ręczniki. Cztery kroki do umywalki. Oparłem dłonie na skraju porcelany, odzyskałem równowagę i popatrzyłem w lustro. Blade włoski na moim podbródku nadawały twarzy szary odcień. Pochyliłem się i odciągnąłem najpierw jedną, a potem drugą dolną powiekę. Gałki oczu były żółte, poprzecinane czerwienią. Piękne kolory, gdyby chodziło na przykład o zachód słońca.

Poprzedniego wieczoru Babagaleh jak zwykle podparł mnie poduszkami. Od pewnego czasu śpię prawie wyprostowany. Leżałem, wpatrując się w czerń i słuchając skrzypienia moich zwłókniałych płuc, świstu powietrza, które buszowało w oskrzelach niczym w zardzewiałej maszynie.

Wziąłem do ręki pędzel do golenia, zmoczyłem go i namydliłem twarz. Maszynka do golenia nie była ostra i szarpała zarost na luźnych fałdach skóry. Tam, gdzie bruzdy były najgłębsze, ostrze ślizgało się po mokrych włoskach. Wypchnąłem językiem policzek i naciągnąłem skórę lewą dłonią. Ogoliwszy się, spryskałem twarz wodą z umywalki. Była nadal przyjemnie ciepła. Przejrzałem się ponownie w lustrze. Kilka zadraśnień wezbrało krwią. Z biegiem lat moja skóra zrobiła się cieńsza. Zwisiała pod oczyma i podbródkiem, ześlizgiwała się z kości twarzy. Wycisnąłem pastę na szczoteczkę i zaatakowałem zęby. Krew na włosiu. Moje dziąsła kurczyły się niczym ślimaki w palącym słońcu. Wyszczotkowawszy zęby, wypłukałem usta i wypłułem wodę do umywalki. Następnie wyjąłem korek i patrzyłem, jak resztki pasty, zakrwawione mydliny, włoski i woda znikają w otworze odpływowym podobnie jak przez tyle minionych lat.

Kiedy Babagaleh wrócił z targu, siedziałem na nieposłanym łóżku, z trudem naciągając na siebie ubranie. Związany z tym wysiłek przyprawił mnie o kaszel, którego dźwięk przywiódł go do moich drzwi. Bez słowa postawił tacę z moimi lekarstwami i dzbankiem z wodą. Nalał jej do szklanki i pomógł mi przełknąć kilka łyków. Kaszel stopniowo ustępował. W końcu usiadłem spokojnie, poddając się jego zabiegom niczym dziecko albo jakiś debil. Babagaleh oswobodził moją lewą rękę, która utknęła w rękawie, i zajął się mankietami. Odsunąłem jego dłonie i sam zapiąłem się z przodu. Wtedy pochylił się, naciągnął skarpetki na moje stopy, po czym obuł je

i zawiązał sznurowadła.

Wykrochmalona biała koszula. Czarne spodnie. Stosowne obuwie. Mogłem oczywiście chodzić nieogolony i w poplamionej piżamie tak jak mój sąsiad. Widuje się takie osoby w całym mieście. Siedzą na balkonach w oparach spalin, gapiąc się w przestrzeń, przysypane coraz grubszą warstwą ulicznego kurzu. Żywe trupy.

Wychodząc z pokoju, zobaczyłem swoje odbicie w lustrze toaletki. Strach na wróble w niewyraźnym świetle. Koszula i spodnie wypinały się powyżej i poniżej paska. Co tydzień zapinałem go ciśniej o jedną dziurkę. Plama krwi na kołnierzyku koszuli. Nic na to nie poradzę. Nie miałem siły znowu się przebierać. Nie spodziewałem się gości.

Babagaleh przyszedł, by mi powiedzieć, że wychodzi. Był ubrany do meczetu, w długą białą dżalabiję, skórzane sandały i haftowaną czapeczkę kufi w ciemnoniebieskim kolorze. Nie po raz pierwszy przyszło mi do głowy, jak bardzo ułatwiłbym sobie życie, ubierając się w ten sposób. W dni powszednie Babagaleh wykonuje codzienne obowiązki; w piątek zajmuje swoje miejsce w drugim rzędzie w meczecie. Co dwa tygodnie ma dzień wolny. Raz w miesiącu odwiedza żonę. Chociaż od dawna każde z nich podąża własną drogą, tylko w zeszłym roku zapłacił za nowy dach i okienne ramy. Piją razem kawę i rozmawiają o wnukach.

Przed wyjściem Babagaleh wrócił z kolejną tacą, na której tym razem były termos z herbatą, fulański chleb, margaryna i dwa jajka na twardo. Nalał mi filiżankę herbaty i szczerze ją osłodził. Jak wszyscy jego pobratymcy wierzy, że cukier krzepi.

Potem przeszedł przez cały dom, zasuwając częściowo zasłony przed nadchodzącym upałem, i znów bez słowa wyszedł. Przez kilka chwil popijałem herbatę, kontemplując nagłą samotność. Myśli drążyły mój umysł niczym chrząszcze ryjkowce. Nic, co robiłem, nie mogło ich przepłoszyć; nocami budziły mnie tak samo często jak ataki duszności. Nie ma w tym z pewnością nic dziwnego. To kwestia wieku. Konsekwencja braku zajęć.

Pomalowane na biało ściany. Podłoga z ciemnego drewna. Parkiet. Położenie go kosztowało sporo pieniędzy. Przy oknie, tam, gdzie padają promienie słońca, pod warstwą wosku widać romb wyblakłego drewna. Postrzępiony, ciemnoczerwony dywanik z własnymi rombami spłowiałej wełny. Dwa ratanowe fotele odkupione przed trzydziestu laty od wydziału leśnictwa. Popękane i nakrapiane kropkami pleśni pufy z czerwonej skóry.

Coraz częściej rozglądałem się wokół siebie i przeliczałem w pamięci, ile to wszystko może być warte. Patrząc któregoś dnia na Babagaleha, który strzepywał pył z zasłon i przecierał mokłą szmatką poręczę foteli, zastanawiałem się, czy nie myśli o tym samym. Ta sprawa nie dawała mi spokoju; wiedziałem też, że powinienem coś zrobić ze swoim księgozbiorem. Na półkach stały setki książek. Postanowiłem, że sam zdecyduję, które z nich chcę zatrzymać. Resztę mogłem ofiarować bibliotece uniwersyteckiej. W charakterze darowizny. Tak właśnie powinno się postąpić. Ten pomysł nadał nowy cel memu przedsięwzięciu.

My, starzy ludzie, jesteśmy jak zwierzęta w klatkach. Jak myszy lub chomiki kręcące się bez przerwy w kołowrotku wciąż na nowo porządkujemy należącą do nas przestrzeń, bo wierzymy, że dzięki temu uda nam się uchronić od szaleństwa.

Przed rokiem kazałem odremontować całe wnętrze domu. Dwaj malarze założyli pokrowce na meble i ustawili swoje drabiny. Od czasu do czasu wchodziłem po schodach, żeby sprawdzić, jak im idzie, upewnić się, czy nie poplamili farbą parkietu, a także popatrzeć, jak malują sufit, balansując na pojedynczej desce, którą zawiesili między drabinami. Rozmawiali ze sobą na

najprzeróżniejsze tematy, prezentując proletariackie mądrości inspirowane tym, co usłyszeli w radiu. Nie dawali po sobie poznać, że moja obecność jest dla nich uciążliwa, nie wypadało im tego robić, a poza tym wiedzieli, że nie mam wiele do roboty.

Właśnie wtedy zacząłem mieć problemy z oddychaniem; rozumie pan, opary farby. Wcześniej dokuczał mi czasami suchy kaszel. Sądziłem, że powoduje go wiatr harmattan, pyłki z ogrodu, smog albo spaliny unoszące się nad miastem. Nie poszedłem do lekarza. Po co? Żeby facet opukał mi pierś, zapisał jakiś antybiotyk, a potem kazał słono za to zapłacić?

W jednym z rogów sufitu pajak utkał sieć, srebrzyste nitki trapezu. A na dywanie drobinki białego pyłu, których nie dostrzegł Babagaleh. Cementowego pyłu.

\*

Poznałem kiedyś kobietę, której utratę oplakiwałem, zanim jeszcze zamieniłem z nią jedno słowo.

Dwudziestego stycznia 1969 roku. Uroczysta kolacja dla pracowników wydziału wraz z żonami. My, kawalerowie, zgromadziliśmy się u stóp trawnika, przy nieprzystrzyżonych zaroślach. Po drugiej stronie stał komitet powitalny. Słuchałem, a w każdym razie udawałem, że słucham, mojego towarzysza, który skarżył się na to, jak podzielono na nowo przestrzeń biurową w budynku wydziału. Nie wyszedł na tym dobrze, co było bez wątpienia smutne. Zerknąłem na nowych gości. Miała na sobie niebieską suknię i schodząc po kamiennych schodkach na trawnik, skubała palcami materiał, który przykleił się do jej skóry w upale. Patrząc na nią, doznałem naglej emocji, nienazwanego jeszcze uczucia.

Pierwszą świadomą myślą, która przyszła mi do głowy po kilku chwilach – i o mało nie zbiła z nóg – było, że schodzący za nią mężczyzna jest jej mężem.

Zobaczyłem, że kilka metrów przed komitetem powitalnym skręcił w bok. Więc to nie mąż. Ulga, przechodzący po plecach zimny dreszcz. Zaraz jednak kobieta wyciągnęła rękę i dotknęła lekko jego rękawa. I choć musnęła go zaledwie koniuszkami palców, mogło się zdawać, że ma siłę dziesięciu mężczyzn, tak szybko skręcił z powrotem w stronę długiego rzędu witających. Zobaczyłem, jak ulega jej woli. Usta kobiety uniosły się w delikatnym i słodkim uśmiechu. Uśmiechu, który on odwzajemnił, przyznając się z wdziękiem do porażki. Od chwili, gdy padł na nią mój wzrok, minęło kilka sekund, a ja zdążyłem ją już dwa razy utracić.

Przeprosiłem mojego towarzysza, odstawiłem szklanekę na tacę niesioną przez kelnera, przeciąłem trawnik i dołączyłem do witających, stając przy ostatnim w rzędzie facecie, którego znałem luźno z wydziału. Skinąłem mu głową, a on zrobił to samo, prawie mnie nie zauważając, pogrążony od dawna w stuporze, któremu sprzyjają tego rodzaju towarzyskie zobowiązania.

Uścisnąłem kilka dłoni, mamrocząc słowa powitania. Nikt mnie nie rozpoznawał ani nie zwracał na mnie uwagi, wszyscy myśleli tylko o alkoholu i jedzeniu. I nagle stanęła przede mną ona, z uśmiechem i wyciągniętą dłonią. Uścisnąłem ją. Przedstawiłem się. Jej uśmiech był ubogą wersją tego, którym obdarzyła wcześniej swojego małżonka. Przesunęła się i stanęła w odległości kilku metrów, gdy się z nim witałem. A potem odeszli i jego dłoń znalazła się ponownie przy jej łokciu.

Podążyłem za nimi wzrokiem. Zdałem sobie sprawę, że nie mam pojęcia, jak ma na imię; tak głośno huczało mi w uszach w chwili, gdy je wymówiła.

\*



Herbata ostygła, nim zdążyłem ją wypić. Nie lubię letnich napojów. Przeszedłem z filiżanką przez pokój, postawiłem ją na niskim stoliku i otworzyłem oszklone drzwi na werandę. Na zewnątrz wylałem herbatę na grządkę z kwiatami i patrzyłem z satysfakcją, jak drąży dziurę w suchym gruncie. Ogród ucierpiał podczas suszy; na trawniku pojawiły się splachetki gołej ziemi, grządki wyglądały jak zaniedbane groby.

Siadając z powrotem na krześle, byłem spocony z wysiłku. Nalałem sobie filiżankę świeżej herbaty i ostrożnie ją wypilem. Następnie rozbiłem jedno z jajek o bok tacy, zdjąłem z niego skorupkę i zanurzyłem je w soli, której trochę nasypałem na talerzyk. Babagaleh nie zgadza się z poglądem, że jajko można gotować zbyt długo. Zdołałem przełknąć najwyżej kawałek. Resztę odłożyłem na tacę. Nadal brak apetytu. Cóż za ironia losu. Brak łaknienia powinien być wyzwalający. Tymczasem my odczuwamy innego rodzaju tęsknotę za utraconym łaknieniem. Marzyłem o tym, by zachciało mi się jeść, bym poczuł głód, a potem przyjemność, jaka towarzyszy jego zaspokojeniu. Nagle naszała mnie chęć na papierosa. Czy może być coś wspanialszego od niedbałego wdychania toksyn, wciągania ich głęboko w płuca?

W końcu dźwignąłem się z krzesła, podszedłem do biurka, usiadłem za nim i obróciłem fotel w stronę książek. Wybrałem jedną z nich i zdjąłem z półki. Monografia West African City Bantona, wydana pod auspicjami Międzynarodowego Instytutu Afrykańskiego. Zszywany tom w płóciennym oprawie, żółty i ziarnisty papier. Poszukałem na pierwszych stronach daty wydania. 1957.

Zacząłem czytać w miejscu, gdzie otworzyła się książka, o rozwoju tego miasta. Trzecia warstwa składała się z imigrantów plemiennych, ludzi, których Kreole uważali za rębaczy drewna i nosicieli wody i którzy byli na razie zadowoleni ze swojej pozycji.

Cofnąłem się o jedną stronę: Nazywali ich „ludem błędzącego serca” w nawiązaniu do Psalmu 95: I rzekłem: „Ten jest lud błędzącego serca i nie poznał dróg moich”. Aż przysiągłem w moim gniewie: „Nie wejdą do kraju mego odpocznienia”<sup>2</sup>.

Na marginesie nagryzmołone były jakieś słowa. Gdybym nie znał tak dobrze, jak znałem, charakteru pisma ich autora, miałbym kłopot, żeby je odczytać. „Dajcie mi pełen brzuch i hamak, to wejdę do kraju mego własnego odpocznienia”. Julius. Miał w zwyczaju pisać komentarze na marginesach pożyczanych książek. Zamknąłem monografię i przez kilka minut starałem się uspokoić oddech. Następnie pochylilem się i wrzuciłem ją do stojącego przy biurku kartonu.

Kolejnym tomem, który wziąłem do ręki, była książka Lethbridge’a Banbury’ego o tych stronach. Nareszcie coś wartościowego. Elegancka ciemnoczerwona okładka z wytłoczonym w złocie obrazkiem słonia i palmy. Ręcznie cięte kartki. Czarno-białe ryciny, każda z chroniącą ją bibułką.

Nadal potrafię zacytować z pamięci pierwsze linijki: Dlaczego pojechałem do S., nie ma większego znaczenia: być może zrobiłem to wiedziony nienasyconym pragnieniem „zobaczenia świata”, które ożywia tyłu Anglików; może powodował mną ambitny zamiar zasłużenia na awans w służbie, w której sukces staje się ponoć udziałem tych, co poszukując go, schodzą z ubitego szlaku.

Tom dostałem od swojego mentora, wizytującego profesora z jakiegoś szkockiego uniwersytetu, który wiedział o mojej miłości do książek. Pierwsze wydanie z 1888 roku. Przyszło pocztą kilka miesięcy po tym, jak profesor zakończył swoje badania i odpłynął.



Pamiętam, że kiedy trochę wypił, lubił recytować wierszyk o ostatnim gubernatorze kolonii.

Za Stuke'a Beresforda  
Od pawia wykrzywiona morda  
Za to w Protektoracie  
Srają równo w gacie.

Śmiałem się, żeby sprawić mu przyjemność. I później śmiałem się ponownie, ponieważ namawiał mnie do picia, zachowując się tak, jakby żadnemu z nas nie wypadało być trzeźwym.

Tamtego styczniowego wieczoru obserwowałem ją i jej męża. Krążyli swobodnie między ludźmi, nigdy dłużej niż przez kilka chwil nie pozostając sami. W pewnym momencie stanąłem na obrzeżach otaczającej ich grupki, poza kręgiem światła, lecz tak blisko, że mógłbym wyciągnąć rękę i jej dotknąć. Mąż opowiadał jakąś dykteryjkę, wszyscy się śmiali – wszyscy oprócz mnie. Nie słuchałem tego, co mówił. Zamiast tego przyglądałem się jej. Ja przyglądałem się jej, a ona jemu. Nasze oczy raz się spotkały i wtedy się uśmiechnęła i odwróciła wzrok.

Dopiero później przypomniałem sobie, że gdzieś go już widziałem. Podczas przerwy na lunch, w audytorium, na zebraniu zwołanym przez studentów. Na którym, jeśli dobrze pamiętam, mówiono o relegowaniu z uczelni jednego z nich. Oddelegowany przez dziekana, zająłem miejsce z tyłu. Nikt nie zwracał na mnie uwagi, co mi nawet odpowiadało. Kilka zdań napisanych na maszynie i wsuniętych do przegródki dziekana. Zadanie wykonane.

Zanim zebranie oficjalnie się zaczęło, zauważyłem, jak studenci gromadzą się wokół niego, przejęci i zdyszani. W którymś momencie prowadzący poprosił go o zabranie głosu. Na początku wzbraniał się, uśmiechał i machał trzymaną w ręku kartką, jakby nie przewidywał takiej ewentualności. Słyszając zachęcający pomruk z sali, zerwał się w końcu z miejsca, nagle wypełniony energią, wbiegł na podium i wygłosił kilka słów. Oparty łokciem o mównicę, pochylał się do przodu, wpatrzony w słuchaczy. Jego głos niósł się dźwięcznym echem. Ogólne podniecenie. Oklaski, jakby ptaki zrywały się do lotu.

Co im takiego powiedział? Wypadło mi z głowy.

Pozostałą część poranka i większą część popołudnia spędziłem na poszukiwaniach, z konieczności żmudnych i powolnych.

– Gdzie są moje notatniki? – zapytałem Babagaleha, kiedy wrócił z meczetu.

W odpowiedzi przyjrzał mi się uważnie, jak to miał w zwyczaju, w pierwszej chwili nie przyznając się, że cokolwiek wie, że cokolwiek dzieje się pod sklepieniem jego czaszki, prezentując kamienne oblicze, którego nie mogły się imać żadne zarzuty tak długo, jak długo nie będzie dokładnie wiedział, do czego zmierza moje pytanie. Po chwili wyszedł z pokoju i wrócił z kartonem po Milo Milk.

– Gdzie one były? Dlaczego je stąd zabrałeś?

– Były w składziku, proszę pana – odparł z niewinną miną.

– Postaw je na biurku.

Nie wolno mi się irytować. Wiemy o tym i on, i ja.

Tej nocy siedziałem do późna, przeglądając swoje notatniki. Nie było prądu; Babagaleh zapalił dwie świece i chociaż musiałem przy nich nateżać wzrok, a opary wosku drażniły mi płuca, nie przerywałem lektury. Notatniki przetrwały, choć opasujące je gumki rozpadły mi się w palcach. Brakowało kilku kartek, inne upstrzone były przez rybiki i termity. Tu i ówdzie znajdowałem wyschnięte jajeczka, włókna i nitkowate odnóża nieznanych owadów. Atrament

z mojego wiecznego pióra wyblakł do jasnoszarego koloru. Lecz same notatniki były nienaruszone. W mniejszym lub większym stopniu.

Nie prowadziłem pamiętnika. To były zwykłe notatki, na własny użytek. Ważne daty. Przemyslenia dotyczące planowanych wykładów. Tytuł jakiejś książki albo pracy. Lista rzeczy do załatwienia.

Dwudziesty piąty listopada 1968. Dwa miesiące przed bankietem dla pracowników wydziału. Spisana moją ręką relacja z tego dnia. Kilka słów na temat zebrania i wystąpienia Juliusa przed studentami. Ani słowa, o czym mówił.

Pamiętałem, że wspomniałem o jego wystąpieniu w moim raporcie dla dziekana.

Julius Kamara. Któregoś popołudnia, robiąc notatki do wykładu, zobaczyłem go przez okno. Charakterystyczny chód: zamaszyste kroki, ręka w kieszeni spodni. Odłożyłem pióro, żeby zobaczyć, dokąd idzie. Widziałem, jak przecina róg trawnika, skręca w prawo i popycha rękami podwójne drzwi wydziału inżynierii.

Następnym razem zobaczyłem go w czwartek, kiedy wracałem do domu. Idąc przez kampus, zauważyłem go przed sobą. Przez kilka minut szedłem za nim. Dwaj studenci siedzący na schodkach audytorium zawołali go i wstali, wygładzając spodnie i zbierając swoje książki. Julius zatrzymał się i zaczekał, aż go dogonią. Minałem ich niezauważony.

Tuż za bramą uniwersytetu stał z uruchomionym silnikiem biały volkswagen variant. Za kierownicą siedziała ona, opierając łokieć o krawędź otwartego okna. Miała na sobie jasną bawełnianą sukienkę bez rękawów, włosy okryła dużą pomarańczową chustką. Z miejsca, które zajmowała, mogła mnie zobaczyć w lusterku wstecznym, ale nie patrzyła w nie. Zwolniłem kroku i podszedłem do samochodu.

– Dobry wieczór.

Wzdrygnęła się, wyrwana z zamyślenia.

– Witam – odparła, okazując minimum dobrych manier, którym towarzyszył prawie niedostrzegalny uśmiech. Coś, co robią kobiety, mając do czynienia z mężczyzną, którego nie rozpoznają i nie chcą go ani zachęcić, ani obrazić.

– Przyjęcie dla pracowników wydziału – wyjaśniłem. – Elias Cole.

– Oczywiście – powiedziała i znowu się uśmiechnęła.

– Julius kazał mi przekazać pani, że trochę się spóźni, ale zaraz tu będzie.

– Dziękuję – rzuciła i tym razem uśmiechnęła się szerzej.

– Niestety, zapomniałem...

– Aha – odparła, domyślając się, o co może mi chodzić, i dotknęła piersi. – Saffia.

Odszedłem od samochodu.

– Dziękuję! – zawołała za mną ponownie, a ja skromnie skinąłem głową.

Kilka minut później, gdy przejechali koło mnie, za kierownicą siedział Julius. Słońce wisiało nisko na niebie. Nie wiem, czy mnie zauważyli. Tak czy inaczej, samochód minął mnie, w ogóle nie zwalniając.

Szedłem w zapadających ciemnościach. Cienie rosnących przy drodze drzew stale się wydłużały, otaczające mnie kolory zlewały się w szarość. Oświetlone przez słońce, pomalowane na biało pnie przypominały wartowników. Śledziłem wzrokiem tylne światła samochodu tak długo, aż upodobniły się do robaczków świętojańskich. Wtedy zatrzymałem się, wyjąłem notes, oparłem go o gładką korę drzewa i zapisałem zapamiętany numer

rejestracyjny. I jeszcze coś, pojedyncze słowo.

Saffia.

\*

Piątek. Kilka dni po naszym spotkaniu na kampusie miałem sprawę na mieście. Szedłem potem jedną z bocznych uliczek w stronę głównej drogi, gdzie mogłem złapać autobus na uniwersytet. To była spokojna, niegdyś zamożna willowa okolica. Minąłem kiosk z zimnymi napojami i papierosami; trochę dalej była pracownia krawiecka z wystawionym na zewnątrz manekinem w haftowanej sukni. Przed budynkiem zobaczyłem białego volkswagena varianty.

Dotknąwszy dłonią bagażnika, przekonałem się, że auto stało już jakiś czas na słońcu. Przystanąłem i się rozejrzałem. Saffia albo wybrała się z wizytą do znajomej, albo była u krawca. Wybrałem jedyną narzucającą się możliwość. Kiedy wchodziłem do pracowni z zalanej słońcem ulicy, przemknęło mi przez głowę, że być może to Julius korzysta z samochodu. Zdążyłem już jednak ustalić, że spędza długie godziny na kampusie. I się nie pomyliłem. Dostrzegłem ją w głębi sklepu razem z jednym z krawców. Miała na sobie zwykłą kolorową sukienkę. Na stoliku leżał otwarty żurnal. Pochyleni przerzucali jego kartki. Patrzyłem. Byłem zadowolony, że mnie nie widzi. Śledziłem linię jej szyi, to, jak lizała kciuk, by przewrócić stronę, poważny wyraz twarzy, gdy rozważała zalety różnych stylów, pobłażliwy uśmiech, z jakim zerkała na krawca.

– Słucham pana?

Siedzący najbliżej mnie krawiec zatrzymał maszynę i spojrzał w moją stronę. Wskazałem Saffię, a on pokiwał głową i wrócił do pracy. W końcu załatwiła to, co miała do załatwienia, i ruszyła do wyjścia. Żegnając się, zabierając swoje żurnale, szukając kluczyków do samochodu, była trochę rozkojarzona. Podniosła wzrok, dopiero kiedy o mało się ze mną nie zderzyła.

– Przepraszam. Proszę wybaczyć – powiedziałem, ustępując jej z drogi, jakbym to ja był winien.

– Dzień dobry – pozdrowiła mnie.

– Dzień dobry – odparłem. – Pani Kamara, nieprawdaż?

– Tak, tak. – Wyciągnęła prawą dłoń i po raz drugi ująłem ją w swoją.

– Cole. Elias Cole.

– Pan Cole. Oczywiście. Jak pan się miewa?

– Jak pani widzi. Znakomicie. – Nie ruszyłem się z miejsca i to sprawiło, że się zawahała.

– Naprawdę? – zapytała, spoglądając w głąb pracowni. – Nie będę pana zatrzymywać.

Pokręciłem głową.

– Garnitur. Nie jest jeszcze gotów. Nieważne. – Oczywiście nie mówiłem prawdy, ale trudno też uznać to za kłamstwo. Nie, kiedy mężczyzna rozmawia z kobietą. Tak jest urządzony świat, nieprawdaż? – Wracam do pracy – dodałem.

W tym momencie się uśmiechnęła.

– Na uczelnię? Ja też tam jadę. Jeśli pan chce, podrzucę pana. A może ma pan własny wóz?

– Nie, nie mam. Proszę mi pozwolić pomóc – odparłem, biorąc od niej plik żurnali. Saffia otworzyła samochód, a ja usiadłem na miejscu pasażera i odwróciłem się, żeby położyć żurnale na tylnym siedzeniu. Zobaczyłem, że zostało złożone, a na podłodze jest pełno ziemi i starych

gazet. Położyłem więc żurnale na kolanach.

Jechaliśmy przez miasto. W szkołach trwała akurat przerwa na lunch i dzieci ganiały się po poboczach. To był środek pory wiatrów, powietrze było gęste od pyłu i kopcia. Saffia patrzyła przed siebie, skoncentrowana na prowadzeniu auta. Spoglądałem na jej ręce, które zaciskała po obu stronach kierownicy, tak jak to robią kobiety. Żadnej biżuterii z wyjątkiem złotej obrączki. Paznokcie krótkie i kształtne, niepomalowane. U prawej dłoni zauważyłem czarne obwódki pod jednym albo dwoma. Co jakiś czas pozwalałem sobie zerknąć na jej twarz, na profil rysujący się na tle jasnej szyby. Linia uniesionych rzęs przypominała kształt górnej wargi. Zwalniając, by ominąć mężczyznę pchającego taczkę, przygryzła lekko dolną wargę, a spoglądając w lewo i w prawo na ruchliwym skrzyżowaniu, oblizła językiem górną. Światło obrysowywało łuki jej kości policzkowych, czoła i nosa. Dekolt sukni odsłaniał szyję i zaokrąglające się pod obojczykiem piersi. Na udach suknia lekko się marszczyła, mięśnie nóg naprężały się, gdy naciskała pedały.

Po prawej stronie leżały moczary stanowiące rezerwat przyrody. Nadal tam są. Teren jest zbyt grząski, żeby coś budować. Wtedy widać je było z drogi aż do samego morza. Odwróciłem się, żeby na nie spojrzeć.

– Słyszałem, że rosną tam wspaniałe orchidee – powiedziałem.

– Lubi pan kwiaty?

– Nie jestem ekspertem – odparłem. – Wynajmuję mieszkanie, a ogród nie należy do mnie.

Ale lubię je. Kto nie lubi?

– Orchidee bagienne. Lissochilus. O nich pewnie pan myśli. Rosną tutaj. I ma pan rację, są wspaniałe. Bywają tak wysokie jak pan czy ja.

– Widziała je pani?

– Ostatnio nie. Przed kilku laty. Nasza grupka z towarzystwa ogrodniczego zorganizowała wycieczkę. Kiedy się wie, gdzie rosną, nietrudno je odnaleźć. Z początku nie jest to łatwe.

Umilkła i dodała gazu, żeby wyprzedzić taksówkę polującą na pasażerów.

– Muszę skontaktować się z towarzystwem ogrodniczym i zapytać, czy planują jakieś kolejne wycieczki – powiedziałem.

– Może mogłaby mi pani pomóc?

Liczyłem, że zaproponuje, iż sama mnie tam zabierze. Wyczułem, że się waha, zastanawia, czy wypada zrobić coś takiego.

– Próbuje hodować orchidee w domu – odezwała się w końcu. – Nie Lissochilus. Nie wiem, czy to w ogóle byłoby możliwe. Ale mam kilka pięknych lili... amarylis. lilie harmattanu. Kwitną w porze wiatrów. Może wpadnie pan z Julusem któregoś wieczoru.

– Dziękuję – odparłem, chociaż jej słowa niekoniecznie równały się zaproszeniu.

Kilka minut później zajechaliliśmy przed budynek wydziału. Wysiadłem z samochodu i nachyliłem się do otwartego okna, żeby jej podziękować. W odpowiedzi przekrzywiła głowę i posłała mi skąpy uśmiech, który nagle i bez ostrzeżenia rozlał się na całą jej twarz. Zorientowałem się, że nie patrzy już na mnie. Wyprostowałem się i odwróciłem. Julius.

W pewnym sensie jestem szczęściarzem. Choć kiedyś byłem innego zdania. Pragnąłem się wyróżniać, podczas gdy w gruncie rzeczy jestem całkiem zwyczajny. Mam jedną z tych fizjonomii, która nie różni się od innych. Można by powiedzieć, że z wiekiem stałem się

bardziej dystyngowany. To kwestia włosów. Ale prawie przez całe życie miałem twarz, którą, szczerze mówiąc, łatwo się zapomina.

Ściskając rękę Juliusa, widziałem, że próbuje mnie gdzieś umiejscowić, lecz bez powodzenia. Charyzmatyczne osoby skupiają wokół siebie wielu ludzi, przez co trudno im spamiętać ich nazwiska i twarze. Było jasne, że coś takiego przydarza się często Juliusowi, jednak w najmniejszym stopniu nie zbiło go to z tropu. Saffia wyjaśniła, że spotkaliśmy się na mieście. Poklepał mnie po ramieniu; jego twarz wyrażała uprzejme zainteresowanie. Ani śladu zazdrości; może nie wyczuwał po prostu z mojej strony zagrożenia. Kiedy napomknęła o kwiatkach, ujrzałem w tym dla siebie szansę. Stojąc w miejscu, patrzyłem, jak Julius otwiera tylne drzwi samochodu, kładzie teczkę na gazetach i podchodzi do drzwi od strony kierowcy, podczas gdy Saffia przesiada się na miejsce pasażera. Julius usiadł, podniósł dźwignię i odsunął fotel do tyłu.

Odjeżdżając, pomachali mi. Moje myśli pobiegły w ślad za nimi. Przez chwilę czułem się dziwnie opuszczony. Ale to wrażenie minęło, ponieważ zostałem zaproszony – miałem im złożyć wizytę w domu w najbliższy poniedziałek. Adres i czas starannie zapisałem w notesie.

\*

Sobota rano. Siedziałem po śniadaniu na werandzie, przeglądając gazety i paląc papierosa, kiedy pojawiła się Vanessa. Nadąsana zaciskała usta tak mocno, że kiedy je otworzyła, by się odezwać, zobaczyłem szminkę na jej zębach. W ciągu ostatnich kilku dni zupełnie zapomniałem do niej zadzwonić. Najwyraźniej miała zamiar zrobić mi awanturę.

– Właśnie o tobie myślałem – oświadczyłem, nim zdążyła coś powiedzieć. W zasadzie była to prawda. Budząc się, poczułem przyływ porannego pożądania. Zanim wstałem, żeby skorzystać z łazienki, żałowałem trochę, że jej ze mną nie ma. Nawet teraz, mimo jej kwaśnej miny, miałem chęć pójść z nią do łóżka.

Vanessa wyduła wargi. Ubrana w wąską spódniczkę i obcisłą tamule z bufiastymi rękawami, miała włosy zakręcone w wielkie loki. Nie był to styl, który bym szczególnie preferował, świadczył jednak o wysiłku, jaki włożyła w to, żeby ładnie wyglądać. Z pewnością nie wybierała się do kościoła.

– Gdzie byłeś? – zapytała, podpierając się pod boki.

– Tutaj – odparłem. – Gdzie miałbym być? Napijesz się kawy?

W kuchni nasypałem do filiżanki rozpuszczalnej kawy, zalałem ją gorącą wodą i dopełniłem aż po brzegi mleczkiem Carnation Milk. Gdybym dolał go mniej, dałaby mi do zrozumienia, że jestem sknerą. Vanessa należała do dziewcząt, które nie znosiły skąpstwa, szczególnie u mężczyzn. Kiedy wyszedłem z powrotem na werandę, siedziała przy stole. Postawiłem ostrożnie na blacie filiżankę i pudełko cukru w kostkach.

– Czestuj się – powiedziałem. Dla kobiety takiej jak Vanessa cukier nadal był luksusem.

Po krótkiej chwili wzięła z pudełka dwie kostki. Jedną wrzuciła do filiżanki, drugą położyła na łyżeczce, którą zanurzyła w gorącym napoju i patrzyła, jak kostka pęka i zaczyna się rozpuszczać. W dalszym ciągu mnie ignorując, podniosła łyżeczkę do ust.

– Przepraszam – mruknąłem. – Miałem tyle spraw na głowie. Zbliżają się egzaminy i muszę przygotować studentów. Codziennie wracałem do domu późnym wieczorem. Wstawałem rano. Nie chciałem sprawiać ci kłopotu.

– Mogłam przyjść i coś ci ugotować. – Nadal miała spuszczonego wzrok.



– Nie chcę od ciebie tyle wymagać.

– To nic takiego. – Chwila przerwy; Vanessa wydeła jeszcze bardziej usta i przyjrzała mi się, mrużąc oczy. – Mogłam ci coś przysłać.

– Jesteś dla mnie zbyt dobra.

Stałem za nią, a potem pochyliłem się i przycisnąłem usta do jej karku. Zrobiła ruch, jakby chciała się cofnąć.

Ugryzłem ją lekko. Zachichotała i zaprotestowała, ale bez przekonania. Przyciągnąłem ją do siebie, obróciłem jej twarz i pocałowałem w usta. Poczułem smak szminki, a zaraz potem słodycz cukru na jej języku.

Spędziliśmy w łóżku prawie cały rano. Patrzyłem później, jak kręci się po moim mieszkaniu, porządkując papiery, wycierając stół i wstawiając buty do szafki. Zorientowałem się, że zaczynam ją porównywać z Saffią. Vanessa była młodsza, a jednak nie wydawała się ani świeższa, ani bardziej niewinna. Może tylko naiwniejsza. Próbowła udawać bardziej wyrafinowaną, niż była. Cieszyłem się, że mam ją przy sobie, w zasadzie nie była w stanie mnie zrytować. Za każdym razem, gdy zamykały się za nią drzwi, przestrzeń natychmiast się wypełniała, nie pozostawało po niej wrażenie pustki. Podczas jej nieobecności nie myślałem o niej. A Saffia znalazła już drogę do moich snów.

Vanessa chciała zostać żoną profesora uniwersytetu, takie miała aspiracje. I może któregoś dnia mogła nią zostać, chociaż zbyt łatwo się poddawała. Dobrze jej życzyłem. Opierając się o poduszki, patrzyłem, jak stara się stworzyć w moim życiu miejsce dla siebie. Myślałem o tym z żalem, lecz wiedziałem, że zbliża się pora, kiedy powinniśmy przestać się widywać.

# ROZDZIAŁ 2

Kobieta siedziała na krześle naprzeciwko Adriana – wykrzywiona, ze złączonymi kolanami, rękoma przyciśniętymi do boków, wysuniętymi w przód ramionami i podwiniętymi stopami. Zygzak na metalowym krześle. Sama skóra i kości. Biodra miała opasane tkaniną w spłowiałe żółto-czarne geometryczne wzory, piersi zakryte luźną bluzką. Adrian nie potrafił zgadnąć, ile ma lat. Trudno mu było określić wiek tutejszych ludzi. Tytułowała go „doktorem”, odpowiadając na jego pytania bezbarwnym głosem tak cicho, że natężał słuch, by coś usłyszeć. Ani razu nie spojrzała mu w oczy, przyglądała się swoim dłoniom złożonym na podolku. Skarżyła się na bóle głowy i prosiła o środki przeciwbólowe, ale lekarze nie zdiagnozowali u kobiety żadnej choroby. Dlatego wysłali ją do niego.

Adrian pytał, co może dla niej zrobić, szukał słów, które jego zdaniem mogłaby zrozumieć. Na leżącej przed nim kartce zapisane było jej imię. Wymówił je na głos i wtedy po raz pierwszy na niego popatrzyła. Wskazała stojący na jego biurku słoiczek z witaminami, więc go jej dał. To było łatwe.

Tamtej nocy Adrian Lockheart miał sen. Jeden z niewielu snów, które przyśniły mu się od przyjazdu do tego kraju. Stał na skraju wodospadu, pochylony do przodu, nad kaskadą wody. Na dole nie widział niczego poza spienionym nurtem. We śnie był znowu dzieckiem. Rozłożył ramiona i skoczył, budząc się w tym samym momencie, gdy pochłaniała go spadająca woda. Sen nie był o śmierci, ponieważ obudził się ze śmiechem na ustach.

Echo tych emocji wraca do niego, kiedy siedzi i wygląda przez okno. Jego myśli dryfują wraz z głosem leżącego na łóżku starego mężczyzny. Nad szczytem muru pojawiła się twarz dziecka, uśmiechnięta dziecinna twarz. Ich oczy się spotkały. Chwilę później twarz zniknęła, rozległ się śmiech i wróciło wspomnienie snu. Uczucie spadania, zaciśnięty żołądek, radość, którą niesie niewinna fizyczna przyjemność. Adrian odwraca się tam, gdzie leży stary, z rękoma przyciśniętymi do boków na bawełnianym prześcieradle. Mężczyzna przestał mówić i wpatruje się w niego. Jego otoczone ziemistą skórą oczy są małe, ciemne i załamane.

Adrian nie odzywa się jeszcze przez kilka sekund. Ma nadzieję, że jego milczenie wyda się rozmyślne, wynikające z kontemplacji.

– Czy mam przyjść jutro?

Stary kiwa głową, nie przestając mu się przyglądać.

Adrian, który powinien być przyzwyczajony do takich rzeczy, czuje się nieswojo.

– Może pan czegoś chce? – dodaje w zamyśleniu. – Książek? Gazet? Załatwię to panu.

– Dziękuję. Mam wszystko. – Stary ma ochryply głos. Słowom towarzyszy lekki uśmiech, napięcie mięśni twarzy, rozciągnięcie ust, które prędzej może świadczyć o bólu niż o przyjemności.

– W takim razie dobrze.

Południe. Adrian wstaje, bierze teczkę i marynarkę i wychodzi na zacieniony korytarz, gdzie temperatura jest o jeden lub dwa stopnie niższa. Budynek nie ma klimatyzacji z wyjątkiem oddziału intensywnej terapii, lecz nawet tam trwa nierówna walka z rozpalonym

powietrzem, które wciska się przez każdą szparę w murze. Adrian bierze głęboki oddech, liczy do trzech i wychodzi na zewnątrz.

W drodze do swojego gabinetu przecina dziedziniec i czuje, jak słońce pali mu czubek głowy. Dziedziniec jest splachetkiem pożółkłej trawy, podzielonym na trójkąty przez dwie przecinające się alejki. Każdy trójkąt jest okolony betonem i stoi przy nim jedna betonowa ławka. Adrian nigdy nie widział, by ktoś na nich siedział. Ten, kto projektował szpital, wyobrażał sobie pewnie, że pracujący w budynku ludzie będą tam odpoczywali bądź jedli lunch, jednak słońce zupełnie to uniemożliwiło.

Po wejściu do swojego gabinetu Adrian stawia teczkę na biurku, włącza wentylator, zdejmuje marynarkę i wystawia spocone plecy na sztuczny wiatr. Nalewa sobie szklanekę wody z plastikowej butelki, otwiera teczkę i wyjmuje z niej wieczne pióro i papiery.

Kiedy pokazano mu ten pokój po raz pierwszy, w jednej chwili zdał sobie sprawę, co tu się wcześniej mieściło, chociaż zarówno on, jak i dyrektorka szpitala powstrzymali się od komentarza. Wysokie ściany, niepomalowany sufit, metalowe drzwi zamykane na zasuwę i kłódkę. Pojedyncze wąskie okno z sześcioma stalowymi prętami osadzonymi w zewnętrznym parapecie. Wielkie biurko z politurowanym podrapanym blatem oraz trzy różnej wysokości, pochodzące z różnych epok krzesła. Wisząca na oskubanym przewodzie goła czterdziestowatowa żarówka rzucała niespokojne cienie. Idąc przez gabinet, Adrian uderzył w nią czołem i miał tam teraz lśniący ślad po oparzeniu. Dwa razy składał już podanie o powiększenie okna.

W swojej zaadaptowanej pakamerze siedzi odseparowany od zewnętrznych dźwięków: skrzypienia wózków, brzęku metalu uderzającego o metal, wywoływanych nazwisk, kroków: tych szybkich, energicznych i tych niespiesznych, którym towarzyszy stukanie kul.

Na leżącej przed sobą kartce wpisał już nazwisko pacjenta. W rubryce Przyczyna skierowania widnieją słowa Diagnoza własna. Przez kilka minut zapisuje wszystko, co usłyszał w ciągu ostatnich dwóch godzin, tak jak to zapamiętał. Píše szybko i bez wahania. Gładka stalówka sunie bezgłośnie po papierze, kreśląc czarnymi liniami historię mężczyzny w izolatce.

Uwięziona w pokoju mucha przez chwilę wali wściekle o szybę, a potem krąży nad głową Adriana. Próbuje ją pacnąć i chybia. Zdekoncentrowany, odkłada pióro, podchodzi do okna i je uchyla. Za wysokim murem słyszy szum płynącej wody, głuche postukiwanie pustych wiader, klójące się – jak przypuszcza – kobiety. Nie jest jednak pewien, czy się sprzecząją. Przychodzi mu do głowy, jak cicha jest zamożność: ludzie żyjący we własnych pomieszczeniach, utarczki w formie cichych dni i zamkniętych drzwi. Porównuje to z hałaśliwym brakiem skrępowania typowym dla ubóstwa. Tylko donośny śmiech dzieci brzmi tak samo na całym świecie.

Tamtego ranka, kiedy obudził się ze snu, naciągnął na siebie prześcieradło i leżał, wpatrując się w pusty sufit i słuchając odgłosów dnia. Ten sen sprawił chyba, że pomyślał o rodzicach.

O ojcu siedzącym naprzeciwko niego w salonie. Na dworze drzewa robią się coraz czarniejsze na tle srebrnego nieba, każde otoczone własną świetlistą aureolą, a Adrian obserwuje dłonie ojca: czarne włoski na bladej skórze, kościste żyłaste nadgarstki wystające z mankietów kraciastej weekendowej koszuli, palce trudzące się przy elementach składanego samolotu.



Przez długie lata żył w przekonaniu, że na pomysł tych popołudniowych zajęć musiało wpaść któreś z rodziców, najprawdopodobniej matka. On sam nigdy nie interesował się składanymi samolotami, nie widział sensu w klejeniu kawałków profilowanego plastiku. Dopiero teraz, kiedy się nad tym zastanawia, jest skłonny przyznać, że to był jednak jego pomysł: wyprawa do sklepu, żeby wybrać model do składania, jazda do domu z dłońmi zaciśniętymi na zawiniętym w papier pudełku, rozkładanie elementów na politurowanym palisandrowym stole – wszystko to wskazuje na dziecienny brak wyobraźni i chęć usatysfakcjonowania. Matka siedziała przy biurku, odpowiadając na listy i obserwując ich obu spod spuszczonej powiek.

Modelem, który składali, był Lancaster B III. Adrian wybrałby coś bardziej przewidywalnego. Powiedzmy Spitfire'a. Ojciec opowiadał mu, że te samoloty bombardowały niemieckie zapory na dwa lata przed końcem wojny. Adrian śledzi ruchy ojca, wiedząc, że nie wolno mu pomagać. Zdarzają się okazje, kiedy pomoc można uznać za spełnienie synowskiego obowiązku: sprzątnięcie ojcowskiego talerza po śniadaniu, zapięcie niesfornej spinki przy mankiecie. Jednak kiedy ojciec pochylał się nad sznurówkami, Adrian nie miał wyboru, musiał patrzeć, jak kokardka raz za razem wymyka się z jego palców. Czasami w takich sytuacjach pomagała matka. Adrian zauważył, że zaraz potem ojciec wstawał sztywno z krzesła i wychodził w milczeniu z pokoju.

Dlatego siedzi cicho i obserwuje dłonie ojca. A ten najwyraźniej zapomina o obecności syna, stara się utrzymać fragmenty modelu w palcach, które drżą i trzepoczą niczym skrzydła ćmy. Na to pierwsze wspomnienie nakłada się następne. Idą z ojcem przez las, szukając linii geomantycznych, a może to były żyły wodne? Każdy z nich trzyma rozwidloną różdżkę. Ta w dłoniach ojca zaczyna drżeć, wprawiając Adriana w nieklamany zachwyt.

Od pierwszych dni po przyjeździe do nowego kraju, kiedy przestał obowiązywać porządek jego poprzedniego życia, czas nabrał jakiejś bezkształtności. We wczesnym okresie wstawał żywo zainteresowany nowym otoczeniem. Każda czynność, choćby najdrobniejsza, miała własne miejsce w planie dnia. Branie prysznic pod cienką stróżką wody, która co najwyżej zwilżała jego ramiona. Własne kroki odbijające się echem w korytarzu. Czas, który spędzał na przemeblowywaniu swojego obskurnego gabinetu. Każde działanie miało swój cel, tonację i rezonans niczym dźwięki kamertonu. Jednak z biegiem dni rezonans cichł.

Śniadania na stołówce, w trakcie których obserwował wchodzących i wychodzących kolegów, pozdrawiając każdego skinieniem głowy. Znał ich nazwiska, twarze, wiedział, czym się zajmują. Z niektórymi umawiał się po pracy na piwo w pobliskim barze, prawie zawsze jednak się spóźniali albo zostawiali niedopitą szklanekę, gdy trzeba było pędzić do kolejnego nagłego wypadku. W porach posiłków siedział nad filiżanką rozpuszczalnej kawy, patrząc, jak rozwiewają się smużki pary, podczas gdy wszyscy naokoło zajmowali się swoimi sprawami.

Kiedy indziej obchodził oddziały. Oglądał pasażerów zatłoczonego minibusu rozbitego pod koniec szesnastogodzinnego dnia pracy przez młodego kierowcę naćpanego marihuaną, napotykał niewidzący wzrok mężczyzny, pod którym załamało się bambusowe rusztowanie, obserwował apatyczne matki wachlujące nieruchome niemowlęta.

Trzy tygodnie po przyjeździe Adrian przyjął pierwszych pacjentów. Stało się to po tym, jak dyrektorka zaakceptowała system skierowań. Ludzie, których przysyłali mu koledzy, nie kwalifikowali się do leczenia szpitalnego, najczęściej zaś lekarze w ogóle nie byli w stanie dopatrzeć się u nich żadnej choroby. Siedzieli skuleni ze spuszczonej wzrokiem i zaciśniętymi

na kolanach dłońmi niczym potulne zwierzątka domowe. Co panu, pani dolega? Przysłali mnie do pana doktora lekarze. Łagodnie zachęcani przez Adriana opisywali bóle głowy, ramion, nóg, brzucha. Tu, tu i tu. Dotykali części ciała. Kiedy zaczęły się bóle? Jakiś czas po zajściach. Tak, wcześniej byłem, byłem zdrowa.

Na nalegania Adriana opowiadali półgłosem, przez co przeszli, zupełnie jakby w opisywanych wydarzeniach brał udział ktoś inny. Adrian czytał wcześniej relacje prasowe, raporty sporządzone po zakończeniu konfliktu. Wiedział, jak zaczęła się wojna – od prawie niezauważonego przekroczenia granicy przez mały kontyngent wyszkolonych w innym kraju rebeliantów, którzy zaznaczyli wkrótce swą obecność, zajmując szereg miast i zapowiadając marsz na stolicę oraz obalenie rządzącej od dwudziestu lat rozdętej autokracji. Wiedział również, co działo się później – jak od samego początku furia rebeliantów obróciła się przeciwko cywilom, którzy cierpieli przez całą dekadę do czasu, gdy wojnę zakończyło wkroczenie armii sąsiedniego państwa rządzonego przez innego ambitnego despotę.

Okazywane przez Adriana współczucie brzmiało nieprzekonująco nawet w jego własnych uszach. Wypytywał więc dalej swoich pacjentów, wiedząc, ile energii musi włożyć w to, by zyskać odrobinę zaufania. Potem w swoim mieszkaniu spryskiwał twarz wodą. Po napełnieniu umywalki zanurzał twarz w wodzie i wstrzymywał oddech, aż rwało go w płucach. Samotnie czekał, aż rozjaśni mu się w głowie, aż uspokoi się jego rozdygotana dusza.

A później każdy z jego nowych pacjentów prosił go o lekarstwa, na co Adrian odpowiadał, że nie jest tego rodzaju lekarzem. Skinięcie głowy, będące bardziej znakiem akceptacji niż zrozumienia. Dziękowali mu i wychodzili. Żaden nigdy nie wrócił.

Którejś soboty, późnym popołudniem Adrian mijał rząd straganów na ulicy za szpitalem, kiedy zawołała go jakaś kobieta. Odwróciwszy się, poznał ją po żółto-czarnych wzorach ubrania. Machinalnie uśmiechnął się i pomachał ręką. Kobieta szła do niego niepewnym, drewnianym krokiem. Miała mokrą plamę z przodu bluzki. Rozpięte od góry guziki odsłaniały dekolt i ciemną brodawkę jej piersi.

– Panie doktorze! – wykrztusiła, łapiąc go za ramię. Miała gorący oddech. Nie rozumiał, co do niego mówiła, żałował, że nie zapamiętał jej imienia. W pewnym momencie puściła jego ramię, zatoczyła się i upadła na niego. Jakiś przechodzień, mniej więcej pięćdziesięcioletni mężczyzna, pomógł mu i złapał ją za rękę. Kobieta wrzasnęła i próbując się wyrwać, padła ciężko na ziemię i uciekła szybko na czworakach między nogami gapiów. Mężczyzna musnął ramię Adriana, jakby chciał strząsnąć z niego jej dotyk.

– Przepraszam, przepraszam! Ta kobieta to wariatka. Nie ma rodziny – powiedział i dotknął lekko skroni, pokazując, że brak jej piątej klepki.

Adrian pokręcił głową, zaczerwieniony i poirytowany tym, że sam nie zdążył zareagować. Kiedy poszukał wzrokiem kobiety, już jej nie było.

Myśli o niej czasami, myśli o niej teraz, stojąc przy otwartym oknie. Czekał na nią przez wiele dni, ale nigdy nie przyszła.

Zbliża się pierwsza. Pora lunchu. Ostatnio pilnuje dokładnie godzin śniadania, lunchu i kolacji. Posiłki stały się czymś więcej niż znakami przestankowymi dnia, to wydarzenia same w sobie. Kiedy był młodym człowiekiem i odbywał staż w szpitalu, zdarzało się, że zapominał o jedzeniu. Pisząc doktorat, zostawiał czasem książki, przebiegał przez ulicę, kupował sobie na wynos kawałek pizzy u Greka, i nie chcąc poczekać nawet kilku minut na podgrzanie porcji,

jadł ją na zimno w drodze do swojego gabinetu, żując gumowaty ser i skręconą szynkę.

Zamyka okno, odcinając od siebie dźwięki po drugiej stronie szyby. Na dłoniach ma pył z parapetu, drobny, czerwony, wszechobecny pył, który pokrywa wszystko. O tej porze roku wisi w powietrzu – czerwona mgiełka zasłaniająca widok na wzgórza, unosząca się nad horyzontem. Adrian czuje pył na podniebieniu za każdym razem, gdy wdycha powietrze. Poza tym swędzi go skóra i kręci w nosie, wiatr wysysa wilgoć z wszystkich porów jego ciała. Znajduje w kieszeni chusteczkę, którą od pewnego czasu znowu nosi, zwilża ją butelkowaną wodą i przeciera dłonie. I chociaż na białym materiale wykwitają plamy koloru rdzy, wydaje mu się, że wciera kurz w skórę. Zdarzają się dni, kiedy czuje się stale brudny, ma wrażenie, że pył przedostaje się pod jego koszulę, przywiera do mokrej skóry.

Stołówka jest nadal pusta, jeśli nie liczyć dwóch mężczyzn w uniformach odzwierciedlonych pochyłonych nad rozłożonymi kuponami lotka i gazetą. Kobieta za ladą sypie mu ryż na talerz, a potem odwraca się do dwóch stojących za nią kotłów, podnosi pokrywę bliższego i nakłada na ryż porcję kurczaka z sosem. Mniej więcej przed dwoma tygodniami Adrian zauważył, że miejscowi dostają porcje z drugiego kotła. Zapytał ją, co tam jest.

– Kurczaki.

Jej obcesowość wzbudziła w nim upór.

– Ja też poproszę z tamtego kotła.

Kobieta bez słowa sprzeciwu podała mu porcję czegoś, co wydawało się identycznym gulaszem z kurczaka. Przy stoliku Adrian zjadł jeden kęs. Danie było doprawione furą papryki. Zadowolony, że jest sam, wypił jedną, a potem drugą szklanek wody i nie kończąc posiłku, wrócił z płonącym podniebieniem i przełykiem do gabinetu.

Kobieta za ladą pozdrawia go odtąd skinieniem głowy i czasami się uśmiecha. To, co się wydarzyło, nie sprawiło jej chyba szczególnej satysfakcji, co najwyżej nadało ich spotkaniom walor poufałości. Adrian zapamiętał ten dzień z powodu gulaszu z kurczaka, a także ponieważ skierowano do niego wtedy nowego pacjenta.

O tym, że nowy pacjent jest wielką szyczą, świadczył fakt, że leżał w izolatce. Adrian mijał ją codziennie w drodze do swojego gabinetu. Nigdy nie widział tam żadnych gości z wyjątkiem służącego, który dźwigał czasem nakryty chustą koszyk, toból poplamionej pościeli albo stos upranych ubrań. Innym razem spostrzegł przez szparę w uchylonych drzwiach, że służący siedzi na łóżku, wprawiając w ruch powietrze wachlarzem z rafii, odganiając muchy i wyrównując prześcieradło energicznym strzepnięciem, podobnie jak to robiły matki na oddziale dziecięcym.

Wracając tamtego dnia ze stołówki z płonącym podniebieniem, Adrian zobaczył służącego, który kuczał na piętach przed drzwiami jego gabinetu.

– Czym mogę służyć? – zapytał, otwierając ciężkie drzwi.

Mężczyzna wstał i wszedł za nim do gabinetu. W środku wręczył mu złożoną kartkę. Adrian rozłożył ją. List miał tylko kilka linijek, zapisanych ołówkiem, meandryczną, wątlą kreską, która świadczyła o podeszłym wieku piszącego.

Drogi Panie,

chciałbym prosić, by poświęcił mi Pan trochę czasu. Byłbym wdzięczny, gdyby poinformował Pan Babagaleha, oddawcę tego listu, jaki odpowiada Panu

dzień i godzina. Jeśli chodzi o mnie, mam dużo wolnego czasu, choć ze względu na mój stan, jest on poniekąd ograniczony.

Pozostaję z szacunkiem,

Elias Cole

W środku nocy krzyk. Adrian budzi się spocony i zdezorientowany. Wentylator nie działa, w pokoju jest gorąco. Adrian leży i nasłuchuje. Warkot cykad, gdzieś daleko ciężarówka, nawoływanie nocnego ptaka. Okno nad jego głową jest otwarte i wpada przez nie zapach drzewnego dymu, jakby palonego cedru. Adrian zastanawia się, czy krzyk mu się przypadkiem nie przyśnił, i nagle słyszy go ponownie, wyraźnie. Krzyk kobiety.

Sięga pod moskitierę, zapala lampkę na szafce nocnej, czeka, aż oczy przywykną do światła, bierze z krzesła T-shirt, naciąga go przez głowę i otwiera drzwi na dziedziniec, na który wychodzi jego bungalow. Coś dzieje się przy szpitalnej bramie. W zielonkawym blasku świateł ewakuacyjnych widać popychany przez sanitariuszy wózek, na którym piętrzy się wielki bulwiasty kształt. Pielęgniarka trzyma kroplówkę. Wózek toczy się w stronę bloku operacyjnego. Adrian robi kilka kroków do przodu, próbuje coś dostrzec w przyćmionym świetle. Kiedy grupka się zbliża, widzi, że na wózku znajdują się w rzeczywistości dwie osoby: mężczyzna siedzi okrakiem na nieruchomej postaci i napierając na nią całym swoim ciężarem – takie w każdym razie można odnieść wrażenie – uciska dłońmi brzuch. Pacjentką jest kobieta w zaawansowanej ciąży.

Ktoś krzyczy, żeby zatrzymać wózek. Na oczach Adriana doktor uciska dalej rodzącą, domagając się jednocześnie, żeby parła. Adrian nie wyobraża sobie, by kobieta w podobnym stanie mogła znieść tego rodzaju zabiegi. Jego wzrok przyciąga ledwo dostrzegalna główka dziecka, w połowie na tym, w połowie na tamtym świecie.

Jedynie narodziny, których był dotąd świadkiem, odbywały się na sali z widokiem na Tamizę i budynek parlamentu. Nic nie przygotowało go na przerażenie, które na próżno usiłował ukryć. Czuł – albo wydawało mu się, że czuje – iż żona wybacza mu spod sklepienia bólu. Później dojrzywało w nim retrospektywne poczucie winy jak u żołnierza złapanego na ucieczce z pierwszej linii frontu. Jednak bez względu na to, czy okazał dość odwagi, czy też nie – stało się. W jednej chwili wspinali się oboje na szczyt wysokiej góry, w następnej toczyli się po zboczu z drugiej strony. Urodziła się im córka.

W słabo oświetlonym korytarzu, na wąskim wózku w środku nocy na oczach Adriana rodzi się kolejne dziecko. Siedzący na położnicy lekarz wykonuje ostatnie potężne pchnięcie. W tym samym momencie kobieta wydaje długi cichy jęk. Struga cieczy, dziecko wyslizguje się na zewnątrz. Adrian patrzy, czeka, aż ktoś zrobi krok do przodu, złapie noworodka, da mu klapsa w pupę, żeby pobudzić drogi oddechowe. Jest coś przerażającego w bezruchu dziecka, leżącego tam między nogami matki. Adrian, który nie zna się zbyt dobrze na tych sprawach, to jedno rozumie. Ocalone życie należy do kobiety.

W swoim mieszkaniu opiera się o framugę drzwi, wypuszcza powietrze z płuc, słucha cichnącego terkotu wózka, który teraz powoli się oddala. Ściąga T-shirt i wpełza z powrotem pod moskitierę. Przez chwilę leży na plecach z zamkniętymi powiekami. Przed oczyma widzi ponownie całą scenę: główkę dziecka i jego oczy – zamknięte i spokojne. Jakby obejrzało świat, na który miało przyjść, i zmieniło zdanie.

Nie mogąc zasnąć, zapala po raz drugi światło i wstaje z łóżka. W kuchni nalewa sobie wody z butelki, która stoi na lodówce. Małe czerwone mrówki zbierają się niczym zwierzęta przy wodopoju wokół leżącej na talerzyku połówki ciastka i brzegów rozlanego soku z gujawy. Adrian podnosi talerzyk; mrówki roją się między jego palcami i dotkliwie gryzą. Odwraca się, wrzuca naczynie do zlewu, wsuwa rękę pod kran i patrzy, jak wir wody wsysa miotające się owady.

W salonie siada na popękanych gąbkowych poduchach sofy i bierze jakąś książkę z półki nad stolikiem. To angielska powieść, jedna z tych, które przerabia się w szkole, zostawiona przez poprzedniego lokatora. Adrian otwiera ją na chybił trafił i zaczyna czytać. Trudno mu się skupić, w głowie plączą się słowa i ich znaczenia. Nagle, zanim zdążył przeczytać cały akapit, gaśnie światło. Przez chwilę siedzi. Nie dość zmotywowany, by ruszyć się z miejsca, poddaje się inercji i odkrywa, że jest krzepiąca. Mija minuta, potem druga. Zastanawia się, czy nie przespać się na sofie, kiedy nagle szybkie pukanie do drzwi wyrывa go z bezruchu.

Mężczyzna w progu ma na sobie zielony szpitalny fartuch, naciągnięty na wierzch T-shirt i gumowe klapki. Jego twarz ginie w ciemności.

– Hej – mówi.

– Witam.

– Przepraszam, że przeszkadzam. Pomyślałem, że mógłbym się tu kilka godzin zdrzemnąć. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko. – Mężczyzna wskazuje wewnątrz pokoju za głową Adriana. – Palilo się światło.

Adrian mruga i nie wiedząc, co robić, usuwa się na bok.

– Dzięki – rzuca facet, po czym przestępuje próg i wchodzi do mieszkania. Jego ruchy są precyzyjne i zdecydowane, w przeciwieństwie do Adriana, który krząta się, szukając świeczki i zapalek. Kiedy drżący żółty płomień rozświetla wreszcie pokój, dostrzega coś znajomego w profilu mężczyzny.

– To pan zajmował się przed chwilą tą kobietą?

Gość kiwa głową.

– Co się stało?

– Co się stało? – Tamten spogląda na Adriana. – Dziecko uwięzło. Kobieta miała skurcze przez dwa dni.

– A teraz?

Mężczyzna wzrusza ramionami.

– Teraz wyszło.

Adrian nic na to nie odpowiada.

Mężczyzna drapie się w ucho, ale nie rozwija tematu.

– Więc mieszkasz tutaj – odzywa się po chwili.

– Zgadza się.

– Tak, chyba coś o tym słyszałem. Korzystaliśmy z tego miejsca, wiesz, między zabiegami, po późnym wezwaniu. Nie masz nic przeciwko, że się walnę?

– Przyniosę jakąś pościel.

– Nie fatyguj się.

Adrian i tak idzie do sypialni, gdzie znajduje dwa prześcieradła i bierze poduszkę z własnego łóżka. Kiedy wraca, mężczyzna siedzi na bosaka, przerzucając kartki zostawionej

przez niego na stole książki, mrużąc oczy w chybottliwym świetle i pocierając brew. Na odgłos kroków Adriana odkłada ostrożnie książkę, tak jak ją znalazł, otwartymi kartkami w dół. Adrian chce mu z jakiegoś powodu powiedzieć, że to nie ma znaczenia, bo książka nie należy do niego, ale ostatecznie nic nie mówi. Kiedy pochyla się, żeby położyć pościel na kanapie, mężczyzna podnosi wzrok i wyciąga rękę.

– Kai Mansaray – przedstawia się znużonym głosem.

– Adrian Lockheart.

– Miło cię poznać.

Mężczyzna kładzie poduszkę na drewnianej poręczy, uderza w nią pięścią, żeby zrobić zagłębienie, i wyciąga się na kanapie.

Widząc, że rozmowa dobiegła końca, Adrian bierze świeczkę i otoczony rosnącymi i kurczącymi się cieniami zanosi ją do sypialni i kładzie się do łóżka.

\*

W tym kraju nie ma świtu. Nie ma wiosny ani jesieni. Przyroda skrupulatnie pilnuje czasu. W brzasku nie ma nic dwuznacznego, jest albo jasno, albo ciemno, z krótkim mgnieniem pomiędzy. Adriana budzi światło. W ciężkim powietrzu wyczuwalny jest odór pleśni, zupełnie jak w pawilonie do gry w krykieta, do którego wchodzi się po raz pierwszy w sezonie. Unosi się tu zawsze, mocniejszy rankiem i w niektóre dni. Przenika wszystko: pościel, ręczniki, jego ubranie. Zapach pleśni i kurzu.

Za oknem rozmawiają głośno jacyś ludzie. Adrian nie ma pojęcia, co mówią. Przez chwilę się nad tym zastanawia. Być otoczonym przez języki, których się nie zna. Pod pewnymi względami to coś podobnego do głuchoty. Głuche dzieci, które znał i których rodzice czasami do niego przychodzili, stawały się apatyczne, wyłączone, nawet w ramach własnej rodziny. Wyspy milczenia. Zanim je zdiagnozowano, szkody w relacjach z rodzicami i rodzeństwem już się dokonały. Nic dziwnego, myśli, że głusi tworzą własne społeczności. Z rozmysłem odwracają się plecami do słyszającego świata.

W kuchni Kai Mansaray, na bosaka, ale ubrany w ciuchy z poprzedniego dnia, otwiera i zamyka drzwiczki szafek. Nie odwraca się, kiedy Adrian mówi mu dzień dobry.

– Hej, człowieku. Niewiele tu masz. Powiedz mi, znajdzie się u ciebie kawa?

Adrian otwiera szafkę przy przeciwległej ścianie i wyjmuje puszkę rozpuszczalnej kawy. Nalewa do czajnika wodę z plastikowej butelki i zapala gaz.

Kai Mansaray obserwuje jego poczynania.

– Gotowanie sterylizuje wodę.

– Tak, wiem – odpowiada Adrian, czując na sobie wzrok tamtego. Stawia na stole jedyne dwa kubki, które posiada, i podważa końcem łyżeczki pokrywkę puszki z kawą. – Jak się spało na kanapie? Mam nadzieję, że dobrze.

– Tak, w porządku, jak najbardziej. Ja i twoja kanapa od dawna się znamy. Nie jestem zresztą wielkim śpiochem. Muszę odwiedzić moją pacjentkę.

– Co z nią będzie? – Nie doczekawszy się odpowiedzi, Adrian podnosi wzrok. Kai Mansaray studiuje etykietę na puszcze z kawą. Adrian nie ma pewności, czy usłyszał pytanie. Nagle mężczyzna wbija w niego spojrzenie.

– Zjadłbym coś – oświadcza. – Zrobię nam śniadanie.

– Niewiele tu mam.

– Nie mów. – Po raz pierwszy, odkąd się poznali, Kai Mansaray się uśmiecha. – Zrelaksuj się. – Obchodzi Adriana tak zwinnie, że ten nie ma czasu usunąć mu się z drogi. – Hej, ty! Słuchaj! Chodź no tutaj! – woła, otwierając drzwi mieszkania.

Podchodzi do niego szybko szpitalny odźwierny. Kai daje mu kilka monet i wkrótce potem odźwierny wraca z plastikową torbą i dwoma świeżymi chlebkami zawiniętymi w gazetę, a gdy dostaje w zamian monetę, kłania się z wdzięcznością i odchodzi. Kai kładzie pieczywo na blacie w kuchni i wyjmuje rzeczy z torby: puszkę mleka w proszku, kolejną z serem w plasterkach, cebule, tuzin jaj, limonkę i duży, owalny, zielony owoc z pomarszczoną skórką.

Ubierając się, Adrian słyszy, jak jego gość przyrządza śniadanie. Odgłosy są krzepiące, świadczą o pewnej ręce i świadomości celu. Mimo to ubiera się szybko. Kiedy pojawia się ponownie w kuchni, całe mieszkanie wypełnia zapach smażonej cebuli. Kai Mansaray rozbija jedną ręką jajka i ubija je na pianę w talerzu do zupy. Zrobił już kawę w dzbanku i zastąpił pękniętą pokrywkę spodkiem. Adrian nalewa dwie filiżanki, stawia jedną w zasięgu gościa, po czym opiera się o blat. Milczy, próbując opanować własne skrępowanie. Przesłuchuje z nogi na nogę. Widząc, jak przybysz krząta się po kuchni, jego kuchni, zupełnie jakby był sam i u siebie, to on, Adrian, czuje się tu intruzem.

Musi się jeszcze do tego przyzwyczaić, do milczenia między ludźmi. W Wielkiej Brytanii ludzie przychodzili albo byli do niego kierowani. Nauczył się badać ich milczenie, sprawdzać, czy jest zabarwione wstydem, bólem czy poczuciem winy, przesycone niechęcią czy skażone gniewem. On sam używał milczenia jako przynęty, wystawiając je przeciwko ich milczeniu, aż czuli się zmuszeni wypełnić pustkę. Tutaj te sztuczki nie mają zastosowania, nawet wobec tych, których nazywa swoimi pacjentami. Jeśli Adrian milknie, oni robią to samo i czekają, cierpliwie i bez skrępowania. Tutaj milczenie ma inną jakość, jest kompletnie pozbawione oczekiwań. Patrzy więc, jak Kai Mansaray kroi nożem ser na wiórki. Szybkie wprawne ruchy. Następnie wsypuje dwie łyżeczki mleka w proszku do filiżanki, dolewa do niej trochę wody z kranu i uciera coś w rodzaju pasty. Dodaje ją do jajek i sera, zwiększa gaz pod patelnią i wlewa do niej całą miksturę. Czekając, aż usmażą się jajka, dzieli owoc, wyjmując z niego lśniące szaroczarne pestki, przecina na pół limonkę i wyciskają na pomarańczowy miąższ. Siadają przy stole, żeby zjeść.

– To papaja! – mówi Adrian, rozpoznając owoc; jeszcze nigdy nie widział takiej dużej.

– Paupau – odpowiada jego gość.

– Paupau. Tak nazywacie papaję?

Kai Mansaray przez chwilę mu się przygląda.

– To jest paupau. – Bierze do ust kęs. – Holandia?

– Słucham?

Kai Mansaray je łapczywie, pochylony nad stołem, trzymając ręce po obu stronach talerza, jakby gotów był walczyć o swoje jedzenie.

– Skąd jesteś? – wyjaśnia, ułamując kawałek chleba i wskazując nim pierś Adriana.

– Jestem Anglikiem – odpowiada Adrian, marszcząc czoło. To chyba jasne.

– Okay. Mamy tu po prostu dużo Holendrów. Oddział ratowniczy czy interna? Nie jesteś z chirurgii.

– Prawdę mówiąc, ani jedno, ani drugie. – Adrian upija łyk kawy. – Jestem psychologiem.

Słyszając to, drugi mężczyzna odrywa wzrok od jedzenia, unosi na chwilę brwi i przechyla

**głowę, powoli przekrzywiając podbródek.**

**– O-kay.**

**Dzieli to słowo na dwie części, przecina na pół tak gładko, jakby używał topora. Jakby uważnie analizował to stwierdzenie, badał jego wiarygodność. Adrian mógłby równie dobrze oświadczyć, że jest księciem Yorku.**

**– Kaza ci płacić za to miejsce? – pyta, zmieniając temat.**

**Adrian mówi mu i Kai parska w odpowiedzi.**

**– Na jak długo? Rozumiem, że nie jesteś imigrantem.**

**– Jestem oddelegowany na rok.**

**– Więc nie masz zamiaru zamieszkać tu na stałe. Tak też sądziłem. Gdybyś miał taki zamiar, byłbyś pierwszym imigrantem od dwustu lat. – Kai Mansaray śmieje się z własnego żartu, rehotliwym, donośnym śmiechem. – Nie mamy nawet żadnych turystów. To znaczy z wyjątkiem takich jak ty.**

**– Takich jak ja?**

**Gość zjada kolejny kęs chleba.**

**– Nieważne. Tak naprawdę chciałem powiedzieć „Witaj!” – mówi i unosi filiżankę z kawą.**

**– Dzięki – odpowiada Adrian i wypija resztki zimnej kawy ze swojej filiżanki.**

**Resztę śniadania spożywają w zasadzie w milczeniu. Po skończonym posiłku Adrian bierze talerze i idzie z nimi do kosza na śmieci.**

**– Zaczekaj! – Drugi mężczyzna odbiera od niego naczynia i zeskrobuje resztki jajecznicy do plastikowej torby. Przez chwilę trzyma ją w powietrzu, a potem pochyla się i zagląda do kosza na śmieci. – Mrówki – mruczy.**

**Rozwiązuje uchwyty plastikowej torby, podnosi kosz i wsypuje do niej całą jego zawartość: butelki po soku, okruchy ciastek, mrówki i całą resztę, po czym zawiązuje z powrotem torbę i wrzuca ją do kosza. Adrian widzi, jak skrupulatnie i starannie myje ręce w zlewie, badając skórki wokół paznokci i sprawdzając, czy nie ma za nimi brudu.**

**W progę unosi rękę w pozdrowieniu.**

**– No to do następnego razu – mówi, wsuwając stopy w klapki.**

**– Tak. Do następnego razu. – Adrian kiwa głową i patrzy, jak zamykają się za nim drzwi.**



# ROZDZIAŁ 3

Dom, w którym mieszkali Saffia i Julius, stał w gąszczu wąskich uliczek na wzgórzach nad miastem. Pomalowany jasnoróżową, teraz już spłowiałą od słońca farbą, miał ciemnoróżową wnękę i blaszany dach. Uginające się od owoców drzewko pomarańczowe pochylało się nad budynkiem, do którego wchodziło się przez otwartą żelazną furtkę. Przyszedłem wcześniej, wiedziałem o tym – lecz mimo to wspiałem się po schodkach. Spocony po wędrówce pod górę, przystanąłem i przesunąłem palcem po wewnętrznej stronie kołnierzyka. Obok furtki przebiegło stado bezpańskich psów. Zapukałem i kilka chwil później pojawiła się Saffia, wygładzając sukienkę i przeczesując dłonią włosy. Julius nie wrócił jeszcze z uniwersytetu. Zaproponowałem, że trochę się przejdę i zajrzę później. Naturalnie się nie zgodziła.

– Nie, nie. Bardzo mi miło. Wejdz, proszę – powiedziała, wpuszczając mnie do środka.

Ruszyłem za nią przez werandę na tyły domu, skąd roztaczał się widok na miasto.

– Przepiękny dom.

Własny głos zadzwonił mi w uszach, słowa zabrzmiały zbyt głośno, niczym deklamacja. Poza tym, prawdę mówiąc, uwagę przyciągał nie dom, który był dość skromny, lecz widok.

– Mnie się podoba – odparła, jakby zdawała sobie sprawę, że to z mojej strony pusty komplement. – Tak naprawdę wybraliśmy go ze względu na ogród.

Nie przyjrzałem się wcześniej samemu ogrodowi, ale teraz zrozumiałem, co miała na myśli. Rozciągał się poniżej i wyglądał niczym obraz namalowany przez artystę, który wie, jak przyciągnąć uwagę publiczności.

– Może pokażę ci, zanim przyjdą inni.

Początkowo nie miałem pojęcia, o czym mówi, dopiero po chwili przypomniałem sobie rzekomy powód mojej wizyty. Saffia wzięła koszyk i sekator i pierwsza zeszła spiralnymi schodami do ogrodu.

W jego rogach rosły dwie wachlarzowe palmy, do których dochodziło się ocienionymi, zwirowanymi alejkami. To palmy podróżników, powiedziała mi, ich liście zawsze wskazują wschód i zachód. Były tam paprocie, niektóre wielkie jak drzewa. Drzewa owocowe: migdałowce, limona, gujawa, wielki chlebowiec. Chmury białej bugenwilli odcinały się ostro od innego gatunku pnących roślin o wielkich fioletowych, słodko pachnących kwiatach. Tu i tam, w rozwidleniach alejek lub między korzeniami drzew stały gliniane donice z roślinami. Przy murze w końcu ogrodu doniczki były bardziej zróżnicowane: w niektórych rosły pojedyncze okazy, w innych – artystyczne kompozycje kwiatów i krzewów. Hodowała je, poinformowała mnie, gdy przechodziliśmy obok nich, na wesela i podobne okazje.

W końcu znaleźliśmy się w mniej zacienionym miejscu, gdzie czekał arystokratyczny tłum w przepysznych szatach, lilie harmattan. Stały dumnie, prezentując wszystkie odcienie zachodzącego słońca. Ich łodygi były mięsiste, muskularne, nagie, nieosłonięte liśćmi. Kwiaty o grubych płatkach bezwstydnie się otwierały, odsłaniając liczne pręciki i lśniące lepkie słupki.

– Portugalczycy przywieźli je z Ameryki Południowej. Właściciele plantacji trzciny cukrowej w Brazylii i Indiach Zachodnich lubili sadzić je wokół domów. Cebulki były bardzo

cenne.

Nigdy wcześniej o tym nie słyszałem i powiedziałem jej to.

– Plenią się jak chwasty – podjęła lekkim tonem. – Bez względu na to, gdzie się je zasadzi. Gdziekolwiek. Właściwie kiedy przestaną kwitnąć, będę musiała kilka wykopać. Mogę dać ci parę, jeśli chcesz.

– Oczywiście – odparłem. – Będę naprawdę bardzo wdzięczny. – Na chwilę zapadło między nami milczenie. Nasze oczy się spotkały. Saffia odwróciła wzrok. Gdzieś we mnie zakwitły emocje.

Saffia zaczęła ciąć kwiaty, którymi chciała ozdobić stół. Obserwowałem ją pod słońce, kiedy stała odwrócona do mnie tyłem. Śledziłem linię jej karku, pochyloną głowę, warkoczyki, które od czasu do czasu wygładzała wierzchem dłoni. Gdy odwróciła się w moją stronę, zmusiłem się, by spojrzeć na kwiaty.

Usiedliśmy na werandzie i patrzyliśmy, jak na niebie gaśnie światło. Z ogrodu dolatywał zapach kwitnących nocą kwiatów. Saffia poczęstowała mnie piwem Star, a dla siebie wybrała piwo imbirowe. Usłyszałem trzaśnięcie drzwi i głos Juliusa. Jego śmiech przetoczył się przez pusty dom. Szybko wstałem.

– Powinienem zorganizować zakłady pieniężne – mówił. – Zarobiłbym fortunę na takich jak wy.

Nagle pojawił się na werandzie w towarzystwie dwóch mężczyzn. Jednego z nich klepnął po plecach tak serdecznie, że facet o mało się nie wywrócił. Znałem go luźno z kampusu.

Jeśli Juliusa zaskoczyła moja obecność, nie dał tego po sobie poznać. Zostaliśmy sobie przedstawieni. Ade Yansaneh, ten, którego chyba znałem. Kekura Conteh, pracujący w państwowym radiu. Przywitali się z Saffią jak ze starą znajomą. Julius pochylił się i pocałował ją w czubek głowy. Nie odwracając się, podniosła rękę i dotknęła lekko jego policzka. Okazywali sobie uczucie tak, jak to czynią Europejczycy. Dziwiło mnie, że Julius wcale się tego nie krępuje. Saffia wstała, na moment wyszła i wróciła z trzema piwami i szklankami na tacy. Usiadłem z powrotem. Julius zorganizował dodatkowe krzesła. Saffia otworzyła butelki. Wszyscy jakoś się usadowili.

Gospodarz odwrócił się do mnie z uśmiechem.

– Ade nie wierzy, że Amerykanie wylądują na Księżycu – powiedział.

– To niemożliwe – oświadczył z przekonaniem Ade, jednak nie rozwinął tematu. Zamiast tego pokręcił stanowczo głową.

– Dlaczego? Dysponujemy przecież odpowiednią technologią. Udowodnili to Rosjanie. Kilka razy.

– W kosmosie o mało nie zginął człowiek – stwierdził Kekura. Uświadomiłem sobie, że znam jego wysoki stentorowy głos z radia.

Julius, który jako jedyny pił prosto z butelki, pogroził mu swoim guinnessem.

– Daj spokój! Co chcesz przez to powiedzieć? Nie usmażysz omletu, nie rozbijając przy tym paru jaj. Każde działanie jest obarczone ryzykiem. Rzecz w tym, że mu się udało. Spacerował w kosmosie.

– To nie jest miejsce dla człowieka – oznajmił kategorycznym tonem Ade, jakby powtarzał to po raz któryś z rzędu. Zauważyłem, że ma prawie idealnie równą linię włosów. Przecinała jego czoło tak, że górna część głowy wyglądała jak pokrywka. Fryzura pedanta.

– Ach, Ade. Zawiodłem się na tobie.

– Nie sędzę, żeby wynikło z tego coś dobrego – powiedział Kekura. – Z tego, że walczą ze sobą możni tego świata.

– Tu możesz mieć rację. – Julius, który wcześniej odchylił się do tyłu na krześle i balansował na jego tylnych nogach, teraz pochylił się do przodu i krzesło się wyprostowało. Odstawiwszy butelkę na stojący przed nim stolik, przyjrzał jej się uważnie, jakby była miniaturowym statkiem kosmicznym. Zaskrzypiało pod nim krzesło. Pod jego ciężarem wydawało się zupełnie niestabilne. – Być może oni tak to traktują. Ale nie ludzie, którzy konstruują te urządzenia. Ci ostatni robią to ze świadomością, że codziennie dokonują nowych odkryć: w nauce, technologii, inżynierii. Nie po to, żeby wylądować jako pierwsi na Księżycu, choć to właśnie ich łączy. Robią to, ponieważ wszystko, czego się po drodze dowiedzą, złoży się na sumę ludzkiej wiedzy. Stulecie pracy w ciągu jednej dekady.

Mówiąc to, zgarnął kciukiem kroplę wody spływającą z boku butelki.

– Zdaje się, że będziemy mogli to obejrzeć w telewizji – powiedziałem, wykorzystując chwilę milczenia, żeby włączyć się do rozmowy.

– Racja! Hej, Kekura, co na to powiesz? Odwiedzimy cię w twoim radiu, żeby to zobaczyć.

– Będzie mi bardzo miło – odparł Kekura, przechylając głowę.

– To lądowanie przejdzie do historii. Ale powiem wam, co jeszcze chciałbym zobaczyć – rzucił Julius, nadal wpatrując się w butelkę.

– Co takiego? – zapytałem.

Julius podniósł z poważną miną wzrok, wziął ze stołu swoje piwo i nagle uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Chciałbym doczekać dnia, kiedy pierwszy Afrykanin wyląduje na Księżycu!

Wybuchliśmy śmiechem i w tej samej chwili Saffia otworzyła przesuwane drzwi i zaprosiła nas do stołu. Julius wstał, podnosząc wysoko butelkę z guinnessem.

– Za pierwszego czarnego człowieka na Księżycu! – powiedział.

– Za pierwszego czarnego człowieka na Księżycu – powtórzyliśmy i wypiliśmy.

Nie pamiętam, o czym jeszcze dyskutowaliśmy tamtego wieczoru przy stole Saffii i Juliusa. Z tego, co sobie przypominam, nie mówiliśmy o polityce. Nie w bezpośrednim sensie. Zastanawiałem się później, jak wyglądałaby ich dyskusja, gdyby przy stole nie siedział ktoś obcy. Częstośowałem się, nie zwracając uwagi na to, co jem. Mijały kolejne godziny. Rozmowa toczyła się to w tę, to w tamtą stronę. Nowa chińska restauracja. Plan budowy dróg. Nowy cykl audycji komediowych, którego Kekura był producentem i z tego względu stale szukał nowego materiału. Ktoś – bodajże Ade – opowiedział historyjkę o trzech mężczyznach, którzy odwiedzili salon samochodowy. Jeden z nich, arystokrata, ubrany był w piękną szatę i trzymał w ręku dyplomatkę. Okazało się, że to nigeryjski książę, który chce kupić całą flotę samochodów. Dyrektor salonu podbiegł, żeby osobiście go przywitać. Książę podał mu rękę, ale nie raczył odezwać się ani słowem, pozostawiając załatwienie sprawy asystentom. To miała być transakcja gotówkowa. Książę przyniósł pieniądze w swojej dyplomatce. Dyrektor, któremu bardzo zależało na dobieciu targu, szybko zgodził się, żeby dwaj asystenci wybrali się jednym z najnowszych modeli na jazdę próbną. Uspokojony obecnością małomównego księcia, który siedział w fotelu z teczką pieniędzy na kolanach, uznał, że nie musi im towarzyszyć. Mijał czas. Z jednej godziny zrobiły się dwie. Samochód z asystentami nie wracał. Dyrektor postanowił

rozmówić się z księciem i szybko odkrył, jak bardzo się pomylił. Ponieważ nie był to żaden książę, lecz miejscowy głuchoniemy żebrak, grający nieświadomie rolę, do której znakomicie pasował. W dyplomatce były złożone gazety.

Wszyscy zanosili się śmiechem, Julius tak spazmatycznie, że zaczął rzeźić. Nie widziałem w tym nic szczególnego, zauważyłem jednak reakcję Saffii. Obserwowała go z niepokojem. Już miała wstać i podejść do niego, kiedy atak kaszlu minął. Nie zwróciłbym większej uwagi na ten epizod, gdyby nie reakcja Saffii świadcząca o charakterze łączących ich stosunków.

– Co stało się z żebrakiem, to znaczy księciem? – zapytała, kiedy wszyscy przestali się śmiać.

Ade odparł, że nie wie.

– Cóż, przynajmniej wykapał się i ostrzygli mu włosy – stwierdziła. – I dostał nowe ubranie.

– To on prawdopodobnie wymyślił cały ten cholerny skok – powiedział Julius i wszyscy znowu się roześmiali. – Może właśnie w tym momencie przekracza granicę.

– Otóż to! Otóż to! – zawołał Kekura, po czym złapał za rękę Juliusa i z entuzjazmem nią potrząsnął. – To będzie pointa. Dziękuję, przyjacielu. Mam wobec ciebie dług wdzięczności. Proś, o co chcesz.

Julius się uśmiechnął. Kekura wstał, o mało nie wywracając krzesła, po czym otarł usta, położył serwetkę przy swoim talerzu i wygładził marynarkę.

– Cóż, moi kochani, do następnego razu – powiedział. – Kolejny pyszny posiłek, madame – zwrócił się do Saffii. – Dziękuję – dodał i poklepał się po brzuchu, na co zareagowała uśmiechem.

Żałowałem, że sam nie pomyślałem, by pochwalić jej kuchnię.

Zbliżała się jedenasta wieczorem. Godzina policyjna już nie obowiązywała, lecz ludzie nadal dość wcześnie wracali do domów.

O północy ulice były puste. Ade poprosił Kekurę, żeby go podwiózł. Julius i Saffia wstali, by ich odprowadzić. Ja też wstałem i uściśnięm wychodzącym dłonie. Gospodarze oczekiwali pewnie, że też się pożegnam, ale nie zrobiłem tego.

Kiedy zamknęły się drzwi, nikt z nas nie usiadł. W końcu Julius zaprosił mnie na whisky na werandzie. Nalał nam po pół szklaneczki szkockiej z butelki z czerwoną nalepką, po czym podał mi jedną i usiadł bokiem do mnie, wyciągając przed sobą nogi. Z miejsca, gdzie siedziałem, mogłem obserwować go z profilu. Czy wspomniałem już, że miał brodę? W tamtym okresie było to dość niekonwencjonalne. Przez dłuższy czas się nie odzywał, wyglądał tylko przez balustradę.

Zastanawiałem się, w której części domu jest Saffia.

– Widzisz to? – powiedział Julius, wskazując szklanką widok. Rozsiane światła wydobywały z mroku miejsce, w którym przycupnęło miasto, a dalej kształt półwyspu. Nad nami świeciły gwiazdy. Księżyc schował się za okapem domu. Pojedyncze światelko należące prawdopodobnie do zagranicznego trawlera wypalało małą dziurkę w grubej warstwie czerni oddzielającej ziemię od nieba. Ruchome iskierki przecinały w tę i z powrotem ciemny pas między lądem i półwyspem. – Kiedy byłem mały, przyjechałem do miasta i mieszkałem przez kilka lat u jednej z ciotek. Moja matka zmarła, rozumiesz. Ciotka była surową kobietą. Bardzo surową – dodał ze śmiechem. – Chciałbym powiedzieć, że ją lubiłem, ale to byłoby kłamstwo. Była z niej jędza. Chciwa jędza. Zabrała mnie ze szkoły, za którą ojciec płacił

czesne, i wykorzystywała jako chłopca na posyłki. Codziennie wysyłała mnie w różnych sprawach na półwysep. W tamtym czasie kursował tamtędy statek, pasażerski prom.

– Pamiętam – potwierdziłem. Prom był w rzeczywistości rybacką łodzią popychaną drągiem przez jednego mężczyznę. Korzystałem z niej wcześniej kilka razy, odwiedzając krewnych. Morskie prądy bywały niebezpieczne.

– Prawie zawsze byłem jedynym dzieckiem na pokładzie. Inni pasażerowie, ci, których codziennie widywałem, opiekowali się mną. Niektórzy wierzyli, że pod wodą mieszka zły duch. Wiesz, jacy są ludzie... wierzyli, że takie duchy polują zwłaszcza na dzieci. Któregoś dnia po ulewnym deszczu porwał nas gwałtowny prąd. Łódź kręciła się niczym igła kompasu. – Julius pociągnął łyk ze szklanki, sięgnął po butelkę, dolał sobie więcej i pchnął ją w moją stronę. – To trwało kilka minut. Właściwie nawet nie minut. Kilka sekund. Ale wszyscy na łodzi byli przerażeni. Ja też byłem przerażony. Kiedy dotarliśmy na drugą stronę, pomogli mi zejść na brzeg. Uniknęliśmy niebezpieczeństwa, lecz incydent wywarł na nich duże wrażenie. Nie wiem dlaczego. Może bali się o siebie. Tak czy inaczej, bez względu na to, jaka była przyczyna, coś wtedy zaszło. Jedna ze stałych pasażerek uparła się, że odprowadzi mnie do domu pod koniec dnia i porozmawia z moją ciotką. Bałem się reakcji ciotki, ale nie śmiałem się sprzeciwić dorosłej osobie. Zaprowadziłem tę kobietę do domu, w którym mieszkałem. W porównaniu z ciotką była zamożna. Ciotka zdawała sobie z tego sprawę. Zaprosiła ją do domu, a ja czekałem na zewnątrz. Nie miałem pojęcia, o czym mówiły. Lecz od tego dnia ciotka przestała wysyłać mnie na półwysep, przestała wykorzystywać mnie jako gońca i posłała z powrotem do szkoły, żebym kontynuował naukę. Przestrzegła umowy, jaką zawarła z moim ojcem.

Julius siedział przez kilka chwil nieruchomo, zatopiony w myślach. A potem chrząknął cicho, jakby odnalazł sens całej historii albo przypomniał sobie, dlaczego ją opowiedział.

– Teraz jest tam most. Zbudowany przez Niemców. Można nim dojechać z miasta. Trwa to niecałą minutę. I co ty na to?

– Wiem – powiedziałem. – Jeżdżę nim codziennie.

– No tak, mieszkasz na półwyspie.

– Kim ona była? Ta kobieta? – zapytałem.

– Nie mam pojęcia – odparł. – Moim aniołem stróżem. A może nie. Może była po prostu zwykłą kobietą, która spełniła jeden dobry uczynek. Tak czy inaczej, bez niej nie byłbym tym, kim dzisiaj jestem. Okazałbym jej wtedy większą wdzięczność, gdybym zdawał sobie sprawę, jaką oddała mi przysługę. – Julius zerwał się z krzesła, nagle ożywiony. – Posłuchajmy jakiejś muzyki!

– Powiniennem już iść – stwierdziłem, wstając.

– Odwiozę cię. Za parę minut – obiecał, po czym odwrócił się i zniknął w głębi domu. – Co lubisz?! – zawołał. – Fełę Kutiego?

Muzyka nie była czymś, czemu poświęcałbym uwagę. Nie miałem własnego gramofonu, tylko radio.

– Owszem, czemu nie – odpowiedziałem. – Może być Fela Kuti.

– A może twój imiennik?

– To znaczy kto?

– Och, daj spokój, Eliasie! – Julius wyjął płytę z koperty, położył ją na talerzu i ostrożnie umieścił igłę na winyłu. Saffia weszła do pokoju dokładnie w tej samej chwili, gdy wypełnił go

głos Nata King Cole'a. Kiedy mijala Juliusa, złapał ją, obrócił i przyciągnął do siebie. Choć wyraźnie ją zaskoczył, nie zmyliła kroku w jego ramionach.

– Lubisz muzykę, Eliasie?! – zawołał do mnie.

– Owszem, lubię – wykrztusiłem. – I to bardzo.

– Więc wypuść się z nami któregoś dnia na miasto. Pójdziemy do Talk of the Town. Weź ze sobą kogoś.

Pół godziny później jechaliśmy przez most, siedząc obok siebie w volkswagenie variancie. Po obu stronach księżyc połyskiwał na ciemnej wodzie. Julius nie mówił nic, gwizdał tylko melodię Nata King Cole'a. Robiąc to, fałszował, lecz raczej mu to nie przeszkadzało. A może w ogóle tego nie zauważał. Podrzucił mnie pod sam dom.

– Nie ma o czym mówić – powiedział, kiedy mu podziękowałem. – Nie ma o czym mówić, przyjacielu.

Pomachał mi i ruszył z miejsca, ale zamiast zawrócić, pojechał dalej prosto, wzdłuż półwyspu, okrężną drogą.

Była druga w nocy, lecz nie czułem się senny. Serce łomotało mi głucho w piersi. Myśli krążyły po głowie. Przypominałem sobie różne chwile, fragmenty wieczornej rozmowy. Z jakiegoś powodu rozmyślałem o Juliusie prawie tak samo dużo jak o Saffii. W końcu wstałem z łóżka, po omacku poszedłem do kuchni, zapaliłem światło i nalałem sobie szklanę wody z kranu. Na stole leżał mój kołonoatnik. Usiadłem i zapisałem kilka szczegółów, częściowo ponieważ bałem się, że wypadną mi z pamięci, ale głównie po to, by wyegzorcyzmować je z myśli.

W końcu położyłem się z powrotem do łóżka i zapadłem w niespokojny sen.

Czy wtedy to się zaczęło? W ogrodzie, przy majestatycznych liliach harmattanu? Czy potem, gdy patrzyłem, jak ze sobą tańczą? Albo kilka tygodni wcześniej na kolacji dla pracowników wydziału? Trudno powiedzieć. Początki są trudne do wyśledzenia. Może każde z naszej trójki umieściłoby początek w innym miejscu, niczym uczestnicy dziecięcej zabawy, którym założono opaski na oczy i kazano przyczepić ogon osłu.

Trzy różne początki. Trzy różne zakończenia, po jednym dla każdego z nas.

# ROZDZIAŁ 4

Talk of the Town. Zapomniałem już, co mnie tam przed kilku laty sprowadziło, ale znalazłszy się w sąsiedztwie, wszedłem do środka przez niezamknięte drzwi. Lokal ma teraz inną nazwę, czwartą lub piątą w ciągu paru lat. Zapomniałem dokładnie jaką. Ruby Rooms, a może Ruby Lounge? Poza tym nic się nie zmieniło.

Wewnątrz ten sam czerwony dywan, postrzępiony na brzegach i upstrzony ciemnymi plamami. Ospowate aksamitne kanapki i łuszczące się blaty stołów ze sztucznego drewna wyglądały jak jedna z dziewcząt sterczących w zimnym świetle poranka przed hotelem City. Parkiet taneczny wydawał się śmiesznie mały i mimo że nie było gości, miejsce robiło wrażenie ciasnego; w stęchłym powietrzu unosił się odór potu, kwaśnego piwa i uryny. Na podium osamotniony taboret pianisty i ani śladu po pianinie. Jakiś mężczyzna ustawiał puste skrzynki po piwie. Nie uniósł wzroku ani nie uznał za stosowne mnie powitać, dzięki czemu nie musiałem wyjaśniać, co tam robię.

Julius i Saffia, Vanessa i ja. Trzydzieści lat wcześniej. Razem przestąpiliśmy próg i ruszyliśmy po puszystym czerwonym dywanie. Dla kogoś z zewnątrz wyglądaliśmy jak czworo dobrych znajomych. Gęsty papierosowy dym, opary mocnych trunków; Julius szedł pierwszy, zarzuciwszy na ramię marynarkę, zaraz za nim stąpały Saffia i Vanessa, ja zamykałem pochód. Słyszałem o Talk of the Town, ale to miała być moja pierwsza wizyta. Vanessa oczywiście już tu wcześniej była. Prawdę mówiąc, preferowałem bary i odwiedzałem je, kiedy chciałem wyrwać się ze swojej klitki. Nie szukałem towarzystwa; wołałem kontemplację od konwersacji.

I nigdy nie lubiłem, nawet trochę się obawiałem tego rodzaju publicznych miejsc. Jak wspomniałem, nie miałem ucha do muzyki i choć byłem sprawnym tancerzem, moje talenty w tej dziedzinie z całą pewnością pozostały niezauważone.

Vanessa oglądała się na wszystkie strony, próbując dostrzec, kto jest w lokalu, i sprawdzić, czy zrobiła na wszystkich odpowiednie wrażenie. Ubrała się w żółtą sukienkę bez ramiączek, którą widziałem już wcześniej na kimś innym. Na głowie miała jakąś ozdobę, którą przymocowała szpilkami do włosów. Cały ornament robił wrażenie niebezpiecznego i kolczastego. Kiedy kręciła głową, mogło się wydawać, że zaraz wpadnie komuś w oko, choć może niekoniecznie w taki sposób, o jakim myślała.

Jakiś znajomy Juliusa zatrzymał go na chwilę, w związku z czym poprowadziłem (poholowałem) dwie kobiety dalej, szukając wolnego stolika. To właśnie w takich chwilach źle się czułem w publicznych miejscach. Na szczęście inicjatywę przejęła Vanessa, podbiegając do grupki, która właśnie zwalniała stolik. Kiedy zbierali się do wyjścia, przecisnęła się przez tłum i usiadła na kanapce, a torebkę położyła na stoliku niczym trofeum. Ruszając w ślad za nią, przepuściłem Saffię, żeby zajęła miejsce na kanapce, a sam usiadłem naprzeciwko niej na taborecie.

Po raz pierwszy miałem możliwość patrzeć na Saffię przez cały wieczór. Zabrali nas swoim variantem. Saffia usiadła z tyłu obok Vanessy, a ja z przodu obok Juliusa. Teraz nachyliła się

nad stołem, przez chwilę badała wzrokiem blat, po czym przetarła go serwetką i dopiero wtedy oparła o niego łokcie. Miała gołe ramiona, wydekoltowaną kremową sukienkę w duże czarne grochy, czarny pasek i pasujący do niego szal. Dostrzegałem takie rzeczy, choć większość mężczyzn ich nie widzi. Tak w każdym razie utrzymujemy, pewnie z obawy, że przyznając się do tego, narazimy na szwank swój autorytet. Co więcej, zapamiętałem każdą chwilę tamtego wieczoru.

Siedząca obok Saffii Vanessa rozglądała się dokoła z lekko nadąsaną miną, która jej zdaniem miała świadczyć o wyrafinowaniu. Saffia pochyliła się i szepnęła jej coś do ucha. Sądząc po wyrazie twarzy Vanessy, pogratulowała jej szybkiego refleksu, z jakim zajęła stolik.

Zamówiliśmy drinki. Saffia poprosiła o piwo imbirowe. Namawiałem ją, żeby wzięła coś mocniejszego, ale pokręciła głową. Powiedziałem kelnerowi, żeby podał jej rum z colą, a mnie whisky. Saffia poprosiła o guinnessa dla Juliusa, który jeszcze się nie pojawił. Siedziałem odwrócony plecami do parkietu. Sala pulsowała muzyką, trudno było przekrzyczeć hałas. Saffia, najwyraźniej się tym nie przejmując, pochyliła się do przodu i obserwowała tańczących za moją głową ludzi.

W końcu pojawił się kelner z naszymi drinkami. Dla Vanessy coś szkarłatnego i słodkiego, z importu i z tego względu dwa razy droższego. Patrzyłem, jak Saffia sączy swojego drinka, pochylając głowę nad szklanką. Zauważyła, że jej się przyglądam, i się uśmiechnęła.

– Dobrze?

Kiwnęła głową i zaczęła nucić, kołysząc się w rytm muzyki.

– Julius mówi, że nie mam głowy do alkoholu. To prawda. Nie tak jak on. Kiedy jeszcze studiowaliśmy, pod koniec wieczoru zawsze odwoziłam wszystkich do domu. Tak naprawdę nigdy nie nauczyłam się pić. I nadal robię za szofera – powiedziała, a w każdym razie tak mi się wydawało; słyszałem pojedyncze frazy podkreślane basowym dudnieniem.

– Studiowałaś razem z nim?

Saffia pokiwała głową.

– Inżynierię?

Przystawiła dłoń do ucha, a ja powtórzyłem pytanie. W odpowiedzi wybuchła śmiechem, odchylając się do tyłu i kręcąc głową. Poczulem się głupio.

– Botanikę – wyjaśniła.

– Kwiaty?

– Dokładniej rzecz biorąc, rośliny. Systemy roślinne, glebę. Tego rodzaju rzeczy.

Jej spojrzenie ponownie ześlizgnęło się w bok, po moim ramieniu. Przyglądała się tancerzom czy wypatrywała Juliusa? Ręce miała oparte na stole, dłonie splecione. Paznokciem wskazującego palca zaczęła kręcić kółka na blacie. Popatrzyłem na nią i nasze oczy spotkały się po raz drugi. Wytrzymałem jej spojrzenie, dopóki starczyło mi odwagi. Saffia uśmiechnęła się i w końcu umknęła wzrokiem w bok. Na chwilę zabrakło mi tchu. Studiując jej profil, wypilem trochę whisky. Poczulem, że Vanessa piorunuje mnie oczami. Przekręciłem się na stolku i odwrócony do niej plecami, zacząłem się przyglądać tańczącym.

Dlatego kiedy kilka chwil później dołączył do nas Julius, przepływające między nami fluidy nieco się odmieniły.

Vanessa zaczęła oczywiście flirtować z Juliusem. Dotykała jego ramienia, szeptała mu coś



do ucha, wierciła się na kanapce w rytm muzyki. Julius raczej słabo na to reagował. Płyta się zmieniła, Julius i Saffia wstali, żeby zatańczyć, a ja biorąc z nich przykład, poprosiłem do tańca Vanessę. Byłem przy tym uprzedzająco grzeczny i pomogłem jej wstać od stołu, co trochę ją udobruchało. Ruszyliśmy za drugą parą na zatłoczony parkiet.

Później wyszliśmy na taras, przeciskając się między stolikami, przy których siedzieli ludzie szukający wytchnienia od muzyki. Ich twarze lśniły w świetle księżyca. Julius znał tu mnóstwo osób, a w każdym razie one znały jego. Był kimś, kogo nazywają duszą towarzystwa, człowiekiem, bez którego bylibyśmy wszyscy tylko bezwolną masą.

Vanessa znalazła jakąś swoją rówieśniczkę, dziewczynę w lśniącej czarnej sukience, i przystanęły w pewnej odległości, szepcząc do siebie i zasłaniając usta dłońmi.

Saffia i ja zostaliśmy sami.

Jakiś ślepiec siedział, opierając się plecami o ścianę.

– Popatrz, jaki uśmiechnięty – powiedziała. – Dlaczego twoim zdaniem tak się uśmiecha?

– Bo słucha muzyki? – odparłem.

– Tak, chyba tak.

Oboje obserwowaliśmy ślepcę. Siedział, szeroko się uśmiechając i zadzierając głowę. Nie tupał do rytmu stopami ani nie wybijał go ręką. Po prostu szczerzył zęby w uśmiechu.

– Zauważyłeś, jak często ślepcy się uśmiechają? – zapytała Saffia. – Chociaż nie. Czasami płaczą. Widziałam raz ślepcę na ulicy, łzy lały mu się po twarzy, był zupełnie sam. Bardzo długo o nim myślałam. Może to wynika z braku skrępowania, rozumiesz. Nie zdają sobie sprawy, że ludzie ich obserwują.

– Czy to lepiej, czy gorzej?

– Dochodzę do przekonania, że byłoby o wiele lepiej, gdybyśmy wszyscy mówili i robili dokładnie to, co czujemy.

– Nie jestem tego taki pewien – odparłem. – Naprawdę w to wierzysz? Myślę o ślepcach?

– Tak, wierzę. – Przez chwilę obserwowała mężczyznę z poważną miną. – A on oczywiście nie ma pojęcia, że mu się przypatruję – dodała.

Saffia obserwowała niewidomego, a ja ją.

– Zatańcz ze mną – powiedziałem, bo tylko to miałem w głowie. Nie mogłem myśleć o niczym innym, póki nie wyrzuciłem tego z siebie.

Więc zatańczyliśmy. Tańczyła ze mną tak, jakby ta czynność wymagała skupienia. A może to tylko z powodu rumu, który uderzył jej do głowy i sprawił, że spięła się, zamiast zrelaksować. Jej ręka na moim ramieniu. Moja ręka na jej talii. Myślałem, że jest wyższa. Kilka centymetrów ciepłego powietrza między naszymi ciałami. Unikała mojego wzroku.

Staralem się napawać tą chwilą, zapamiętać ją, zachować na później. Trzymałem ją w objęciach, a potem mi się wymknęła. Odprowadziłem Saffię z powrotem na taras.

Stała tam Vanessa. Z ustami jak suszona śliwka i twarzą, która wyglądała jak naciągnięta na blok granitu. Ani jednego słowa w drodze do domu. Pamiętam, że Julius wygłosił kilka komentarzy, tak jak to robią mężczyźni. Dyskretne klepnięcie po plecach, kiedy się zegnaliśmy. Usiadł na miejscu pasażera koło Saffi i robiąc to, pogroził mi z uśmiechem palcem, a potem uniósł brwi i spojrzał na Vanessę i na mnie, jakby chciał powiedzieć: „Elias, ty stary draniu”.

# ROZDZIAŁ 5

W czwartek wzywają Adriana, żeby zajął się jakimś dzieciakiem. Kiedy znajduje podany mu adres, okazuje się, że mieści się tam miejscowy posterunek policji. Przez uchylone drzwi widzi kilkoro funkcjonariuszy. Jedna z policjantek, kobieta o fryzurze fikuśnej niczym u królowej balu, siedzi na biurku. Rozmawiający z nią kolega oparł się o jego krawędź. Pozostali stoją tuż obok. Co jakiś czas słychać wybuch śmiechu. Adrian stoi na zewnątrz, czeka, aż go zauważą. Ktoś zerka w jego stronę i odwraca wzrok. Adrian stuka do drzwi. Cicho, w regularnych odstępach. Siedząca na biurku kobieta daje znak, żeby czekał, odchodzi więc od drzwi i opiera się o ścianę. Kiedy w końcu wołają go do środka i podaje swoje nazwisko, są zaskoczeni i bardzo go przepraszają. Nie jest ofiarą przestępstwa, lecz kimś ważnym. Powinien był od razu tak mówić.

Adrian idzie za policjantką korytarzem. W ciszy słychać szelest jej nogawek ocierających się o ogromne uda. Kobieta staje przy którychś z kolei drzwiach i daje mu znak, żeby wszedł do środka. Adrian zerka przez szybkę. W pustym pokoju siedzi samotne dziecko.

– Co chcecie, żebym zrobił? – pyta Adrian.

– Cóż... – Policjantka wzrusza ramionami, jakby zdziwiona, że ją o to pyta. – Chcą, żeby pan go zbadał.

Adrian podchodzi do chłopca i kuca przed nim na piętach.

– Jak się nazywasz? – Chłopiec patrzy na niego ciemnymi, nieruchomymi oczyma. Nie spuszcza z niego wzroku, ale milczy.

– Nazwisko?! – wrzeszczy od progu kobieta. Adrian wzdryga się, odwraca i podnosi rękę, lecz na funkcjonariuszce nie robi to wrażenia. – Idiota – kwituje, wzruszając ramionami i wciągając powietrze przez zaciśnięte zęby. Kiedy Adrian odwraca się z powrotem, dziecko nadal go obserwuje. Adrian przygląda mu się przez chwilę. Zastanawia się, co takiego zbroił.

– Przepraszam – mówi do policjantki, starając się, żeby nie wyczuła w jego głosie antypatii. – Może nas pani na chwilę zostawić?

Kobieta kręci głową.

– To jest posterunek policji.

Adrian przytakuje i sięga po swoje notesy i długopisy. Na oczach policjantki okrąża dziecko, gryzmoląc coś w notesie. W końcu widzi, że przestała się nimi interesować i przygląda się lakierowi na paznokciach. Wtedy staje za chłopcem, upuszcza swój notes i głośno klnie. Policjantka się prostuje. Dziecko nie reaguje.

Chłopak jest niedorozwinięty, informuje Adrian dowódcę. Policjant chce wiedzieć, co ma z nim zrobić. Coś w jego zachowaniu sugeruje, że to Adrian stwarza problemy. W związku z tym Adrian mówi mu, by oddał chłopca pod jego nadzór i podpisuje stosowne dokumenty tak, jakby robił to już wiele razy. Po przystawieniu odpowiednich pieczętek i złożeniu kontrasygnat pokazują mu drzwi.

Kilka minut później, trzymając chłopca za rękę, stoi przed posterunkiem. Serce wali mu w piersi, ma mokro pod pachami, pot jest jak lodowata woda. Nie ma bladego pojęcia, co zrobić

z chłopcem, nie mógł po prostu zostawić go w tym miejscu. Nagle dziecko wyrywa mu się, przebiega przez jezdnię i znika, nim zdąży puścić się za nim w pogoń.

Adrian odwraca się, patrzy na posterunek, ale chyba nikt ich nie obserwuje.

Na tylnym siedzeniu jadącej do szpitala taksówki tłoczą się cztery osoby. Siedząca obok niego kobieta wiezie koszyk z jakimiś sfermentowanymi produktami: zapach drożdży miesza się z jej własną wonią i perfumami. Adrian nigdy nie odkrył alchemicznej kombinacji słów i wysokości opłaty, która zapewniłaby mu jazdę taksówką w pojedynkę.

Pokój lekarski w szpitalu jest pusty. Na dwupalnikowej kuchence elektrycznej, w stalowym garnku z długim uchwytem buzuje kawa. Na jej powierzchni bąble unoszą się i pękają, przywodząc na myśl strumień lawy. Adrian znajduje najmniej zabrudzony kubek i płucze go. Kawa jest ziarnista i gorzka i przypomina mu tę, którą robił z żołądździ jako dziecko. Przywiera do języka i zakwasza ślinę.

W tym upale czuje się jak lunatyk. Ma zwolnione ruchy i świadomość, jak ciężko obracają się tryby w jego umyśle. Odchyła się do tyłu i czeka, aż kofeina zacznie działać. Końcówki nerwów budzą się do życia, ciarki chodzą mu po skórze.

Chciałby w tym momencie z kimś pogadać, ale z kim? Wystukuje na stojącym na biurku telefonie domowy numer, słucha głuchego echa dzwonka po drugiej stronie. Liczy. Nagłe kliknięcie i odzywa się Lisa. Adrian słucha jej chłodnego, świergotliwego głosu proszącego dzwoniących o pozostawienie nazwiska i telefonu. Odkłada słuchawkę, nic nie mówiąc. Bo i co miałby powiedzieć? Dla Lisy inne kraje są niczym planeta Wenus. Światowe wydarzenia toczą się bez przerwy, niezależnie od ludzkiego widzimisię. Wojny, zamachy, ubóstwo – wszystko to istnieje na tych samych prawach co wirusy, cyklony i czarne dziury w kosmosie. Trzeba oszczędnie gospodarować emocjami. Mógłby opowiedzieć jej o głuchym chłopcu na posterunku policji i po krótkiej pauzie doczekać się zgrabnej zmiany tematu na coś bardziej pozytywnego, łatwiejszego do zrozumienia. Kiedyś go to pociągało, sprowadzało na ziemię, jej dziarskie, optymistyczne podejście do świata. Z początku wziął je błędnie za swoistą wrażliwość, podatność na zranienie.

Później bierze prysznic. Stojąc pod strumieniem wody, czuje nagłą potrzebę oddania moczu. Ze skraju wykładanej kafelkami kabiny celuje do muszli sedesu. Kiedy odnosi sukces, ma poczucie, że po raz pierwszy tego dnia coś mu się udało.

Prysznic odświeża go tylko na krótką chwilę. Wkrótce znowu bierze górę upał, oblepia ramiona i plecy. Adrian sprawdza zawartość lodówki, wyjmuje puszkę skondensowanego mleka, podnosi ją wysoko i wlewa sobie strużkę do otwartych ust.

Jak szybko wraca się do tego, co było.

Robi sobie filiżankę rozpuszczalnej kawy i dolewa do niej trochę whisky. Tak naprawdę napiłby się wina. Satysfakcjonujące wyciągnięcie korka, gwarancja długiego wieczoru na lekkim alkoholowym rauszu. Siada na kanapie, bierze poduchę z fotela i podkłada sobie pod plecy. Inercja powstrzymuje go od lektury: zamiast tego gapi się na plamę na podłodze i popija swoją wzmocnioną kawę. Nie ma jeszcze ósmej. Wieczór będzie ciągnął się niczym długa nieoświetlona droga.

Pukanie do drzwi. To na pewno ktoś z pralni z jego ubraniami. Kiedy pukanie rozlega się po raz trzeci, Adrian podnosi się z kanapy.

W progu stoi Kai Mansaray, ubrany tak jak przedtem, tyle że tym razem trzyma w rękach

drewnianą planszę.

– Przepraszam, myślałem, że to ktoś inny – mówi Adrian, odsuwając się na bok, żeby wpuścić go do środka.

– Naprawdę? Komu wiesz pieniądze? – Kai się śmieje.

– Nie. Sądziłem po prostu, że przynieśli mi ubrania z pralni.

– Jeżeli na to czekałeś przez cały wieczór, dobrze, że do ciebie zajrzałem. – Kai wchodzi do środka i kładzie planszę na stoliku do kawy.

Adrian nie pamięta, kiedy ostatnio widział planszę do gry w chińczyka. Ta, którą Kai rozkłada na blacie, pachnie zupą pomidorową, kredkami świecowymi i szkolną salą gimnastyczną. Widział, jak grali w to mężczyźni na ulicy, na wielkich planszach ozdobionych fotografiami futbolistów i aktorów.

Nalewa Kaiowi szklaneczkę whisky. Gość bez trudu wygrywa i proponuje mu jeszcze jedną partyjkę. Adrian, który śledził uważnie jego strategię i podejrzwał kilka sztuczek, wygrywa piątą i szóstą partię. Każdy z nich gra pionkami dwóch kolorów. Niebieskimi i zielonymi Kai. Czerwonymi i żółtymi Adrian. Adrian miesza whisky z wodą, żeby na dłużej starczyło. Kai gra z zacięciem. Adrian cieszy się, że ma towarzystwo. W kuchni znajduje paczkę czekoladowych ciasteczek, miękkich i zakurzonych. Czekolada rozpuściła się, wsiąkla w ciasto i stwardniała. Jedzą ciastka zamiast kolacji, popijając je whisky.

Sześć partii później Adrian poddaje się i odchyła do tyłu na krześle. Przez chwilę myśli o wydarzeniach tego poranka. Zastanawia się, czy nie wspomnieć o głuchym chłopcu, ale w końcu z tego rezygnuje. Gdyby Kai był Europejczykiem, sprawa wyglądałaby inaczej. Rozmowa tutaj może się okazać ryzykowna, język nie jest tak subtelnym narzędziem, każde słowo to silny cios mający tylko jedno znaczenie. Trzeba mówić dokładnie to, o co chodzi, zadawać precyzyjnie wymierzone pytania. Ponieważ bezpośredniość języka wcale nie oznacza, że ludzie mówią, co myślą. Przeciwnie, raczej uciekają w milczenie.

Poza tym czuje, jak ogarnia go senność, rezultat wypitej whisky i przyjemnej monotonii gry. Chyba jeszcze nigdy od przyjazdu nie czuł się tak dobrze. Nalewa więc whisky.

Butelka jest prawie pusta.

Przez chwilę siedzą razem w ciszy. Adrian wychodzi z pokoju do łazienki; kiedy wraca, Kai przerzuca leżące na bocznym stoliku papiery. Robi to w zupełnie naturalny sposób, nie przejmując się powrotem Adriana. Podnosi jedną z kartek.

– To twoje?

Adrian kiwa głową.

Szkic przedstawia ptaka, którego narysował poprzedniego dnia. Po przyjeździe tutaj wrócił do młodzieńczego hobby. W tej przejściowej fazie chłopięctwa, kiedy młodzieńcza energia nadal znajduje sobie zacne ujście, Adrian, w przeciwieństwie do swoich kolegów, którzy kolekcjonowali znaczki i karty piłkarskie, rysował ptaki, które widział przez okno: wróble, kosy, wrony, drozdy, rudziki – o różnych porach dnia i roku, w różną pogodę, we wszystkich ich nastrojach i wcieleniach.

Ptaki są tutaj nadzwyczajne, nawet te, które siedzą na słupach telegraficznych i widać je z jego okna: nektarniki, muchołówki, dzierzby, zimorodki, kruki srokate. W oddali w prądach powietrza szybują kanie i co jakiś czas pojedynczy sęp. Ptaki, które byłyby dla niego nieocenionym skarbem, kiedy miał trzynaście lat. Przy pierwszych szkicach szło mu niesporo,

często rozprostowywał palce, pamiętając, żeby dodawać nowe kreski i nie używać gumki. Stopniowo nabierał z powrotem wprawę.

Nosi się z zamiarem kupna farb. Wczoraj widział ptaka, którego pomarańczowe pióra skrzydeł miały prawie neonowy blask. Nigdy nie uwierzyłby, że taki kolor istnieje w naturze.

Kai odkłada w milczeniu szkic na miejsce i bierze do ręki fotografię w zielonej skórzanej ramce, z rodzaju tych podróżnych, które można zamknąć. Podarunek od Lisy.

– To twoja żona?

– Tak – odpowiada Adrian. – Lisa.

Chwila ciszy.

– Od jak dawna tu pracujesz? – pyta w końcu Adrian, ponieważ nie chce demonstrować, jak bardzo wytrąca go z równowagi okazywany przez Kaia brak taktu, i ponieważ ma zakodowane w genach przekonanie, że rozmowa jest aktem ciągłym i milczenie, podobnie jak nagość, może zostać poczytane za coś niestosownego.

Kai odkłada zdjęcie Lisy na półkę.

– Cztery lata. Coś koło tego.

– A wcześniej?

– Nie było żadnego wcześniej.

Kai wykręca szyję, żeby odczytać tytuły książek na półce. Jest odwrócony plecami do Adriana, który nie daje za wygraną.

– Studiowałeś?

– No.

– Oczywiście. Więc gdzie skończyłeś studia medyczne?

Adrian spodziewa się, że Kai wymieni jakąś zagraniczną uczelnię w Stanach Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, może w którymś z krajów byłego bloku sowieckiego.

– Tutaj.

– O!

– Zgadza się. Jestem miejscowy chłopak.

– Od początku do końca?

Kai kiwa głową.

– Więc nigdy nie byłeś w Wielkiej Brytanii?

– Nigdy – odpowiada z naciskiem Kai, po czym odwraca się i odstawia szklanke na stół.

Adrian nie potrafi wytłumaczyć, dlaczego tak go to zaskoczyło. W zachowaniu Kaia jest coś, co stara się zdefiniować.

– Wyjeżdżałeś stąd kiedyś?

Kai kręci głową.

– Wyjeżdżać? Kiedy mamy tutaj tyle atrakcji? – Śmieje się i opróżnia szklanke.

Adrian rozlewa do końca whisky i stawia pustą butelkę na stole. Upija łyk, a potem następny, powoli dawkując alkohol. Whisky uderzyła mu do głowy. Przypomina sobie, że nie zjadł porządnego posiłku, zamyka oczy. Czerń pod powiekami zaczyna falować. Zastanawia się, czy nie robi mu się zaraz niedobrze. Otwiera oczy, czuje, jak światło przeszywa siatkówkę, nim źrenice zdążą się zwęzić. Musi napić się kawy. Wstaje i idzie do aneksu kuchennego, stuka czajnikiem i filiżankami. Jest później, niż sądził. Na dworze niewidoczny pył zagęszcza powietrze. Jutro przestaną być widoczne wzgórza nad miastem. Przypomina sobie

lot nad Saharą, to, jak patrzył na tumany pyłu nad wydmi, wzbijające się coraz szybciej i wyżej, aż w końcu zasłoniły cały widok z okna.

Kiedy wraca, Kai leży z odchyłoną do tyłu głową i zamkniętymi oczyma. Adrian staje z dwiema filiżankami w rękach. Jest coś szczególnego w obserwowaniu śpiącej osoby. Na początku znajomości z Lisą przyglądał się, jak śpi, robił to z bardzo bliska, czując jej oddech na swojej twarzy. Kiedy się budziła, jeśli się budziła, patrzyli sobie prosto w oczy. Nie wzdrygała się wtedy ani nie mrugała. Podobnie jest z obcymi: nawet z kimś obcym w autobusie możliwy jest cień tej samej poufałości. W swobodzie spojrzenia, w tym, że patrzy się, nie będąc obserwowanym, że zyskało się coś w rodzaju władzy, ukradkowej intymności. Skóra Kaia, lśniąca i nieskazitelna. Nieogolona; włosy rosną na jego twarzy w rzadkich nieregularnych kępkach. Zapuszcza brodę wbrew aktualnej modzie.

Inaczej też niż u wielu przystrzyżonych i gładko wygolonych czarnych mężczyzn jego kędziory są gęste i długie na dobrych kilka centymetrów.

Broda i włosy maskują to, że jest jeszcze młody; o wiele młodszy, zdaje sobie sprawę Adrian, niż mu się z początku wydawało. A zatem on sam jest od niego znacznie starszy. Uświadamia sobie, dlaczego zaskoczyło go to, że Kai nigdy nie wyjechał ze swojego kraju, nigdy nie opuścił Afryki. To ta jego światowość, bardziej zauważalna teraz, gdy przez chwilę jej nie manifestuje.

Na poręczu sofy pojedynczy palec wystukuje niesłyszalny rytm.

– Kawy? – pyta nagle skrępowany Adrian.

– Jasne, czemu nie? – odpowiada Kai, nie otwierając oczu. Adrian stawia filiżankę na stoliku. Napój łagodnie się w niej kołysze. Kai otwiera oczy i sięga po naczynie.

\*

Środek nocy. Adrian się budzi. Zaszło mu w ustach od whisky. Stojąca na szafce nocnej butelka z wodą jest pusta. Idzie do kuchni, zapalając po drodze światła. Zbyt późno przypomina sobie o Kaiu, szybko gasi światło i przez kilka chwil czeka, aż oczy przywykną do mroku. Zastanawia się, czy nie obudził swojego gościa, nasłuchuje jego oddechu i słyszy go. Po omacku, powoli dociera do kuchni.

Otwiera lodówkę, wyjmuje butelkę z wodą i przystawia ją do ust. Rozchyła bawełniane firanki. Ani śladu księżycy. Słyszy dobiegające z sąsiedniego pomieszczenia odgłosy. Pomruki. Mamrotanie. Przestaje pić i nasłuchuje.

Plaskając bosymi stopami po podłodze, przechodzi przez kuchnię i staje w progu. Kai siedzi na skraju kanapy.

– Och, obudziłem cię – rzuca Adrian. – Przepraszam.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, idzie dalej, próbując coś dostrzec w ciemności. Kai siedzi na kanapie z rękoma przyciśniętymi do boków, twarzą wzniesioną ku górze i otwartymi oczyma. Mówi coś, ale Adrian nie może zrozumieć żadnego ze słów, które wypowiedane są w bełkotliwy, monotony sposób. Teraz szybciej. I głośniejsze. W pewnym momencie Kai łapie kurczowo powietrze, jakby ktoś uderzył go w pierś. Chwila ciszy i mamrotanie zaczyna się ponownie, rosnąc w siłę.

Adrian podchodzi i delikatnie popycha go z powrotem na kanapę.

– Coś ci się śni – odzywa się do niego normalnym głosem.

– Śpisz i coś ci się śni. – Zostaje w salonie, aż mamrotanie cichnie, a potem wraca do swojej

sypialni.

Rano budzi go głośny hałas. Brzęczy mu w głowie. Z góry dochodzi skrobanie pazurów ptaków, które usiłują złapać się dachu z falistej blachy. Adrian wstaje, puka na wszelki wypadek do drzwi salonu i je otwiera. Widzi zmięte prześcieradła i poduszkę na kanapie, planszę do gry w chińczyka, porozrzucane pionki i pustą butelkę po whisky. Przygląda się przez chwilę wszystkiemu, po czym skręca do kuchni.

Gotując wodę na kawę, słyszy trzaśnięcie drzwi i bierze z szafki drugą filiżankę. Zdaje sobie nagle sprawę, jak puste było jego życie w ciągu tych minionych tygodni.

\*

W następnych dniach i tygodniach rytmy ich życia zaczynają się splatać. Kai wpada do niego, kiedy ma kilka wolnych minut i czasami, żeby wziąć prysznic. Któregoś dnia pojawia się w momencie, kiedy Adrian wychodzi z mieszkania. Adrian wpuszcza go do środka i daje klucz, żeby za sobą zamknął. Sugeruje, że może go sobie zatrzymać.

W pewne dni, wracając do domu, zastaje tam Kaia siedzącego w salonie, przeglądającego gazety albo robiącego notatki. Powoli dowiaduje się, kiedy Kai ma przerwy między operacjami, i sam też przestaje pracować w tym czasie. Uświadamia sobie, że cieszy się na ich wspólne wieczory.

Tak zawiązuje się nowa przyjaźń.

# ROZDZIAŁ 6

Szpital otoczony jest wysokim murem zbudowanym z szorstkich surowych bloczków, między którymi sterczą jęzory stwardniałego cementu. Jaszczurki tańczą wśród zatopionych w betonie odłamków butelek. Budynek okala kryza drutu kolczastego.

Przy izolatce Eliasa Cole'a uwiązał latawiec. Czarny, z bambusową ramą, czarnymi plastikowymi skrzydłami i ogonem z udartych pasków. Kręci się i obraca niczym schwytyany w sidła ptak. Im bardziej zawzięcie usiłuje się wyrwać, tym mocniej się zaplątuje.

W zapadłej ciszy oczy starego podążają za wzrokiem Adriana. Obaj przyglądają się cierpieniom latawca.

– Czy latawiec z czymś się panu kojarzy? – pyta Adrian.

\*

Przypomina mi mojego brata. Pytał mnie pan o rodzinę. Konstruowaliśmy kiedyś latawce takie jak ten, tyle że skrzydła robiliśmy z papieru.

Raz dostałem prawdziwy latawiec. Ojciec kupił go ze swojej urzędniczej pensji, gdy zdałem do następnej klasy. Pobiegłem wypróbować go na skarpie za domem. Ale była zła pora roku, prawie nie wiało. Sfrustrowany biegałem tam i z powrotem i w końcu rzuciłem go i wybuchłem płaczem. Moje mazgajstwo zdenerwowało ojca. Kazał mi przynieść latawiec i na jego oczach oddać bratu.

Dwa dni później zerwał się nietypowy o tej porze roku wiatr. Nie wiadomo skąd. Patrzyłem, jak brat puszcza latawca. Chciał, żebym pobawił się razem z nim, ale odmówiłem. Wolałbym raczej umrzeć niż przyznać, jak bardzo tego pragnę.

Mój brat miał silne kończyny i nabite ciało, twarde jak gumowa piłka. Kiedy zachorował, trudno to było zauważyć. Zostawiłem go śpiącego w łóżku, które dzieliliśmy. Później wypełniał swoje domowe obowiązki, w ogóle się nie skarżąc, tyle że z powodu choroby nie był tak pełen wigoru jak zwykle. W rodzinie składającej się z mężczyzn nikt by tego nie zauważył. Matka, jak często powtarzała, miała dość roboty na cały dzień. Szyła nam wszystkie ubrania, a poza tym haftowała rzeczy na sprzedaż. Ale miała słabość do mojego brata. Późnym rankiem znalazła go skulonego w kącie izby, skarżącego się, że mu zimno, podczas gdy na zewnątrz prażyło słońce.

Wkrótce potem przenieśliśmy się z tamtego łóżka do salonu, gdzie spałem ze starszym kuzynem. Kochałem mojego brata, lecz mimo to zdarzało się, że wchodziłem do jego pokoju wyłącznie po to, by mu dokuczać. Jeśli prosił o wodę, przynosiłem mu, ale nie dawałem do ręki. W pewnym momencie choroby odebrało mu mowę: mógł tylko jąkać się i wydawać piskliwe dźwięki. Wtedy przedrzeźniałem go, a kiedy miał już dosyć, stawiałem blaszany kubek poza jego zasięgiem i wychodziłem z pokoju. Innym razem ściągnąłem z niego prześcieradło i szczypałem go po całym ciele, wiedząc, że nie ma siły, by ze mną walczyć. Wszystko to nie robiło na nim większego wrażenia. Gdy wchodziłem do pokoju, patrzył na mnie bez lęku i nienawiści, bardziej z czymś w rodzaju oczekiwania. Jakby zastanawiał się, co jeszcze mogę wymyślić. Bywały dni, kiedy czułem, że lituje się nade mną, choć to nie ja leżałem tam



z członkami bezużytecznymi niczym u słomianej kukły.

W końcu wydobrzył, lecz chodząc, wyraźnie utykał. Matka kazała, żebym usługiwał mu w trakcie choroby, i musiałem to robić w dalszym ciągu. Opiekuj się bratem, jesteś najstarszy! Cała odpowiedzialność spadła na mnie, chociaż wcale o to nie prosiłem. Bywały chwile, kiedy drażniła mnie jego zadowolona mina, i przyznaję, że czasami, gdy byliśmy sami, wyładowywałem na nim swoją frustrację.

Niech pan mnie nie pyta, dlaczego to robiłem. Głupia dziecinna zazdrość. Ponieważ był niepełnosprawny, matka poświęcała mu więcej uwagi. Na szczęście brat mi wybaczył. Nie miał mi za złe nawet tego, że zostawiłem go i wyjechałem na studia, ale wtedy już nie był ode mnie zależny.

I jeśli zapyta mnie pan, czy kochałem brata, odpowiem twierdząco. Odpowiem, że tak. Spędziłem z nim w jednym łóżku więcej nocy niż z którąkolwiek z kochanek. Tylko kiedy był chory, spałem gdzie indziej.

Zresztą odchodzę od tematu.

\*

Zmiana pory roku. Z początku niezauważalna. W nocy deszcz bębnił niepewnymi palcami o okienne ramy. Rankiem powietrze było czyste, obmyte z pustynnego pyłu i ciężkiego miedzianego zapachu ziemi. Po raz pierwszy od wielu miesięcy z miasta widać było wyraźnie otaczające je wzgórza. Z upływem kolejnych tygodni deszcz nabrał śmiałości, porzucił sanktuarium nocy i coraz ulewniej padał w ciągu dnia. Czyste o świcie niebo po południu zasnuwało się ciemnymi chmurami.

Któregoś dnia, uwięziony w gabinecie przez ulewę, siedziałem przy swoim biurku, próbując skupić się nad zarysem pracy, którą pisałem do wydziałowego periodyku. Rozważania o zmiennej dynamice politycznej. Szukałem pola, na którym mógłbym zaznaczyć swoją obecność, spojrzeć na niedawne wydarzenia polityczne z odpowiedniej perspektywy. Bębnienie deszczu i stukanie klawiszy maszyny stale mnie rozpraszały i starałem się nie zgubić logiki mojego wyводу. Światło było szare i ziarniste; poszedłem do sąsiedniej sali po małą lampę i wracając, stanąłem na chwilę przy oknie, żeby wyjrzeć na zewnątrz. Ludzie przecinali pospiesznie dziedziniec, biegając od jednych drzwi do drugich, jakby na dachu czyhał snajper. Zobaczyłem Juliusa. Szedł biegnącą na ukos alejką z gołą głową i bez parasola. Towarzyszył mu ktoś, kogo wziąłem za jego studenta; zatopieni byli w rozmowie. Julius gestykułował obiema rękoma. Taki już miał zwyczaj: rysował w powietrzu różne rzeczy, czasami rozwiązywał nawet skomplikowane problemy matematyczne na niewidzialnej tablicy. Przy skrzyżowaniu alejek zatrzymali się, nie zważając na deszcz, woląc prowadzić rozmowę twarzą w twarz. Obserwowałem ich dalej przez okno. Kiwali energicznie głowami, jakby się w jakiejś kwestii zgadzali. Julius rozstał się ze swoim towarzyszem przy drzwiach i wolnym krokiem odszedł. Zobaczyłem, jak niczym pies strząsa krople z głowy i znika w wejściu pod moim oknem. Wróciłem do biurka i rzeczywiście już po kilku chwilach jego lśniąca od deszczu, uśmiechnięta twarz ukazała się w moich drzwiach.

– Pożycz dwadzieścia pięć centów, Cole. Muszę kupić sobie jakiś zimny napój.

Wyjąłem z kieszeni portmonetkę i wyliczyłem mu pieniądze. Julius nabrał zwyczaju zaglądania do mojego gabinetu. Czasami pożyczał ode mnie parę centów. Z początku zapisywałem, ile jest mi łącznie winien, lecz potem zdałem sobie sprawę, że nie ma zamiaru

splacać długów, nie ma nawet zamiaru o nich pamiętać. Wróciwszy kiedyś do gabinetu, znalazłem na biurku trzy nienapoczęte paczki papierosów. Od Juliusa, tak mi się w każdym razie wydawało. Rekompensata za wszystkie te dwudziestopięciocentowe pożyczki.

Pasjonował się historią i często pożyczał książki. Raz czy dwa zwrócił je z podkreślonymi zdaniem i komentarzami zapisanymi ołówkiem na marginesach. Nie na użytek mój albo innych czytelników, ale jako zapis własnych myśli.

Bywały dni, kiedy siadał na drugim krześle albo opierał się tyłkiem o parapet i opowiadał o wszystkim, co go zajmowało. Mówił, co wyczytał w gazetach, dzielił się swoimi przemyśleniami i teoriami, chcąc poznać moje zdanie. W te dni, kiedy dysponował autem, zapraszał mnie na przejażdżkę i wykladał swoje idee, siedząc za kółkiem. Na moich oczach burzył miasto i budował je na nowo. Systemy kanalizacji. Budynki. Mosty. Drogi. Robił to, prowadząc samochód, nucąc głośno i fałszując.

Most na półwysep. Opowiedział mi, że w wieku mniej więcej piętnastu lat obserwował całymi miesiącami jego budowę. To, jak wznoszono jedną po drugiej podtrzymujące most podpory. Potem szkielet konstrukcji, przęsła, sekcja po sekcji, dowożone, podnoszone dźwigiem i przesuwane na miejsce. Ludzie, którzy tam pracowali, znali go z nazwiska. Należeli głównie do plemienia Kru, którego członkowie od stu lat obsługiwali wychodzące w morze i zawijające tutaj statki i przywykli do wody, dużych wysokości i pracy na linach. Pojmowali w naturalny sposób zasady konstrukcji, choć żaden nie umiał czytać ani pisać. Kiedyś, pod koniec dnia pracy, opowiadał mi, podpełzł na brzuchu na skraj nowej sekcji i spojrzał w dół, upojony otwierającą się niżej otchłanią i obawą, że zdmuchnie go wiatr. Na dzień przed oficjalnym otwarciem mostu robotnicy spuścili go w dół na zawieszonym niebezpiecznie nad krawędzią trapezie, a on zapisał w mokrym betonie wszystkie ich nazwiska i dodał na końcu własne inicjały. J.K.

Słuchałem tego wszystkiego, bo taka była moja rola. Poza tym Julius był gadułą, a ja nie mam takich skłonności. Jestem z natury skryty. Julius taki nie był. Odznaczał się wielką żarliwością. Miał też w sobie szczyptę naiwności i zadziwienia światem, na który patrzył z entuzjazmem, nie dostrzegając jego realiów.

– A więc Snoopy spotyka Charliego Browna.

– Co takiego?

Mówił, jak się okazało, o lądowaniu na Księżycu, które w dalszym ciągu bardzo go zajmowało. Od zaplanowanej operacji dzieliło nas zaledwie kilka tygodni. Lądownik księżycowy nazywał się Snoopy, moduł dowodzenia – Charlie Brown. Wcześniej dwaj astronauty wyszli ze swojej rakiety, odbyli spacer w kosmosie niedaleko Księżyca i wrócili bezpiecznie do macierzystego statku. Julius wyjął z kieszeni artykuł wycięty z jakiegoś czasopisma. Na pierwszym planie czarno-białej fotografii widać było połąć mlecznobiałego terenu, a dalej łuk horyzontu, nad którym unosiła się planeta.

– Co to jest? – zapytał.

Wzruszyłem ramionami.

– Kosmos?

– Tak, ale co dokładnie? Przyjrzyj się uważnie.

Zerknąłem na fotografię. Ta odległa planeta miała w sobie coś znajomego. Musi pan pamiętać, że choć dziś na tego rodzaju zdjęcia trafia się na każdym kroku, w tamtym okresie

żaden z nas nie widział czegoś podobnego.

Juliusa znudziło czekanie na moją odpowiedź.

– To Ziemia, Eliasie! Wschód Ziemi. Tak jak wschód Słońca.

I w tym momencie, kiedy patrzyłem na Ziemię unoszącą się nad bladym księżycowym horyzontem, zaraził mnie swoim entuzjazmem.

„Nie ma takiego miejsca, do którego byśmy w końcu nie dotarli, i nie ma takiej rzeczy, której byśmy w końcu nie zrobili”, powiedział jeden z astronautów. Julius uczynił z tego swoją żartobliwą mantrę i powtarzał często w ciągu następnych paru tygodni.

– Nie ma takiej rzeczy, której byśmy w końcu nie zrobili – mówił, kiedy nie można było znaleźć otwieracza, i zgrabnie zdejmował kapsel z butelki piwa, opierając go o krawędź stołu.

Tak, Julius szybko się zaprzyjaźniał, i to w sposób, który był mi obcy i do którego nie przywykłem. Ta jego cecha mogła wzbudzić moją nieufność, nie miałem jednak pojęcia, czego mógłby ode mnie chcieć. Ujmując to bardziej precyzyjnie, nie widziałem żadnego ukrytego powodu, dla którego się ze mną zaprzyjaźnił, ponieważ nigdy nie wahał się otwarcie prosić o to, czego potrzebował. I na tej podstawie można chyba powiedzieć, że zostaliśmy przyjaciółmi.

Ale w oczach Saffii byliśmy nimi naprawdę.

\*

Saffia.

W ciągu tamtych tygodni i miesięcy o niczym innym nie marzyłem tak mocno jak o tym, by być z nią sam na sam. Myślałem o tym bez przerwy, zastanawiałem się, jak to zorganizować. Któregoś wieczoru Julius poprosił, żebym udostępnił mu swój gabinet. Zwykł o to prosić, kiedy potrzebował cichego miejsca do pracy albo chciał spotkać się ze swoimi kolegami z wydziału. Nie omieszkał zgryźliwie zauważyć, że biorąc pod uwagę moją niezbyt wysoką pozycję, mam nie lada szczęście, dysponując własnym gabinetem. Na jego wydziale trwała właśnie przebudowa i pracownicy nie mieli się gdzie podziać. Tamtego dnia chętnie się na to zgodziłem. Ucieszyłem się, że mam pretekst, by wyjść. Praca nad artykułem utknęła w martwym punkcie, musiałem jeszcze sporo przemyśleć, a równie dobrze mogłem to zrobić w domu. Nałożyłem obsadkę na pióro, zabrałem swoje papiery i zostawiłem gabinet do jego dyspozycji.

Nie poszedłem jednak do domu.

Deszcz przestał padać. W gasnącym świetle dnia ludzie przechodzili obok mnie, gdy paląc papierosa, stałem po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko różowego domu. W końcu wrzuciłem niedopałek do kałuży, poszukałem w kieszeni paczki, wyjąłem następnego papierosa i zapaliłem. Omijając kałuże i innych przechodniów, przeciąłem jezdnię i stanąłem przed frontowymi drzwiami. Wiedziałem, że mogę jeszcze zawrócić. Nagle po drugiej stronie drzwi usłyszałem całkiem wyraźnie jej głos. Zastanawiałem się, z kim rozmawia. Nie z Juliusiem, który był w tym momencie w moim gabinecie. Zdawało mi się, że słyszę w jej głosie coś, co można opisać jako hamowane zniecierpliwienie, ton, którego nauczyciel używa wobec niezbyt rozgarniętego ucznia lub w tym przypadku biednej służącej. Podniosłem dłoń i zapukałem. Kroki zmieniły kierunek i chwilę później Saffia stanęła przede mną.

– Elias! – Mój widok ją zaskoczył. Uśmiech, który mi posłała, poprzedzony był, choć starała się, bym tego nie zauważył, przelotnym zmarszczeniem brwi. – Przepraszam – powiedziała.

– Robimy właśnie małe przemeblowanie. Wejdz, proszę – dodała, cofając się w głąb holu.

Stół w jadalni był zavalony papierami i okazami botanicznymi. Niektóre z nich były starannie przyklejone do papieru i opisane, inne dopiero przechodziły proces suszenia między kawałkami gazet. Na podłodze piętrzyły się stosy książek, czasopism i wzorów krawieckich. Prowadząc mnie na werandę, Saffia oświadczyła, że robi sobie miejsce do pracy w nadziei, że skończy wreszcie pisać doktorat. Odkładała to od czasu ich powrotu z Wielkiej Brytanii.

Siadając na skraju krzesła, wcisnęła dłonie między kolana i pochyliła się do przodu z wyczekującym wyrazem twarzy.

– Juliusa nie ma w domu? – zapytałem.

– Nie, przykro mi. Nie ma go. Rzadko bywa w domu o tej porze. Chciałeś z nim porozmawiać?

Nie odpowiedziałem na jej pytanie, dzięki czemu nie musiałem kłamać. Saffia wzięła moje milczenie za odpowiedź twierdzącą.

– Zaproponowałabym, żebyś do niego zadzwonił, ale na wydziale jest teraz taki zamęt, że Julius nie ma własnego gabinetu.

– To nie jest takie ważne. Po prostu tędy przechodziłem.

– Jeśli chcesz, możesz poczekać.

– Odrywam cię od twoich zajęć.

– Och, chętnie się oderwę. Czego się napijesz? Piwa? – zaproponowała i znikła w głębi domu.

Wróciwszy do mnie, zapytała o Vanesę. Odparłem, że wszystko u niej w porządku, mając nadzieję, że nie mijam się z prawdą. Przez chwilę rozmawialiśmy o mało istotnych sprawach. W którymś momencie – nie pamiętam, jak do tego doszliśmy – Saffia pochwalila się kupionym niedawno aparatem fotograficznym i zapytała, czy może mi zrobić zdjęcie.

– Oczywiście – odpowiedziałem.

Kiedy wyszła, podniosłem się i stanąłem w gotowości, zastanawiając się, jak ustawić się do fotografii. Prawdę mówiąc, jako model jestem beznadziejny. W pozowaniu do zdjęć nie ma niczego, co bym lubił.

– Tutaj – powiedziała po powrocie, dotykając balustrady. – Na tle ogrodu.

Posłuchałem Saffii i stanąłem twarzą do niej.

– Może tak? – zapytałem, wkładając na głowę kapelusz, przesuwając go do tyłu i zarzucając sobie na ramię marynarkę. Próbowałem być w tej pozie filuterny. Żałosne. Saffia się nie uśmiechnęła. Zamiast tego stała, patrząc na mnie i trzymając w rękach aparat. Czekałem, jednocześnie podenerwowany i podniecony. Było coś śmiałego w jej bezpośrednim spojrzeniu, w tym, że nie wykorzystywała aparatu w charakterze rekwizytu albo bufora. W końcu pokręciła głową. Światło jest za mną, powiedziała. Kazała mi podejść do fotela.

Parę kliknięć migawki. Przerwała, majstrowała chwilę przy obiektywie, po czym przysunęła się trochę bliżej i znowu nacisnęła migawkę. Jeszcze bliżej. Ze środka werandy aż do poręczy fotela. Od poręczy fotela do skraju stolika. Żadne z nas się nie odzywało. Zaczęły mi się pocić dłonie. Czułem, że robi mi się mokro pod pachami. Bliskość Saffii, a także wysiłek, jaki wkładałem, by nie zmienić pozy i oddychać przez nos, przyprawiały mnie o zawrót głowy. Zacerpnałem kilka razy powietrza i starałem się uspokoić oddech. Spoglądając przez wizjer, Saffia kręciła niemal wszystkimi gałkami i przestawiała po kolei dźwignie na korpusie aparatu. Jeżeli spostrzegła, jaki jestem skrępowany, nie dała tego po sobie poznać. Kiedy na mnie

zerkała, a działało się to dość często, miałem wrażenie, że robi to przez narzucony na twarz welon. Patrząc i nie widząc. Odkryłem, że aparat może również pozbawiać zahamowań. Była tak blisko mnie, że mógłbym przysiąc, iż czuję jej zapach, połączenie perfum z ciepłą zwierzęcą wonią.

Gdzieś w środku domu otworzyły się drzwi. Cień przesunął się po ścianie, drzwi się zamknęły. Odwróciłem głowę. Migawka kliknęła po raz ostatni. Saffia opuściła aparat i jej wzrok pobiegł za moim.

– To moja ciotka. Masz szczęście, Eliasie. – Roześmiała się.

– Urodziłeś się w mieście, dzięki temu nie masz na głowie krewnych, którzy by stale u ciebie mieszkali. – Powiedziawszy to, wyprostowała się i odsunęła. Aparat utracił swoją moc.

No oczywiście, ciotka. Żałowałem, że to nie była zwykła służąca. Obecność w domu kogoś starszego, przyzwoitki, legalizowała moją wizytę, stanowiła powód, dla którego Saffia była taka rozluźniona. Przypuszczałem, że przywiązywała dużą wagę do tego, by nie można było jej nic zarzucić.

Pod nami rozległ się śpiew muezina, a potem kolejny, początek wieczornych modlitw w całym mieście. Przez chwilę słuchaliśmy go oboje, nic nie mówiąc. Saffia wstała, by zapalić światło nad naszymi głowami, i zaproponowała mi kolejne piwo. Kiedy zamierzałem odpowiedzieć, na werandzie pojawiła się starsza kobieta z matą pod pachą – jak się domyśliłem, ciotka. Spojrzała na mnie z ukosa i rzuciła kilka słów do Saffii w ich języku. Saffia odpowiedziała. Starsza kobieta podreptała dalej, mrużąc coś pod nosem i naciągając szal na głowę. Rozpostarła matę na skraju werandy i zaczęła wykonywać ruchy związane z modlitwą.

Zaczął padać. Krople deszczu z początku szemrały cicho, później ich dźwięk stał się podobny do tupotu stóp. Łagodnie zajączał wiatr. Saffia obserwowała przez chwilę niebo i zasugerowała, żebyśmy przenieśli się do środka domu.

– Muszę już iść – powiedziałem nagle, po czym wstałem i wziąłem kapelusz z fotela, na którym wcześniej go położyłem.

– Poczekajmy, aż przestanie padać – odparła, lecz ja wiedziałem, że Julius nie boi się deszczu. Nie chciałem, żeby mnie zastał.

– Naprawdę muszę już iść. Miałem się z kimś spotkać. Zupełnie zapomniałem – oznajmiłem, wkładając kapelusz.

Saffia zaproponowała mi parasol. Natychmiast dostrzegłem w tej ofercie pretekst, by ją ponownie odwiedzić. Byłem gotów się zgodzić, ale potem pokręciłem głową. Na pewno spodziewała się, że zwrócę parasol Juliusowi. Bez wątpienia tak to sobie wyobrażała.

Przy drzwiach podała mi rękę. Jej dotyk prawie mnie zabolął. Niektóre kobiety podają mężczyźnie zaledwie koniuszki palców. Ale nie Saffia. Zacisnęła dłoń wokół mojej. Jej ciepło przeniknęło przez skórę, przedostało się do krwi, nappełniło mnie bliskiemi rozpalonej do białości nadziei.

Z domu wołała ją ciotka. Saffia oswobodziła dłoń z mojego uścisku.

– Przyjdź do nas jeszcze kiedyś z wizytą, Eliasie. – Do nas.

Odwróciłem się i wybiegłem na deszcz. Na ulicy wsadziłem rękę głęboko do kieszeni, zaciskając palce tam, gdzie ich dotknęła, jakbym trzymał jakiś przedmiot, który bałem się utracić. Szedłem i rozmyślałem, jak by to było, gdybym mógł czuć ten dotyk codziennie, kiedy tylko miałbym ochotę. Na dłoni, na karku, na policzku. Pocałunek. Uścisk. Maszerowałem

dalej, czując, jak deszcz spływa z ronda kapelusza i leje mi się po karku. Zrobiło się zupełnie ciemno i czekała mnie długa droga do domu.

Jestem osobą, która na ogół dobrze czuje się we własnym towarzystwie, ale nie miałem ochoty spędzać tamtego wieczoru w domu, w samotności. Zorientowałem się, że mijam lokal, który wcześniej już kilka razy odwiedziłem. Wszedłem do środka i usiadłem przy barze. Trzęsły mi się ręce i z jakiegoś powodu wzbierała we mnie wściekłość. Pierwszą zamówioną whisky wypilem duszkiem. Poprosiłem o kolejną i wypilem ją nierozcieńczoną i ciepłą. Ogień dotarł do mojego brzucha, alkohol rozgrzał mi krew, poczułem, jak napięcie ustępuje. Zobaczyłem swoje odbicie w upstrzonym muchami lustrze za barem. Oczy miałem zasłonięte rondem kapelusza. Za sobą, we wnętrzu sali zauważyłem samotną, obserwującą mnie kobietę. Zdjąłem kapelusz i nasze oczy spotkały się w lustrze.

Była, jak to się mówi, kobietą pracującą, choć te rzeczy oczywiście nigdy nie są takie proste. Wszystkie oczekują, że im się zapłaci, lecz udają obrażone, jeśli zaproponuje się to z góry. To zawsze wymaga wyczucia. Mimo to po pierwszej wymianie spojrzeń uznałem, że się dobrze rozumiemy.

Skinąłem na nią i zaproponowałem drinka. Zgodziła się, wzruszając ramionami. Zamówiłem sobie kolejną whisky i położyłem rękę na kolanie kobiety.

Młoda. Może dziewiętnaście lat. Młodością nadrabiała brak urody. Wypiła swoje piwo, głośno siorbiąc, niczym dziecko z nosem w szklance. Dałem znak barmanowi, żeby podał następne, i zachęciłem ją do mówienia, chcąc zaoszczędzić sobie tej fady. Mieszkała w Murraytown, dowiedziałem się, w starej rybackiej wiosce, która stanowiła teraz część miasta. Powiedziałem, że ma daleko do domu. Odparła, że dobrze zna właściciela. Z subtelną mulicą skierowała rozmowę na czynsz i czesne za studia – dlaczego wszystkie one twierdzą, że coś studiują? Potem pokazała złamany obcas buta. Bardzo szybko się upiła. Pomogłem jej wstać, oświadczyłem, że jadę w tę samą stronę co ona, i zaproponowałem, że odwiozę ją do domu.

Weszliśmy po schodach do mojego mieszkania. Usiadła na kanapie, a ja nalałem nam obojgu po drinku, usiadłem obok i objąłem ją ramieniem.

– Nie masz żadnej muzyki? – zapytała.

– Po prostu porozmawiajmy – odparłem. – Jesteś piękna.

Ująłem ją za podbródek, odwróciłem do siebie i pocałowałem.

Przenieśliśmy się na łóżko.

Pożądałem jej. Chciałem przespać się z kobietą. A także rozpaczliwie i szybko pozbyć się nienazwanych emocji, które mną zawładnęły. Pochyliłem się nad tą dziewczyną, lecz w światłach przejeżdżającego samochodu, zamiast jej twarzy zobaczyłem twarz Saffii. A kiedy jej dotykałem, pod palcami czułem skórę Saffii. Szybko w nią wszedłem.

Dziewczyna, która do tej pory była raczej nieruchawa, w widoczny sposób zbudziła się do życia. Zaczęła się więc i jęczeć. Niewątpliwie uważała, że tego się po niej oczekuje. Prawdę mówiąc, wywołało to skutek dokładnie przeciwny do zamierzonego. Musiałem zwiększyć swoją aktywność, by zrekompensować szybko gasnące podniecenie. Wzięła to za dobrą monetę i dodała do swojego repertuaru czule słówka i okrzyki zachęty. Najchętniej zamknąłbym jej usta dłonią, ale wtedy na pewno zaczęłaby wrzeszczeć. W związku z tym starałem się nie słuchać tych dźwięków. W końcu po paru minutach doznałem orgazmu.

**W następnych dniach skupiłem się na pisaniu artykułu. Pracowałem na ogół do późna w nocy, stukając w klawisze tak mocno, aż rozbolały mnie palce. Julius tak jak wcześniej przychodził i wychodził, pożyczając dwadzieścia pięć centów na zimne napoje, informując mnie o postępach misji Apollo 10 i korzystając z moich książek. Pod koniec tygodnia, po wielu poprawkach, mój artykuł był gotowy. Przepisałem tekst na czysto i oddałem.**

**Dwa tygodnie później znalazłem go w mojej przegródce wraz z dołączoną notą od dziekana. Moja praca nie została przyjęta do publikacji.**

# ROZDZIAŁ 7

Poranek. Adrian siedzi na parapecie okna i lustruje wzrokiem teren między tylną ścianą swojego bungalowu i ogrodzeniem szpitala. Na przywiązanej do winorośli chirurgicznej nici wisi fiolka ze słodzoną wodą przerobiona na prowizoryczny karmnik dla ptaków. Adrian dopija kawę, wyrzuca fusy do zlewu i idzie wziąć prysznic i się ogolić. Kiedy wraca, nad karmnikiem unosi się malutki koliber, nie większy do pączka róży. Jego zawieszony wysoko nad grzbietem skrzydełka uderzają tak szybko, że cały ptak zredukowany jest do smugi koloru i długiego zakrzywionego dzioba. Adrian prędko łapie szkicownik i akwarele i próbuje odtworzyć plamę fioletowo-czarnych piór. Wie, że powinien już iść do pracy. Zamiast tego maluje i obserwuje ptaka, zupełnie nieważkiego, wyglądającego, jakby wisiał w powietrzu na niewidzialnej nitce. Robiąc to, zastanawia się, jak wątłe i niematerialne są powody, dla których tu się znalazł.

Jako chłopiec wyobrażał sobie dorosłe życie jako ciąg bezustannych przygód. We wczesnych wersjach tych wizji był zaangażowany w ratowanie zwierząt: tonącego psa, konia ze złamaną nogą. W miarę jak wyobrażenia przenosiła go coraz dalej od domu, ratował zwierzęta przed pożarami lasów, a nawet od wymarcia. Później miejsce zwierząt zajęły dziewczyna i kobieta: jego kuzynka Madeleine i ciemnowłosa nauczycielka rysunku. Nocami śnił o tej drugiej, o dokonywanych przez siebie heroicznym czynach, dalekich podróżach i zdobywanych szczytach, wszystko to z pewnego rodzaju mglistą, nieuchwytną pewnością. Jak dokładnie miało dojść do tych przygód, nie było jasne; po prostu czekały go w jakiejś odległej przyszłości koloru bursztynu.

Zastanawiając się nad tym później, uświadomił sobie, że jego chłopięce marzenia były bardziej w odcieniu sepii niż bursztynu. Wiązały się chyba z osobami dziadka i babci, z ich egzotycznymi perypetiami, wspomnieniem zapalniczki z kości słoniowej, przesyconych zapachem kamfory papierosnic, froterowanych drewnianych podłóg i dywanów, na długo przedtem, nim takie rzeczy stały się modne. A także z osobą matki, która o mały włos nie urodziła się za granicą. Kiedy o tym myślał, robiło to na nim wrażenie: jak mało brakowało, by stała się cudzoziemką. Jego ciężarna babka schodząca po trapie na ojczysty ląd w przededniu wojny. Chłopięce przygody Adriana nie rozgrywały się w przyszłości, lecz w jakimś fikcyjnym krajobrazie z przeszłości, który równie dobrze mógł zostać zainspirowany przez Tintina, powieści Ridera Haggarda bądź jakąkolwiek inną książkę konsumowaną przez chłopców w jego wieku. Przeżywał je i wychodził z nich cało. To rozwiązywało jakoś wszelkie sprawy, które go wówczas niepokoiły, i życie wracało do normy.

Gdzieś koło piętnastego roku życia jego fantazje straciły na wyrazistości; ich miejsce zajęły cichaczem niepokój. W miarę jak rozwijała się choroba ojca, życie w domu zwolniło tempo i stało się bardziej stonowane. Nadzieje matki Adriana gromadziły się niczym chmury nad głową syna. Po egzaminach zaczęły się studia. Adrian wybrał uczelnię blisko domu, żeby być pod ręką, gdyby trzeba było pomóc matce. Kiedy on zaczynał drugi rok, ci z jego przyjaciół, którzy zrobili sobie roczną przerwę w nauce, wrócili ogorzali i pewni siebie, by zaraz potem ruszyć do uniwersyteckich miast daleko od domu.



Gdy wyjeżdżał do Bristolu, żeby nabrać doświadczenia klinicznego, tylko on wiedział o stanowisku, które zaoferowano mu w szpitalu w pobliskim mieście i którego nie przyjął. Na stacji kolejowej odwrócił się i patrzył, jak matka znika w tłumie, wracając do czterech ścian, w których żyła z ojcem. Jego matka, która o mało nie urodziła się za granicą.

Koliber unosi się w powietrzu już całkiem długo, tak przynajmniej wydaje się Adrianowi. Pędzlem nakłada farbę prosto na papier, szkicując ptaka na kolejnych arkuszach. Ktoś – nie pamięta kto – powiedział mu kiedyś, że gdyby człowiek chciał latać, potrzebowałby półtorametrowych mięśni klatki piersiowej, by unieść swój ciężar. Zastanawia się teraz, czy to może być prawda, czy też jest to jeden z tych mitów, których tyle ważnych i nieważnych przenosimy bez pytania z dzieciństwa w dorosłość. Wie, że te akurat ptaki zużywają podczas lotu taką ilość energii, że muszą codziennie wypijać dwa razy tyle nektaru, ile ważą. Tak wiele wysiłku zainwestowanego w sam fakt istnienia. Ścieżki natury są czasami niedocieczone, można dostrzec tylko rezultat: piękno, które podmywa brzegi logiki.

Dziewiąta rano. Adrian zanurza pędzel w wodzie, muska włosiem paletę, wodzi nim po papierze. Na końcu korytarza czeka jego gabinet. Adrian maluje dalej. Pióra ptaka, teraz w pełnym słońcu, wydają się czarne, choć w rzeczywistości to połyskujący metalicznie najgłębszy odcień purpury. Wie, że brakuje mu biegłości, by go oddać.

Kiedyś jego życiem rządziły rozkłady jazdy pociągów, pięćdziesięciminutowe konsultacje kończące się bez względu na to, czy był to dobry, czy zły moment dla jego klienta (teraz nie było już pacjentów, tylko klienci). Godzinna przerwa na lunch skracana na ogół przez sprawy personelu. Dwa pociągi do domu. Odpowiednio dwadzieścia i siedem minut. Być może jakieś wieczorne przyjęcie, na którym dawkowano wydrukowaną elegancko w czerni i bieli i wysłaną z sześciotygodniowym wyprzedzeniem gościnność. Tutaj nie zastał żadnej z tych rzeczy. W miesiącach poprzedzających przyjazd, w takich samych jak w młodości wizjach wyobrażał sobie kolejki pacjentów (pacjentów, nie klientów), niekończącą się harówkę, która sprawi, że każdego dnia będzie szczęśliwy i wykończony. Tak mu się wydawało. Teraz jednak pacjenci w zasadzie przestali przychodzić. Podejrzewa, że jego koledzy już ich do niego nie kierują. To są myśli, które kłębią mu się w głowie niczym smużki farby w wodzie. Przybył tutaj, żeby pomóc, i nie pomaga. Nie pomaga.

Zerka na zegar na ścianie nad półką. Na końcu nierównego rzędu książek w miękkich broszurowych oprawkach stoi kilka grubszych tomów: Przetrzeć traumę, poradnik zespołu stresu pourazowego; Zdrowie psychiczne uchodźców wydane przez Światową Organizację Zdrowia; Zaburzenia psychiczne i zaburzenia zachowania według klasyfikacji ICD-10; Podręcznik diagnostyczny i statystyczny zaburzeń psychicznych.

Zaczyna mieszać szkarłatną farbę z wodą, dodaje trochę błękitu pruskiego.

W trakcie pracy klinicznej interesował się zaburzeniami stresu pourazowego. Jako dwunastoletni chłopiec, mniej więcej w tym samym czasie, kiedy zaczęły się jego przygodowe fantazje, przez jakiś czas zaczytywał się w książkach o pierwszej wojnie światowej. Historie, które czytał raz po raz z rodzajem niezdrowej fascynacji, opowiadały o ciężko doświadczonych żołnierzach, których zmuszano do powrotu na pierwszą linię frontu albo rozstrzeliwano za tchórzostwo. Pewnego razu powtórzył kilka z nich matce. Zapamiętał wyraźnie, jak stała, robiąc karmelowy pudding przy blacie w kuchni. Ona z kolei zrelacjonowała mu swoje wspomnienia z drugiej wojny światowej.

Pewnego razu, powiedziała mu, kiedy jej matki nie było w domu i opiekowała się nią sąsiadka, odezwały się syreny alarmu przeciwlotniczego. Sąsiadka, czterdziestoletnia kobieta, już wtedy pożółkła ze starości i od papierosów marki Capstan, zaprowadziła ją do schronu. Matka zapamiętała, że siedziała obok niej skulona na zimnej podłodze, i nagle zamiast chłodu poczuła ciepłą falę. Myślała, że się zmoczyła, lecz chwilę później zdała sobie sprawę, że to sąsiadka. Kałuża moczu powoli stygła. Siedząc w ciepłej kuchni, Adrian wyobrażał sobie gryzący odór uryny, ceglanego pyłu i stęchłego powietrza. Przeczytał gdzieś później, że mężczyznom walczącym na frontach drugiej wojny światowej towarzyszyły ekipy psychiatrów. Nikt nie pomyślał jednak o cywilach w domu. Im nikt nie zapewnił takiej pomocy.

Pod koniec trzeciego roku studiów klinicznych Adriana wyciek gazu na platformie wiertniczej dwieście kilometrów od wybrzeża Aberdeen spowodował którejs nocy eksplozję. Jej siła przełamała konstrukcję na pół i olbrzymi płomień wystrzelił w północne niebo. Uwięzieni na platformie ludzie uciekali przed ogniem, ześlizgując się po słupach nośnych albo skacząc trzydzieści metrów w dół do lodowatego morza pokrytego warstwą płonącej ropy. Zginęło stu sześćdziesięciu mężczyzn. Nieliczni ocaleni z trudem wracali do normalnego życia. Kilku wpadło w alkoholizm, jeden nie chciał stykać się z wodą, przestał się myć i zamknął na cztery spusty w domu, innemu wydawało się, że jego żona i dzieci mają twarze zmarłych kolegów, jeszcze inny zanieczyszczał się na widok morza.

Adrian napisał i opublikował artykuł postulujący, by zajmujący się zdrowiem psychicznym profesjonaliści reagowali bardziej aktywnie na tego typu katastrofy. W tamtym czasie wielu jego kolegów nadal uważało, że pacjenci w traumie cierpią w wyniku szoku nerwowego. Artykuł przyniósł Adrianowi pewien rozgłos, kiedy zaczęli się na niego powoływać adwokaci przygotowujący sprawę o odszkodowanie przeciwko właścicielom platformy. To, co jeszcze osiem lat wcześniej nie było w ogóle klasyfikowane jako choroba psychiczna, nagle przyciągnęło uwagę jego kolegów po fachu.

Adrian wiedział, że powinien być zadowolony. Zamiast tego czuł chłód i niepokój, jakby nieopatrnie wyjawiał miejsce, w którym ukryto coś drogiego.

Mijały lata. Adrian otworzył przynoszącą spore dochody prywatną praktykę i uzyskał stanowisko starszego psychologa klinicznego w jednym z londyńskich szpitali. Zdaniem matki osiągnął więcej, niż można się było spodziewać. On jednak miał wrażenie, że jego kariera może się w każdej chwili załamać.

Tymczasem pojawiły się nowe pomysły. Trening oswojania stresu. Technika przewijania. Pewien specjalista od programowania neurolingwistycznego zyskał rozgłos, wymyślając coś, co nazwał techniką emocjonalnego wyzwolenia. Pewna psycholog w Ameryce opracowała metodę desensytyzacji za pomocą ruchów gałek ocznych. Część specjalistów uznała to za humbug, ale Adrian zastanawiał się, czy nie stało się tak przypadkiem dlatego, że pomysłodawczyni była po pierwsze kobietą, a po drugie mieszkała w Kalifornii. Przeczytał całą dostępną na ten temat literaturę łącznie z dyskredytującymi ją głosami. Opublikowane rezultaty były spektakularne i nikt, nawet sama psycholog, która nazywała się Francine Shapiro, nie potrafił ich do końca wytłumaczyć. W tajemnicy przed swoimi kolegami Adrian ukończył kurs szkoleniowy i raz czy dwa zastosował tę terapię u swoich prywatnych klientów.

A jednak, mimo że starał się pilnie śledzić najnowsze osiągnięcia w wybranej przez siebie dziedzinie, w której notabene robiło się coraz bardziej tłoczno, miał niejasne wrażenie, że

przestał się rozwijać.

Dlatego widząc na tylnej okładce specjalistycznego pisma ogłoszenie o pracy dla psychologa za granicą, już tego samego dnia po południu wysłał podanie na adres międzynarodowej agencji zdrowia. Nie wspomniał o tym Lisie. Sponsorowany przez rząd kontrakt miał potrwać sześć tygodni. Ostatecznie jego podanie zostało odrzucone i o tym też nie uznał za stosowne jej powiedzieć. Nagle, któregoś piątkowego wieczoru, gdy podniósł słuchawkę, usłyszał niewyraźny głos z Rzymu. Osoba, której udało się zakwalifikować, zachorowała. Czy Adrian mógłby ją w tak krótkim terminie zastąpić?

Dlaczego akurat tam? – zapytała Lisa, kiedy ją w końcu poinformował. Nie robiła wrażenia zadowolonej ani niezadowolonej, jeśli już, to zaintrygowanej. Tocząca się mniej więcej rok wcześniej wojna domowa sprawiła, że ów kraj znalazł się na czołówkach gazet. W trakcie rozmowy Lisa kilka razy pomyliła go ze Sri Lanką, gdzie również – choć na zupełnie innym kontynencie – trwała wojna domowa.

Tworzący zespół specjaliści zżyli się ze sobą. Pod powierzchnią normalności – ludzie chodzili codziennie do pracy i robili zakupy na targu – kipiała przemoc, wybuchając co jakiś czas w wiejskich rejonach. Od ósmej do ósmej obowiązywała godzina policyjna. Nikt nie wyjeżdżał ze stolicy. Adrian polubił atmosferę koleżeństwa i świadomość odległego zagrożenia. Po powrocie do Anglii złożył podanie o przedłużenie kontraktu, które zostało zaakceptowane. Komunikując o tym Lisie, dodał, iż jego zdaniem życzo sobie, by wrócił.

Nie wyglądała na zadowoloną, lecz przecież już od kilku lat nie można było powiedzieć, że jest zadowolona.

Kiedy leciał tam po raz drugi, w samolocie panował tłok. Europejczycy rozmawiali przy toaletach, w przejściach między fotelami. Afrykanie przeważnie siedzieli w fotelach. Adrian nikogo nie znał, ale kilka osób zadało mu pytanie, w jakim celu leci. A właściwie, bardziej precyzyjnie, która agencja go zatrudnia. Informacje, jakie otrzymał, ograniczały się do nazwy szpitala i faktu, że potrzebują tam pracującego na miejscu psychologa. Dyrektorka szpitala, kobieta koło czterdziestki, z włosami ściągniętymi w węzeł i sterczącymi z niego na wszystkie strony, objęła swoje stanowisko całkiem niedawno i nie była chyba przygotowana na jego przyjazd. Jej dziarski sposób bycia wyrażał nie tyle żal z powodu własnej niegotowości, ile przekonanie, że Adrian pojawił się nie w porę.

Dlaczego? – zapytała go Lisa. Dlaczego akurat tam? Wzruszył ramionami i powiedział jej, że nie było wyboru. I częściowo odpowiadało to prawdzie. W rzeczywistości zawsze znał nazwę tego kraju, nigdy nie mylił go z wyspiarskim państwem leżącym tysiące kilometrów dalej. Kiedy przez kilka tygodni trąbili na jego temat w mediach, wiedział o nim trochę więcej niż większość ludzi, a w każdym razie znał jego dokładne położenie. Sierra Leone, miejsce, w którym o mało nie urodziła się jego matka.

Dziewiąta trzydzieści pięć. Naprawdę musi już iść. Ptak przestał spijać przygotowany przez Adriana nektar i usiadł na zwoju drutu kolczastego. Adrian zanosz do zlewu talerz, którego używał jako palety, odkręca kran i obserwuje, jak kolory łączą się ze sobą. Potem kładzie go na ociekaczu i obchodzi mieszkanie, gasząc światła.

Przed wyjściem z domu bierze z półki kilka fachowych książek i wciska je pod pachę. Wychodzi na skwar i słońce, zamyka za sobą starannie drzwi, obraca klucz w odwróconym o sto osiemdziesiąt stopni zamku i wsuwa go do kieszeni.

# ROZDZIAŁ 8

Adrian i Elias Cole spotykają się co tydzień o tej samej godzinie. Wokół nich w szpitalu panuje ciągły ruch, w dzień i w nocy. Adrian odkrywa, że sporządzając notatki, musi zastanawiać się, jaka jest aktualna data, musi liczyć, ile dni minęło od jego przyjazdu. Zapomina nawet, jaki jest miesiąc. W Anglii poranki zaczynały się niepewnie, sięgając srebrnymi palcami na wszystkie strony. Tutaj niebo wymyka się rozumieniu. Gdy czerwono słońce wschodzi, w marynarzu bojaźń rodzi. Lecz gdy czerwień o zachodzie, wie marynarz o pogodzie. Ale o czym może świadczyć fioletowy zachód słońca? Albo białe wieczorne słońce? Jedyne, czego jest pewien, to tego, że robi się coraz cieplej. Zamiast przyzwyczać się do upałów, jest nimi coraz bardziej zmęczony.

Nadal hołduje zwyczajowi przynoszenia czegoś na każdą sesję. Raz była to powieść W cudacznym korowodzie Huxleya. Kupiona na przydrożnym straganie gazeta, dwa cienkie arkusiki gęstego, brudzącego palce druku. Radio. Zapomniał, jaki stosunek ma facet do muzyki. Po pewnym czasie je zabiera.

W tych dniach musi odwiedzać ministerstwo, żeby załatwić sprawy formalne. Ministerstwo Pracy mieści się na szóstym piętrze budynku, w którym nie ma prądu, a w konsekwencji i działającej windy. Na razie kilka dni zajęło mu uzyskanie odpowiednich formularzy i ustalenie, kim jest osoba, która je rozpatrzy. Wzmiankowany mężczyzna ma wielką lśniącą łysą głowę, jest ubrany jak inni, w granatowy garnitur w stylu safari, i nigdy nie ma go w jego gabinecie. Adrian często znajduje go na korytarzu, gdzie siedzi wraz z innymi urzędnikami, żując zapalki albo orzeszki kola i obserwując podobnych do niego przychodzących i wychodzących petentów.

W czwartek Adrian wraca do szpitala wyczerpany i jednocześnie pełen nerwowej energii. Siada przy łóżku starego. Elias Cole odwraca się i patrzy na niego, ale nic nie mówi. Obaj tkwią w owodniowym bezruchu. W izolatce słychać tylko oddech starego i dobiegające z zewnątrz stłumione dźwięki.

W Anglii prywatni klienci Adriana po wyjściu z gabinetu przestawali istnieć. Nie pozwalał, by ich życie łączyło się z jego życiem.

Tu jest inaczej. Kiedy wchodzi do izolatki starszego mężczyzny, własne życie wydaje mu się odległe i nierealne. Zwłaszcza jego życie w Anglii.

\*

Zacząła się sesja. Na kampusie zrobiło się cicho jak makiem zasiał. Studenci i studentki ubrani w obowiązkowe białe koszule oraz czarne spodnie bądź spódnice siedzieli w rzędach z pochylonymi głowami. Pilnowałem ich na zmianę razem z innymi pracownikami naukowymi. Lubilem ciszę, przechadzanie się wzdłuż ławek, podawanie dodatkowych kartek, informowanie o tym, że minęła kolejna godzina.

W chwilach przymusowej bezczynności myślałem często o Saffii. O gładkiej masce jej urody w stanie spoczynku. O szybkich zmianach wyrazu twarzy, gdy słuchała jakiejś opowieści – jej oblicze odznaczało się wówczas niezwykłą mobilnością. Nie lubiła za dużo mówić, będąc

z natury i w swoim małżeństwie raczej słuchaczką. Julius i Saffia byli jak Słońce i Księżyc. Wszystko kręciło się wokół Juliusa, tak się w każdym razie zachowywał, człowiek wciągany był w jego orbitę. Za to Saffia była Księżycem, który emanował własną czystą, magnetyczną energią. Któremu opowiadaliśmy wszystkie nasze historie.

Choć, prawdę mówiąc, kiedy Saffia miała coś do powiedzenia, nie wahała się tego robić, co u kobiety było cechą dość niezwykłą, do której nie byłem przyzwyczajony. Skrytykowała mnie kiedyś za moje rozleniwienie. Działo się to w trakcie jednej z naszych niedzielnych kolacji. Dyskutowaliśmy o cenach produktów, między innymi ryżu. Nie znałem się na tym zbyt dobrze, natomiast Saffia wygłaszała nader zdecydowane sądy. Solidaryzowała się z rolnikami, rozumie pan. Chyba nie dość szybko jej przytaknałem, bo mnie skarciła. Za to, że jestem zbyt wygodny, powiedziała, jak kot, który grzeje się przy ogniu.

Mężatka. Teraz, kiedy o tym myślę, zastanawiam się, czy nie to było powodem. To dawało jej pewność siebie, której brakowało innym kobietom, na którą, innymi słowy, „nie było ich stać”.

W tamtych czasach kobiety chętniej spełniały to, czego po nich oczekiwano. Nie dotyczyło to jednak Saffii. Julius dawał jej wszystko. W tamte wieczory, które spędzaliśmy w ich domu – Ade, Kekura i ja – niczego od nas nie chciała, i tym bardziej byliśmy w nią zapatrzeni, konkurując między sobą niczym tresowane małpy.

Dyżurując wtedy na salach egzaminacyjnych, powtarzałem sobie w myślach nasze rozmowy, zupełnie jakbym puszczał je z taśmy. Odtwarzałem w całości moją ostatnią wizytę, kiedy zrobiła mi zdjęcie, dodawałem zapamiętane szczegóły. Analizowałem każdą chwilę, przyglądając się jej z różnych stron i szukając nowych znaczeń. Zastanawiałem się, czy oddała film do wywołania i czy nie patrzy w tym momencie na moją podobiznę. Nie powiedziała Juliusowi o tych odwiedzinach, tego byłem pewien. I to o czymś świadczyło. Nie ukrywałyby przed nim tego faktu, gdyby nie chciała, by do niego ponownie doszło.

Tak oto w bolesny i wyszukany sposób sobie folgowałem. Nigdy przedtem nie byłem zakochany. Nie miałem pojęcia, jak to jest. Nie wiedziałem nic o nadziejach, które wzbierają, kruche i ciężkie niczym kryształ na nitce. Byłem nieostrożny.

Wykorzystałem okres egzaminów, by spróbować umówić się na rozmowę z dziekanem. To, co powiedziała Saffia o moim rozleniwieniu, nie było do końca prawdą. Przedstawiłem przeciw do publikacji swój artykuł Rozważania o zmiennej dynamice politycznej. Artykuł, który został odrzucony. W tamtym tygodniu zajrzałem do gabinetu dziekana i odbyłem rozmowę z jego sekretarką, która strzegła go niczym wyroczni delfickiej. Przydzieliła mi kilka minut pod koniec dnia. Przybyłem tam, by wyluszczyć swoje argumenty.

Dziekan był niskim ciemnoskórym łysiejącym mężczyzną, żywym jak rtęć. Miał drobne dłonie i stopy i wysokie krągłe pośladki, które wypychały go do przodu tak, że wyglądał, jakby chciał truchtem zdobyć świat. Na jego biurku leżały pliki papierów, każdy ściągnięty gumką. Samo biurko było masywnym meblem z ciemnego politurowanego drewna ze złożonymi krawędziami i blatem z zielonej skóry. Trzymał na nim zielony onyksowy przycisk do papierów, pasującą do niego podstawkę z piórem, nóż do papieru z kości słoniowej oraz mosiężną tabliczkę z nazwiskiem podobną do tej na drzwiach. Za fotelem dziekana stał potężny globus z biegnącym nad zwrotnikiem Raka napisem Typus orbis terrarum. Linie równika przecinał płynący do Afryki statek z wydętymi wiatrem żaglami.

– Co słytać, Cole?

Odparłem, że wszystko jest w porządku, zgodnie z tym, czego można oczekiwać.

– Dobrze, dobrze. Nie masz żadnych zastrzeżeń? – Przemawiał niczym dyrektor hotelu.

Pokiwałem głową i w innych słowach udzieliłem tej samej w gruncie rzeczy odpowiedzi.

Po krótkiej chwili zaproponował mi drinka. Przyjąłem zaproszenie. Dziekan obrócił się w fotelu i otworzył górną połowę globusa. Wewnątrz było kilka karafek, wiaderko na lód, szczypsc i wysokie oraz niskie szklanki.

– Czego się napijesz?

– Tego samego co pan – odparłem. Czytałem gdzieś, że zamawiając do picia to samo co szef, robimy na nim pozytywne wrażenie, akceptujemy w milczący sposób jego wybór.

– Hmm? – mruknał, jakby nie usłyszał. Był odwrócony do mnie plecami i nie widziałem jego twarzy. – Powiedz, co byś chciał.

Być może lepiej będzie okazać samodzielność.

– Jeśli można, napiłbym się whisky.

Dzekan zajął się poszukiwaniami, biorąc do ręki i odstawiając kolejne karafki, sprawdzając, co w nich jest na podstawie srebrnych tabliczek zawieszonych na szyjkach. Kilka było pustych. Sprawiał wrażenie dziecka bawiącego się nową zabawką. W końcu podniósł karafkę, w której zakłęsała się wysoka na trzy palce złocista ciecz, wyjął korek i nagle zastygł w bezruchu, jakby zdał sobie sprawę z czegoś bulwersującego. Po chwili potrząsnął lekko głową, zakorkował z powrotem karafkę i wstawił ją do globusa.

– Poproszę chyba o jakieś zimne napoje – oświadczył.

– Bardzo dziękuję – powiedziałem.

Dzekan podniósł słuchawkę telefonu i wezwał sekretarkę, która pojawiła się z dwiema butelkami na tacy, otworzyła je i podała jedną każdemu. Kiedy uniósł butelkę do ust i pociągnął w zamyśleniu łyk, zrobiłem to samo.

– Jak ci się podoba twój gabinet? Dobrze się w nim czujesz?

Ponownie pokiwałem głową. Minęło już dziesięć minut, a na razie zdążyliśmy tylko wymienić uprzejmości. Dziekan odchylił się w fotelu i skóra zaskrzypiała pod jego pośladkami. Wyobraziłem sobie jego stopy pod olbrzymim biurkiem, czubki butów wiszące kilka centymetrów nad podłogą.

– Dobrze. Dobrze. – Położył dłonie na blacie i rozpostarł palce. – Administrowanie wiąże się z prawdziwą odpowiedzialnością, rozumiesz – obwieścił nagle bez związku.

– Oczywiście – zgodziłem się, bo cóż miałem zrobić.

– Och, akademia nie obsypuje za to zaszczytami. Wiesz o tym. Ja też o tym wiem. Jednak wielkie społeczeństwa budowane są przez administratorów. Jesteśmy historykami. To nie my tworzymy historię. I nie tworzą jej generałowie. Robią to administratorzy. Kim byli pierwsi administratorzy w tym kraju, Cole? – Dziekan popatrzył rozmarzonym wzrokiem przez okno. Nagle odwrócił głowę i wpił się spojrzeniem w środek mojego czoła. Zanim się odezwałem, pogroził mi palcem, jakby bał się, że udzielę niewłaściwej odpowiedzi. – Nie Brytyjczycy, choć chętnie przypisują sobie tę zasługę. To byli ludzie z plemienia Fula. Tak. Przekupnie i hodowcy bydła. A także... wiem o tym i ty też o tym wiesz, Cole... – Świdrował mnie wzrokiem, jakby czekał tylko, że zaprzeczę. – Niegdyś władcy największego imperium Afryki Zachodniej. Powinienem powiedzieć „zapewne największego”, bo źródła oczywiście są takie skąpe.

Dziekan odchylił się w fotelu; skóra ponownie zaskrzypiała, dostosowując się do jego ruchów. Milczałem, zdumiony tym, jaki obrót przybrała rozmowa.

– Nie odznaczyli się jakąś szczególną walecznością. Ci, których sobie podporządkowali, byli rolnikami, nie wojownikami. Ich przymioty, ich szczególny dar. – tu jego głos nabrał mocy tak, że niemal krzyczał – ...ich mądrość polegała na tym, że zostawiali administratora w każdym mieście i wiosce, przez które przechodzili. Kogoś, kto trzymał w szachu miejscową władzę i pilnował, żeby właściwe podatki były płacone we właściwym czasie. Wszystko to bez systemu gromadzenia danych. Dzięki temu mniej było biurokracji. Ha! – wydał z siebie podobne do kaszlu szczeknięcie. – Tubylcza administracja, rozumiesz. Brytyjczycy wcale jej nie wymyślili! Chociaż biurokracja to istotnie ich wynalazek. Ha! – szczeknął ponownie. – Zapomnij o politykach i żołnierzach. Naucz się szanować administratorów! – dodał i ponownie pogroził mi palcem, jakby chciał zapewnić mnie o wadze tego ostatniego stwierdzenia. Następnie lekko zadygotał. – Nie muszę ci jednak tego mówić. Twój ojciec był urzędnikiem państwowym.

Pokiwałem głową.

Skórzane obicie wściekle zaskrzypiało, kiedy dziekan zsunął się z fotela i podszedł do okna.

– Udostępniasz innym swój gabinet. Doskonale. Czuję, że inwestując w ciebie, dokonałem właściwego wyboru. Brakuje miejsca, uniwersytetu nie budowano dla tak wielu studentów. Nikt nie zastanowił się nad konsekwencjami tych wszystkich decyzji, kiedy je podejmowano. Chodziło tylko o to, żeby się przypodobać.

– Tak – odparłem i to było w zasadzie wszystko, co powiedziałem do tej pory. Zacząłem się zastanawiać, czy w ogóle poruszymy kwestię mojego artykułu. – Złożyłem tekst do naszego periodyku – zaryzykowałem. – Chciałbym, jeśli można...

Dziekan przerwał mi machnięciem dłoni.

– A tak, tak. Szczerze mówiąc, nie była to twoja najlepsza praca. Przykro mi, Cole. Poza tym mieliśmy sporo innych tekstów.

– Miałem nadzieję, że będziemy mogli przedyskutować konkretne aspekty artykułu, które uznał pan za problematyczne.

– Na pewno chcesz to przedyskutować? – Jego twarz odbijała się w szybie i zobaczyłem, że zmarszczył czoło. – Znakomicie. Zacząłeś od niewłaściwej tezy i dlatego cały wywód był obarczony błędem.

Nadal stał odwrócony do mnie plecami. Czekałem na ciąg dalszy, ale nie dodał nic więcej.

– Byłbym bardzo wdzięczny za pisemne uwagi.

Nie patrząc na mnie, dziekan odwrócił się od okna, usiadł w fotelu i ponownie położył na biurku drobne dłonie, jakby przyglądał się swoim paznokciom.

– Chcesz znać moją opinię? Biorąc pod uwagę, ile wymagałoby to pracy, równie dobrze możesz zacząć od nowa.

Komitet redakcyjny naprawdę oczekuje innego rodzaju tekstów.

– Wszyscy wiedzieli, że komitet redakcyjny i dziekan to jedno i to samo. – Gdybyś chciał przejrzeć archiwa, mamy je na szczęście na uczelni i moim zdaniem stanowią niedoceniane źródło. W Europie, jak wiesz, historia nowożytna zaczyna się u schyłku średniowiecza. U nas trochę trudno zastosować takie kryterium. Mimo to daje nam całkiem szeroką perspektywę.

I na tym, gdy wypilem swój napój, zakończyła się w zasadzie nasza rozmowa. Kiedy stałem w drzwiach, dziekan zupełnie mimochodem rzucił jeszcze jedną uwagę.

- Doktor Kamara z wydziału inżynierii. To twój znajomy.
- Owszem – odparłem. – Ale nie znam go zbyt długo.
- Nie. Oczywiście, że nie. Cóż, życzę przyjemnego wieczoru.

\*

W tym samym tygodniu mój stary znajomy Banville Jones zaprosił mnie na przyjęcie na kampusie i chociaż w pierwszej chwili się opierałem, po kolejnej nocy, którą spędziłem samotnie w domu, pomysł zyskał w moich oczach na atrakcyjności. W piątek, o którym mowa, zajrzałem do jego gabinetu i oznajmiłem, że idę razem z nim. W tamtych czasach urządzano więcej przyjęć. A może tak mi się tylko dziś wydaje. Nie, naprawdę, to był czas zabawy. Byliśmy szczęśliwi, w każdym razie za takich się uważaliśmy. Parliśmy na oślep przed siebie. Euforia nie umarła od razu. Bawiliśmy się w czasie godziny policyjnej, przychodziliśmy na imprezy późno i zostawialiśmy do samego rana. Bawiliśmy się do rana nawet po tym, jak zlikwidowano godzinę policyjną, bo weszło nam to w krew.

Kiedy tam przyszliśmy, przyjęcie trwało w najlepsze; ludzie wychodzili na werandę i do ogrodu, krążąc między światłem i cieniem. Na niskim stole stały otwarte butelki Johnniego Walkera i bacardi oraz wiaderko z lodem.

Wewnątrz ludzie wydzierali się na siebie, przekrzykując muzykę i wybuchy śmiechu. W rogu przy gramofonie kołysało się kilka par, pstrykając palcami. Mój towarzysz dał nurka do przodu, a ja przystanąłem nieopodal drzwi. W pokoju było gorąco i parno; już po paru chwilach na górnej wardze zaczął mi się perlić pot.

Banville i ja wypiliśmy wcześniej kilka piw, i prawdę mówiąc, byłem już trochę wstawiony. Zapomniałem, czyje to urodziny. Nie miało to zresztą większego znaczenia. Wiadomość o przyjęciu przekazywano sobie pocztą pantoflową. Kto się o nim dowiedział, czuł się zaproszony. Nalałem sobie szklaneczkę whisky i precisnąłem się przez tłum na patio. Wtrącenie się do czyjejs rozmowy wydawało się zadaniem ponad moje siły i zacząłem żałować, że przyszedłem. Oparłszy się plecami o zewnętrzną ścianę, zorientowałem się, że stoję w blasku światła, i odszedłem dalej. Tańcząca wokół lampy ćma rzuciła cienie rozmiarów ptaka. Stałem u szczytu schodów prowadzących w dół do ogrodu. W powietrzu wisiało coś ciężkiego i metalicznego. W świetle odległej błyskawicy zobaczyłem zarys wzgórz. Przypominały czające się do skoku zwierzę. Spostrzegłem kilka osób, które znałem z widzenia, ale nie chciało mi się do nich podejść i przywitać. Napilem się trochę whisky i postawiłem szklankę na niskim murku werandy. Na przyjęciu było mnóstwo kobiet i zastanawiałem się leniwie, czy nie nawiązać z którąś rozmowy. Pomyślałem o Vanessie. Od wieczoru w Talk of the Town prawie się nie widywaliśmy. Moja decyzja. Pewnie by mi wybaczyła za cenę nowej sukienki.

Pod gałęziami wysokiego krzewu dostrzegłem chyba Adego, jego charakterystyczną klockowatą głowę. Tak, to był on. A obok niego Saffia! Stała wyprostowana jak uczennica, trzymając przed sobą torebkę, bez drinka – w każdym razie żadnego nie widziałem. W tym momencie trudno było powiedzieć, czy dopiero przyszła, czy szykowała się do wyjścia. Serce zabiło mi szybciej. Ruszyłem w ich stronę, stawiając ostrożnie kroki, żeby ukryć to, w jakim jestem stanie.

– Elias – powiedziała, zauważając mnie pierwsza z nich dwojga; uśmiech na jej twarzy był szczery i radosny.



Ade poklepał mnie po ramieniu.

– Cześć, stary.

– Nie wiedziałem, że tu będziecie – mruknąłem.

Nie mam pojęcia, dlaczego to powiedziałem. Saffia nie była kimś, z kim można było uprawiać luźne pogaduszki. Zapaliłem drżącymi rękoma papierosa.

– Zastanawialiśmy się – oświadczyła – z którego zmysłu byś zrezygnował, gdybyś musiał.

Najwyraźniej była to powtórka z rozmowy w Talk of the Town.

– Ze słuchu – odparłem natychmiast. Saffia się roześmiała.

– Tak, chyba tego się po tobie spodziewałam. Ale wtedy nie mógłbyś oczywiście rozmawiać z ludźmi.

– No to ze wzroku – powiedziałem, wzruszając ramionami.

– A ty?

– O tym właśnie mówiliśmy. Chyba nie byłabym w stanie zrezygnować z żadnego.

– Może z węchu? – rzuciłem. – Czasami mogłoby się to okazać korzystne.

– Zapach kwiatu, deszczu, dziecka. Smak w dużej części jest oparty na węchu. Więc pomyśl, z czego jeszcze mógłbyś zrezygnować. Tak czy inaczej... – Urwała. – Po prostu się wygłupialiśmy. Co u ciebie, Eliasie?

Odparłem, że wszystko w porządku. Ade wykorzystał okazję, żeby odejść i porozmawiać z innymi gośćmi, zostawiając Saffię pod moją opieką na mocy niepisanej umowy, jakby była czymś drogocennym, czego trzeba stale pilnować.

– Gdzie Julius?

– Chyba już tu jedzie.

– Pozwolił ci przyjść samej? – Człowiek nie może się czasem powstrzymać, żeby nie wbić szpili rywalowi.

– Przyszedł ze mną Ade. Och, znasz Juliusa. A może nie – dodała, lekko się roześmiewszy.

– Mój mąż ma wiele zalet, ale nie należy do nich punktualność.

I tak staliśmy, mimo hałasu próbując chwilami rozmawiać, a chwilami po prostu obserwując otaczających nas ludzi. Przyniosłem jej jedną, a potem drugą colę. Nie było śladu po Juliusie. Czulem, jak opadają jej ramiona. Z czarnego nieba zaczął padać deszcz. Żeby nie przemoknąć, przenieśliśmy się do środka, gdzie tłok był jeszcze większy niż wcześniej.

Nagle wybuchła kłótnia między dwoma mężczyznami. Jednym z nich był Ade. Przyjaciela wsparł Kekura, o którym nie wiedziałem nawet, że przyszedł. Mówili zdaje się o sytuacji w Nigerii, w której secesjoniści domagali się uznania ich nielegalnego rządu. Ade uważał, że powinniśmy ogłosić strajk na uczelni i poprzeć tamtejszych kolegów. Przypuszczam, że mógł mieć jakichś nigeryjskich przodków, co sugerowało jego nazwisko, nie mam jednak pojęcia, czy byli to krewni ze strony ojca, czy matki i z jakiej części kraju się wywodzili. Mężczyźni gwałtownie gestykulowali, podnosili ręce do sufitu, przekrzykiwali się wzajemnie, chcąc postawić na swoim, i wkładali w to wszystko tyle energii, że we dwóch mogliby pewnie pokonać całe siły zbrojne Nigerii. Tańczący w rogu puścili głośniejszą muzykę. Zdążyłem już wtedy trochę wytrzeźwieć i zaproponowałem Saffii, że poszukam jakiejś taksówki.

– Tak się składa, że przyjechałam tu samochodem – powiedziała. – Jeśli chcesz, mogę cię podrzucić do domu.

Kiedy szliśmy do auta, zaczęło mocniej padać. Saffia wyjęła z torebki plastikowy

przeciwdeszczowy kapturek i zawiązała go pod brodą. Deszcz wzmocnił zapach ziemi i odświeżył unoszącą się w nocnym powietrzu woń jaśminu, co przypomniało nam wcześniejszą rozmowę. Idąc, mówiła o uniwersyteckich zieleńcach, jak wiele rośnie tam gatunków roślin, niektóre całkiem rzadkie, inne z importu. Brała udział w ich katalogowaniu, zbierając okazy do zasuszenia i opisanie.

Szyby w volkswagenie zaparowały od deszczu i naszych oddechów. Wycieraczki zgarniały wściekle wodę. Za bramą ulewa przepłoszyła ludzi do domów, pogasiła naftowe lampy ulicznych kramarzy, oczyściła ulice z przechodniów i śmieci. Usiłując coś dojrzeć przez szybę, Saffia pochylała się do przodu, jakby zaglądała do studni. Na skrzyżowaniu o mało nie wpadliśmy na blokadę drogową; nagle pojawił się przed nami zakutany w plastikową pelerynę żołnierz. Błysk latarki i pukanie w okno. Saffia opuściła szybę od swojej strony.

Nachyliłem się obok niej, uśmiechnąłem i dotknąłem dłonią kapelusza.

– Tak, panie władzo. Bardzo przepraszam.

Przewidywałem, że w taką noc jak ta nie będzie mu się chciało nami zajmować. Chodziło tylko o to, by odpowiednio z nim pogadać. Nie mogłem nic wyczytać z jego twarzy, widziałem jedynie ciemną sylwetkę za światłem latarki. Myliłem się. Żołnierz zupełnie nie zwrócił uwagi na mój ton, rozdrażniony, jak sądzę, deszczem i trudnymi warunkami, w jakich musiał pełnić swoją służbę.

Saffia podała mu dokumenty. Nie znalazłszy w nich nic interesującego, facet uparł się, że przeszuka bagażnik. Poprosiłem, żeby została w samochodzie, i wysiadłem na zewnątrz. Powiedziałem żołnierzowi, że podziwiam pracę, którą wykonuje, a także jego skrupulatność. Wyciągnąłem paczkę papierosów, poczęstowałem go i dałem trochę drobnych, żeby kupił sobie coś do jedzenia. Kiedy człowiek wie, jak to się robi, to łatwe, nie trudniejsze od uwiedzenia kobiety, która chce być uwiedziona. Wkrótce ruszyliśmy dalej.

W świetle mijanych latarni widziałem profil Saffii, jej ściągnięte brwi.

– Dałeś mu coś? – zapytała po jakimś czasie.

– Kilka papierosów. – W rzeczywistości prawie całą paczkę.

– Nie powinieneś był tego robić.

– To drobiazg – odparłem, sądząc, że jest mi wdzięczna.

Po kilku minutach deszcz zelżał. Saffia zatrzymała się przy skrzyżowaniu z ulicą, która prowadziła do mojego domu.

– Nie pogniewasz się, Eliasie? Powinnam chyba wracać.

– Oczywiście. Już nie pada. To tylko parę kroków. Patrzyłem, jak tylne światła samochodu migoczą nad mokrą jezdnią, maleją i znikają. Byłem w euforii. Z drugiej strony miałem wrażenie, że popełniłem jakiś błąd. Zapaliłem papierosa, jednego z niewielu, które zostały w paczce, i ruszyłem w stronę mostu i domu.

# ROZDZIAŁ 9

Mają tutaj trawniki, a Adrian od dawna nie widział żadnego trawnika. To prawda, bujnie rosną drzewa i zarośla, wzgórze za miastem mienia się ciemną zielenią, ale ziemia jest popękana i goła. Adrian tęskni za dotykiem miękkiej trawy pod stopami, wilgocią rosy. Chciałby zdjąć buty i iść po łące, czując, jak źdźbła wchodzą mu między palce, a brzegi nogawek robią się mokre i ciężkie. To złudzenie. Trawa tutaj jest kłująca i ostra. Chodzenie po niej to jak stąpanie po rozżarzonych węglach.

I jest cicho. Z początku cisza jest nagła i urzekająca, spowija wszystko. Idąc obok kobiety, która nazywa się Ileana i tu pracuje, Adrian stopniowo uświadamia sobie, że jednak słyszy jakieś dźwięki, stłumione pomruki i mamroty. Słyszy wiatr w koronach palm, który przypomina trzepotanie spinakerów na wietrze. I słyszy morze.

Zatrzymują się przed drzwiami długiego niskiego budynku.

– No dobrze. Gotów? – pyta jego towarzyszka.

Adrian kiwa głową. Kobieta popycha drzwi do środka.

Smród uderza go i oblepia podniebienie – sfermentowany i odrażający smród meliny i zatechłego strachu. Zaczyna oddychać ustami, płytko i szybko. Na sali panuje półmrok. Po chwili dostrzega dwa rzędy łóżek i materaców; na każdym z nich leży albo siedzi jakaś postać. Ileana idzie centralnym przejściem. Adrian podąża za nią, świadom tego, jak głośno stuka obcasami po betonowej podłodze. Rozglądając się na boki, widzi poplamione materace, ślady na ścianach, pamiątki po tych, co się o nie opierali. Kiedy się zbliżają, niektórzy pacjenci zaczynają się wiercić. Ileana zatrzymuje się przy wysokim żelaznym łóżku i Adrian robi to samo. Leży na nim na boku mężczyzna, jego głowa spoczywa na poduszce bez poszwy.

– Witaj, John. Jak zdrowie?

Na dźwięk głosu Ileany mężczyzna unosi się, żeby przyjrzeć się obojgu.

– Dobrze, pani doktor – odpowiada i zaczyna się powoli podnosić. – A jak pani zdrowie?

– Świetnie, John, dziękuję. Przyproceedziłam dziś kogoś ze sobą. Innego doktora, z Anglii.

Chciałby się o nas czegoś dowiedzieć.

Mężczyzna na łóżku przekręca się, żeby spojrzeć na Adriana, i jednocześnie podciąga się do pozycji siedzącej. Słychać brzęk metalu. W panującej na oddziale ciszy hałas wydaje się przeraźliwy. Wyprostowawszy się, mężczyzna wyciąga ręce i hałas rozlega się ponownie, jakby coś się rozwijało. Z jakiegoś powodu Adrianowi przychodzą na myśl statki. Spogląda na ręce mężczyzny: owinięte lachmanami nadgarstki, metalowe kajdanki, dłonie złączone w powitanie. Hałas nagle cichnie, pozostawiając w uszach słabe dzwonięcie, gdy mężczyzna na łóżku napręża krępujące go łańcuchy.

\*

Środa. Tego ranka nadeszło wezwanie z posterunku policji. Gdy się tam zjawił, ta sama kobieta co wówczas, kiedy badał głuchego chłopca, zabrała go do tego samego pomieszczenia. Tym razem stanęła w pewnej odległości od drzwi i pozwoliła mu wejść do środka samemu. W celi leżał zwinięty w kłębek mężczyzna, który chyba spał, z plecami zwróconymi w stronę

drzwi i dłońmi wciśniętymi między kolana.

– Co on tutaj robi? – zapytał Adrian, przenosząc wzrok na kobietę.

Policjantka wzruszyła ramionami.

– Oddała go rodzina.

– Czy dopuścił się przemocy?

– Tak mówią – odparła obrażonym tonem. – Nie chcą go u siebie. Powiedzieli, że się go boją.

Że zabarykadował się za drzwiami i rzucał na każdego, kto wchodził. Obawiali się, że rozwali cały dom.

– Ale na czym konkretnie polega problem? Dlaczego mnie wezwaliście?

Nie zadała sobie nawet trudu, by na niego spojrzeć, zerknęła tylko przelotnie. Zobaczył puste oczy, twarz przepelnioną nudą. Postukała się w skroń palcem wskazującym.

Adrian zapukał i wszedł do celi. Zauważył, że policjantka szybko się wycofała.

Znalazłszy się w środku, zamknął za sobą drzwi i stanął przy nich. Słyszał ciężki oddech.

– Dzień dobry – powiedział. Na dźwięk jego głosu postać po drugiej stronie pomieszczenia przysunęła się do ściany. Oddech stał się szybszy, z ust popłynął bełkotliwy strumień słów.

Adrian odczekał chwilę, po czym ruszył dalej, uprzedzając o wszystkim, co robi.

– Mam nadzieję, że nie będziesz miał nic przeciwko, jeśli podejść trochę bliżej. Chcę z tobą porozmawiać. Dobrze? Będę się zbliżał tak długo, aż powiesz mi, żebym stanął.

Z każdym jego krokiem bełkot stawał się coraz głośniejszy, a jego tonacja wyższa, ale facet nie usiłował się już odsunąć. Jakiś metr przed nim Adrian przykucnął. Jego twarz znalazła się prawie na tym samym poziomie co głowa tamtego.

– Mam na imię Adrian. Jestem lekarzem. Jak się nazywasz?

Odpowiedź polegająca na tym, że bełkot stał się cichszy.

– Na pewno musisz być głodny. Jesteś głodny? Chciałbyś coś zjeść?

Mamrotanie ustało i teraz słyszać było tylko szybki oddech. Mężczyzna zaczął się najpierw przeciągać, potem kołysać i w końcu z wielkim wysiłkiem przewrócił się niczym ryba na drugi bok. Przed Adrianem leżał młody człowiek ze związanymi rękoma i nogami.

Chcieli się go pozbyć. Adrian dał im do zrozumienia, że dostarczenie wody i jakiejś stawy może to przyspieszyć. Przeznaczając na to własne pieniądze, zamówił bochenek chleba oraz małą plastikową torebkę z wodą i słomką. Żaden z policjantów nie chciał się tym zająć, w związku z czym musiał zaczekać, aż uda się znaleźć kogoś odpowiednio mało ważnego – jednego z wszędobylskich, kręcących się po mieście chłopców.

Adrian zgodził się towarzyszyć więźniowi w drodze do szpitala psychiatrycznego. Z pomocą dwóch policjantów załadował go do taksówki i posadził na tylnym siedzeniu. Młodzieniec podjął z powrotem swój bełkotliwy monolog, jakby skarżył się na takie traktowanie. Gwałtownie przy tym dygotał. Adrian wsunął się w ślad za nim. Młodzieniec skulił się i odsunął dalej.

– Wszystko w porządku – zapewnił go Adrian, pochylając się i rozwiązując sznury na jego stopach.

Nadaśany i niechętny taksówkarz domagał się podwójnej zapłaty. Policjant walnął w odpowiedzi dłonią w dach pojazdu i roześmiał się, lecz nie był to wesoły śmiech. Huk uderzenia rozszedł się echem we wnętrzu taksówki i jeszcze bardziej wytrącił z równowagi młodzieńca.

Nie chcąc zostawić swojego podopiecznego samego, Adrian usiadł razem z nim na drewnianej ławce przy bramie szpitala psychiatrycznego. Młodzieniec podciągnął kolana pod brodę i naciągnął T-shirt na twarz. W otwartym oknie stała obnażona do pasa kobieta, krzycząc na niewidoczne osoby. Przy bramie kręcili się jacyś ludzie, jednak żaden nie robił wrażenia osoby urzędowej. Dwaj mężczyźni rozmawiali ze sobą, kłócąc się niczym starzy znajomi. Jeden z nich wskazał wcześniej Adrianowi ławkę, ale później przestał się nim interesować. Jakaś suka usiłowała zakraść się do środka przez bramę.

Adrian nie bardzo wiedział, co ma robić dalej. Zawołał do jednego z rozmawiających mężczyzn. „Tak, tak” – odparł tamten, uśmiechając się i podnosząc rękę, pokazując mu, żeby zaczekał. Adrian usiadł z powrotem na ławce. Robiło się coraz upalniej, zaczynał się pocić. Jakiś mężczyzna stał przed bramą z nosem i uszami zatkanymi papierem i krzyczał: „Nie mówcie do mnie w ten sposób. Nie jestem już pacjentem!”. Siedzący obok Adriana młody człowiek kołysał się z boku na bok.

W końcu z za węgła budynku wyszedł mężczyzna w białych spodniach i białej koszuli z krótkimi rękawami. Pielęgniarski. Zawołał do stojącej w oknie kobiety, żeby przestała krzyczeć. Ta natychmiast zniknęła. Jeden ze stojących przy bramie mężczyzn dał mu znak, obejmując szerokim gestem również Adriana, który wstał z ławki.

Pielęgniarski ruszył pierwszy spokojnym, odmierzonym krokiem, pozostawiając Adrianowi nakłonienie młodego człowieka, by podążał w ślad za nimi. W środku budynku było ciszej, co w połączeniu z zachowaniem pielęgniarskiego najwyraźniej uspokoiło młodzieńca człowieka, który wydawał się teraz w większym stopniu dezorientowany niż przestraszony.

Wprowadzono ich do pokoju, w którym były tylko biurko, krzesło oraz oszklona szafka z podręcznikami. Pielęgniarski przyniósł skądś drugie krzesło i wskazał je młodemu człowiekowi, który, co ciekawe, usłuchał, usiadł na nim i zaczął się kołysać z boku na bok. Uwagę Adriana zwróciło to, jak niezwykle czysty jest pielęgniarski, jak równo ma przystrzyżone włosy, jak gładką skórę i nieskazitelną uniformę. Po chwili wyszedł, zamykając za sobą drzwi, wszystko to bez jednego słowa.

Kilka minut później drzwi ponownie się otworzyły. Pielęgniarski przytrzymał je przed Europejką o ziemistej cerze.

– Dziękuję, Salia – powiedziała.

Miała narzucony na spódnicę fartuch, mokasyny i ciemnoczerwoną szminek na ustach. Razem z nią do pokoju wpadł zapach świeżego papierosowego dymu. Adrian opowiedział jej, co wie o pacjencie, starając się ukryć ulgę na widok innej białej osoby.

Kobieta słuchała, trzymając dłonie w głębokich kieszeniach fartucha i mierząc go uważnym spojrzeniem.

– Kim pan jest, do diabła? – zapytała.

\*

Razem patrzyli, jak nieskazitelną pielęgniarski, stojąc ze skrzyżowanymi na piersi rękoma, balansując na piętach i zachowując stale dystans dwóch kroków od pacjenta, nadzorował proces wyprowadzania go przez dwóch salowych w niebieskich fartuchach. Nie boi się pacjenta, ale tego, że się pobrudzi, pomyślał Adrian. Kobieta przedstawiła się jako Ileana. Była psychologiem, zastępcą szefa.

– Najpierw sprawdzimy, czy nie ma malarii – poinformowała.

– Czasami to aż takie proste. Jak pan z pewnością wie, ta choroba powoduje halucynacje. Chociaż rodziny na ogół same rozpoznają symptomy. Potem wykonamy pozostałe badania, zaczynając od sprawdzenia, czy nie jest pod wpływem narkotyków. Tak czy inaczej, wyraźnie się uspokoił i możemy mu dać haloperidol, żeby utrzymać go w tym stanie.

Ponieważ Adrian nie miał nic innego do roboty, poprosił, żeby go oprowadzono. Ileana zerknęła na zegarek i wyszła razem z nim na zewnątrz. Szpital przetrwał w niezłym stanie. Żaden z budynków nie był zniszczony.

– Ach, doktor Attila!

W ich stronę zmierzał wracający z obchodu główny psychiatra. Adrian zapamiętał jego nazwisko ze sprawozdania zamieszczonego w „International Journal of Social Psychiatry”. I choć często, nieodmiennie i archetypicznie, wyobrażał sobie autorów tych artykułów jako chudych, bezbarwnych akademików z piskliwym głosem, o zbliżającym się do nich człowieku nie umiał stworzyć sobie żadnego wyobrażenia. Pewien respekt budziło jego nazwisko. Adrian zobaczył przed sobą barczystego mężczyznę w koszuli bez kołnierzyka, płóciennych spodniach i sandałach, gestykulującego na lewo i prawo do towarzyszącego mu odzianego na niebiesko salowego i kilku innych osób, będących, o ile można było sądzić na podstawie ich zachowania, jego pacjentami.

– Pozwoli pan, że go przedstawię – powiedziała Ileana, przecinając drogę psychiatrze, który na razie nie zamierzał chyba zwolnić. Kiedy przedstawiła Adriana, Attila zmierzył go wzrokiem, lecz nie podał ręki.

– Jeśli będziemy panu mogli w jakikolwiek sposób pomóc, zrobimy to z ochotą – oznajmił w końcu, drapiąc się po uchu.

– Dziękuję.

– Proszę tylko skontaktować się z Salią.

– Z Salią?

– Naszym naczelnym pielęgniarem.

Adrian ponownie mu podziękował. Następnie dodał, że najpierw musi się rozejrzeć. Chciał dowiedzieć się czegoś więcej o psychoterapii, terapii zajęciowej i rekreacyjnej. Być może będzie mógł porozmawiać ze wszystkimi członkami personelu. Chętnie tutaj wróci. I oczywiście z pracownikami społecznymi. Mówiąc to, zastanawiał się, dlaczego nie przyszło mu wcześniej do głowy, żeby tu zajrzeć.

– Oczywiście. Ileana może się wszystkim zająć. Proszę tylko powiedzieć, jeśli będzie pan chciał coś jeszcze.

Mimo uprzejmych słów w zachowaniu mężczyzny, być może w jego posturze, masywnym ciele, które ani razu nie zwróciło się w stronę Adriana, było coś napastliwego. Attila uniósł w geście pożegnania wielką dłoń i zaczął się oddalać. Adrian chętnie kontynuowałby rozmowę, ale raczej nie w obecności tego orszaku.

Wszyscy ci przysłuchujący się im ludzie, nawet pacjenci, zupełnie jakby to ich dotyczyło... Przeszkadzał mu ten brak prywatności.

Ruszyli dalej.

– Przepraszam – powiedziała Ileana. – Czasami taki po prostu jest. Zaczniemy od oddziału trzeciego. – Wyjęła z kieszeni fartucha paczkę londyńskich papierosów i poczęstowała nimi Adriana, który pokręcił głową. Ileana zapaliła i zaciągając się, ruszyła dalej. – Tak jak

mówiłam, z tego, co wiem, większość pacjentów ocalała. Nie ma na świecie miejsca... bez względu na to, czy mówimy o biednych czy bogatych... gdzie ludzie nie baliby się szaleństwa. Nazywamy to strachem, ale jest w tym również respekt. Po zajęciu miasta rebelianci zostawili ich w spokoju. Przez cały czas rządził tu Attila. Grabili wszędzie, podpalali domy, setki ludzi spalili żywcem. Oczywiście najbiedniejszych. Tak jest zawsze. Kazali im wejść do miasta, używali w charakterze żywych tarcz. Okrucieństwa popełniano po obu stronach. Więc kiedy sytuacja jeszcze bardziej się pogorszyła, zwłaszcza podczas okupacji, ludzie chronili się tutaj, udając obłęd. Jest w tym coś poetyckiego, nie sądzi pan? Szpital psychiatryczny to przecież po angielsku azyl, asylum. Mieliśmy tutaj również paru członków sił pokojowych.

– Nie czytałem o tym w żadnym z raportów.

– No cóż...

– A pani? To znaczy, od jak dawna tu pani jest? Przez jaką agencję pani się zatrudniła?

Ileana spojrzała na niego. Rzuciła na ziemię peta i miała zamiar przydeptać go podeszwą buta, ale nie zdążyła, bo papieros stoczył się po łagodnym wzniesieniu. Nie chciało jej się go gonić. Ani odpowiadać na jego pytanie. Podeszli do pomalowanych na szaro drzwi długiego niskiego budynku w kształcie stodoły. Ileana przystanęła z ręką na klamce.

– No dobrze. Gotów? – zapytała.

Adrian pokiwał głową.

\*

Ale nie jest na to gotów. Nie jest jeszcze w stanie tego pojąć, lecz kiedyś mu się to uda. Zachowanie Attili. Cisza, która tu wszędzie panuje. Faszering pacjenta lekami uspokajającymi. Faszering ich lekami i trzymają w kajdanach. Leżący przed nim mężczyzna ma wyciągnięte, złączone razem ręce; ludzie witają się tu w ten sposób, to odpowiednik uścisku dłoni. W wykonaniu przykutego do łóżka faceta ten gest wygląda zupełnie jak modlitwa.

– Powiedz panu doktorowi, jak tutaj trafiłeś – mówi Ileana.

– Skaleczyłem ojca. To ojciec mnie tu przywiózł.

– Dlaczego skaleczyłeś ojca?

– Siedział na werandzie. To była jedna noc. Zła noc. Bałem się. Nie skaleczyłem go.

– Więc dlaczego mówisz, że go skaleczyłeś?

– Widziałem ranę.

– Jakie jest rozpoznanie? – pyta Adrian po wyjściu z oddziału.

– Psychoza. Wywołana przez narkotyki.

– Jak preferują?

– Najczęściej marihuanę. Nie stać ich raczej na nic więcej. Mamy kilku uzależnionych od heroiny. Nazywają ją tu brown brown. Ale jest oczywiście o wiele droższa i musi pochodzić z jakiegoś innego kraju. Na tym oddziale u większości rozpoznanie jest podobne.

– Wszyscy palili marihuanę?

– Tak – odpowiada Ileana, odwracając się i patrząc mu prosto w oczy. – Po interwencji Attili przeniesiono go tu ze szpitala wojskowego. „Ranny w akcji”. Moim zdaniem to jego ojciec poprosił Attilę o pomoc.

– Więc brał udział w działaniach wojennych?

– Chyba tak, ale nie znam szczegółów. Musi pan o to spytać doktora Attilę. John trafił

tutaj i był wypisywany prawie przez całą dekadę. Wojna zaczęła się w dziewięćdziesiątym pierwszym i nie bardzo wiem, kiedy go dokładnie zwolniono. Z całą pewnością zaczął zażywać narkotyki w wojsku. Zachęcano do tego rekrutów. Nazywano je wzmacniaczami morale. Zdaniem doktora Attila facet jest ofiarą wojny.

– Dlatego teraz zakuł go w kajdany.

Ileana przygląda mu się przez chwilę w milczeniu, po czym opuszcza głowę i wbija wzrok w podłogę.

– Chyba coś pan zgubił – mówi, wskazując palcem.

Jego spojrzenie wędruje w dół. Nic tam nie widzi.

– Gdzie?

– Tutaj.

Adrian nie dostrzega nic poza powyginanym i połamanym linoleum.

– Co to takiego? – pyta, marszcząc brwi.

– Och, jakieś dwa miliony dolarów.

– Nie rozumiem.

– Tyle mniej więcej kosztowałyby stworzenie porządnego systemu bezpieczeństwa: infrastruktura, personel, szkolenia.

Stoją po drugiej stronie drzwi. Ileana wyciąga z kieszeni papierosa i zapalniczkę i odwraca się, zostawiając za sobą chmurę dymu.

– Przepraszam. Chciałem tylko poznać metody leczenia.

– Mamy tu pewną metodę. Nazywamy ją detoksykacją na sucho.

Ileana idzie, paląc papierosa. Adrian nie bardzo wie, co ma odpowiedzieć. Idzie obok niej, oczekując, że powie mu coś więcej, i uświadamiając sobie, że nie ma takiego zamiaru.

– Więc dlaczego doktor Attila mówił...?

– Otóż to – wchodzi mu w słowo Ileana, po czym parska śmiechem i posyła mu niewesoły uśmiech. – Teraz pan rozumie. Powinien pan tu być na początku. Ale oczywiście pana nie było. Nikogo nie było. Pojawiliście się, kiedy jest już po wszystkim. Cholera! – klnie i rzuca niedopałek na klomb z kwiatami.

Przy swoim gabinecie wyjmuje z kieszeni fartucha klucz, otwiera drzwi, wchodzi do środka i wkłada do gniazdka wtyczkę czajnika.

– W latach osiemdziesiątych kraj był totalnie wyeksploatowany. Attila już tu wtedy pracował. Wyszkolił się za granicą i wrócił po ukończeniu studiów. Przedtem szefem był chyba Brytyjczyk, ale oni zaczęli stopniowo wyjeżdżać i byli zastępowani przez Afrykanów. Attila musiał być dość młody na to stanowisko. W tamtym czasie pacjenci, z którymi miał do czynienia, byli tacy sami jak wszędzie: schizofrenicy, psychotycy, ludzie z depresją. Typowy melanz świrów. Jednak w którymś momencie to się zaczęło zmieniać.

Ileana zaparza herbatę w małym posrebrzonym czajniku. To Lipton Yellow Label. Trwa wieki, zanim się zaparzy, a i wtedy ma co najwyżej jasnozłocisty odcień.

– Na początku lat osiemdziesiątych napłynęli nowi pacjenci; Attila pierwszy to zauważył. To on ich przyjmował. W większości młodzi mężczyźni, przed dwudziestką lub zaraz po ukończeniu dwudziestu lat. Pochodzili z miasta, ale również z prowincji. Pozbawieni rodziny albo przez nią wyrzuceni. Wszyscy mieli zaburzenia związane z nadużywaniem narkotyków. W ciągu kilku lat statystyka pacjentów diametralnie się odwróciła. Ci, którzy wcześniej



stanowili nie więcej niż dziesięć procent, tworzyli teraz zdecydowaną większość.

Ileana przerywa, żeby zamieszać i nalać herbatę, i podaje Adrianowi filiżankę. W pokoju nie ma klimatyzacji ani lodówki. Wszystkie okna są zamknięte. Tak naprawdę Adrian ma ochotę na szklankę zimnej wody, ale nie wybrzydza i godzi się na herbatę. Chce zatrzeć złe wrażenie, które najwyraźniej zrobił w pierwszej chwili na lekarce.

– Pisał do rządu i do gazet. Że coś się kroi. Naturalnie nikt nie wziął go serio. Ministrowie śmiali się i twierdzili, że jest tak samo porąbany jak jego pacjenci. Kiedy zwrócił się do Światowej Organizacji Zdrowia, rząd zaczął mieć go dosyć. Idioci. Próbował ich ostrzec. A potem w latach dziewięćdziesiątych fru! – Ileana podnosi dramatycznie ręce. – Setki, tysiące młodych ludzi, naćpanych narkotykami i bardzo, bardzo wkurzonych. Bez pracy. Bez rodziny. Bez przyszłości. Niemających nic do stracenia. Nadeszło to, na co się zanosilo.

Adrian pije w milczeniu swoją herbatę. Ileana bierze stojącą na szafce z aktami puszkę i częstuje go ciasteczkami. Adrian bierze to pośrodku, nadziewane dżemem, podobne do tych, które uwielbiał w dzieciństwie. Nie jadł takiego od lat. Ileana otwiera okno i Adrian czuje na twarzy leciutki powiew wiatru. Na ścianie za jej biurkiem wisi napis: „W pewne dni nie warto nawet przegryzać więzów”. Rozmowa ponownie się zawiązuje i schodzi na inne tematy. Adrian pyta ją, gdzie studiowała, żeby zlokalizować, z jakiego kraju wschodniej Europy pochodzi.

– W Tel Awiwie.

– Aha.

Ileana po raz pierwszy się uśmiecha, widząc, że zbiła go z tropu.

– Ale wcześniej w Bukareszcie.

Idąc z powrotem w stronę bramy, mijają budynek mniejszy od innych i stojący nieco na uboczu. Na sznurach suszą się lappa, wyblakłe ze starości pasy drukowanego materiału. Za nimi jakaś kobieta pochyla się nad ogniskiem. Oddział kobiecy.

– Możemy tam zerknąć? – pyta Adrian.

– Jasne, czemu nie. – Ileana wzrusza ramionami, rzuca na ziemię wypalonego w połowie papierosa i rusza przodem, przedstawiając Adriana salowej przy drzwiach.

W środku jest mniej łóżek i z tego względu są rzadziej rozstawione niż na oddziale męskim. Nie czuć takiego gryzącego odoru, może dlatego, że pootwierane są okna. Żadna z pacjentek nie jest przywiązana. Niektóre siedzą albo leżą na swoich łóżkach, w drugim końcu kobieta składa ubranie, inna, najbliżej drzwi, siedzi po turecku. Spogląda na Adriana i nagle serdecznie się uśmiecha; jedno oko ma pokryte bielmem, ręką mnie pościel i bełkocze coś pod nosem. To przeważnie schizofreniczki, wyjaśnia Ileana, kilka cierpi na zaburzenia osobowości. Niewiele jest agresywnych, ale trzeba na nie uważać.

– Kobiet jest u nas mniej niż mężczyzn, bo zazwyczaj rodziny starają się trzymać je w domu, szukać pomocy u miejscowych znachorów albo przywódców religijnych.

– Czy lokalne metody pomagają? – pyta Adrian.

– To po prostu inna nazwa pozostawiania pod opieką społeczności – odpowiada Ileana.

Pielęgniarka, która stąpa za nimi, odkąd weszli na oddział, mówi coś do Ileany, która zatrzymuje się i podnosi rękę, dając Adrianowi znak, żeby zaczekał. Sama idzie dalej i staje kilka kroków przed kobietą, która wpatruje się w nich ponurym wzrokiem, stojąc po drugiej stronie łóżka ze szczotką do włosów w ręku. Ileana rozmawia z nią przez chwilę i odwraca się

do Adriana.

– Ta jest źle nastawiona do mężczyzn. Mieli z nią, zdaje się, trochę problemów parę dni temu. Nie słyszałam o tym. Jeśli dość się pan napatrzył, możemy już iść.

– Oczywiście.

Ileana mówi pielęgniarce, jakie podać pacjentce leki. Adrian czeka, rozglądając się dokoła. Jedna z kobiet leży skulona na boku, trzymając dłonie pod brodą i wpatrując się szeroko otwartymi oczyma w dal. Adrian daje krok w jej stronę i zatrzymuje się, nie z troski o własne bezpieczeństwo, ale dlatego, że nie chce podważać autorytetu Ileany.

– Co pani wie o tej kobiecie? – pyta lekarkę, kiedy ta ponownie do niego dołącza. Jest pewien, że to ona, kobieta, która odwiedziła go w szpitalu, a potem podeszła do niego na ulicy.

Uciekła wtedy i nigdy już nie wróciła.

Ileana przekrzywia głowę na bok i przygląda się pacjentce.

– Nigdy jej wcześniej nie widziałam. Tak sędzę. Oddziałem kobiecym zajmuje się głównie Attila. – Odwraca się do pielęgniarki i rozmawia z nią w miejscowym dialekcie. – Przyjęto ją dwa dni temu – tłumaczy naprędce, słuchając jednocześnie pielęgniarki. – Ktoś ją przyprowadził. Nie wie, kto to był, ale chyba nikt z rodziny. Jakiś przechodzień. Jest wyraźnie zdezorientowana. To tyle – dodaje po chwili i ma już zamiar ruszyć dalej, kiedy pielęgniarka odzywa się ponownie. Ileana reaguje na to podniesieniem brwi i pomrukiem zdziwienia. – Mniej więcej co parę miesięcy. Pojawia się tu co parę miesięcy. Jest najwyraźniej stałym gościem.

\*

Przez otwarte drzwi gabinetu Adrian widzi pochylonego nad biurkiem Attilę. Na szczęście jest sam. Adrian puka lekko do drzwi. Nagle ogarnia go zdenerwowanie: pamięta wcześniejsze zachowanie psychiatry, boi się jego odmowy. Poza profesjonalną uprzejmością nie ma w końcu żadnego powodu, żeby się zgodził. Adrian może mieć tylko nadzieję, że tamten też widzi to w ten sposób. Po drugim pukaniu Attila, nie podnosząc wzroku, zaprasza go gestem do środka i wskazuje krzesło. Adrian siada. Attila podpisuje leżący przed nim dokument i wstaje, trzymając go w ręku.

– Chwileczkę – mówi do Adriana. – Salia!

Po paru sekundach pojawia się pielęgniarz. Attila wręcza mu dokument i informuje, co ma z nim zrobić. Następnie siada z powrotem za biurkiem i bez przesadnej sympatii przygląda się Adrianowi.

– Czym mogę panu służyć?

Adrian nagle się waha. Nie wie, czy w ogóle powinien pytać o tamtą kobietę. Musi jednak coś powiedzieć.

– Dziękuję, że pozwolił mi się pan rozejrzeć.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odpowiada bez uśmiechu Attila i pochyla głowę, jakby w rzeczywistości wcale nie było mu przyjemnie. Następnie rozkłada przed sobą ręce na biurku, odchyła się do tyłu w fotelu i czeka na Adriana.

– Na oddziale kobiecym jest pewna pacjentka – chwytając za ramię Adriana. – Przyjęto ją przed kilkoma dniami. Powiedziano mi, że nie po raz pierwszy.

Opisuje widzianą przed chwilą kobietę. Attila kiwa głową, tak, zna tę pacjentkę. Adrian mówi dalej, opowiadając, jak ta sama kobieta odwiedziła go w szpitalu. Uznaje, że nie będzie wspominał o spotkaniu na ulicy. Psychiatra słucha go z obojętnym wyrazem twarzy, bez słowa

**komentarza.**

– W jaki sposób, pana zdaniem, mogę tutaj pomóc? – pyta, kiedy Adrian kończy.

Ten bierze głęboki wdech.

– Chciałbym, jeśli można, poprosić pana o zgodę na jej zbadanie.

– Ależ proszę bardzo.

Okazało się to takie łatwe. Adrian uświadamia sobie, że wstrzymał oddech. Wypuszczając powietrze z płuc, zastanawia się, dlaczego był taki spięty.

– Niech pan nas ponownie odwiedzi, kiedy tylko będzie panu pasowało. Powiadomię Salię. Będzie pan miał dostęp do jego zapisków.

– Dziękuję. Bardzo panu dziękuję.

– Zawsze do pańskich usług – oznajmia Attila, mierząc go nieprzeniknionym spojrzeniem.

Tego już jest za wiele dla Adriana, który wstaje, żeby wyjść. Kiedy dochodzi do drzwi, uwaga Attili jest już w całości skupiona na leżących na biurku dokumentach.

\*

Drugi raz tego dnia, z pomocą Ileany, Adrianowi udaje się zdobyć taksówkę tylko dla siebie. Mimo upału i rapu płynącego z głośników ulokowanych dokładnie za jego głową rozsiada się wygodnie na obitym plastikiem tylnym siedzeniu.

Po raz pierwszy od przyjazdu ma poczucie małego sukcesu.

Na skrzyżowaniu przy stacji benzynowej policjant reguluje ruch, kręcąc rękoma niczym skrzydłami wiatraka. Nowi funkcjonariusze wypracowują tutaj własny indywidualny styl, coś w rodzaju kodu flagowego. Samochody zatrzymują się i chaotycznie ruszają z miejsca. W nieunikniony sposób dochodzi do kolizji, niewielkiej, ale potęgującej chaos. Obaj kierowcy wysiadają ze swoich pojazdów i zbiera się wokół nich tłum, razem z policjantem regulującym ruch.

Kierowca Adriana sapie głośno, podkręca muzykę, omija zbiegowisko i skręca w prawo w ulicę, którą Adrian nigdy jeszcze nie jechał. Nagle mają przed sobą wolną drogę. Adrian otwiera okno i wpuszcza do środka słońce, bagniste powietrze. Między garbami ograniczającymi prędkość kierowca przyspiesza. Domy kończą się i zaczynają zarośla, za którymi widać morze i rozciągający się przed nimi most. Kiedy nim przejeżdżają, Adrian widzi po lewej stronie przesmyk prowadzący w stronę bagnistego, otwartego terenu. Po prawej jest horyzont, prosta błękitnoszara linia. Adrian przestaje myśleć o szpitalu psychiatrycznym.

Ten most... prostuje się na siedzeniu i uważnie rozgląda dokoła. Dalej widać półwysep. To most, o którym mówił Elias Cole. Wygląda dokładnie tak, jak go opisał, Adrian nie ma co do tego cienia wątpliwości.

**Most Juliusa.**

# ROZDZIAŁ 10

Kai lubi to robić. Ćwiczy w ten sposób palce podobnie jak grający gamy pianista. I dostarcza rozrywki dzieciom. Podnosi w górę skórkę, z której obrał pomarańczę, formuje z niej naturalną helisę i podaje ją siedzącej przy nim na ławce dziewczynce. Następnie wsadza sobie cząstkę owocu do ust, kolejną daje jednemu z dzieciaków i rozdziela pomarańczę aż do końca. Ostatni kawałek dostaje dziewczynka obok. Kiedy wstaje, ona wstaje razem z nim. Kiedy idzie, ona podąża za nim krok w krok, bum, bum, szur, szur, popychając przed sobą bambusowy balkonik. Kai odwraca się, kuca i wciska na próbę palec między gips i jej nogę.

– W porządku?

Kiwnięcie głowy.

Kai odchodzi. Dziewczynka opiera się o swój balkonik i patrzy za nim niczym stojąca przy płocie stara kobieta.

Oddział dziecięcy nadal udekorowany jest bożonarodzeniowymi świecidelkami i łańcuchami z kolorowego papieru. Tym razem prezenty ufundowała zachodnia instytucja charytatywna, która przysłała fotografa, żeby uwiecznił uroczystość. Dzieciaki siedziały nieuśmiechnięte, trzymając prezenty na kolanach. Fotograf, Niemiec w średnim wieku, próbował je namówić do rozpakowania pudełek. Dzieci z płaczem opierały się jego zachętom. W końcu odebrał – właściwie wyrwał – prezent jakiemuś pięciolatkowi i zaczął z niego zdzierać papier. Płacz malucha przybrał na sile i nagle ustał, kiedy facet wyciągnął z pudełka mały drewniany domek. Salę natychmiast wypełniły odgłosy dartego papieru i gmerających palców. Uszczęśliwiony fotograf pstrykał przez kilka minut. Uśmiechnięty Kai stał w białym fartuchu ze stetoskopem, który rzadko nosił, bijąc brawa wraz z innymi członkami personelu.

W jednej z paczek był plastikowy pistolet. Dwaj chłopcy wdali się w bójkę. Jeden z nich, choć mniejszy, zdołał wyrwać pistolet z rąk drugiego, po czym kazał koledze uklęknąć z rękoma na karku i zabił go strzałem w tył głowy. Część personelu przestała klaskać. Pani Mara wystąpiła z szeregu, odebrała dziecku broń, dała mu inną zabawkę i wróciła na miejsce, trzymając pistolet za plecami.

Za wahadłowymi drzwiami szpitalnej przychodni siedzi na taczce apatyczny chłopiec o długich kończynach. Jego silnie zniekształcone kolano i goleń są zabandażowane i usztywnione tak, że noga wystaje z taczki. Wujek chłopca odgania od niego muchy. Nawet z tej odległości Kai czuje odór, słodki i ostry niczym woń zgniłych kwiatów. Wieczorem zaplanowana jest amputacja. Kai staje przed wujkiem i pyta, kto odda krew na operację. Mężczyzna stuka się w pierś. Chłopiec, rozgorączkowany, i piękny, z wystającymi kośćmi policzkowymi i wielkimi, ciężkimi powiekami, spogląda w dal, jakby czymś zaabsorbowany. Wygląda jak ktoś nie z tego świata. Kaia uderza to, w jak pięknym przebraniu przybywa czasem śmierć, kiedy indziej szpetna.

Diagnoza: mięsak. Zaawansowany. Proponowana terapia: Zabieg operacyjny, amputacja lewej nogi powyżej kolana. Zalecana z powodów etycznych – wpisał wcześniej do formularza.

W przedśionku sali operacyjnej przebiera się, wyrzucając zielony fartuch do kosza,

zsuwając ze stóp klapki i wkładając gumowe chodaki. Niektórzy z pracujących na kontrakcie zagranicznych chirurgów mają własne chodaki z wypisanymi markerem inicjałami. Kai zadowolona się parą z ogólnego przydziału: takie obuwie nadal jest luksusem.

Bierze czepek z półki, siada na ławce i rozprostowuje palce. Czasami zostaje w szatni przez kilka minut, otwierając się na stan, który ma nadejść. Czytał kiedyś o artystach, o tym, jaki mają stosunek do swojej pracy, i rozpoznał się w tym opisie. Jeden z autorów zauważył, że chodzi nie tyle o czekanie na wenę, ile o otwarcie się na jej przyjęcie. Kai wie, że kiedy otaczające go dźwięki zaczynają cichnąć, kiedy umysł zwija się, a horyzont podchodzi bliżej, wtedy gotów jest zacząć. W tym stanie nauczył się pracować prawie w każdych okolicznościach. Tak jak to robił przez długie miesiące w migotliwym świetle lamp, z prądnicą wyjąca w rogu sali, nieruchomiejąc z uniesionymi narzędziami niczym dyrygent na początku uwertury za każdym razem, kiedy maszyna psuła się i wysyłano kogoś, żeby przywrócił ją do życia. Tak jak to robił, kiedy pod ręką nie było żadnych środków znieczulających, a pacjentów przywiązywano do stołu i kazano gryźć skręcone prześcieradło. Kai zatracił się pośród ich krzyków, nie zauważał, czy i kiedy w końcu mdleli. Operował, używając każdych narzędzi, które były dostępne, nawet kuchennych.

W nagłych wypadkach, napędzany adrenaliną przedziera się przez labirynt, przebiegając jego ścieżkami, skręcając w lewo i w prawo, ufając, że trafny osąd pozwoli mu uniknąć ślepych uliczek, szukając światełek w tunelu. Szpital ma teraz pieniądze, niezbyt duże, ale jednak. Budynek wyremontowano, pojawili się cudzoziemscy lekarze na urloпах naukowych.

Dziś dostał list od Tejaniego. Wyciąga go z tylnej kieszeni i wygląda zagięcia na kolanie. W epoce internetu trzymają się tej staroświeckiej formy korespondencji. Domyśla się, że Tejani ma w domu komputer. Ale dla niego oznaczałoby to wycieczkę do miasta, do kafejki internetowej, długie czekanie na połączenie, pracowite wstukiwanie wiadomości – w pisaniu na klawiaturze jego palce nigdy nie doszły do sprawności, jaką osiągają, gdy trzyma w nich narzędzia chirurgiczne – i wieczne ryzyko, że wszystko diabli wezmą, kiedy padnie serwer albo wyłączą prąd. Na niebieskim aerogramie widnieje data wcześniejsza o dwa tygodnie. Poczta jest powolna, lecz mimo to obaj wolą z niej korzystać.

Anestezjolożka zagląda przez drzwi.

– Możemy zaczynać.

– Już idę.

Kai kładzie list na swoim ubraniu, zamyka szafkę i w ślad za kobietą wchodzi na salę.

Każdego dnia najpierw wykonują operacje zaplanowane, potem jakąś nadprogramową i być może nagły przypadek. Tylko znajdując stale jakieś zajęcie, potrafi nad sobą zapanować. Gdy nie operuje, wypełnia skrupulatnie historie choroby, pije kawę albo zgłasza się do pomocy na drugiej sali, gdzie chirurg pracuje często sam. Kiedy indziej pisze do Tejaniego, opisuje szczegółowo wykonywane przez siebie zabiegi. Ma niewielu przyjaciół wśród pracowników szpitala. Afrykanie, czyli prawie sto procent pielęgniarek, lecz niewielu lekarzy, mają wszyscy swoje domy i rodziny. Zachodni personel tworzy własne koterie, których granice wyznacza język, a czasami wiek i narodowość. Na ogół przyjeżdżają tylko na kilka miesięcy i Kai stara się w tym czasie wyciągnąć od nich wszystko, co wiedzą: od szkockiego specjalisty od bólu, demonstrującego, jak pacjenci odczuwają bóle fantomowe w kończynach, których już nie mają, od chirurgów plastycznych przybywających w czteroosobowych zespołach i pracujących na

okrągło przez dwa tygodnie, od chirurga oka, który przemieszczał się między szpitalami w stolicy i na północy kraju, nastawiał stoper przed każdą operacją zaćmy i lubił powtarzać żartem, żeby zrelaksować pacjentów, iż potrafi ją wykonywać z zamkniętymi oczyma.

A kiedy nie może już bardziej wydłużyć swojego dnia pracy, Kai mija pokój lekarski, gdzie późnym popołudniem schodzą się doktorzy, i jedzie do pustego mieszkania, o którego istnieniu wie mało osób. Leży na sofie, skręcając się na myśl o śnie, zerkając na świecące cyfry zegarka i licząc godziny, które pozostały do świtu. Sen, gdy nadchodzi, dopada go nagle i towarzyszy mu kawalkada obrazów, a czasami dręczące wizje. Często budzi się zlany potem. Rano, stojąc pod prysznicem, czeka, aż wrócą mu siły, a potem znów rzuca się w wir pracy.

Na sali operacyjnej mogliby zacząć, gdyby nie mucha. Krążąca nad lampami względnie przysiadająca na okiennej ramie. Pielęgniarka z maską na twarzy próbuje ją trzepnąć ścierką. Jakiś żartowniś przypiął na drzwiach bloku napis: „Strefa zakazu lotów”. Kai czeka, kiedy czynione są próby wyeliminowania owada. Na półkach poupychano butelki z solą fizjologiczną, rolki bandażu, cewniki, rurki do kroplówek, nici chirurgiczne, igły i pudła z rękawiczkami. Kilka lat temu rzecz nie do wyobrażenia. Kai myśli o Tejanim.

Kiedyś, jako studenci, pojechali razem do miasta na północy, żeby odnaleźć lekarza, który prowadził podobno badania nad gorączką Lassa. Ten człowiek stał się legendą wśród studentów. Gorączka atakowała populację wiejskich terenów Afryki Zachodniej, chłopów i rolników. Żadna firma farmaceutyczna nie sfinansowała programu jej zwalczania, chociaż wirus, który był przenoszony w moczu szczurów, odkryto już w 1969 roku.

Infekcja zaczynała się bólem głowy, a kończyła śmiercią; krew lała się z otworów ciała. Niektórzy twierdzili, że doktor cieszy się światową sławą. Inni, że w ogóle nie istnieje. Tejani i Kai wybrali się tam autostopem w pewien sobotni poranek, po trwającej do późnej nocy popijawie, w trakcie której założyli się ze sobą. Żaden od kilku lat nie wyjeżdżał ze stolicy, żaden nie wiedział, czy ten drugi mówi serio. Drogi były w tragicznym stanie, podenerwowani szoferzy ciężarówek jeździli w konwoju. Dotarli do celu po zmierzchu. W mieście ruszyli na poszukiwanie baru, żeby uleczyć kaca. Nie czuli już dreszczyku emocji, myśleli raczej o poniedziałkowych wykładach. Dwaj żołnierze, którzy wyłonili się z mroku, zapytali ich o dokumenty i powód przyjazdu. Tejani odpowiadał w imieniu obu, jak zawsze, gdy byli razem. Szczerze przyznał, że są studentami, powiedział o doktorze, do którego przyjechali. Na świecie nie ma zakątka, gdzie nie hołubiono by lekarzy. Żołnierze zaprowadzili ich do niego.

Zastali doktora przy pracy, siedzącego do późna w nocy pod pojedynczą, upstrzoną owadami czterdziestowatową żarówką. Pracował z jednym asystentem. Tejani i Kai czekali w milczeniu, aż będzie gotów z nimi porozmawiać. Niewielki mężczyzna, który dobrze czuł się we własnej skórze, i choć trochę zdziwiony ich wizytą, traktował niespodziewanych gości całkiem miło. Kai widział gdzieś zdjęcie, na którym doktor przyjmował nagrodę za swoje osiągnięcia – ubrany w za duży garnitur, z taką samą zdziwioną miną, otoczony przez europejskie twarze. Dwa jego wizerunki: ten późniejszy i ten pierwszy, kiedy pracował w głębi pokoju, badając próbki zakażonej tkanki, w pływackiej masce i fajce na głowie i w gumowych rękawiczkach na dłoniach.

W tamtych czasach nauczyli się improwizować. Tak było przez całe ich studia medyczne. Jeden wykonywał zabieg, inni patrzyli. Ten minimalizm stał się drugą naturą Kaia. I zawsze jest jakaś mucha. W związku z czym, jak zawsze, decydują się zacząć. Czas na sali operacyjnej

liczy się w drogocennych minutach.

Pacjent, któremu mają amputować nogę, leży na stole z rozpostartymi ramionami. Jedną rękę ma podłączoną do aparatu mierzącego ciśnienie, drugą – do kroplówki, do której pielęgniarka pompuje ketaminę. Jest przywiązany do stołu na wypadek halucynacji. Kai widział pacjenta, który próbował wstać w trakcie operacji, słyszał, jak inny rozmawia z nieżyjącą matką. Tejani pisał mu o nocnych klubach w Ameryce, gdzie ludzie leżą po ciemku, uspieni przez ketaminę. W czasie wojny dowódcy dawali ten psychotrop dzieciom tuż przed wysłaniem ich do walki.

Kai ma wrażenie, że w ostatnim liście pobrzmiwa nowy, bardziej zawadiacki ton. Przez pierwsze dwa lata w listach Tejaniego były same narzekania. To Kai dodawał mu otuchy. Teraz, po raz pierwszy wyczuwa coś innego. Przyjeżdżaj, powtarza Tejani staremu przyjacielowi. Przyjeżdżaj. To słowo nie daje mu spokoju przez cały długi dzień, niczym ziarnko piasku, które utkwilo między skórą i koszulą.

Kai omywa roztworem wody, jodyny i ampicyliny miejsce, w którym zostanie dokonane pierwsze nacięcie.

Seligmann, kanadyjski chirurg, któremu asystuje, jest już gotów.

– Tniemy.

Kai zamyka i otwiera oczy. Bierze głęboki oddech i odsuwa od siebie wszystkie dźwięki z wyjątkiem głosów kolegów i brzęku narzędzi.

# ROZDZIAŁ 11

Fotografia.

– Kazalem ją przynieść Babagalehowi. Nie oglądałem jej od lat. Była wśród rzeczy, które pakowaliśmy kilka tygodni temu.

Ogród, bujna roślinność zlewająca się z niebem zasnutym ciężkimi czarno-białymi chmurami, które rozjaśnia srebrzysty blask, być może odległej błyskawicy. W przeciwieństwie do nich twarz mężczyzny schowana jest w cieniu kapelusza. Mimo to Adrian widzi, że to Elias Cole. Elias Cole sprzed trzydziestu lat.

\*

Moim zdaniem nadużyciem byłoby twierdzić, że kiedykolwiek śledziłem Saffię. W rozmowie mogły paść nazwy miejsc, które lubiła odwiedzać, albo w których robiła zakupy. Później mogłem zapisać tę informację w notesie. I jeśli przypadkiem znalazłem się w takim miejscu o odpowiedniej porze, naturalnie rozglądałem się, żeby sprawdzić, czy jej tam nie ma. Czasami podchodziłem, żeby się przywitać. Kiedy indziej uznawałem, że lepiej nie wrywać jej z zamyślenia, i obserwowałem ją z oddali. To wszystko.

Kiedyś w Victoria Park zobaczyłem, jak idzie do biblioteki z kilkoma książkami pod pachą, ścigana przez jakiegoś chwiejącego się na nogach pomyleńca. Dołączyłem do niej i go przepędziłem.

– Och, Eliasie! Przestraszyłeś mnie! – zawołała. – On jest zupełnie nieszkodliwy – dodała, patrząc na mężczyznę z jego skołtunionymi włosami, brodą i grubymi poskręcanyimi paznokciami. – Podejdz tu, podejdz.

Zebrak, który przez cały czas zerkał na mnie kątem oka, przysunął się dość blisko, by móc wziąć od niej monetę. Przeróżliwie śmierdział moczem.

– Dziękuję, Ma. Niech Bóg cię błogosławi – powiedział, po czym uklonił się i wycofał tak, jak mógłby to zrobić kelner.

– Mimo wszystko powinnaś uważać – stwierdziłem, kiedy sobie poszedł.

Ruszyliśmy dalej alejką z popękanego betonu, mijając posąg brytyjskiej królowej. Saffia opuściła głowę i uśmiechnęła się pod nosem.

– Popatrz. Widziałeś kiedyś coś takiego? – Sięgnęła i zgięła łodygę bugenwilli zwieńczoną burzą cienkich jak papier płatków.

– Widzisz? Trzy różne kolory. Nie, cztery. Na tym samym krzaku. Na kampusie też rośnie kilka takich. Zauważyłeś to? Ktoś zadał sobie kiedyś mnóstwo trudu.

Dotarliśmy do stopni biblioteki. Saffia zatrzymała się i odwróciła twarzą do mnie, osłaniając oczy przed słońcem.

Jęknąłem i palnąłem się dłonią w czoło.

– Och, nie! Wybacz mi, proszę. Mam nadzieję, że nikomu jej nie sprzedał. Mówię o książce Sayera. W bibliotece nie zwracają jej od kilku tygodni. Pewnie przepadła. Zdziwiłabyś się, co można znaleźć na stoiskach z używanymi książkami tam na dole.

Saffia się uśmiechnęła.



– Muszę tam kiedyś zajrzeć. Nie będę cię zatrzymywać – odparła, unosząc wolną rękę.

U szczytu schodów obejrzała się i widząc, że na nią patrzę, spuściła głowę i szybko pchnęła obrotowe drzwi. Odwróciłem się i ruszyłem przed siebie, minąłem stoiska z książkami, nie zatrzymując się przy nich ani na chwilę, i pojechałem do domu.

W takich sytuacjach pierwszą rzeczą, która zawodzi, jest zdolność racjonalnego osądu. Pragnąłem jej. Żyłem w ciągłej frustracji. Zaraz po tym, jak się rozstawaliśmy, planowałem, kiedy i gdzie możemy się znów spotkać.

Można śmiało powiedzieć, że żadna kobieta nie wprawiła mnie wcześniej w taką konfuzję. Nigdy nie byłem zakochany. Kilka razy szeptałem bezmyślnie czułe słówka pewnym kobietom. Zawsze przed samym aktem miłosnym. Wiedziałem jednak – nawet jeśli przedtem nie miałem o tym pojęcia – że uczucia, jakie żywiłem do tych istot, były niczym miły letni dzień w porównaniu z grozą sztormu. Błądziłem w ciemności pośród grzmotów, błyskawic i szalejącego wiatru. Porwany przez nawałnicę, straciłem kompletnie orientację. Nawet jeśli Saffia uznała moje nagłe pojawianie się w różnych miejscach za coś niezwykłego, nigdy tego nie skomentowała. Ten fakt jeszcze bardziej osłabił we mnie zdolność racjonalnego myślenia, sprawił, że zapomniałem o wszelkiej ostrożności.

Piątek. Cztery dni po naszym spotkaniu w Victoria Park. Stałem na poboczu, obserwując ludzi, którzy mijali mnie w drodze do meczetu. Właśnie przestało padać, niebo było czyste i blade, bez jednej chmurki. W rześkim powietrzu głosy przechodniów wydawały się dźwięczniejsze niż zwykle. Nikt nie zwracał na mnie większej uwagi. Po kilku minutach drzwi różowego domu otwarły się i stanęła w nich starucha. Odziana na zielono, w czepku oplecionym modlitewnymi paciorkami, stała przez chwilę nieruchomo na tle ciemnego holu, a potem złapała fałdy sukni, zacisnęła palce na pasku torebki i ruszyła ulicą. Widząc, jak jej postać niknie w oddali, przeciąłem jezdnię i zapukałem do drzwi.

Saffia przez kilka chwil przyglądała mi się w milczeniu.

– Witaj, Eliasie.

W jej głosie zabrzmiała nowa nuta: znużenia albo ostrożności. Trzymając dłoń na klamce, nie otworzyła szerzej drzwi.

– Przepraszam, obudziłem cię. Może spałaś.

– Nie, nie – odparła szybko. Nie chciała, jak sędzę, by ktoś uznał ją za kobietę, która wyleguje się po południu.

– W takim razie na pewno gdzieś wychodzisz.

Miała na sobie prostą domową sukienkę i słysząc to, zerknęła na nią. Było jasne, że nigdzie nie wychodzi. Ostatecznie nie pozostawało jej nic innego, jak odsunąć się na bok.

– Wejdz, Eliasie. – W jej głosie nie było śladu gościnności, lecz nie pozwoliłem, choć być może powinienem, by mnie to powstrzymało. – Nie mam dużo czasu, wybieram się do miasta – skłamała. Nie potrafiła kłamać, była za mało konkretna, brakowało jej refleksu.

Usiadłem na tym samym co zwykle fotelu na werandzie. Chociaż Saffia była ubrana w luźną domową sukienkę w batikowe zielono-szare wzory i miała włosy zaplecione w warkoczyki, żadna kobieta, jaką w życiu widziałem, nie mogła się z nią równać urodą. Zadzwoił telefon i poszła go odebrać. Jej głos dobiegał na werandę i słuchałem tego, co mówi, próbując dociec, z kim rozmawia. Ktokolwiek to był, czułem się o niego zazdrosny, nie podobało mi się, że może do niej dzwonić, kiedy tylko ma ochotę.

Przed sobą miałem niebo, rozległe i puste. Nad kałużami w ogrodzie brzęczały owady. Deszcze dodały wigoru żabom, które rechotały niczym chór pijaków. Pojedyncze krople skapywały z liści i skądś dobiegał odgłos płynącej wody. Wróciwszy na werandę, Saffia nie zaproponowała mi kawy ani szklanki wody. Usiadła i położyła dłonie na kolanach. Kusilo mnie, by zapytać, kto dzwonił, zamiast tego powiedziałem jednak coś pochlebnego na temat ogrodu, o tym jak pięknie wygląda po deszczu.

– Z wyjątkiem lilii harmattanu – odparła. Najbardziej lubiła rozmawiać o ogrodzie. – Wołaj, jak jest sucho. To dla nich koniec sezonu.

Rozległ się dźwięk otwieranych drzwi i ktoś wszedł do domu. Przyszło mi do głowy, że to Julius, choć przed niecałą godziną zostawiłem go w swoim gabinecie. Miał teraz zwyczaj korzystać z niego, kiedy tylko mu pasowało. Otworzyły się kolejne drzwi. Cały stężałem. Saffia zerwała się z miejsca i wbiegła do środka.

– Ciociu? Czegoś zapomniałaś? Przyniosę ci.

A zatem to nie Julius, lecz starucha, która mamrocząc, ominęła Saffię, drepcząc do swojego pokoju. Saffia ruszyła za nią, zasłaniając ciałem werandę, na której siedziałem. Ciotka pojawiła się w końcu ponownie i w tym momencie chyba mnie zauważyła, bo zatrzymała się, odwróciła, podreptała do przodu i zerknęła przez szybę. Skinąłem jej głową, lecz nawet jeśli to zauważyła, zignorowała mnie. Usłyszałem, że mówi coś do Saffii. Nie mogę powiedzieć co, bo nie znałem i nadal nie znam ich języka, ale mogłem się wszystkiego domyślić po jej gderliwym tonie. Saffia zamknęła za nią drzwi i stała, trzymając je za klamkę, odwrócona do mnie plecami.

Po powrocie na werandę jeszcze bardziej się ode mnie odsunęła. Moja wizyta stała się niepożądana. Mimo to nie mogłem zmusić się do wyjścia. To, co następnie zrobiłem, wynikało z desperacji. Nie tak to miało wyglądać. Wyobrażałem to sobie zupełnie inaczej, może w czasie lunchu lub w kafejce. W mrocznym zakątku ogrodu, względnie na przyjęciu, kiedy mielibyśmy kilka chwil dla siebie. Albo w czasie wspólnej przechadzki po Victoria Park. Nie po Victoria Park, z jego pomyleńcami, żebrakami i sprzedawcami używanych książek, lecz po Victoria Park pełnym studentów czytających w cieniu drzew frangipani i par takich jak my, po Victoria Park, który istniał tylko w mojej wyobraźni.

Nie miałem pojęcia, kiedy znowu będę miał sposobność być z nią sam na sam. Wpadłem w panikę. Wyciągnąłem rękę i pewnie dotknąłbym jej ramienia, gdyby nie zerwała się nagle z miejsca.

– Wybacz, Eliasie, ale naprawdę muszę już wyjść.

\*

Kilka dni później siedziałem w moim gabinecie. Wpadł Julius. Nie ucieszyłem się na jego widok.

– Cole, Cole, Cole. – Mówiąc to, kręcił głową. – Moja żona... – Tu pogroził mi palcem.

Przyznaję, że trochę mną to wstrząsnęło, ale nagle zobaczyłem, że się uśmiecha. Ja też z przymusem się uśmiechnąłem i przywitałem go. Słyszałem własny głos, łamiący się i głuchy.

– Och, Cole, Cole – powtórzył. – Moja żona jest na mnie bardzo zła. Prosiła, żebym ci to oddał, już bardzo dawno temu. A ja zapomniałem. Musiałem ją błagać o wybaczenie.

Położył na moim biurku żółtą kopertę w czarne kwadraty z rodzaju tych, w których dostaje się wywołane zdjęcia. W środku były fotografie zrobione przed ich domem w trakcie

mojej poprzedniej wizyty.

A więc powiedziała mu. Julius przez cały czas o wszystkim wiedział.

Usiadł, przycupnął na skraju mojego biurka; w tym momencie mówił już o czymś innym. Z wysiłkiem udawałem, że go słucham. Zdałem sobie niejasno sprawę, że poklepał mnie po ramieniu i zamknęły się za nim drzwi. Mruknąłem coś, nie zatrzymałem go. Siedziałem w bezruchu, gapiąc się na biurko. Czulem, jak coś płonie w moich żyłach. Nie antypatia, nie można było nie lubić kogoś takiego jak Julius. A zatem nie antypatia. To był tłący się lekko płomyk nienawiści.

# ROZDZIAŁ 12

Piątkowy wieczór. Adrian czeka na Kaia. Jest jeszcze wcześniej i w barze prawie nikogo nie ma. Jego piwo, lokalnej marki, jest mocno gazowane i jasne. Adrian obserwuje innych klientów: dwóch Afrykanów, znajomych barmana, oraz małą grupkę ekspatów, którym dotrzymują towarzystwa dwie miejscowe dziewczyny.

Dociera do niego zapach morza przebijający się przez inne mroczniejsze aromaty. To już jego drugie piwo, pite na pusty żołądek. Kiedy się rozgląda, jego wzrok pada na jedną z kobiet. Ubrana w purpurowy top, opiera się o siedzącego przed nią mężczyznę, kładąc mu głowę na ramieniu. Adrian widzi tylko szerokie plecy, prążkowaną koszulę i opalone przedramię jej towarzysza. Dziewczyna jest zdecydowanie ładna, tuli się do mężczyzny z kocim rozleniwieniem. Adrian obserwuje ją, wyobraża sobie, że jest na miejscu mężczyzny, myśli o jej piersiach, zastanawia się, jak wyglądałby z nią seks, przez chwilę spekuluje, jak można by to załatwić. Czy powinien tu przyjść sam i zaczekać, aż do niego podejdzie? Może usiąść przy barze?

Zdaje sobie nagle sprawę, że dziewczyna podniosła oczy i patrzy prosto na niego. Bez cienia wstydu. Długie, mroczne, chmurne spojrzenie. Zakłopotany odwraca wzrok.

Prawie cały ranek spędził w szpitalu psychiatrycznym, rozmawiając z personelem i osobami, które mogłyby mieć więcej informacji o tamtej pacjentce. Z początku towarzyszył mu Salia, ale Adrian zdołał go w końcu przekonać, by pozwolił mu to zrobić po swoim.

Od pracowników i ze szpitalnych archiwów dowiedział się, że kobieta przyjmowana jest do szpitala dość regularnie. Ogólnie rzecz biorąc, co sześć, siedem miesięcy. Za każdym razem odnajdują ją tułającą się po ulicach. W kraju, gdzie doszło do migracji tak znacznej części ludności, nie ma w tym nic nadzwyczajnego, dziwne jest to, że kobietę doprowadzają do szpitala obcy ludzie, których nazwiska nie zawsze są odnotowywane. Jej historia choroby jest skrupulatnie rejestrowana, lecz skąpa. To samo dotyczy, niestety, zapisków personelu. Sanitariusze nie zostali zbyt gruntownie przeszkoleni. Adrian rozmawiał ze wszystkimi, pamiętając, by okazać im należyty szacunek. Dowiedział się kilku dalszych szczegółów. Raz znaleziono ją przy splądrowanym i zniszczonym domu towarowym. Dwa razy została zbadana przez wizytującego lekarza, który stwierdził, że jest w dobrym stanie fizycznym, i nie odkrył oznak nadużywania substancji psychoaktywnych ani epilepsji. Jej pobyty w szpitalu trwały kilka dni, maksymalnie dwa tygodnie, i za każdym razem kończyły się, co ze zdziwieniem skonstatował Adrian, wypisaniem na własną prośbę. Miała na imię Agnes.

Kiedy dowiedział się wszystkiego, czego mógł się dowiedzieć, zajrzał na oddział kobiecy. Była pora lunchu. Salowa stała pośrodku pomieszczenia, nabierając ryż ze stalowych kadzi i nakładając go na plastikowe talerze. Pacjentki czekały w kolejce wokół wózka. Z drugiego końca sali zmierzała ku nim kobieta, stąpając sztywno, w sposób typowy dla zażywających chloropromazyne. Minęło sporo czasu, odkąd Adrian widział ostatnio taki chód. W drżeniu rąk innej rozpoznał efekty uboczne haldolu. Agnes siedziała na skraju łóżka, trzymając talerz w lewej ręce i ostrożnie jedząc prawą, unosząc wysoko nadgarstek i delikatnie biorąc jedzenie

w palce. Zauważył, że nie oblizuje ich potem jak większość pacjentek, lecz bierze plastikowy czajnik z wodą stojący przy łóżku i polewa je nad miską.

Podszedł bliżej, żeby mogła go zobaczyć. Nie dała po sobie poznać, że cokolwiek dostrzega. Stał na wprost przed nią, by musiała na niego spojrzeć.

– Jestem doktor Lockheart. – Nie do końca prawda, ale zorientował się, jakie wrażenie wywołuje tutaj ten tytuł. Agnes podniosła nieruchome oczy, w których nie zabłysło ani rozpoznanie, ani dezorientacja. – Chodź – powiedział, po czym dał jej znak, żeby wstała, i ruszył w stronę drzwi, stąpając powoli, dopóki nie wyczuł, że za nim podąża.

Poprowadził ją do gabinetu Ileany.

– Wiesz, kim jestem? – Adrian siedział w fotelu, kobieta naprzeciwko niego. Salia pełnił rolę tłumacza. W tym momencie przekładał jego słowa na kreolski. Przedyskutowali to już wcześniej: jeśli kobieta jest ze stolicy, zrozumie. Jeśli skądinąd, Salia będzie mógł pomóc.

Agnes siedziała skulona. Na razie nie udzieliła żadnej odpowiedzi.

– Możesz mi powiedzieć, jak się nazywasz?

Nadal milczała, lecz poruszyła lekko głową na dźwięk jego głosu. Palcami skubała luźną nitkę przy sukni. Adrian powtórzył pytanie. Tym razem odpowiedzią był dźwięk, stłumione mamrotanie, jakby próbowała wydać jakiś odgłos. Nie zareagowała w ten sposób na żadne z podstawowych pytań, które zadał jej wcześniej. O datę, dzień tygodnia, o to, czy wie, gdzie się znajduje. Obserwował ją uważnie. Boczne ruchy głowy, przerwy w skubaniu nitki. Odniósł wrażenie, że kobieta na jakimś poziomie przetwarza jego pytania. Jeszcze na niego nie spojrzała.

– Czy wiesz, jak tu trafiłaś?

Agnes podniosła wzrok, wtuliła głowę w ramiona i popatrzyła w przestrzeń gdzieś między nim a opierającym się o parapet okna Salią. U nasady nosa pojawiła się ciemna kreska, oddech stał się szybszy. Potarła dłonią twarz.

– Przyszłaś tutaj sama czy ktoś cię przyprowadził?

Skubanie nitki ustało i chwilę później zaczęło się ze zdwojoną siłą. Adrian milczał, zdając sobie sprawę, że z boku obserwuje go Salia. Z pewnością opowie o wszystkim Attili. Zauważył, że Agnes ma krótko przycięte paznokcie u rąk i ładnie zaplecione włosy. Albo ktoś o nią zadbał, albo zrobiła to sama. Wątpił, by ktokolwiek w tym miejscu był do tego stopnia troskliwy.

– Możesz policzyć dla mnie swoje palce? – zapytał, zmieniając ton na dziarski i bezosobowy.

Agnes spojrzała na swoje dłonie i poruszyła po kolei palcami.

– Jeden. Dwa. Trzy. Cztery. Pięć – wyszeptała.

– Dobrze. A teraz druga ręka.

Tym razem nie policzyła kciuka i skończyła na czterech, wpatrując się w swoją dłoń.

– Spróbuj jeszcze raz.

– Jeden. Dwa. Trzy. Cztery. Pięć.

A więc gdzieś tam była obecna. I rozumiała po angielsku.

Później w tym samym pokoju wypił herbatę z Ileaną i opisał jej kobietę oraz swoją sesję. Zakończył ją po piętnastu minutach – to wystarczyło, by wyrobił sobie ogólną opinię. Zdał Ileanie relację z tego, co się wydarzyło.

– Mam wrażenie, że pochodzi z sensownego środowiska – podsumował. Świadczyły o tym jej wygląd, zachowanie, fakt, że rozumiała po angielsku. – Chciałbym wiedzieć, kto ją tutaj przyprowadził. Może mógłby nam w jakiś sposób pomóc.

– Całkiem możliwe. Choć niekoniecznie. Jeśli kobieta wygląda tak, jak mówisz, mogło to skłonić kogoś do przyprowadzenia jej w takie jak to bezpieczne miejsce. W nadziei na jakąś nagrodę albo napiwek, od nas lub od rodziny.

– Czy ktoś kontaktował się w tej sprawie z policją?

– Bardzo w to wątpię. Nawet gdybyśmy uznali, że mogą nam w czymś pomóc, kto tutaj miałby na to czas?

Na tym stanęli. Za dwa dni Adrian miał ponownie zbadać Agnes.

Pije trzecie piwo, gdy pojawia się Kai i bez słowa przeprosin pada obok niego na krzesło. Daje znak mijającemu ich kelnerowi, wskazuje piwo Adriana i podnosi dwa palce. Adrian przyzwyczaił się do tych niemych chwil, do ich faktury i półcieni. Bar dokoła zaczyna się wypełniać. Chmury owadów wokół lamp stają się coraz gęstsze, ich bzyczenie współgra z brzękiem jarzeniówek. Kiedy Kai zaczyna swoje trzecie piwo, Adrian czuje, że jest głodny. Zamawiają pieczone szaszłyki z kruszonymi orzeszkami ziemnymi i papryką. Podniecony i trochę pijany Adrian zamawia następną kolejkę. Jest zmęczony i delektuje się tym uczuciem, zmęczeniem, które bierze się z ciężkiego dnia pracy.

Nuci do muzyki. Kolejne piwo. I jeszcze jedno. Stojąca przy barze kobieta obserwuje Kaia. Krępa blondynka, z różową i spoconą skórą na odsłoniętych plecach i ramionach. Adrian widzi blade ślady po pasku biustonosza, zaczerwienienie w miejscu, gdzie ugryzł ją jakiś owad. Ma otwarte usta, zmrużone oczy, przechyloną głowę. Jej poza świadczy o skoncentrowanym pożądanu, tak silnym, że wstrząśnięty Adrian zerka na Kaia, by sprawdzić, czy to zauważył. Kai opróżnia butelkę, wstaje i kieruje się w stronę toalety. Ma trochę chwiejny krok.

– Uważaj, jak idziesz.

Kobieta odsuwa się od baru i rusza w stronę Kaia, ani przez chwilę nie spuszczając go z oczu. Kiedy Kai łapie równowagę, staje przed nim, celując piersiami w jego tors, tak blisko, że prawie go dotyka.

– Cześć – mówi i wyciąga rękę w wąskiej dzielącej ich przestrzeni. – Jestem Candy. – A może Sherrie? Coś w tym rodzaju, później Adrian nie ma pewności, zaskoczyła go jej śmiałość. – Mogę ci postawić drinka?

Kai spogląda z góry na kobietę czekającą w milczeniu, które zapadło po jej pytaniu.

– Nie, dziękuję – odpowiada i odstawia ostrożnie pustą butelkę na stół.

Blondynka stara się dzielnie znieść odmowę: ściąga usta w grymasie udawanego rozczarowania i przygląda mu się z ukosa. Ale Kaia już nie ma, zniknął w toalecie. Kobieta wzrusza ramionami, wraca do swoich znajomych i siada z powrotem przy barze. Chwilę później dwaj mężczyźni pochodzący chyba z Bliskiego Wschodu, smagli i krępi, zajmują pozycje po jej obu stronach, nachylają się do niej, dmuchają w kark, dotykają włosów i Candy czy też Sherrie znowu zaczyna się śmiać.

Adrian odwraca się, myśli ponownie o przyjacielu, o murze, którym się otoczył. Kai żyje teraźniejszością, prawie w ogóle nie ujawnia swojej przeszłości. O tym, co robi, kiedy nie jest w szpitalu, Adrian nie ma najmniejszego pojęcia. Wyobraża sobie dom pełen krewnych, dzielony z kimś pokój, prześcieradło zawieszane na sznurze. Kai umie o sobie zadbać; to

wskazywałoby na dom zamieszkały przez kawalerów. Gdzie jeszcze spędza wieczory? W miejscach podobnych do tego? Nie. Przyszedł tu ze względu na niego. W nocy Adrian słyszy głosy z jego snów, kroki, które nie wiadomo, gdzie się zaczynają, a gdzie kończą. Nie pamięta już, ile razy wszedł przed świtem do salonu i zastał Kaia dawno obudzonego i ubranego.

Kai wraca. Po drodze zahaczył o bar i kupił dwie kolejne butelki piwa.

– Byłeś kiedyś żonaty? – pyta Adrian, ponieważ dużo o tym myślał.

– Kto, ja? – odpowiada tamten pytaniem na pytanie.

– Tak, czy byłeś kiedyś żonaty?

– Nie. – Kai otwiera swoje piwo i wlewa je prosto do gardła z oczyma utkwionymi gdzieś za ramieniem Adriana.

Adrian pociąga łyk ze swojej butelki. Jedzenie pomogło: przynajmniej chwilowo rozjaśniło mu się w głowie.

– Raz o mało się nie ożeniłem. Myślałem o tym – mówi Kai.

– I co?

Kai potrząsa głową.

– Byliśmy za młodzi. Tak mi się w każdym razie wydawało. Po skończeniu studiów miałem zamiar dokonać wielu rzeczy. Kilka spraw mi w tym przeszkodziło – wyjaśnia i beka.

– Na przykład?

– Taki drobiazg jak wojna.

– Czego chciałeś dokonać?

– Miałem plany, człowieku. Wielkie plany.

– Jakie?

– Chciałem być pewnie najlepszy. Po prostu. Ja i Tejani. Kumplowaliśmy się wtedy. Nigdy sobie tego inaczej nie wyobrażałem.

– Co się z nim stało?

– Wyjechał. – Kai macha ręką, jakby chciał odgonić komara.

– A dziewczyna?

– Cóż... – Kai pije duszkiem z butelki tak długo, że musi zaczerpnąć powietrza. – Dziewczyna? Nadal tu jest.

Dochodzi północ. W lokalu nie ma gdzie wcisnąć szpilki. W blasku jarzeniówek niektóre twarze świecą jak księżyce, na zewnątrz inne twarze wylaniają się i nikną w mroku. Kolorowa kula nad parkietem zmienia strużki potu na ciałach tancerzy w lśniące nitki czerwieni. Adrian i Kai siedzą sami przy stoliku pośród falującego hałasu i gorąca niczym ocaleni z katastrofy rozbitkowie, wyczerpani i szczęśliwi, że żyją. Zaczyna się piosenka w południowoafrykańskim rytmie. Congo maway, congo. Congo mama.

– Chodź.

Kai wstaje i kołysząc się, idzie w stronę parkietu. Adrian jest tak pijany, że rusza w ślad za nim. Tańczą ze sobą; nikt się tym nie przejmuje. Światła, alkohol i krążąca szybciej w żyłach krew sprawiają, że Adrianowi znowu zaczyna się kręcić w głowie. Wie, że jeśli się potknie, masa ciał utrzyma go na powierzchni. Po jakimś czasie zawroty stają się silniejsze i wraca do stolika, skąd obserwuje Kaia, który z odchyłoną do tyłu głową i przymkniętymi oczyma kołysze się dalej na parkiecie.

# ROZDZIAŁ 13

**Julius.** Co chciałby pan, żebym o nim opowiedział? Był osobą, która wierzy w siebie, w cel swojego istnienia, we własne szczęście. Julius nie lubił być sam, potrzebował widowni. Szukał mojego towarzystwa i wydawało mi się, że pod wieloma względami stał się ode mnie zależny.

Kiedyś wybraliśmy się do kasyna. Byliśmy tam sami, bez kobiet. W tym czasie moje stosunki z Vanessą praktycznie ustały, a po niefortunnym zakończeniu ostatniej wizyty u Saffii, nadal nie wiedziałem, jak mam się zachowywać w jej obecności. Julius, nie mając o tym wszystkim pojęcia, przyszedł do mojego gabinetu spragniony rozrywki.

Napiliśmy się. Inicjatywa jak zwykle wyszła od niego. Pod wpływem alkoholu stawał się wylewny. Pod tym względem, podobnie jak pod wieloma innymi, byłem jego przeciwieństwem, ponieważ alkohol zawsze sprawia, że zamykam się w sobie, i kiedy ktoś zawraca mi głowę, mogę się odgryźć. Julius uznał, że sprzyja mu szczęście, i oznajmił to wszem wobec na pustej ulicy, kiedy wyszliśmy z baru i skierowaliśmy się do kasyna. Postawił wszystkie żetony na jeden numer, ja ostrożnie na wiele. Krupier zakręcił kołem. Ja skromnie wygrałem, Julius po królewsku przegrał. Swoją przegraną uczcił przy barze.

Tamtego wieczoru dowiedziałem się, że ma astmę. Kiedy byliśmy w kasynie, coś, nie pamiętam już co, szalenie go rozbawiło. Zaczął się śmiać. Choroba ujawniała się w jego śmiechu, który mógł spowodować atak. Dlatego właśnie Saffia przyglądała mu się z takim niepokojem podczas tamtego pierwszego przyjęcia w ich domu. Tym razem śmiech przeszedł w kaszel; ostatnimi czasy sporo kaszlał. Mogła się do tego przyczynić zmiana pór roku. Teraz, gdy przestał wiać harmattan, w powietrzu unosiło się mniej kurzu. Ale deszcze też nie były dobre. Przyroda budziła się do życia i miejsce kurzu zajmowały zarodniki i pyłki. Rzęzenie, jakie wydobyło się z jego piersi, przypominało odgłos piły; przerywały je nieregularne ataki kaszlu. Julius sięgnął do kieszeni i wyciągnął inhalator. Byłem zaskoczony. Wyobrażałem sobie chyba, że astmatycy są od niego znacznie szczuplejsi. Pamiętam, że kiedyś wyznał mi, iż w dzieciństwie o mało nie umarł. Musiał chyba mówić o swojej astmie. Był najmłodszym dzieckiem w rodzinie, jedynym chłopcem. To wiele wyjaśniało. Zachowywał się tak, jakby świat stworzono specjalnie dla niego; pewnie dlatego, że bez przerwy mu dogadzano. A może dlatego, że o mały włos go nie opuścił.

W następnych tygodniach dwukrotnie gościłem w ich domu. Za każdym razem na zaproszenie Juliusa. Przyjmowałem je, bojąc się, że moja nagła odmowa może zwrócić jego uwagę. Poza tym nie mogłem oprzeć się pokusie, żeby zobaczyć Saffię. Szukałem pociechy dokładnie w tym samym, co sprawiało mi ból.

Rezerwa okazywana mi przez Saffię przybrała formę nienagannyh manier. Tylko ja spostrzegłem, że jej oczy nigdy nie szukały już moich, tak jak bez skrupowania czyniły to wcześniej. A jeśli się przypadkiem spotkały, nigdy się nie uśmiechała. Proponowała mi zaraz kolejne piwo, pytała, czy nie gryzą mnie komary, sugerowała, że powinienem odwiedzić to czy inne miejsce, spotkać się z tą czy inną osobą. Pytała stale o Vanessę. Kobiety często stosują tę metodę, żeby trzymać mężczyznę na dystans.



Przy drugiej okazji jadłem kolację w ich domu i Saffia i ja zostaliśmy na chwilę sami przy stole. Julius i Ade poszli po więcej piwa. Kekura zniknął potem w toalecie. To nagle osamotnienie wcale się nie spodobało Saffii, nie miała jednak wyboru: musiała mnie zabawić. Milczenie wypełniła kolejnym pytaniem o samopoczucie Vanessy.

– Otóż to – odpowiedziałem. – Niestety, muszę ci wyznać, że Vanessa jednak za mnie nie wyjdzie.

– Aha. – Ta wiadomość, jak można się było spodziewać, wyraźnie zbiła ją z tropu, lecz wciąż miała się na baczności. – Nie miałam pojęcia. To znaczy nie wiedziałam, że byliście zaręczeni.

– Oczywiście, że nie wiedziałaś. I formalnie rzecz biorąc, nie byliśmy. Miałem jednak nadzieję, że do tego dojdzie. Vanessa postanowiła inaczej.

– Powinieneś przyjść z tym do mnie – stwierdziła z zatroskaną miną.

– Przyszedłem. To znaczy próbowałem. Ale twoja ciotka... To nie był odpowiedni moment.

Niewinne kłamstewko. Kluczowe dla naszej przyjaźni, dla delikatnych negocjacji, które utrzymywały ją w możliwych do przyjęcia granicach. Obserwowałem jej twarz, gdy uświadamiała sobie na nowo sytuację, widziałem grę emocji, poczucie ulgi i zakłopotanie na myśl o tym, że błędnie odczytała powód mojej poprzedniej wizyty.

– Może powinnam porozmawiać z Vanessą – powiedziała, bardzo chcąc mi teraz pomóc.

– Dziękuję, Saffio, ale nie sądzę, żeby to coś dało. Żeby cokolwiek z tego wyszło. – Pokręciłem głową i wbiłem wzrok w talerz. Z głębi domu dobiegł odgłos spuszczonej wody. – Chciałem cię tylko prosić o jedno. – Nie mogłem się oprzeć, by nie wykorzystać do końca mojej przewagi.

– Oczywiście.

– Jeśli nie masz nic przeciwko, wolałbym, żebyśmy to zachowali między nami. Nie wtajemniczali nawet Juliusa.

– Nie, nie. Nie martw się. Nie narażę cię na żadne docinki z jego strony.

Saffia pochyliła się i ścisnęła mnie za ramię. Byliśmy znowu przyjaciółmi.

Chwilę później pojawił się Kekura, zapinając sprzączkę paska i machając mokrymi dłońmi, żeby je osuszyć. Obserwowałem Saffię, która siedziała ze zmarszczonym czołem, nadal próbując przyswoić sobie to, co usłyszała, przede wszystkim, jak przypuszczam, fakt, że błędnie oceniła moje motywy. Ach, kobieca próżności! Uwierzyła wcześniej, że mnie pociąga, dlatego odczuwana przez nią ulga skażona była chłodem odrzucenia.

\*

Czerwiec. Deszcze rozpadały się na dobre. Woda spływała ze wzgórz i do morza, znacząc błękitną wodę ciemnymi smugami mułu. Kiedy późnym rankiem i wczesnym popołudniem przestawało lać i zza chmur wyglądało słońce, za miastem widać było zielone jasne wzgórza. Studenci powtarzali materiał i zdawali egzaminy. Wiele wykładów i zajęć było zawieszonych aż do nowego roku akademickiego i na kampusie panowała atmosfera nadmorskiego kurortu po zakończeniu sezonu. Z wyjątkiem wakacji ten właśnie okres lubiłem najbardziej. Przestrzeń dla myśli, czas spędzany w samotności. To były rzeczy, które ceniłem. W przeciwieństwie do Juliusa, który bez codziennych występów na sali wykładowej i adorujących go studentów chyba się nudził.

Po raz kolejny zasiadłem do artykułu do wydziałowego pisma. Tym razem wyciągnąłem

wniosek z rozmowy z dziekanem i domyśliłem się, że chce mnie przygarnąć – jeśli można to tak ująć – pod swoje skrzydła, pragnie, bym został jego protegowanym. Wziąłem sobie również do serca jego radę w kwestii tematu. Rozmawialiśmy o tym ponownie: „A, to ty, Cole”, mruknął, mijając mnie na korytarzu, i zaprosił do swojego gabinetu. Przyjrzałem się ponownie przedmiotom na jego biurku, starając się je zapamiętać. Onyksowy przycisk do papierów. Podstawa na pióro. Nóż do papieru z kości słoniowej. Tabliczka z nazwiskiem. Dziekan stał przy oknie, preżąc ku mnie swoje szczupłe pośladki.

– Czy jesteś zwierzęciem politycznym, Cole?

Odparłem szczerze, że nie sędzę.

– To dobrze. Zadaniem akademików jest według mnie prezentowanie przeszłości. Teraźniejszość zostawiają innym.

Ośmieliłem się wymamrotać, że studiowanie jednego okresu nie wyklucza przecież studiowania innego.

– Niczego takiego nie sugeruję – odparł z pewnym zniecierpliwieniem. – Mówię tylko, że jesteście historykami, oto, kim jesteście.

– Oczywiście.

Szczerze mówiąc, nie miałem zamiaru się z nim spierać. Musiałem opublikować kilka prac, żeby zatrudnili mnie na stały etat. Nie pogniewałbym się również, gdyby dziekan zaproponował mi jakieś stanowisko administracyjne.

– Uniwersytet jest miejscem, gdzie ludzie się uczą, a nie uprawiają politykę. A ja chcę mieć na wydziale porządek.

Rozumiesz, co mam na myśli, Cole?

Nawiązywał, jak sędzę, a w każdym razie jak sędziłem wówczas, do tego, co działo się w Europie i Ameryce, do demonstracji, które rozlały się prawie na cały świat. Dopiero co skończył się rok 1968. Rok zamieszek w Paryżu i strajków okupacyjnych w Rzymie. Na Harvardzie w roku 1969 zajęto budynek administracyjny. To samo wydarzyło się w maju na Berkeley. Policja zastrzeliła studenta. Oburzony Julius wpadł do mojego gabinetu, wymachując gazetą.

– To przecież dzieci! – zawołał. – To dzieci! Jeśli oduczą je zadawania pytań, kto będzie miał odwagę to robić?

Jak na człowieka jego postury, bardzo łatwo się ekscytował. Usiadł, mrużąc oczy. Miał w nich chyba łzy. Niewiele wiedziałem o tych zamieszkach, o tym, co je naprawdę spowodowało. Sympatycy komunistów, jeśli wierzyć władzom. Walka o wolność słowa, jeśli popierało się studentów. Nie miało to dla mnie większego znaczenia. Studenci byli wicherzycielami. Policja wykonywała swoje obowiązki, niewątpliwie z przesadną gorliwością. Ale jednak je wykonywała. Tego rodzaju głupstwa należały moim zdaniem do innego świata. Żyliśmy w Afryce. Lata sześćdziesiąte jeszcze do nas nie dotarły. To znaczy, niekoniecznie. Niektórzy pracownicy naukowcy w krajach takich jak Nigeria zaangażowali się politycznie, podnosząc kwestie, które im się nie podobały. Stanowili jednak raczej wyjątek potwierdzający regułę. Osiągnęli tyle, że wylano ich z uczelni. I nie byłem pewien, czy zgadzam się z pewnymi pomysłami Juliusa dotyczącymi edukacji. Naszym obowiązkiem było przeprowadzenie studentów przez egzaminy, nic więcej. Jeśli o to chodzi, mogę stwierdzić, że byłem tradycjonalistą podobnie jak dziekan.

Skierowałem rozmowę na właściwe tory, przedstawiając temat mojego nowego artykułu: **Opodatkowanie bezpośrednie we wczesnej historii prowincji. Dziekan, jak już wcześniej się przekonałem, miał duszę księgowego. Zgodnie z tym, czego się spodziewałem, był zachwycony moją propozycją. Następnie odbyliśmy na ten temat nadzwyczaj sympatyczną rozmowę, w trakcie której zwracał się do mnie jak do równego sobie. W końcu wstałem i ruszyłem do drzwi.**

**– Miło było z tobą porozmawiać, Cole – usłyszałem. – Cole? – Odwróciłem się z ręką na klamce. Dziekan przekładał papiery na biurku i w ogóle na mnie nie patrzył. – Twój gabinet.**

**Czy nie miałeś dać mi listy osób, które korzystają z niego poza godzinami dyżurów? Oczywiście oprócz ciebie.**

**– Nie sądzę.**

**– Aha. Wydawało mi się, że cię o to prosiłem.**

**Pokręciłem głową.**

**– Tak czy inaczej, będziemy mieli niedługo zebranie na temat wykorzystania przestrzeni biurowej na kampusie. Dobrze byłoby zebrać trochę danych, miałbym wtedy szerszy obraz. Jeśli nie pełen przegląd, to przynajmniej jakiś przykład na poparcie naszych argumentów.**

**Mówiąc to, podniósł głowę i spojrzał mi prosto w oczy.**

**– Oczywiście. To żaden problem.**

**– Zostaw listę w mojej przegródce.**

**Zapewniłem go, że to zrobię, i wyszedłem.**

# ROZDZIAŁ 14

Z naprzeciwka idzie Attila. Jest rano, to trzecia wizyta Adriana w szpitalu psychiatrycznym. Machinalnie ocenia dystans do klatki schodowej prowadzącej do gabinetu Ileany i dochodzi do wniosku, że spotkanie jest nieuniknione. Czuje, że się czerwieni; coś w tym człowieku wyprowadza go z równowagi.

Attila najwyraźniej nie pamięta jego nazwiska.

– Oczywiście – mówi z zabójczym uśmiechem, kiedy Adrian je podaje. – A zatem pan wrócił. Jakie pan ma wrażenia?

– Jak najlepsze. Dziękuję. Salia bardzo mi pomógł.

Adrian nie chce mówić nic więcej, dopóki nie będzie miał okazji ponownie zbadać Agnes i nie pozna lepiej jej stanu. Attila jest tu wszechmocny, wszystko zależy od jego łaski. Minotaur w swoim labiryncie. Adrian ustępuje z drogi starszemu mężczyźnie.

Agnes nadal jest tajemnicą. Adrian ma niewiele wskazówek, na podstawie których mógłby z nią pracować. Nie ma śladów urojeń, kobieta jest spokojna. Salowe mówią, że jest jedną z najlepszych pacjentek, mając na myśli, że nie zakłóca pracy oddziału i skarży się tylko na bóle głowy. Wydaje się, że pozostaje w ciągłej gotowości, jakby czekała na coś lub na kogoś.

Adrian odbył z nią dwie rozmowy, za każdym razem w obecności Salii. Ostatnim razem pożyczył od Ileany pomarańczę, kostkę cukru i ciastko z kapką dżemu pośrodku.

– Możesz mi powiedzieć, jak to się nazywa? – zapytał, tocząc pomarańczę po stole w jej stronę. Pozwolił Agnes zachować przedmioty, które prawidłowo rozpoznała. Wydawała się bardziej rozmowna i chociaż na niego nie patrzyła, odpowiadała na jego pytania. Był dla niej osobą reprezentującą jakąś władzę i nie chciał zmieniać tego nastawienia. Kobieta nie pamiętała, jak się tutaj znalazła i kto ją przyprowadził. Mówiąc, zacinała się, i Adrian nie zawsze dobrze ją słyszał, potrzebował pomocy Salii. Od czasu do czasu pocierała dłonią twarz. Kiedy indziej skręcała brzeg swojej lappy. I chociaż nie potrafiła odpowiedzieć na wszystkie pytania, jej zachowanie świadczyło o uległości.

Choć Adrian pogardza tanimi sztuczkami, obrócił ku niej lusterko, które zabrał z biurka Ileany.

– Powiedz mi, co widzisz.

Minęła jedna, potem druga minuta. Agnes wpatrywała się w swoje odbicie. Po jakimś czasie potarła lusterko kciukiem. W końcu pochylila się i położyła je na stole.

– Co widziałaś? – powtórzył Adrian.

Agnes potrząsnęła głową i zmarszczyła czoło.

– Szkło jest niedobre.

Był jeszcze jeden ciekawy moment. Doszło do niego, gdy Agnes wychodziła i mijała Salie stojącego w swojej tradycyjnej pozycji, plecami do okna, ze splecionymi z tyłu rękoma. Podniosła głowę, wyjrzała przez okno i w całkiem naturalny sposób zapytała go, dlaczego harmattan zaczął wiać tak wcześnie w tym roku. Czy tak szybko skończyły się deszcze? A Salia odpowiedział, cicho i z szacunkiem, że deszcze przestały padać już przed kilkoma

miesiącami. To było trzy dni temu.

Dzisiaj Salia informuje Adriana, że wezwano go do Agnes w trakcie nocnego dyżuru. Po postępie, który nastąpił w ciągu kilku ostatnich dni, doszło do pogorszenia. We wczesnych godzinach rannych na oddziale doszło do incydentu. Agnes była poruszona i podenerwowana, mówiła o jakimś zgubionym złotym łańcuszku i desperacko starała się opuścić oddział. Salia nie miał innego wyjścia: musiał dać jej coś na uspokojenie. Adrian słucha pielęgniarza, który stoi na tle okna i okruchów białego słonecznego światła. Razem idą na oddział kobiecy, gdzie leży, w dalszym ciągu śpiąc, Agnes.

– Czy mamy ją przywiązać, kiedy się obudzi? – pyta Salia.

Adrian nie może się zgodzić na coś takiego.

– Po prostu nie pozwólcie jej się denerwować. Niech to odeśpi.

W milczeniu Salii zawarta jest sugestia, że on sam rozegrałby to inaczej, lecz oczywiście będzie tak, jak sobie życzy Adrian.

\*

Popołudnie. Salia i Adrian są na mieście. Salia unosi wysoko swoje nieskazitelne buty pielęgniarza, przestępując przez zapchane i śmierdzące rynsztoki. Przekupnie siedzą za ustawionymi na stołkach otwartymi drewnianymi skrzynkami. Salia mija ich, staje przed budynkiem i puszcza Adriana przodem. Klatka schodowa jest nieoświetlona, w powietrzu unosi się zapach siarki. Za drzwiami na pierwszym piętrze jest duża sala. Wewnątrz, w półmroku i gwarze ludzie przemieszczają się między kłitkami, których granice wyznaczają sznury z suszącym się praniem i prowizoryczne tekturowe ścianki. Z ulicy, niespełna dziesięć metrów dalej, nie sposób domyślić się istnienia tego drugiego miasta we wnętrzu starego domu towarowego. Stopa Adriana trafia w wiadro i woda oblewa mu but. Hałas odbija się echem, jakaś kobieta klnie go cicho. Adrian staje i Salia ponownie rusza przodem.

– Przepraszam, Ma – mówi i pyta kobietę odstawiającą wiadro, gdzie mogą znaleźć osobę, której szukają. Pochylona nad wiadrem kobieta podnosi głowę i wskazuje kierunek.

Odnajdują mężczyznę, który ubrany w kamizelkę i szorty siedzi na podwyższeniu, gdzie niegdyś stały manekiny. Tak, mówi. To on zaprowadził tę kobietę do domu wariatów. Słyszał o doktorze Attili. Nie chciał zostawiać jej na ulicy.

– Teraz tu mieszkasz? – pyta Adrian.

Mężczyzna kiwa głową. Na szczęście mówi po angielsku.

– Byłem tu odźwiernym – dodaje. – Przedtem.

Podobnie jak u innych, w sposobie, w jaki to mówi, zawarta jest sugestia bezczasowości. To było przedtem. To jest teraz. A między jednym i drugim martwa pustka.

– Znasz ją?

– Tak. Jej córka kiedyś tu pracowała, Ma wpadała tu od czasu do czasu.

Niekiedy szedł na górę i wołał do niej córkę. Miła dziewczyna, córka. On i ta kobieta spędzali razem czas, gdy na nią czekała. Zapamiętał, że kobieta mieszkała daleko od stolicy, ponieważ kiedy nie mieli innych tematów, dyskutowali na temat stanu dróg. Tyle mniej więcej pamięta. Minęło wiele lat. Tyle się zmieniło.

Ludzie mówią, że kobieta jest opętana.

– Pan też tak uważa? Że jest opętana?

Mężczyzna podnosi się z podwyższenia i staje naprzeciwko Adriana. Ma powolne,

zmęczone ruchy.

– Widywałem ją tu wcześniej. Powiadają, że czasami niektórych z nas odwiedzają duchy. Nie jest opętana, ale owszem, jest nawiedzona. Niektórzy ludzie się tego boją. Ja się nie boję, bo znałem ją wcześniej. Ale ludzie teraz nie są tacy jak dawniej, zrobili się bojaźliwi.

Mężczyzna odprowadza ich do klatki schodowej. Adrian dziękuje mu i podaje rękę. Salia wciska w dłoń dawnego odźwiernego kilka banknotów, mężczyzna kłania się i zaciska na nich palce. W milczeniu odprowadza ich wzrokiem.

Na zewnątrz ruszają z powrotem w blasku i upale. Salia wyprzedza Adriana o dwa kroki, stąpając niczym tancerz z wyprostowanymi ramionami i uniesionym podbródkiem, wyglądając, jakby sunął nad ziemią. Adrian zastanawia się, jak nawiązać z nim rozmowę.

– Co on dokładnie miał na myśli, mówiąc, że Agnes jest nawiedzona? – pyta.

Salia odwraca się, żeby na niego spojrzeć.

– Dlaczego tak się pan przejmuje tą kobietą?

To pytanie padające z ust pielęgniarki szpitala psychiatrycznego odbiera Adrianowi mowę. Jedna z salowych, która spryskiwała podłogę środkiem dezynfekcyjnym, zapytała go o to samo, chichocząc półgębkiem, jakby jego zainteresowanie świadczyło o czymś zdrożnym. Dlaczego akurat tą? Dlaczego nie? – ma ochotę odpowiedzieć. Nie potrafi udzielić innej odpowiedzi prócz tej, która jest prawdziwa: ponieważ poza tamtym pacjentem w szpitalu, umierającym Eliasem Cole'em, ta kobieta jest wszystkim, co ma. Nie zamierza się usprawiedliwiać. Z drugiej strony Salia jest prawą ręką Attili.

– Może zamówimy coś zimnego? – pyta Adrian, wskazując siedzącego w kucki pod drzewem sprzedawcę z turystyczną lodówką. Musi schować się gdzieś w cieniu, uciec przed tym bezlitosnym skwarem. Salia kiwa głową i zamawia kruszony lód, wybierając polewę w jaskrawożółtym kolorze. Adrian prosi o colę i szuka w kieszeni drobnych. Salia bierze do ust kruszony lód, a on powtarza swoje pytanie.

– Tak się mówi – wyjaśnia pielęgniarka. – Kiedy duch wchodzi w kogoś, czasami ten ktoś zachowuje się w szczególny sposób, który ludzie nazywają wariactwem. Więc ten mężczyzna próbował po prostu dać do zrozumienia, że ona zachowywała się po wariacku, gdy ją odnalazł.

Później, w gabinecie Ileany, Adrian jeszcze raz czyta uważnie zapiski dotyczące Agnes. Na ścianie przed sobą ma mapę kraju. Szukając jakiegoś porządku w układzie samogłosek i spółgłosek tworzących nazwy nieznanymi miejsc, o których mowa w notatkach, po kolei je lokalizuje. W popielniczce na biurku Ileany znajduje kilka kolorowych szpilek, a także trzy kolczyki i agrafkę z przywiązaną do niej wstążką, i wpina je wszystkie w mapę. W ten sposób oznacza każdą lokalizację, łącznie z miejscem, w którym zobaczył Agnes na ulicy w pierwszym tygodniu swojego pobytu w tym kraju. Kiedy Ileana wchodzi do gabinetu, pachnąc papierosowym dymem i perfumami, Adrian stoi przed mapą, przyglądając się swojemu dziełu.

– Terapia przez sztukę?

Adrian się uśmiecha.

– Zgadnij.

– To ma coś wspólnego z twoją pacjentką, prawda?

– Tak.

Lekarka przygląda się mapie i kręci głową.

– Powiedz.

– To wszystkie miejsca, w których została odnaleziona, zanim tutaj trafiła.

– Jezu Chryste! – mówi Ileana.

Stojąc obok siebie, śledzą podróże Agnes oznakowane na mapie kolorami i biżuterią.

Agnes śpi. Obie dłonie ma wsunięte pod podbródek, ciało wygięte w znak zapytania. Jest kompletnie nieruchoma, nie trzepocze powiekami, nic jej się nie śni. Adrian staje u stóp łóżka. Niełatwo dostrzec jej oddech. W rogu sali jakaś kobieta uśmiecha się i podśpiewuje.

Potem idzie przez trawnik do małej kępy drzew w ukrytym zakątku ogrodu. Gaj Pacjentów, jak go kiedyś nazwano, zupełnie zdziczał. Nieregularne kamienne płyty. Wszędzie indziej doszedłby do wniosku, że ktoś położył je dla żartu. Alejki są zarośnięte, w powietrzu czuć zapach zwiędłych kwiatów zmieszany ze świeżą wonią morza. Ziemia usłana jest długimi zakrzywionymi strąkami, niektóre z nich pękły i wysypały się z nich nasiona. Na gałęzi nad jego głową przycupnęła ciemna, ciężka orchidea. Adrian myśli o Agnes i o jej podróżach. W jego profesji nazywają to fugą: to stan, w którym ciało i zraniona dusza łączą się w mrocznych peregrynacjach.

Agnes czegoś szuka. Czegoś, po co wyprawia się daleko i czego nie udaje jej się znaleźć.

# ROZDZIAŁ 15

Mężczyzna na stole ma marzenia, marzy o tym, żeby wziąć ślub. W większości przypadków Kai zna co najwyżej nazwisko operowanego i historię jego choroby, czasami nawet tego nie. Ale ten mężczyzna jest jego pacjentem. Marzy o tym, by normalnie chodzić i znaleźć sobie pannę młodą, a właściwie – i to jest chyba bliższe prawdy – zostać panem młodym. Niewielu ludzi oddałoby swoją córkę kalece, zwłaszcza takiemu, który nie śmierdzi groszem. Ma na imię Foday. To będzie jego pierwsza operacja.

Kai obsługuje stopą pedał diatermii, kauteryzując naczynia krwionośne w miejscu nacięcia. W przeciwieństwie do chłopięcej twarzy ciała Fodaya jest muskularne i pokryte starymi bliznami. Jedna jest na prawej dłoni, druga z tyłu nogi, którą operują, kolejne dwie, w kształcie małych dysków, na prawym pośladku.

– Wygląda, jakby się sporo nawojował – mówi Seligmann.

– Przepraszam – dodaje po chwili, dostrzegając spojrzenie anestezjolożki, która jest po prostu zaskoczona użyciem przez Seligmanna tego idiomu. Kai wie o tym, ale się nie odzywa.

Foday leży na stole uśpiony i nagi. Przekazał swoje marzenia w ręce chirurgów, a jądra w ręce pielęgniarki, która unosi je, chroniąc przed palącą końcówką diatermii. Kai wie, że Foday spodziewa się cudów.

Półtorej godziny później, sam na sali operacyjnej, pracuje dalej, mocząc w wodzie gipsowe bandaże i owijając nimi nogę Fodaya, która jest teraz prosta. Ręce Kaia poruszają się zwinnie, wyrównując śliski gips. Druga noga Fodaya zsuwa się ze stołu.

Kai obchodzi go dokoła i kładzie ją ostrożnie z powrotem, zostawiając gipsowe odciski dłoni na górnej części uda. Ciało Fodaya nie ma przed nim tajemnic niczym ciało kochanki. Bierze mokrą szmatkę i ściera kredowe odciski z jego ud. Krople mokrego gipsu kapnęły na genitalia i Kai również je wyciera. Jeśli będzie miał czas po wizycie na oddziale ratunkowym, być może wstąpi na salę pooperacyjną zaraz po tym, jak Foday się obudzi.

\*

Na zboczach wzgórz. Ile to było lat temu? Pięć, sześć. Kai, Tejani i Nenebah. Oni dwaj zakuwają do testu: obok leżą podręczniki, notatki z wykładów, kurczaki pieczone w pieprzu i sok Vimto. Nie odeszli daleko, ze wzgórz widać kampus, a dalej miasto i rozległe tereny portowe. Zapach suchej trawy. Tejani i on powtarzają anatomię na ciele Nenebah, wspomagając się mnemotechniką.

– Ce pięć, Ce sześć, Ce siedem – mówi Kai. – Podnieś skrzydła do nieba. – Jego palce wspinają się po plecach Nenebah, jej kręgi są niczym schodki. Mięśnie kurczą się pod jego dotykiem, ramiona unoszą w górę jak u ptaka szykującego się do lotu.

– Uraz powoduje niezdolność do podniesienia ramion powyżej dziewięćdziesięciu stopni – odpowiada Tejani, który leży na plecach i zasłania rękoma oczy. Kai kładzie płasko dłoń na plecach Nenebah. – Odstająca łopatka – mruczy Tejani, przypominając sobie powoli i z wysiłkiem, po czym unosi ręce znad oczu. Nenebah klaszcze w dłonie.

– Teraz mięśnie wdechowe pomocnicze. Zabij Tyrana Głodem – mówi Kai.



– Zębaty Tylny Górny – odpowiada Tejani. Palce Kaia rysują mapę wzdłuż żeber Nenebah.

– Mam Ochotę na Szpinak. – Kai nachyla się do ucha Nenebah. – Mam Ochotę na Seks – szepcze. Nenebah cicho parska i chichocze, dając mu sójkę w bok.

– Mięsień mostkowo-obończykowo-sutkowy – recytuje Tejani. – A swoją drogą, słyszałem i to drugie, wy dwoje.

Kai siedzi naprzeciwko Nenebah i Tejaniego. Za nimi jest niebo. Obserwuje, jak twarz Tejaniego zlewa się z jej twarzą tak, że nie można ich od siebie odróżnić. Chmura zasłania słońce, cień okrywa twarze i zaciera rysy.

Inny moment. Wcześniej albo później, nie jest tego pewien. Są tylko we dwoje, Kai leży na plecach i trzyma głowę na jej kolanach. Napawa się ciepłem i zapachem Nenebah i ich niedawnego seksu, gapi się na jej zadartą w górę brodawkę.

– Nenebah – mówi.

Ona opiera się z tyłu na dłoniach i przekrzywia na bok głowę, żeby mu się lepiej przyjrzeć.

– Dlaczego mnie tak nazywasz? – pyta. – Nikt inny tak na mnie nie mówi.

– Bo to twoje imię – odpowiada. – Takie masz imię, czyż nie? A może myślę cię z kimś innym?

Ona łapie T-shirt i smaga go nim. A kiedy Kai otwiera usta, żeby roześmiać się z własnego żartu, wpycha mu w nie materiał. T-shirt przesiąknięty jest jej zapachem.

\*

Kai puka na próbę w założony gips i pociąga za sznur wzywający noszowych. Potem w pokoju chirurgów robi notatki z operacji. Na oddziale ratunkowym nic na razie dla niego nie mają. Nie minął jeszcze ranek, a w pokoju lekarskim robi się tłok. Przed rokiem ktoś przyniósł tu miniaturowy zestaw do gry w krokieta i medycy spędzali wolny czas, tocząc kulki po linoleum. Miniaturowy krokiet został obecnie zastąpiony przez miniaturowe bule, ale kulki mają tendencję do ślizgania się i podskakiwania. Kai nie jest w nastroju ani na bule, ani na rozmowę. Idzie do mieszkania Adriana i wchodzi do środka. Nie ma nikogo w domu. W kuchni włącza czajnik i czeka, aż zagotuje się woda. Na karmniku przycupnął koliber, wisząc głową w dół i wykręcając ją, żeby dosięgnąć pipety. Kai wyjmuje z lodówki plastikowy słoik ze śmietanką do kawy i pudełko z kostkami cukru, uciera je w filizance i idzie z nią do salonu. Rzadko kiedy coś je, zanim skończą się operacje.

Dziś kolejny list od Tejaniego, drugi w ciągu zaledwie paru dni. Kai nie zdążył jeszcze odpowiedzieć na pierwszy, choć ułożył sobie w głowie kilka różnych wersji. Bliskie w czasie nadejście obu listów jest spowodowane zaniedbaniami poczty, w rzeczywistości napisane zostały w odstępie dwóch tygodni. Kai rozkłada przed sobą oba na stoliku do kawy, bierze długopis i papier listowy Adriana i zasiada do pisania. W pierwszym liście

Tejani wspomina o oczekiwaniu na wyniki pierwszego etapu egzaminów na chirurga, co do których jest umiarkowanym optymistą. Drugi list jest znacznie krótszy.

No cóż, udało mi się, brachu! Zaliczyłem! Chryste, żałuję, że Cię tu nie ma. Pod koniec musiałem kilka razy zakuwać przez całą noc. Pamiętasz, jak w ciągu jednego tygodnia zarwaliśmy trzy nocki, aż skończyły nam się świece? Zakradliśmy się do pokoju Mo, zabraliśmy mu latarkę na baterie i odłożyliśmy ją rano do szafki. Facet nie miał pojęcia, dlaczego się rozładowała. I to zamieszanie

przed biurem rektora, kiedy poszliśmy mu wręczyć petycję. To były czasy, opowiadam o nich Helenie. Może to sobie wyobrazić, sama jest z Białorusi. Ale mówię Ci, powinieneś tu przyjechać. Masz odpowiednie kwalifikacje, a im cholernie zależy na ludziach takich jak Ty i ja, człowieku. Mogę Ci udzielić wszelkiej pomocy, choć i tak wszystkim zajmuje się agencja. Nie musisz się przejmować, gdzie się zatrzymasz. Mamy tutaj kanapę z wypisanym Twoim nazwiskiem. Ale serio, jeśli dostanę tę pracę, mam (mamy) zamiar kupić dom i wtedy zawsze możesz u nas zamieszkać. Nie zwlekaj z tym zbyt długo. Kai, człowieku, brakuje mi Ciebie.

Jeśli zajrzysz do baru Mary, wypij za mnie piwo. Pozdrów ją ode mnie i powiedz, że dobrze mi się wiedzie. Powiedz, że brakuje mi tu jej żarcia. Że tęsknię za jej wielkim pięknym tumbu.

Twój brat  
Tejani

**Na dole kartki tym samym długopisem, ale inną ręką dopisane było postscriptum:**

PS To ja, Helena, przyjaciółka TJ. TJ bez przerwy mi o Tobie opowiada. To prawda, nie mogę się doczekać dnia, kiedy się poznamy.

Kai zaczyna pisać i przerywa. Minęły już dwa lata, a on wciąż odczuwa brak Tejaniego, dokuczają mu tęsknota, chłód i pustka w duszy. Gdy Tejani leciał do Ameryki, przybili piątki na przystani promowej, udając, że wyjeżdża na kilka tygodni.

– Kiedy tam dotrzesz, wyślij mi jakiś drobiazg – rzucił żartem Kai. Odwrócili się od siebie. Kai myślał tylko o następnej godzinie, o następnym dniu. Nie pozwalał sobie, nie był w stanie wybiegać myślą dalej. Ale Tejani to potrafił. Wyjechał.

Zawsze planowali, że wyjadą razem.

W końcu pisze cały akapit, gratulując Tejanemu zdania egzaminów, tego, że znalazł się o krok bliżej wstąpienia do lekarskiej elity, co jest jego ambicją.

Odkłada długopis i popija kawę, nie wiedząc, jak zakończyć list. Powinien po prostu przyjąć propozycję Tejaniego, wysłać swój życiorys. Kawa jest letnia. Wypija ją szybko, minęło pół godziny. Zgarnia ze stołu wszystkie trzy listy, wkłada je do kieszeni i wychodzi.

Kilka minut później jest już na oddziale. Mija go pielęgniarka niosąca miseczkę z opatrunkami i kleszczami.

– Właśnie otworzył oczy – mówi, pozdrawiając go skinieniem głowy. – Szłam, żeby dać mu coś do picia. Tam.

– Witam, doktorze Mansaray. – Foday ma ochryply głos.

– Jak się czujesz?

– Dobrze, dziękuję, doktorze. – Lekki uśmiech. Kai widzi, jak trudno jest Fodayowi nie zamykać oczu.

– Chciałem ci tylko powiedzieć, że wszystko poszło dobrze. Więc trzymamy kciuki, tak?

– Będę się o to modlił.

– Przyjrzymy się tej nodze za dzień albo dwa, żeby upewnić się, czy wszystko jest w porządku. Mogę? – Kai ściąga prześcieradło. Młody człowiek podciąga się wyżej na potężnych ramionach, patrzy z góry na swoją nogę i dotyka gipsu. – Damy ci tymczasem wózek inwalidzki. – Kai nie ma wątpliwości, że z tymi ramionami i barkami Foday dojedzie na wózek, gdzie tylko będzie chciał.

– Tak, doktorze. Niech Bóg cię błogosławi.

Nad łóżkiem do ściany przypięta jest fotografia, którą Kai widział już wcześniej. Polaroid zrobiony, kiedy Fodaya przyjęto do szpitala. Widać na nim jego nogi od pasa w dół przed dwiema operacjami. Słabe łydki zakrzywione poniżej kolan, stopy zwrócone do środka. Nie jedna, ale dwie wrodzone wady kończyn dolnych.

Choroba Blounta i stopy szpotawe w obu nogach, a poza tym przemieszczona rzepka kolanowa, która znalazła się z boku lewej nogi. Natomiast uda nad kolanami są umięśnione jak u sprintera. Foday ma masywną klatkę piersiową i ramiona. Trudno w to uwierzyć, ale chodzi.

A zatem cztery operacje. Dwie, żeby wyprostować łydki. Dwie, żeby skorygować kostki. A potem długie miesiące fizjoterapii. Kai nie ma wątpliwości, że Foday przejdzie ją pomyślnie. Jest urodzonym wojownikiem.

Niedawno przybyły z Genewy chirurg mijał Kaia, gdy ten oglądał zdjęcia rentgenowskie, i przystanął, żeby zerknąć. Był jednocześnie wstrząśnięty i podekscytowany.

– Wie pan, jak często spotykamy się z tym w Szwajcarii?

– Jak często? – zapytał uprzejmie Kai.

– Nigdy. Ani razu w całej mojej karierze. Niech mi pan powie, kiedy operujecie. Chciałbym wykorzystać sposobność i to obejrzeć. Jeśli można? – Mówiąc to, lekko się skłonił, jakby Kai był od niego wyższy rangą.

Niezależnie od zagranicznych opinii ta wojna nie była średniowieczna ani pod względem koncepcyjnym, ani taktycznym, lecz wyłącznie z uwagi na sprzęt. Od samego początku pacjenci dzielili się na dwie kategorie. Żołnierze i członkowie zagranicznych sił pokojowych odnosili głównie rany postrzałowe, czasami od granatów i moździerzy. W drugiej kategorii byli wieśniacy, którym udało się jakoś dotrzeć ze swoich wiosek i przyjmowani byli do szpitala z nagryzmołoną w karcie choroby literą C. Nieuzbrojeni i biedni – marnowanie na nich kuli było nie tyle naganne, ile po prostu niepotrzebne. Mieli rany od maczet albo kordów. Lekarski skrót dostosował się do okoliczności. Rany cięte. Kai nabierał doświadczenia, przez setki godzin reperując, zakładając szwy na mięśnie, zszywając i łącąc skórę kawałkami wyciętymi z innych miejsc. Chirurgiczne porządki. W późniejszym okresie wojny, kiedy rebelianci zaatakowali stolicę, wyprzedziła ich pierwsza fala amputantów. Zespoły chirurgów zajmowały się przede wszystkim ratowaniem życia, usuwaniem martwych tkanek, naprawiając „siekaninę”, jak kiedyś w czasach pokoju nazywano robotę chirurgów partaczy. Czasami, niezbyt często, zdarzało się, że napastnicy byli miłosierni lub niestaranni i można było ich ofiarom przyszyć ścięgno i przywrócić zdolność chodzenia. Później zespół chirurgów, w którego skład wchodził Kai, wykonywał operację Krukenberga, niestosowaną od pierwszej wojny światowej, modelując z mięśni i dwóch kości przedramienia parę tępych szczypiec: rękę. Paskudną, to prawda. Ale Kai widział mężczyznę, który ponownie mógł trzymać własnego penisa przy sikaniu, i kobietę wsadzającą sutek w usta niemowlaka. W tych miesiącach zamętu

odkrył w sobie nową i trwałą miłość do ortopedii. Będąc nadal młodszym chirurgiem, widział i operował więcej niż niektórzy konsultanci z trzydziestoletnią praktyką.

Jest już szósta. Kai idzie do męskiej przebieralni, zdejmując fartuch i wkłada normalne ubranie. Zgłodniał. W drodze do domu kupuje u ulicznych przekupek okrę, cebule, paprykę i wędzoną rybę. Mięsa już nie dostanie, rzeźnicy pozwijali swoje kramy. Zatrzymuje zbiorową taksówkę i pyta o trasę. Kierowca jedzie na półwysep przez most. Kai puszcza go i zatrzymuje następną.

Idąc uliczką w stronę domu, widzi Abassa wiszącego na balustradzie werandy. Pozdrawia go uniesioną ręką, a chłopiec odwraca się i zbiega po schodkach. Kiedy Kai otwiera drzwi w metalowej bramie, mały rzuca się na niego całym ciężarem i obejmuje w pasie. Kai napina mięśnie brzucha, ale siła uderzenia i tak zapiera mu dech.

– Hej, mój ty mężczyzno. Jesteś już na to prawie za duży. Co słysząc?

Dziecko nie odpowiada, ale zakłada sobie rękę Kaia na plecy i przytula twarz do jego boku. Razem idą do domu.

– Matka wróciła?

– Tak, ale znowu wyszła. Kazala ci powiedzieć. Do Yeamy – odpowiada Abass swoim niskim głosem małego mężczyzny.

Yeama to sąsiadka, której bratowa zmarła podczas porodu. Yeama została z niemowlęciem. Ojciec służący w wojsku na północnej granicy nie ma pojęcia ani o narodzinach córki, ani o śmierci niedawno poślubionej żony. Matka Abassa, kuzynka Kaia, odwiedza mały domek Yeamy, zanosząc jej dziecinne ubranka i puszki z mlekiem. Dziewczynka jest wcześniakiem: Kai nie sądzi, żeby długo pożyła.

– Jesteś bardzo głodny? Chcesz coś zjeść?

Abass kiwa głową.

– To dobrze – mówi Kai, ściskając kościste ramię chłopca.

Na stołku w rogu kuchni siedzi ciotka, opierając podbródek o dłoń i kiwając się we śnie. Słyszając go, chrząka i wstaje, żeby pomóc, ale Kai łagodnie odmawia i wciąż zaspana ciotka odchodzi, powłócząc nogami i owijając się lappą. Na pewno zostało dla niego coś w garnku, lecz dzisiaj ma ochotę sam pobawić się w kucharza. Rozpakowuje na blacie zakupy. Kroi na plasterki cebulę i dzieli na kilkanaście kawałków każdy owoc okry. Lubi rutynę i rytm przygotowywania posiłku. Doznaje wtedy uczucia spokoju, jest w stanie zamknąć część umysłu, podobnie jak to się działo na sali operacyjnej, kiedy zakładał gips na nogę Fodaya albo zaszywał ranę, zawiązując końce każdego szwu. Operowanie daje mu poczucie prywatności, pozwala uciec w świat, który ma własne narracje i własne nagle wypadki, ale jest mniej chaotyczny i dzięki posiadanym umiejętnościom można nad nim zapanować. Gotowanie, choć mniej absorbujące, działa na niego w podobny sposób.

Abass siada na stołku w rogu kuchni i kręci w palcach kawałek sznurka.

– Co robiłeś dziś w szkole?

Dzieciak wzrusza ramionami.

– Nic.

– Zupełnie nic?

Ponowne wzruszenie ramion.

– Ale jak to wyglądało, to nicnierobienie? Siedziałeś w ławce i gapiłeś się przez okno? – Kai

bierze paprykę, przepoławia ją i szybko kroci w kostkę.

– Tak – odpowiada z uśmiechem Abass. – Właśnie to robiłem.

– Ach, więc jednak coś robiłeś. Siedziałeś i się gapieś. To było fajne? Co zobaczyłeś?

Chichot.

– Nie wiem.

– Ja też wyglądałem przez okno dziś rano. Wiesz, co zobaczyłem?

– Nie.

– Zobaczyłem, jak ulicą przebiega pięćdziesiąt pomarańczowych małp. Czy nie kręciły się tu

gdzieś w pobliżu?

Abass uśmiecha się od ucha do ucha.

– Tak. Zgadza się. Przebiegały za oknem szkoły.

– To brzmi ciekawie. Czy twoja nauczycielka też je zauważyła?

– Pani Turay? Nie. Bo patrzyła na tablicę.

– A inne dzieci?

– Patrzyły na nauczycielkę.

– Więc tylko tyje widziałeś. Szczęściarz z ciebie. Co jeszcze widziałeś?

– Yhymm.

– Kiedy ja widziałem pomarańczowe małpy, zauważyłem, że szła za nimi orkiestra dęta.

– Tak. Ja też widziałem orkiestrę dętą. I...

– I Flecistę z Hamelin?

– I wszystkie szczury, i wszystkie dzieci. – Abass klaszcze w dłonie i podskakuje na stolku.

– Wściekłych mieszczan i burmistrza.

– Jednonogiego Jombee. Polującego diabła.

– Yhymm. Yhymm. Owcę, która mówi!

– To ci się udało! Czy umie przepowiadać przyszłość?

– Tak.

– I liczyć?

– Tak. Umie wszystko.

– Więc może powinniśmy dać mówiącej, matematycznie uzdolnionej owcy twoje miejsce

w klasie, a ty pójdziesz i przyłączysz się do parady. Sądysz, że pani Turay w ogóle by się zorientowała?

Słyszając to ostatnie, Abass dostaje ataku chichotek. Kai wynosi garnek na zewnątrz i stawia go na palenisku. W kuchni jest kuchenka, ale często zdarzają się przerwy w dostawie gazu. A Kai i tak woli gotować na węglu drzewnym. Jego zdaniem jest w tym coś elementarnego, jak w kąpielu w strumieniu albo pieszej wędrówce.

Kiedy danie się gotuje, idzie się umyć, oblewając się wodą z wiadra stojącego w rogu łazienki. W swoim pokoju wkłada czysty T-shirt i ściągane sznurkiem bawełniane spodnie. Abass czeka na niego, przycupnąwszy na zawalonej papierami komódce.

– Mogę tu dziś spać?

– Masz ochotę?

– Tak.

Kai się śmieje. Spanie w jego pokoju Abass uważa za przywilej i marzy o dniu, kiedy pokój będzie należał do niego.

– No dobrze, zobaczymy.

Razem biorą talerze z jedzeniem i siadają na ławce na werandzie, gdzie jedzą i obserwują toczące się obok życie.

\*

Od silnego podmuchu powietrza zapadają mu się policzki. Żołądek podchodzi do gardła. Czuje, że leci w dół. Spada. Bolesne zetknięcie z wodą.

Budzi się ze wzdrygnięciem, przekonany, że lewitował i w pewnym momencie runął na łóżko. Kilka minut trwa, nim jego oddech i puls wrócą do normy. Kiedy to się dzieje, słyszy tykanie zegarka na szafce nocnej i psy wyjące do księżycy, te same powtarzane bez końca drżące nuty. Wstaje i idzie po omacku przez dom. Jego przejściu towarzyszą dziwne pomruki i westchnienia. Ma wrażenie, że jest koło czwartej. Niebo się rozjaśnia. To trzecia z rzędu bezsenna noc i brak snu daje mu się we znaki. Jeśli nie prześpi się jeszcze parę godzin, zacznie się to odbijać na jego pracy, koncentracji, nawet sprawności manualnej. Siada i czeka na sen, choć wie, że jest równie odległy jak nadchodzący świt. Po godzinie wstaje i idzie w głąb domu, do pokoju Abassa. Chłopak śpi na łóżku. Kai podnosi jego lekkie ciało i wychodzi z pokoju. Abassowi kciuk wypada z ust, ręka osuwa się po ramieniu Kaia.

W ogóle się nie budząc, chłopiec mości się przy swoim wujku i wkłada z powrotem kciuk do ust. Kai leży nieruchomo i pozwala, by jego umysł podążał za rytmem oddechu chłopca, aż przestanie słyszeć wycie psów. Aż zaśnie.

# ROZDZIAŁ 16

Szum w słuchawce telefonu przypomina oddech niewidocznych słuchaczy.

– Słyszysz mnie? – Po pokonaniu sześciu tysięcy kilometrów słowa Adriana odbijają się i docierają do niego z powrotem.

Pauza, a potem głos Lisy:

– Tak, słyszę. – Słyszającą, wyobraża sobie, jak stoi pochylona nad blatem w kuchni, w plamie żółtego światła, zginając nogę, podtrzymując telefon ramieniem i gładząc dłonią kosmyk włosów tak, jak to robiła zaraz po ślubie.

– Przepraszam za jakość połączenia.

– Jest niezłe.

– Co słychać?

– Wszystko w porządku. – Rozmawiają przez kilka minut. Kate ułamał się ząb, w przyszły wtorek idzie do ortodonty. Być może trzeba będzie wyciąć starą jabłoń za szklarnią. Przedwczoraj Lisa była na kolacji z ich znajomymi, którzy pytali o niego, pytali, co robi. Ze sposobu, w jaki o tym mówi, wynika, że nie była w stanie udzielić satysfakcjonującej odpowiedzi.

Adrian nie mówi nic o sobie, zamiast tego wyjawia jej, dlaczego zadzwonił.

– Musisz przejść do mojego gabinetu. Podnieść tam słuchawkę.

– Już jestem w twoim gabinecie. Powiedz, czego mam szukać. Przełączyłam cię na głośne mówienie.

Jej obraz, który miał przed oczyma, rozpada się na kawałki. Zamyka oczy, skanuje w pamięci półki w swoim gabinecie i kieruje ją po kolei do każdej książki. Skończywszy, Lisa wraca do telefonu, lekko zdyszana po wysiłku. Adrian podaje tytuły kilku kolejnych tomów i prosi, żeby je przysłała. Na chwilę milknie. Chce jej opowiedzieć, co u niego słychać. O mężczyźnie w izolatce. O kobiecie w szpitalu psychiatrycznym. O tym, na co teraz patrzy. O gasnącym słońcu, przezroczystej kuli na tle ziarnistego nieba.

– Zastanawiałam się... – mówi Lisa, zanim Adrian zdąży zacząć. – Chcesz, żebym wymieniła tu tapety, kiedy cię nie ma?

Choć Adrian jest w stanie określić miejsce każdej książki na półkach, prawie nie pamięta koloru tapet.

– Jasne – odpowiada.

\*

Kiedy indziej rozmawia z Kaiem o mężczyźnie w izolatce. Choć Cole nie jest pacjentem Kaia, ten powtarza, co wie o stanie jego zdrowia. W innym kraju szukaliby dla niego dawcy płuca. Tutaj to niemożliwe, to nie ulega kwestii. Tlen mógłby mu przedłużyć życie o kilka lat, ale jego wytwórnia w mieście została zniszczona. Dwa szpitalne koncentratory tlenu są bez przerwy użytkowane. I chociaż Adrian wie, że nic z tego nie wyjdzie, odnajduje dyrektorę szpitala i pyta, czy coś da się zrobić. Pyta, choć dobrze wie, że gdyby miała jeszcze jedno takie urządzenie, Elias Cole nie zakwalifikowałby się jako najbardziej potrzebujący. Nie zdziwiłoby

go, gdyby kobieta palnęła mu kazanie, jednak ona zamiast strzepić język, patrzy na niego i kłamiąc w żywe oczy, mówi, że robi, co w jej mocy.

Nazajutrz zjawia się w jego gabinecie. Adrian nie widywał jej tak często od samego przyjazdu, ale okazuje się, że zajrzała wyłącznie po to, by zawiadomić go, że przyszła do niego paczka i czeka w jej biurze. Adrian wstaje, dyrektorka przez chwilę stoi przed nim w progu, nie ruszając się z miejsca. Ma zwyczaj przyglądać mu się, jakby nie potrafiła go do końca rozgryźć. Za chwilę obieca mi, że dłużej pogadamy, przelatuje mu przez głowę.

– Tak – mówi, jakby czytała w jego myślach. – Kiedy trochę tu się uspokoi, niech pan wpadnie, to pogadamy, dobrze?

– Po czym odwraca się i odchodzi. Stukot jej obcasów odbija się karabinowym echem na korytarzu.

Wieczorem Adrian zanosí paczkę z książkami do swojego mieszkania i rozkłada je na stoliku do kawy. Zapala kilka świeczek (generator bez przerwy nawala), otwiera świeżą butelkę whisky i siada. Układa książki w stertę i wybiera cienki tomik opatrzony podtytułem Historia chorób psychicznych. Szuka w spisie treści, a potem w indeksie terminu „fuga dysocjacyjna” i odnalazłszy właściwe strony, zaczyna czytać.

Rok 1887. Epoka wagabundów, Cyganów, podróżników, wędrowców i trampów. Francuski psychiatra pracujący w Bordeaux leczy przez kilka lat pacjenta o nazwisku Albert Dada. Dada nie był włóczęgą ani trampem, był kimś innym: obsesyjnym podróżnikiem. W regularnych odstępach czasu porzucał rodzinę i pracę, by podróżować pieszo do miejsc tak odległych jak Konstantynopol czy Moskwa. Czasami kończyły mu się pieniądze, kiedy indziej aresztowano go za włóczęgostwo, wtrącano do więzienia i zmuszano do powrotu do domu. Ale po paru miesiącach ponownie wyruszał w podróż. Dada nie potrafił powiedzieć, dlaczego podróżuje i co zamierza robić, gdy dotrze do celu. Zdarzało się, że nie pamiętał nawet własnego nazwiska. Nie wiedział nic poza tym, dokąd zmierzał. Psychiatra opublikował artykuł Les Aliens Voyageurs, który przyniósł mu umiarkowany rozgłos. Albert Dada stał się pierwszym na świecie pacjentem, u którego rozpoznano fugę dysocjacyjną.

Po publikacji Les Aliens Voyageurs nastąpiła fala rozpoznanych fug, czyta Adrian. Większość relacji dotyczy żołnierzy, którzy zaginęli podczas pierwszej i drugiej wojny światowej. Mężczyźni odnajdywali się ostatecznie setki kilometrów od domu. Wszyscy skarżyli się na utratę pamięci, nie wiedzieli, kim są i jak dotarli do miejsc, w których ich znaleziono. Niektórzy używali innych nazwisk i pracowali w nowych zawodach. Wszyscy znajdowali się w stanie jakby przytłumionej świadomości, z której ostatecznie wyłaniali się, nie pamiętając tygodni, miesięcy, a nawet lat spędzonych poza domem. W życiu tych mężczyzn nie były to odosobnione incydenty, lecz stały wzór zachowania polegający na podróżowaniu, wędrowaniu, kompulsywnym przemieszczaniu się z miejsca na miejsce. Badający tych żołnierzy psychiatrzy podejrzewali ich o symulację. Mężczyźni zostali rozstrzelani jako dezterterzy.

Gdy w ciągu kilku następnych dekad nie stwierdzono żadnego przypadku fugi dysocjacyjnej, grupa psychiatrów zaczęła domagać się, by uznać ją za to, czym w rzeczywistości była: popełnianym przez tchórzy i obiboków szalbierstwem, które trzeba usunąć z oficjalnego spisu chorób psychicznych.

Po trzech godzinach lektury Adrian odkłada książkę na stół, wstaje, przeciąga się i idzie do kuchni zrobić sobie kanapkę. Kroí chleb i znalazłszy w środku upieczone mrówki, strząsa je



na podłogę, po czym smaruje kromkę margaryną i kładzie na nią plasterki jasnoróżowego salami i żółtego sera. Marzy mu się ser caerphilly i szynka krojona od kości. Z lodówki bierze butelkę heinekena. Lodówka włączała się i wyłączała przez cały dzień i piwo jest co najwyżej letnie. Adrian zjada kanapkę, stojąc przy blacie, przed swoim odbiciem w ciemnej tafli szyby. Czuje nerwową euforię jak ktoś, kto trafia na przedmiot, który może być zaginionym skarbem, odgarnia błoto, żeby zobaczyć, co znalazł, mając nadzieję i nie chcąc się zarazem ludzić, bojąc się, że po dokładnym sprawdzeniu znalezisko nie okaże się tym, czego się spodziewał.

Coś, co powiedział Salia tamtego dnia, gdy odwiedzili dawny dom towarowy, skłoniło Adriana do ponownego przejrzenia zapisków na temat kobiety. Wrócili do szpitala psychiatrycznego z wycieczki do miasta. Adrian pytał Salię o słowa byłego odźwiernego, który utrzymywał, że kobieta nie była opętana, lecz nawiedzona.

– Odróżniał te dwie rzeczy – powiedział Adrian. – Takie przynajmniej odniosłem wrażenie.

Idący przed nim i skrzypiący podszwami Salia zatrzymał się i odwrócił. Przez kilka sekund wyglądał, jakby wahał się, czy udzielić odpowiedzi. A może po prostu zastanawiał się, co powiedzieć.

– Jeśli opęta pana duch – odezwał się w końcu – staje się pan inną osobą, to coś złego. Żywych opętują tylko złe duchy. Mówię panu to, w co wierzą niektórzy ludzie, rozumie pan.

– Oczywiście.

– Ale czasami jakaś osoba jest w stanie przechodzić w tę i z powrotem między tym światem i światem duchów. To znaczy żywa, rzeczywista osoba. I kiedy taka osoba jest gdzieś między światami, na ziemi niczyjej, wtedy mówimy, że jest nawiedzona. Ta kobieta podróżuje między światami. Coś takiego czasem się zdarza. Kiedy byłem małym chłopcem, znałem kobietę, która była nawiedzona. To była moja ciotka. Zdarzało się, że podróżowała z wioski do wioski, sama jedna, nawet do Gwinei albo Liberii. Ludzie widywali ją i mówili, że ich nie rozpoznawała. Urosły jej długie włosy. Niektórzy wierzyli, że ma szczególną moc.

– Słyszałeś jeszcze o kimś takim?

– Owszem, słyszałem.

– Kim byli?

– To były kobiety.

– Wszystkie?

Salia przechylił głowę.

– Wszystkie.

Oczyrna duszy Adrian widzi mapę na ścianie gabinetu Ileany, naniesione na planszę kolorowe szpilki obrazujące podróże Agnes.

Europejczycy, którzy przed stu laty cierpieli na fugę dysocjacyjną, byli wszyscy mężczyznami.

Tutaj to są kobiety.

# ROZDZIAŁ 17

Julius zjawiał się w moim gabinecie z kilkoma butelkami whisky w teczce. Ubrany był w płócienną koszulę z krótkimi rękawami i wyszywanymi klapami, mocno wykrochmaloną i tylko lekko pogniecioną w upale. W porównaniu z nim czułem się nijaki i wymięty. Miałem na sobie garnitur, jeden z dwóch, które do mnie należały, otrzymany od ojca i wyświechtany na tyłku i łokciach. Drugi powinienem był odebrać z pralni w drodze do pracy, ale moją uwagę odwróciła awantura związana z natrętem, jednym z tych osobników, którzy zaczepiają ludzi na ulicy ze schowanymi pod płaszczem nielegalnymi towarami. Ten akurat miał do zaoferowania gazetki. Tak naprawdę były to zwykłe plotkarskie brukowce, lecz oficjalnie zakazane. Zajmowały się głównie poronionymi teoriami spiskowymi, politycznymi skandalami oraz morderstwami, które opisywano ze wszystkimi makabrycznymi szczegółami i opatrywano często drastycznymi zdjęciami uzyskanymi za łapówkę od policji. Niekiedy znajdowałem egzemplarze tych gazetek w gabinecie po tym, jak udostępniłem go Juliusowi. Zerknąwszy na pierwszą stronę, wyrzucałem je na ogół do kosza.

Prawie nie zauważyłem natręta, kiedy mnie mijał. Zorientowawszy się, że usiłuje zwrócić moją uwagę, spojrzałem w drugą stronę i ruszyłem dalej. Chwilę później złapało go trzech mężczyzn, którzy pojawili się nie wiadomo skąd. Facet próbował uciec, ale nie był to jego szczęśliwy dzień. Na ulicy zaroilo się od policjantów w cywilu. Przeczesywali całą okolicę w godzinie szczytu, kiedy przekupnie są najaktywniejsi. Złoili mu skórę i cisnęli na tylne siedzenie landrovera.

Ten incydent i deszcz zablokowały na kilka godzin cały ruch. Spędziłem ten czas u fryzjera, który kilka tygodni wcześniej przekonał mnie, żebym zapuścił wąsy. Siedziałem w fotelu, podczas gdy on mydlił mi twarz i skrobał zabłąkane włoski nad górną wargą, formując z nich rozdzielony przedziałkiem, elegancki wąsik. Przejrzałem się w lustrze i spodobał mi się rezultat.

A teraz miałem przed sobą Juliusa, który gromadził w moim gabinecie zapasy, skrzynki zimnych napojów i soków oraz butelki alkoholu. Z okazji lądowania na Księżycu zaplanował przyjęcie, które miało chyba przyćmić samo wydarzenie.

– Siemasz, Cole!

Byłem zgrzany, spocony i lekko poirytowany jego widokiem. Kiedy pochylił się nad biurkiem, poczułem zmieszana z jego własnym zapachem woń Saffii.

Zabrakło mi niemal tchu w piersi.

\*

Wiem, jakie robiliśmy wrażenie. Jestem pewien, że ludzie nie rozumieli, co on takiego we mnie widzi. Byłem i jestem człowiekiem ostrożnym. Jego bezczelność zapierała dech. Nie bał się życia. Świadczyło o tym jego beztróskie podejście do kwestii własności, to, jak szastał pieniędzmi, kiedy je akurat miał. Potrafił upić się do nieprzytomności i chwilę później odzyskać jasność umysłu. I pił dalej, razem z tobą, aż ustępowało wszelkie zmęczenie. A gdy nad horyzontem wstawało słońce, odwoził nas obu do domu, mimo że nie był w stanie prowadzić.

– Nie bój się, Cole! – wołał, waląc w maskę swojego samochodu. – On zna drogę do domu.

Nie potrzebował religii. Wierzył w samego siebie. To przeświadczenie o własnej wyjątkowości obejmowało nawet jego śpiew, do tego stopnia, że gdy go później wspomniano, jawił się jako ktoś muzykalny. Choć w gruncie rzeczy o jego głosie można co najwyżej powiedzieć, że był silny. Tak, Julius wierzył w siebie. Nie bał się śmierci – była zbyt mało znacząca, zbyt niepozorna, nie zasługiwała nawet na jego pogardę. W dzieciństwie przeżył poważną chorobę, która zabiła wielu innych. Czerpał z tego siłę, jakby ten fakt świadczył, że jest wybrańcem losu.

Wierzył we własne przeznaczenie i sprawiał, że inni też w nie wierzyli. Był uwodzicielem. Uwodził kobiety, mężczyzn, dzieci i psy. Byłem dla niego współtowarzyszem zabawy, kimś, kogo należało po prostu pozyskać. Poza tym szybko się nudził.

– Przybij piątkę, Cole!

Nasze otwarte dłonie zderzyły się i zsunęły jedna po drugiej tak, że kciuki i palce wskazujące splotły się ze sobą. Oparł pośladek o krawędź mojego biurka.

– O co chodzi, przyjacielu?

– O nic.

Pochylił się, żeby mi się lepiej przyjrzeć, po czym wyciągnął rękę i wziął mnie pod brodę. Jego twarz znalazła się zaledwie kilka centymetrów od mojej. Poczulem jego gorący oddech. Nagle cicho zagwizdał.

– Pasuje ci, Cole.

– Dziękuję – odparłem, zupełnie jakby mówił serio.

Odchylił się do tyłu i przez chwilę patrzył na mnie w milczeniu.

– Co zrobiłeś z Vanessą? Taka z niej była atrakcyjna dama. Potrzebujesz kobiety, Cole.

Z jakiegoś powodu nadal zwracał się do mnie po nazwisku, taki miał zwyczaj.

– Niczego nie potrzebuję – mruknąłem, wzruszając ramionami.

– Ja wcale nie żartuję, Cole. Jestem żonatym mężczyzną, ale to nie znaczy, że nie znam kilku pańienek – powiedział, puszczając do mnie oko.

Nie chciałem dopytywać się, co przez to dokładnie rozumie. Trochę mnie mdlilo.

– Zadbam o to, żeby zaprosić na przyjęcie kogoś dla ciebie. Jakąś miłą kobietkę.

– Nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

Julius roześmiał się na to.

– Wiesz, Cole, w plemienu Mende mają taki zwyczaj, że kiedy do wioski przybywa ktoś obcy, posyłają mu kobietę, by dotrzymywała mu w nocy towarzystwa. Często jest to córka samego wodza. Europejczykom nie podobały się te praktyki, świadczyły według nich o tym, jacy wszyscy jesteśmy niemoralni. Ale wiesz, dlaczego Mende kultywowali ten zwyczaj, Cole?

Pokręciłem głową.

– Ponieważ dobrze wiedzieli, że mężczyzna potrzebuje kobiety. Taka jest natura rzeczy. Samotny mężczyzna to kłopot, to głodny szakal. Dlatego wioska zapewniała mu kurczaka. Dla mnie, Cole, to z pewnością bardziej cywilizowane podejście. A poza tym dostarczając mu kurczaka, którego sami wybrali, mają teraz szpiega w jaskini szakala! Europejscy kupcy myśleli, że Mende byli tacy szcudrzy. Stale do nich wracali. Strzeż się kurczaków, które dają ci w prezencie, przyjacielu.

Głośny śmiech Juliusa przetoczył się przez pokój niczym oklaski. Przełknąłem ślinę

i wykrzywiłem twarz w uśmiechu.

– Potrzebujesz kobiety, przyjacielu, żeby cię rozweseliła. Kobiety, której tumbu mógłbyś polechtać tymi swoimi nowymi wąsikami.

Paciorki Juliusa, tak wtedy o nich myślałem. Często nosił w kieszeniach kawałki metalu, fragmenty silnika albo innej konstrukcji, coś, co mogło posłużyć do zademonstrowania jakiejś zasady studentom albo co po prostu schował do kieszeni w ciągu dnia. Tego popołudnia była to śruba i nakrętka, które toczył po blacie mojego biurka. Obserwowałem jego obracające śrubę dłonie. Palce. Kłykcie. Opuszki palców. Paznokcie. Gładką brązową powierzchnię biurka. Gładką jak skóra. Palce Juliusa, które muskały, głaskały i dotykały. Saffię.

\*

Po sesji egzaminacyjnej studenci rozjechali się do domów na letnie wakacje, choć oczywiście w naszym kraju przypadają one na szczyt pory deszczowej. Od uzyskania niepodległości trzymaliśmy się sztywno brytyjskiego kalendarza szkolnego. Nie miałem miejsca, do którego mógłbym pojechać, rodziny, którą mógłbym odwiedzić, ani środków, żeby podróżować dla przyjemności. Banville Jones załatwił sobie przez dziekana zagraniczne stypendium. Zastanawiałem się, jak mu się to udało. Po wyjeździe innego kolegi mieliśmy na wydziale wolny etat. Kilka miesięcy wcześniej uznałbym, że należy się mnie, ale teraz nie byłem już taki pewny. Postanowiłem napisać w wakacje dwa kolejne artykuły i mając to na uwadze, spędzałem kilka godzin tygodniowo w uniwersyteckiej bibliotece.

Mimo to myśl o długich wakacjach napępiała mnie obawą. Regularne kontakty z Juliusem pozwalały mi widywać się z Saffią. Julius był człowiekiem spontanicznym, niezdolnym do planowania dalej niż na kilka minut naprzód. Nie ulegało wątpliwości, że nie będzie przestrzegał prozaicznych rytuałów pozostawania w stałym kontakcie. A tylko w ten sposób mogłem spotykać się z Saffią, zwłaszcza w świetle ostatnich niepokojących wydarzeń.

Tymczasem zbliżał się dzień lądowania na Księżycu. Przynajmniej ten jeden wieczór miałem spędzić w towarzystwie Saffii. Julius był podekscytowany jak dziecko w dniu urodzin. Mój gabinet zmienił się w skład trunków. Kekura miał dostarczyć sprzęt do transmisji. Ja obiecałem załatwić dodatkowe krzesła i zwróciłem się do dziekana z prośbą o możliwość ich wypożyczenia z sali wykładowej.

Na ulicach rosła gorączka. Kobiety ubierały się w okolicznościowe batiki, upinały włosy w skomplikowane kształty, które miały tworzyć iluzję skierowanego w górę pędu, i nadawały męskim potomkom imię Apollo. Główny imam potępił misję w swoich modłach. Nasz pastor uznał całe przedsięwzięcie za bezbożne, ostrzegł przed zagrożeniami, jakie niesie ze sobą ludzki egotyzm, i zwrócił uwagę, jakby stanowiło to jakiś dowód, na pogańską nazwę statku kosmicznego. Juliusa bardzo to ubawiło i błagał mnie, bym zaprosił pastora na przyjęcie. On sam miał zaprosić imama, jak twierdził, dla samej przyjemności usłyszenia, że w jakiejś kwestii się zgadzają.

Tamtego popołudnia odebrałem z pralni mój garnitur i wiedziony impulsem zajrzałem do zakładu krawieckiego. W pewnym stopniu ośmielił mnie chyba mój nowy wąsik, choć nigdy nie uznałbym się za człowieka próżnego. Moja powierzchowność nie pozwalała na próżność. Mimo to doszedłem tamtego dnia do wniosku, że mam dosyć krochmalonych białych koszul, które zwykłem zamawiać po trzy naraz. Krawiec zdjął ze mnie miarę i pokazał kilka różnych modeli, przerzucając kartki katalogu. Wskazałem jeden z nich, a on uśmiechnął się i pogratulował mi

wyboru. Dyskusja na temat ceny okazała się jak zwykle nieco dłuższa. Osiągnęliśmy kompromis, uzgodniwszy, że koszule będą gotowe do odbioru za czterdzieści osiem godzin, jeszcze przed przyjęciem.

Dostawa krzeseł okazała się znacznie bardziej skomplikowana. Załatwiłem ich przewóz u znajomego Banville'a Jonesa, Syryjczyka, który miał firmę transportową, składającą się, jak się okazało, z jednej ciężarówki z odkrytą skrzynią. Zostawiłem facetowi zaliczkę i umówiłem się na kurs rankiem w dniu przyjęcia, zapominając, że ma się ono odbyć w niedzielę. Uniwersytet był tego dnia zamknięty. Zmieniłem zatem datę dostawy na piątek, poinformowano mnie jednak, że w tygodniu ciężarówka jedzie na północ. Jej powrót przewidziano na piątek i mogłem z niej skorzystać zaraz po przyjeździe.

– Skąd mam wiedzieć, że kierowca wróci na czas? – zapytałem.

Właściciel spojrzał na mnie.

– Wróci, wróci – zapewnił z uśmiechem. – Inszallah.

Na szczęście facet dotrzymał słowa. Kiedy ciężarówka się pojawiła, siedziałem w moim gabinecie. Kierowca zaparkował naprzeciwko budynku wydziału. Za kilka centów zatrudniłem do ładowania dwóch nocnych strażników i zabraliśmy się do roboty. Kierowca siedział, dłubiąc zapalką w zębach: nasza umowa najwyraźniej nie obejmowała pomocy przy ładowaniu. Szło nam niesporo. Przypadkiem przechodzili tamtędy dwaj moi studenci. Jeden pochodził z Ghany, drugi z prowincji. Obaj spędzali wakacje na kampusie. Zawołałem ich i w pół godziny byliśmy gotowi. Nie pomyślałem wcześniej, jak rozładujemy krzesła; nie mogłem raczej zwolnić z posterunku strażników. Na szczęście dwaj studenci zgodzili się pomóc i wdrapali się na skrzynię. Ja usiadłem obok kierowcy, żeby pokazać mu drogę.

Kiedy jechaliśmy ulicami, do szoferki wpadały podmuchy ciepłego wiatru. Nad domami zapadał zmrok. Wyjechaliśmy ze śródmieścia i zaczęliśmy się pięć krętą drogą na wzgórze. Silnik obciążonej ciężarówką ciężko rzeźił. Siedzący z tyłu studenci głośno rozmawiali, przekrzykując wiatr. Na światłach jeden z nich wychylił się i kupił od ulicznego sprzedawcy kilka szaszłyków na patykach. Przez resztę podróży dzielili się pieczonym mięsem i ciskali patyki na pobocze.

W domu Juliusa było ciemno. Uprzedziłem go wcześniej, że przyjeżdżamy. Poirytowany, kazałem kierowcy i dwóm studentom zaczekać, a sam podszedłem i zapukałem do drzwi.

Na moje pierwsze pukanie nikt nie odpowiedział, podobnie zresztą jak na drugie. Spróbowałem raz jeszcze. Czulem za sobą obecność kierowcy, który siedział w szoferce, dłubiąc zapalką w szparach między zębami. Wyłączył wcześniej silnik i zgasił światła. Słyszałem, jak wciąga niecierpliwie ślinę. Studenci umilkli i biernie mi się przyglądali.

– No co jest? Gdzie są pana znajomi?! – zawołał kierowca.

Normalnie tego nie robię, ale facet grał mi na nerwach.

Wyciągnąłem rękę i przekręciłem kłamkę. Drzwi były otwarte. A zatem ktoś był w domu. Ciotka Saffii? Niewykluczone, że siedziała gdzieś z tyłu i nie usłyszała pukania. Ruszyłem niepewnie do przodu. Światło gasnącego dnia prawie nie rozjaśniało wnętrza. Księżyc jeszcze nie wzeszedł. Poruszałem się po omacku niczym ślepiec. Nie chciałem przyprawić ciotki o zawał, wyskakując na nią z ciemności. Szukałem jakiejś lampy albo kontaktu. Stawiając kolejne kroki, przemieszczałem się w głąb domu. Zdawało mi się, że słyszę dobiegający skądś dźwięk, ale nakładał się na moje kroki tak równo, że nie byłem tego pewien. Zatrzymałem się

**i nasłuchiwałem.**

**Tym razem był głośniejszy. Jęk. Skryty w ciemności słyszałem, jak rozlega się ponownie, raz za razem. Serce zaczęło mi bić szybciej, krew uderzyła do głowy. Czułem, że muszę wyjść, ale nie mogłem się poruszyć. Moje ciało stężało.**

**Za sobą usłyszałem czyjeś kroki. To był kierowca, który przyszedł zobaczyć, co się dzieje. Kiedy się do mnie zbliżył, zobaczyłem, że twarz wykrzywia mu obleśny uśmiech; jego zęby zalsniły w półmroku i lubieżnie się roześmiał. Odwróciłem się i popchnąłem go w stronę drzwi. Chichocząc, pozwolił się niechętnie wyprowadzić z domu. Gdy zamknąłem za nami drzwi, rzucił w kierunku studentów kilka słów komentarza, którym towarzyszył nieprzyzwoity gest.**

**– Stul dziób!**

**Miałem ochotę go uderzyć, z trudem hamowałem gniew. Kierowca umilkł, lecz nadal bezczelnie się uśmiechał.**

**Wyładowaliśmy krzesła i ustawiliśmy je przed drzwiami. Kiedy uznałem, że minęło dość czasu, kazałem kierowcy zatrąbić i jednocześnie zapukałem głośno do drzwi. Połączony hałas obudziłby umarłego. I Julius oczywiście się pojawił, na bosaka, w niezapiętej koszuli. Zorientowałem się nagle, że nie mogę mu spojrzeć w twarz. Zniknął na chwilę, żeby włożyć buty, po czym pomógł nam wnieść krzesła do domu, gdzie ustawiliśmy je na werandzie.**

**Powiedziałem Juliusowi, że nie mogę zostać, bo muszę odwieźć studentów na kampus i zadbać o to, by kierowca wrócił do swojej firmy. W drzwiach poprosiłem, żeby przekazał żonie wyrazy uszanowania.**

**– Oczywiście – odparł. – Saffia odpoczywa.**

**Wróciliśmy tą samą trasą, którą przyjechaliśmy. Wpatrywałem się w drogę przed sobą. Jeden ze studentów walnął w dach szoferki, żebyśmy się zatrzymali. Nie chcieli już wracać na kampus i prosili, żebyśmy ich wysadzili gdzieś na mieście. Dziękując mi, skłonili lekko głowy i dotknęli palcami czół. Patrzyłem, jak odchodzą z monetami, które im dałem i które wypalały dziury w ich tylnych kieszeniach. Dziesięć minut później, przed biurem firmy przewozowej zwolniłem kierowcę – uznałem, że nie zasłużył na napiwek, i patrzyłem z przyjemnością, jak drwiący uśmiezek spełza w końcu z jego twarzy. Następnie udałem się na poszukiwanie taksówki lub autobusu, który zawiózłby mnie do domu.**

**Wiał lekki gorący wietrzyk. Powietrzne wiry owijały się wokół mnie, muskały twarz i napełniały uszy dźwiękami. Wyobrażałem sobie, że słyszę odległe o dobry kilometr morze, szum fal, które uderzały o brzeg i czepiały się piasku, kiedy woda się cofała. Szedłem jezdnią, ulica nie miała chodnika. Czułem, jak podeszwy moich butów uderzają o asfalt; twarde podłoże wprawiało moje ciało w dygot. Spieszyłem się, pragnąc jak najszybciej zostawić za sobą wydarzenia tego dnia.**

**Nie mogłem jednak zapomnieć tamtego dźwięku, który później w nocy, w ciszy sypialni dręczył mnie i podniecał. Leżałem skonany, lecz nie byłem w stanie zasnąć, targany przenikającymi mnie na wskroś emocjami. Mogłem poszukać tylko fizycznej ulgi, a później zapadłem w niespokojny sen, który nie przyniósł wytchnienia. Obudziłem się wcześniej, nadal mając świeżo w pamięci wydarzenia poprzedniego wieczoru.**

# ROZDZIAŁ 18

Adrian widzi ją po raz pierwszy, kiedy młoda kobieta stoi z Babagalehem przy bramie. Dopiero odwracając się i pozdrawiając skinieniem głowy służącego – z uprzejmości, ale i ze skrepowaniem, bo jest w drodze do szpitala psychiatrycznego i przełożył na później wizytę u Eliasa Cole’a – pozdrawia skinieniem i ją. Ten gest, widziany przez kogoś z zewnątrz, mógłby się wydać dziwnie dziarski w ciepłej płynnej atmosferze, w której ludzie poruszają się przez cały dzień niczym długodystansowi pływacy. Kobieta jest szczupła, ma szeroko rozstawione oczy, skrzywione cierpko usta i zaczesane do tyłu włosy, skryte pod zawiązaną na karku chustą. Później, czekając, aż ulicą przejdzie pogrzeb, Adrian obserwuje żałobników, którzy suną niespiesznie jak cienie w środku dnia. Myślimi wraca do kobiety przy bramie szpitala. Może to córka albo siostrzenica Babagaleha? Inna służąca? Nie odpowiedziała na jego skinienie, zmierzyła go tylko uważnym wzrokiem. Intensywność tego spojrzenia zostawiła na jego ciele ślad bolesny niczym zadrapanie. Odchodząc, zdał sobie nagle sprawę z pewnej mało prawdopodobnej acz niezwyklej możliwości.

Tak niezwyklej, że o mało się nie odwrócił, by powiedzieć coś – cokolwiek – do Babagaleha, znaleźć pretekst, by na nią znów popatrzeć.

\*

W szpitalu psychiatrycznym wita go Ileana.

– Hej, ty! Mam dla ciebie dobrą wiadomość. Twoja pani wróciła do rzeczywistości – mówi, uśmiechając się i pokazując ciemnoczerwoną szminkę na zębach.

– Chryste! Kiedy to się stało? Powinnaś była do mnie zadzwonić.

Ileana wzrusza ramionami.

– Przecież przyszedłeś. Chcesz ją zobaczyć?

\*

Przy oknie sylwetka Salii, strażnika. Agnes siedzi naprzeciwko Adriana. Wbija wzrok w punkt na stole, gdzieś w połowie drogi między nimi. Jest w stanie spojrzeć w twarz Salii, notuje Adrian, ale jemu jeszcze nie. Czuje się podenerwowany, ma spocone dłonie.

– Witam. Nazywam się Adrian. To jest Salia, którego pani już chyba zna. Salia będzie obecny w tym pokoju w trakcie całej naszej rozmowy na wypadek, gdyby trzeba nam było pomóc lepiej się zrozumieć. Czy to jest jasne?

Kobieta zerka na Salię i kiwa głową.

– Mam zamiar zadbać o to, żeby nam nie przeszkadzano. Mam zamiar wyłączyć telefony, a Salia zamknie drzwi na klucz, po prostu żeby nam nikt nie przeszkadzał. Nie ma pani nic przeciwko temu?

Agnes ponownie kiwa głową. Salia zamyka drzwi.

– Spotkaliśmy się już wcześniej. Pamięta mnie pani?

Agnes spogląda na niego, tym razem patrzy mu prosto w oczy, ale zaraz odwraca wzrok i nachmurzona kręci głową.

– Nazywam się Adrian. Pamięta pani, że przyszła mnie odwiedzić? Nie tutaj. W szpitalu

ogólnym.

Słyszając to, kobieta znowu mu się przygląda i spuszcza wzrok.

– Biały doktor.

– Tak, to byłem ja.

Salia mówi do niej półgłosem kilka słów, na które kobieta odpowiada ze spojrzeniem utkwionym w stole.

– Przepraszam – odzywa się Salia. – Ona mówi, że to pamięta. Nie pamięta tylko, że to był pan. To był biały doktor. Dla niektórych z nas to trudne, rozumie pan.

– Rozumiem – odpowiada Adrian. – Chciałbym się dowiedzieć, czy mogę pani jakoś pomóc – kontynuuje, zwracając się do Agnes. – Pozwoli pani, że spróbuję jej pomóc?

– Dobrze.

Adrian bierze głęboki oddech.

– Może zaczniemy od tego – mówi wyraźnym głosem – że powie mi pani, jak się nazywa i gdzie mieszka.

Ku jego zaskoczeniu kobieta odpowiada równie wyraźnie, choć nieco ciszej.

– Nazywam się Agnes. Mieszkam w Port Loko.

– Z kim pani tam mieszka?

– Z rodziną.

– Co pani tu robi w mieście? Wie pani?

Agnes kręci głową.

– Wie pani, gdzie się teraz znajduje?

Tym razem kobieta kiwa głową i spogląda na Salię, jakby szukała u niego potwierdzenia.

– Może mi pani powiedzieć, jak pani tutaj trafiła?

Nie pamięta.

Idzie to powoli, z wygłaszanymi dość często półgłosem uwagami Salii, bo kobieta mówi bardzo cicho, z silnym obcym akcentem. Czasami przeciąga słowa albo się zacina, jakby potykała się o niepewne myśli. Od czasu do czasu porzuca angielski i wygłasza kilka zdań we własnym języku. Adrian żałuje, że go nie zna. Czuje, jak ogarnia go desperacja. W tym momencie musi tylko zakotwiczyć Agnes w jakimś miejscu, sprawić, by mu trochę zaufała. Nadal zadaje jej proste pytania, informuje, że mogą w każdej chwili przerwać, proponuje, żeby napiła się wody.

Stopniowo dochodzą razem do okresu przedjej ostatnią podróżą.

Zbliżał się koniec pory deszczowej, mówi mu. Nie było zbyt dużo do jedzenia. Kupowała wędzoną rybę i nieliczne jarzyny dostępne na rynku, w spiżarni mieli jeszcze trochę ryżu i soli w workach. Bolały ją stawy. Jej córka kupiła jakąś mentolową maść i załatwiła wizytę u lekarza, który nie stwierdził nic złego. Tak czy inaczej, czuła się wystarczająco dobrze, żeby wykonywać domowe obowiązki, opiekować się synem córki i co drugi dzień gotować. Pomagała jej młoda dziewczynka, która u nich mieszkała. Któregoś dnia rozboleła ją głowa; położyła się do łóżka i poprosiła dziewczynkę, żeby przyniosła jej wody. Ból nie ustępował, miała wrażenie, jakby ktoś przystawił jej zimny nóż z tyłu czaszki.

Kilka dni później podgrzewała olej na patelni, żeby usmażyć rajskie banany. Zanim się zorientowała, z patelni zaczął unosić się gęsty dym, niemal stanęła w płomieniach. Zdołała w ostatniej chwili zdjąć ją z ognia. Olej się spalił, musiała oczyścić patelnię i zacząć od nowa.



Jej córki przez kilka dni nie było w domu, w przeciwnym razie wezwałyby ją, żeby zajęła się gotowaniem. Nie miała pojęcia, jak to się stało. W jednej chwili stawiała patelnię na ogniu, a zaraz potem o mało jej nie spaliła.

– Kto jeszcze był w domu?

Agnes nie wie, kręci głową.

– Gdzie była ta dziewczynka? A pani wnuczek?

Agnes znowu kręci głową. Nie pamięta. Może byli poza domem.

– A pani zięć? – Cisza. Może go nie usłyszała. Adrian powtarza pytanie. – Mam na myśli męża pani córki – wyjaśnia po chwili, podejrzewając, że być może słowo nie zostało dobrze przetłumaczone.

Agnes jest wyraźnie stropiona. Przykłada rękę do gardła, obmacuje palcami kark. Coś ją zdenerwowało.

– O co chodzi? – pyta Adrian.

– Gdzie jest mój złoty łańcuszek? Nie mogę znaleźć mojego złotego łańcuszka. Ktoś go zabrał. Czy to zostało zgłoszone? Dlaczego nikt mi nie zwrócił łańcuszka? – Jej głos nabiera siły.

– Niech pani opowie o tym łańcuszku.

– Jest ze złota. Ktoś mi go zabrał.

– Czy to był jakiś szczególny łańcuszek?

– Był ze złota.

Adrian słucha. Zapewnia Agnes, że dołożą wszelkich starań, by znaleźć łańcuszek. Nie chce skupiać się zbyt długo na tym temacie. Wzmianka o łańcuszku może być znacząca, może też być zupełnie nieistotna. Zapamiętuje sobie, w którym dokładnie momencie wynikła ta kwestia, tak jak wtedy, gdy zaznaczał na mapie szpilkami trasę jej podróży.

– Co pani jeszcze pamięta? Z okresu, zanim opuściła pani dom.

Agnes kręci głową i kładzie ręce na kolanach. Najwyraźniej znów się pogubiła.

– Co pani pamięta? – zachęca ją. – Proszę wymienić jedną rzecz, którą pani zapamiętała. Tylko jedną.

Szczekanie psa, które nie miało końca. Budziło ją ze snu. Razem z bólem głowy było bardzo dokuczliwe. Leżała na łóżku, myśląc, że powinna wstać, ale nie potrafiła się do tego zmusić. Zapadała z powrotem w sen. Ktoś gdzieś wypalał pola ryżowe, mimo że to nie była ta pora roku. Dym wdzierał się do pokoju i do jej płuc. Był gorzki, przyprawiał ją o mdłości. Na zewnątrz wschodziło słońce, za oknem przesuwały się cienie. Wiedziała, że powinna wyjść z domu, lecz nie potrafiła się wyrwać z objęć snu.

– Co to były za sny?

Nie może sobie przypomnieć.

Adrian czeka, nie chcąc przerywać jej częściej, niż to jest konieczne. Siedząc przed nim w gorącym pomieszczeniu, Agnes lekko się wierci, opadają jej głowa i ramiona, trzepoczą powieki. Adrian pochyla się do przodu. Nie ma pewności, ale wygląda na to, że zasnęła.

– Agnes? – pyta cicho. Na dźwięk jego głosu kobieta się prostuje. – Może pani wracać na oddział.

Niedługo zacznie się przerwa na lunch. Salia podchodzi do Agnes i pomaga jej wstać. Pacjentka robi wrażenie bardzo kruchej.

– Salia zajmie się pani łańcuszkiem – mówi do niej Adrian.

Agnes posyła mu pytające spojrzenie.

– Mówię o pani łańcuszku...

– Jakim łańcuszku? – pyta skonsternowana.

– Złotym łańcuszku, który pani zgubiła.

Agnes nie odpowiada. Mruga powiekami i rusza dalej.

Adrian obserwuje ją, kiedy muskając biurko, obchodzi je i zmierza do drzwi. Nie ogląda się za siebie. Nie ma cienia udawania w tym, jak powłóczy nogami i kołysze lekko głową, idąc korytarzem w stronę oddziału kobiecego. Stojąc przy oknie, Adrian widzi, jak Salia zatrzymuje się, żeby pogadać z innym członkiem personelu. Nieświadoma tego Agnes drepcze dalej. Salia rusza szybko, żeby ją dogonić.

Gdyby udawała, Adrian musiałby zastanowić się dlaczego. Ma jednak pewność, że to, czego był świadkiem, jest autentyczne. Widział, jak Agnes przechodzi z jednego stanu do drugiego, jednego, w którym martwiła się utratą złotego łańcuszka, drugiego, w którym nie pamiętała, że go straciła. Przypomina sobie słowa mężczyzny w dawnym domu towarowym, tego, który przyprowadził Agnes do szpitala. Salia użył tych samych słów i próbował je wyjaśnić Adrianowi.

Agnes jest nawiedzona.

\*

Siedzą w Gaju Pacjentów, dym z papierosa Ileany unosi się w górę, splatając się z gałęziami drzew. Jej łokieć spoczywa na poręczu ławki, z papierosa zwisa centymetr popiołu. Trzymając rękę w kieszeni fartucha, majstruje przy zapalniczce. Adrian słyszy, jak kółko pociera kamień. Ileana słucha, nie spuszczając z niego wzroku.

– Rozważasz, oczywiście, możliwość schizofrenii? – pyta, kiedy Adrian przestaje mówić.

– Oczywiście – odpowiada Adrian. – Choć jest wyraźnie zdezorientowana. I ma zaniki pamięci. Nie sądzę, żebym miał do czynienia z psychozą. Właściwie niczego nie jestem tak pewien jak tego. Nigdy jej nie badałaś? – pyta po chwili.

Ileana kręci głową, wskutek czego popiół opada z jej papierosa; podnosi do ust to, co z niego zostało, głęboko się zaciąga i rzuca niedopałek między opadłe płatki kwiatów.

– A Attila? – dopytuje się Adrian.

– Stara się zbadać wszystkich pacjentów, ale jest ich tak wielu... Poza tym ona nie zagrzała u nas długo miejsca. Skończyło się pewnie na wywiadzie przy przyjęciu.

Adrian podnosi z ziemi strąk i zaczyna go obierać. Wypadające nasiona grzechoczą cicho o kamienie. Nie chce na razie mówić Ileanie o tym, co myśli, jakie czyta książki. Chce poczekać, aż będzie trochę bardziej pewien. Musi także przełożyć na później rozmowę z Attilą. Na razie miło mu posiedzieć w towarzystwie Ileany, w cieniu ogrodu, w najspokojniejszym miejscu w całym mieście. Chciałby z nią dalej pogadać, zaprosić na piwo. Uświadamia sobie, że nie ma pojęcia o jej życiu domowym, czy jest tutaj sama, czy jest zamężna, czy samotna. Próbuje wyobrazić ją sobie wszędzie indziej, tylko nie tutaj.

– Gdzie mieszkasz? – pyta. – To znaczy tu, w tym mieście.

– W bungalowie. Przy plaży Malaika. Mieszkam tam od jakichś sześciu miesięcy. Przedtem miałam mieszkanie w mieście, prawdziwą norę. Tam, gdzie teraz mieszkam, jest o wiele lepiej. Powinieneś przyjść i zobaczyć.

– Mieszkaś tam sama? To znaczy... – Adrian trochę się płacze. – Przepraszam. Nie chciałem być wścibski. Zastanawiałem się po prostu, czy jesteś bezpieczna – kończy nagle.

Ileana śmieje się i patrzy na niego; w jej ciemnych oczach widać autentyczne rozbawienie.

– Wiem, o co ci chodzi. I odpowiedź brzmi „tak”, jestem sama. I czuję się tu bezpieczniej niż gdziekolwiek w Izraelu czy w Rumunii. Nie sądzę, by ktokolwiek tam w to uwierzył, gdybym mu powiedziała. Kiedy byłam ostatnim razem w twoim cholernym kraju – dodaje ze śmiechem – po całym Haringey łąził za mną jakiś pieprzony zboczeniec. Mogłam wrzeszczeć na całe gardło, a i tak nikt by mnie nie usłyszał.

Ileana zapala kolejnego papierosa i wstaje. Razem wychodzą z ogrodu.

– Herbaty?

– Chętnie.

\*

W drodze do domu Adrian prosi kierowcę, żeby zatrzymał się przy supermarkecie. W środku chodzi wzdłuż regałów, oglądając importowane produkty i delektując się klimatyzacją. Ceny są prawie poza jego zasięgiem, właściciele muszą zarabiać fortunę. Wybiera dwie duże paczki chipsów, bierze kilka puszek piwa z lodówki i płaci, odliczając brudne banknoty. Kończy się dzień, ma zamęt w głowie i liczy powoli, myli się i zaczyna od nowa.

Potem jedzie dalej taksówką, nie przez most Juliusa, lecz przez zatłoczone śródmieście. Z radia leci piosenka. Adrian nie może jej sobie dokładnie przypomnieć, ale pochodzi chyba sprzed paru dziesięcioleci, ze ścieżki dźwiękowej jakiegoś filmu. Rytm poprawia mu nastrój. Nie po raz pierwszy staje mu przed oczyma twarz kobiety, która rozmawiała z Babagalehem. Tym razem nie próbuje jej od siebie odsunąć, przypomina sobie spojrzenie, które mu rzuciła, sposób, w jaki musnęło jego skórę, kiedy starał się ją wyminąć. Usiłuje odtworzyć w myślach jej rysy, lecz mu umykają. Pamięta tylko minę, jaką zrobiła, jakby dobrze wiedziała, dlaczego starał się wyminąć Babagaleha. Ale w końcu wszystkie atrakcyjne kobiety mają taką samą moc, na to w każdym razie wygląda.

Przyciska do czoła puszkę piwa i czuje, jak chłód przenika jego ciało. Jest szósta. Dzień dobiega końca.

# ROZDZIAŁ 19

– Która jest godzina?

Kiedy Adrian się pojawił, Elias Cole spał, powieki miał częściowo otwarte. Ten jeden raz jego oddech był niesłyszalny. Adrian zawahał się i przez chwilę zabiło mu szybciej serce. Z wyjątkiem zgonu własnego ojca nie miał dotąd do czynienia ze śmiercią. Oficjalny powód: zapalenie płuc. To była powolna śmierć, krępujące odejście. Adrian był wystarczająco zorientowany, żeby wiedzieć, jak to się na ogół odbywa. Wstrzymanie dawki penicyliny, chłodny pocałunek igły z morfiną. Kiedy przyszedł, pościel była już zmieniona. Przez cały pobyt ojca w domu opieki wyrzucał sobie, że za rzadko go odwiedza. Nie ze względu na samego ojca, który prawie go nie rozpoznawał, ani ze względu na matkę, która wierzyła lub utrzymywała, że Adrian tak ciężko pracuje, lecz ze względu na samego siebie. Wiedział, że będzie tego żałować. Strofował sam siebie, lecz i tak nie przychodził.

Kieruje się w stronę okna i zaciąga zasłony przed słońcem.

– Jest druga.

Podaje starszemu mężczyźnie szklankę wody. Gdzieś z zewnątrz słychać cudzoziemskich pracowników, którzy śpiewają Happy Birthday niemieckiemu koledze. Kilka minut wcześniej Adrian stał razem z nimi w pokoju lekarskim, sącząc zalatujące octem wino. Wymknął się jeszcze przed pokrojeniem tortu.

Adrian siada, drugi mężczyzna nie spuszcza z niego wzroku.

– Powiedział pan, że ludzie zastanawiali się często, co takiego widział w panu Julius.

– Tak jest.

– I że sam pan się nad tym zastanawiał.

– Nie miałem złudzeń.

– Ale co pan w nim widział, w Juliusie?

– Widziałem Saffię. Tylko Saffię.

\*

Dwudziesty lipca 1969. Morze Spokoju.

Wszystko było oczywiście robione pod Amerykanów. Żeby mogli wziąć wolne popołudnie i oglądać to w domu przy piwie i grillu. To były w końcu ich pieniądze, ich prezydent, ich rakietka, ich show. Oni byli zwycięzcami. Reszta świata mogła tylko patrzeć. Kiedy jechałem do Ocean Club, amerykańska ambasada była rozświetlona i gwarna, dygnitarze walili tam jak w dym. Za to sowiecka była zamknięta i ciemna niczym dom żałoby. Zwycięzca bierze wszystko. Sowietom nie mogli liczyć nawet na lojalność tak mało znaczącego kraju jak nasz. Nasz premier. a może to było w roku, kiedy mianował się prezydentem? Nasz prezydent bratał się w tym momencie z Amerykanami, pławił w ich chwale, mimo że przez długie lata korzystał z sowieckiej pomocy.

Taksówka, którą jechałem, zatrzymała się w korku. Zaryzykowałem i wysiadłem. Chwilę później zaczęło padać, ale ktoś już zajął zwolniony przeze mnie wóz. Nie miałem innego wyjścia, musiałem iść na piechotę. Zapomniałem parasola. Traf chciał, że zobaczyłem bar, który

znałem, i postanowiłem wstąpić tam na drinka, żeby przeczekać deszcz. Barman nastawił radio na World Service, gdzie trwały dyskusje, wywiady i wypytywanie ekspertów, mające wypełnić długie godziny przed samym wydarzeniem. Kogo to obchodziło? Na pewno nie mnie. Wypiłem pierwszego drinka. Pomyślałem o Saffii i z miejsca poczułem znajome ukłucie tęsknoty.

Po drugiej whisky przyszła trzecia. W tym lokalu rozwadniali alkohole, wiedziałem, że trudno mi będzie się upić. Dlatego zostałem tam i piłem. Piłem, żeby przeczekać deszcz. Piłem, żeby nie przyjść za wcześnie. Piłem, żeby nie przemoczyć koszuli. A przede wszystkim, żeby odsunąć w czasie bolesny i cudowny moment, kiedy znajdę się znowu w towarzystwie Saffii.

W barze rozmawiano o wydarzeniu wieczoru. Podobnie jak w całym mieście, nie sposób było przed tym uciec. Wszyscy byli przekonani, że się uda; może pan w to uwierzyć? To prawda, ludzie ginęli wcześniej w kosmosie. Ale Ameryka była supermocarstwem. Nadeszła pora bogów, a my w Afryce byliśmy zwykłymi śmiertelnikami.

– Myślałam, że o mnie zapomniawsz – usłyszałem kobiecy głos, cichy i przymilny.

Odwróciłem się i dopiero po chwili zobaczyłem stojącą za mną młodą kobietę. Zauważyła, że się waham, i zerknęła na barmana, jakby chciała sprawdzić, czy nas obserwuje. Nadal jednak się do mnie uśmiechała. To była dziewczyna z baru, ta, z którą spędziłem noc po mojej pierwszej wizycie u Saffii. Zabrałem ją wtedy do domu. Od chwili, gdy wsadziłem ją do taksówki i dałem pieniądze, które powinny starczyć za kurs, w ogóle o niej nie myślałem. Lecz teraz, w stanie, w jakim byłem, perspektywa spędzenia kilku chwil w jej towarzystwie wydawała się dość nęcąca.

– Hej – powiedziałem. – Miło cię widzieć.

– Myślałam o tobie – odparła. – Miałam nadzieję, że spróbujesz mnie odnaleźć.

– No cóż, właśnie cię odnalazłem. Czego się napijesz?

Nie zamierzałem się tłumaczyć, jaki to miałyby sens? Oboje wiedzieliśmy, co jest grane. Jeśli miała ochotę, mogła udawać wstydliwą. Pstryknąłem palcami na barmana.

Nie wiem, po co zaprosiłem tę dziewczynę do Ocean Club. Może chciałem zrobić na złość Saffii. Może powodem był gniew, który palił mi trzewia. Jej miłość do męża, jej niewzruszony chłód, jej honor, który powodował, że trzymała mnie na dystans, a jednocześnie nie przeszkadzał przyjaźnić się z innymi mężczyznami.

I oczywiście ten dźwięk, ten jęk w dniu, kiedy przywiozłem krzesła. Palił mnie. Palił.

\*

Gdy tam weszliśmy, Kekura opierał się o bar.

– Ekstra koszula, człowieku. Myślałem przez chwilę, że to wszedł Julius. – Popatrzył na dziewczynę, spodziewając się, że ją przedstawię, ale nawet jeśli znałem kiedyś jej imię, zdążyłem je zapomnieć. – Cześć, nazywam się Kekura. Kekura Conteh – powiedział, podając jej rękę.

– Cześć – odparła nieśmiało.

Nie przedstawiła się i nadal byliśmy obaj w kropce. Kekura zsunął się ze stolka i dziewczyna usiadła.

– Są już inni? – zapytałem.

– Tylko Ade. Ja też tu długo nie zostanę. Muszę pojechać do domu Juliusa i sprawdzić, czy wszystko gra.

Przypomniałem sobie, że Kekura, który pracował w państwowym radiu, miał zapewnić

audiowizualną obsługę imprezy. Pokiwałem głową, w której trochę mi huczało. Zastanawiałem się właśnie, czy lepiej zrobi mi kolejna whisky, czy szklanka wody, kiedy zobaczyłem Juliusa i Saffię.

Ocean Club. Muszę go panu opisać. Półkolisty bar. Rozległy otwarty parkiet. Czasami grali tam muzykę. Porozstawiane wszędzie stoliki. Morze było kilka metrów dalej, można było wyjść prosto na plażę. Do środka klubu schodziło się kręconymi schodami, które prowadziły na parkiet, w związku z czym każdy, kto wchodził, przyciągał uwagę wszystkich obecnych. Saffia włożyła niebieską suknię, tę samą, którą miała na sobie, kiedy ją po raz pierwszy ujrzałem. Patrzyłem, jak schodzą. Julius, wyprzedzając ją o jeden krok, dokładnie tak samo jak na przyjęciu z żonami, gdy miał ochotę ominąć rządę witających, a ona powstrzymała go dotknięciem palców.

Kekura również przestał mówić i patrzył. Miałem wrażenie, że wszyscy na sali poszli za naszym przykładem. I nagle Saffia stanęła przy mnie, przywitała się i położyła dłoń na moim ramieniu. Żadna kobieta, którą znałem, nie potrafiła odmienić mojego nastroju tak prostym gestem. Jeszcze przed chwilą poirytowany, teraz byłem w siódmym niebie.

– Nie jesteś podekscytowany, Eliasie? – zapytała. Przez chwilę poczułem w ciepłym powietrzu jej zapach.

– Oczywiście – odparłem, wykorzystując sposobność, żeby na nią spojrzeć, przez cały czas będąc świadom jej ręki na moim ramieniu i czując dotyk jej palców. – To historyczny moment.

– Ciekawe, jakie to będzie miało znaczenie – powiedział Kekura. – Za dziesięć lat, kiedy będziemy spoglądali wstecz.

– Ja też jestem ciekaw – stwierdziłem.

Saffia cofnęła rękę. Uświadomiłem sobie, że odwraca się, by zobaczyć, kto jeszcze jest na sali.

– Modlę się, żeby to był koniec wyścigu między Rosją i Ameryką. Może Amerykanie przestaną robić to, co robią w Wietnamie.

– Raczej w to wątpię – mruknąłem. Nie chciałem dać się wciągać Kekurze w dyskusję; mózg powoli mi się lasował.

Saffia odwróciła się do nas z powrotem.

– Wszyscy się zastanawiają, czy znajdziemy ludzi na Księżycu – rzuciła.

– Nikogo tam nie ma – oświadczył kategorycznym tonem Kekura. – W przeciwnym razie zobaczylibyśmy, jak nam machają.

Saffia się roześmiała.

– Zgoda. Ale kto wie, czy nie ma tam innych form życia, mikroorganizmów, życia roślinnego?

Była oczywiście naukowcem.

W tym momencie dołączył do nas Julius, który zdążył już obejść stoliki. Kekura wezwał barmana i zamówił kolejne drinki. Rozmowa urwała się i została podjęta przez Juliusa, który zaproponował toast.

– Przyjaciele, po dzisiejszym dniu nic już nie będzie takie samo – powiedział i wszyscy wypiliśmy, nie wiedząc, jak prawdziwe dla każdego z nas okażą się jego słowa.

Zapomniałem o dziewczynie, która w dalszym ciągu siedziała na stolku. Wszyscy nieco się

przemieściliśmy, żeby mogła do nas dołączyć najpierw Saffia, a potem Julius, i stopniowo sformowaliśmy krąg, z którego dziewczyna została wykluczona. Po jakimś czasie wstała i stanęła obok mnie. Nie zareagowałem na to; zachowywałem się, jakby była kimś obcym. Zdawałem sobie sprawę, że Saffia i Julius mnie obserwują. Zastanawiałem się, co mnie, u licha, podkusiło, żeby ją przyprowadzić. Może gdyby nie ruszała się ze stołka, mógłbym dyskretnie pozbyć się jej przed przyjęciem. Jednak teraz, w obliczu tej bezczelności, musiałem pogodzić się z tym, co nieuniknione.

– To Adline, przyjaciółka. – Adline była inną dziewczyną, którą kiedyś znałem i która była do niej podobna z charakteru; imię wziąłem wprost z powietrza.

Saffia skinęła głową.

– Witaj, Adline – powiedział Julius, unosząc lekko brwi.

– Nazywam się Yamba – oświadczyła głośno dziewczyna, jakby wygłaszała publiczne oświadczenie. Z naciskiem wymówiła obie sylaby swojego imienia: Yam-ba. – I bardzo się cieszę, że mogie was poznać.

„Mogie”. Zdałem sobie sprawę, że prawie w ogóle jej nie słuchałem. Nie pochodziła z miasta, jak mi się wydawało, lecz z głębokiej prowincji. Saffia i Julius patrzyli na nią grzecznie, podobnie jak Kekura lekko skonsternowani. Nikt nie wiedział, jak zareagować na jej oświadczenie. Dopiero Saffia przerwała niezręczne milczenie.

– Nam też jest bardzo miło. Studiujesz na uniwersytecie?

– To znaczy jakim?

– Chyba powinniśmy już iść – wtrąciłem. – Na mieście są korki, wiecie.

– Mamy mnóstwo czasu – odparł Julius.

– Właściwie dobrze, że mi przypomniałeś. Powiniennem już lecieć. Czy w domu jest ktoś, kto mnie wpuści? – zapytał Kekura, kierując na szczęście rozmowę na inne tory i wkrótce zajęliśmy się czym innym.

Julius, jak już wspomniałem, przyciągał do siebie ludzi i wkrótce dołączyli do nas inni klienci baru, wśród nich pewna kobieta, którą znałem z kampusu. Tak naprawdę nic o niej nie wiedziałem prócz tego, że była czarną Amerykanką. Towarzyszył jej pewien pisarz, Mulat, prowadzący również trupę taneczną, która z tego, co słyszałem, odnosiła pewne sukcesy. Saffia zapytała go, czy czuje się zainspirowany wydarzeniami tego wieczoru.

W całym mieście ludzie gromadzili się w domach, na osiedlach i w barach, żeby wysłuchać w radiu wiadomości o postępach misji Apollo 11. Byliśmy nadal w Ocean Club, kiedy ogłoszono, że moduł księżycowy będzie wkrótce próbował wylądować. Właściciel klubu kazał wyłączyć muzykę i na sali zapadła cisza. Słyszać było tylko szum radia i odgłos fal. Widziałem lekko fosforyzującą wodę, sunącą do przodu i cofającą się na wezwanie tego samego księżyca, na którym za chwilę miał wylądować przedstawiciel ludzkości. Podano oświadczenie, a potem po krótkiej chwili usłyszeliśmy głos astronauty: „Houston. Tu baza Tranquillity. Orzeł wylądował”. Goście w klubie zaczęli bić brawo i wzajemnie sobie gratulować. Nawet właściciel, z natury skąpy facet, zafundował wszystkim drinki na koszt firmy. Barman obudził się z letargu.

– Orzeł wylądował! – zawołał Julius, podnosząc w górę pięść.

– Jaki orzeł? – zapytała Yamba, spoglądając na niego z wyżyn swojego stołka, na którym się usadowiła.

– Tak się nazywa moduł księżycowy – wyjaśniłem. – Statek kosmiczny – dodałem, kiedy spojrzała na mnie, jakbym mówił po holendersku.

– O jakim wy gadacie statku kosmicznym?

Kiedy opowiedziałem jej o locie na Księżyc, o którym najwyraźniej ona jedna na całym świecie nie miała zielonego pojęcia, popatrzyła na mnie z niedowierzaniem. Jakaś część naszej rozmowy zwróciła uwagę Juliusa, który podobnie jak inni odwrócił się, żeby posłuchać.

– Mówisz o tym małym księżycu? – zapytała Yamba, wskazując nocne niebo.

– Oczywiście, o tym księżycu.

Dziewczyna wysunęła do przodu podbródek, wzięła się pod boki i przechyliła na bok głowę, jakby sprawdzała, czy nie robię sobie z niej żartów.

– No dobrze, powiedz mi jedno – oświadczyła.

– Proszę bardzo.

– Jaki człowiek chciałby robić coś takiego?

Słyszając to, Julius wybuchnął śmiechem i klepnął się po udzie, wylewając alkohol z kieliszka.

– Znakomite! – zawołał. – Powinna wystąpić przed niektórymi z moich studentów. Pierwsza zasada. Dlaczego?

– Żeby upokorzyć Sowietów – powiedział Kekura. – To nowa wersja walki o Afrykę. Walka o przestrzeń. Sto lat temu walczyli o nas. O nasze ziemie, nasze bogactwo, nasze dusze.

– W rzeczy samej – odezwał się Ade, który dołączył do nas w ciągu ostatnich dziesięciu minut. – I żeby powstrzymać gazety przed pisaniem bez przerwy o Wietnamie.

– Trudno się nie zgodzić – skomentował pisarz-tancerz. – Ale gdybym to ja był tam na górze, wiedziałbym, dlaczego to robię.

– Dlaczego? – zapytała Saffia.

– Żeby wzbić się w przestworza.

– To mi się podoba – stwierdziła.

– Żeby wzbić się w przestworza – powtórzył Julius. – Żeby sprawdzić granice tego, czego możemy dokonać, granice naszej odwagi. – Mówił serio. – W przeciwnym razie po co w ogóle żyjemy?

Czy wspomniałem już, jacy byliśmy wtedy młodzi? Jak bardzo młodzi?

Na zewnątrz trwało uliczne przedstawienie. Tancerz zawołał do Juliusa, żeby zatrzymał samochód, i wszyscy wysiedliśmy. Z tego, co pamiętam, cieszył się później pewną sławą jako choreograf, dopóki nie podpadł władzom. Zmarł chyba za granicą. Ale to nie należy do rzeczy.

Przed jednym ze sklepów dwaj mężczyźni ubrani w zaimprovizowane skafandry kosmiczne poruszali się we wnętrzu prowizorycznego modułu. Za sobą mieli telewizor ze zbyt małym ekranem, by tłum mógł na nim coś zobaczyć. Dlatego naśladowali ruchy astronautów, pokazując widowni, co dzieje się na pokładzie Apollo 11. Tancerz był zachwycony i staliśmy tam przez kilka minut, aż w końcu Saffia, niepokojąc się, że goście zaczną przybywać podczas naszej nieobecności, powiedziała, że musimy ruszać, i zostawiliśmy go, żeby dojechał do nas później.

Kilka osób rzeczywiście przyjechało już przed nami. Julius zajął od razu miejsce za barem i zaczął serwować drinki. Saffia zniknęła w kuchni. Kekura chodził po pokoju, trzymając



antnę, a Ade kontrolował jakość obrazu. W końcu Kekura wspiął się na krzesło, ustawił antnę na półce i zeskoczył na dół, żeby samemu sprawdzić obraz na ekranie. Julius podszedł do gramofonu, wyjął płytę z koperty i położył ją na talerzu. W pokoju zabrzmiał męski głos z towarzyszeniem gitary. Dziewczyna obok mnie zaczęła tańczyć.

Teraz każdy, z kim pan rozmawia i kto żył w czasie lądowania na Księżycu, będzie twierdził, że dokładnie pamięta, gdzie wtedy był. Moje własne wspomnienia z tamtej nocy są tak samo niewyraźne i mroczne jak obraz, który pojawił się na ekranie ustawionego przez Kekurę i Adego telewizora. Wydarzenia tamtego wieczoru w znacznej części zatarły się w mojej pamięci, zatarły zaraz po tym, jak się rozegrały; rozmyły się w oparach alkoholu, użalania nad sobą i frustracji. Oto, co zapamiętałem:

O północy wciąż przybywali nowi goście. Kursowałem między werandą i salonem, starając się nie wdawać w rozmowy i stale popijając. Co jakiś czas, niczym sygnały dalekich stacji radiowych, dochodziły mnie strzępy konwersacji.

– Kup sobie psa. To lepsze od ubezpieczenia.

– Słyszałem, że w Bostonie jest zimno jak w psiarni. Tak, proszę. Campari.

– Podważają wyniki wyborów kolejnych parlamentarzystów opozycji. Oczywiście sędownie, żeby nikt nie mógł się przyczepić. Ale wychodzi na to samo. Wkrótce nie zostanie ani jeden. – To oczywiście Kekura, któż inny?

– Co będzie, jeśli coś się stanie ze statkiem kosmicznym?

– Jeśli zabraknie im tlenu, umrą. – To Ade Yansaneh marszczący czoło pod gęstą czupryną.

– Bakłażan. Tak go tutaj nazywacie? Owoc bakalarzy. Podoba mi się. – To ta czarna

Amerykanka.

Przez cały czas obserwowałem ukradkiem Saffię. Och, była znakomitą gospodynią, chyba już o tym wcześniej wspomniałem, dbającą o wszelkie potrzeby gości, wzywającą kelnera – którego znałem z uniwersyteckiego bufetu – żeby tu napełnił kieliszek, tam opróżnił popielniczkę. Podano chrupki i orzechy nerkowca, a później zawinięte w liście olele na tacach. Ja nic nie jadłem.

Księżycowy spacer zaplanowano na drugą w nocy. Poczęstowałem się papierosem z pudełka, które leżało na stoliku do kawy. W rogu pokoju jarzył się cicho ekran telewizora, teraz, gdy minęło pierwsze podniecenie, na ogół ignorowany. Widać było na nim gadających w studiu facetów oraz powtórki tego, co widzieliśmy wcześniej. Stałem, gapiąc się na sylwetki astronautów. Muzyka zmieniła się w coś wolnego i melodyjnego.

Nagle obok mnie pojawił się tancerz.

– Kiedy będziesz ich obserwował dostatecznie długo, przekonasz się, że poruszają się w rytmie muzyki – powiedział.

Bzdura, pomyślałem, ale okazało się to niezbyt odległe od prawdy. Miałem wrażenie, że astronauta, którzy wchodzili do statku kosmicznego, obracali się, machali rękoma i wyczyniali różne sztuki w stanie nieważkości, rzeczywiście robią to w takt muzyki. To samo można było powiedzieć o gościach programu, kiedy wiercili się na krzesłach i gestykulowali. Im dłużej ich oglądałem, tym bardziej byłem o tym przekonany. Po kilku minutach roześmiałem się głośno i odwróciłem do tancerza, lecz on zdążył już odejść. Oglądałem telewizję jeszcze przez kilka minut i ponownie się roześmiałem. W pewnym momencie zaczęło mi się kręcić w głowie. Potrząsnąłem nią i znowu spojrzałem na ekran. Powietrza. Potrzebowałem świeżego

powietrza. Wychodząc na werandę, minąłem Adego, który zapytał, czy dobrze się czuję. Straciłem jego rękę z przedramienia. Zobaczyłem plecy Saffii. Mówiłem już, jaka była zawsze wyprostowana? Faktycznie, nieugięta. Zatrzymałem się i ruszyłem w inną stronę, zderzając się z krzesłem i wylewając trochę alkoholu na plecy siedzącej na nim kobiety, która pisnęła, odwróciła głowę i spiorunowała mnie wzrokiem. Wymamrotałem słowa przeprosin i poszedłem dalej.

Nagle przypomniałem sobie o dziewczynie. Kogo obchodziło, że nie mogłem mieć Saffii? Były przecież inne kobiety. Miałem nawet ochotę zadzwonić do Vanessy, nie wiedziałem jednak, jak się do tego zabrać. Obiecałem sobie, że zatelefonuję do niej nazajutrz z samego rana. Nie było jeszcze za późno, wszystko da się naprawić. A na razie była tamta dziewczyna. Gdzie się podziała?

Znalazłem się w ogrodzie. Nie pamiętałem, żebym schodził po schodach. Zupełnie jakbym tam spłynął, eterycznym, napędzanym alkoholem ślizgiem. Z drinkiem w ręku błąkałem się w labiryncie ścieżek pod osłoną wiszącego na niebie księżycy. Z domu dochodziły dźwięki muzyki, teraz nieco zwawszej. Przystanąłem i zacząłem nasłuchiwać. Dizzy Gillespie, byłem tego prawie pewien, jeden z ulubionych wykonawców Juliusa. Muzyka nie poprawiła mi jednak nastroju, kiedy tam tak stałem, nie biorąc udziału w imprezie. W którymś momencie zadarłem głowę i wbiłem wzrok w mleczne wstęgi gwiazd. Stojąc z odchyłoną do tyłu głową, straciłem w końcu równowagę i musiałem złapać się rosnącego obok drzewa. Opierając się o nie, na wszelki wypadek pociągnąłem kilka łyków z trzymanej w ręce szklanki.

Po chwili poczułem się lepiej i uznałem, że mogę iść dalej. Podążałem za wonią kwiatów i ziemi. Wyobrażałem sobie, że czuję zapach księżycowej poświaty, czystego tlenu. Dotarłem do miejsca, w którym rosły lilie harmattan. Sezon kwitnienia mieliśmy jednak oczywiście za sobą, i widać było tylko sterczące w księżycowym blasku, kanciaste, jakby owadzie kształty. Dopilem drinka i stanąłem tam, przyciskając do piersi pustą szklankę i gapiąc się na czarne łodygi kwiatów.

Jeśli chce pan znać prawdę, po wypiciu sporej ilości alkoholu robię się ckliwy. Już to panu mówiłem? Stojąc tam, przy liliach harmattan, z jakiegoś powodu pomyślałem o mojej matce, o jej ostatniej chorobie. A potem pomyślałem o swoim bracie, ulubieńcu matki, który zawiadomił mnie listownie o jej śmierci, gdy byłem w Anglii. Zdałem sobie sprawę, że wciąż trzymam pustą szklankę, i cisnąłem ją na grządkę.

Jakiś ruch. Ktoś był blisko mnie. Jakaś para musiała tam się wcześniej zakraść. Nie zdając sobie sprawy z mojej obecności, zatrzymali się i chyba objęli. Usłyszałem szuranie nogami, oddech, chichot i udawany protest kobiety, który, jak to często bywa, stanowił w rzeczywistości zachętę. Podeszedłem bliżej i przyjrzałem im się w ciemności. Po wielu deszczowych tygodniach ziemia była miękka i można było po niej cicho stąpać. Kiedy mnie zobaczyli, dzielił nas nie więcej niż metr. Było dokładnie tak, jak myślałem: ten chichot i ten głos. Dziewczyna, którą zabrałem na przyjęcie i której od pół godziny szukałem. Towarzyszył jej jakiś chłystek. Wpadłem w furję.

Część z tego, co działo się potem, pamiętam jak przez mgłę. Być może go sprowokowałem. Choć można uznać, że to on wcześniej mnie sprowokował. Bo jaki mężczyzna stuliłby uszy po sobie i patrzył, jak inny facet oblapia jego dziewczynę? Tak czy inaczej, doszło do porządnej awantury. Pamiętam, że kiedy kazałem dziewczynie się od niego odsunąć, a ona nie posłuchała,

skoczyłem do przodu i złapałem ją za rękę. Jej bezczelność rozpałała mnie do białości. Padły ciężkie słowa. Złapałem kij i zagroziłem, że go oćwiczę. Dziewczyna chyba uciekła i pobięła do domu, ponieważ zanim się zorientowałem, pojawił się Julius i facet zaczął się wykręcać, twierdząc, że nie ma pojęcia, co we mnie wstąpiło. Dziewczyna stała obok, wydając płaczliwe dźwięki. Zupełnie niepotrzebnie. Jej zawodzenie i obecność Juliusa jeszcze bardziej mnie rozjuszyły. Obrzuciłem ich wszystkich przekleństwami. Podniosłem kij w górę – nie żeby posłużyć się nim jako bronią, lecz żeby cisnąć go nad ich głowami. Julius próbował mnie uspokoić, rozkładając szeroko ręce. Nie pamiętam, czy doszło do jakiejś szarpaniny. Chyba nie. W pewnym momencie straciłem równowagę i upadłem na plecy.

I nagle oburzenie zmieniło się we współczucie. Zostałem podniesiony z ziemi – przez Juliusa – i otrzepany z kurzu. Odniosłem wrażenie, że cały incydent przede wszystkim go rozbawił. Powtarzał bez przerwy moje imię. Elias. Elias. Elias. Nie miałem jednak ochoty być uspokajany ani stać się dla niego pośmiewiskiem. Czulem, jak wzbiera we mnie gniew. Chciałem pochylić głowę i go zaatakować, chciałem rzucić się na niego, okładać pięściami i kopać. Zamiast tego odtrąciłem jego wyciągniętą dłoń i pokuśtykałem do domu, deptając grządki i zarośla i wpadając na jakieś drzewa. Pamiętam mgliście, że przechodziłem przez salon. Oślepiające światła. Chaotyczne rozmowy. Fonia w telewizorze była podkręcona i gromadzili się przed nim ludzie. Minąłem ich w drodze do wyjścia i pchnąłem frontowe drzwi.

Wszyscy na świecie wiedzą, gdzie byli, kiedy pierwszy człowiek spacerował po Księżycu. Zawsze powtarzałem, że byłem wtedy na przyjęciu u Juliusa i Saffii. Z czasem stworzyłem dla siebie wersję prawdy, w której zawarte było wspomnienie tego ziarnistego szarego obrazu i pierwszego zdania Armstronga łącznie z dzielącą je chwilą wahania. Mały krok człowieka. Pauza. Wielki krok ludzkości.

W rzeczywistości nie mam pojęcia, jak i kiedy dotarłem do domu. Minąłem po drodze wiele barów. W kilku z nich może nawet się napiłem. Niewykluczone, że obejrzałem spacer po Księżycu albo, co bardziej prawdopodobne, że wysłuchałem o nim relacji. Być może oglądałem tych odzianych w skafandry z cynfolii dwóch aktorów, a potem połączyłem w umyśle dźwięk i obraz i stworzyłem ową namiastkę wspomnienia.

Wiem tylko, że jakoś dotarłem do domu. Leżałem potem spocony w łóżku i sufit wirował mi nad głową. W pewnym momencie wypełzłem na zewnątrz, z wymiotowałem do toalety, wróciłem do łóżka i położyłem się w pozycji płodowej. W końcu udało mi się zasnąć.

\*

W nocy nie pomyślałem o tym, żeby zasunąć zasłony, i widziałem teraz przez okno wiszące nisko nad dachami purpurowe chmury. Nie miałem pojęcia, co mnie obudziło. Leżałem na poduszce w kompletnej nieświadomości, zupełnie dezorientowany, z umysłem, którego działanie zablokowała wypita whisky, i przez moment doznawałem wyłącznie poczucia spokoju. Nie wiedziałem, jaki to dzień, wydawało mi się, że niedziela. Dość szybko uświadomiłem sobie, że trudno mi otworzyć usta – tak bardzo były zaschnięte. Gdy zdołałem to zrobić, mój oddech mnie samemu wydał się cuchnący. Zdałem sobie również sprawę, że leżę na łóżku w ubraniu. W powietrzu unosił się odór wymiocin. Pierwsze przebliski tego, co zdarzyło się w nocy, wstrząsnęły mną do głębi. Wspomnienia stopniowo wracały, budząc we mnie uczucie palącego wstydu.

Wstałem, by skorzystać z łazienki. Ćmiło mnie trochę w ramieniu. Przypomniałem sobie, jak

przedzierałem się przez ogród, zderzając się z niewzruszonymi, solidnymi pniami drzew. Byłem tu i ówdzie podrapany, ale generalnie nic mi się nie stało. Przeglądając się w lustrze, nie odkryłem większych obrażeń. Wyglądałem tak samo jak zawsze, z wyjątkiem ziemistej cery i podkrążonych oczu. Powiniennem dość szybko zaleczyć kaca, jedząc coś, pijąc kawę i odsuwając w ten sposób w czasie nieuchronną refleksję nad tym, co zrobiłem. Spryskałem wodą twarz i wypłukałem usta, po czym wyszedłem, żeby zagrzać w kuchni wodę do kąpieli.

Wracając z łazienki z pustym garnkiem po wodzie, zauważyłem kobietę, która stała po drugiej stronie ulicy. Zaczęło już wtedy padać. Deszcz zacinął wąskimi spiralami, które wyglądały, jakby zwisały z nieba. Kobieta otworzyła parasolkę; chyba na kogoś czekała. Odniosłem takie wrażenie, bo nie patrzyła w lewo ani w prawo, ale trzymała w obu dłoniach uchwyt parasolki.

Napełniłem ponownie garnek, słuchając syku zimnej wody stykającej się z rozgrzanym metalem. Już miałem zanieść go do łazienki, gdy kobieta podniosła głowę. Dostrzegłem jej profil, zarys podbródka i nosa i to wystarczyło, bym stanął jak wryty. Odstawiłem garnek do zlewu, otworzyłem okno i wyjrzałem na zewnątrz. Co ona tu, do licha, robiła? W pierwszej chwili ogarnęło mnie przerażenie: jej wizyta musiała mieć coś wspólnego z moim wczorajszym zachowaniem.

Cofnąłem się, obszedłem pokój i ponownie zbliżyłem się do okna. Tak, to była ona. Poczulem, jak wbrew zdrowemu rozsądkowi budzi się we mnie głupia i desperacka nadzieja. Serce zaczęło mi walić w piersi, w głowie zakręciło się tak mocno, że dostałem mdłości. Niczym wynurzające się z bagna zwłoki topielca wróciło do mnie wspomnienie wydarzeń w ogrodzie. Co ja takiego powiedziałem? Co zrobiłem? I dlaczego nie przyszedł do mnie Julius? Albo Kekura lub Ade Yansaneh w dyplomatycznej misji przełamania lodów?

Czym prędzej nakryłem łóżko narzutą, złapałem pierwsze lepsze ubranie i wybiegłem na podest zewnętrznych schodów. W tym samym momencie Saffia podniosła wzrok.

Jeśli nie opisałem panu dotąd mojego apartamentu, powiniennem uprzedzić, że samo użycie słowa „apartament” jest w tym wypadku pewnym nadużyciem. W rzeczywistości był to pojedynczy, choć duży pokój ze zlewem i kuchenką z jednej strony oraz łóżkiem i łazienką z drugiej. Trudno mi to przyznać, lecz kiedy Saffia wchodziła po schodach, myślałem tylko o tym, że nie tak wyobrażałem sobie jej pierwszą wizytę. Stała na najwyższym stopniu, nie uśmiechając się, za to rozglądając, jakby czegoś wypatrywała.

– Och, Eliasie! – powiedziała. – Przepraszam. Bardzo cię przepraszam. Czekałam.

– Powinnaś była wejść na górę – odparłem, wpuszczając ją do środka.

– Weszłam. Obudziłam chyba twoją gospodynię.

Wsunąłem się za nią do środka, boleśnie zdając sobie sprawę z tego, że w pokoju śmierdzi potem, nieświeżym oddechem i wymiocinami. Saffia przeszła dwa kroki i odwróciła się do mnie. Jej głos był martwy niczym spróchniałe drzewo. To, co powiedziała, sprawiło, że przestałem myśleć.

– Julius został aresztowany.

\*

W drodze do ich domu opowiedziała mi, co się wydarzyło. Po przyjęciu, zaraz po tym, jak wyszli ostatni goście, w domu zjawili się dwaj mężczyźni. Cywilni funkcjonariusze, bo żaden nie miał na sobie munduru. Julius i Saffia nie poszli jeszcze spać. Nie podano żadnego powodu

aresztowania, nie okazano nakazu, niczego nie wyjaśniono. Julius oczywiście protestował, lecz w końcu, nie widząc innego wyjścia, podporządkował się. Saffia próbowała dodzwonić się do Adego i Kekury, a kiedy żaden z nich nie odpowiadał, przyjechała do mnie. Pochlebiałem sobie, myśląc, że jestem pierwszą osobą, do której się zwróciła. Obserwowałem ją, gdy znowu próbowała się do nich dodzwonić, słuchała niewyraźnego, doprowadzającego do szału sygnału. Nikt nie odbierał. Wstała i ukryła twarz w dłoniach, kręcąc głową.

– To na pewno pomyłka – powiedziałem. – Jak można to inaczej wytłumaczyć?

Wyobrażałem sobie chyba, że musimy to po prostu przeczekać.

Bóg wie, że nie miałem doświadczenia w tych sprawach, lecz z natury byłem – jestem – człowiekiem skłonny do ostrożności. Nie ma chyba sensu przejmować się czymś, co mogło się okazać fałszywym alarmem. Być może za kilka godzin będziemy się z tego wszystkiego śmiali. Naprawdę w to wierzyłem. Chciałem po prostu być dalej z Saffią w tamtym domu. Mogłem jej zaoferować pociechę, mogłem jej zaoferować wsparcie, mogłem być jej opiekunem. Przeczekamy to, a kiedy się skończy – cóż, nie wybiegałem myślami tak daleko do przodu, myślałem tylko o godzinach, które to poprzedzały.

Saffia wzięła kluczyki do samochodu i zaproponowała, że pojedziemy do Adego i Kekury.

Nie było śladu po Adam. Sąsiad powiedział nam, że zabrali go wczesnym rankiem. Jako jeden z ostatnich opuścił przyjęcie, czekali na niego, kiedy wrócił do domu. Od niego pojechaliśmy czym prędzej do Kekury, ale nie zastaliśmy go w domu i niczego się nie dowiedzieliśmy. W pobliżu domu Saffii i Juliusa były trzy posterunki policji i wszystkie je kolejno odwiedziliśmy. Pierwszy oficer dyżurny próbował ją przekonać, że zaginieni mężowie szybko się odnajdują. Gdy Saffia opisała mężczyzn, którzy przyszli do niej do domu tego ranka, spojrzał na nią z ukosa, wzruszył ramionami i odwrócił się do nas plecami. Wzięłem ją pod ramię i wyprowadziłem na zewnątrz.

Wracaliśmy cichymi ulicami. W domu Saffia znowu zaczęła dzwonić. Nie dowiedzieliśmy się nic nowego. W radiu też nic nie podali, poza normalnymi zawiadomieniami o narodzinach, zgonach i ślubach. Wiadomości dotyczyły przede wszystkim udanego lądowania na Księżycu.

Saffia poinformowała mnie, że ciotka wyjechała. Poszedłem do kuchni i znalazłem trochę jedzenia, które zostało z poprzedniego wieczoru. Ponieważ znowu zaczęło mi dudnić w skroniach, wypilem kilka szklanek wody, po czym zabrałem zimne olele i banany do salonu.

Osobiście nadal żywiłem przekonanie, że sprawa nie jest taka poważna, jak się wydawała, że Julius lada chwila wejdzie do domu i obróci cały incydent w żart, historię, którą będziemy opowiadać, by z niego pokpiwać. To dziwne, ale całkiem serio rozważałem możliwość porwania, następnie zaś uznałem, że to może być jakiś dowcip, który splatali nam Kekura i Ade. Bez wątpienia miały na to wpływ niezwykle wydarzenia poprzedniego wieczoru: lądowanie na Księżycu, fakt, że popadłem w niełaskę, krążący jeszcze w moich żyłach alkohol; wszystko wydawało się możliwe.

Minęła pierwsza. Julius nie wracał. Druga. Julius nie wracał. Wpół do piątej. Julius nie wracał. Piąta. Za piętnaście siódma. Ósma.

Godziny wlokły się, a kiedy indziej przyspieszały biegu. Na odgłos telefonu Saffia zrywała się i łapała słuchawkę, żeby już po chwili osunąć się z rozczarowaniem na krzesło, gdy okazywało się, że to nie Julius. Zapadł zmierzch, gasząc nadzieję. Gdzieś w pobliżu ktoś bił dziecko, krzyki trwały kilka minut. Ja i Saffia milczeliśmy. A potem Saffia wstała i robiąc to,

głęboko westchnęła, z czego nie zdawała sobie chyba sprawy. I w tym momencie coś się w niej zmieniło: ramiona opadły jej, jakby spuszczone z niej powietrze. Obeszła pokój, zapalając światła.

– Czy jest coś, za co mogli aresztować Juliusa? – zapytałem.

– Oczywiście, że nie.

Przeanalizowaliśmy wydarzenia tego poranka, różne możliwości, których było niewiele. Ostatecznie powtórzyła to, co powiedziała na początku. Nic z tego nie miało sensu.

Nalałem nam po drinku. Saffia protestowała; nie chciała pić alkoholu. Przekonywałem, że to jej pomoże. Przez cały dzień nie tknęła jedzenia. Upiła jeden łyk i odstawiła szklankę na stół. Co do mnie, metoda klina okazała się skuteczna, alkohol szybko ukoił moje stargane nerwy.

– Nie wiemy nawet, gdzie on jest – powiedziała. – Powinnam była za nimi pojechać. W ogóle o tym nie pomyślałam. To wszystko wytrąciło mnie z równowagi.

– Skąd mogłaś wiedzieć?

– Nie – odparła. – Nie mogłam wiedzieć. Człowiek nie ma o takich rzeczach pojęcia, dopóki mu się nie przytrafią. A coś takiego nigdy wcześniej nam się nie przytrafiło.

O jedenastej pożegnałem się, obiecując, że wrócę z samego rana. Propozycja pozostania na noc została odrzucona. W drodze do domu minąłem kilka punktów kontrolnych. Podobnie jak wiele innych osób traktowałem je jako chwilową uciążliwość, chwilową pod warunkiem, że człowiek nie miał pecha albo nie wdał się w niepotrzebny spór. Napastliwe zachowanie prowokowało żołnierzy. Zastanawiałem się, czy coś takiego nie zaszło między Juliussem i mężczyznami, którzy przyszli do jego domu tego ranka, czy coś, co wynikało ze zwykłej pomyłki, nie przerodziło się właściwie bez powodu w poważniejszą aferę.

Skinąłem głową żołnierzowi, który pełnił wartę przy blokadzie, a on puścił trzymany w rękach sznurek i podniósł szlaban w górę.

# ROZDZIAŁ 20

Kilka imion, które zna.

Lamin twierdzi, że pracował, malując wielkanocne jajka, w fabryce w Niemczech. Zna kilka słów po niemiecku: Frau. Haus. Osterei. Rozpoznano u niego dysocjalne zaburzenia osobowości. Ileana mówi Adrianowi, że zdaniem Attili nigdy nie był w Niemczech. Lamin robi postępy, Attila pozwolił, by nie przykuwano go do łóżka, łańcuchy ma założone tylko na nadgarstki i kostki nóg. Przechadza się powoli w słońcu z łańcuchami, które zarzuca na ramię niczym tren ślubnej sukni. Podnosi wolną rękę, pozdrawiając Adriana.

Łóżko obok Lamina zajmuje Kapuwa. Adrian przeczytał jego historię choroby. Pracował w kopalni diamentów w zamian za miskę ryżu dziennie. Wieczorami mężczyźni łagodzą głód gandzią. Kopalnie zostały zdobyte przez rebeliantów, którzy zmuszali górników do równie ciężkiej pracy za mniejszą ilość pożywienia. Kapuwa uciekł, ale jego umysł pozostał w kopalni. Rodzina sprowadziła znachora, który raz w tygodniu mył go i odmawiał modlitwy. Bliscy, którzy bali się ataków szału Kapuwy, trzymali go na podwórku przykutego łańcuchem do bambusowego kija.

Borbor zajmuje łóżko pośrodku oddziału. Jest opóźniony w rozwoju i ma padaczkę. Odwraca się plecami do Adriana, pochyla i kręci tyłkiem, który Adrian widzi wyraźnie przez rozdarte spodnie. Adrian udaje przerażenie. Borbor śmieje się i klaszcze w dłonie. Inni pacjenci skarżą się, że Borbor jest obłąkany. Adrian podejrzewa, że nie jest takim debilem, za jakiego chciałby uchodzić.

Jest jeszcze Profesor. Mają kogoś takiego w każdym szpitalu psychiatrycznym, myśli Adrian. Geniusze i opóźnieni w rozwoju, złączeni w obłądnie. Profesor cierpi na psychozę maniakalno-depresyjną, ściany przy jego łóżku pokryte są zapisanymi kredą słowami, poetyckimi, nonsensownymi, obscenicznymi. Skarżył się na niego ojciec jednego z nowych pacjentów, człowiek religijny. Profesor nie jest przykuty łańcuchami i może się swobodnie przemieszczać. Adrian rozpoznaje w nim mężczyznę, z którym rozmawiał przy bramie tamtego pierwszego ranka.

Ci czterej są stałymi rezydentami. Są i tacy, którzy przychodzą i odchodzą. Przez cały dzień leżą w łóżkach, śpiąc albo pozostając w różnych stadiach wycofania. W nocy ich deliryczne ataki niepokoją innych pacjentów. Czasami dochodzi do awantur. Wielu uczestniczyło kiedyś w wojnie, walczyli ze sobą. Teraz leżą jeden obok drugiego. Należy do nich młody człowiek, którego Adrian przyprowadził do szpitala. Przychodzą i odchodzą. Przychodzą i odchodzą.

Tego dnia Lisa zatelefonowała wczesnym rankiem, żeby przypomnieć mu o egzaminach Kate. Adrian rozłączył się i zadzwonił dziesięć minut później, żeby porozmawiać z córką. Jeśli była w jakimś stopniu podenerwowana, nie dała tego po sobie poznać. „Jak to słodko, że zadzwoniłeś, tatusiu”. Ostrożne, konserwatywne dziecko, dwa tysiące siedemset gramów przy urodzeniu, drobna i krucha jak porcelana. Lisa została w domu, żeby zająć się nią w pierwszym roku życia, potem w drugim i trzecim, i w końcu przestało się w ogóle mówić o jej

powrocie do pracy. Czasami Adrianowi trudno powiedzieć, gdzie kończy się jego żona, a zaczyna córka, jakby przy porodzie nie zostały fachowo rozdzielone. Z czasem Kate wyrosła na osobę wyważoną w myślach i uczynkach, której wejście w dorosłość wydawało się zupełnie bezkolizyjne, pozbawione błędów i rozterek przytrafiających się innym dzieciom.

Przez telefon Adrian życzył jej powodzenia.

– Będę już kończyć. Lepiej, żebym się nie spóźniła – przerwała mu, kiedy chciał opowiedzieć o kolibrze. Czasami jej rezerwa wytrąca go z równowagi, jakby uważała jego starania za zbędne. Nie zawsze tak było. Kiedy miała dwa latka, cierpiała na koszmary i nalegała, żeby to on, a nie Lisa, siedział przy jej łóżku, aż zaśnie. Później obserwował ją we śnie, zastanawiając się, o czym może śnić taka mała istotka.

Idąc przez miasto, kupił kilka paczek herbatników od przydrożnego sprzedawcy. Daje je teraz Kapuwie, który kładzie herbatniki na stole pośrodku pokoju i pieczołowicie rozdziela między pacjentów oddziału. Ci, którzy mogą wstawać, podchodzą cicho, żeby dostać swoją część. Kapuwa znosi herbatniki tym, którzy są przykuci łańcuchami. Lamin drepcze do stołu. Cała ceremonia prowadzona jest z powagą i w milczeniu. Kapuwa idzie wzdłuż rzędu prycz, mężczyźni podnoszą skute łańcuchami ręce, żeby dostać herbatnika, a potem dziękują głośno albo skinieniem głowy. Adrian zastanawia się, co mu to przypomina, i po chwili to sobie uświadamia. Kapuwa wygląda jak ksiądz udzielający komunii.

Przechodząc później przez oddział, Adrian nie czuje już smrodu. Odgłos jego kroków jest krzepiący i pewny. Czuje się szczęśliwszy, niż był od wielu tygodni i miesięcy. Niż był od wielu lat.

\*

Tego dnia kobieta ma na sobie wzorzystą niebieską lappę oraz T-shirt z obrazkiem delfina. T-shirt jest na nią za duży i ześlizguje się z chudego, kościstego ramienia. Jest boso. Czterdzieści trzy lata. Dwa lata starsza od Adriana, w tym samym wieku co Lisa. Adrian przypomina sobie delikatne zmarszczki na skórze Lisy. Twarz Agnes jest nieskazitelna, waży nie więcej niż dziewczynka. Mogłaby mieć dwadzieścia, ale i sześćdziesiąt lat. Przeżyte lata zostawiły ślady nie na jej ciele, lecz w świetle oczu.

Tego dnia robią kolejne postępy. Salia, który najwyraźniej czekał na Adriana, podchodzi do niego przy bramie i wręcza złoty łańcuszek.

Agnes siedzi naprzeciwko niego, z przedramionami opartymi na poręczach fotela. Tym razem rzadziej spogląda na Salię. Wydaje się spokojna, w jej głosie nie słychać emocji. Adrianowi łatwiej jest ją zrozumieć. Czas, który spędził razem z Ileaną, pomagając jej podczas obchodu w szpitalu, oswoił go z akcentem i składnią języka.

\*

Agnes. Urodziła się i wyszła za mąż, opowiada mu, w mieście na północ od stolicy. Jej mąż pracował w państwowym gospodarstwie rolnym, uprawiając różne gatunki owoców i warzyw. Karłowate banany, których zbiory były równe albo przewyższały zbiory zwyczajnych bananów. Papaje, większe od miejscowych gatunków. Gujawy, limonki, pomidory i warzywa. Mąż zachował dla niej trochę nasion, które zasiała w przydomowym ogródku i z których plony sprzedawała na targu. Z czasem zaczęła je raz w tygodniu przywozić do stolicy i sprzedawać przed supermarketami białym kobietom. Urodziła pięcioro dzieci, dwóch chłopców i trzy dziewczynki. Obaj chłopcy zmarli, wszystkie dziewczynki przeżyły. Naasu. Yalie. Marian.



Najstarsza Naasu była pomocnym i mądrym dzieckiem. Po ukończeniu szkoły urządzili jej przyjęcie ze słodyczami i kolorową oranżadą. Zaraz potem dostała pracę w domu towarowym w stolicy. Worek ryżu bardzo już wtedy podrożał. A kilka miesięcy później pracujący w państwowych szkółkach mąż Agnes przestał dostawać pensję.

Agnes odwiedzała czasami Naasu w domu towarowym, gdy przyjeżdżała do stolicy, żeby sprzedać swoje produkty. Naasu schodziła ze stoiska, w którym sprzedawała kosmetyki, i szła z nią do któregoś z lokali, gdzie ona i inne dziewczyny jadały lunch. Jeden z nich nazywał się Red Rooster. Agnes bardzo się tam podobało, chociaż nie akceptowała wydawania pieniędzy na posiłki ugotowane przez kogoś innego. Jadły z papierowych pudełek. Agnes zabierała je potem i wiozła do domu, choć Naasu śmiała się i próbowała wybić jej to z głowy. Kiedy indziej Naasu przywoziła do domu małe buteleczki z perfumami, które, jak twierdziła, rozdawało się klientkom. Agnes zachowywała je na specjalne okazje. Ach, Naasu wyglądała tak pięknie w strojach, które nosiła do pracy. Ale Alfredowi nie podobało się to, jak się malowała. Naasu tłumaczyła, że sama też musi używać kosmetyków, żeby przekonać do nich klientki. Musiała kupować kosmetyki za własne pieniądze; z jakiegoś powodu rozwiła to zastrzeżenia Alfreda.

Agnes nigdy nie była w sklepie w godzinach otwarcia, lecz czasami Naasu wpuszczala ją tylnym wejściem, kiedy dom towarowy był zamknięty. Szła przez puste sale, przyglądając się wystawom, importowanym tkaninom, butom z długimi wąskimi obcasami i bladym manekinom o różowych wydętych ustach. Dotykała wszystkiego z wyjątkiem manekinów, które z jakiegoś powodu budziły w niej lęk. Naasu śmiała się i pokazywała jej magazyn, w którym leżały pozbawione rąk i nóg korpusy.

Innym razem do środka dostał się ptak. Przelatywał przez szerokie przejścia między salami i w końcu przycupnął na ramieniu manekina.

Naasu nie pracuje już w domu towarowym, informuje go Agnes. Ona sama nie była tam od wielu lat.

Niczego nie przemilcza, Adrian to widzi. On z kolei niczego nie kwestionuje.

– Niech mi pani opowie o pierwszej podróży, którą pani odbyła, pierwszej, o której pani pamięta i której w ogóle wcześniej nie zaplanowała – prosi.

To było chyba przed rokiem. Podobnie jak ostatnio w porze harmattan. Zaczęło się w ten sam sposób, jak zaczynało się później, od snów tak prawdziwych, że nie mogła przed nimi uciec. Obudziła się rano z brudnymi podeszwami stóp; w nocy musiała wyjść za potrzebą, ale w ogóle tego nie pamiętała. Sny przyprawiały ją o ból głowy i kiedy obudziła się rano, przed oczyma miała rozmazaną plamę. A potem wszystko zrobiło się czarne i widziała tylko krąg światła. Wysłała dziewczynkę, żeby kupiła jej leki, bo Naasu nie było w domu, pojechała na wesele koleżanki szkolnej do innego miasta. Nie było jej już od dwóch dni i miała wrócić dopiero po kolejnych dwóch.

Przez cały ranek Agnes miała silne przeczucie, że coś się wydarzy. Podeszła do drzwi, żeby zobaczyć, czy dziewczynka nie wraca z apteki. Ale nawet kiedy mała wróciła, Agnes nadal wstawała i wyglądała za drzwi. W końcu zmusiła się, żeby usiąść. Niepokój trzepotał jej w piersi niczym skrzydła ptaka, który nie mógł wyfrunąć z domu towarowego. Nie zdołała długo usiedzieć w miejscu. Zawołała dziewczynkę i razem zaczęły przygotowywać wieczorny posiłek. Uciskowi w czaszce Agnes towarzyszył dźwięk podobny do szumu powietrza. Jej własny głos, kiedy instruowała dziewczynkę, co ma robić, brzmiał, jakby ktoś wołał z drugiego pokoju.

Żałowała, że Naasu nie ma w domu. Próbowала zablokować te dźwięki i skoncentrować się na tym, co robi, ale przez cały czas miała wrażenie, że śni, jakby to, że stoi tam, pitrasi coś razem z dziewczynką i obserwuje własne krojące mięso ręce, było częścią snu.

Nie pamięta, jak wyszła z domu. Później dziewczynka opowiedziała, co się stało. Tego popołudnia Agnes wysłała ją do miasta, żeby kupiła owoce na powrót Naasu. Mała zrobiła, co jej kazano. Stojąc przy straganie, zobaczyła Agnes zmierzającą szybkim krokiem w stronę głównej drogi. Pomyślała, że może Naasu wraca wcześniej i Agnes idzie do autobusu.

Naasu odnalazła Agnes pięć dni później. Podążała śladem matki, rozpytuując ludzi w każdej wiosce. W którymś miasteczku ktoś rozpoznał Agnes. Siostrzenica jej męża rozmawiała z nią, lecz ta chyba jej nie poznała. Siostrzenica pokazała Naasu, w którym kierunku udała się jej matka.

Agnes zapamiętała niektóre rzeczy z tego okresu. Nie potrafi jednak powiedzieć Adrianowi, czy te rzeczy przydarzyły jej się naprawdę, czy tylko przyśniły. Pamięta, jak szła ścieżką i wirował przed nią wzniesiony wiatrem pył. Którejś nocy spała w chacie pracowników rolnych. Innego dnia patrzyła na sunące po niebie chmury i zauważyła, że kierują się w tę samą stronę co ona, ale gdy Naasu spytała ją, dokąd szła, nie potrafiła odpowiedzieć na to pytanie. Odnaleziono ją sześćdziesiąt kilometrów od miejsca, w którym obie mieszkały. Po tym jak Naasu przywiozła ją do domu, Agnes spała przez całe dwie doby.

\*

Agnes kończy swoją relację. Siedzi naprzeciwko Adriana, który przygląda jej się w milczeniu. Wie, że się nie pomylił. Wszystko, co mu dzisiaj powiedziała, potwierdza jego przypuszczenia. Nie ośmiela się na tak wczesnym etapie postawić diagnozy, lecz rzadko kiedy wcześniej był tak pewny, że ma rację.

Wyjmuje spod kartki złoty łańcuszek, który dostał od Salii, i wręcza go Agnes.

– Dziękuję – mówi uprzejmie kobieta.

– Należy do pani?

– Tak. To ten, który zgubiłam na oddziale. Myślałam, że ktoś go ukradł.

Adrian pochyła głowę. Wie, że Salia ich obserwuje. Nie mówi Agnes, czego dowiedział się od pielęgniarki. Że łańcuszek przyniósł im mężczyzna z dawnego domu towarowego i że odzyskał go w jednym z wielu ulicznych lombardów, których właściciele siedzą z wagami i jubilerskimi lupami na chodniku.

Zastawiła go sama Agnes.

Niedzielne południe. Adrian, któremu udało się pożyczyć samochód, jedzie do Ileany na lunch. Pierwszy raz od wielu tygodni siedzi za kierownicą i z początku nie idzie mu najlepiej. Landcruiser jest o wiele większy od wszystkich pojazdów, z którymi miał dotąd do czynienia, a poza tym ma kierownicę z lewej strony. Trochę trwa, nim jego ręce i stopy przypomną sobie, co robić. Wkrótce jednak dodaje gazu i rozkoszuje się poczuciem niezależności. Nie jedzie trasą, którą wskazała mu Ileana, ale w przeciwnym kierunku, przez śródmieście i zakorkowane rondo. Robi się coraz goręcej, dziękuje Bogu, że ma klimatyzację, nie tylko ze względu na chłodny nawiew, lecz także możliwość odseparowania się od kurzu i hałasu po drugiej stronie szyb. Skręca w lewo, gdzie ruch jest wyraźnie mniejszy. Po prawej dostrzega otwarty teren, pole golfowe; prosto przed sobą widzi morze. Droga skręca w prawo i Adrian przejeżdża nią wzdłuż całej plaży. Tutaj nie ma w ogóle ruchu. Wyłącza klimatyzację, otwiera

szybę i wystawia twarz na świeżą bryzę. Przy końcu drogi zawraca na kolejnym rondzie. Dojeżdżając do zakrętu w lewo, widzi wąską drogę, której nie zauważył, jadąc w przeciwnym kierunku. Za dwoma betonowymi filarami półkolisty podjazd biegnie pod piętrę domu. Adrian skręca tam, zostawia samochód na parkingu i idzie po nierównym asfalcie do budynku. Trzy schodki prowadzą do fontanny, utrzymanego w stylu art déco posągu dziewczyny, która odchyła głowę do tyłu i trzyma w wyciągniętych rękach pochodnię. Struga z pochodni splywa po ramionach i brzuchu dziewczyny do małej zielonej sadzawki u jej stóp, z której chłepcze wodę pies z parchatymi uszami. Na ścianie za rzeźbą widać namalowany spłowiałymi literami napis: TYLKO DLA KLIENTÓW OCEAN CLUB.

Drewniana podłoga, wyblakła i poplamiona wodą, z brakującymi w kilku miejscach klepkami. Z boku przestronnej sali bar w formie podkowy, dalej stoliki i krzesła, po prawej parkiet mogący pomieścić sto i więcej par. Poranne refleksy słońca migoczą na blatach stolików, ścianach i nieruchomych wentylatorach pod sufitem. Po drugiej stronie parkiet wychodzi prosto na morze. Ciszę zakłóca tylko szum fal. W zasięgu wzroku nie ma nikogo. Przechodząc przez salę, Adrian czuje się dziwnie odsłonięty, jak zawsze, gdy idzie po parkiecie – jakby w każdej chwili mógł usłyszeć brzęk perkusji i znaleźć się w punktowym świetle reflektorów.

Na plaży stadko przezroczystych krabów ucieka przed jego cieniem. Bliżej brzegu małe ptaszki, brodzie, śledzą ruch fal, biegnąc za ustępującą wodą i sprawdzając, czy na piasku coś po niej nie zostało. A potem uciekają z powrotem, gdy woda wraca. Detektywi szukający na plaży dowodów rzeczowych, ze skrzydłami, które spleli na plecach, by dodać sobie powagi. Adriana kusi, żeby zdjąć buty i skarpetki i wejść do wody, w końcu jednak uznaje, że za dużo byłoby z tym zachodu. Zamiast tego kieruje się więc do baru, dostawia do niego jeden ze starych stołków i siada. Po kilku chwilach pojawia się mężczyzna.

– Słucham pana?

– Poproszę piwo. – Jest dopiero jedenasta, ale niech tam.

Barman otwiera butelkę i nalewa piwo do przechylonej szklanki.

Kładzie na blacie podkładkę, stawia na niej szklankę i przesuwa ją w stronę Adriana, który pociąga łyk, delektując się spływającą do gardła strugą zimnego piwa. Mężczyzna odchodzi i wraca ze słonymi orzeszkami w misce z nierdzewnej stali. Są małe i pyszne, z różowymi cieniutkimi skórkami, z których jedna podrażnia Adrianowi gardło i przyprawia go o kaszel.

– Niech pan uważa, proszę pana.

– Tak, dziękuję. – Adrian wypija piwo, lecz kaszel nie ustaje. – Jeszcze jedno piwo, proszę.

– Pan tutaj pierwszy raz? – pyta barman, nalewając kolejną butelkę.

– Tak. – To pytanie, którego zaczyna nie lubić. Czuje się traktowany protekcjonalnie, jak żółtodziób, ktoś nieotrząskany – zwłaszcza jeśli pytającym jest inny biały.

– I jak się panu u nas podoba?

Adrian kiwa głową.

– Bardzo.

Barman również kiwa z powagą głową, jakby tego właśnie się spodziewał.

– Może powie pan innym – mówi. – I zaczną do nas przyjeżdżać.

Adrian pije piwo. Barman wychodzi i wraca z kostkami lodu w pojemniku, który stawia na półce pod barem.

– Właściwie – odzywa się Adrian – wiedziałem już to i owo o tym kraju. Od mojego dziadka.

Nie jest to do końca prawda i sam nie wie, dlaczego to mówi. Może dlatego, że ma dość traktowania go jak nowicjusza. Barman podnosi wzrok.

– Pański dziadek był tutaj?

– Owszem – odpowiada Adrian. – Dawno temu. Przed wojną. Był komisarzem okręgowym.

– Jak się nazywał pański dziadek?

– Silk.

– Komisarz okręgowy Silk, no tak.

Ani ton głosu barmana, ani jego mina nie pozwalają ocenić, czy pamięta to nazwisko, czy po prostu grzecznie mu przytakuje. Adrian kończy piwo. Kiedy chce płacić, barman znowu znika. Przeliczając pieniądze, rozgląda się za nim i dopiero teraz zauważa wiszący na filarze plakat. Wstaje ze stołka, żeby mu się bliżej przyjrzeć. Mamba Blues. Od 18 do 20. Pierwszy poniedziałek miesiąca. Ocean Club. Obok jest zdjęcie kobiety z półprofilu. Przypomina mu dziewczynę, którą widział przed szpitalem rozmawiającą z Babagalehem, lecz ką, pod którym zrobiono zdjęcie, sprawia, że nie ma pewności. Rozgląda się ponownie za barmanem i ponieważ nadal go nie ma, zostawia na kontuarze odliczone pieniądze i wychodzi.

Droga do domu Ileany jest prosta, a odległość wynosi tylko kilka kilometrów, ale nawierzchnia okazuje się fatalna i jazda zajmuje mu trzydzieści minut. Przy drzwiach leżą dwa psy, chude i bez obroży. Jeden z nich ostrożnie obwąchuje jego rękę, kiedy czeka, aż Ileana mu otworzy. Przez siatkę widzi salon: stara ratanowa sofa, stolik do kawy, książki. Jaskrawe szale na meblach, na ścianie lustro w ramie ze sklejonych w mozaikę okruchów szkła. Słychać muzykę fortepianową. W końcu widzi idącą przez pokój, palącą papierosa Ileanę. Na jego oczach wykonuje kilka tanecznych kroków. Ma blade, nieumalowane usta. Nie zauważa go. Adrian czeka, aż Ileana zniknie, i puka po raz drugi. Tym razem pojawia się po krótkiej chwili i energicznie otwiera drzwi z siatki.

– Drzwi są otwarte. Powinieneś wejść – mówi z uśmiechem, po czym całuje Adriana w oba policzki, cofa się i przez chwilę mu się przygląda, niczym matka patrząca, jak bardzo urósł jej syn.

Ma świeżo pomalowane, ciemnoczerwone usta. – Witaj!

Dom, niewielki bungalow, stoi przy samej plaży. Ileana idzie do kuchni i wraca z zimnym piwem dla Adriana.

– Gdyby ten domek należał do mnie, wyburzyłabym wszystkie ściany i zrobiłabym z tego jedną przestrzeń, coś w rodzaju studia – deklaruje.

– Jest wspaniały. – Adrian zdejmuje buty, otwiera drzwi z siatki i stąpa po sprężystej trawie i piasku. – Jak go znalazłaś?

– Bungalow wynajmowała jakaś górnicza firma na weekendy dla swoich zagranicznych pracowników. Przejęłam go za wyjątkowo niski czynsz. Można powiedzieć, że na rynku nieruchomości panował wtedy zastój. – Ileana się śmieje. – Teraz w życiu byś czegoś takiego nie znalazł, na pewno nie za tę cenę. Wszystkie budynki wzdłuż tej plaży są wynajmowane za astronomiczne sumy przez tę czy inną organizację pozarządową.

Ileana wystawia na zewnątrz dwa plastikowe krzesła i siadają, delektując się ciszą, którą zakłóca tylko szum morza.

Plażą idzie pod słońce grupa osób. Trzy grube i trzy chude sylwetki. Każda z grubych postaci połączona jest jakby z tą chudą. Kiedy podchodzą bliżej, Adrian widzi, że to trzech mężczyzn, każdy z młodą czarną dziewczyną. Dziewczyny wydają się niezwykle młode, szczupłe i ładne.

Ileana i Adrian patrzą, jak przechodzą.

– Jak inaczej zachowujemy się w krajach innych ludzi – rzuca Ileana, podnosząc do ust butelkę. – To po prostu widać.

– Co widać?

– Kiedy tylko uznamy, że ujdzie nam to na sucho, robimy, co nam się podoba. Nie trzeba obalać porządku społecznego. Wystarczy tylko sześć godzin lotu samolotem.

– Rozumiem, o co ci chodzi. – Adrian obserwuje oddalające się postaci.

Tu i tam grupki kąpiących się siadają na piasku albo pod parasolami. Między nimi biegają dzieci sprzedające orzeszki i owoce.

– Mam nadzieję, że lubisz kraby – mówi Ileana.

Wynoszą na dwór sałatkę, talerze i sztucce. Jest smażony ryż i butelka zimnego białego wina. Ileana kładzie dwa wielkie kraby na grillu, gdzie pękają i skwierczą. Przy jedzeniu Adrian opowiada jej o Agnes, o postępach, jakie robi.

– Jest nadal dezorientowana, lecz jej stan się polepsza. Kilka dni temu nie poznawała się w lustrze. Teraz może prowadzić rozmowę. Ma dziury w pamięci, ale moim zdaniem za parę dni wróci do siebie.

– A te podróże?

– Z tego, co wiem, zaczęły się nie przed wojną, tylko po niej. To jedno nie ulega kwestii. Muszę odkryć, jaki jest ich powód. Zakładam, że coś wydarzyło się w trakcie wojny.

– Myślisz, że cierpi na zespół stresu pourazowego?

– To właśnie chcę sprawdzić – odpowiada ostrożnie Adrian.

Zdaje sobie sprawę, że Ileana nie spuszcza z niego wzroku. Nie zdoła jej oszukać, Ileana dokładnie wie, co chodzi mu po głowie. Jeśli Adrian ma rację, dokonał poważnego odkrycia. Zdiagnozowanie fugi dysocjacyjnej w jakiejś populacji będzie sukcesem zawodowym. A gdyby udało mu się wykazać, że fuga ma związek z zespołem stresu pourazowego, zdobyłby sławę.

Opowiadając dalej, wspomina Ileanie o złotym łańcuszku, o tym, jak zdołali rozwiązać tę konkretną zagadkę. Agnes zastawiła go w lombardzie i o tym zapomniała.

– Dysocjacja – mówi Ileana, wstając. – Robi rzeczy, których później nie pamięta. Jeszcze wina?

– Tak, chętnie – odpowiada Adrian.

Wpatrując się w horyzont, odtwarza w pamięci drugą rozmowę z Agnes, w trakcie której skarżyła się, że ukradli jej złoty łańcuszek. To było po tym, jak Salia musiał jej podać w nocy środki na uspokojenie. Adrian prosił Agnes, żeby przypomniawszy sobie wydarzenia, które doprowadziły do jej ostatniej podróży. Napomknęła, że w domu nie było córki. A podczas ostatniej rozmowy, kiedy mówili o jej pierwszej podróży, również okazało się, że córka gdzieś wyjechała. Zdając sobie z tego sprawę, czuje, jak zaczyna mu szybciej bić serce, pochyla się do przodu na krześle i zastanawia nad związkiem, który dopiero co odkrył. To nie może być zbieg okoliczności. Naasu jest jedyną córką, o której Agnes mówi, już to zauważył. Do wędrówek dochodzi, gdy Naasu nie ma w domu. Adrian wypuszcza powietrze z płuc i odchyła się do tyłu na

krześle. Nie może się doczekać, żeby znowu porozmawiać z Agnes. Musi uważać, by jej nie popędzać. O czym rozmawiali, kiedy poruszył sprawę łańcuszka? Zapytał, kto był z nią wtedy w domu. Wymienił dziewczynkę i jej zięcia. Zastanawia się, czy to może mieć jakieś znaczenie. Nagłe zmiany tematu sygnalizują czasem, że pacjent chce czegoś uniknąć; podświadomość każe mu się wycofać.

Ileana wraca z winem.

– To może zająć sporo czasu – rzuca, podejmując przerwana rozmowę. – Mam na myśli odkrycie bodźca, jeśli ten w ogóle istnieje. Lata poszukiwań. Leczenia. I nawet wówczas nie ma żadnej gwarancji. W końcu to my, Europejczycy, wynaleźliśmy terapię poprzez rozmowę. Oraz większość chorób, które ma leczyć – dodaje, parszkając cichym śmiechem.

– Są inne sposoby – zauważa Adrian.

– Na przykład hipnoza?

– Owszem. Próbowалаś jej kiedyś?

– Nie – odpowiada Ileana. – Nie wiem, co by o tym pomyślał Attila. Moim zdaniem jest na to trochę za wcześnie.

– Oczywiście – zgadza się Adrian. – Tak tylko myślałem.

Ileana wstaje i zgarnia zawartość jednego talerza na drugi, szczątki krabiej skorupy i puste szczypce. Na morzu rybackie canoe unosi się wysoko na płtykich falach, boje znaczą kształt sieci. Ileana jest w kuchni. Plażą idą dwie kobiety; jedna z nich macha do Adriana. Chwilę później macha ponownie. Adrian odwzajemnia uprzejmie jej pozdrowienie, przypuszczając, że pomyliła go z kimś innym. Kobiety zmieniają kierunek i ruszają w jego stronę.

– Cześć – mówi ta, która machała.

Wysoka i prawie tak samo barczysta jak on, ma wysportowane ciało, blond włosy i wspaniałe zęby. Jej towarzyszka w czerwonym bikini jest niższa, z niewielkimi piersiami, ładną figurą, rudymi włosami i bladą skórą autentycznego rudzielca.

– Dzień dobry – odpowiada Adrian, przypatrując się im i osłaniając oczy przed słońcem.

– Zobaczyłyśmy cię i pomyślałyśmy, że podejdziemy, żeby się przywitać. Spotkaliśmy się w barze U Pedra parę tygodni temu.

– Kobieta ma amerykański akcent.

– Oczywiście – mówi Adrian. Przypomina sobie, że siedziała przy barze tamtego wieczoru, kiedy wybrał się z Kaiem na piwo. Kai olał ją, lecz ona najwyraźniej się tym nie przejęła.

– Dobrze się bawiłaś?

– Jak najbardziej.

– Czy ta plaża nie jest cudowna? Są i inne, jeszcze lepsze, ze wspaniałymi plażowymi barami, jeśli można je tak nazwać. Oczywiście trwa całą wieczność, zanim przyniosą ci żarcie, i w połowie przypadków nie dostajesz tego, co zamówiłaś. Ale w końcu tak samo jest wszędzie. Można się przyzwycząić. A homar jest boski i masz go całego za dwa dolce. W domu takiego nie dostaniesz. Jakiś facet nurkuje ze skały po świeże ostrygi, a ty czekasz. Tuzin za dolara. – Dziewczyna siada na krześle Ileany.

– Próbowалаś shangri-la?

– To mój pierwszy dzień na plaży.

– Żartujesz! A tak w ogóle to mam na imię Candy. To jest Elle. – Obie pracują w tym kraju

w agencjach humanitarnych. Adrian ze swojej strony wspomina o praktyce w szpitalu.

– Więc to nie jest twój dom?

– Nie.

Adrian mówi im o Ileanie. Candy wzrusza ramionami i potrząsa głową. Podchodzą do nich dwaj mężczyźni sprzedający sarongi i pamiątki i zaczynają pokazywać swoje towary: batikowe tkaniny, naszyjniki z hematytu i rzeźbione figurki zwierząt. Jeden z mężczyzn ma koło pięćdziesiątki, drugi, mniej więcej dwudziestoletni, bez koszuli, ma gładką, muskularną klatkę piersiową. Ani Candy, ani Elle nie zwracają uwagi na mężczyzn i ich towary. Elle siada na piasku, odwraca się do nich plecami, kładzie się na brzuchu i poprawia majtki, pociągając za gumkę. Robi to bez żadnego skrępowania, jakby stojący za nią mężczyźni w ogóle nie istnieli. Candy nadal mówi. Adrian patrzy na nią i przypomina sobie wyraz jej twarzy tamtej nocy, gdy podeszła do Kaia: pewny siebie, chciwy. Dziękuje obu mężczyznom i mówi, że nie są zainteresowani kupnem.

– Daj spokój, oni nigdy nie rezygnują – strofuje go Candy.

– Od dawna tu jesteś?

Po raz drugi tego dnia Adrian słyszy to pytanie. Odpowiada na nie i Candy wybucha śmiechem.

– Zrobiłeś na mnie wrażenie normalniejszego od innych – mówi i znowu się śmieje.

– Słucham?

– Nie znasz tego żartu? – pyta Candy, zerkając na Elle.

Adrian kręci zdeprymowany głową.

– Naprawdę? Żart o turystach?

Nadal nie ma pojęcia, o czym ona mówi.

– Jaka jest różnica między turystą a rasistą?

– Nie wiem – odpowiada machinalnie.

– Dwa tygodnie!

Elle śmieje się uprzejmie, choć oczywiście słyszała to już wcześniej. Candy szczerzy do niego zęby. Adrian nie ma pojęcia, jak zareagować. Milczy.

Za plecami Candy przekupnie zwijają sarongi i odkładają je na bok. Adrian myśli o tępych policjantach i o głuchym chłopcu, o frustracji, jaką budzi w nim dyrektorka szpitala, o przerwach w dostawie energii i wody, o upale, zatłoczonych rynnach i korkach w śródmieściu, o żebrakach. Myśli o rodzącej kobiecie z martwym dzieckiem między nogami, o Kaiu, o Agnes, o młodym człowieku, którego przyprowadził na samym początku do szpitala, o swoich znajomych na oddziale, o pięknym spokojnym Gaju Pacjentów.

O dziwnym szczęściu, jakiego doznaje w tym miejscu. Nadal nie wiedząc, co powiedzieć, spostrzega, że uwagę dwóch kobiet przyciągnęło coś innego.

– O, cześć – mówi Candy wyraźnie markotniejszym tonem niż ten, którym go pozdrowiła.

Z półmiskiem krojonych owoców mango i ananasów pojawiła się Ileana. Wita się z dwiema kobietami i kładzie półmisek na stole.

– Hej, to wygląda wspaniale! – stwierdza Candy, odzyskując entuzjazm. – Dom też jest ekstra.

– Dziękuję. Przyniosę więcej talerzyków.

Ku uldze Adriana niezręczny moment minął. Zastanawia się, czy Ileana słyszała żart

Candy, ale nawet jeśli słyszała, nie daje tego po sobie poznać, ponownie znikając i wracając z dodatkowymi talerzykami i sztuccami. Owoce są świeże i rześkie, oczyszczają kubki smakowe z osadu, który pozostawił homar.

Ileana odstawia nagle swój talerzyk i wstaje.

– Przepraszam was bardzo – mówi do dwóch kobiet. – Nie macie nic do picia. Czego chciałybyście się napić? Jest wino.

– Rany! Niesamowite! Jesteśmy w czepku urodzone. Czy może nas jeszcze spotkać coś lepszego?

Ileana kiwa uprzejmie głową, po czym wyjmuje butelkę ze stojącej obok Adriana lodówki turystycznej i nalewa z niej wina do dwóch kolejnych kieliszków.

– Jest naprawdę dobre. – Tym razem to Elle.

– Wiecie, jaki jest tu najbardziej popularny gatunek wina białego? – pyta Ileana.

– Nie – odpowiadają Candy i Elle i odwracają się do niej razem z Adrianem. Dwie kobiety mają szczere uśmiechnięte twarze.

– To idzie tak. – Ileana zaczyna mówić zgrzytliwym, piskliwym głosem, w oczywisty sposób przedrzeźniając nosowy akcent Candy. – Chryste, to przecież nie wina białego. Co się dzieje z tymi ludźmi? Nie mogą czegoś dla siebie zrobić? To przecież nie wina białego, gdyby nie my, chodziliby jeszcze po drzewach. – Skończywszy przemowę, Ileana siada ciężko na krześle i pociąga łyk ze swojego kieliszka. – Wasze zdrowie! Dobre, prawda? Najbardziej popularny gatunek wina białego.

\*

Tej nocy robi się zimno. Nie ma wiatru ani deszczu, ale leżąc w łóżku, Adrian czuje chłód w powietrzu. Wstaje i wyłącza wentylator pod sufitem. Nagły ruch przyprawia go o mdłości. Pewnie to homar, chociaż wydawał się całkiem świeży. Z tymi rzeczami nigdy nic nie wiadomo. Z drugiej strony, jeśli dobrze pamięta, zatrucie owocami morza następuje szybko. Zastanawia się, ile minęło czasu od jego wyjścia od Ileany. Mniej więcej pięć godzin. Candy i Elle zostały tylko pięć minut po jej przemowie.

– Głupie dziwki – powiedziała, kiedy patrzyli w ślad za odchodzącymi kobietami. – Wiesz, jaki dostają dodatek za pracę w uciążliwych warunkach?

Spowodowane przez ich wizytę napięcie ustąpiło na szczęście wraz z ich rejteradą. Adrian i Ileana ponownie się odprężyli. Podziwiał celność jej reakcji i był wdzięczny, że pominęła milczeniem fakt, iż sam się na nią nie zdobył.

Potem pływali – szok zetknięcia się z wodą, bardziej pod wpływem ciepła niż zimna, usunął skrępowanie, jakie, będąc znajomymi z pracy, mogli czuć, widząc się w kostiumach kąpielowych. Ileana z włosami wsuniętymi pod ciasny gumowy czepek, okazała się silną, znakomitą pływaczką, wcale nie gorszą od Adriana. Pokonali razem pięćdziesięciometrową płycticzną i przez jakiś czas unosili się na falach w zachodzącym słońcu. Następnie przeszli się plażą i Ileana pokazała mu opuszczony od wojny hotel. Był tam bar i karciane stoliki, podarty filc i porozbijane szyby, jakby potłukł je wiatr.

Adrian wracał do siebie w szybko zapadającym zmierzchu, nie chcąc wystawiać na próbę swych umiejętności kierowcy podczas jazdy po ciemku. Dotarł do domu zmęczony, z początkami bólu głowy, napił się wody i szybko poszedł spać. Po kilku godzinach obudził go niezwykły o tej porze roku ziąb. Bawełniane prześcieradło, które na ogół zrzuca z siebie



w ciągu nocy, nie jest w stanie go ogrzać. Przeszukuje szafki i znalazłszy pled, kładzie się z powrotem i naciąga na siebie sztywną, pachnącą stęchlizną wełnę.

O świcie budzi się wstrząsany dreszczami. Gdzieś daleko słyszy obracający się w zamku klucz i dziwi się, co Kai robi tu tak wcześnie. Otula się kocem i staje w drzwiach sypialni.

– Cześć, człowieku – mówi Kai. – Jak ci się spało?

Adrian chce odpowiedzieć, ale nie może wydobyć głosu z gardła. Widzi, że Kai podchodzi kilka kroków, chcąc mu się lepiej przyjrzeć. Pot sączy się z każdego poru jego ciała i czuje uderzenie gorąca. Rozchyła koc i nagle ogarnia go pragnienie. Wyciąga rękę, żeby złapać równowagę. Kai staje przed nim, blokując mu drogę, po czym łapie go za ramiona i zagląda w twarz.

– Kurczę, człowieku – słychać z oddali jego głos. – Człowieku, jesteś chory!

# ROZDZIAŁ 21

W ciągu dwóch godzin, które upłynęły od końca dyżuru, Kai zdążył wysprzątać kuchnię, pozmywać naczynia, opróżnić lodówkę ze starych produktów, powycierać kurze i wyrzucić z kosza śmieci i mrówki. Pożyczoną od dozorczy miotłą wymiółł kurz za drzwi. Następnie ściągnął wilgotną pościel spod Adriana, zapłacił portierowi, żeby ją zabrał i przyniósł świeżą, po czym posłał łóżko, z wyuczoną wprawą przesuwając Adriana z jednej strony na drugą. Kilka minut później portier wrócił z torbą jedzenia, a Kai zabrał się do robienia zupy: czystego klarownego rosółu, do którego dodał rozgniecioną na drewnianej łyżce ostrą papryczkę i trochę limonki.

Teraz siedzi na kanapie i czekając, aż ugotuje się zupa, zerka na leżące na stoliku papiery, kartkuje jedną z książek, czyta poszczególne zdania i nagłówki. W końcu odchyła do tyłu głowę i zamyka oczy. Natychmiast pojawiają się przed nimi obrazy, fragmenty snu. Potrząsa głową i z wysiłkiem otwiera powieki. Nie śpi dobrze, a sen, gdy przychodzi, wybiera nieodpowiednie chwile. Od trzech dni nie było go w domu, zamiast tego prosto z sali operacyjnej szedł do bungalowu Adriana.

Wchodzi do sypialni z talerzem zupy. Na dźwięk stawianego na szafce talerza Adrian otwiera oczy. Kai wychodzi i wraca z miską wody, mydłem i ręcznikiem.

– Mógłbym przecież sam pójść do łazienki.

– Jasne, że mógłbyś. Po prostu łatwiej mi nosić miskę niż ciebie.

Adrian uśmiecha się, siada na łóżku i myje ręce. W ciągu trzech dni zeszczupłał, w twarzy uwydatniły się kości policzkowe.

Kai podaje mu talerz i łyżkę.

– Zupa paprykowa. Lekarstwo wszech czasów. Leczy wszystko od kaca po malarię. Dobre również na ból duszy. Podobne do żydowskiego rosółu z kury, tyle że lepsze. Oba wywary mają potwierdzone właściwości lecznicze i wzmacniające.

– Wierzę ci.

– To dobrze.

– Śniło mi się, że pływałem pod wodą – relacjonuje Adrian między łykami zupy. – Co za ryby. Co za kolory, mój Boże. Czy to tak właśnie wygląda?

Kai kiwa głową.

– To pewnie łagodne majaki. Czasami wywołane lekami, nie tylko chorobą.

Nagły ruch za oknem w drugiej części pokoju sprawia, że obaj się odwracają. To koliber. Jego ciało jest wygięte, skrzydełka trzepoczą tak szybko, że nie sposób dostrzec ich gołym okiem, widać wyłącznie smukłą sylwetkę ptaka, przecinek zawieszony w powietrzu, pauzę w czasie. Kai przeniósł karmnik za okno sypialni. Widząc go wcześniej za oknem w kuchni, przypomniał sobie coś z dzieciństwa – musiał być naprawdę bardzo mały, bo wspomnieniu nie towarzyszyły żadne myśli, tylko fizyczne doznania: że podążył za takim ptakiem przez ogród. Nie żeby go złapać, ale naśladować. Pamięta, jak zerwał kwiat i wsadził go do ust, pamięta pylistość pyłku, smak miazdżonych płatków i na koniec słodczy.

Farby i szkicownik Adriana leżą na podłodze przy łóżku, tam, gdzie położył je Kai.

– Za marnie się czuję, żeby się nudzić – mówi Adrian.

– Zaczekaj. Potrzeba ci co najmniej tygodnia odpoczynku, nim wrócisz do pracy. Jeszcze zdążysz się wynudzić.

– Nie mogę wylegiwać się przez cały tydzień.

– Posłuchaj. – Kai siada na skraju łóżka. – Ostatniego faceta, który nie potraktował serio rady, jaką ci przed chwilą dałem, wyprawiliśmy trzy miesiące później do domu. Przez rok w ogóle nie pracował. To nie tylko malaria. W tym klimacie twoje ciało walczy na wszystkich frontach. Jeśli się tu urodzisz, jakoś do tego przywykasz. Z drugiej strony nie bez powodu mamy tak niski wskaźnik oczekiwanej długości życia. Więc weź sobie moją radę do serca.

W imieniu Adriana Kai telefonuje do Ileany, przekazuje także wiadomość do izolatki starego pacjenta. Potem odbiera lekarstwa ze szpitalnej apteki i znowu idzie do apartamentu Adriana.

– Ten facet w izolatce. Opowiadałeś mi o nim. Zwłóknienie płuc, prawda?

– Tak jest.

– Wcześniej nie przeczytałem chyba nazwiska na historii choroby.

– Bo co? Znasz go?

– Tak. To znaczy znałem. Z uniwersytetu.

– Był zdaje się wykładowcą?

– Nie tylko. Za moich czasów był dziekanem nauk humanistycznych.

– Tak? – mówi Adrian. – Jest jakiś powód, dlaczego o niego pytasz?

Kai bierze głęboki oddech.

– Niekoniecznie. Jak ci smakuje zupa?

– Już czuję się lepiej.

– Dam ci ją skończyć.

Kai zostawia Adriana w sypialni, przechodzi przez salon, otwiera frontowe drzwi i patrzy na szpitalny dziedziniec.

Elias Cole. To nazwisko przenosi go w inny czas, w miejsce w przeszłości, którego wolałby nie odwiedzać. Próbuje zająć umysł czymś innym i wydobywa z pamięci fotografię przysłaną mu przed kilku laty przez siostrę i przedstawiającą całą ich rodzinę, oczywiście bez Kaia, obserwującą wieloryby w Vancouver. Jego rodzice wyglądają jak niepewni, gamoniowaci turyści, z poważnymi minami, w pozapinanych pod szyję swetrach niczym przerośnięte dzieci. Stojąca między nimi dwójka dzieciaków siostry walczy o aparat, chłopiec wysunął się przed całą grupę i jego głowa wydaje się absurdalnie wielka. Zdjęcia robił pewnie kanadyjski mąż jego siostry. Wycieczka była bez wątpienia jego pomysłem. Rodzicom Kaia nigdy nie przyszłoby do głowy, żeby oglądać wieloryby. Nie pojmowali tego rodzaju aktywności: wspinania się na górę, żeby zobaczyć widok, wysyłania pocztówek z jedną linijką tekstu. Poza tym wieloryby mieli tu, na miejscu; w pewnych porach roku można było je zobaczyć z plaży.

Po wyjeździe rodziców Kai coraz mniej mieszkał w domu; właściwie tylko po zmierzchu. W weekendy, kiedy nie był z Nenebah, był z Tejanim, a kiedy nie był z żadnym z nich, wracał po prostu do szpitala.

Pewnej niedzieli operowali górnika. Mężczyzna, Gwinejczyk, mówił tylko po francusku. Zamiast pełnej narkozy dali mu znieczulenie zewnątrznooponowe, bo nikt nie przewidział, jak

skomplikowany okaże się zabieg. Stalowy gwóźdź, którym naprawiono wcześniejsze złamanie, przemieścił się w dół do stawu kolanowego i trzeba go było usunąć. Utknął jednak gdzieś wewnątrz kości udowej i nie dawał się zlokalizować. Mężczyzna przez cały czas leżał na plecach, gapiąc się w sufit i nie zwracając uwagi na jazgot świdrującego kość wiertła.

Kiedy wyszli z sali operacyjnej, miasto było zaciemnione i myśleli z początku, że jest później, niż było. W pokoju lekarskim mówiło się o przewrocie. Europejczycy pobiegli do telefonów i zaczęli dzwonić do swoich ambasad. Kai wyszedł ze szpitala i przemierzał opustoszałe po ogłoszeniu godziny policyjnej ulice. Po drodze widział innych, duchy przemykające zaułkami z dala od głównych arterii. Na rogu zderzył się z czyimś ramieniem. Drugi przechodzień wyciągnął rękę, by pomóc mu zachować równowagę, i chwilę później Kai ruszył dalej. Obyło się bez słów, ciszę zmaćło jedynie głuche stęknienie przy kontakcie.

Księżyc był kurczącym się sierpem, drzazgą światła, które uciekało przez szczelinę w niebie. Starczyło go, by dostrzec niewyraźny zarys domu. Kai czekał na zewnątrz, póki nie zobaczył, że Nenebah wychodzi z salonu. Wtedy wstał i okrążył dom, idąc równoległe do niej, ona wewnątrz, on na zewnątrz, aż oboje dotarli jednocześnie do sypialni. Jego palce odnalazły skraj futryny. Kiedy wróciła spod prysznic, wciąż wycierając twarz ręcznikiem, leżał na brzuchu na jej łóżku. Wstrzymała oddech, jej oczy pobiegły ku drzwiom, a potem puściła ręcznik i pozwoliła mu się objąć.

– Jesteś szalony – szepnęła. – Co będzie, jeśli znajdzie cię mój ojciec? Nie wolno ci tego robić. Masz powiedzieć hasło.

– Przepraszam. – Kai przycisnął twarz do jej brzucha, pod podbródkiem czuł mokre po kąpieli włosy.

– No dalej. – Nenebah odchyliła się do tyłu i położyła mu ręce na głowie. – Nie o to mi chodzi – dodała z chichotem. – Powiedz hasło.

Wyszeptał więc hasło, tam i wtedy, lecz ona go nie usłyszała, poczuła tylko jego oddech i wygięła lekko grzbiet na jego spotkanie, kładąc mu ręce na ramionach i przyciskając go do siebie otwartymi dłońmi. Uwielbiał równy cykl jej oddechu, wdech i wydech, i to, jak nagle rytm się załamywał, zupełnie jakby muzyk zapomniał nut i walił z całej siły w klawiaturę.

Później, wodząc wierzchem dłoni po jej ciele, odkrywając nową wilgoć na jej skórze, ujął jej brodawkę między wskazujący i środkowy palec, jakby trzymał papierosa.

– Będziesz musiał zostać – powiedziała. – Nie możesz teraz odejść. To zbyt niebezpieczne.

– Wiem – odparł, choć nie miał pojęcia, czy mówi o swoim ojcu, czy o przewrocie. Po pokoju Kaia w akademiku powrót obojga do rodzinnych domów oznaczał ograniczenia w uprawianiu miłości i większe wyczekiwanie. Wiele razy stukał w okiennicę i podawał szeptem hasło, lecz nigdy dotąd tam nie spał. Tamtej nocy też nie zasnął, ale leżał i obserwował zmieniające się na ścianie światło, to, jak świt wydobywa powoli z mroku jej leżące obok ciało. W nocy mocno padało, na ścianie odbijały się strugi deszczu, jego szum spowijał ich, gdy leżeli przytuleni w swoich ramionach.

Rano wyślizgnął się z domu; powietrze było mokre od rosy i oddechu śpiących. W mieście panował już nowy porządek.

\*

Kai budzi się ze snu o niej. Z zewnątrz dobiega szum deszczu. Przez chwilę jest przekonany, że to część snu, o tej porze roku jest przecież za wcześnie na deszcz. Krople

bębnią o dach. Kai wstaje, przechodzi przez salon i puszcza muzykę, Wonderful World, Beautiful People Jimmy'ego Cliffa. Podchodzi do drzwi, otwiera je i patrzy na deszcz, czując, jak woda rozpryskuje się i kapie na jego stopy i kostki. Piękna muzyka i kojące odgłosy deszczu stopniowo zagłuszają wspomnienie snu.

\*

Otwierając piątego dnia drzwi sypialni, Kai widzi, że Adrian wstał i jest do połowy ubrany. Na widok Kaia siada z powrotem na łóżku, najwyraźniej wyczerpany wysiłkiem, jakiego wymagało zapięcie spodni. Między żebrami ma ciemne smugi, przez przezroczystą skórę przeświecają sine żyły.

– Dokąd się wybierasz?

– Muszę wyjść. – Adrian walczy ze sprzączką paska.

Kai kręci głową.

– Człowieku, ledwie stoisz na nogach.

– Tylko na dwie godziny. To wszystko. Muszę ją zobaczyć.

– Kogo?

– Moją pacjentkę.

Kai przez chwilę przygląda się jego wysiłkom, po czym podchodzi do szafy, wyjmując z niej bawełnianą koszulę w prążki, podaje mu ją i patrzy, jak Adrian wbija najpierw jedną, a potem drugą rękę w rękawy. Na czole perli mu się pot. Kai pomaga mu zapiąć guziki.

– Podwiozę cię – mówi.

\*

Kai, który rozmawiał wcześniej z Ileaną przez telefon, poznaje ją po głosie.

– Mój Boże, strasznie wyglądasz – mówi zszokowana, przypatrując się Adrianowi.

– Nie przejmuj się. Przywiozłem ze sobą doktora. – Adrian słabo się uśmiecha i wskazuje

Kaia omdłym gestem szmacianej lalki.

– Kai, Ileana. Ileana, Kai.

Skinąwszy głową Kaiowi, Ileana znowu skupia uwagę na Adrianie.

– Słuchaj, naprawdę mi przykro – mówi.

– To malaria. Każdy na nią choruje. Tak w każdym razie słyszałem.

– Nie. Naprawdę mi przykro, Adrianie. Agnes odeszła. Przepraszam. Powinnam była zadzwonić, ale chorowałeś.

Jazda z powrotem upływa im w milczeniu. Adrian, z głową opartą o szybę, patrzy niewidzącym wzrokiem przez okno. Kai rozumie konsternację, kiedy traci się – w jakikolwiek sposób – pacjenta. Za każdym razem, gdy zaczyna się kogoś leczyć, robi się to – nie zna chirurga, który podchodziłby do tego inaczej – z totalną wiarą. To wiara w życie, wiara niemal religijna, która ignoruje całą wiedzę naukową, całą wiedzę medyczną. Nie jest jej w stanie podważyć żadna informacja o szansach pacjenta.

Przypadek, w którym szanse są jak jeden do stu, traktowany jest z takim samym zacięciem jak ten, gdzie wylicza się je na pięćdziesiąt albo trzydzieści procent. W najgorszym okresie wojny lekarze przemierzali korytarze, wybierając rannych, którzy mieli szansę przeżyć, i pozwalając innym umrzeć. Robiąc to, przeżywał mniejszy wewnętrzny konflikt, niż się spodziewał. Ale kiedy pacjent jest już ich, kiedy zespół jednoczy się we wspólnym celu, wszyscy odczuwają gorzko jego utratę.

W końcu to Adrian odzywa się pierwszy, pytając, czy można wyłączyć klimatyzację. Kai dotyka wierzchem dłoni jego czoła.

– Znowu masz gorączkę. Musisz się trochę ochłodzić – mówi, po czym sięga do tyłu i po jakimś czasie znajduje plastikową butelkę wody. Daje ją Adrianowi, który pociąga kilka łyków i krzywi się, gdy samochód podskakuje na wybojach. – Z tego, co mi mówiłeś, ta kobieta za parę miesięcy wróci – rzuca Kai i zwalnia.

Adrian wyciera usta, wpatrując się prosto przed siebie.

– Tak. Tyle że nie wiem, czy ja tu nadal będę.

Kiedy docierają do domu, Adrian idzie prosto łazienki, a Kai do kuchni. Po jakimś czasie słysząc odgłos spuszczonej wody. Adrian wraca do salonu.

– Chryste, jestem skonany. Swoją drogą, czy to normalne?

– Że jesteś skonany? Tak.

– Nie, mam na myśli mój mocz. Ma kolor oranżady.

Kai się śmieje.

– Zapomniałem cię ostrzec.

Dzwoni telefon. Lisa. Kai słyszy powściągliwość w głosie Adriana. On i Nenebah nigdy nie doszli do tego punktu, w którym we wzajemnych relacjach znów dominuje uprzejmość. On i Nenebah często się kłócili. Zauważa, że Adrian nic nie mówi o swojej chorobie.

\*

Tamten ranek, kiedy Kai wyszedł z domu Nenebah i wrócił do szpitala, był pierwszy. Potem nastąpiła przerwa. Późniejsza burza kompletnie ich wszystkich zaskoczyła. Ale to nastąpiło dopiero dwa lata później. Na razie miał dwadzieścia sześć lat. Idąc do pracy, usłyszał po raz pierwszy strzał z moździerza zaczynający się od wesołego gwizdu nad głową i kończący eksplozją. Puścił się biegiem. Po przybyciu do szpitala zastał tam kompletny chaos. Serce wciąż waliło mu po biegu, dla niego było to coś ozywczego. Armia zbuntowała się i opanowała centralne więzienie, rozbijając główną bramę. Pierwszymi ofiarami byli więźniowie. W większości doznali oparzeń, choć były również zatrucia czadem, ponieważ pierwsza fala uciekających podpaliła cele, zapominając o pozostałych osadzonych, a być może nie przejmując się ich losem. Do szpitala dotarli tylko najciężej ranni, inni woleli skorzystać z nadarzającej się okazji. Byli wśród nich więzienni strażnicy, uważający, że powinno się ich opatrzyć w pierwszej kolejności, z czym zgadzała się część medyków. Kai miał to gdzieś. Zabrał się po prostu do roboty i zajmował kolejnymi pacjentami. Miasto płonęło przez całą noc, trwało plądrowanie. Tamtego dnia, oprócz oparzeń, opatrzył więcej ran postrzałowych, niż widział w całej swojej karierze.

Późnym popołudniem wyszedł na chwilę z budynku. Ktoś poczęstował go papierosem i Kai wsadził go do ust, chociaż nie palił. Krążyły różne pogłoski. Jeden, nie, dwa hotele były obleżone, schronili się w nich uciekający politycy. Mieli wejść Amerykanie. Brytyjczycy wysłali okręt wojenny. Napadnięto na bank centralny, pieniądze leżały na ulicy. W pustym pokoju lekarskim ryczało radio, rzecznik puczystów wygłaszał oświadczenia łamaną angielszczyzną.

Kiedy ponownie wyszedł z budynku, musiała minąć północ. Było ciemno. Przez ostatnie pięć godzin pracował przy świetle latarni kempingowej. Stał, słuchając odgłosów strzelaniny. Później nigdy nie przestawało go zdumiewać, jaki to niewinny dźwięk, zupełnie nieprzypominający głośnego huku w filmach. W przyszłości miał nauczyć się rozpoznawać

markę i model broni po wydawanym przez nią ogłosie, przypisywać im rodzaj zadanych ran. Na razie stał i gapił się w niebo, wdychając metaliczny zapach krwi unoszący się z plam na jego fartuchu. Był wykończony i jednocześnie bardzo zadowolony. Uśmiechał się.

I nagle przypomniał sobie o Nenebah.

\*

Nadchodzi wieczór. Kai składa kartkę: najpierw na pół, potem odwraca zgięcie i przesuwa po nim palcem, robiąc wszystko szybko, bo ważne jest tu tempo. Zwinne palce wyczarowują w końcu pożądany obiekt. Żabę. Rozkłada ją, wygładza zgięcia i zaczyna od nowa. Tym razem tworzy wielbłąda z długą szyją, potem łabędzia. W domu zwierzęta origami zajmują cały parapet w pokoju, w którym śpi Abass. Kai zaczyna rozkładać łabędzia i w tym samym momencie do pokoju wchodzi Adrian, ubrany w same szorty. Ciemne kosmyki włosów lepią mu się do czoła. W rękę trzyma nożyczki.

– Możesz mi pomóc?

– Jasne. – Kai kładzie łabędzia na stole.

– Niesamowite. – Adrian bierze go do ręki. – Gdzie się tego nauczyłeś?

– Ćwiczę. – Kai wzrusza ramionami i bierze nożyczki od Adriana. – Co mam nimi pociąć?

– Chcę, żebyś ostrzygł mi włosy. Doprowadzają mnie do szaleństwa.

Kai staje za Adrianem i podnosi na próbę kilka loków.

– Masz może grzebień?

– Tak.

Adrian przynosi grzebień z sypialni. Kai bierze do ręki kosmyk włosów; są irytująco śliskie, małe nożyczki do paznokci zupełnie sobie z nimi nie radzą. Ścina kilka loków, przerywa, obserwuje drżenie palców w dłoni trzymającej nożyczki. Rano, na sali operacyjnej zastanawiał się, czy nie poprosić drugiego chirurga o wykonanie pewnego delikatnego zabiegu. Wyobrażał już sobie, co powiedzieć, chciał udać, że coś wpadło mu do oka i musi na chwilę wyjść. W końcu wszystko poszło, jak trzeba. Uspokoił oddech i udało mu się opanować drżenie ręki: tylko przez chwilę wydawało mu się, że patrzy na niego instrumentariuszka.

Ostre kosmyki włosów spadają na podłogę.

– Twoja żona nie chciała, żebyś tu przyjechał.

– Nie za bardzo.

Kai zastanawia się chwilę nad odpowiedzią Adriana.

– Znaczący nie chciała.

– Szczerze mówiąc, nie dałem jej szansy się sprzeciwić.

– Rozumiem.

– Potrzebowałem czegoś innego. Podnosiłem wzrok i widziałem przed sobą całą przyszłość.

Wiedziałem dokładnie, co się zdarzy każdego dnia. Zastanawiałem się także, czy kiedy zniknę, coś zmieni się w życiu moich klientów, to znaczący zmieni się naprawdę, nie tylko w sensie chwilowej niewygodności. Chyba nie są to bezpieczne myśli – dodaje Adrian ze śmiechem. – Wiesz, o co mi chodzi.

Kai nie wie, o co mu chodzi. Woli jednak tego nie mówić. Europejczycy często przemawiają w ten sposób, jakby ich doświadczenia były uniwersalne. Z tonu Adriana wynika, że wystarczyło samo pragnienie odmiany. Wszyscy oni dysponują nieograniczonymi możliwościami, wyjeżdżają z domu, by zakosztować czegoś nowego. Ale marzenia utkane są

z wolności. Pragnienie, by zaistniało, musi być w jakimś stopniu realne, a dla Kaia aż do niedawna, gdy zaczęły przychodzić listy od Tejaniego, ten podstawowy warunek nie był spełniony. Dopiero teraz pojawiły się pewne możliwości i to obudziło w nim nadzieję. Spogląda na włosy Adriana, które wszędzie mają teraz około pięciu centymetrów długości.

– Chyba niezbyt mi się to udało – mówi i patrzy, jak palce Adriana pojawiają się nieśmiało nad horyzontem jego głowy. – Zaczekaj. Pójdę i wezmę z magazynu maszynkę do strzyżenia.

\*

Kiedy Kai wyszedł ze szpitala w dniu puczu, nikt nie próbował go zatrzymać z tego prostego powodu, że nikomu nie powiedział o swoim zamiarze. Najprostsza droga do domu Nenebah prowadziła przez środek miasta. Wyobrażał sobie, że nikt inny nie pomyśli, by tamtędy iść, i na tym kończyły się jego przewidywania. Szpital leżał przy końcu ulicy biegnącej prostopadle do głównej drogi. Nigdy jeszcze nie było tu tak pusto, nawet wczesnym rankiem. Kai szedł, trzymając się blisko ścian budynków. Jakaś wypełniona pijanymi żołnierzami skradziona toyota przecięła przed nim skrzyżowanie. Kai zatrzymał się i przykucnął przy śmierdzącym rynsztoku. Pojazd przejechał, zostawiając po sobie smugę dźwięku. Melodia została mu w pamięci. Za furtką z falistej blachy zobaczył twarz dziecka, które przyglądało mu się przez zardzewiałe oka siatki. Przystawił palec do ust, podniósł się i ruszył dalej. Tym razem wybrał boczną drogę, zawieszoną niczym hamak między dwoma ważnymi punktami miasta, w najniższym miejscu przecinającą miejskie slumsy. W powietrzu unosiły się kłęby dymu, gryzące opary płonącego paliwa. Zbliżało się do niego szybko jadące auto. Kai dostrzegł kierowcę, mężczyznę w panamie, który prowadził z zaciekłym skupieniem. Podniósł rękę, prosząc o podwiezienie, ale kierowca minął go, w ogóle nie zwalniając. Kaia wcale to nie zaskoczyło. Zaczął biec wolnym truchtem w rytmie własnego oddechu.

Przy rondzie była blokada drogowa. Kai przestał biec. W tym punkcie spotykało się pięć dróg. Widział kilkunastu żołnierzy, z których część sprawdzała pojazdy, a część stała z boku. Zobaczył mężczyznę w panamie siedzącego za kierownicą swojego samochodu. Żołnierz otworzył drzwi, mężczyzna wysiadł, a tamten zajął jego miejsce. Kai widział otwarte w proteście usta właściciela wozu. Żołnierz poklepał go po ramieniu. Inny wyrzucił z auta jego walizkę. Mężczyzna próbował ją nieporadnie złapać. Samochód cofnął się ze zgrzytaniem sprzęgła. Kai szedł równym krokiem, z walącym w piersi sercem i szumem w uszach. Kierował się prosto do punktu kontrolnego.

Żołnierzy otaczała grupka ludzi, dość zdesperowanych, by wyjść z domów, albo niemających po prostu nic do stracenia, uliczników i szaleńców. Ulicznicy wiwatowali za każdym razem, gdy mijał ich wojskowy pojazd, szaleńcy przeklinali. Widząc Kaia, kilku żołnierzy zaczęło wołać, żeby zawrócił.

– Godzina policyjna! Do domu!

Kai zatrzymał się, podniósł ręce i powoli do nich podszedł. Chciał, żeby zobaczyli, że jest lekarzem. Żołnierze traktowali lekarzy z zabobonnym szacunkiem, nigdy nie wiedząc, kiedy będą potrzebować ich pomocy. W powietrzu unosił się zapach gandzi. Wzdłuż każdej z pięciu ulic płonęły pożary, jakieś postaci przesuwwały się na tle ognia, ich krzyki brzmiały niczym krakanie kawek.

– Mansaray! – krzyknął ktoś. Przed punktem kontrolnym zwalniała ciężarówka marki Bedford. Kai wbił wzrok w ciemność.



– Mansaray! – Czyjaś dłoń wysunęła się do niego spomiędzy listew, którymi obita była skrzynia wozu. Kai machinalnie wyciągnął rękę. Szlaban przed nim podniósł się, silnik ciężarówki wszedł na wyższe obroty, pojazd zaczął znowu przyspieszać. – Zaczekajcie, mówię! – zawołał ten sam głos co wcześniej. – Zaczekajcie!

Ciężarówka zatrzymała się pięć metrów za szlabanem. Kai podbiegł do niej. Nie miał pojęcia, do kogo biegnie, wiedział po prostu, że to jego jedyna szansa. Wdrapał się na skrzynię ciężarówki i usiadł naprzeciwko mężczyzny, który do niego wołał, oficera w tym samym wieku co on.

– Dobrze, że cię tam zobaczyłem, przyjacielu.

W ciemności Kai nie potrafił z początku go rozpoznać, dopiero po chwili doznał olśnienia. Halowa piłka nożna. Przez jeden sezon grał z facetem w uniwersyteckiej drużynie. Miał na imię Lansana. Lansana i co dalej? Nie pamiętał.

– Zaprosili buntowników do miasta. Jak twierdzą, na rozmowy – powiedział Lansana. – Popatrz na to. Większość tych ludzi to nie nasi. Ale niektórzy tak.

Pijani szabrownicy zataczali się pod ciężarem łupów. Z porzuconych samochodów wysypywały się kartony i skrzynie.

Ciężarówka zatrzymała się dwie przecznice od domu Nenebah.

– Uważaj na siebie, człowieku. – Lansana przybił mu piątkę, zanim Kai zeskoczył na ziemię. Błysk światła na chwilę oświetlił jego twarz. Usta miał wykrzywione w uśmiechu, ale oczy zupełnie puste, bez wyrazu. Kai na długo zapamiętał to spojrzenie i po jakimś czasie zrozumiał, co oznaczało. Nie było w nim lęku, zdenerwowania ani podniecenia. A to mówiło o czymś jeszcze: o braku nadziei. Podziękował Lansanie, żalując, że nie zna jego nazwiska.

W armii nastąpił rozłam, wyjaśnił Nenebah. Skoro armia się podzieliła, nikt nie mógł czuć się bezpiecznie. Żołnierze, buntownicy, kimkolwiek byli, atakowali teraz prywatne domy. Nawet misje dyplomatyczne i domy białych.

– To zabawne, nie sądzisz? – zapytała go kiedyś Nenebah, nie wtedy, lecz wcześniej. Kiedy byli młodszy, na uniwersytecie.

O czym wtedy rozmawiali? O jakichś popełnionych gdzieś daleko okropnościach, o których usłyszeli w radiu. Studenci uchwalili potępiającą je rezolucję. Tak, to było wtedy, skwitował to posunięcie żartem. Ale ona nie lubiła cynizmu. – Hitler, Pol Pot. To zabawne, nie sądzisz? Jak to jest, że tylko złym ludziom wydaje się, iż mogą zmienić świat? Ciekawe, dlaczego.

– Bo są szaleni – odpowiedział Kai.

Nenebah wbiła mu łokieć w żebra, a potem pokręciła głową.

– Ale przecież to im się udaje, prawda? Zmieniają świat.

Przez następne trzy dni Kai chodził samotnie do szpitala, w którym personel medyczny nadal zgłaszał się do pracy i opatrywał rannych z zimną determinacją. To była ich praca, ich życie. Kai czuł się w takich chwilach szczęśliwy.

\*

Wspomnienia wracają, gdy nie ma się na baczności, kiedy nie może zasnąć. W przeszłości, w najgorętszym okresie, opiekował się ludźmi, którym odcięto kończyny. Współpracując później ze szkockim specjalistą od bólu, zajmował się tymi samymi pacjentami. Skarżyli się na ból w utraconych członkach, doskwierających fantomach uciętej ręki albo nogi. Szkot wyjaśnił, że to umysł płata nam figle: nerwy nadal przekazują sygnały między mózgiem i fantomową

**kończyną. Ból jest prawdziwy, owszem, ale to wspomnienie bólu.**

**Czyż nie to samo dzieje się z nim, gdy budzi się ze snu, w którym mu się śniła? Ta pustka w piersi, intensywne pragnienie, samotność, z którą zmaga się każdego ranka, zanim nie zatraci się w pracy i nie zapomni. To nie miłość, lecz coś innego, obdarzonego siłą przetrwania. Nie miłość, ale pamięć miłości.**

# ROZDZIAŁ 22

Minął dzień. Potem kolejny. Nad miastem zawisły gęste chmury, tylko ich kształty zmieniały się z wiatrem. Tak jakbyśmy utknęli po ciemnej stronie lustra. Widzieliśmy świat, ludzi biegnących w deszczu, dzieci bawiące się w kałużach, ale ich nie słyszeliśmy. W domu panowała cisza. Zadzwońło kilku kolegów Juliusa z uniwersytetu, zauważono, że nie zjawił się na zebraniu. Poinformowaliśmy ich, że wezwały go sprawy rodzinne. Nie mieliśmy żadnych wiadomości o Kekurze. Pamiętam, że wpadł na chwilę ten facet, tancerz. Dowiedział się jakoś, co się wydarzyło, i przybył, oferując pomoc, twierdząc, że ma różne znajomości na policji. Nie podobał mi się jego poufały styl, to, jak usiadł, wyciągając nogi, rozkładając szeroko ręce na oparciu fotela, popisując się. Nie wierzyłem również w jego zapewnienia. Czyżby policjanci brali teraz lekcje tańca? Ale Saffia chwytala się każdej nadziei. Byłem coraz bardziej przekonany, że lepiej nie robić z tego wielkiej afery. Lepiej przeczekać. Facet wrócił zresztą po paru godzinach i okazało się, że nic nie wskórał.

Kiedy zamknęły się za nim drzwi, Saffia zaczęła płakać.

Usiadłem koło niej. Objąłem ją ręką. Nie opierała się i nie odsunęła. Wstrząsnął nią szloch, suchy, nierówny, przyprawiający o drżenie ramion. Jej głowa oparła się o mój bark. Włosy pachniały ziemią. Łza kapnęła mi na koszulę i poczułem, jak przesącza się przez bawełnę i dotyka mojej skóry. Siedziałem tam tak długo, jak mogłem. W końcu poczułem, że Saffia się porusza. W każdej chwili mogła się opanować i poczuć się przy mnie niezręcznie. Wstałem.

– To się niedługo skończy – powiedziałem. – Takie sprawy załatwia się według pewnej procedury. Wkrótce będziemy coś wiedzieć.

Moje słowa odniosły zamierzony skutek. Saffia wyprostowała się, wytarła oczy i wydmuchała nos.

– Może coś ci przynieść? – zapytałem. – Może wyjdziemy i kupimy coś do jedzenia?

– Nie, dziękuję, Eliasie. Powinnam siedzieć przy telefonie. Ale chce mi się strasznie pić.

W kuchni otworzyłem lodówkę i sięgnąłem po butelkę z wodą, lecz po krótkim namyśle wyjąłem zamiast niej coca-colę, wlałem pół butelki do szklanki i dodałem trochę whisky Juliusa. Kiedy postawiłem przed nią szklankę, wzięła ją do ręki i pociągnęła łyk.

– Co tu jest?

– Parę kropel whisky – odparłem. – Na uspokojenie.

Saffia pokiwała głową, wypila kolejny łyk i zaczęła szczegółowo analizować wydarzenia poprzedniego dnia, zaczynając od poranka po przyjęciu. Przeczesała pamięć, żeby sprawdzić, czy niczego nie pominęła.

Za oknem błękitne morze zrobiło się szare, a potem czarne. Barwy w ogrodzie spoważniały i zgasły. Telefon milczał. Nie mówiliśmy o niczym istotnym. Zrobiłem Saffii drugiego, a potem trzeciego drinka. Nie ruszyła się ze swojego miejsca na kanapie.

Wyszedłem na werandę, żeby popatrzeć na niebo. Nad miastem zapadał ołowiany zmierzch. Zapaliłem papierosa i zaciągnąłem się w ciemności. Przez szybę przesuwanych drzwi widziałem Saffię. Siedziała w kręgu jasnego światła lampy z głową na przedramieniu, które

położyła na oparciu kanapy. Stałem i patrzyłem, ja pod osłoną mroku, ona w świetle. Coś w jej pozie mnie uderzyło: to, jak ciężka wydawała się głowa oparta na ręce. Zdałem sobie sprawę, że śpi albo zaraz zaśnie. Przez kilka minut stałem, w ogóle nie ruszając się z miejsca.

Żałowałem, że nie mogę zostać na całą noc. Zerwałem narzucone sobie ograniczenia i popuściłem wodze fantazji, rozmyślałem, jak by to mogło wyglądać. Wyobrażałem sobie, że to wszystko należy do mnie, że to mój dom, oświetlony na tle nocy. A śpiąca w nim kobieta jest moją żoną. I że śpi spokojnie, niezmorzona strachem, zmęczeniem i alkoholem.

Chciałem, żeby Julius nigdy nie wrócił.

Nazajutrz o jedenastej rano zostałem aresztowany. Dwaj policjanci w cywilu czekali na mnie na schodach przy drzwiach mieszkania, gdy wróciłem do domu z ciastkiem, które kupiłem sobie na śniadanie. Jadąc przez miasto, patrzyłem z tylnego siedzenia na ludzi załatwiających swoje sprawy. Ich poranne przyziemne rytuały już teraz budziły moją zazdrość.

Po kilku minutach samochód zatrzymał się przed niepozornym budynkiem i wprowadzono mnie do środka. W holu stali dwaj mężczyźni. Przerwali rozmowę i powiedli za mną wzrokiem. Padła jakaś uwaga skierowana do jednego z eskortujących mnie policjantów. Raczej frywolna, bo towarzyszył jej śmiech. Po obu stronach korytarza ciągnęły się pomalowane na szaro drzwi. Jedne z nich były otwarte. Wepchnęli mnie do środka. Cela pozbawiona była okien, jeśli nie liczyć wąskiej szczeliny na samej górze. Plamy na ścianach. Powietrze przesycone smrodem ludzkiego ciała. Biurko, krzesło. Żadnych innych mebli. Położyłem ciastko na biurku i usiadłem.

Czekałem. Nie spiesząc się, analizowałem chłodno swoją sytuację. Nie było sensu wpadać w panikę. Julius, Yansaneh, Kekura. Nie ulegało wątpliwości, że moje aresztowanie miało jakiś związek z tymi trzema. Lecz w co byli zamieszani? I co to miało wspólnego ze mną? Nie miałem pojęcia. Powinienem powiedzieć to policji. Ale czy mi uwierzą? Nie łudziłem się, że będzie to takie proste. Na myśl o tym serce zabiło mi mocniej. Muszą mi uwierzyć. Zacząłem liczyć oddechy. Raz, dwa, trzy, cztery.

Temperatura na zewnątrz rosła, a wraz z nią temperatura w celi. Ścisnąłem w palcach materiał koszuli. Czuję, jak się lepi. Co jakiś czas słyszałem przechodzących korytarzem ludzi. Nikt się nie zatrzymał. Nikt nie podszedł do moich drzwi. Kiedy tam przyjechałem, chciałem iść do toalety i siedząc w celi, czułem coraz większe parcie na pęcherz. Rozważałem sytuację, w jakiej się znalazłem. Mogłem dalej czekać. Mogłem kogoś wezwać. Zdałem sobie sprawę, że zostawili mnie, nie zamykając drzwi. Mogłem w każdej chwili wyjść, ale wydawało mi się to czymś nierozważnym. Odczekałem jeszcze dziesięć minut, po czym wstałem i zapukałem w drzwi. Nasłuchiwałem. Czekałem.

Zapukałem ponownie. Na korytarzu rozległy się kroki. Drzwi uchyliły się i cofnąłem się nieco. Do środka zajrzał jakiś facet, zerknął na mnie, po czym otworzył drzwi na oścież i przytrzymał je przed drugim mężczyzną, który wszedł do pokoju.

– Panie Cole. Proszę usiąść.

Stojący przede mną niski osobnik miał bardzo czarną skórę i popielaty garnitur z krótkimi rękawami i zapinanymi na guziki kieszeniami. W rękę trzymał brązową teczkę. Pierwszy mężczyzna wstawił do środka krzesło i wyszedł. Drugi postawił je nie naprzeciwko mnie, jak można się było spodziewać, lecz po tej samej stronie biurka. Kiedy usiadł, nasze kolana i łokcie praktycznie się stykały. Położył papiery na biurku i splótł na nich dłonie.

– Muszę przeprosić za to, że sprawiliśmy panu kłopot, panie Cole – zagaił. – Wiem, że jest

pan nauczycielem akademickim.

– Jestem wykładowcą.

– Oczywiście. – Mężczyzna się uśmiechnął. – Mam nadzieję, że nie spóźni się pan przez nas na zajęcia.

Odparłem, że są wakacje i zajęcia się nie odbywają. Pewną ulgę sprawił mi uprzejmy ton, jakim się do mnie odzywał. Chyba niepotrzebnie wyobrażałem sobie najgorsze. Uśmiechnąłem się, żeby zasygnalizować gotowość do współpracy.

– To dobrze – powiedział, po czym wyciągnął z kieszeni ołówek i otworzył teczkę.

Patrzyłem, jak zapisuje na kartce dużymi literami moje nazwisko. Poproszony o to, podałem swój adres.

– Czym pan się zajmuje na uniwersytecie? – zapytał.

– Wykładam historię współczesną.

– Od jak dawna pan tam uczy?

Powiedziałem mu i zapisał tę informację. Miałem wrażenie, że pisze w nieskończenie wolnym tempie niczym dziecko kopiujące litery.

– Może sam powinienem napisać oświadczenie, jeżeli mam je złożyć? – zaproponowałem.

– Wszystko jest w porządku, panie Cole – odparł, mierząc mnie przez chwilę wzrokiem. – Wiem, co robię. – Coś w jego spojrzeniu, przyjemność, jaką sprawiało mu wymawianie mojego nazwiska, powstrzymało mnie przed rozwijaniem tego tematu. – To nie jest formalne oświadczenie, ale notatki, które robię na własny użytek – dodał.

Zapytał mnie o kilka szczegółów. Jak długo mieszkam pod obecnym adresem, jak się nazywa moja gospodyni. Gdzie się urodziłem i gdzie studiowałem. Jakie wykłady prowadziłem na uniwersytecie. Kiedy wspomniałem o historii Europy, przestał pisać i podzielił się kilkoma uwagami na temat powstań jakobickich, którymi, jak twierdził, się interesował. Oczywiście jako amator, dorzucił z uśmiechem. Guy Fawkes. Katolicka Hiszpania. Spisek prochowy. Tym ostatnim zainteresował się po obejrzeniu Nocy Fajerwerków podczas szkolenia w Anglii. Nie miałem pojęcia, jaki to ma związek z moją sprawą. Ponieważ jednak odnosił się do mnie przyjaźnie, udawałem, że słucham, i ścisnąłem kolana. Marzyłem o papierosie, lecz nie miałem przy sobie żadnego. Mężczyzna znowu zaczął pisać. Na chwilę przerwał, żeby zapytać, co jest w pudełku na stole. Odparłem, że ciastko. Złamał mu się grafit w ołówku i poprosił, żeby mu go wymieniono. Minuty wlokły się jedna za drugą.

Minęła godzina, a on nadal nie zapytał mnie o nic istotnego. Wiedziałem, która jest godzina, bo zerkąłem na zegarek.

– Spiesz się pan dokądś? – zapytał, nie podnosząc wzroku i nie przerywając skrupulatnego zapisywania moich odpowiedzi.

Odparłem, że nie, ale chętnie skorzystałbym z toalety.

Mężczyzna nadal pisał.

– Chciałbym skorzystać z toalety – powtórzyłem.

Spojrzał na mnie, udając, że się koncentruje. Wyglądało to, jakby jakieś małe stworzenie wyłaniało się z ciemności.

– Tak, oczywiście – mruknął.

– Dziękuję – odparłem, wstając, ale on dał znak, żebym usiadł.

– To zajmie tylko chwilę. Proszę, panie Cole, niech pan zachowa cierpliwość. Kiedy tylko

skończymy, każę komuś zaprowadzić pana do łazienki. Może się pan odprężyć. Niech pan się posili – dodał z uśmiechem, wskazując kiwnięciem głowy ciastko.

I tak to wyglądało: zadawanie pytań i skrupulatne zapisywanie kolejnych banalnych odpowiedzi. Udzielałem ich najspokojniej, jak mogłem, powtarzając dwa lub trzy razy, kiedy starał się je słowo w słowo zapisać. Nagle bez ostrzeżenia charakter pytań uległ zmianie. Informowałem go właśnie o rodzaju nadzorowanych przeze mnie zajęć studenckich.

– Czy wie pan o jakichś nielegalnych działaniach prowadzonych na terenie kampusu? – zapytał tym samym beznamiętnym tonem.

– Co? – odparłem. – Nie. To znaczy, o jakiego rodzaju działaniach? Upijaniu się studentów?

– Nie. Nie mówię o upijaniu się – powiedział, zbywając moją sugestię machnięciem ręki.

– W takim razie nie.

– A co by pan powiedział, gdybym stwierdził, że znalazł się tu pan, ponieważ naszym zdaniem coś pan jednak wie.

– Odpowiedziałbym, że nie wiem. Nie wiem nawet, o czym pan mówi.

– A zatem pan zaprzecza?

– Nie, niczemu nie zaprzeczam. Mówię tylko, że nie wiem.

– A zatem pan nie zaprzecza? – zapytał, mierząc mnie surowym spojrzeniem i jednocześnie triumfalnie kręcąc trzymanym w dłoni ołówkiem. Sprawiał wrażenie niemal rozbawionego. Zastanawiałem się, czy w jego świecie nie na tym właśnie polega poczucie humoru.

– Mówię po prostu, że nie wiem. – Wypowiedziałem to zdanie głośniejszym, niż zamierzałem. Byłem sfrustrowany i wcale mnie nie śmieszyły te słowne gierki. Czulem, że zaczyna mi huczeć w głowie. Patrzyłem, jak dopisuje te ostatnie słowa do coraz dłuższego oświadczenia. Albo był idiotą, albo bawiło go udawanie twarogłowego policjanta. Podejrzywałem to drugie.

– Czy mogę się dowiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi? – zapytałem w końcu.

Przez kilka chwil przyglądał mi się, mrugając, jakby starał się odnaleźć sens w padającym z moich ust strumieniu dźwięków.

– O co w tym wszystkim chodzi? – powtórzył.

– Tak – odparłem z pewnym zniecierpliwieniem. – Dlaczego tu jestem?

– No cóż... tego nie mogę panu powiedzieć. W tym momencie nie wiemy, czy jest pan w posiadaniu jakichś informacji, więc nie możemy tego powiedzieć – zaczął na tę samą nutę.

– Twierdzi pan, że nie wie, o co w tym wszystkim chodzi? – rzuciłem.

– Prowadzimy dochodzenie, rozumie pan.

– Musicie wiedzieć, dlaczego prowadzicie dochodzenie. – Starałem się panować nad sobą, ale jego mętne odpowiedzi działały mi na nerwy. Uśmiechnąłem się, żeby ukryć gniew. Mężczyzna też się uśmiechnął i zapadło grobowe milczenie.

– Panie Cole – odezwał się w końcu. – Z pewnością nie ma pan się czego obawiać. Proszę mi pozwolić kontynuować – powiedział i pochylił się nad kartką, jakby czytał z niej następne pytanie. – Przyjaźni się pan z doktorem Kamarą?

– Jakim doktorem Kamarą? – To było żalosne, ale nie mogłem się powstrzymać.

– Doktorem Juliusem Kamarą. Wykłada na wydziale inżynierii. Powiedziano mi, że jest pańskim przyjacielem.

– Owszem, znam go – odparłem, krzyżując nogi.

Zaczął pytać o Juliusa. Od jak dawna go znam? Kto się z nim jeszcze przyjaźni? Co wiem o jego pochodzeniu? Powstrzymałem pokusę, by wdawać się z nim w słowne utarczki, i ograniczałem odpowiedzi do minimum, w dużym stopniu z powodu intensywnego parcia na pęcherz.

– Doktor Kamara korzysta z pana gabinetu na uniwersytecie.

– Tak, od czasu do czasu.

– Jak często?

– Niezbyt.

– Raz w tygodniu, dwa razy w tygodniu?

– Raz w tygodniu. Nie częściej.

– A kiedy ostatnim razem pozwolił mu pan skorzystać ze swojego gabinetu?

– Nie pamiętam dokładnie – odparłem. Świetnie to pamiętałem. To było w dniu, kiedy złożyłem wizytę Saffii. Nie wiedziałem, jaki to był dzień tygodnia ani miesiąca, ale zapisałem datę w notesie.

– W tym tygodniu, w zeszłym tygodniu?

– To było chyba podczas sesji egzaminacyjnej. Dziekan o wszystkim wie. Nie miał żadnych zastrzeżeń. Na uczelni brakuje gabinetów dla kadry.

Mężczyzna pokiwał głową i posłał mi wymowne spojrzenie, a potem znowu zaczął wodzić ołówkiem po kartce.

– Chciałbym skorzystać z toalety, zanim przejdziemy do dalszych pytań – powiedziałem ogarnięty nagłą desperacją.

Nic, tylko skrobanie grafitu po papierze.

– Czy mógłby mi pan podać swoje nazwisko? – poprosiłem.

Mężczyzna podniósł wzrok.

– Johnson.

– Chętnie pomogę panu w każdy możliwy sposób, panie Johnson. Ale zanim będziemy mogli kontynuować, chciałbym skorzystać z łazienki.

Johnson odłożył ołówek.

– Problem polega na tym – wyjaśnił powoli, jakby rozmawiał z kimś opóźnionym w rozwoju – że toalety na tym piętrze są zarezerwowane wyłącznie dla personelu. Ktoś musiałby zabrać pana na inne piętro.

– Więc może w takim razie udzieli mi pan zgody na skorzystanie z toalety przeznaczonej dla personelu?

Zanim odpowiedział, wpatrywał się we mnie przez chwilę z kamienną twarzą.

– Obawiam się, że nie wolno mi tego zrobić. Będzie lepiej, jeśli doprowadzimy to... – postukał w kartkę ołówkiem – ...do końca. Wtedy będzie pan mógł wyjść.

Mówiąc to, nie spuszczał ze mnie wzroku. Ten człowiek był małym sadystą, a pedanteria – wybraną przez niego bronią. Czułem wzbierającą we mnie wściekłość. Miałem ochotę go uderzyć.

Przesłuchiwał mnie jeszcze przez godzinę. Niczego nie ukrywałem. Nie miałem nic do ukrycia. W końcu odłożył ołówek i notatki, otworzył drzwi i kogoś zawołał. Zaprowadzono mnie do toalety. Młodszy funkcjonariusz, który mnie eskortował, nalegał, by drzwi kabiny były

otwarte. Odwróciłem się do niego plecami, rozpiąłem rozporek i się wysikałem. Powstrzymywałem się tak długo, że towarzyszyły temu w równym stopniu ulga i ból. Z początku oddawałem mocz cienką strużką; wpadał do sedesu ciemny i cuchnący.

Zaprowadzono mnie z powrotem do tego samego pokoju, który był pusty. Ani śladu po Johnsonie, jego papierach i moim ciastku.

– Czy mogę już iść? – zapytałem.

– Jeszcze chwilę, proszę.

Mój przewodnik odszedł. Czekałem. Minęła długa minuta. W pokoju było teraz gorąco i czułem zapach własnego potu. Mógłbym zdjąć marynarkę, ale postanowiłem tego nie robić; świadczyłoby to o mojej uległości. Nie usiadłem również na krześle. Zacząłem przemierzać w tę i z powrotem ograniczoną przestrzeń pokoju.

Miał pięć kroków długości i cztery szerokości. Minęło chyba pół godziny, zanim Johnson pojawił się ponownie.

Na jego widok ogarnął mnie chłodny gniew.

– Czy już skończyliśmy? – zapytałem.

– Ach, tak.

Był uprzedzająco grzeczny, ale ja nie byłem w nastroju do wymiany uprzejmości.

– Więc mogę już iść?

– Tak, tak. Trzeba tylko wyjaśnić kilka kwestii formalnych. Proszę mi wybaczyć, jeśli zatrzymam pana jeszcze parę minut. Nie powinno to długo potrwać. Mówił pan, że nie prowadzi dzisiaj zajęć. – Wyraźnie zabawiał się moim kosztem. – Niech pan siada.

– Mogę postać, dziękuję.

– Będzie panu wygodniej, jeśli pan usiądzie.

Nie poruszyłem się i stałem w tym samym miejscu. Johnson również stał w miejscu ze skrzyżowanymi na piersi rękoma i mnie obserwował. Mijały sekundy. Słyszałem w oddali szum deszczu, kapanie kropel spadających z okapów budynków i gałęzi drzew. Zdawałem sobie sprawę, że Johnson nie spuszcza mnie z oczu, przygląda mi się, jakbym był kłótliwym dzieckiem. Czułem się rozdrażniony i pokrzywdzony. Bolała mnie głowa i zbierało mi się na płacz. Facet ukradł nawet moje ciastko.

Johnson odchrząknął.

– Będzie panu wygodniej, jeśli pan usiądzie.

Chciałem odmówić mu po raz drugi, ale zmieniłem zdanie, widząc, jak absurdalnie się zachowuję. Odwlekałem tylko własne zwolnienie.

– Dobrze. – Złapałem krzesło, postawiłem je pośrodku pokoju i usiadłem.

Johnson podszedł do drzwi.

– Może pan być pewien, że nie będę pana zatrzymywał dłużej, niż to jest konieczne, panie Cole. Jeszcze tylko kilka minut – powiedział, po czym lekko się uśmiechnął, wyszedł z pokoju i zamknął za sobą drzwi na klucz.

Mylłem się co do Johnsona. Nie był nawet w najmniejszym stopniu uprzejmy.

Czekałem. Na zewnątrz ulewa osłabła i słychać było tylko cichy szmer kapiących z dachu kropel. Siedziałem przez mniej więcej godzinę w zapadającym zmierzchu, a potem, bez ostrzeżenia, zapaliło się światło. Ktoś włączył je po drugiej stronie drzwi. Zawołałem, lecz nikt nie odpowiedział. Zdrętwiały mi pośladki. Upał zelżał i w pokoju zrobiło się nagle zimno.



**Wstałem, podszedłem do drzwi i walnąłem w nie pięścią. Policzyłem do pięciu i znowu walnąłem.  
Żadnej reakcji.**

# ROZDZIAŁ 23

– Czy to prawda – pyta mały Abass, podskakując na tylnym siedzeniu samochodu – że liczba gwiazd na niebie jest nieskończona?

Kai zerka na niego z fotela kierowcy.

– Nikt nie wie, ile jest gwiazd na niebie. Nikt nie wie, gdzie kończy się wszechświat, więc można powiedzieć, że liczba gwiazd na niebie jest nieskończona. Tak.

– Ile zer ma nieskończoność?

– Nieskończoną liczbę.

– Nieskończoną – powtarza Abass, oceniając rozmiary tego słowa i patrząc przez okno na mijaną przez nich plantację palm. Jego wzrok przeskakuje z jednego rzędu drzew na drugi, a potem Abass zaczyna eksperymentować, zamykając najpierw jedno, a potem drugie oko.

– Wyobraź sobie, że jedziesz do końca ziemi – ciągnie dalej Kai. – Jeździłbyś przez cały czas w kółko i nigdy nie dotarł do końca podróży. Tak samo jest z tymi zerami.

Przez chwilę cała trójka milczy. Adrian niemal słyszy obracające się trybiki dziecinniej wyobraźni. Wraca myślami do starego mężczyzny w szpitalnej izolatce i do jego wspomnień z dnia, kiedy ludzie wylądowali na Księżycu. Adrian miał dziesięć lat, gdy to się wydarzyło. Pamięta, że był w domu dziadków. Siedząc na dywanie, patrzył na telewizor nad blatem stolika. Głos jego ojca wyjaśniającego, co się dzieje. Wołającego Adriana, żeby przy nim usiadł. Ojciec był wtedy zdrowy.

– Kiedy byłem w twoim wieku... – zaczyna Adrian i chrząka.

Minęło sporo czasu, odkąd po raz ostatni rozmawiał z dzieckiem. Kai świetnie dogaduje się z Abassem, traktuje go jak mniejszą i bardziej wrażliwą wersję samego siebie. Chodzi o znalezienie odpowiedniego tonu. – Mój ojciec wyjaśnił mi kiedyś, jak można wyobrazić sobie nieskończoność, jaki jest sposób, żeby to sobie jakoś uzmysłwić.

– Co powiedział? – Abass pochyla się między siedzeniami; pachnie cytrynami i mydłem.

– Powiedział, żebym wyobraził sobie wielki kamienny blok, na tysiąc kilometrów długi, tysiąc kilometrów wysoki i tysiąc kilometrów szeroki.

– Rzeczywiście ogromny!

– Ogromny – zgadza się Adrian. – A teraz wyobraź sobie małego ptaszka, na przykład wróbla.

– Co to jest wróbel?

– No dobrze, jakiegokolwiek małego ptaszka. – Adrian wskazuje poruszający się między drzewami kształt. – A teraz wyobraź sobie, że ptaszek raz na tysiąc lat siada na tym kamiennym bloku.

– Raz na tysiąc lat?

– Tak.

– I wyobraź sobie, że ociera o niego dziób raz z jednej, raz z drugiej strony. Jak długo, twoim zdaniem, by trwało, zanim starłby się cały blok?

Abass podskakuje między siedzeniami.

– Bardzo, bardzo długo.

– Tak. Może nie całą nieskończoność, ale prawie całą.

– Tak – zgadza się Abass. – Tyle że wcześniej ten ptaszek by zdechł.

Kai i Adrian się śmieją.

Droga prowadzi ostrymi zakrętami przez kolejne małe wioski. Domy są tutaj wysokie i drewniane, z wąskimi oknami i dachami krytymi gontem, niepodobne do betonowych klocków w mieście i wzniesionych z glinianych cegieł domostw we wsiach, które mijają w drodze do Ileany.

– Pierwsze osiedla – wyjaśnia Kai. – Jest i kościół. Wart obejrzenia. Ale będziemy musieli tu przyjechać innym razem. Czekają nas długa jazda.

Droga opada na dno doliny i ponownie się wznosi. Asfalt dawno się skończył i jadą teraz po szorstkim laterycie, urozmaiconym wielkimi muldami. Kai omija je samochodem, trzydziestoletnim żółtym mercedesem, którego nazywa Starym Wiernym. W pewnym momencie wyprzedza ich biały landcruiser, wzbijając w górę tumany czerwonego pyłu i całkowicie ograniczając widoczność. Adrian pewnie by się zatrzymał, lecz Kai jedzie dalej, w ogóle się nie przejmując. Po jednej stronie drogi wznosi się strome zbocze góry, które równie stromo opada po drugiej. Tu i tam widać blizny osuwisk. Po drugiej stronie doliny woda spada z góry na urwistą ciemną skałę.

– Patrzcie! – krzyczy Abass, tuż przy uchu Adriana. – Wodospad!

– To ma być wodospad? – odpowiada Kai. – Zaczekaj, aż zobaczysz wodospad tam, gdzie jedziemy.

– Jak długo będziemy jechać?

– Jakieś trzy godziny.

– Trzy godziny!?! – Abass rzuca się na tylne siedzenie.

– Nie przejmuj się. Warto się trochę pomęczyć. Będzie szybciej, kiedy wyjedziemy na główną drogę. Chcesz, żebym kupił trochę podplomyków i ryb w Waterloo?

– Tak, proszę.

Mostek szerokości samochodu. Balustrady odpadły i po bokach nie ma żadnego zabezpieczenia. Nadjeżdżający z przeciwka pojazd zatrzymuje się u wylotu, czekając, aż przejadą. Adrian wstrzymuje oddech. Wyjechali już na dobre z miasta. Leży na północy, między nimi i Atlantykiem. Trzysta kilometrów dalej jest Gwinea. Za Gwineą Mali, Mauretania, a potem piasek, Sahara. Minąwszy osiedle parterowych domków, jakieś chaszczki i rdzewiejące na polu maszyny, zbliżają się do skrzyżowania z główną drogą. Tempo jazdy diametralnie się zmienia. Pojazdy pędzą, wymijają się i wyprzedzają. Czasami nagle stają, żeby kogoś wysadzić albo wziąć nowego pasażera. Kai milczy, koncentrując się na prowadzeniu.

Za wzgórzem droga nagle się zwęża i z obu stron otacza ich targ. Kai zatrzymuje się, opuszcza niżej szybę, wystawia rękę i pstryka palcami. Podchodzi do nich kobieta i zdejmuje z głowy tacę. Odlicza sześć złocistych, poczerniałych ryb i tuzin okrągłych chlebków, robi z nich porcje i polewa każdą ciemnoczerwonym sosem. Kai podaje jedną porcję Adrianowi, drugą Abassowi.

Adrian je palcami. Ryba jest wędzona i sucha, maniokowy placek – prosty i niesłony – przypomina mu przasny chleb. Sos dla odmiany jest gęsty, tłusty i aromatyczny. Kai uruchamia

samochód i odjeżdża, jedną ręką sięgając po leżące na kolanach podłomyki, a drugą prowadząc. Sos zostawia na palcach Adriana szafranowe plamy.

Teren się podnosi, wzdłuż jezdni z obu stron rosną drzewa. Ruch się zmniejsza, wkrótce są na drodze sami. Okolice robi się płaska. Ryżowe pola, ogródki warzywne i plantacje drzew ustępują stopniowo miejsca zbitej ścianie trawy słoniowej. Co jakiś czas widzą zepsuta ciężarówkę, ale nic poza tym. Odległości między osiedlami zwiększają się, ich przejazd obserwują zastygłe w bezruchu dzieci. Raz mijają coś, co wygląda na opuszczony kamieniołom. Abass opuszcza szybę, wystawia głowę na zewnątrz, pyka głośno ustami i co jakiś czas wykrzykuje głośno swoje imię. Kai wsuwa kasetę do magnetofonu. Głośniki szumią i po chwili słychać dźwięk perkusji.

Well they tell me of a pie up in the sky,  
Waiting for me when I die.  
But between the day you're born and when you die,  
They never seem to hear even your cry.

Abass wsuwa głowę z powrotem do samochodu, staje między siedzeniami, łapie się za zagłówki i śpiewa na całe gardło: *The harder they come, the harder they'll fall, one and all!*<sup>3</sup>.

Kai wybija rytm na kierownicy. Adrian przypomina sobie, że kiedy był chory, Kai puszczał tę samą kasetę wieczorem w jego mieszkaniu. Zaczyna się kolejna piosenka. Abass najwyraźniej zna je wszystkie na pamięć. Kai pochyla się i otwiera schowek.

– Wybierz coś.

Adrian przekłada długopisy, lateksowe rękawiczki, zapalki i kasety. Nagle Kai zjeżdża na bok i staje. Przez tylną szybę Adrian widzi w rowie leżący na dachu minibus. Na drodze stoi grupka ludzi, przed nimi leży kilka przykrytych kocami kształtów.

Kai otwiera drzwi.

– Zostańcie tu przez chwilę – mówi i nie czekając na odpowiedź, wysiada z wozu.

– Zaczekaj na mnie! – Abass łapie za klamkę. – Ja też idę.

Kai jest już dwadzieścia metrów od nich.

– Wiesz, powinniśmy tu chyba poczekać – mówi Adrian. – Tak jak nas prosił.

Abass odwraca gwałtownie głowę, nie przestając szarpać klamki.

– Dlaczego?

– Myślę, że ci ludzie potrzebują lekarza. Nie potrzebują nas, żadnego z nas. Zostań ze mną.

Abass przygląda mu się przez chwilę, zastanawiając się nad odpowiedzią. Adrian się uśmiecha. Mały uspokaja się i puszcza drzwi.

– No dobrze – mruczy.

Za głową chłopca Adrian widzi, jak Kai kuca przy każdej przykrytej kocem postaci. Po krótkiej rozmowie z ludźmi na poboczu wraca do samochodu, siada z powrotem za kierownicą, ścisza muzykę i odjeżdża.

– Co się stało z podą podą? Rozbił się? – pyta Abass.

– Tak.

– Co się stało z tymi ludźmi?

– Kilku zginęło. Tych, którzy zostali ranni, zabrano. Wypadek zdarzył się już jakiś czas temu. Teraz czekają na kogoś, kto zabierze ciała.

– Chcę obejrzeć zabitych! – krzyczy Abass.

– Ale oni nie chcą oglądać ciebie – odpowiada spokojnie Kai.

Chłopiec odwraca się na siedzeniu i gapi przez tylną szybę na oddalający się wrak minibusu. Przez chwilę jadą dalej w milczeniu. Po kilku minutach Kai puszcza głośniejszą muzykę. Otrząsnął się. Mają wolny dzień. Abass też zaczyna podśpiewywać pod nosem i pokazywać różne rzeczy za szybą. Adrian stara się wymazać z pamięci przypominający orkiestrę kontrabasistów obraz czekających ludzi, obok których piętrzą się pękate kształty.

Pół godziny później Kai skręca z szosy w polną drogę. Przejeżdżają metalowym mostem nad szeroką, leniwie płynącą rzeką, mijają miasteczko i jadą dalej. Krajobraz ponownie się zmienia, jest jeszcze bardziej dziki. Tu i tam widać skupiska czarnych głazów, które sprawiają wrażenie, jakby pochłaniały światło: są tak czarne w oślepiającym słońcu, że Adrianowi trudno skupić na nich wzrok. Kilka wypiętrzających się na płaskim terenie wzgórz ocienia otaczającą je ziemię.

Zatrzymują się, żeby rozprostować nogi, i mężczyźni ruszają w przeciwnych kierunkach za potrzebą – Abass idzie w ślad za Kaiem. Powietrze jest słodkie i ciężkie. Ubranie i skórę Adriana pokrywa warstwa pyłu. Kiedy potrząsa głową, pył opada z jego krótko przystrzyżonych włosów. Ziemia pod stopami jest popękana i gdy opróżnia pęcherz, unosi się z niej niewielki tuman kurzu i biały motyl. Kai wyjmuje z lodówki turystycznej w bagażniku zimne napoje i wszyscy trzej piją je, stojąc przy samochodzie. Nie wiadomo skąd pojawia się jakiś mężczyzna i wymienia pozdrowienia z Kaiem. Chociaż zwraca się do Kaia, bez przerwy zerka z zaciekawieniem na Adriana. Z tego, czego domyśla się Adrian po jego gestach, mężczyzna pyta, dokąd jadą. Kai daje mu pustą butelkę po napoju i mężczyzna bierze ją z poważną miną. Jego oczy uporczywie gonią ku Adrianowi. W końcu rusza dalej. Dokąd idzie? I skąd się wziął? Adrian nie ma pojęcia. Przed nimi i za nimi droga ciągnie się całymi kilometrami przez bezludzie.

Jest pierwsza, kiedy skręcają pod górę w coraz bardziej wąski i nierówny trakt, tak mocno zarośnięty, że na dole panuje półmrok. Po dziesięciu minutach Kai zjeżdża na bok i zaciąga ręczny hamulec.

– Stąd pójdziemy piechotą – mówi.

Biorą swoje rzeczy i ruszają pieszo, Kai przodem z zawieszoną na ramieniu lodówką turystyczną.

– Czy już tu kiedyś byłem? – pyta Abass.

– Nie, przyjeżdżaliśmy tu, zanim się urodziłeś.

– Jak to się stało, że nigdy mnie tu nie zabrałeś?

– To nie było możliwe – wyjaśnia Kai, poprawiając pas lodówki na ramieniu i odrzucając ofertę pomocy ze strony Adriana. – W tym miejscu trwały intensywne walki. Tam jest tama. Wielka elektrownia wodna – dodaje, odwracając się do Adriana i pokazując las przed nimi.

– Zobaczymy tamę? – pyta Abass.

– Nie tym razem.

Abass podbiega do Kaia i tryka go głową w plecy. Kai łapie chłopca wolną ręką i obraca wokół siebie. Idąc, walczą ze sobą na niby, Abass z głową pochyloną niczym mały koziołek, Kai, łapiąc go, obracając wokół siebie, ani na chwilę nie zwalnając kroku.

Śpiew ptaków, szelest liści pod stopami, co jakiś czas bzyczenie owada, nic więcej. Pot spływa Adrianowi po plecach. Jak gorąco jest nawet w cieniu! Idąc, słyszy szum powietrza.

Przed sobą widzi przyćmione przez liście światło, zmieniające się w oddali w czysty, blady, opalizujący blask. Są blisko rzeki. Widzi, jak słońce odbija się w wodzie. Grunt pod jego stopami robi się kamienisty i Adrian stąpa po kamieniach i między nimi. Idą wzdłuż zakola rzeki. Hałas wypełnia uszy. Kai odwraca się i coś do niego krzyczy; Adrian widzi jego otwierające się i zamykające usta, lecz nic nie słyszy. Oslania uszy dłońmi. Kai pokazuje coś i Adrian podąża wzrokiem za jego palcem.

Wodospad ma wysokość trzypiętrowego budynku, ale największe wrażenie robi na Adrianie jego szerokość. Wynosi chyba pięćdziesiąt metrów. Potężna, zdecydowana, niepowstrzymana woda przypomina wielkie stado zwierząt skaczących ze skalnego klifu do cichego stawu.

Urządzają piknik na skałach, a potem pływają. Adrian czuje, jak wstępuje weń blask zimnej wody. Nurt rzeki jest szybszy, niż się wydaje. Poddają mu się, płynąc na plecach, i docierają do wiru przy brzegu. Potem schną w słońcu. Skóra Adriana jest czysta i pachnie czymś słodkim i jednocześnie słonym. Abass bawi się w skalnej sadzawce pustymi butelkami po piwie, napełniając je do połowy wodą i patrząc, jak wypływają na powierzchnię. Nagle pojawiają się dwaj chłopcy z prowizorycznymi wędkami i gapią się na Adriana. Po kilku minutach Kai każe im odejść. Wtedy bez słowa i widocznej urazy posłusznie się oddalają i dołączają do Abassa przy jego sadzawce. Później, gdy Abass idzie się załatwić za krzakiem, podążają za nim i dopiero na jego wyraźne żądanie odchodzą, powtarzając między sobą jego słowa: spieprzajcie, spieprzajcie.

Abass klęczy zafascynowany podwodnym światem skalnej sadzawki. Adrian patrzy na niego z czułością.

– Szczęśliwy dzieciak – mówi i natychmiast robi mu się głupio. Absurdem jest zazdrościć tutaj komukolwiek jego szczęścia, lecz mimo to mu zazdrości.

– Tak, wiem – odpowiada krótko Kai. – Byłem taki sam jak on.

– Pod jakim względem?

– Często tu przyjeżdżaliśmy. Tak naprawdę nie więcej niż pięć, sześć razy, ale w życiu dziecka to już cała tradycja, prawda? Sześć lat, więcej się nie pamięta. Raz przyjechaliśmy po deszczach, powinieneś zobaczyć, ile jest wtedy wody. Próbowałem pływać pod wodospadem. Miałem nadzieję, że znajdę ukrytą pieczarę. O mało nie utonąłem. Matka spuściła mi niezłanie.

Adrian myśli o własnym dzieciństwie. Nigdy nie ośmieliłby się zrobić czegoś takiego. Nie ze względu na grożące niebezpieczeństwo, lecz z obawy, że mógłby sprawić przykrość matce.

– Chodź! – mówi i skacze do wody.

Jest po czwartej, kiedy Kai zaczyna się ubierać.

– Lepiej już jedźmy. Nie powinniśmy zbyt długo jechać po ciemku. Dużo jest stukniętych kierowców.

Zbierają rzeczy i wracają do samochodu. Z początku jadą tyłem. Silnik Starego Wiernego wyje, opony buksują na żwirze, ale Kai nie staje, dopóki nie znajdzie miejsca, w którym może zawrócić na trzy razy. Przejeżdżają przez te same miasteczka i mosty, tym razem mając słońce po drugiej stronie drogi. Ziemia jest teraz bardziej ruda, światło bardziej miękkie. Adriana ogarnia błogostan; po tygodniu choroby i tygodniu rehabilitacji czuje, że może wrócić do pracy.

Półtorej godziny później skręcają do miasta, żeby zatankować. Do stacji ustawiła się kolejka, ręczna pompa działa powoli. Dlatego Kai zostaje w samochodzie, a Adrian daje się zaprowadzić Abassowi do straganu z kasetami, gdzie cztery głośniki dudnią głośno, zniekształcając muzykę. Niezrażony tym chłopiec przerzuca kasety. Adrian ucieka przed hałasem i obserwuje go z daleka. Na straganach wokół niego sprzedają tenisówki, plastikowe kanistry na benzynę i kapelusze. Po drugiej stronie placu zatrzymuje się taksówka, kierowca odbiera od pasażera pieniądze za kurs i otwiera bagażnik, z którego wyjmuje trzy dorodne ciemnobrązowe koziołki. Ziemia jest usłana pyłem i papierami zupełnie jak w wesołym miasteczku pod koniec wieczoru.

Adrian przypomina sobie ojca w domu opieki pod sam koniec. Jadąc do niego z wizytą, zabrał Kate i zatrzymali się po drodze w wesołym miasteczku. Światła, październikowe rześkie powietrze, hałas. I kontrastująca z tym wszystkim atmosfera domu opieki: przegrzane wnętrze, bezruch, cisza. Byli tam przez godzinę, w trakcie której Adrianowi nie udało się stwierdzić, czy ojciec pamięta którekolwiek z opisywanych przez niego wydarzeń i czy w ogóle wie, kim jest. Pod koniec wizyty, kiedy odwrócił się przy drzwiach, żeby powiedzieć do widzenia, ojciec podniósł dłoń ze zwiniętymi czterema palcami i wysuniętym w górę kciukiem. Adrian zrozumiał to dopiero po dłuższej chwili, ten znak podniesionego kciuka. To był kiedyś ich wspólny żart. Istniał gdzieś kraj, gdzie podniesiony kciuk jest ekwiwalentem znaku zwycięstwa. Co to za kraj? Tajlandia? Iran? Przeczytał o tym i opowiedział ojcu, który wykonał potem ten gest – z przesadą – za plecami wymuskanego kelnera. Choroba zaatakowała już wtedy komórki jego mózgu, ale żaden z nich jeszcze tego nie wiedział.

Obserwowany przez straganiarza Abass przegląda kasety tak jak każdy mały chłopiec niemający własnych pieniędzy. Adrian postanawia poczekać jeszcze kilka minut i zaproponować, że mu jakąś kupi. Tymczasem rozgląda się po targowisku. Tak naprawdę nie ma pojęcia, co to za miasto.

Pięćdziesiąt metrów od niego jakaś kobieta z dziewczynką odchodzi od straganu i kieruje się w jego stronę. Kobieta wydaje się drobna, nie większa od dziewczynki. Jest ubrana w jasnokolorowy pas materiału zawinięty wokół ciała i głowy. Dziewczynka ma na sobie bawełnianą bluzkę i dżinsową spódniczkę. Adrian obserwuje je bezmyślnym wzrokiem. Upał, wysiłek związany z pływaniem, piwo oraz niedawna choroba – wszystko to nieco go otępiło. Dopiero kiedy są dwadzieścia metrów od niego, dociera do niego, co widzi. Kobieta z dziewczynką. Zawinięty wokół głowy materiał zasłania jej twarz. To Agnes.

Szybko odwraca się na pięcie i podchodzi do Abassa.

– Powiedz wujkowi, że będę za dwie minuty – mówi, unosząc w górę dwa palce. Abass patrzy na niego pustym wzrokiem, ściskając w ręku kasetę. – Dwie minuty – powtarza Adrian, zwracając się do sprzedawcy, który powoli kiwa głową na znak zgody. Usatysfakcjonowany tym Adrian odchodzi szybkim krokiem. Widzi, że dwie kobiety skręcają w jedną z ulic prowadzących z placu. Lekko zwalnia i rusza za nimi. Kobiety wchodzi po schodkach do domu, który nie różni się od innych stojących przy tej ulicy: kwadratowych, jednopiętrowych, z szeroką werandą z przodu, betonową balustradą i schodkami z obu stron.

Na werandzie domu, do którego weszła Agnes, siedzi na starym fotelu samochodowym mężczyzna ubrany tylko w bawełniane spodnie.

– Dzień dobry – mówi Adrian.

– Dzień dobry – odpowiada mężczyzna. – Czym mogę panu służyć? – Jego angielski jest doskonały. Jeśli zdziwiła go obecność Adriana, nie daje tego po sobie poznać.

Adrian przedstawia się i pyta, czy kobieta, która tu weszła, ma na imię Agnes.

– Tak, to Agnes. – Mężczyzna podnosi się i staje przy balustradzie chyba po to, żeby lepiej słyszeć, tyle że teraz góruje nad Adrianem. Nie uśmiecha się. Jest przystojny, ma równe białe zęby, wydatne, skośne kości policzkowe i włosy zaplecione w krótkie dredy. – Jaką pan ma do niej sprawę?

Adrian waha się, nie wiedząc, co powiedzieć. Nie chce wydać się nieprzystępny, ale obowiązuje go przecież tajemnica lekarska.

– Jestem doktorem – mówi.

– Agnes nie jest chora – pada zdecydowana odpowiedź.

– W zasadzie nie. Widziałem się z nią jakiś czas temu. Chciałem tylko potwierdzić pewne ustalenia. Nie zdążyłem się z nią spotkać, zanim została wypisana.

Mężczyzna uważnie mu się przygląda, ani na chwilę nie spuszczając z oczu twarzy Adriana; jego własna jest nieprzenikniona w zapadającym zmroku. Adrian patrzy na siebie jego oczyma: dziwny biały mężczyzna z ulicy. Może nie powinien przychodzić w ślad za Agnes do jej domu: w końcu sama się wypisała. Chce z nią po prostu porozmawiać.

– To zajmie tylko pięć minut – mówi.

Mężczyzna opiera się o balustradę.

– Twierdzi pan, że jest doktorem? – Nadal przygląda się Adrianowi; wysławia się powoli i z namysłem.

– Zgadza się.

– Chwileczkę. Postaram się ją odnaleźć.

Mężczyzna wchodzi do domu i zamyka za sobą drzwi. Adrian czeka na ulicy. Jest niewiele przechodniów, dzień dobiega końca. Zaraz robi się ciemno. Ma nadzieję, że młody człowiek przekaże dokładnie jego prośbę; z jakiegoś powodu nie do końca mu ufa. Coś nie podoba mu się w jego zachowaniu, bardziej interesował się Adrianem, niż troszczył o Agnes. Kiedy mężczyzna nie pojawia się przez kilka następnych minut, Adrian niepewnie podchodzi do schodków. Agnes na pewno go pozna, kiedy go zobaczy.

– Dobry wieczór – odzywa się ktoś za nim. To młoda kobieta. Na głowie trzyma nakryty materiałem płytki okrągły kosz, który narzuca jej wyprostowaną postawę i łagodny rytm kroków. Mija Adriana i wchodzi po schodach. – W czym mogę panu pomóc?

Adrian ponownie wyjaśnia, o co mu chodzi. Jest doktorem, chciałby się zobaczyć z Agnes, widział ją, przechodząc przez plac. Nie ma zamiaru nikogo niepokoić stanem zdrowia Agnes, chce po prostu pomóc, jeśli to możliwe.

– Agnes to moja matka.

Naasu. Agnes powiedziała mu, że mieszka z córką i zięciem. To pewnie tamten mężczyzna.

Młoda kobieta, najprawdopodobniej Naasu, słucha go, nie przerywając.

– Nie wiedziałam, że się z panem widywała. Ale jeśli może pan jej pomóc, to dobrze. Pójdę po nią.

Adrian nie informuje młodej kobiety, że rozmawiał już z jej mężem. Najwyraźniej córce zależy na dobru matki.

Kobieta kładzie kosz na werandzie.



– Proszę tu poczekać. Przyprawdzą ją.

Adrian odzyskuje pewność siebie i jasność myślenia. Wie, gdzie mieszka Agnes. Może kontrolować stan jej zdrowia, nawet jeśli będzie musiał tu przyjeżdżać na przykład raz w tygodniu. Może sporo zdziałać, zwłaszcza z pomocą jej córki. To będzie miało duże znaczenie. Ktoś, na kim można polegać. Może uda im się dotrzeć do źródła problemu. Kiedy to się stanie, jest szansa na pomyślny wynik. Wszystko może się zdarzyć.

Drzwi otwierają się i pojawia się córka w towarzystwie matki. Agnes zdjęła materiał, którym zakrywała włosy. Ma na sobie teraz długą batikową suknię i pantofle. W ślad za dwiema kobietami na werandę wychodzi zięć i siada na balustradzie po prawej stronie Adriana, blisko, ale poza jego polem widzenia. Adrian stara się nie przejmować zachowaniem mężczyzny. Liczy się tylko Agnes.

– Agnes – mówi z uśmiechem. – Bardzo się cieszę, że panią widzę. Mam nadzieję, że nie przeszkadza pani, iż przyszedłem do jej domu. Widziałem panią przed chwilą na targu.

Agnes nie podchodzi do niego bliżej ani się nie uśmiecha. Stoi ze splecionymi przed sobą dłońmi.

– Przepraszam, Agnes, ale byłem chory, kiedy panią wypisano – kontynuuje Adrian. – Zachorowałem na malarię. Chcę, żeby pani wróciła i się ze mną spotkała – dodaje. – Są pewne rzeczy, które możemy zrobić. Moim zdaniem, możemy poczynić prawdziwe postępy. Zrobi to pani? Wróci pani i ze mną porozmawia?

Wie, że lepiej byłoby odbyć tę rozmowę w cztery oczy. Zdaje sobie sprawę, że się płacze. Gdyby tylko udało mu się do niej dotrzeć... Czeka bezskutecznie na jej reakcję. Może Agnes go jednak nie poznaje.

Naasu odwraca się do matki i ze względu na Adriana mówi do niej po angielsku, głośno, jakby Agnes była głucha.

– Oya, doktor. Mówi, że się z nim spotykałaś. Chce się z tobą znowu spotkać. – Naasu mówi coś dalej, ale ciszej i w innym języku. Agnes odpowiada. Dochodzi między nimi do wymiany zdań. Adrian czeka, patrząc to na jedną, to na drugą, przysłuchując się uważnie rozmowie, której nie rozumie. Wyczuwa za sobą nieruchomą obecność zięcia. W końcu córka odwraca się z powrotem do Adriana i wzrusza ramionami.

– Ona mówi, że czuje się lepiej. Nie musi się z panem spotykać.

Szczerze mówiąc, spodziewał się czegoś takiego. To są wstydlive sprawy.

– Naprawdę uważam, że to dobry pomysł – mówi do Agnes.

– Tylko jedna sesja. Czy mogłaby pani powtórzyć matce, że chodzi tylko o jedną sesję – zwraca się do córki. Może jeśli to wyjdzie od niej...

Młoda kobieta kiwa szybko głową i tłumaczy. Chyba naprawdę stara się pomóc. Agnes kręci głową, robi to z przekonaniem. Jest teraz podenerwowana. Naasu odwraca się do niego z zakłopotaną miną.

– Powtarzam jej to, co pan powiedział. Mówi, że nie, nie chce.

– Gdyby mogła ją pani przekonać... Potrafię jej pomóc. Pewne rzeczy, o których rozmawialiśmy...

Adrian odwraca się do Agnes, lecz ona przerywa mu, mówiąc cicho i wyraźnie po angielsku.

– Czuję się teraz lepiej. Problemy minęły. Dziękuję, doktorze.

Powiedziawszy to, odwraca się i wchodzi do domu razem z córką.

**Adrian zostaje na werandzie, kompletnie wytrącony z równowagi.**

**Zięć Agnes odprowadza go na stację benzynową. Facet jest teraz serdeczniejszy, przeprosza go za Agnes, pyta, czy odwiedził wcześniej to miasteczko, zadaje pytania na temat Londynu. Adrian odpowiada machinalnie, bez przekonania. Musi wrócić do Kaia i Abassa. Zastanawia się, co dalej począć z Agnes. Nawet jeśli jest przekonana, że jej się polepszyło, to nieprawda, wkrótce znowu wyruszy w podróż. Kto wie, jakie są mechanizmy choroby, i co może się jej przytrafić złego? Powinien wrócić tutaj z Salią. Salia będzie w stanie przekroczyć podziały.**

**Jest już zupełnie ciemno i Adrian musi się skupić na tym, gdzie stawia stopy. Nie ma ani jednej latarni, nawierzchnia jest nierówna. Zauważa, że wracają na stację benzynową inną trasą, ulicami, które otaczają plac. Jego towarzysz przestał mówić. Nie słyszy już jego kroków. Zatrzymuje się i odwraca.**

**Pierwszy cios posyła go do przodu. Dopiero po ułamku sekundy uświadamia sobie, że ktoś go uderzył. Fala gorąca i chłodu. Na koniec ból rozchodzący się po ciele niczym atrament w wodzie. Po uderzeniu w tył głowy obrywa kopniakiem w plecy i zapiera mu dech. Trzeci cios trafia go w kark i ramiona. Coś twardego, drewno albo metal. Uginają się pod nim kolana. Zatacza się. Instykt każe mu uciekać, ale nogi odmawiają posłuszeństwa. Chce krzyknąć, lecz w płucach brakuje mu tchu. Uderza twarzą o ziemię, miękką i zimną. Ostre kopniaki w bok. Proszę, nie zadawajcie mi już bólu. Adrian chce się odezwać, chce coś powiedzieć, ale łapie tylko kurczowo powietrze. Nie bacząc na upokorzenie, próbuje stamtąd odpełznąć. Gdyby tylko powiedzieli, czego chcą, dałby im to. Ból przyprawia go o mdłości. Czuje w ustach ślinę. Chce mu się rzygać. Pełnie na czworakach i wstrząsają nim torsje. Ostatnią rzeczą, którą widzi, nim straci przytomność, jest wpatrujący się w niego z pobocza bezpański pies.**

**Śni mu się, że jest dzieckiem i odpływa od plaży w Norfolk. Tyle że ze skał łowią ryby czarne dzieci. Sen ma swoją ścieżkę dźwiękową, wracają do niego słowa piosenki. The harder they come, the harder they'll fall, one and all! Adrian uśmiecha się we śnie. To śmieszne.**

**We śnie pojawia się Kai i coś do niego mówi. Co tu robi Kai? Adrian chce odpowiedzieć, lecz usta odmawiają mu posłuszeństwa. Nie jest w stanie się odezwać. Nie chce, żeby Kai odszedł, ale tkwi uwięziony po drugiej stronie snu.**

# ROZDZIAŁ 24

Zasnąłem na krześle, nie będąc chyba w stanie – w obu znaczeniach – stoczyć się niżej. Zgięty w pół przespałem może dwie godziny. Nikt oprócz Johnsona nie wiedział, gdzie jestem. Rozumiałem, jaką obrał taktykę. Zostawił mnie, żebym sobie wszystko przemyślał, żebym – jak to mówią na filmach – zmiękł.

Próbowałem się skoncentrować na znanych faktach. Nie zostałem aresztowany ani nie postawiono mi żadnych zarzutów. Jak dotąd nie odmawiałem współpracy. Johnson miał jednak za nic wykazywaną przeze mnie dobrą wolę. Próbował zagonić mnie do narożnika, sprawić, że zacznę się zachowywać, jakbym miał coś do ukrycia. Choć przecież niczego przed nim nie ukrywałem. Jak dotąd nie oskarżył mnie o nic konkretnego. Jak można udowodnić, że się nic nie zrobiło? Jak można walczyć o nic? Myśli kłębiły mi się w głowie.

W którymś momencie w środku nocy zobaczyłem się nagle z zewnątrz. Ciemny, niechlujny kształt skulony na krześle w tym małym, pustym pomieszczeniu. Moja postać, moja sylwetka była pozbawiona szczegółów. To nie byłem ja, ale mój cień, cień tego, co ze mnie pozostało. Tak jakbym już zniknął. Nie jestem na ogół skłonny do fantazjowania, lecz nie potrafiłem opanować myśli, które wypływały z mrocznych zakamarków mojego umysłu.

Później z kolei obudziłem się nagle z drzemki, przekonany, że usłyszałem jakiś krzyk. Zacząłem nasłuchiwać. Z głębi budynku dobiegło mnie głucho łupnięcie. A potem cisza. Nie sposób było zgadnąć, czy ten dźwięk był realny, czy mi się tylko przyśnił.

O świcie byłem skonany. Cieszyłem się, że noc dobiegła końca, choć wszystko wskazywało na to, że czekają mnie kolejne trudne chwile. Dzień niósł ze sobą jednak jakąś nadzieję – choćby miała polegać tylko na tym, że będzie coś się działo. Była sobota. Przywieziono mnie tam w piątek rano. Normalnie piłbym w domu kawę i przeglądał gazety. Nikt na mnie nie czekał, nie miałem żadnych towarzyskich zobowiązań.

O dziesiątej przyszedł po mnie strażnik. Czuję, że mam nieświeży oddech, zarośnięty szczeciną podbródek i wórki suchego potu pod pachami. Moje ubranie było brudne i wymięte. Odkąd mnie tam poprzedniego dnia przywieziono, nic nie jadłem. Ostatni raz napiłem się wody w łazience, kiedy poszedłem za potrzebą.

Nie patrząc na mnie, strażnik wypchnął mnie na korytarz i skręciliśmy w lewo, w stronę wyjścia z budynku. Przez chwilę miałem nadzieję, że może mnie wypuszczą. Myliłem się. Przed wejściem skręciliśmy w innym kierunku i weszliśmy po schodach na inne piętro. Strażnik otworzył drzwi i wepchnął mnie do środka. Znalazłem się w gabinecie Johnsona. Urzędnik siedział za swoim biurkiem.

– Przepraszam, panie Cole – brzmiały jego pierwsze słowa.

– Nie było moim zamiarem zatrzymywanie pana na noc. Wynikła pewna pilna sprawa. Proszę, niech pan przyjmie moje przeprosiny.

– Nie zaproponował, żebym usiadł. Nie ruszając się z miejsca, stałem przed nim. Johnson powtórzył swoje przeprosiny, kładąc nacisk na pierwsze słowo, „proszę”, a potem dodając ciszej „niech pan przyjmie moje przeprosiny” – co miało zapewne spotęgować poczucie

zagrożenia i wrażenie, że wydaje rozkaz.

– Oczywiście – odparłem. Tego chyba po mnie oczekiwał.

– Proszę, niech pan usiądzie.

Usiadłem.

– Mogę panu coś zaproponować?

Zaschło mi w gardle. Chciałem napić się wody. Johnson zawołał strażnika i kazał mu przynieść dzbanek z wodą i szklanę. Na jego biurku leżała otwarta różowa teczka z jakimiś papierami. Przerzucał je, kiedy piłem. Wszystko to było bardzo teatralne. Zapamiętałem jego ręce starego mężczyzny, pomarszczone i małe, niczym ręce wiekowego Chińczyka. Przypominał mi dyrektora mojej szkoły, który lubił tego rodzaju sceny, lubił pokazywać, kto tu jest szefem.

– Przeglądałem pańskie akta.

Co, do diabła?

– Jakie akta?

– Próbował pan ostatnio opublikować traktat polityczny – obwieścił, ignorując moje pytanie.

– Niczego takiego nie zrobiłem – odparłem.

– Naprawdę? – zapytał, patrząc mi prosto w oczy.

– Owszem – powiedziałem. Byłem tego pewien. Nagle zaświtała mi pewna myśl. Nie, nie śmiałem jej do siebie dopuścić. Doszło do jakiegoś przekłamania. Pomyłki. Całkiem możliwe, że ze strony Johnsona. Mogłem osiągnąć nad nim przewagę. Nie miało jednak sensu tego walczyć, kazać mu się tłumaczyć. – Wydaje mi się, że to jakieś nieporozumienie – oświadczyłem neutralnym tonem. – Zapewne ktoś pomylił mnie z inną osobą.

– Umyślnie nie mówiłem, że to on. To nie był jego błąd, lecz kogoś innego. Ludzie dzierżący władzę i lubiący to okazywać muszą mieć możliwość wyjścia z twarzą z podobnych sytuacji.

– O kim pan mówi?

– Nie wiem, być może o którymś z pańskich oficerów śledczych.

– Nie pytam pana, kto popełnił, jak pan twierdzi, ten błąd. Pytam, z kim pańskim zdaniem, pana pomyliłem?

Przyznaję, że trochę speszył mnie fakt, iż wziął na siebie całą odpowiedzialność.

– Nie wiem – odparłem.

– Ma pan kogoś na myśli? Kogoś innego, kto opublikował traktat polityczny? Może jakiegoś kolegę?

– Nie, nie mam nikogo takiego na myśli. – Johnson potrafił wprawić w zakłopotanie, był nieprzenikniony i nieprzewidywalny jak kot. – Chcę tylko powiedzieć, że nie próbowałem publikować żadnego traktatu ani manifestu i w ogóle żadnych tekstów politycznych. Nie angażuję się politycznie.

Johnson przez cały czas patrzył mi prosto w oczy. Ku swojej irytacji odkryłem, że zaczynam się pocić pod pachami i na plecach. Johnson opuścił w końcu wzrok.

– Rozważania o zmiennej dynamice politycznej – przeczytał z jednej z leżących przed nim kartek, wodząc palcem wskazującym po papierze.

Tak zatytułowana była praca, którą złożyłem do wydziałowego periodyku. Mimowolnie poczułem lekki skurcz serca.

– To tytuł jednej z moich prac – powiedziałem. – Złożyłem ją w naszym uniwersyteckim czasopiśmie.

– Przyznaje pan zatem, że jest jej autorem?

Dlaczego bez przerwy używał takiego języka? W jego paranoicznym świecie nie było zwykłych faktów. Wszystko było oskarżeniem albo przyznaniem się do winy.

– Tak – odparłem. – To praca naukowa, a nie manifest – dodałem. – Proszę ją przeczytać, na pewno pan się ze mną zgodzi.

Johnson wziął akta do ręki i potrząsnął nimi, żeby pokazać, jakie są cienkie.

– W pańskich aktach nie ma tekstu tego artykułu. Może mógłby pan przedstawić jego tezy.

– Tak, oczywiście.

Wziąłem głęboki oddech i zacząłem referować treść pracy, starannie dobierając słowa, zwracając uwagę na brzmienie poszczególnych zdań, zdając sobie sprawę, że człowiek obdarzony takim jak on umysłem, stale poszukujący obciążających dowodów, będzie analizował każde z nich. Skupiłem się na dokładnym omówieniu pewnych niekontrowersyjnych zmian konstytucyjnych i tworzeniu instrumentów państwa pod koniec lat pięćdziesiątych. Unikałem wymieniania nazwisk. To mały kraj, nigdy nie wiadomo, kto jest z kim spokrewniony. Zdziwiłby się pan, ile nawet mało znaczących osób ma polityczne koneksje i można by równie dobrze zapytać, jak sam Johnson awansował na swoje obecne stanowisko – choć trzeba przyznać, że naturalne predyspozycje, jakie miał do tej pracy, mogły podważać podejrzenia o nepotyzm. Mówiąc, rewidowałem, redagowałem i modyfikowałem wymowę mojego artykułu. Przez cały czas byłem świadom, że Johnson się we mnie wpatruje. Trzymałem ręce na kolanach, żeby powstrzymać ich drżenie. Na tyle, na ile się ośmieliłem, zwolniłem tok wymowy i starałem się kontrolować oddech.

Oczekiwałem, że mi przerwie, lecz słuchał, w ogóle nie reagując. Kilka razy się powtórzyłem, omawiając to, w jaki sposób konstytucja Stvensona przyczyniła się do oddania władzy w ręce Protektoratu. Nie miało to żadnego znaczenia. Co gorsza, przypomniałem sobie tę zabawną rymowaną, której nauczył mnie niegdysiejszy kolega ze Szkocji. Za Stuke'a Beresforda od pawia wykrzywiona mordą. Miałem dziwne wrażenie, że mój umysł podzielił się na dwie części. Jedna z nich kontrolowała ruchy ust streszczających na użytek Johnsona tezy mojej pracy, podczas gdy w drugiej bez końca rozbrzmiewał ten absurdalny wierszyk. Za Stuke'a Beresforda od pawia wykrzywiona mordą, za to w Protektoracie srają równo w gacie. Próbowałem myśleć precyzyjnie, zaangażować właściwą półkulę umysłu. Ostatecznie udało mi się zwięźle przedstawić wnioski i na tym zakończyłem.

Johnson nie przestawał się we mnie wpatrywać.

– Dobra robota, panie Cole – oznajmił, posyłając mi jeden ze swoich bladych uśmiechów.

Nie byłem dotąd świadom, że spociło mi się czoło; poczułem, jak po skroni spływają krople potu. Nie powiedziałem ani słowa nieprawdy, ale w jakiś sposób poniosłem klęskę. Zdałem sobie sprawę, że nie zdołałem go przekonać. Wiedział, czego chce, a chciał mojej skóry. Nie wywinę się z tego tak łatwo. Byłem wściekły i niesamowicie zmęczony. Miałem dosyć tych gier.

– Dlaczego nie zatelefonuje pan do mojego dziekana? – powiedziałem. – On wszystko wyjaśni.

Nie była to idealna strategia i normalnie bym jej nie wybrał. Jeśli dziekan nie dowiedział się

jeszcze o moim aresztowaniu, nie miałem zamiaru go o tym informować, obawiając się całkiem słusznie, że nie przyniesie mi to nic dobrego. Wiedziałem, jak funkcjonował jego umysł: zostanę uznany za wichrzyciela. To mogło mieć konsekwencje dla mojej kariery. Ale czy miało to jeszcze jakieś znaczenie? I tak nie zrobiłem wielkiej kariery. Praca, przez którą miałem tyle kłopotów, nie została nawet zakwalifikowana do druku.

– Zatrzymani nie mogą się kontaktować telefonicznie z nikim poza ich przedstawicielami prawnymi.

Czyżbym był zatrzymany? Może próbował mnie upokorzyć. Wołałem tego nie drażnić z obawy, że rzecz zostanie potwierdzona i ustalona. Wtedy nie będzie już odwrotu.

– To musi być możliwe – oświadczyłem.

– Zapewniam pana, że znam przepisy, panie Cole – odparł i zacytował odpowiedni akt prawny, a nawet odpowiedni paragraf określający kwestię kontaktowania się z zatrzymanymi.

– Te prawa zostały uchwalone podczas obowiązywania stanu wyjątkowego – stwierdziłem. I za poprzedniego reżimu. Odniesienia do nich zawarte były w mojej pracy.

– Niewykluczone. – Johnson położył płasko dłoń na leżących przed nim moich aktach. – Obawiam się, że nie rozumiem pańskiej argumentacji.

Strażnik wrócił i zaprowadził mnie z powrotem do mojego pokoju. Tak zacząłem już o nim myśleć. Usiadłem na krześle. Raz czy dwa słyszałem odgłosy wydawane przez innych ludzi, kroki na korytarzu. Czekałem przez całe popołudnie i wieczór. Ponownie analizowałem swoje rozmowy z Johnsonem. Intrygowało mnie, że mieli moje akta. Chwilami wydawało mi się to rzeczą o kluczowym znaczeniu, kiedy indziej – zupełnie nieistotną. Najprawdopodobniej teczka zawierała wyłącznie dane na temat mojego zatrudnienia i ubezpieczenia społecznego – wszystko to można było bez trudu zdobyć. Tytuł mojej pracy... jak Johnson się o niej dowiedział? Kto go poinformował? Opanowałem się. Zaczynałem myśleć tak jak on. Praca niczym się nie wyróżniała – typowa, banalna praca akademicka. Wzmianka o niej znajdowała się prawdopodobnie w danych dotyczących mojego zatrudnienia. Ale przecież nawet nie została opublikowana. Jak można było przypisywać jej tak duże znaczenie?

Myślałem również o Johnsonie, jego celowo mętnych wywodach, nieustępliwym spojrzeniu i dziwnych dłoniach starego mężczyzny. Małych, czarnych i pomarszczonych dłoniach, zaopatrzonych w chwytne palce. Małpich, iskających wszy dłoniach. Czego szukały? Nie wiedziałem. Gdybym to miał, dałbym mu bez wahania.

Chciałem się sztachnąć. Krzepiąca czynność zapalania papierosa i zaciągania się nim. Bałem się. Nikt mnie dotąd nie skrzywdził, ale opowiadano, że różne rzeczy przytrafiają się ludziom, którzy byli aktywistami, wichrzycielami. Czyż nie taką właśnie łatkę usiłował mi przypiąć Johnson?

Jak szybko w takich sytuacjach człowiek szuka pociechy, gdzie tylko się da. Przez okno padał na ścianę mały prostokąt słonecznego światła. Przeszawiłem krzesło, zdjąłem marynarkę i siadłem tak, by się w nim znaleźć. Zawsze zdawałem sobie dotkliwie sprawę z własnej śmiertelności. Nie miałem żony ani dzieci. Niczego nie żałowałem, nie rozczulałem się nad sobą. Mówię tylko, że miałem dotkliwe poczucie własnej śmiertelności. Nigdy nie odznaczałem się tym rodzajem odwagi, jakim często charakteryzują się ludzie bardzo młodzi – mój brat, zanim zachorował. Julius. Julius. W co on mnie wpakował?

Już poprzedniej nocy, w momencie, gdy patrzyłem na siebie z zewnątrz – nie na siebie, lecz

na puste miejsce, które zajmowałem – uświadomiłem sobie własne ograniczenia. Wiedziałem, że nie jestem bohaterem.

\*

Chyba zasnąłem. Ocknąłem się na twardej podłodze, w twarz wbijały mi się ziarna piasku. Bolało mnie całe ciało, czułem się tak, jakbym miał siniaki na ramionach i biodrach. Przez chwilę nie pamiętałem, gdzie jestem.

Komu nie przyśnił się kiedyś jeden z tych straszliwych snów: na światło dzienne wychodzi jakaś zapomniana zbrodnia, jakiś potworny czyn i śniący wie, że ponosi za niego odpowiedzialność. Wszystkie dowody nosi we własnym sercu, lecz mimo to nic nie pamięta. Z takiego snu człowiek budzi się we własnym łóżku z olbrzymim uczuciem ulgi. Tamtego dnia o świcie, kiedy ocknąłem się zwinięty w kłębek na podłodze celi i przez kilka chwil nie wiedziałem, gdzie jestem, na próżno czekałem na sygnał, który powiedziałby mi, że to tylko zły sen. Usiadłem. Gdzieś za murami tego budynku ludzie załatwiali swoje sprawy. Moi koledzy, moja gospodyni, Saffia... Ani razu nie pomyślałem dotąd o Saffii. Zastanawiałem się, co robi, czy domyśla się, jaki jest powód mojej nieobecności.

Podobnie jak poprzedniego dnia przyszedł po mnie strażnik. Zaprowadzono mnie do gabinetu Johnsona. Stał odwrócony plecami, studiując tablicę ogłoszeń za biurkiem. Próbowałem przygotować się na kolejną turę jego pytań, lecz prawdę mówiąc, byłem zagubiony. Kiedy się do mnie odwrócił, zobaczyłem, że to nie Johnson, ale dziekan. O mało nie zemdląłem ze szczęścia. Pewnie bym się popłakał, gdyby nie jego szorstkie zachowanie. Nie skomentował mojego wyglądu, choć przez chwilę mi się przyglądał. Wydawał się nieco zdegustowany; wiedziałem, jak dużą wagę przywiązywał do kwestii higieny osobistej. Usiadł na krześle Johnsona, biurko przed nim zostało uprzątnięte z papierów. Ugięły się pode mną kolana i usiadłem ciężko na krześle naprzeciwko.

– Rozmawiałem z panem Johnsonem – oznajmił dziekan. – Wyjaśnił mi pewne sprawy. Zapewniłem go, że jest pan jednym z najsolidniejszych pracowników wydziału. W rezultacie był tak miły i pozwolił mi skorzystać ze swojego gabinetu, żebyśmy mogli porozmawiać.

– Dziękuję.

– Nie widzę powodu, żeby miało nam to zająć dużo czasu.

– W jego podejściu nie było śladu zrzędlowości ani roztargnienia, które okazywał kiedy indziej. Cieszyło mnie to. Traktował sprawę serio. Nareszcie ktoś, kto to wszystko rozwikła, kto mnie stąd wyciągnie.

– Zapewniam pana, że nie mam pojęcia, o co chodzi – powiedziałem.

– Pan Johnson poinformował mnie, że w ręce policji wpadły pewne nielegalne publikacje – oświadczył dziekan. – Wygląda na to, że może pan być zamieszany w cudzą działalność.

Mówiąc to, pchnął w moją stronę jedną z tych ulicznych gazetek noszących tytuły „Przegląd” albo „Wybór”. Przypomniałem sobie sprzedawcę, którego przy mnie aresztowano. Leżąca na biurku gazeta pochodziła sprzed miesiąca; jeśli chodzi o jakość druku, była na nieco wyższym poziomie niż większość.

– Trzeba po prostu dogadać się z tymi ludźmi – podjął dziekan.

Nie miałem siły się z nim spierać, tłumaczyć, jakiego rodzaju człowiekiem jest Johnson, jak nie można wierzyć ani jednemu jego słowu. Milczałem.

Dzekan pchnął gazetę jeszcze dalej w moją stronę.

– Prosił mnie, żebym to panu pokazał.

– A co to ma ze mną wspólnego?

– Niech pan spojrzy.

Rozłożyłem gazetę i zacząłem wertować jej strony. Czułem, że dziekan mnie obserwuje. Tytuł na trzeciej stronie, w prawym rogu sprawił, że zamarłem. Poczułem taki sam skurcz serca jak wówczas, gdy Johnson wspomniał o moim eseju. Artykuł nosił tytuł Czarny człowiek na Księżycu.

– Niech pan to przeczyta.

Zbyt długo gapiłem się na ten tytuł. Powinienem dalej przewracać strony, udawać, że nic nie zauważyłem. Za późno. Zrobiłem to, o co prosił mnie dziekan, i zacząłem czytać artykuł. Mówiąc wprost, składał się z bezustannych ataków na rząd, na reżim, który w trakcie pozostawania u władzy nie przestrzegał podstawowych praw ludzkich. Postęp w kraju był zagrożony, ponieważ elity bardziej interesowały się napychaniem własnych kieszeni. Tytuł miał wskazać czytelnikowi, jak daleko jako naród jesteśmy od tego rodzaju dokonań. Artykuł nie był podpisany i zauważyłem, że przy żadnym nie ma nazwiska autora. Szybko doczytałem go do końca; na plan pierwszy wybijało się zwłaszcza jedno zdanie: „Przy obecnym tempie rozwoju osiągnięcie tego, czego inne narody dokonały w ciągu dekady, zajmie nam całe stulecie”. Odwrócenie frazy, której Julius użył w trakcie naszego pierwszego wspólnie spędzonego wieczoru. Stulecie pracy w ciągu jednej dekady. Miał na myśli lądowanie na Księżycu.

Dziekan odchylił się do tyłu i obserwował mnie, balansując na palcach stóp i tylnych nogach krzesła Johnsona.

– Chyba pan się ze mną zgodzi, że nie są to poglądy, które chcielibyśmy łączyć z naszym uniwersytetem – powiedział, zanim przestałem czytać.

Pokiwałem głową. W mojej sytuacji nie bardzo mogłem zrobić coś innego.

Dziekan pozwolił, by krzesło opadło do przodu, i oparł łokcie na biurku. Milcząc, postukał się palcem wskazującym po zaciśniętych wargach, a potem złożył palce w piramidkę i zmierzył mnie wzrokiem.

– Naprawdę chodzi o to, żeby zawrzeć z tymi ludźmi jakiś układ. Po prostu.



# ROZDZIAŁ 25

Kai patrzył, jak ramię pompy porusza się w górę i w dół. Różowa ciecz chlupotała w szklanym pojemniku w miarę, jak jej poziom opadał, a podnosił się w baku Starego Wiernego. Nigdy nie przestawał go dziwić kolor benzyny. Przeciągnął się, czując napiętą po pływaniu skórę pleców. Jadąc z otwartymi szybami, podtrzymywał uczucie świeżości, które ogarnęło go po pierwszym skoku do wody. To dziwne, lecz nie spodziewał się, że ich ulubione miejsce pozostanie niezmienione. Na tym pewnie polega siła natury. Wszystko inne legło w gruzach, ale wodospad, skały i rzeka w ogóle się nie zmieniły.

W całym mieście była tylko jedna stacja benzynowa. Samochody, motory, ludzie z kanistrami – wszyscy stali w kolejce, lecz Kaiowi nie psuło to humoru. Odliczył banknoty i dał je pracownikowi. Potem podniósł obie dłonie i rozpostarł palce. Nie było drżenia. To dobrze. Rozejrzał się za Abassem i Adrianem. Kierowca stojącego za nim samochodu zatrąbił i dał mu znak, żeby już jechał. Kai siadł za kierownicą, uruchomił silnik i wyjechał ze stacji. Nadal się rozglądając, zaparkował nieopodal. No, jest Abass. Chłopiec stał, przerzucając kasety z zachwytem i cierpieniem archeologa wiedzącego, że musi umieścić z powrotem w ziemi starożytny garnek. Po Adrianie nie było śladu. Kai wysiadł z samochodu i podszedł do straganu, przy którym ubrany w białą dżalabiję sprzedawca przycupnął na stolku ze skrzyżowanymi niczym bocian nogami.

– Hej, lilipucie – zawołał, lecz ogłuszony muzyką Abass w ogóle go nie usłyszał. Kai położył obie dłonie na jego głowie.

Abass próbował się odwrócić, lecz Kai zwiększył nacisk, przygważdżając go do ziemi. Chłopiec zachichotał i zaczął się wykręcać.

– Tak jest, proszę pana. – Straganiarz zaśmiał się przymilnie.

– Pański syn był przy mnie bezpieczny.

Kai skinął mu lekko głową, oczekując, że Abass poprawi go, powie, że Kai jest jego wujkiem. Dzieci przywiązują do takich spraw wagę. Jednak Abass nic nie powiedział. Kai spojrzął na chłopca, na jego pochyloną głowę. Prawie idealnie koncentryczne kręgi włosów kończące się na pojedynczym włosku pośrodku ciemienia. Zaokrąglony skraj uszu. Nieskazitelna skóra. Zastanawiał się, czy Abass pamięta swojego ojca. Nigdy o to nie pytał. Wcześniej tego dnia, widząc zwłoki na poboczu drogi, mały przejawiał tylko niezdrową dzieciinną ciekawość.

– Popatrz! – Chłopiec pokazał mu pudełko z kasetą.

– Tę właśnie chcesz?

Abass pokiwał energicznie głową.

Sprzedawca obserwował ich z boku.

– Ile? – zapytał go Kai.

– Pięć tysięcy – odparł mężczyzna.

Kai pogrzebał w kieszeni, szukając banknotów.

– A ta? – zapytał sprzedawca, pokazując drugą kasetę. Kai poczuł na sobie wzrok Abassa.

– Nie, dziękuję. Tylko tę jedną – odparł. – Gdzie jest Adrian? – zapytał chłopca.

– Zaraz wróci. Kazał mi zaczekać.

– Jak dawno to było?

– Nie wiem – odparł Abass, wzruszając ramionami i przyglądając się nabytkowi. – Chyba niedawno. Może jakąś minutę temu – dodał z większym przekonaniem.

– Dwadzieścia minut temu – powiedział sprzedawca, biorąc pieniądze.

– Powiedział, dokąd idzie? – zapytał Kai, tym razem przyglądając się dokładniej mężczyźnie.

– Nie – odparł beztróskim tonem Abass. – Nic nie powiedział poza tym, że mam tu zostać.

Sprzedawca, wciskając pieniądze do saszetki przy pasie, wskazał podbródkiem kierunek.

– Tam. Poszedł tamtędy.

– Dziękuję. Chodźmy. – Kai wziął za rękę Abassa. – Musimy znaleźć Adriana. – Po chwili puścił go i patrzył, jak chłopiec biegnie przodem, wymachując ramionami i kopiając przed sobą pył.

Na ulicy, którą wskazał sprzedawca, nie odnaleźli Adriana. Była pusta, targowisko nie rozciągało się poza plac. Robiło się coraz ciemniej. Zamykano okiennice, mieszkańcy gromadzili się na tyłach domów, wokół palenisk. Abass wbiegał w każdy zaułek i wołał Adriana, uznawszy to chyba za świetną zabawę. Słyszając nagły krzyk chłopca, Kai puścił się biegiem. Kiedy dotarł do rogu, serce waliło mu w piersi. Skręcił w boczną uliczkę.

Abass stał w półmroku pośrodku ulicy, wpatrując się przed siebie z opuszczonymi luźno po bokach rękoma. Za nim leżał na ziemi mężczyzna.

Dotarcie do samochodu zajęło im dziesięć minut. Kai przesunął wprawnymi palcami po żebrach Adriana, sprawdzając, czy nie ma żadnych złamań, po czym zarzucił sobie jego rękę na plecy i pomógł mu wstać. Abass pobiegł przodem, żeby otworzyć drzwi samochodu. Adrian mógł się położyć na tylnym siedzeniu, ale zaprotestował i usadowił się ostrożnie z przodu. Kai kazał Abassowi wyjąć wodę z bagażnika. Chłopiec obserwował z poważną miną, jak Adrian pije z butelki i oddaje ją z powrotem. Kai prawie się nie odzywał, koncentrując się na tym, żeby wrócić na główną szosę. W białym świetle mijających ich pojazdów skóra Adriana była sina, pokryta warstwą potu.

– Czy wujkowi Adrianowi nic nie będzie? – zapytał Abass, ściskając butelkę na kolanach.

Adrian odwrócił sztywno głowę.

– Tak. Nie martw się o mnie. Nic mi nie będzie. Potrącił mnie ktoś jadący na rowerze – dodał po chwili. – Chyba mnie nie widział po ciemku.

– Na rowerze? – powtórzył z niedowierzaniem chłopiec.

– Tak.

Kai nie odezwał się i na mocy cichego porozumienia nie drążyli tego dalej. Półtorej godziny później wysadzili Abassa przy jego domu. Chłopiec wcisnął Adrianowi w ręce butelkę wody oraz nową kasetę. Adrian zatrzymał wodę, ale oddał mu kasetę.

– Posłuchamy jej kiedy indziej razem, dobrze? – powiedział.

Abass pokiwał głową.

– Powiedz mamie, że wrócę później – mruknął Kai. – Muszę odwiedzić Adriana.

Jadąc, wysłuchał od niego relacji o tym, co się wydarzyło. O tym, jak Adrian zobaczył Agnes i poszedł za nią do jej domu, o zięciu, córce, niechęci Agnes. Potem doszło do napaści

z ręki zięcia, Adrian nie miał co do tego wątpliwości. Facet był przy nim jeszcze przed chwilą, a potem gdzieś się zawieruszył. Kai przez cały czas milczał.

– Poszedłeś do jej domu? – zapytał, kiedy Adrian skończył.

– Tak. Nie powinienem był tego robić. To znaczy w normalnych okolicznościach. Ale to jest wyjątkowa sytuacja. Ona potrzebuje pomocy.

– Chodzi mi tylko o to, że musisz zachować jakąś ostrożność, nie rozumiesz tego kraju. Jest tutaj dużo złych, bardzo złych ludzi. Mogło ci się stać coś naprawdę niedobrego.

W mieszkaniu Adrian zniknął od razu w łazience. Kai poszedł do kuchni i nastawił wodę na herbatę. Choć nie był głodny, z czystego nawyku zaczął myszkować po szafkach. Życie bez fast foodów i przekąsek uczyniło z niego wiecznego głodomora. Jako dziecko jadł wszystko, co przed nim postawiono, mięso było od wielkiego święta, on i jego siostra walczyli ukradkiem widelcami o najlepsze kęsy. Potem, na studiach medycznych stale jadł w biegu. Całe lata niedojedzonych posiłków, które kończył zimne niekiedy parę godzin później. Nigdy nie cierpiał na niestrawność. W końcu postanowił, że nie wypije herbaty. Zdjął czajnik z kuchenki i poczęstował się piwem z lodówki.

Do kuchni wszedł Adrian.

– Jak się czujesz? – zapytał Kai.

– Przeżyję.

– Chcesz, żebym cię zbadał?

Adrian pokręcił głową.

– Tak naprawdę to mam ochotę napić się whisky.

– Pozwól, że cię zbadać. – Kai stanął przed Adrianem, przyjrzał się jego twarzy, zmierzył puls i nacisnął opuszki jego palców. Następnie zlokalizował jedną z dwóch posiadanych przez Adriana szklaneczek, nalał do niej solidną porcję whisky i podał mu. – Mógłbym ci zrobić parę rentgenów. Żeby mieć pewność.

– Nie, daj spokój. Nic mi nie jest. Facet nie próbował mnie zabić. Gdyby tego chciał, na pewno by mu się udało. – Adrian dolał do whisky trochę wody z butelki, przez chwilę wpatrywał się w szklanekę, a potem zakolysał zawartością i wciągnął powietrze w płuca. – Powąchaj to. Mój ojciec powtarzał, że uwalnia się w ten sposób węza. Woda uwalnia zapach. Pił przede wszystkim whisky. Ja przekonałem się do niej dopiero przed kilku laty. Zabawne, nieprawdaż?

– Czego chciał? – zapytał Kai.

Adrian przyjrzał mu się dezorientowany.

– Ten facet tam – wyjaśnił Kai.

– Nie wiem. – Adrian pokręcił głową i znowu wbił wzrok w szklanekę. – Pieniędzy?

– I w końcu nic ci nie ukradł? – Kai pociągnął łyk piwa. – To nie ma sensu. Mógł to zrobić.

Byłeś nieprzytomny.

– Więc co?

– Powiedzieć ci, co myślę? Nie chciał po prostu, żebyś się tam kręcił.

– Na to wygląda.

– Z całą pewnością.

Przez chwilę milczeli. Adrian nadal gapił się w szklanekę.

– Muszę tam wrócić – oświadczył nagle bez ogródek.

Kai nie odpowiedział. Zamiast tego wlał sobie do gardła resztę piwa i wyrzucił butelkę do kosza. Następnie otworzył lodówkę, wyjął z niej kilka jajek i postawił patelnię na ogniu. Zanim rozbił pierwsze jajko, olej tak się rozgrzał, że brzegi jajka zwinęły się i pobrzązowały. Gotując, był w stanie jaśniej myśleć. Przechylił patelnię, żeby gorący olej zalał jajko, i patrzył, jak bieleje białko i ścina się żółtko.

– Muszę tam wrócić – powtórzył stojący przy ścianie Adrian.

Kai potrząsnął lekko głową.

– Nie bądź, kurwa, idiotą.

– Muszę.

– Posłuchaj – powiedział Kai ostrzej, niż zamierzał. – Nie masz pojęcia, w co się pakujesz.

Wiele się tutaj wydarzyło. W czasie wojny ludzie robili różne rzeczy. Inni wykorzystali okazję, żeby zarobić sporo pieniędzy. Niektórzy ludzie bogacą się na wojnie. Ten facet jest zamieszany w coś dużego. Cokolwiek się dzieje w tym domu... najprawdopodobniej chodzi o narkotyki... to nie jest coś, co chciałbyś wiedzieć.

– A co z Agnes?

– Co z Agnes?

– Cierpi na zespół stresu pourazowego. Jest chora.

– Jezus! – Kai, teraz już naprawdę wściekły, odwrócił się do Adriana. Olej z łypatki kapał na blat i na podłogę. – Jak, do diabła, mam ci wytłumaczyć, żebyś to zrozumiał? Ile tu jesteś miesięcy? Dwa, trzy? Tutaj toczyła się wojna. Czego się spodziewasz? To nie przelewki. Facet w tamtym domu ma głęboko gdzieś twój brytyjski paszport. Jeśli trzeba cię będzie zabić, zrobi to.

Adrian urwał kawałek papierowego ręcznika i startł olej z blatu, a potem ukucnął, żeby wytrzeć podłogę. Kai zauważył grymas na jego twarzy i urywany oddech, świadectwo, ile go to kosztowało wysiłku. Zrobiło mu się głupio.

– To nie jest twój kraj, człowieku – powiedział, kręcąc głową. – Przykro mi, ale to nie jest twój kraj.

– Wiem o tym – odparł Adrian. – Wiem, że to nie jest mój kraj. Ale to moja praca.

Dał krok do przodu, sięgnął po butelkę whisky, nalał sobie kolejną szklankę i znowu oparł się o ścianę, tyle że tym razem zsunął się po niej i usiadł na podłodze.

Kai zdjął jajko z patelni i rozbił na niej następne. Przyciągało ich tu poczucie misji, tych wszystkich błędnych rycerzy, którzy zlatywali się do pozostawionej przez wojnę ziejącej rany, pożądlivi w swojej gorliwości. Kai widział to w rozgorączkowanych oczach kobiet, wyczuwał w ich oddechu, kiedy do niego przywierały. Przybywali, żeby pisać swoje artykuły do gazet, ratować czarne dzieci, rozsyłać wici, zarabiać pieniądze, pieprzyć czarne ciała. Wszyscy mieli jakieś powody. Nowocześni rycerze, każdy poszukujący swojego trofeum, swojego Świętego Graala. Graalem Adriana była Agnes.

A mimo to...

Mimo to dla Kaia sprawa była prosta. Kolejka jego pacjentów nie miała końca. Nawet gdyby pracował jako chirurg całe życie, i tak by wszystkich nie obsłużył. Z tego względu jego życie zawodowe było samowystarczalne, jasne. Jego dokonania łatwo było zmierzyć. Ludzie, których wyleczył, znowu chodzili, znowu oddychali, znowu żyli. Kai wiedział coś nieoświadczonego o początkach pobytu Adriana tu, w tym szpitalu. Pamiętał, że kiedy się pierwszy raz spotkali,

robił wrażenie, jakie? Niezakotwiczonego. Od tego czasu Kai zauważył w nim zmianę. To całe gadanie o Ileanie, o facecie, który prowadził szpital psychiatryczny. Jak on się nazywał? Attila. Kai spotkał się z Attilą tylko raz. Na jakiejś konferencji humanitarnej rozmawiał z nim przez kilka minut, jedyne dwie czarne twarze na sali. Był pod wrażeniem, uznał, że Attila bardziej niż ktokolwiek inny zbliżył się do jakiejś prawdy. Rozumiał coś, co nie dotarło jeszcze do Adriana.

Spojrzał na wąską i bladą twarz przyjaciela. Letarg, w którym pozostawał wcześniej i który ustąpił pod wpływem wydarzeń dnia, teraz powrócił.

Przypomniał sobie dzień, kiedy ostatnio odwiedził tamto miasto, Port Loko. Pojechali tam razem z Tejanim, to była ich ostatnia wspólna podróż, chcieli odnaleźć doktora zajmującego się gorączką Lassa. Zrobili to, nie bacząc na ryzyko, nie wiedząc nawet, czy facet naprawdę istnieje, w kraju ogarniętym anarchią. Po prostu dla żartu. Ach, Tejani.

Drugie jajko już się usmażyło pod spodem. Kai przewrócił je na drugą stronę.

– Więc jaki masz plan? – zapytał. – Chcesz tam pójść, kiedy go nie będzie?

Adrian podniósł głowę.

– Tak. Porozmawiam z córką. Zależało jej na zdrowiu matki. To zięć stwarzał problemy. W cokółwiek jest zaangażowany, ona nie bierze w tym udziału. Jestem tego pewien.

Kai zdjął patelnię z gazu, zsunął usmażone jajko na talerz, sięgnął po następne i turlając je w prawej dłoni, zastanawiał się nad różnymi ewentualnościami.

– I jak to ma wyglądać? Nie możesz po prostu sterczeć tam na rogu – stwierdził, rozbijając jedną ręką jajko na patelni. – Zwłaszcza ty.

– Masz rację – przyznał Adrian i trzymając whisky w ręku, podniósł się z podłogi. – A gdybyś... Nie, nie mogę o to prosić... A gdybyś pojechał tam razem ze mną?

Kai spojrzał na niego i odwrócił wzrok. Wciągnął do płuc powietrze i wypuścił je. Jeszcze przed chwilą z jakiegoś powodu był prawie gotów się zgodzić. Teraz wyczuł, jak w Adrianie budzi się nadzieja, jak w nim rośnie. To był głupi pomysł. Pokręcił głową.

– To jest po prostu zbyt niebezpieczne. Zobacz, co ci zrobił ten facet. W ostateczności możesz pogorszyć tylko sytuację

Agnes. Słuchaj, człowieku, przykro mi. Wiem, co czujesz. Ale gra nie jest warta świeczki.

Kai wyczuwał, jak Adriana ogarnia rozczarowanie, jak opadają mu ramiona. Nie patrzył na niego. Fatalnie. Co robić? Zbyt wielu było tutaj ludzi podobnych do Adriana, żyjących niespełnionymi marzeniami.

Sięgnął do szafki nad głową i wziął do ręki butelkę keczupu.

– Dajmy już temu spokój. Powinieneś coś zjeść.

# ROZDZIAŁ 26

Moją pierwszą reakcją po uwolnieniu było pozbycie się odoru tego plugawego miejsca. Wziąłem dwa razy prysznic i się ogoliłem. Potem zadzwoniłem i umówiłem się z Saffią. Schudła, miała podkrążone i spuchnięte oczy, z warkoczy wystawały jej luźne kosmyki włosów. Objęła mnie i przez kilka sekund opierała czoło o moje ramię. Miałem silną świadomość jej fizycznej obecności. Jej ulga brała się oczywiście stąd, że wiedziała teraz, gdzie przetrzymują Juliusa, nawet jeśli dalej nie miała pojęcia dlaczego. Opowiadając jej o swoim zatrzymaniu, nie wspominałem o wizycie dziekana. Sam nie wiem czemu. Chyba przypuszczałem, że skomplikowałoby to niepotrzebnie sprawę.

W poniedziałek z samego rana Saffia udała się do budynku, w którym urzędował Johnson. Później do mnie zatelefonowała. Johnson z typową dla niego pokrętnością kazał jej czekać dwie godziny, a potem przekazał szereg kwestionariuszy, które miała wypełnić. Obiecał, że je rozpatrzy, lecz to mogło zająć kilka dni.

– Kilka dni! – Po jej głosie poznałem, że jest bliska płaczu.

– Czy mam przyjść? – zapytałem.

Odparła, że chce się położyć.

Tymczasem miałem własne kłopoty. Wychodząc wcześniej tego dnia po chleb, zauważyłem stojącego na ulicy mężczyznę. Nie przywiązywałem do tego większej wagi, gdyby nie to, że wychodząc z piekarni, zobaczyłem go ponownie po drugiej stronie ulicy. Zwolniłem kroku, żeby zobaczyć, co się stanie. Zauważyłem, że przepuścił wolną taksówkę. Kiedy dotarłem do moich drzwi, wciąż tam stał. Później wyjrzałem na ulicę. Facet znikł, lecz przy kiosku z papierosami stał inny mężczyzna. Stał plecami do mnie, ale kiedy się odwróciłem, przysiągłbym, że zerkał w moje okno.

Cały ten męczący dzień spędziłem w mieszkaniu, szukając pociechy i ukojenia w moich papierach, lecz nie byłem w stanie czytać. Zamiast tego chodziłem, paląc papierosy, miotając się i przestawiając z miejsca na miejsce różne przedmioty. Ktoś mógłby dojść do wniosku, że po dwóch nieprzespanych nocach będę wykończony. I rzeczywiście byłem wykończony, lecz zupełnie nie mogłem się odprężyć. Za oknem jakiś robotnik walił młotkiem, co dodatkowo działało mi na nerwy. Pragnąc wziąć się w garść i uporządkować myśli, spisałem wszystko, co mi się przydarzyło. Zobaczenie tego na kartce, czarno na białym, trochę mi pomogło.

Poszedłem do łóżka późno, spałem niespokojnie i obudziłem się z mocnym postanowieniem, by nie marnować w ten sposób kolejnego dnia. Wyszedłem z domu i zatrzymałem przejeżdżającą podą podą. Gdy ruszyliśmy, wypatrywałem przez szybę czegoś podejrzanego. Po drodze dwa razy zmieniałem środek lokomocji i przybyłem na uniwersytet późnym rankiem.

Na kampusie również nie działo się nic nadzwyczajnego. Na szczęście dla mnie cały epizod wydarzył się podczas wakacji. Był wtorek. W piątek, w dzień mojego aresztowania, nigdy nic się nie działo. Zapewne niewiele osób zauważyło moją nieobecność. Zajrzałem do skrytki i udałem się do swojego gabinetu, wymieniając po drodze pozdrowienia z dwoma kolegami,

których spotkałem. Dotarłszy na miejsce, zamknąłem za sobą drzwi i przez chwilę się o nie opierałem. Rozejrzałem się dokoła. Ktoś był w moim gabinecie. Kilka przedmiotów stało gdzie indziej. Co ważniejsze, znikła moja maszyna do pisania. Przejrzałem szafki i zerknąłem do szuflad. Maszyny nigdzie nie było. Nie ulegało kwestii, że gabinet został przeszukany, a maszyna zabrana w charakterze dowodu rzeczowego. Ruszyłem korytarzem do gabinetu dziekana.

Dziekan stał twarzą do okna, na szeroko rozstawionych nogach, ze splecionymi na plecach rękoma. Nie obejrzał się i nie dał po sobie poznać, że zdaje sobie sprawę z mojej obecności. Mimo to miałem wrażenie, że jest niesamowicie czujny. W końcu odwrócił się w moją stronę.

– Miło cię widzieć, Cole. Jak się masz?

Odparłem, że dobrze.

– To świetnie – stwierdził.

– Przyszedłem podziękować za pomoc, jakiej udzielił mi pan w zeszłym tygodniu.

Dziekan machnął lekceważąco ręką.

– Niedobrze, niedobrze – mruknął. – Tego rodzaju historii. Nikomu to nie służy.

– Tak jest – odparłem. – Zastanawiałem się... – zacząłem i urwałem. – Czy są jakieś wiadomości o doktorze Kamarze? Jego żona się zamartwia.

– O doktorze Kamarze?

– Zastanawiałem się, czy ma pan o nim jakieś informacje. Czy nie mógłby pan skorzystać z uprzejmości pana Johnsona i czegoś się dowiedzieć – dodałem, lecz dziekan pokręcił głową, zanim jeszcze skończyłem.

– Prawie nie znam pana Johnsona.

– Chciałbym dodać otuchy jego żonie – spróbowałem ponownie.

Malująca się wcześniej na twarzy dziekana serdeczność kompletnie znikła. Siadł za biurkiem i zaczął wyrównywać sterty leżących na nim papierów. Kiedy się odezwał, ton jego głosu lekko, lecz znacząco się zmienił.

– Jeżeli, jak twierdzisz, nie jesteś w to zamieszany, radziłbym ci trzymać się od tej sprawy z daleka. Nie wolno podważać stanowiska władz.

– Dlatego właśnie do pana przyszedłem. Żeby zapytać, czy może pan coś zrobić.

– Sporo przeszliśmy ostatnio. To były ciężkie czasy – oświadczył z pewną irytacją dziekan. – I nikt w tym kraju nie chce, żeby powróciły problemy z przeszłości. Policja wykonuje swoje zadania. Kłopoty, kiedy się już zaczną, mają tendencję się rozprzestrzeniać. To dotyczy również uniwersytetów. Popatrz na Europę. Studenci palący własne biblioteki, wychodzący na ulice, nieprzestrzegający prawa. Teraz choroba przenosi się do nas. Do Ibadanu, Nairobi, Akry. Studentów przestała interesować nauka. Zmienili się w chuliganów. Nie mam zamiaru pozwolić, by ten uniwersytet poszedł tą samą drogą. – Mówiąc, patrzył mi prosto w twarz; siedział zupełnie nieruchomo, w jego oczach odbijało się padające przez okno światło. Zanim opuścił powieki, ujrzałem w nich bezmiar ambicji.

Miałem nieodparte wrażenie, że nasza rozmowa dobiegła końca. Wstałem, żeby wyjść.

– Chwileczkę. – Dziekan wyjął coś z szafki stojącej za jego biurkiem. To była moja maszyna. – Nieuprawnione użycie własności uniwersytetu. Może ci się to wydać czymś nieistotnym, ale nie piastujesz mojego stanowiska. Człowiek przymyka oczy na jakieś drobne wykroczenie i od tego to się zaczyna. Chociaż w tym przypadku skłonny jestem uznać, że był to

nieumyślny błąd.

– Dziękuję – powiedziałem.

– Cole – odezwał się, kiedy stanąłem przy drzwiach.

Moja dłoń spoczywała już na klamce. Odwróciłem się.

Dziekan stał, czytając jakiś dokument.

– Uważaj, z kim się kolegujesz, Cole – powiedział, przelotnie na mnie spoglądając.

\*

Kekura, jak się okazało, uniknął aresztowania. Spędził noc z przyjaciółką i kiedy odwiedził wczesnym rankiem dom Yansaneha i dowiedział się o aresztowaniach, postanowił wybrać się z wizytą do znajomych, którzy, tak się składało, mieszkali za granicą. Miał zamiar pozostać u nich, aż dojdzie do przekonania, że może bezpiecznie wrócić. Saffia powiedziała mi o tym w środę, kiedy spotkaliśmy się na kawie w Red Rooster. Prowadziła własne poszukiwania. Jej twarz była poważna, zdecydowana. Po obu stronach oczu miała delikatne bruzdy, których nie spostrzegłem wcześniej. Inne linie – determinacji – po obu stronach ust. Nie umniejszały w niczym jej urody. Najwyraźniej odzyskała pewność siebie. Sprawily to wieści na temat Kekury przekazane jej przez znajomego, chyba tancerza. Z jakiegoś powodu irytowało mnie, że pomógł jej się opanować. Rozmyślałem o nim i rozmyślałem o Kekurze.

Kelnerka przyniosła neskę w garnuszkach z nierdzewnej stali, mały dzbanuszek ze skondensowanym mlekiem oraz miseczkę z kostkami cukru i ustawiła je bez większych ceremonii na kraciastej plastikowej ceracie.

– I co dalej? – zapytałem.

Odwiedzała teraz Johnsona codziennie. Chociaż oficjalnie nie przyznawał, że przetrzymuje Juliusa, świadczyło o tym całe jego zachowanie. Kazał jej wrócić do domu i czekać.

– Może rzeczywiście powinnaś. Jesteś wykończona.

Spojrzała na mnie z błyskiem w oku.

– Co ty mówisz, Eliasie?

– Chodzi mi o to, że pewnych spraw lepiej nie ruszać. Jeśli ich rozdrażnisz, możesz tylko pogorszyć sytuację Juliusa.

Saffia zmierzyła mnie wzrokiem.

– Wiem, że próbujesz pomóc – powiedziała i wzięła głęboki oddech. – Widziałam się z adwokatem – dodała. – Mówi, żeby dać Johnsonowi jeszcze dwa dni, a potem złożyć w sądzie pismo w sprawie bezzasadnego zatrzymania. Juliusa i Adego.

– Wierz mi, podobnie jak ty pragnę uwolnienia Juliusa – zapewniłem ją. – Ale robiąc to, ryzykujesz, że cała sprawa wyjdzie na światło dzienne.

– I o to chodzi.

– Kłopot polega na tym – wyjaśniłem łagodnie – że Johnson znajdzie się wskutek tego w defensywie. Będzie musiał uzasadnić swoje działania, oskarżając Juliusa. A to byłoby najgorsze.

– Więc co proponujesz? – zapytała.

– Żebyśmy nie zmieniali naszego postępowania. Robili to, co mówi Johnson, i czekali. Nie może przetrzymywać tam Juliusa bez końca, chce po prostu pokazać, jaka z niego szycha. Spróbuję porozmawiać z moim pastorem, może uda się mu wyrzucić jakąś presję.



Saffia popijała swoją kawę. Na jej twarzy odbijały się mroczne myśli.

– Problem nie polega na tym, że nie mogę siedzieć i czekać, ale że tego nie chcę – powiedziała w końcu. – Chodzi nie tylko o Juliusa, nie widzisz tego, Eliasie? Chodzi o nas wszystkich. Człowiek toleruje tego rodzaju rzeczy i od tego to się zaczyna.

Od tego to się zaczyna. Po raz drugi w ciągu paru dni ktoś wymówił te słowa. Dziesięć minut później patrzyłem, jak zakłada na głowę pomarańczową chustkę i ode mnie odchodzi. Nie chciała, żebym odprowadzał ją do domu. Nie wiedziała jeszcze, dokąd pójdzie, do Johnsona czy do biura adwokata. Po drodze miała do załatwienia parę innych spraw.

– Zadzwoń, jeśli się czegoś dowiesz.

– Oczywiście, Eliasie.

Okazało się, że wypadki wyprzedziły posunięcie adwokata. Pismo w sprawie bezzasadności zatrzymania sporządzono w czwartek, lecz zanim zostało doręczone do sądu, Yansaneh wyszedł na wolność. W związku z tym adwokat zasugerował, żeby poczekać na dalszy rozwój wydarzeń. Lada dzień mógł zostać zwolniony i Julius. Tego samego dnia Saffia i ja odwiedziliśmy Yansaneha. Wyglądał... Jak mam to opisać? Był jakiś powolny, jeszcze bardziej niż przedtem. Jego niskie czoło pokryło się zmarszczkami. Sprawiał wrażenie zdeorientowanego. Stojąc z tyłu, patrzyłem, jak Saffia go obejmuje; nie mogłem się powstrzymać, by nie oceniać ciepła i czułości tych uścisków. Ale Yansaneh stał po prostu z rękoma wiszącymi po bokach. Potem odwrócił się, podszedł do kanapy, usiadł na niej ciężko i potrząsnął głową. Przez kilka minut wszyscy troje siedzieliśmy w milczeniu. Nasz gospodarz zapytał, czy wiadomo coś o Juliusie. Nie, odparła Saffia. Ze zwieszonymi ramionami i spuszczonego wzrokiem wydawał się jakby mniejszy. Prawdę mówiąc, spodziewałem się, że Yansaneh, pogodny pedant, podejdzie do sprawy z większym stoicyzmem.

Można by pomyśleć, że zasypimy go pytaniami, że postaramy się poznać i dopasować wszystkie fakty, będziemy je badali z każdej strony, żeby się czegoś dowiedzieć. Tak się nie stało. Słuchaliśmy, kiedy opowiadał cichym głosem o najważniejszych momentach tego, przez co przeszedł. Mówił powoli, często przerywając. Podobnie jak ja był przesłuchiwany. Pytania dotyczyły zbliżonych spraw. Najwyraźniej szukali agitatorów na uniwersytecie. Julius. Jego poglądy, jego działalność, towarzystwo, w jakim się obracał. Yansaneh wspominał o spotkaniach w moim gabinecie, ale z jego relacji wynikało, że nie miały dla nich specjalnego znaczenia. Nic z tego, co powiedział, nie wzbogaciło raczej naszej wiedzy.

Po wyjściu od Yansaneha jechaliśmy z powrotem przez miasto. Był wczesny wieczór. Saffia bębniła palcami po kierownicy.

– Człowiek nigdy się nie spodziewa, że znajdzie się w tego rodzaju sytuacji – rzuciła. – O takich rzeczach się czyta, takie rzeczy przytrafiają się innym ludziom w innych krajach.

Nic na to nie odpowiedziałem. Kilka lat wcześniej mieliśmy nasz pierwszy przewrót, po którym nastąpiły dwa lata rządów wojskowych. Niezbyt wymarzona sytuacja, ale jednak. Wszystko działało się jakby na innym poziomie, ponad życiem zwykłych ludzi. Któregoś ranka obudziliśmy się po prostu z nowym rządem.

I pod wieloma względami wojskowi nie byli wcale tacy źli. Niewielu ludzi popierało ich publicznie, lecz prywatnie całkiem sporo. Teraz znowu rządzą cywile.

– W jakimś budynku w tym mieście, w jakimś pokoju albo celi jest mój mąż – stwierdziła Saffia. – Nie mogę się z nim zobaczyć. Nie mogę go odnaleźć. A mimo to wiem, że tam jest.

**I wiedzą o tym ludzie, którzy go tam wsadzili. Bez względu na to, czym to się skończy, nawet jeśli jutro uwolnią Juliusa, życie już nigdy nie będzie takie samo. Chodzi o coś więcej. Nie widzisz tego? – zapytała.**

**Pokręciłem głową.**

**– Nie rozdmuchujmy nadmiernie całej sprawy – upierałem się. – Nie znasz Johnsona tak dobrze jak ja. Spędziłem z facetem prawie dwa dni. To on za tym stoi. Nie ma żadnego wielkiego spisku. Johnson przekroczył po prostu swoje uprawnienia. Nie kryje się za tym nic więcej. Ale facet nie jest wszechpotężny. Żeby posunąć sprawę dalej, będzie musiał skonsultować się ze swoimi zwierzchnikami, a oni położą temu kres.**

**Spojrzała na mnie. Zobaczyłem w jej oczach nadzieję.**

**– Tak myślisz, Eliasie? – Chciała w to wierzyć.**

**– Tak – odparłem z przekonaniem. – Tak myślę.**

# ROZDZIAŁ 27

Wczesnym rankiem, miesiąc po swojej chorobie, Adrian prowadzi samochód, co nie zdarza mu się zbyt często. Widzi młodą kobietę stojącą na poboczu z dwoma plastikowymi kanistrami. To ona, jest tego pewien, kobieta, którą widział, jak rozmawiała z Babagalehem, a potem zauważył ponownie na plakacie w Ocean Club. Kiedy wpatruje się w szybę, pragnąc się upewnić, kobieta wychodzi na jezdnię i macha ręką. W pierwszej chwili Adrian też chce do niej pomachać, dopiero potem zdaje sobie sprawę, że daje mu znak, by stanął. Zatrzymuje się, a ona ładuje dwa kanistry z tyłu i siada obok niego.

– Dzięki – mówi, jakby czekała specjalnie na niego. – Wiozę wodę.

– Wodę? – powtarza Adrian.

– Tam, gdzie mieszkam, nie ma wody. Nie włączają pomp od kilku tygodni.

Adrian mruga powiekami.

– I co robią ludzie?

Kobieta wskazuje głową kanistry.

Teraz zaczyna rozumieć. Widział wcześniej kolejki ludzi i stojące w rzędzie kontenery w różnych kształtach i kolorach, czekające, aż jakiś urzędnik uzna za stosowne napełnić je wodą. Młoda kobieta siedzi obok niego w milczeniu, czasami tylko daje wskazówki, jak jechać. Piętnaście minut później prosi, żeby się zatrzymał, i zanim Adrian zdąży otworzyć drzwiczki, wysiada i zabiera swoje kanistry. Na jej czole perli się pot, który ociera wierzchem dłoni.

– Dzięki – mówi przez otwarte od strony pasażera okno.

Adrian po raz pierwszy może jej spojrzeć prosto w twarz.

– To pani? Widziałem panią na plakacie w Ocean Club...

– Tak, to ja.

Adrian nie chce, żeby odeszła.

– Jest pani piosenkarką?

Kobieta się uśmiecha.

– Och, nie. Jest nas kilkoro. Nie robimy tego, żeby zarobić na życie. Bardziej, żeby się czymś zająć.

Adrian czeka, że kobieta powie coś więcej, ma nadzieję, że go zaprosi, lecz ona pochyła się tylko i podnosi kanistry.

– Może mógłbym przyjść i was posłuchać – rzuca.

Ona uśmiecha się do niego, tym razem szczerze. I choć Adrian czuje się zdemaskowany, uważa, że mu się opłaciło.

– Nie wiem, kiedy znowu zagramy w Ocean Club – mówi ona.

– Aha.

– Ale jeśli nie ma pan nic do roboty, występujemy w Ruby Rooms. Zna pan to miejsce?

Adrian kiwa głową.

Nie wie skąd, ale nazwa wydaje mu się znajoma. Kobieta odchodzi, nie wspinając się po schodkach domu, tak jak się spodziewał, lecz oddalając się ulicą i uginając pod ciężarem

kanistrów. Adrian śledzi ją przez kilka chwil wzrokiem, ale ona ani razu się nie ogląda.

\*

Tego samego dnia przedstawia Attili przypadek Agnes. Ogranicza się do spraw klinicznych, nie wspomina o wizycie w Port Loko i w domu Agnes. Kończy relację na jej odejściu ze szpitala. Attila w odpowiedzi wzrusza ramionami i spogląda na Adriana z wyżyn swego jastrzębiego profilu.

Stoją na szpitalnym dziedzińcu, Attili ten jeden raz nie towarzyszy jego świta.

– Zmiana wymaga czasu, przyjacielu – oznajmia, jakby podnosił żagle i szykował się do wyjścia w morze. – A niektórzy z nas tutaj mają więcej czasu od innych.

Z czego można wnosić, mówi później Adrian w rozmowie z Ileaną że on, Adrian, jest kimś w rodzaju lekkoducha. Tymczasem, prawdę mówiąc, od przyjazdu tutaj jego życie nabrało większego sensu, niż miało kiedykolwiek w Londynie. Tutaj możliwości są nieograniczone, nie ma horyzontu, nie ma nieba. Czuje ciężar i gęstość emocji, jakby trzymał je w dłoni. Wszystko znaczy więcej.

Ileana wypuszcza powietrze z płuc i jednocześnie wzdycha.

– No cóż... – Ma głos schrypnięty od dymu. – Takie jest życie. – Nie podnosi głowy ani nie patrzy mu w oczy, ale zaciąga się i przesuwa papiery.

Adrian jest zdumiony.

– Ileano?

Ileana podnosi wzrok, po raz kolejny zaciąga się papierosem i ściska go kciukiem i palcem wskazującym. Zmarszczkami wokół jej ust płyną strumyki szminki. Okolone ciemnymi kręgami mascary oczy są zaczerwienione.

– Przepraszam – mówi i potrząsa głową.

– Dobrze się czujesz?

– Nina. Potrącił ją samochód. Sukinsyn nawet się nie zatrzymał. Zdołała dowlec się do domu. Umarła przed progiem.

– Och, Ileano. Przykro mi.

– Nigdy o tym nikomu nie mówiłam, ale kiedy pracowałam w szpitalu psychiatrycznym w Bukareszcie, któregoś wieczoru przyjęli tam pacjentkę prosto z normalnego szpitala. Na odprawie następnego dnia przydzielono ją mnie. Najwyraźniej wszyscy pozostali mieli mnóstwo roboty. Byłam zachwycona. Do tej pory zajmowałam się wyłącznie pacjentami pozostającymi pod opieką kogoś innego. Marzyłam, żeby mieć swojego. To była młoda dziewczyna. Może kilka lat młodsza ode mnie. Trzeba było pilnować, żeby nie popełniła samobójstwa. To był duży krok naprzód, zważywszy, że wcześniej uczyłam pacjentów robić siatki na zakupy i kuchenne ściereczki. Uznałam to za znak, że mój superwizor mi ufa.

Ileana stawia na biurku dzbanek z herbatą, dwie porcelanowe filiżanki w kwiatki i pudełko z kostkami cukru.

– Była na pełnej dawce leków. Od samego początku walczyłam, żeby je zredukować. Od tego momentu zaczęła robić postępy. Była inteligentna, wykształcona. W innej sytuacji mogłybyśmy zostać przyjaciółkami. Cukru?

Adrian kręci głową.

– Kiedy wróciłam, już jej nie było. Została przeniesiona. Bez pytania mnie o zdanie. Zniknęła. Jej łóżko zajmował ktoś inny.

– Chryste! – mruczy Adrian. – Jak to możliwe?

– Wrobili mnie. Zatrzymano ją z powodów politycznych. Od nas przewieziono ją do szpitala psychiatrycznego pod specjalnym nadzorem, gdzie stwierdzono u niej paranoję. Ludzie w kraju wiedzieli, co się dzieje, ale udawali, że wszystko jest w porządku. Tych, którzy nie potrafili udawać, zamykano. – Ileana się śmieje, a Adrian uśmiecha. Ona podnosi w górę filiżankę. – Za Ninę. Złośliwa mała suka z duszą przybłądy. Nieraz mnie ugryzła. Znalazłam ją na plaży, mówiłam ci o tym kiedyś? Skusiłam ją łososiem z puszki. – Ileana wzdycha. – Kochałam ją.

– Za Ninę – powtarza zgodnie Adrian. Herbata parzy mu podniebienie. – Dlatego wyjechałaś z Bukaresztu? – pyta.

– Tak jakby. Faktycznie wkrótce wylali mnie z roboty. Wszystkich nas wylali.

– Jak to?

– Ceausescu uznał, że współpracowaliśmy z zachodnimi agencjami wywiadowczymi. Zakazał całej grupie profesjonalistów pracować w zawodzie. Wysłał sporo ludzi za kratki.

– Ale nie ciebie?

– Byłam za młoda. Za mało ważna.

– I co zrobiłaś?

– Pracowałam jako sprzątaczką do momentu, kiedy mojej rodzinie pozwolono wyemigrować. Wynaleźliśmy żydowską babkę, właściwie nieżyjącą już macochę mamy. Wykorzystaliśmy ją, żeby wyjechać do Izraela. – Ileana znowu podnosi filiżankę. – Wypijmy i za nią. Kimkolwiek była.

– Byłaś tam potem kiedyś? W Bukareszcie?

– Raz. I to mi starczyło.

Adrian milczy. Ileana zapala kolejnego papierosa i na krótko znika za zasłoną dymną.

– Moja rodzina, ci, którzy tam dalej mieszkali, nie chcieli mówić o przeszłości. Zależało im tylko na zegarkach, telewizorach, magnetowidach. Kiedy straciłam robotę, żaden z nich nie ruszył palcem, żeby mi pomóc. Niech to szlag! Chodź! – Gasi papierosa na spodeczku i ściąga pasek torebki z oparcia krzesła. – Spadamy stąd. Zafunduję ci drinka. Właściwie nawet więcej. Zafunduję ci jutrzejszego kaca.

Jakimś fuksem, po uprzednim zaliczeniu kilku barów, trafiają do Ruby Rooms. Adrian uświadamia sobie, dlaczego nazwa wydała mu się znajoma. Ze swoimi łóżami, dywanem koloru czerwonego wina, niewielkim parkietem i tarasem wychodzącym na wzgórze lokal jest dokładnie taki, jak go opisał Elias Cole, w czasach, gdy nosił nazwę Talk of the Town.

Ileana staje przy barze i zamawia drinki, przekrzykując hałas i mówiąc po kreolsku z rumuńskim akcentem. Adrian nie wyobraża sobie Lisy zachowującej się w ten sposób, w ogóle godzącej się, żeby wejść do takiego lokalu. Czuje uderzający go w przeponę basowy rytm. Na parkiecie tańczą ludzie, ich sylwetki obrysowuje stroboskopowe światło. Didżej, uwięziony niczym ptak w małej budce nad tancerzami, zapowiada każdą nową piosenkę. Czuć zapach potu, piwa i suchego lodu. Adrian nawiązuje kontakt wzrokowy z Ileaną, mówi do niej bezgłośnie i jednocześnie pokazuje drzwi. Lekarka kiwa potakująco głową. Na tarasie Adrian znajduje mokry od piwa stolik i dwa plastikowe krzesła. Tutaj, na górze, wieje wietrzyk, muzyka nie jest taka głośna. Obserwuje Ileanę, kiedy ta idzie do niego z drinkami. W zapiętej pod szyją kwiecistej bluzce, białych skarpetkach i sandałach zupełnie nie pasuje do tego

miejsca.

Na oczach Adriana wysoki, przystojny mężczyzna w workowatych spodniach i za dużym T-shircie odrywa się od ściany i przez chwilę jej towarzyszy. Z tego, co widzi Adrian, facet coś do niej cicho mówi. Ileana odpowiada, nie zwalniając kroku. Młodzieniec staje jak wryty, otwiera usta, cofa podbródek i cmoka tak głośno, że słyszy to nawet Adrian. Następnie odwraca się na pięcie i wraca do kolegów. Adrian pomaga Ileanie z drinkami.

– O co chodziło?

– Zaproponował, że mnie zadowoli. Ma chyba olbrzymiego kutasa. Możesz w to uwierzyć?

Adrian chyba nie może. Nie jest pewien, czy młodzieniec przekroczył dwudziestkę.

– Co mu odpowiedziałaś?

– Nie, dziękuję. Ale żeby wrócił, kiedy będzie mógł sobie oblizać brwi. Noroc! – mówi Ileana, podnosząc szklankę ze swoim Jackiem Daniel'sem.

Adrian, który pociągnął już łyk, o mało się nim nie krztusi.

Muzyka w środku cichnie. Ludzie, pojedynczo i parami, opuszczają werandę, wracają do środka.

– Zaraz się zacznie – rzuca Adrian, czując, jak zjadają go nerwy.

Wstają od stolika i dołączają do innych. Dopiero teraz Adrian dostrzega małą scenę z tyłu sali. Instrumenty muzyczne. Bębenki. Oparta o krzesło gitara. Klarnet. Didżej mówi coś do mikrofonu. Adrian nie rozumie go dobrze, ale wyczuwa w jego głosie dramatyzm. Ludzie wokół zaczynają klaskać. Na scenę wychodzą trzej mężczyźni i kobieta. To ona. Adrian zaciska wargi, gubi oddech i wciąga głęboko powietrze przy następnym. Jej ciało opina sukienka w tym samym wzorze co koszule mężczyzn. Ma obnażone ramiona, włosy szesane z twarzy. Nie podchodzi do mikrofonu, tak jak się spodziewał, tylko bierze do ręki klarnet. Jeden z członków zespołu staje przy mikrofonie i zaczyna mruścić na wznoszącą się nutę. Brzmienie jest potężne, przetacza się przez zbity tłum. Mijają, jak się zdaje, minuty. Dźwięk potężnieje. I wchodzi w to klarnet. A potem gitara i klawisze. Ale to klarnet, tak podobny do ludzkiego głosu, przebija się przez inne instrumenty. Wokalista staje bliżej mikrofonu i zaczyna śpiewać. Później Adrian próbuje określić na własny użytek, jaka to była muzyka, bardziej jazz czy soul, czy coś zbliżonego. Spowalnia rytm jego serca, podnosi go na duchu i porywa, żeby na chwilę opuścić i porwać ponownie. Nikt nie tańczy, ludzie po prostu słuchają. Ostatni akord każdego utworu zawisa nad głowami słuchaczy, przerywają go dopiero oklaski. Zespół przechodzi płynnie od jednej piosenki do drugiej. Razem są ich trzy. Adrian przez cały czas ją obserwuje, szpiczasty łokieć, ruchy nadgarstka i palców, to, jak opiera ustnik na dolnej wardze. Jej gra jest nieostentacyjna, nie popisuje się, nie zamyka oczu ani się nie kołysze. Wybija tylko pięty rytmem na drewnianej podłodze. Od czasu do czasu podnosi wzrok i mierzy nim ludzi. Raz chyba go dostrzega i się uśmiecha. Wokalista znowu nachyla się do mikrofonu, mruć podziękowania, przedstawia zespół, osobę po osobie. Przy każdym nazwisku rozlegają się oklaski i gwizdy. Ona trzyma klarnet przy piersiach. Kiedy przychodzi jej kolej, podnosi go do warg i gra kilka nut solo. Jeszcze trzy piosenki. A potem koniec. Ludzie wracają na taras. Zespół schodzi ze sceny.

Instrumenty zostają.

Mija dziesięć minut. Adrian praktycznie bez przerwy obserwuje drzwi klubu. W końcu zespół wychodzi na taras i natychmiast otaczają go wielbiciele. Jej nie ma. Pojawiwszy się,

przeciska się między grupkami. Tu skinienie głowy, tam uścisk dłoni. Nie zatrzymuje się, najwyraźniej dokądś zmierza. Zawiedziony Adrian odwraca się. Kiedy podnosi wzrok, ona stoi przy stoliku.

– Cześć – mówi do niej, szybko wstając.

– A więc przyszedłeś – rzuca ona. – Jak ci się podobała muzyka?

– Była... – Adrian rozkłada ręce – ...naprawdę piękna. Dziękuję.

– Cieszę się, że ci się podobała. – Dziewczyna uśmiecha się i spogląda na Ileanę.

– To moja koleżanka, Ileana – mówi Adrian i milknie. Nie zna imienia klarncistki.

– Mamakay.

– Mamakay – powtarza imię Adrian. Nigdy go nie zapomni.

– To moje domowe imię – wyjaśnia ona, jakby odpowiadając na pytanie.

– Słucham?

– To moje domowe imię. Rozumiesz, nie prawdziwe, ale to, którego wszyscy używają, zwracając się do mnie. Coś w rodzaju przydomka. Mamakay pochodzi od mojej ciotecznej babki. Mama Kay. Opiekowała się mną. Prawdę mówiąc, była okropna. Bez przerwy się modliła. – Mamakay się uśmiecha. – O co się modlisz, ciotuniu? – pytała ją. Żeby Bóg dał mi odpowiedź, mówiła. Może już ci odpowiedział, powiedziałam któregoś dnia, kiedy byłam starsza. Może to jest jego odpowiedź. – Mamakay zatacza krąg ręką i się śmieje. – Może mówi nam, że ma to wszystko gdzieś! Daj mi jedno piwo Star – zwraca się do przechodzącego kelnera. Kiedy dostaje piwo, wyciera szyjkę dłonią i pije prosto z butelki.

– Usiądź z nami – prosi Adrian.

Choć wcześniej tego dnia był zmęczony, teraz czuje zastrzyk energii. Między nimi trojgiem rozmowa toczy się i toczy. Mamakay opowiada im o forcie na wyspie, z armatami, które wciąż tam stoją. Ileana śpiewa kilka taktów ludowej piosenki rumuńskiej, pragnąc w ten sposób uczcić śmierć swojej suki. Mówią o matriarchacie wśród hien. O tym, w czym zwierzęta są lepsze od ludzi. W czym mężczyźni są lepsi od kobiet i w czym kobiety są lepsze od mężczyzn. O tym, jak najlepiej rozsadzać pomidory. O tym, jak można zmoknąć na deszczu, o czym Adrian marzy.

Ileana i Mamakay rozmawiają często tylko we dwie, dwie panie coś w sobie odnajdują. Zdumiewa go, jak szybko rozmowa między kobietami przechodzi na następny poziom. Zadowolona się rolą słuchacza i jest wdzięczny Ileanie, że to umożliwiła. Dawno już nie siedział z kobietami. Popatruje to na jedną, to na drugą. Wyraziste rysy Ileany, malujące się na jej twarzy cierpkie poczucie humoru. Stłumiona energia Mamakay znajdująca ujście w dłoniach, które tańczą przed nią w powietrzu. Zostaje z nimi na dłużej. Adrian, który z każdą minutą coraz bardziej boi się, że Mamakay odejdzie, perwersyjnie przeprosza, że ją zatrzymuje. Ona lekceważąco macha butelką. Później, o wiele później zamawiają coś do jedzenia. Mamakay je rękami, odzywając się tylko po to, by pochwalić jedzenie, i obgryzając kości kurczaka.

\*

Tej nocy mu się śni. Stoi z kanistrami na poboczu drogi, a on mija ją, jadąc do Ileany. I nie dojeżdżając do celu, wraca po nią. Nie jest to sen erotyczny w ścisłym znaczeniu tego słowa, ale wyrazistością nie ustępuje żadnemu, które miał wcześniej. I podobnie jak to było w przypadku muzyki, w jego pamięci pozostają nie konkretne obrazy, lecz wywołany przez nie nastrój. W przeszłości budził się z takich snów z przekonaniem, że coś utracił, bezskutecznie

chciał znowu zasnąć, by to odzyskać. Tym razem budzi się ukojony, z zupełnie innym poczuciem. Poczuciem skrajnej pewności.

Nazajutrz widzi ją i następnego dnia także. Za każdym razem się zatrzymuje. Wysiada, żeby pomóc jej załadować ciężkie kanistry, a ona zajmuje miejsce w fotelu obok niego. Do pracy wkłada bawełnianą sukienkę bez rękawów, lekko rozdartą z brzegu. Sukienkę w kwiaty. Zaciera ręce i kuli ramiona. On wyłącza klimatyzację i opuszcza szybę. Pochylając się, żeby pomóc Mamakay otworzyć drzwi, czuje jej niewyraźny zapach. Wdycha go ukradkiem. Po jej wyjściu zamyka okno, żeby zapach pozostał w środku.

Wkrótce wygląda to dokładnie tak, jak pierwszego dnia. Ona stoi na poboczu, jakby na niego czekała.



# ROZDZIAŁ 28

Wojna sprawiła, że kochali się z nową intensywnością. Na podłodze, Nenebah twarzą do Kaia, siedząc na nim okrakiem. On, tkwiąc w niej i trzymając w wargach sutek. Przesuwając językiem w górę, w dół i dokoła i ściskając jej pierś. Palcami drugiej dłoni wykonując takie same ruchy w ciepłym miejscu między jej udami. Ona, oddychając coraz głębiej i szybciej. Kiedy dochodzi, on obejmuje ją za ramiona i wciska na swojego członka. Gdy jej skurcze słabną, obraca Nenebah na plecy i z palcami w jej włosach kołysze się w przód i w tył aż do kompletnego zatracenia. Potem nadal w niej tkwiąc, powoli mięknie i gładzi ją po karku. W końcu oboje zasypiają, nie zmieniając pozycji.

Spotykają się, kiedy mogą. Przed godziną policyjną i po niej, przed operacjami i po nich. Jest ciemno, nie ma prądu ani gazu w kuchence. Czasami kochają się, nic nie jedząc i nic nie mówiąc, nie robiąc nic poza tym.

\*

Wspomnienie ich seksu dopada Kaia nie wiadomo skąd. Stoi, trzymając w ręku tekturowy kubek z napojem: purpurowym, słodkim, z domieszką alkoholu. W pokoju jest gorąco i tłoczno. Wspomnienie zapachu i smaku Nenebah, gładkiej skóry i mięśni jej pleców, tej topniejącej płynności uderza go niczym eksplozja. Może tylko stać i czekać, aż minie.

Obok niego stoi pani Mara, trzymając kubek z takim samym purpurowym drinkiem, ubrana zamiast zwykłego stroju w szwajcarską bufiastą sukienkę z tiulu. Jej zbyt długo przyklejony do ust uśmiech robi się szklisty. Nie jest w stanie wygładzić zmarszczki między brwiami. Przed nimi starszy asystent fotografuje dwie odchodzące pielęgniarki. Czułe objęcia, główki razem, ten sam odcień jaskrawej szminki na ustach, róż na policzkach – kosmetyki, które kupiły wspólnie na przyjęcie. Ludzie przynieśli jedzenie i prezenty: apaszkę, kostki mydła Lux, plastikową okładkę do paszportu, wielką pamiątkową kartę podpisaną przez cały personel. Fotografowane przez asystenta dziewczyny wiercą się i nerwowo chichoczą. Udało im się obu załatwić pracę w tym samym szpitalu w Reading. Kai podsłuchiwał w pokoju lekarskim, jak jeden z zagranicznych doktorów poprawiał ich wymowę. „Reh-ding. Nie Reeding”.

Ilu to już pracowników w tym roku? Blok operacyjny stracił anestezjologa. Kai brał udział w co najmniej trzech przyjęciach pożegnalnych pielęgniarek, dokładnie takich jak to. A może było ich cztery? Zaczynają zlewać się ze sobą. A teraz Wilhemina. Utrata Wilheminy będzie szczególnie odczuwalna. Miała zadatki na znakomitą instrumentariuszkę.

Kai szykuje się do wyjścia, podchodzi, żeby się pożegnać, całuje obie dziewczyny w policzki. Ściska ramię Wilheminy. Kiedyś się w nim podkochiwała, tak mu się w każdym razie wydaje. Coś w Wilheminie przypomina Kaiowi Balię. Balia była inną młodą pielęgniarką, którą znał przed kilku laty i która też czuła do niego mięte. Lecz nie wolno mu o niej myśleć. Wymyka się przez drzwi w upalną noc.

Na oddziale, podążając śladem niebieskich nocnych lampek, idzie w róg sali, do łóżka, przy którym stoi wózek inwalidzki. Na czarnej tablicy na ścianie nagryzmołone są litery NPO. Nil per os, nic doustnie. Foday śpi. Kiedy Kai zamierza odejść, otwiera oczy.

– Myślałem, że śpisz – mówi Kai.

– Tak, spałem. Ale słyszę pana nawet przez sen.

Foday szczerzy zęby w uśmiechu i próbuje usiąść.

Kai kładzie mu delikatnie rękę na ramionach.

– Spokojnie. Chciałem się tylko dowiedzieć, jak się czujesz. Jesteś gotów na jutro?

Foday potakuje.

– Potrzebujesz czegoś?

Chłopak kręci głową.

– Może mi pan co najwyżej przynieść trochę ryżu i liści manioku.

Kai się uśmiecha.

– Nic z tego, ale potem będziesz mógł się najeść do syta. Czy ktoś z twojej rodziny przyjdzie oddać krew?

– Mój wujek.

– To dobrze. Powiedz mu, żeby przyprowadził twoją narzeczoną. Wszyscy chcemy ją poznać. Powiedz jej, że dużo o niej słyszeliśmy. Musi być z niej wspaniała kobieta. Wie, jak bardzo się dla niej męczysz?

To taki ich wspólny żart, fikcyjna narzeczona, którą Foday ma nadzieję poślubić. Narzeczona i rodzina, którą razem stworzą.

Foday zanosi się chrapliwym śmiechem.

– Żeby pan przyszedł i mi ją odbił? Pozwolę panu poznać narzeczoną, kiedy przyprowadzi pan swoją.

Kai unosi w górę kąciki ust.

– Śpij dobrze. Do zobaczenia jutro.

Wychodząc z oddziału, pozdrawia skinieniem głowy rozwiązującą krzyżówki pielęgniarkę, która podnosi wzrok i odwzajemnia jego gest.

\*

Tej nocy śni mu się most. Balustrada wrzyna mu się w plecy. Cudza twarz zbliża się do jego twarzy. Krzyki. I ból w tyle czaszki, jakby od uderzenia młotka. Ucisk w skroni. Bolesny paraliż. A potem uczucie nieważkości. Budzi się z metalicznym smakiem krwi w ustach, dzwonieniem w uszach i obrazami, które rozbijają się o granicę świadomości. Dopiero łagodne pukanie do drzwi pozwala mu wrócić do rzeczywistości.

– W porządku! – woła i słyszy oddalające się kroki kuzynki, która wraca powoli do swojego pokoju. Siada, ściąga z siebie skotłowane prześcieradło i szuka luminescencyjnej tarczy zegarka. Czwarta trzydzieści. Jeszcze dwie godziny. Idzie przez uśpiony dom do kuchni i nalewa do szklanki wodę ze stalowego pojemnika. Ciurkanie wody sprawia, że czuje parcie na pęcherz. Otwiera tylne drzwi. Księżyc wisi wysoko na niebie. Niski cień Kaia skrada się za nim po podwórku niczym czające się zwierzę. Oddaje mocz pod bananowcem. Wracając do domu, przystaje i przez kilka chwil gapi się na niebo, na mleczone smugi gwiazd. Kręci głową w lewo i w prawo. Czuje się kompletnie wybudzony.

W swoim pokoju leży, słuchając tykania zegarka i dźwięków nocy, licząc pozostałe do ranka minuty. O szóstej nadal nie może zasnąć. Z nadejściem świtu na zewnątrz robi się coraz głośniejsz; każde domostwo szykuje się na szturm nowego dnia.

Pół godziny później ze snu wyrывa go kolejne pukanie kuzynki, tym razem głośniejsze,

bardziej natarczywe. Idzie do kuchni, ćwiartuje wielkim nożem papaję i proponuje kawałek kuzynce, która kręci głową. Abass już wyszedł z podrygującym na ramionach plecaczkiem. Kai i jego kuzynka siedzą przez kilka minut w milczeniu, każde pogrążone we własnych myślach.

– Pomożesz mi z krzesłami? – pyta ona.

– Jasne.

– Możemy to zrobić teraz.

Kai macha widelcem.

– Nie martw się. Możesz już iść. Zrobię to przed wyjściem.

Kuzynka myje w zlewie filiżankę po kawie.

– Dołączysz do nas tym razem?

– Zobaczę, jak mi pójdzie w pracy.

– Wiesz, że będziesz mile widziany.

– Dzięki.

Każdego ranka odbywają ten sam dialog. Odkąd zaczęły się u nich odbywać kościelne spotkania, Kai stara się raczej nie przebywać w tym czasie w domu. Na początku cieszył się, że kuzynka odnajduje pociechę w praktykach religijnych. Coraz bardziej jednak irytują go inni członkowie Kościoła, to, z jaką troską i uniżonością go traktują. Podziwiają Kaia za to, że pracuje w szpitalu, i desperacko starają się go zwerbować, nie wiedząc, jak bardzo pogardza nimi i ich gorączkowym fatalizmem. Wszędzie, gdzie spojrzeć, w mieście wyrastają nowe kościoły: na każdym splachetku gołej ziemi, pod niebiesko-białymi namiotami ONZ, w domach prywatnych i pustych budynkach.

Po śniadaniu Kai przenosi krzesła z podwórka na werandę i ustawia je w rzędach. O siódmej trzydzieści jest już w drodze do szpitala. Ruch jest niewielki i udaje mu się szybko dojechać. W pokoju lekarskim nalewa sobie trzecią tego dnia kawę i siada, obserwując swoje trzymające filiżankę ręce, wibrującą powierzchnię czarnej cieczy, migoczące na niej i zmieniające się refleksy. Ostatnich kilka nocy nie było dobrych. Trudno powiedzieć, czy kawa polepszy, czy pogorszy sytuację. Po kilku łykach odstawia filiżankę. Musi się przygotować. Przechodzi do przebieralni przy bloku operacyjnym. Nikogo tam nie ma. Peruka pani Gomy wisi na wieszaku niczym martwy ptak. Potrzebuje tylko chwilę pobyć sam. To ważny dzień, druga z czterech zaplanowanych operacji Fodaya. Kiedy je wykonają i wszystko pójdzie dobrze, nie wda się żadna infekcja i wszystkie ich przewidywania się sprawdzą, za kilka miesięcy Foday będzie chodził. Nie tak jak chodzi teraz, gdy każdy krok okupiony jest rozpaczliwym podrygiwaniem całego ciała. Foday będzie chodził wyprostowany.

Podczas pierwszej operacji złamali i złożyli na nowo kość piszczelową prawej nogi. Dzisiaj wykonają tę samą operację na lewej nodze.

Kai zdejmuje zwykle ubranie i wybiera jeden z leżących na półce zielonych fartuchów. Jest niespokojny, podenerwowany i spięty. Przy zlewie myje twarz zimną wodą i przegląda się w lustrze, odciągając dolną powiekę i sprawdzając dziąsła. Ma suchą, ściągniętą skórę. Odczuwa lekkie mdłości. Odkręca kran i pije z dłoni. Woda jest ciepła i orzeźwia go tylko trochę.

Siada na ławce i podnosi dłonie do twarzy. Nadal drżą. Zamyka oczy i opiera się o szafki, czuje, jak jego oddech zwalnia i uspokaja się serce. Rozpościera palce na udach; ma wrażenie, że jego ciało robi się lżejsze.

**Pukanie do drzwi. Kai otwiera oczy.**

**– Tak?**

**– Doktorze Mansaray?**

**– Tak?**

**To jedna z instrumentariuszek, z wiadomością.**

**– Potrzebują pana na oddziale ratunkowym.**

**– Powiedziała im pani, że zaraz operuję?**

**– Tak. Mówią, że nie ma nikogo innego.**

**Kai wzdycha, wstaje i otwiera drzwi, ale instrumentariuszka już odeszła. Widzi, jak otwiera sobie ramieniem drzwi na blok, gdzie operuje pani Goma. Kai szybko zmienia buty i idzie po schodach na oddział ratunkowy. Oddział nie jest otwarty przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Brakuje personelu. Zaczynają przyjmować o dziesiątej rano i ludzie gromadzą się znacznie wcześniej. Większość przypadków można załatwić rutynowo, nawet jeśli są poważne. Ale kiedy sytuacja jest naprawdę ciężka, wzywa się lekarzy skądkolwiek.**

**Ustawiana przez dźwig ciężka żelazna brama przewróciła się i przygniotła trzech robotników. Dwaj doznali kilku złamań i już się nimi zajęto. Kai został wezwany do trzeciego. Pielęgniarka pokazuje mu mężczyznę leżącego na plecach w drugim końcu sali. Z tego, co widzi Kai, nie ma jeszcze czterdziestu lat, ale jest wychudły i to go postarza. Leży, nic nie mówiąc, z otwartymi oczyma.**

**– Witam – mówi Kai. – Jak się pan czuje? Boli pana?**

**– Ból nie jest duży, doktorze. Tyle że nie czuję swojego ciała.**

**Kai czyta notatki, które dała mu pielęgniarka. Mężczyzna ma prawdopodobnie uszkodzony rdzeń kręgowy. Bada go krótko, po czym woła pielęgniarkę i prosi o szpilkę. Zaczynając od klatki piersiowej, nakłuwa skórę rannego w regularnych odstępach.**

**– Niech pan mówi, czy pan czuje ukłucie.**

**– Tak. Tak. Tak – szepcze mężczyzna, kiwając głową. A potem cisza. Tuż nad pępkiem. Kai cofa się i powtarza ukłucia, tym razem, żeby ustalić dokładnie miejsce, w którym czucie znika.**

**– Tak, tak. – Kiedy dociera do tego samego miejsca, znów zapada milczenie. Kai sprawdza odruch skokowy ze ścięgna Achillesa. Nic.**

**– Zaraz wracam – mówi do mężczyzny. – Kto z panem jest? Rodzina?**

**Ranny potrząsa głową.**

**– Pan Sesay.**

**– Kto to jest? Pański szef?**

**Kiwnięcie głową.**

**Przy stanowisku pielęgniarek Kai podaje diagnozę. Prawdopodobne przerwanie rdzenia kręgowego na wysokości T-8. Do potwierdzenia przez rentgen.**

**– Czy mam go przyjąć? – pyta pielęgniarka.**

**Kai kręci głową.**

**– Niech pani mu powie, że musimy zawiadomić jego rodzinę. Ktoś musi im to wyjaśnić. – Wypuszcza z płuc powietrze. Niczego nie nienawidzi tak bardzo. – I jemu. – Przekazuje notatki pielęgniarce, która bierze je, nie podnosząc wzroku.**

**– Kto im to wyjaśni? – Dziewczyna martwi się, że ten obowiązek może spaść na nią.**

– Ja to zrobię. Niech mnie pani wezwie, kiedy będą gotowe zdjęcia. Tak czy owak, wrócę tu po operacji.

Na zewnątrz wywołuje pana Sesaya. Brygadzysta daje krok do przodu, ściągnając z głowy wehnianą czapkę. Kai wyjaśnia mu charakter urazu w sposób, który, ma nadzieję, tamten zrozumie. Majster nie jest głupi. Wie, że stracił pracownika. Słucha uważnie, kiwa głową, obiecuje, że sam sprowadzi rodzinę. Kiedy Kai odchodzi, nadal stoi w miejscu, mnąc w rękach wehnianą czapkę. Kai myśli o tym wszystkim, czego nie powiedział brygadziście. A zwłaszcza o decyzji pani Mary, żeby nie przyjmować już więcej pacjentów z uszkodzeniem rdzenia kręgowego. W przeszłości utrzymywali ich miesiącami przy życiu, wiedząc, że umrą, gdy tylko zostaną wypisani i wrócą do swoich panbodies, gdzie nie było pieniędzy na cewniki i sprzęt, gdzie nikt nie miał czasu się o nich troszczyć, dbać o ich czynności fizjologiczne i kilka razy dziennie odwracać z boku na bok. Lepiej, żeby umarli wcześniej niż później – taki jest brutalny fakt. Zastanawia się, ile powiedzieć rodzinie, czy nie ograniczyć się do tego, jak mają dbać o ojca i czekać na nieuniknione. Najgorsze ze wszystkiego są odleżyny. Jeśli robotnik będzie miał szczęście, wcześniej zabije go zapalenie płuc. Kai zerka na zegarek. Musi się pospieszyć, żeby zdążyć na początek operacji. Jeśli nie zaczną punktualnie, niewykluczone, że trzeba będzie poszukać nowego terminu.

Na sali operacyjnej są już gotowi. Fodaya przywieziono na wózku, położono na stole i podpięto rękę do monitora ciśnienia krwi. Leży na plecach z wypiętą potężną klatką piersiową i rozpostartymi jak na krucyfiksie muskularnymi ramionami. Jego penis spoczywa na boku, a ogolone jądra między silnymi udami, które zwięzają się w niewykształcone łydki, jedną wykrzywioną, drugą teraz już prostą, aż do wykręconej na zewnątrz kostki. Na negatoskopie na ścianie wiszą zdjęcia rentgenowskie tych samych żabich nóg. Kai wita się z Fodayem, który posyła mu w odpowiedzi pogodny uśmiech. Jego ufność powinna być krzepiąca, ale Kai czuje skurcz mięśni brzucha. Zespół taki sam jak poprzednio. Operuje Seligmann. Asystuje Kai. Anestezjolog: Salamatu. Wszyscy z wyjątkiem Wilheminy. Zastępuje ją pielęgniarka, która wezwała Kaia na oddział ratunkowy. W tym momencie, żeby nie gorszyć maluczkich, okrywa sterylnymi chustami ciało Fodaya. Jej dłonie są szybkie i sprawne, twarz nieuśmiechnięta. Jest teraz jedyną instrumentariuszką. Kai bierze z wózka z narzędziami miskę nerkową z roztworem jodiny i ampicyliny i zaczyna nim smarować lewą nogę Fodaya. Seligmann fotografuje ją. Po chwili daje krok do przodu, zmienia pozycję nogi i cofa się, żeby zrobić kolejne zdjęcie. Światło flesza odbija się od białych ścian i Foday unosi głowę.

– Fotografia – wyjaśnia Salamatu, po czym wbija mu igłę w ramię i podłącza ją do kroplówki.

– Zdjęcie paszportowe – dodaje Kai. – Na miesiąc miodowy.

Młody mężczyzna odwraca głowę w jego stronę i się uśmiecha.

Ma chyba zamiar coś powiedzieć, ale nagle oczy zachodzą mu mgłą i zamykają się powieki.

– Świetnie – mówi Seligmann, odkłada aparat i zerka na Fodaya.

Można zaczynać. Pielęgniarka zaciska opaskę na udzie operowanego.

– Nad czy pod? – pyta Seligmann. – Pod czy nad?

Zastanawiają się, jakie miejsce będzie najlepsze; decydują się wejść pod mięśniami. Kanadyjczyk wykonuje pierwsze nacięcie. Krew sączy się z rany.

– Opaska – mówi.

Pielęgniarka zaciska ją mocniej. Kai stoi w pogotowiu z diatermią. Zerka w dół. Końcówka diatermii lekko się kołysze. Kai bierze głęboki wdech i próbuje opanować drżenie przedramienia i dłoni, które wprawia w ruch narzędzie. Podnosi wzrok, żeby sprawdzić, czy ktoś to zauważył. Pielęgniarka zajmuje się opaską. Seligmann czeka, kiedy będzie mógł kontynuować nacięcie. Salamatu siedzi przy głowie operowanego. Żadne z nich nie patrzy w jego stronę. Kai prostuje rękę, przesuwając jednocześnie diatermię w dół, pod stół. Liczy kolejne oddechy. Raz, dwa, trzy. Wcześniej to pomagało. Ze wszystkich sił stara się opanować mimowolne ruchy dłoni i ramienia. Końcówka diatermii przestaje się kołysać, lecz nadal drży. Kai nie jest w stanie na to nic poradzić. W każdej chwili Kanadyjczyk może poprosić go, by skauteryzował przecięte skalpelem naczynia krwionośne. Pielęgniarka zacisnęła już opaskę i staje z powrotem przy Seligmannie, który pochyla się, chwyta lepiej skalpel i zaczyna od nowa.

– Przepraszam – mówi Kai. – Czy mogę was na chwilę przeprosić?

– Że co? – Pochylony nad Fodayem Seligmann patrzy na niego z niedowierzaniem. – Chyba żartujesz?

– Tak. To znaczy nie. Przepraszam. – Kai daje znak pielęgniarce, żeby podeszła i wzięła od niego końcówkę diatermii.

– Muszę wyjść.

– Coś się stało?

Kai przewraca oczyma.

– Jadłem wczoraj wieczorem w Beach Bar.

Chirurg parska śmiechem, który tłumia maska na jego twarzy.

– A więc nawet miejscowi nie są uodpornieni. A to pech. Idź. Idź! Na litość boską! – mówi, wskazując skalpelem drzwi. – Przez chwilę dam sobie radę sam – dodaje i wraca z chichotem do pracy.

– Dzięki. – Kai rusza ku drzwiom, ściągając po drodze rękawiczki, przez cały czas czując na sobie oczy pielęgniarki, która obserwuje go znad maski.

Mija dziesięć minut, zanim wraca na salę operacyjną; najbardziej delikatną część procedury mają już za sobą. Spędził ten czas, siedząc samotnie w przebieralni, starając się odnaleźć stan umysłu potrzebny, by kontynuować, zdając sobie sprawę, że nie może się migać zbyt długo. Musi dotrzeć do końca. Myśli o Fodayu. O zmodyfikowanej pionierskiej technice, którą stosują razem z Seligmannem. W końcu wstaje, zmienia fartuch, ponownie się myje i wchodzi na salę. Pielęgniarka pomaga mu włożyć rękawiczki. Kai widzi jej pytający wzrok, zastanawia się, czy się domyśliła.

– Akurat na czas. – Kanadyjczyk trzyma w rękach stalowy młotek i dłuto. – Zaznacz mi tę kość, dobrze?

W tym momencie ramię Fodaya unosi się samo nad stołem.

– Anestezja, do roboty! – woła Seligmann.

Salamatu pompuje więcej ketaminy do krwiobiegu Fodaya. Powoli, jakby kołysane niewidzialnymi prądami, ramię pacjenta opada z powrotem na stół operacyjny. Kai robi bruzdę na odsłoniętej kości. Chwilę później Seligmann ustawia dłuto, bierze zamach i uderzając młotkiem, wbija dłuto w kość. Wiszący za nim negatoskop lekko migocze.

Leżący na stole operacyjnym Foday śpi z aniołami, podczas gdy oni metodycznie rozbijają

jego kość piszczelową.

O siódmej Kai wraca do domu. Minęło niemal dwanaście godzin, odkąd przybył do szpitala. W tym czasie prawie nic nie jadł i nie miał czasu odpocząć. Razem z Seligmannem zszyli ranę Fodaya. Starszy chirurg bez przerwy gadał, sypiąc dowcipami, tryskając tego dnia humorem. Kai był zadowolony, odpowiadało mu, że Kanadyjczyk nie zwraca na niego szczególnej uwagi, dzięki czemu mógł skupić się na każdym szwie, jakby zakładał go po raz pierwszy w życiu.

Potem Seligmann zgodził się, by Kai opisał operację, i wyszedł z bloku, wymachując rękoma i pogwizdując. Pozornie różniący się od siebie, w istocie bardzo podobni, obaj mężczyźni realizują się wyłącznie na sali operacyjnej, ze skalpelem w ręku, kiedy na stole leży ludzkie ciało. Przejście na emeryturę nie było dla Seligmanna łatwe, zareagował na nie agresją. W ciągu sześciu miesięcy rozpadło się jego małżeństwo. Żona zgodziła się z nim zostać pod warunkiem, że znajdzie jakiś sposób, by wrócić do pracy. Tak oto znalazł się w tym kraju, daleko od domu, operując tam, gdzie wciąż był potrzebny. Żona została w Kanadzie i czas wypełniajanej wnuki, lunchy i kursy rysowania z natury. Seligmann codziennie do niej dzwoni i nigdy nie wraca do domu na dłużej niż dwa tygodnie. Obie strony są zadowolone.

Kai był skonany, ale nie chciał wracać do domu przed końcem kościelnego zebrania. Mijając apartament Adriana, odkrył, że jest pusty, wziął prysznic, przebrał się w normalne ubranie i zajrzał do lodówki. Pustki. Za dużo wysiłku, żeby wysłać kogoś po produkty i gotować; nie mając ochoty iść do stołówki, postanowił w końcu wrócić do domu.

Na mieście są korki, podą podą, którą jedzie, z trudem wyprzedza inną, która zepsuła się pośrodku ulicy. Pojazdy omijają ją z obu stron niczym opływająca skałę rzeka.

Kilka minut po ósmej Kai wślizguje się przez furtkę i niezauważony obchodzi dom. W kuchni wyjmuje piwo z lodówki, zabiera je na podwórko i siada w półmroku. Z werandy z przodu domu dochodzą dźwięczne słowa kaznodziei, kwieciste i fałszywe. Kai widzi go oczyma wyobraźni: jajowata głowa, krótkowzroczne oczy, garnitur w prążki, buty ze skórzanymi podeszwami. Fiksacja jego kuzynki. Pociąga łyk piwa. Jest ciepło i mocno gazowane.

Drapie się po głowie, która zaczęła go swędzieć, i zabija komara. Wypija pierwszą butelkę piwa i idzie po następną. Po kilku minutach jest już w połowie pusta. Przynosi ze swojego pokoju magnetofon, siada pod bananowcem i przewija taśmę do przodu i do tyłu, bezskutecznie starając się znaleźć piosenkę, która pasowałaby do jego nastroju.

Pojawia się przed nim Abass ubrany w spodnie od piżamy.

– Zgadnij, co dzisiaj widziałem – mówi.

– Nie teraz, Abass – odpowiada Kai i pociąga kolejny łyk z butelki. Zamiast głodu czuje pragnienie.

– Widziałem pięćdziesiąt pomarańczowych małą, przyszły do mojej szkoły – nie daje za wygraną chłopiec.

– Powiedziałem: nie teraz! – ucina i nawet w jego uszach te słowa brzmią zbyt ostro. Widzi, jak chłopiec blednie. Abass zamiera z otwartymi ustami, błyszczącymi wilgotnymi oczyma i wspomnieniem uśmiechu na wargach. Nie wie, czy wujek żartuje, czy mówi serio. Kai nadal siedzi, gapiąc się na butelkę z piwem i oddychając ciężko, żeby opanować nagłą, niedającą się opisać falę gniewu. – Idź do łóżka. No już – mówi cicho.

Kiedy się opanowuje, jest już za późno. Chłopiec uciekł. Przy trzeciej butelce przypomina

sobie mężczyznę z uszkodzonym rdzeniem kręgowym. Rodzina czekała pewnie, żeby z nim porozmawiać. Zapomniał o nich.

Piąta butelka piwa uderza mu do głowy, lecz nadal nie jest gotów zasnąć.



# ROZDZIAŁ 29

– Zeszłej nocy śnił mi się Julius – mówi Elias Cole. – Byliśmy w wielkim przestronnym miejscu w rodzaju dworca kolejowego albo auli wykładowej. Jednym z tych stale zmieniających się miejsc, które pojawiają się w snach. Zobaczyłem go w tłumie ludzi. Byłem pewien, że to on, Julius. Co on tam robił? Chciałem się do niego precyzyjnie, lecz im bardziej się starałem, tym tłum robił się gęstszy. Zawołałem go w końcu po imieniu, ale z gardła wydobył mi się tylko słaby, śmieszny pisk. Nagle znalazłem się gdzie indziej. Szedłem drogą. Było ciemno, lecz czułem wokół siebie otwartą przestrzeń. Po prawej i lewej stronie ciągnęły się pola. Przed sobą zobaczyłem Juliusa. Ten jego charakterystyczny krok, przy którym uda ocierały się o siebie. „Julius!”, zawołałem. Chciałem go zapytać, co tu robi. On jednak stale się oddalał, stąpając powoli i jednocześnie pokonując wielki dystans w bardzo krótkim czasie. Puściłem się biegiem, ale nie zdołałem go dogonić.

– I co się potem stało? – pyta Adrian.

– Obudziłem się. Albo śniło mi się, że się obudziłem. Kiedy ocknąłem się później, miałem zdrtwiałą rękę. Po tym poznałem, że obudziłem się naprawdę.

Stary mężczyzna odwraca się do okna. Na zewnątrz kolejny latawiec zaczepił się o drut kolczasty. Praktycznie nie ma wiatru, lecz mimo to jego skrzydła z czarnego plastiku trzepoczą niczym skrzydła ptaka.

– To pragnienie uporządkowania wspomnień przychodzi z wiekiem. Ostatnie przesiewanie, sortowanie i katalogowanie.

Żeby zostawić po sobie jakiś porządek – mówi Cole i na chwilę milknie. – Byliśmy wtedy skrzydlatymi powietrznymi istotami. Julius bardziej niż ktokolwiek z nas.

\*

## 2 sierpnia 1969

Dziewięć dni wcześniej zatelefonował do mnie w sobotę. Poprosił, żebym wziął Saffię i pojechał z nią tam, gdzie urzędował Johnson. Nie zadawałem żadnych pytań, zrobiłem po prostu, o co mnie prosił. Przyjechaliśmy w nadziei, że Julius zostanie zwolniony, choć Saffia, nie ulegając do końca huraoptymizmowi, zabrała dla niego trochę czystych ubrań w walizce. Nie pamiętam dokładnie, jak długo czekaliśmy. Nie było śladu po Johnsonie, którego oboje spodziewaliśmy się spotkać, jednocześnie się tego bojąc. Czekaliśmy na trzecim piętrze; siedzący przy biurku urzędnik nie chciał przyjąć walizki, co nieco zwiększyło nasze skromne nadzieje. Siedzieliśmy, wpatrując się w szare podrapane ściany. Urzędnik położył na biurku owiniętą w brązowy papier paczkę i kazał Saffii podpisać odbiór. Wpisała swoje nazwisko. Dziwne, co człowiek zapamiętuje z takich momentów. Pamiętam jej podpis, który właściwie trudno było uznać za podpis. Nigdy wcześniej nie widziałem jej pisma. Było wyraźne, czytelne, prawie szkolne, bez żadnych zawijasów.

Saffia otworzyła paczkę. Był w niej zegarek Juliusa. Jego chusteczka do nosa. Jego portfel. Dwa nity, nakrętka oraz ciężka metalowa śruba. Paciorki Juliusa. A także jego leki na astmę. Miał je ze sobą wszędzie nosić, ale często zapominał. Zbyt drobna sprawa w skali jego

wyobraźni.

W wyniku jakiejś pomyłki sprowadzono nas do piwnicy budynku. Trzy piętra w dół, potem jeszcze jedno i korytarzem, tunelem o szarych ścianach. Na dole było ciemno i wilgotno. Urzędnik otworzył drzwi do pokoju.

Z jaką niewinnością tam weszliśmy. Z jaką niewinnością. Myśleliśmy, że to poczekalnia, rozumie pan. Mówiłem coś, co ja mówiłem? Pytałem chyba urzędnika, czy Johnson zejdzie na dół. Umilkłem, gdy Saffia upuściła paczkę i śruba potoczyła się po podłodze. Pochyliłem się, żeby ją podnieść, wodziłem za nią palcami. Kiedy się wyprostowałem, Saffia była już w innej części pokoju. Popatrzyłem w jej stronę i dostrzegłem to, co zobaczyła. Ruszyłem ku niej.

– Nie! – Z jakiegoś powodu nie przyszło mi do głowy nic innego, co mógłbym powiedzieć. – Nie! – Jakbyśmy mogli wyjść, zamknąć drzwi do tego wąskiego pokoju i odwrócić się plecami do tego, co było w środku. Nie pozwolić, by stało się rzeczywistością.

W ogóle mnie nie usłyszała.

Wyciągnęła rękę i odsunęła prześcieradło.

Opisując takie przełomowe, zmieniające życie momenty, ludzie twierdzą, że każdy ruch wydaje się nagle zwolniony. Jakie to prawdziwe. To wynika chyba ze sposobu, w jaki funkcjonuje mózg, który stara się objąć potworność chwili. Później zostają w pamięci tylko fragmenty. Kształt leżący na wózku. Saffia zakrywająca dłonią usta. Twarz Juliusa, z na wpół otwartymi oczyma, źrenicami, które nie zmętniały, lecz pozostały przejrzyste, tak jakby patrzył w stronę drzwi, czekał, aż wejdzie przez nie ktoś jeszcze. Ręka Saffii na jego policzku.

Żadnego dźwięku prócz walenia mojego własnego serca.

Jaki straszny jest ten bezruch, kiedy ciepło i światło opuści ciało. Maską śmierci, wyraz kompletnej obojętności na nasze sprawy, sprawy żyjących. Saffia położyła rękę na policzku Juliusa, cofnęła ją i zatoczyła się do tyłu, zderzając się ze mną. Próbowałem ją złapać, lecz bez powodzenia. Tym samym płynnym ruchem runęła nagle do przodu, zdarła do końca okrywające ciało męża prześcieradło i przycisnęła czoło do jego piersi. Błagała, żeby się obudził. Z coraz większym uporem całowała go i potrząsała za ramiona. Po chwili wyprostowała się; jej łzy pozostały na jego twarzy. Zaczęła obmacywać ciało Juliusa. Mogę tylko zgadywać, że szukała śladów, które powiedziałyby, co mu zrobili i kto mu to zrobił.

Nie mam pojęcia, co robił w tamtym czasie urzędnik. Czy coś mówił? Czy próbował się wtrącać? Chyba nie. Sądzę, że zdał sobie sprawę z rozmiarów popełnionego przez siebie błędu. W żadnym momencie nie zarejestrowałem tego, co się z nim działo. Zastanawiam się, czy zdołałbym w ogóle przypomnieć sobie jego twarz. Zauważyłem, że Julius miał na sobie to samo ubranie, które nosił w dniu lądowania na Księżycu. I że Saffia rozpięła jego koszulę, przycisnęła twarz do nadal potężnej piersi i mruzczała: „Nie odchodź tam, kochany, proszę. Jest zbyt ciemno. Zbyt ciemno. Zostań ze mną”. Wodziła opuszkami palców po jego nagim brzuchu i piersi, po jego obojczyku i ramionach. Trzymała jego ręce w swoich, brała jego palce i przyciskała je do twarzy. Pochyliła się i badała jego boki, ale nic tam nie było: żadnych ran, skaleczeń, złamań czy oparzeń.

To wszystko, co pamiętam: jasne przebłyski i ciszę, w której słychać było łkanie Saffii. A potem nagle zamieszanie, kroki na korytarzu. Johnsona, który krzyczał na oficera dyżurnego. Jego nieudane próby przykrycia twarzy Juliusa prześcieradłem. Furię Saffii, która

rzuciła się na niego z pięściami, aż w końcu stracił nad sobą panowanie.

Przyznaję, że z przyjemnością patrzyłem, jak się odsłania.

\*

Rozpacz ma swój koloryt, wiem. Niczym pierwsze deszcze po porze suchej. Z początku krople ześlizgują się po ziemi, zsuwają w pyłe niedowierzania. Ale każdy dzień przynosi nowe opady. Saffia robiła to, czego się po niej spodziewano. Ludzie przychodzili, by złożyć kondolencje, kobiety, żeby z nią posiedzieć, mężczyźni, przynosząc pieniądze na pogrzeb i ceremonie Czterdziestu oraz Siedmiu Dni. Byłem przy niej, wspierałem ją, jak tylko mogłem. Zadzwoił imam. Jak bardzo rozwścieczyłoby to Juliusa. Saffia siedziała pośród kobiet. Miała na sobie suknię ze zwykłej czarnej bawełny, włosy spięte pod czarnym toczkiem. Bez makijażu i bez żadnej bransolety, naszyjnika czy pierścionka z wyjątkiem ślubnej obrączki. Była piękna. Wszelkie moje propozycje pomocy kwitowała nieziemskim uśmiechem. Nieziemskim, ponieważ od tamtej chwili w szarym budynku, kiedy uniosła prześcieradło z twarzy Juliusa, przeniosła się do krainy, w której nie mieszkał nikt prócz niej.

\*

Studenci wracali na uczelnię po wakacjach niczym ptaki gromadzące się po długiej migracji, sfruwające pojedynczo i parami, rozpoznające się z poprzedniego roku.

Tamtego dnia, o którym myślę, dziekan wezwał mnie do swojego gabinetu. Otworzywszy drzwi, zobaczyłem go przy oknie, przez które lubił doglądać swojego królestwa albo tak mi się tylko zdawało. Tym razem skupił uwagę na czymś bardziej konkretnym.

– Podejź no tu – powiedział, nadal wyglądając przez okno.

Posłuchałem go.

– Co to jest?

Spojrzałem w dół. Na dziedzińcu zgromadziło się pełno studentów, może kilkuset. Wszyscy byli ubrani na białą, chłopcy w koszulkach i spodniach, dziewczyny w sukienkach. Niektórzy zakryli włosy. Trudno było powiedzieć, co robią. Jeśli to była jakaś demonstracja, gdzie mieli transparenty?

– Idź tam i zobacz, co się dzieje – polecił dziekan.

Za niespełną godzinę miałem być w domu Saffii – jak szybko zacząłem o nim tak myśleć – żeby uczestniczyć w ceremonii Czterdziestu Dni Juliusa. Pomagałem Saffii w przygotowaniach i nie chciałem zawracać sobie głowy niczym, przez co mógłbym się spóźnić. Popatrzyłem nad głowami zgromadzonych studentów. Przez cały czas przybywało ich coraz więcej. Bez żadnego powodu zatrzymałem wzrok na jednym z nich. Może dlatego, że siedział jakby osamotniony na stopniach biblioteki. Jego profil wydał mi się znajomy, nawet z tej odległości. Uświadomiłem sobie, że to chłopak, który towarzyszył Juliusowi tamtego dnia, gdy obserwowałem ich z mojego okna: kiedy byli tak bardzo zatopieni w rozmowie, że zatrzymali się, by ją kontynuować, i nie zważali na padający deszcz. Niedługo potem Julius wpadł do mojego gabinetu i poprosił, żebym pożyczył mu drobne na zimny napój. Pamiętałem to, jakby zdarzyło się wczoraj. Chłopak tak jak wszyscy był ubrany na białą, na nogach miał białe tenisówki. Włosy zgodnie z ówczesną modą zaczesał do góry, z przodu tkwił w nich grzebień. Co takiego miał na ramieniu? Pochyliłem się i uważniej mu się przyjrzałem. To była czarna opaska. Spojrzałem na stojącego obok niego studenta. Na jego ramieniu również zauważyłem czarną opaskę. Dziewczyna, z którą rozmawiał, miała czarną chustkę na głowie. Obok nich

pulchna dziewczyna w długiej spódnicy. Z czarną wstążką. I kolejna opaska na ramieniu. Kolejna. I jeszcze jedna.

– Przepraszam – powiedziałem do dziekana.

Stał ze skrzyżowanymi ramionami, zmarszczonymi brwiami i wyrazem nieokreślonej irytacji na twarzy. Przypomniałem sobie naszą rozmowę przez telefon w tamten niedzielny ranek, kiedy poprosił mnie o zabranie Saffii i zawiezenie jej do biura Johnsona. Przez telefon też wydawał się poirytowany. Jakby zdenerwowało go, że tak wcześnie go obudzono. A przecież musiał już wtedy wiedzieć, co się stało. Musiał wiedzieć, że Julius nie żyje.

Na dziedzińcu wszedłem pomiędzy studentów. Nie widziałem wśród nich pracowników naukowych. Kilku mnie pozdrowiło. Tu skinąłem głową, tam wymieniłem uścisk dłoni. Jakiś chłopak złapał moją dłoń i nie puszczając jej, zwiesił głowę i zaczął płakać.

O drugiej zadzwonił zegar na wieży biblioteki i zaczęło się ogólne poruszenie; ludzie ustawiali się w jakimś porządku. Pozwoliłem się nieść tłumowi; w tym momencie wiedziałem już dobrze, dokąd idą. Mimo żałobnej atmosfery, pochmurnego dnia i dławiącej wilgotności, czułem wokół siebie jakąś lekkość i w niewyjaśniony sposób podnosiło mnie to na duchu. Nie przejmowałem się tym, że dziekan może obserwować tłum i że czeka, kiedy się do niego zgłoszę; z tym wszystkim mogłem się uporać później. W tym momencie dołączyłem do marszu studentów, którzy wyszli przez bramę i ruszyli wysadzaną drzewami aleją w stronę miasta. Z tego co pamiętam, trochę śpiewaliśmy, przeważnie jednak szliśmy w milczeniu. Czterdzieści minut. Minuta na każdy dzień, który minął. Wreszcie przybyliśmy na miejsce.

I ci z nas, którzy nie zmieścili się w domu, wypełnili ogród, a ci, którzy nie zmieścili się w ogrodzie, stanęli na ulicy, otaczając ze wszystkich stron różowy dom na wzgórzu.

\*

Julius zmarł na atak astmy. W zasadzie to wszystko, co nam powiedziano. Zanim odkryto, że coś się z nim dzieje, było za późno; nic nie można było poradzić. Jak się okazało, leki zabrano mu razem z innymi osobistymi rzeczami. Niefortunny błąd. Pokój, w którym go przetrzymywano, znajdował się w podziemiach budynku. Nikt nie słyszał, jak konał.

# ROZDZIAŁ 30

Przy stoliku w rogu siedzi kobieta licząca leżące na kupce sfatygowane banknoty. Włosy ma związane owiniętą wokół głowy i przypiętą szpilkami szkarłatną szarfą, której pomarszczone końce zwisają luźno po bokach. Cała kompozycja przypomina gigantyczną różę. Kelnerka ma różę wpiętą we włosy. Plastikowa róża stoi w wazonie na stoliku. Przy sąsiednim stoliku siedzą dwaj mężczyźni; jeden z nich ma nieśmiertelnik, bransoletkę, tatuaż, lśniąco wypomadowane włosy i akcent, który wydaje się Adrianowi dość dziwny. Rodzaj zduszonego amerykańskiego, jakby uczył się języka, oglądając Taksówkarza. Adrian mówi o tym Mamakay, którą to bawi, a to z kolei sprawia mu przyjemność.

– Kiedy byłam mała, uważaliśmy, że Liberyjczycy są super. Mieli lodziarnie.

– U was nie było lodów?

Mamakay kręci głową.

– Mieliśmy lody. Można było je kupić w supermarketach i domu towarowym. Ale lodziarnie to co innego.

Z tego, co wie Adrian, są niedaleko dawnego domu towarowego, do którego poszedł, szukając Agnes. Wydaje mu się, że to było wieki temu. Musiał mijać tę restaurację, nie zdając sobie nawet sprawy z jej istnienia. Idąc ulicą, Mamakay dała nagle nurka w bok i zniknęła za kwitnącym żywopłotem. W tym momencie, nim ruszył w ślad za nią, zupełnie stracił ją z oczu.

Oto, co o niej wie. Jest klarncistką. A raczej, jak powiedziała by ona sama, gra na klarncie. Bo to nie jest praca. Zarabia na życie, dając korepetycje studentom uniwersytetu. Mieszka w domu razem z dwoma innymi członkami zespołu. Zajmuje małą amfiladę pokoiów z tyłu budynku z widokiem na zarośnięte mchem betonowe podwórko i gołębnik sąsiada. Usiadła tam na długiej trzcinowej sofie, podwijając pod siebie nogi i popijając kawę, a Adrian przycupnął przy balustradzie. Gruchanie gołębi przypomniało mu dom. Kobieta z czerwoną szarfą na głowie, która ucałowała Mamakay trzy razy na powitanie, to stara przyjaciółka, Mary, właścicielka Mary Rose. Mamakay od czasu do czasu jej pomaga, obsługując stoliki.

To wszystko, co Adrian wie. No i jeszcze to, że Mamakay nie nosi zegarka, bo te, które zakłada, stają, przez co często się spóźnia albo przychodzi za wcześnie. Chciałby wiedzieć o niej wszystko, lecz ona rozpoczęła ich znajomość w arbitralnym punkcie, darując sobie wszelkie wstępy i preambuły. To sprawia, że Adrian czuje się akceptowany. W tym lokalu też czuje się akceptowany. Starzy bywalcy siedzą przy swoich stolikach, sączą piwo i jedzą te same dania z ryżem co ona i on. Kiedy z nią jest, nikt się na niego nie gapi. Dlatego Adrian zachowuje się tak jak Mamakay i nie zadaje żadnych pytań. Czeka, aż jej kolejne warstwy odsłoni wiatr, z którym żeglują ich rozmowa.

– Jest tu taki facet, który opowiada historię o córce ukąszonej przez węża. Mówi, że dziewczynka leży w szpitalu, a on potrzebuje pięćdziesiąt tysięcy na antidotum, inaczej mała umrze.

Dwa dni wcześniej mężczyzna z prawie identyczną historią podszedł na plaży do Adriana, który pił tam piwo. Samochód potrącił dziecko, powiedział. Chirurdzy są gotowi do operacji, ale

brakuje pieniędzy na leki. Adrian wygrzebał z kieszeni połowę sumy, resztę dołożył amerykański marynarz, który przyплыł przed tygodniem i z którym zamienił wcześniej kilka słów. Potem, patrząc za odchodzącym mężczyzną, marynarz pokręcił głową. Cholera!

– Mary mówi, że miała trzech klientów, którzy dali mu pieniądze w zeszłym tygodniu.

Siedząca w rogu Mary podnosi cztery palce, nie przerywając liczenia banknotów.

Adrian milczy.

– Moim zdaniem to sprytne – mówi Mamakay. – Facet zasługuje na pieniądze.

Mary kręci głową.

– Dawać pieniądze temu złodziejowi? Lepiej daj je mnie.

– Facet nie jest złodziejem. Jest naciągaczem, i to dobrym. Stara się tylko jakoś przeżyć.

– Wszyscy staramy się przeżyć – odpowiada Mary, liżąc palec i przeliczając banknoty. –

Tak czy owak, słyszałam, że ktoś doniósł na niego na policję.

– Jechałam mostem na półwysep. Widziałam, jak tłum złapał złodzieja – relacjonuje

Mamakay. – Miał podartą koszulę. Chyba już go trochę poturbowali. Próbował uciec, idąc. Idąc,

nie biegnąc. Rozumiecie, wiedział, że jeśli zacznie biec, to ich sprowokuje. Rzucą się na niego

jak zwierzęta. Zabiją go. Przeszedł przez ulicę przed taksówką, którą jechałam. Ktoś go

popchnął. Zaczynało się. Widziałam wyraz jego oczu. Wiedział, że może zginąć.

– I co się stało? – pyta Adrian.

– W pobliżu był żołnierz sił pokojowych Narodów Zjednoczonych. Chociaż nie chciałbym

być w jego skórze. Na szczęście miał broń. Nikt w taksówce nie współczuł złodziejowi. Nie

przejęliby się, gdyby go zlinczowano.

– Okradać własnych ziomków. – cmoka Mary, której umiejętność szybkiego liczenia

pieniędzy przy jednoczesnym aktywnym udziale w rozmowie robi duże wrażenie na Adrianie.

Jej palce przerzucają banknoty tak prędko, że oko za nimi nie nadąza.

– Nie wydaje się to wam dziwne? – kontynuuje Mamakay.

– Rząd okradał ludzi od dziesięcioleci. Nadal to robi. Czy ludzie coś mówili? Czy

protestowali? Nie. Ich dzieci chodziły głodne w łachmanach. Nikt nie stawiał czoła rządzącym.

A jednocześnie gotowi są zlinczować biedaka za to, że ukradł parę pomidorów.

– Tak to już jest – mówi Mary.

– Obawiam się, że to prawda – wtrąca Adrian. Przemieszczony gniew, jeden

z największych paradoksów wyzyskiwanych ludzi. Złodziej pomidorów płaci za szwajcarskie

konta ministra.

– Co wam mówiono o tym, co się tutaj wydarzyło? To znaczy, zanim przyjechałeś? – pyta

go Mamakay. – Zamieszki etniczne? Podziały plemienne? Czarni zabijający czarnych

w aktach bezsensownej przemocy? Większość ludzi, którzy o tym pisali, nie wychylała nosa

z hotelu, za bardzo się bali. Nie odróżniliby tych z plemienia Mende od tych z plemienia Fula.

Ale wciąż wypisują te same bzdury. Tak jest łatwiej. I kto ma to zdementować?

– A twoim zdaniem, co się tutaj wydarzyło? – pyta ostrożnie Adrian.

– To był gniew. W gruncie rzeczy to, co się tutaj wydarzyło, to nie była wojna. To była

furia. Która wybucha, kiedy nie ma się nic do stracenia. – Mamakay odchyła się do tyłu

i rozgląda po sali. – Możemy dostać trochę kawy, Mary?

Adrian przypomina sobie słowa Ileany, które usłyszał od niej tego dnia, gdy się poznali. Nic

do stracenia.

Kiedy przychodzi do płacenia rachunku, wyciąga portfel, ale Mamakay macha ręką.

– Mary ma wobec mnie dług.

Adrian patrzy na Mamakay, odchyloną do tyłu na krześle i śledzącą wzrokiem Mary, która obchodzi stoliki. Patrzy na jej szeroko rozstawione oczy, miękko zarysowany nos, splecione na szczycie głowy włosy i szyję odsłoniętą aż do wycięcia kremowego T-shirtu, który ma na sobie. Wie, że Mamakay może w każdej chwili na niego spojrzeć, ich oczy spotkają się i ona pozna jego myśli. Nie wolno mu do tego dopuścić. Szuka czegoś, co wypełniłoby ciszę, lecz nie przychodzą mu do głowy żadne słowa. Jego umysł jest zbyt wypełniony emocjami. W tym momencie Mamakay odwraca się i patrzy mu prosto w oczy. Ma rozchylone usta, jakby zamierzała coś powiedzieć. Ale nic nie mówi. W odbijającym się w jej oczach świetle widać, że się zorientowała. Adrian spuszcza wzrok.

Żegnają się na rogu ulicy i Adrian patrzy w ślad za nią. Mamakay szybko odchodzi, stawiając uważnie kroki na nierównym chodniku. Zobaczy się z nią być może jutro rano, kiedy przywiezie jej wodę. Ta mała nadzieja pozwala mu przetrwać popołudnie.

\*

Adrian spędza coraz więcej czasu w szpitalu psychiatrycznym, pomagając Ileanie odtworzyć zaginioną dokumentację, akta spalone albo w inny sposób zniszczone podczas inwazji. Jemu z kolei pomaga w tym Salia, pamiętający nazwisko i historię każdego chorego, który przewinął się przez szpital. Adrian przepytuje jednego pacjenta po drugim, całymi godzinami wysłuchując urojeń, lęków, niepokojów, dysfunkcji i snów, potwierdzając diagnozy tam, gdzie to możliwe, i odpowiednio je klasyfikując. Attila chyba bardziej akceptuje go w tej nowej roli, mniej przeszkadza mu jego obecność. Raz czy dwa rozmawiali nawet ze sobą. Adriana cieszy to, że jego dzień ma jakąś strukturę, że widzi szacunek w oczach pielęgniarzy, że Salia przyjmuje jego sugestie. Dlatego w tym momencie całkowicie absorbuje go ta praca. Mimo to w drodze do szpitala i do domu lustruje tłum niczym kadry niemego filmu: ludzi przechodzących przez ulice, gromadzących się wokół straganów, czekających na środek transportu, żebraków i szaleńców, lustruje ich wszystkich, wypatrując Agnes. Nie może na to nic poradzić. Nigdy jej nie dostrzega, nigdzie nie widzi żółto-czarnej lappy i T-shirtu z delfinami jej szczupłej, zgarbionej sylwetki.

Wracając do domu po lunchu z Mamakay, mija Kai stojącego przy rondzie w centrum miasta. Wciska klakson, macha ręką i zjeżdża na bok. Kai wsiada do samochodu.

– Dzięki.

– Dobrze, że cię zobaczyłem – mówi Adrian. – Co tu robisz?

– Och, to i owo.

Kai odwraca wzrok i wygląda przez okno. Adrian nauczył się rozpoznawać te chwile, zastanawia się, czy Kai zdaje sobie sprawę, jak denerwująca może być jego obcesowość. Mimo to jest w dobrym humorze i nie pozwoli, żeby ktoś go zepsuł. Zerka na przyjaciela. Kai ma wymizerowaną twarz i ściągnięte rysy. Opiera głowę o szybę, jego czoło bębni o szkło, widoki przesuwiają się przed znużonymi oczyma. Adrian nie widział go od paru dni.

– Chcesz wstąpić na piwo?

– Jasne. Czemu nie?

Dzięki Mamakay otaczający Adriana krajobraz zaczyna się zmieniać. Po raz pierwszy od chwili przyjazdu miasto ma dla niego jakąś przeszłość, egzystuje w innym wymiarze poza

teraźniejszością. Miejsca, które mijają, knajpa Mary Rose, pompa wodna, obrosły już wspomnieniami. Coraz pewniej czując się w mieście i znając w nim swoje miejsce, Adrian wyjeżdża ze śródmieścia, kierując się w stronę Ocean Club.

– Byłem dzisiaj na lunchu w nowym miejscu. Nazywa się Mary Rose – informuje, ponieważ Ocean Club jak tyle innych rzeczy przypomina mu Mamakay, a pragnie mówić tylko o niej.

– Tak? – Kai nadal patrzy w drugą stronę. – Ta stara knajpa.

– Więc ją znasz? – Adrian jest trochę rozczarowany.

– Jasne. Ale dawno już tam nie byłem.

Adrian koncentruje się na prowadzeniu, starając się nie tracić pogody ducha. Na skrzyżowaniu przy stacji benzynowej wymachuje ramionami ten sam policjant, którego widział wcześniej. Kiedy do niego podjeżdżają, podnosi otwartą dłoń. Adrian staje i włącza kierunkowskaz w prawo.

Kai prostuje się w fotelu.

– Dokąd jedziesz?

– Do Ocean Club. Pasuje ci?

– Powinieneś jechać prosto.

Adrian kręci głową, zna teraz inną trasę. Miasto zaczęło się przed nim odsłaniać, poznaje jego tajemnice i zakamarki, geografię jego konturów. Do Ocean Club prowadzą dwie drogi.

– Jeśli pojedziemy mostem na półwysep, a potem drogą wzdłuż plaży, ominiemy korki.

Odbija nieco w lewo, zjeżdżając na środek drogi, w wystarczającym stopniu, by przepuścić jadącą z tyłu ciężarówkę.

– Na litość boską!

– Nic się nie stało. – Adrian uśmiecha się, sądząc, że Kai kwestionuje jego umiejętności kierowcy.

– Powiedziałem, zatrzymaj się! Nie chcę tamtędy jechać. Nie możesz po prostu zrobić tego, o co cię proszę, i pojechać prosto?

Tym razem Adrian słyszy w głosie Kaia wysiłek, z jakim ten stara się nad sobą zapanować. Odwraca się, żeby na niego spojrzeć.

Kai siedzi pochylony do przodu, gniotąc palcami czoło. Żyła wystąpiła mu na karku. Nie patrzy na Adriana, wbija wzrok w przednią szybę. Robi wrażenie przerażonego.

– Oczywiście.

Adrian zerka w lusterko wsteczne i szybko wraca na poprzedni pas. Kątem oka widzi, że Kai odchyła się do tyłu, kładzie dłonie na udach, opiera głowę o zagłówek i przymyka oczy.

W klubie od razu znika w toalecie. Adrian znajduje stolik i zamawia dwa piwa Star. Zastanawia się nad tym, co wydarzyło się w samochodzie. Na myśl o tym, że pojedą mostem na półwysep, Kai wpadł w autentyczną panikę, tak to w każdym razie wyglądało. Adrian próbuje sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek wcześniej jechali tą trasą, i dochodzi do wniosku, że nie. Jeśli któryś z nich prowadzi, tą osobą jest na ogół Kai, a jeśli jadą taksówką, to Kai negocjuje z kierowcą. Po kilku minutach Kai dołącza do niego, odsuwa krzesło od stolika i siada na nim okrakiem. Opiera łokcie o stół i pociąga łyk piwa. Adrian obserwuje go przez chwilę.

– Co słyszać u Abassa? – pyta.

– W porządku. U małego wszystko w porządku.

– To wspaniały dzieciak.



– Tak, wspaniały. – Kai potrząsa głową i podnosi do ust butelkę z piwem.

Jest jeszcze wcześniej i w klubie nie ma innych gości z wyjątkiem faceta przy barze, który wygląda na pochodzącego z Europy Środkowej i może być właścicielem, oraz młodszego mężczyzny, który uderza w bile na stole bilardowym. Na zewnątrz trwa przyływ. Kraby są wysoko, na suchym piasku, starsi mężczyźni obserwują zbliżające się morze. Niżej brodźce tańczą swojego quickstepa z przybojem: osiem kroków do przodu, osiem kroków do tyłu. Pojawia się młody brązowo-biały pies, który biegnie po piasku i rozgania na wszystkie strony podenerwowane kraby. Brodźce, które znalazły się między morzem i psem, wzbijają się na chwilę w powietrze i lądują kilkanaście metrów dalej. Adrian uśmiecha się i spogląda na Kaia, ale ten wpatruje się w podłogę i bębni palcami w blat stołu. Kolano podskakuje mu w górę i w dół.

– Dobrze się czujesz?

– Jasne. Dlaczego miałbym się źle czuć?

– Jesteś po prostu jakiś niespokojny.

– No tak, rozumiem. – Kai przestaje bębnić palcami po stole, po czym wstaje, obraca krzesło we właściwy sposób i siada na nim. – Nie, świetnie się czuję. Po prostu niezbyt dobrze ostatnio spałem, wiesz, jak to jest.

Adrian przypomina sobie pierwszą noc, kiedy Kai spał w jego mieszkaniu, to, jak zastał go siedzącego na skraju łóżka z szeroko otwartymi oczyma, rozpamiętującego jakiś mroczny sen. Od tego czasu nieraz budziły go w nocy dobiegające z sąsiedniego pokoju dźwięki: westchnienia, ciche kroki, odgłosy przestawianych przedmiotów.

– Coś z tym robisz?

– Chodzi ci o to, czy coś zażywam? Nie, próbowałem raz czy dwa. Tabletki przestały działać już dawno temu. Nie, człowieku. To jedna z tych rzeczy, z którymi trzeba się po prostu pogodzić.

– Kai ponownie ucieka wzrokiem w bok.

– Są inne sposoby, techniki relaksacyjne. Może warto by...

Tym razem Kai mu przerywa.

– Dzięki, człowieku, ale czuję się dobrze. Naprawdę. Jedna przespana porządnie noc i wrócę do formy.

– Chciałem tylko...

– Wiem, rozumiem cię. Czuję się dobrze. Widzisz, jak się relaksuję?

Kai wyciąga nogi, pociąga długi łyk z butelki i stawia ją z przesadną ostrożnością na stole, lecz mimo to mylnie ocenia dystans i wali denkiem o twardej blat.

Ponownie zapada milczenie. Adrian przywykł do milczenia Kaia, do tego, jak obojętnie traktuje wszelkie wymogi grzeczności, których jego, Adriana, nauczono przestrzegać. Na pewnym poziomie podziwia nawet Kaia za to, że taki jest, w porównaniu z nim czuje się zbyt układny. Mimo to dobry nastrój pryska.

– Jeszcze po jednym? – pyta Kai, który wypił już swoje piwo.

– Jasne – odpowiada Adrian.

Kai daje znak kelnerowi.

Po jego odejściu ponownie zaczyna bębnić palcami po stole, wpatrując się ponuro w drewniany blat. Za jego plecami pojawia się dwóch wczesnych barowiczów. Ubrani

w identyczne szare spodnie, białe koszule i krawaty, mają krótko obcięte włosy, teczki i identyfikatory na piersi. Adrian obserwuje, jak składają zamówienie. Kelner wraca z dwiema coca-colami i Adrian gratuluje sobie w duchu spostrzegawczości. Mormoni.

Napływają kolejni goście. Wśród nich Adrian zauważa Candy i Elle. Nie widzieli się od tamtego popołudnia przy domu Ileany. Candy może go i zobaczyła, bo spogląda w jego stronę, ale nie skinęła mu głową, więc nie jest pewien. Dwóm kobietom towarzyszy obejmujący jedną i drugą niski pulchny Afrykanin o błazeńskich rysach. Adrian patrzy na chude pośladki i szerokie ramiona Candy. Wąskie usta i małe zęby Elle. Myśli o Mamakay, o jej udach opiętych starą sukienką w słoneczniki, którą wkłada, gdy nosi wodę, o kształcie jej ust, niewielkim, cofniętym nosie, migdałowych nozdrzach. Ręka mężczyzny zsuwa się po plecach Elle ku jej pośladkom.

Ich widok przypomina Adrianowi dziewczynę w fioletowym topie tamtej nocy w barze przy plaży; zauważył ją, kiedy czekał na Kaia. Dziewczyna przywierała ciałem do jakiegoś białego. Adrian obserwował ją i przez chwilę wyobrażał sobie, jak by to było, gdyby uprawiał z nią seks. Wtedy ona nagle się odwróciła i zobaczyła, że się na nią gapi. To wspomnienie wyrywa go z zamyślenia.

Co myśli o nim Mamakay?

Nie ma pojęcia.

# ROZDZIAŁ 31

W piątek o trzeciej po południu Kai stawił się w amerykańskiej ambasadzie i przedstawił swoją sprawę żołnierzowi piechoty morskiej dyżurującemu w szklanej budce przy bramie. Żołnierz wskazał mu długą kolejkę mężczyzn do okienka w zewnętrznym murze.

– Tam do loterii wizowej.

Kai pokręcił głową.

– Jestem lekarzem, chirurgiem – powiedział.

– Chwileczkę, proszę pana. – Żołnierz pochylił się do przodu i wcisnął przycisk, żeby wpuścić go przez bramę. – Gabinet w końcu korytarza. Życzę miłego dnia.

Wychodząc, Kai minął długą kolejkę mężczyzn na ulicy. Nie zmniejszyła się raczej w ciągu trzydziestu minut, które spędził w budynku ambasady. Mężczyźni byli młodzi, najmłodszy w wieku siedemnastu albo osiemnastu lat. Szczupli lub muskularni, ubrani w dzinsy i T-shirty.

Z ambasady ruszył ulicą w stronę ronda i stał tam nie dłużej niż kilka minut, kiedy zobaczył go Adrian.

To było w piątek. Teraz jest niedziela. Kwietniowa niedziela. Dokładnie rzecz biorąc, prima aprilis. Wie o tym, bo wpisał datę w górnym prawym rogu aerogramu, lecz także ponieważ widzi Abassa, który skrada się z niecnymi zamiarami. W tym akurat momencie chłopiec wygląda zza rogu, sprawdzając, gdzie jest Kai, i wyobrażając sobie, że jest niewidzialny.

Kłopot z Abassem polega na tym, że nie potrafi zachowywać się poważnie. Kai pomógł już zdezorientowanej ciotce dostać się do jej pokoju po tym, jak bezskutecznie usiłowała przekręcić posmarowaną wazeliną klamkę. Abass wziął się na starszą panią od śniadania.

Kai ponownie pochyla się nad listem. Tejani wspominał ostatnio o nowej dziewczynie, ale jak ona ma na imię? Kai sięga po pomietą niebieską kartkę, wygląda ją i zaczyna na nowo czytać. Tejani chce, żeby Kai przyjechał do niego do Ameryki. Dwa lata po tym, jak się pożegnali, wygląda na to, że Kai w końcu się tam wybierze. Tejani jest jego najlepszym przyjacielem, osobą, która była mu najbliższa prawie przez całe życie, z wyjątkiem Nenebah. Zawsze było ich troje. Zawsze troje. Czy Tejani był tym trzecim? Czy tą trzecią była Nenebah? Czasami Kai widzi się w środku, w roli najlepszego przyjaciela Tejaniego i kochanka Nenebah. Częściej centralne miejsce zajmuje Nenebah. W końcu obaj ją kochali. Tejani wyjechał. Rok później Nenebah i Kai nie byli już parą. Czy byłoby inaczej, gdyby Tejani został? Kai nie wie.

Helena. Tejani może się z nią nawet ożeni. My, pisze w swoim liście. „My” zamierzamy kupić dom. Kai nie pogratulował mu jeszcze zdania egzaminów. Pisze kilka linijek, próbując na próżno dostosować się do pogodnego tonu przyjaciela.

Jak bardzo Nenebah zazdrościła Kaiowi. Wie o tym, bo mu powiedziała. Zazdrościła mu czystości jego pracy, moralnej nieskazitelności tego, co robił.

Leżeli w łóżku przytuleni na łyżeczkę, on wciąż w niej, czując śliskość nasienia i potu. Kiedyś opisała mu uczucie, jakiego doznawała, kiedy wychodził z jej ciała zbyt szybko, kiedy

porzucal jej ciało. Uczucie straty, powiedziała. Miała poczucie, że go traci.

Tamta noc była kilka lat po tym, jak przestała studiować. Co zrobił nie tak? Nigdy się tego nie dowiedział. Musiał wcześniej wstać, czekała go operacja. Nenebah była nadąsana, zła na niego i w głębi serca domyślał się dlaczego. Była zła, bo budząc się każdego ranka, wiedział bez cienia wątpliwości, co będzie robić; miał tę pewność, którą ona utraciła. Utraciła swoją wiarę dokładnie w tym momencie, w którym on odnalazł własną. Żadne z nich nie spodziewało się, że coś takiego może się zdarzyć.

Po stosunku odsunęła się, odbierając mu swoje ciało. Nagle nie był już w niej i doznał uczucia szoku. Porzucenia. A później, w środku nocy wyciągnął rękę i nie znalazł jej, zobaczył, że stoi przy otwartym oknie. Wstał i zaciągnął ją z powrotem do łóżka.

Leżąc przy niej wczesnym rankiem, czuł szybkie bicie jej serca. Żadne z nich się nie odzywało. I żadne nie spało.

Kai bierze do ręki długopis i pisze dalej, gratulując Tejaniemu zdania egzaminu. W swoim liście Tejani przypomniał czasy, kiedy zmuszeni byli zakuwać przy świetle latarki, oraz petycję, którą studenci napisali i chcieli złożyć w biurze rektora. Władze nie zamierzały jej przyjąć i zgromadzeni wpadli w gniew. Teraz, kiedy o tym myśli, dziwi go ich moralne oburzenie. Skąd im, do diabła, przyszło do głowy, że mają prawo się oburzać? Rektor zareagował chłodną furią. Pozostał w swoim gabinecie i wysłał do nich ochronę. Strażnik odebrał petycję i w pierwszej chwili przyjęto to z głupim entuzjazmem: studenci uznali, że odnieśli zwycięstwo.

W rzeczywistości dali władzom punkt zaczepienia. Listę dysydentów.

Nenebah odeszła wkrótce potem. Życie na uczelni stało się dla niej nie do zniesienia, tak powiedziała. Zdaniem Kaia poddała się zbyt łatwo. Ale wyczuwał w niej również gniew, chęć zranienia kogoś za to, co się stało.

Hej, człowieku, pisze, czy oprócz kanapy będziecie mieli w tym nowym domu basen? Przygotujcie się na przyjęcie gościa. Skończywszy list, zakleja krawędzie i chowa go do kieszeni. Ma zamiar pójść na pocztę, ale potem uświadamia sobie, że jest niedziela. Upał jeszcze się nie zaczął. Słyszy recytatywy dobiegające z ewangelickich świątyń, nawoływania kaznodziei, gorliwe zapewnienia wiernych. Jego kuzynka pojechała do kościoła. Pożyczył jej Starego Wiernego.

– Abass! – woła.

Chłopiec pojawia się podejrzenie szybko.

– Chcesz jechać na plażę?

– Tak!

– Więc się pospiesz. Weź kąpielówki. Co powiesz na curry w Ocean Club?

Abass wbiega do domu, Kai wchodzi w ślad za nim, żeby wziąć swoje kąpielówki, jakąś książkę i okulary przeciwsłoneczne. Znajduje je na stoliku do kawy w salonie. Kiedy Abass pojawia się z powrotem, bierze go za ramiona.

– Gotów?

Chłopiec kiwa głową.

Na ulicy, w przeciwieństwie do zasłoniętego przed słońcem podwórka, cienie są wyraźne, krawędzie ostre, kolory jaskrawe. Kai sięga po okulary, zakłada je na nos i nagle świat traci wyraźne kontury. Jaskrawość znika, krawędzie domów stają się nieostre, cienie zlewają się ze

sobą. Niepewny swoich kroków, staje w miejscu i zdejmuje okulary.

– Bardzo śmieszne, Abass – mówi.

Chłopiec zatacza się w miejscu, łapie za brzuch, śmieje do rozpuku.

Kai udaje, że się na niego rzuca. Abass uskakuje. Idą razem ulicą w stronę głównej drogi.

W taksówce Kai zdziera folię z wewnętrznej strony szkieł okularów.

Znacznie później, kiedy już razem popływali, patrzy, jak Abass bawi się w wodzie, skacząc bez końca przez fale. Czuje, jak w jego piersi wzbiera miłość do tego chłopca, jak napiera na zębra, miażdży płuca i serce, jakby miała go zaraz zadusić.

\*

W poniedziałek rano idzie na oddział Fodaya. Gdy się tam zjawia, Foday jest w toalecie, w związku z czym Kai siada na skraju łóżka i na niego czeka. Pojawia się siostra oddziałowa i zaczyna mu zawracać głowę, ale on odprawia ją skinieniem ręki. Na ścianie wisi polaroidowe zdjęcie Fodaya, które wędruje z nim od łóżka do łóżka. To jego talizman – pokazuje, jak daleko zaszedł. Ma za sobą dwie operacje: w ich trakcie wyprostowano mu dwie kości piszczelowe, łamiąc w trzech miejscach i ustawiając na nowo każdą z nich. To było łatwe. Teraz zajmą się stopami. Gdyby Fodaya zoperowano w dzieciństwie, sprawa byłaby prostsza. Teraz jest dorosły i operacja będzie skomplikowana. I skomplikuje się jeszcze bardziej, jeśli trzeba będzie przedłużyć ścięgna Achillesa.

Na szafce nocnej stoi karafka z wodą i kilka należących do Fodaya przedmiotów, w tym szkolny zeszyt, w którym prowadzi pamiętnik, opisując swoją terapię i rozmowy z Kaiem. Pismo na okładce jest wypracowane i wymęczone podobnie jak chód Fodaya. Nic nie przychodzi mu w życiu łatwo, myśli Kai. Ale prawdziwy z niego wojownik.

W tym momencie pojawia się jadący na wózku Foday, za którym idzie pielęgniarz. Kai wstaje i podnosi w salucie prawą dłoń, a młody mężczyzna odwzajemnia ten gest. Metr przed łóżkiem zakręca z wprawą kołami wózka.

– Dobrze wyglądasz – mówi Kai.

– Tak, dziękuję, doktorze.

Głos Fodaya jest tego dnia silny. Pielęgniarz podchodzi bliżej, chcąc przenieść go na łóżko, lecz Foday potrząsa głową. Kai krzyżuje ręce na piersi i obserwuje go. Młody mężczyzna koncentruje się, mruży oczy, bierze głęboki wdech i dźwiga się w górę. Przez chwilę unosi się na rękach niczym gimnastyk na koniu z lękami, a potem opuszcza się na łóżko, kładąc przed sobą nogę w gipsie. Zakończywszy całą operację, odwraca się do swojego lekarza.

– Wspaniale – chwali go Kai.

Foday szczerzy zęby w uśmiechu.

– Jak idzie fizjoterapia? – Kai pochyła się i maca mięsień drugiej łydki Fodaya, nadal niezbyt rozwinięty po tygodniach spędzonych w gipsie.

– Ta pani, panna Salinas, mówi, że jest ze mnie zadowolona.

– To dobrze. Chyba nie przesadzasz w ćwiczeniach? Naprawdę nie chcemy, żebyś biegał, zanim zaczniesz chodzić. Mówię serio.

Foday się śmieje.

– Nie, doktorze Kai. Niech pan się nie martwi. Najpierw będę chodził, potem biegał. A później może robił gwiazdę. Proszę, niech pan mi poda mój zeszyt.

Kai podaje mupamiętnik. Foday otwiera go, wyjmuje fotografię i wręcza ją Kaiowi. Widać

na niej młodą kobietę w wieku mniej więcej dziesiętnastu lat, siedzącą skromnie na stołku przed chatą i wystrojoną chyba w swoje najlepsze ubranie i buty. Uśmiecha się do obiektywu, ale wygląda na nieśmiałą, jakby nie przywykła do tego, żeby ją fotografowano.

– Aha – mruczy Kai. – Niech zgadnę. To twoja narzeczona?

Przygląda się zdjęciu jeszcze przez chwilę, po czym oddaje je Fodayowi.

– Nie. Ona nie jest moją narzeczoną. Ale chciałbym, żeby nią była.

– Twoja przyjaciółka?

– Ma na imię Zainab. Pochodzimy z tego samego miasta. Przysłała mi tę fotografię, wiedząc, że jestem w szpitalu. Więc rozumie pan, chyba mnie lubi.

– Też mi się tak wydaje.

Foday przysuwa zdjęcie do twarzy, po czym wygładza je ręką i pieczołowicie umieszcza z powrotem między kartkami zeszytu. Podaje go Kaiowi i podciąga się wyżej na łóżku.

– Chciałbym pana o coś zapytać, doktorze.

– Jasne – mówi Kay, odłożywszy notatnik na miejsce. – Pytaj śmiało, przyjacielu.

– Po mojej operacji chcę pójść do rodziny Zainab i dać im w prezencie orzeszki kola. Taki mam zamiar.

– W porządku.

– Oczywiście przedyskutuję to najpierw z Zainab. Ale skoro przysłała mi to zdjęcie, chyba bierze mnie pod uwagę.

– Nie mam wątpliwości, że Zainab ucieszy się, jeśli pójdziesz do jej rodziców.

– Dziękuję, doktorze. I widzi pan, chcę pana zapytać, czy nie poszedłby pan ze mną jako mój starszy brat.

Kai przez chwilę milczy.

– Będę zaszczycony, mogąc pójść z tobą jako twój starszy brat – mówi w końcu. – Ale czy nie masz innych braci albo wujów, których chciałbyś o to poprosić?

Foday kręci głową.

– Moi starsi bracia pracują daleko stąd, w kopalniach. Poza tym, jeśli rodzina Zainab pana zobaczy, wtedy wiem, że mnie zaakceptują.

Kai śmieje się i klepie Fodaya po ramieniu.

– Jasne, przyjacielu, mogę to zrobić. Ale wiesz, że kiedy tylko mnie zobaczą, zażyczą sobie od ciebie podwójnej zapłaty za dziewczynę?

– Wiem. – Foday wzrusza ramionami. – Trochę udało mi się odłożyć. Chyba wystarczy na podarunek za pannę młodą. Poza tym, jeśli Zainab mnie chce, to wstawi się za mną u rodziców.

– W takim razie umowa stoi.

Kai podaje rękę Fodayowi i wymieniają uścisk. Minutę później Kai zbiera się do wyjścia i pyta chłopaka, czy czegoś nie potrzebuje.

– Może mógłby mi pan pożyczyć radio?

– Jasne, zobaczę, co da się zrobić.

Kai powinien porozmawiać z Fodayem o następnej operacji, lecz zostawia to na później. Nie ma pośpiechu. Największe wyzwania dopiero go czekają. Kai wie o tym i Foday też o tym wie. Tymczasem jest Zainab, która czeka na niego w swoim najlepszym niedzielnym ubraniu.

Co tylko okaże się konieczne, powtarza sobie w duchu Kai. Co tylko okaże się konieczne.

Wychodząc z oddziału, widzi panią Marę, która skraca sobie drogę przez dziedziniec, stąpając z trudem w wysokich obcasach po nierównej trawie. Kai przepuszcza ją i idzie do mieszkania Adriana, gdzie puka do drzwi, wsadzając jednocześnie klucz do zamka. Mieszkanie stoi puste. Kuchnia jest wysprzątana i ogołocona. Kai nastawia wodę na kawę i czekając, aż zacznie wrzeć, odnajduje starego tranzystorowego philipsa schowanego w jednej z szafek. Radio jest wielkie i poobijane, ale gra, choć mocno szumi. Kai wypija kawę przy oknie w kuchni. Koliber sfruwa w dół, zawisa na krótko nad pustym karmnikiem i znika.

Kilka minut później znika i Kai.

# ROZDZIAŁ 32

W izolatce Eliasa Cole'a trwa nerwowa krzątanina. Adrian czeka na korytarzu. W końcu pojawia się doktor, a za nim pielęgniarka tocząca przed sobą wózek ze sprzętem.

– Jak on się czuje? – pyta Adrian.

Lekarz, Szwed, traktujący innych z typowym aseptycznym dystansem, który Adrianowi kojarzy się z Europą Północną, spogląda na niego i automatycznie obdarza szacunkiem należnym białemu.

– Nie najlepiej. Ale w porządku.

– Mogę z nim porozmawiać?

– Jest pan lekarzem?

– Jestem psychologiem – wyjaśnia Adrian.

– Ach, rozumiem. W takim razie chyba pan wie, że był leczony kortykosterydami. Obecnie chyba przestał na nie reagować. To nic niezwykłego. Sterydy nie działają na wszystkich, a nawet jeśli działają, nie trwa to wiecznie. Problem polega na tym, że nie mamy tu wielu innych opcji. Przeszczep płuca jest wykluczony.

– Szwed nachyla się do Adriana i ścisza głos. – Od jak dawna pan tu jest?

– Od stycznia – odpowiada Adrian.

Jego rozmówca potrząsa głową.

– Potrzebna jest terapia tlenowa – mówi, informując Adriana o czymś, o czym ten świetnie wie. – Pacjentowi grozi hipoksemia. Tlen poprawi jakość jego życia i być może przedłuży je o kilka miesięcy. Być może. Mam zamiar pomówić o tym z dyrektorką.

Powodzenia, myśli Adrian. Trzy razy rozmawiał już z panią

Marą o koncentratorze tlenu dla Eliasa Cole'a. Za każdym razem obiecywała, że zobaczy, co da się zrobić. Na razie nic nie zrobiła. Stawiane jej wymagania są olbrzymie. Ostatnie miesiące życia Eliasa Cole'a upłyną w kolejce oczekujących.

– Proszę mi dać znać, jak panu poszło – rzuca Adrian, patrząc w ślad za odchodzącym Szwedem, którego gumowe chodaki stukają po betonowej podłodze.

W izolatce Elias Cole siedzi podparty poduszkami. W ciągu ostatnich tygodni wyraźnie stracił na wadze, twarz wychudła mu do kości. Skóra na szyi zwija się w fałdy. Stojąc przy łóżku, Adrian czuje się niczym ksiądz w starym czarno-białym filmie, czuwający przy łożu śmierci sługa boży. Żeby pozbyć się tego wrażenia, podchodzi do okna i wygląda na zewnątrz. Na drucie telegraficznym siada zimorodek i po chwili dołącza do niego następny. Adrian obserwuje je przez kilka chwil, zapominając niemal, po co tu przyszedł.

– Jak pan się czuje? – pyta, odwracając się do starego.

Elias Cole uśmiecha się kącikiem ust.

– To było ostatnie wezwanie. Jestem teraz w poczekalni przed odlotem.

Adrian się śmieje.

– Zostało jeszcze trochę czasu.

– Ostrzeżono mnie, że mogę zacząć zapominać.



– To jeden z możliwych efektów hipoksemii. Nie wiemy, czy do tego dojdzie.

– Jest jeszcze parę rzeczy, które chciałbym panu opowiedzieć.

\*

Minął rok. Dla mnie był to rok czekania. Odbyła się uroczystość Czterdziestu Dni. Wie pan, że po czterdziestu dniach kończy się okres wdowiej żałoby? Przez swoich ziomków Saffia uznana byłaby teraz za gotową do zamążpójścia. Życie jest tu zbyt krótkie, żeby długo odprawiać żałobę.

W listopadzie na Księżycu wylądowała kolejna misja Apollo. Nikt nie myślał o urządzeniu przyjęć. Zdarzenie miało być relacjonowane w kolorze, ale czegoś zabrakło i transmisja się nie odbyła. Saffia śledziła pilnie wiadomości przez radio, podobnie jak wówczas, gdy pierwsi astronauta zakończyli kwarantannę i wystąpili na konferencji prasowej. Wiedziałem, że stale myśli o

Juliusie. Jak już powiedziałem, to był rok czekania.

A potem nastął rok 1970. Lata sześćdziesiąte się skończyły.

Obserwowałem, jak Saffia walczy o przetrwanie. Po śmierci Juliusa trzeba było załatwić szereg praktycznych spraw. Jej niezależność, która tak mnie uderzyła podczas naszego pierwszego spotkania, okazała się oczywiście iluzją. Iluzją stworzoną i podtrzymywaną przez rozpieszczającego żonę Juliusa. I chyba również przez naszą trójkę: Kekurę, Yansaneha i przeze mnie. Bo czyż jej nie uwielbialiśmy? Czyż nie popisywaliśmy się, by dostarczyć jej rozrywki? Czyż nie widzieliśmy się w roli jej strażników? Wyręczaliśmy Juliusa w jego obowiązkach. Ale teraz Juliusa nie było, Kekura uciekł, a Yansaneh się załamał. Zostałem tylko ja.

Saffia mieszkała dalej w różowym domu na wzgórzu razem z ciotką staruchą, która krążyła między miastem i wsią. Ciotka, o czym już chyba wspomniałem, przez cały czas emanowała nisko stężoną nienawiścią, posiadając jej nieograniczone zasoby. Nienawidziła ludzi z miasta, którzy byli zapatrzeni w siebie. Nienawidziła niewierzących, lecz jeszcze bardziej nienawidziła chrześcijan, ponieważ im nie ufała. Nie znosiła biednych, słabych, chorych i potrzebujących. Szczególnie mocno nienawidziła przedstawicielkę własnej płci. Jej stosunek do mężczyzn był nieco bardziej skomplikowany, naturalna bowiem niechęć wobec współplemieńców łączyła się w nim z czołobitnością wobec tych, którzy posiadali pewną władzę. Wiedziałem, że mnie nie lubi i traktuje podejrzliwie moje wizyty.

Między nią a Saffią zawsze dochodziło do pewnych spięć. Ciotka była wieśniaczką prosto od pługa. Trudno się zatem dziwić, że Saffię irytowały jej wiejskie przesady. Kwestie hierarchii społecznej są jednak nieskończenie delikatne, zależą od wielu rzeczy: powiązań rodzinnych, wieku, zamożności.

Po śmierci Juliusa zmiana w zachowaniu ciotki wobec Saffii sprowadzała się właściwie do drobiazgów. Można powiedzieć, że stała się po prostu mniej ostrożna. Przemawiała ostrzejszym tonem, częściej domagała się różnych rzeczy i była bardziej małostkowa. Tak jakby uważała, że Saffia ma spełniać jej zachcianki. Przyczyny były jasne: wcześniej, choć ciotka była starsza i jako taka zasługiwała na większy szacunek, to Saffia wyszła za mąż za kogoś ważnego – oczywiście w mniemaniu ciotki – kogoś, kto mieszkał w okazałym domu, takim, w jakim, jestem tego pewien, ciotka nie postawiła wcześniej stopy.

Teraz Julius zmarł i Saffia nie była już żoną kogoś ważnego.

Kobieta mieszkająca po drugiej stronie ulicy, bazarowa handlarz, najwyraźniej znalazła sobie nowe zajęcie, obserwując, kto wchodzi do różowego domu i kto z niego wychodzi, i wcale się z tym nie kryjąc. Zdarzało się, że czekałem na jej oczach i słuchałem, jak komentuje moją wizytę, zwracając się do niewidocznych słuchaczy. Ani razu nie zobaczyłem jej męża. Bez wątpienia zabraniała mu wychodzić na werandę, z obawy, że mogłyby go zwabić pokusy, które pojawiły się od niedawna w domu naprzeciwko. Nie chcę przez to powiedzieć, że jej obawy były bezpodstawne. Mieszkająca samotnie kobieta rzeczywiście przyciąga uwagę mężczyzn, którzy wyczuwają jej bezbronność. Niepokoilem się, że ktoś mógłby wykorzystać sytuację Saffii. Pewnego razu zastałem tam tancerza, który, jak twierdził, przyszedł złożyć jej kondolencje. Usiadłem na wprost niego i tak długo piorunowałem go wzrokiem, aż sobie poszedł.

Teraz, gdy ciotka zaczęła szukać opiekuna dla swojej siostrzenicy, ciekawa była zmiana, jaka zaszła w jej stosunku do mojej osoby. Jak wspomniałem, należała do kobiet, które szybko przystosowują się do zmiany istniejącego status quo. Któregoś wieczoru spotkałem ją, gdy wracała z meczetu.

– Dobry wieczór, ciociu – powiedziałem pełnym szacunku tonem, uchylając kapelusza.

To sprawiło, że zatrzymała się jak wryta. Kiedy upewniła się, że z niej nie żartuję, spostrzegłem na jej ustach uśmiech zadowolenia. Bawiło mnie, że znalazłem w niej nowego sojusznika.

To ciotka zwróciła moją uwagę na fakt, że nie starcza im na czynsz. Julius był o wiele za młody, by Saffia mogła po nim otrzymać jakąś emeryturę. Dzięki moim wysiłkom i naciskom na dziekana, który zasiadał w odpowiednim komitecie, udało mi się dla niej załatwić niewielką subwencję na skatalogowanie okazów flory, które rosły na terenach uniwersytetu. Nie aż tak wysoka, by Saffia mogła liczyć na stały dopływ gotówki, suma ta pozwalała jej się utrzymywać dokładnie przez rok.

W ciągu tych miesięcy pracowałem, mając przed oczyma jeden cel. Z energią zbierałem materiały do pracy o powstaniu Wydziału do Spraw Tubylców. Kiedyś można było mnie określić mianem co najwyżej sumiennego pracownika naukowego, lecz teraz harowałem jak nawiedzony. To zadziwiające, jak działa na człowieka nadzieja. Pracowałem na rzecz przyszłości, w której było miejsce również dla Saffii.

Rankiem zajmowałem się korespondencją i planowałem wykłady. To zajmowało mi czas do południa. Lunch jadłem na stołówce. Po południu szedłem do biblioteki i przekopywałem się przez archiwa Wydziału do Spraw Tubylców i Autochtonów, robiąc ołówkiem notatki w moim zeszycie. Myśląc o Saffii, zapoznawałem się z listami rządowego agenta Thomasa George'a Lawsona, jego zagorzałym protestantyzmem i lojalnością wobec Korony. Mniej więcej o czwartej kończyłem podróżować z Lawsonem w głąb kraju, gdzie łągodził właśnie między wódzami, zbierałem swoje papiery i zanosilem je do gabinetu.

Stan nerwowego oczekiwania, w którym pozostawałem cały dzień, osiągał szczyt mniej więcej o wpół do piątej, kiedy szedłem zobaczyć się z Saffią. Prawie zawsze miałem jakiś powód, by się z nią widzieć, bo, jak już chyba wspomniałem, starałem się być pod każdym względem użyteczny. Zmagalem się z uniwersytecką biurokracją, udzielałem jej rad finansowych i pomagałem w wielu innych domowych sprawach. W miesiącach po śmierci Juliusa obserwowałem, jak Saffia traci na wadze. Widziałem, jak pogłębiają się zmarszczki po obu stronach jej ust. Poznawałem po rozbieranym wzroku, jak trudno jej się skoncentrować. Po

lekkim, bladym uśmiechu, z jakim mi dziękowała, zgadywałem, jak bardzo cierpi. I wiedziałem, że w końcu weźmie się w garść. Bo ludzie w końcu zawsze biorą się w garść.

Trwać. Czekać. Okazać cierpliwość.

Któregoś wieczoru poszliśmy do ogrodu. To był mój pomysł. Saffia wyglądała, jakby miała zamiar odmówić, ale potem zmieniła zdanie i zeszła pierwsza po schodkach. Było wciąż jasno, gęste deszczowe chmury uniosły się i pokazał się nawet rąbek błękitu. Ogród robił wrażenie nieco zaniedbanego. Lilie harmattanu były pogięte i połamane niczym żołnierze po bitwie, wiele łodyg leżało splątanych na ziemi, niegdyś piękne kwiaty skurczyły się, ich płatki pociemniały i poodpadały. Pamiętam ten wieczór, bo chyba jedyny raz, rozmawiając ze mną, zaczęła mówić o Juliusie, wcześniej zazwyczaj tylko przelotnie go wspominała.

– Nadal mi go brakuje, Eliasie – powiedziała.

– Wiem – odparłem. – Mnie też go brakuje. – W pewnym sensie była to prawda. Julius pozostawił puste miejsce w moim życiu. Nie miałem nigdy zbyt wielu przyjaciół.

Saffia westchnęła.

– Może gdybyśmy mieli dziecko... Ale Julius chciał, żebym najpierw skończyła studia.

– Jest na to jeszcze czas – zapewniłem ją. – Jesteś młoda.

– To były banalne słowa, ludzie zawsze mówią takie rzeczy wdowom. Powiedziałem to bez zastanowienia.

– Tak – odpowiedziała.

Jedno słowo. Ale jak wiele znaczyło. Powiedziała „tak”. Zaakceptowała to, że jej życie nie dobiegło końca. Ogarnęła mnie niewysłowiona radość. Dopiero później zdałem sobie sprawę, co było jej źródłem. Nadzieja. W tym momencie piękna i bolesna przeszłość, nieznośna teraźniejszość i obiecująca przyszłość połączyły się w jedno.

\*

Prawie pod każdym innym względem życie wróciło do normy. Zdawało mi się raz, że widzę Yansaneha na kampusie. Szedł ze spuszczoną głową. Ani słowa od Kekury. Nie odezwał się również Johnson. Dziekan był dobrej myśli. Wiele uniwersytetów w naszym kraju i za granicą zamykało wydziały humanistyczne lub ograniczało ich finansowanie. Sztuki wyzwolone pierwsze padały ofiarą cięć podczas kryzysu. Władze przekonywały, że pewne umiejętności są bardziej potrzebne od innych. Filozofia, literatura, dramat – to wszystko było luksusem, nawet frywolnością w tych trudnych czasach. Dziekan okazał się na razie skutecznym negocjatorem i udało mu się uchronić nasz wydział przed podobnym losem. Z biegiem miesięcy Julius, jego śmierć, moje własne aresztowanie – wszystko to coraz bardziej odsuwało się w przeszłość.

Jedno nieprzyjemne wydarzenie. Wizyta Vanessy.

Pojawiła się w moim mieszkaniu w sobotę. Nie pamiętałem już, kiedy ją ostatnio widziałem. Tak czy owak, nie zmieniła się, choć wyglądała teraz zupełnie inaczej. Dowiedziałem się później, że miała nowego chłopaka. Włożyła wielką perukę w stylu afro i obcisłe spodnie. Nigdy nie podobało mi się noszenie spodni przez kobiety. Trudno było nie porównywać jej z Saffią i nie wiem, czy

Vanessa nie wyczuła, że taksuję ją wzrokiem, bo oparła się o kuchenny blat i spojrzała na mnie wyzywająco.

– Dobrze wyglądasz, Vanesso – powiedziałem.

– Dziękuję, Eliasie. Przyszłam się dowiedzieć, co u ciebie słychać.

– Jak widzisz, wszystko u mnie w porządku.

– Miło mi to słyszeć. – Powiedziała to tak, jakby dotarły do niej inne wiadomości.

Zauważyłem, że rozgląda się po mieszkaniu.

– Może zrobiłbyś mi kawy – rzuciła w końcu.

Choć nie miałem zamiaru proponować jej kawy, sięgnąłem do szafki i znalazłem neskę i skondensowane mleko. Zapaliłem gaz i zagotowałem wodę. Nie poczęstowałem jej cukrem.

– Czy to prawda, że cię aresztowali? – zapytała.

– Nieprawda – skłamałem.

– Tak mówią.

– Zatem są w błędzie.

Nie zapytałem, skąd o tym wie. Nie zdziwiłbym się, gdyby Vanessa miała znajomych w policji, jednego albo więcej kochanków.

Obserwowała mnie chłodno. Filiżanka kawy stała na blacie.

– Ostygnie ci – powiedziałem.

– Jest za gorzka – stwierdziła, nie odrywając ode mnie oczu.

– Więc może to, co się przytrafiło Juliusowi, nie jest dla ciebie takie złe?

– Nie wiem, o co ci chodzi – odparłem. – Julius był moim przyjacielem. Jego śmierć to tragedia.

Vanessa parsknęła śmiechem, cichym, a jednocześnie gwałtownym.

– Więc jego żona jest teraz wdową. – W jej głosie pobrzmiwał ton kpiącej insynuacji, który wcale mi się nie podobał.

– Tak – potwierdziłem. – Saffia oplakuje śmierć swojego męża.

I znowu ten śmiech.

– Miło cię było widzieć, Vanesso – powiedziałem. – Wpadnij do mnie za jakiś czas albo ja do ciebie zajrzę, ale teraz muszę już iść.

Przez kilka chwil nic nie mówiła, patrzyła tylko na mnie. Kiedy się w końcu odezwała, wymawiała dokładnie każde słowo tak, że padały z jej ust niczym krople trucizny.

– Spójrz w lustro, Eliasie Cole.

Nie pozwoliłem, by złośliwości Vanessy wyprowadziły mnie z równowagi. Jednak w jakimś stopniu jej się to udało, ponieważ tego samego dnia wydawało mi się, że zobaczyłem Juliusa. Trwało to tylko chwilę. Było coś podobnego w profilu faceta, który wyszedł z bramy. Szedł przede mną i oczywiście to nie był wcale Julius. Poznałem to po jego chodzie. Julius oczywiście już nie żył. Mimo to szok zupełnie mnie obezwładnił i ugięły się pode mną kolana. Dopiero po kilku minutach zdołałem wziąć się w garść i ruszyć dalej.

\*

Tego dnia, kiedy oświadczyłem się Saffii, pojawiłem się w jej domu, gdy próbowała się pozbyć młodego naciągacza, udającego, że Julius był mu winien pieniądze. Było to oczywiste kłamstwo. Julius nie żył już od prawie roku, lecz nie powstrzymywało to różnych oszustów. Zobaczyłem, jaka jest zmęczona, jak ją to wszystko dręczy. Wkrótce miały się skończyć pieniądze z subwencji. Złożyłem jej propozycję. Bardziej praktyczną niż romantyczną, stanowiącą kompromis między moją i jej sytuacją. Napomknąłem o Juliusie. Mówiąc, miałem przez cały czas świadomość, że gdzieś z głębi domu podsłuchuje nas ciotka. Saffia poprosiła o czas do namysłu. Miesiąc później oświadczyłem się ponownie i tym razem się zgodziła.

Wychodząc z domu, zobaczyłem wracającą z meczetu ciotkę. Przekazałem jej wiadomość, pragnąłem bowiem jak najszybciej uzyskać oficjalną aprobatę. Twarz staruchy wykrzywiła się w służalczym uśmiechu i odniosłem wrażenie, że Julius obchodził ją mniej, niż mi się pierwotnie wydawało.

Dziekan również złożył mi gratulacje. Wydawał się autentycznie zadowolony z takiego obrotu sprawy. Kilka tygodni później awansowałem na starszego wykładowcę. A wkrótce potem zwolnił się dom na terenie kampusu. Jego poprzedni lokator stracił pracę w wyniku cięć. Smutne, ale takie jest życie. Trzymałem to w tajemnicy przed Saffią do czasu, gdy udało mi się odmalować nowe lokum i naprawić dach w miejscach, gdzie przeciekał.

Swoją drogą, Yansaneh też nie miał szczęścia. Poszedłem na przyjęcie z okazji jego odejścia, smutną imprezę, w której uczestniczyła garstka kolegów. Dziekan podziękował Yansanehowi za pracę na wydziale. Yansaneh wstał i powiedział kilka słów. W pewnym momencie emocje odebrały mu głos, opanował się jednak i podziękował kilku swoim kolegom. Dopiero później uderzyło mnie, że w ogóle nie wspomniał o dziekanie, którego wypadałoby w jakiś sposób uhonorować. Potem ludzie podchodzili i klepali go po ramieniu. Uścisnąłem mu dłoń i przekazałem wyrazy współczucia, lecz on mruknął tylko „dziękuję” ze wzrokiem utkwionym w podłogę.

Było mi oczywiście żal Yansaneha. Ale nic nie mogło zniweczyć mojego szczęścia.

# ROZDZIAŁ 33

Nazwa miejsca jest znajoma. Tę nową drogę do szpitala psychiatrycznego wskazała Adrianowi Ileana. Jadąc krętą szosą przez wzgórze, mijają wille bogatych, koszary i tę właśnie znajomą nazwę na namalowanym ręcznie szyldzie salonu fryzjerskiego. Ponieważ mu się nie spieszy, skręca na rondzie w uliczkę, którą wskazuje znak, i mijają stację benzynową, gdzie kilku młodych mężczyzn stoi w cieniu wysokiego muru. Gapią się na niego, kiedy przejeżdża, ponurzy i milczący. Zaulek zwęża się, domy stoją coraz bliżej jezdni. Adrian jedzie powoli, ludzie ustępują mu drogi. W pewnym momencie zjeżdża na bok i chowa się za wystającą ścianą domu, żeby przepuścić inny samochód. Czekając, aż tamten przejedzie, spostrzega, że w budynku mieści się kryty targ. Sprzedająca ryby kobieta bez przerwy odgania od nich muchy. Przed samochodem przebiegają dwa oskubane kurczaki.

Droga znowu się poszerza. Przed sobą Adrian widzi gliniane boisko do piłki nożnej, wysokie drzewo, a po drugiej stronie budynek, który wygląda na szkołę. Zaraz ma się zacząć mecz, ludzie stoją na drodze, która biegnie wzdłuż boiska. Kilku z nich daje mu znaki, pokazując, że nie ma przejazdu. Jakiś mężczyzna w długiej tunice podchodzi do samochodu, puka w szybę i wskazuje mu inną uliczkę. Adrian skręca w nią, nie wiedząc, dokąd prowadzi. Zaczyna żałować, że zjechał z głównego szlaku. Na skrzyżowaniu droga w prawo dochodzi do kościoła i tam się kończy. Ta, która biegnie na wprost, wydaje się zbyt wąska, by zdołał ją przejechać. Skręca więc w lewo i zjeżdża w dół. Trakt poryty jest koleinami, po bokach ciągną się głębokie rowy. Parka uczniów staje z boku, żeby go przepuścić, pięty mają tuż przy skraju rowu. Pięćdziesiąt metrów dalej jest kolejna droga w lewo. Adrian skręca w nią, a potem zmienia zdanie i postanawia wracać. Miejsca wystarcza akurat na to, żeby zawrócić na trzy i udaje mu się to nie najlepiej, z wyjątkim sprzęgiem i żwirem sypiącym się spod opon. Ruszając z powrotem, spostrzega dom. Mały w porównaniu z willami, które mijają, jadąc pod górę, stoi za żelazną furtką. Do drzwi prowadzi kilka schodków. Ściany są wyblakłe od słońca i pokryte ciemnozielonymi smugami pozostawionymi przez wodę. Na podwórku rośnie obwieszona owocami drzewko pomarańczowe. Niezupełnie tak sobie wyobrażał ten dom. Przede wszystkim nie sądził, że jest usadowiony tak wysoko nad ziemią. Ale poznaje go, mimo że jest zasłonięty przez drzewa i od lat nieodnawiany. To różowy dom.

Adrian wysiada i zostawia za sobą otwarte drzwi samochodu. Podchodzi do furtki i spogląda przez sztachety. Widzi boczną furtkę, która może prowadzić do ogrodu. Trudno powiedzieć, czy dom jest zamieszkały, czy opuszczony, w mieście jest wiele podobnych zaniedbanych budynków. Furtka od frontu jest zamknięta. Adrian powstrzymuje pokusę, żeby ją otworzyć, odwraca się i wsiada z powrotem do samochodu. Przy końcu uliczki zatrzymuje się przy tej samej parze dzieci, chłopcu i młodszej od niego dziewczynce. Nie przechodzą na drugą stronę drogi, ale prześlizgują się obok samochodu, wpatrując się w Adriana, który posyła im uśmiech. Dzieci go nie odwzajemniają. Kiedy pozdrawia ich skinieniem ręki, chłopiec, który może mieć sześć lat, robi to samo. Adrian widzi, jak wchodzi przez furtkę do różowego domu.

Wczesnym popołudniem bierze udział w obchodzie z Ileaną.

– Co słysząc u Mamakay?

– Dziękuję, wszystko u niej w porządku.

– Polubiłam ją – mówi Ileana.

– Ona też cię polubiła.

Adrian ma świadomość, że Ileana przygląda mu się bacznie swoimi brązowymi oczyma. Nie podnosi wzroku, udając, że studiuje trzymane w ręku notatki.

– Uważaj na siebie, dobrze?

– Co to ma znaczyć? – pyta najniewinniej, jak może, ale sam słyszy fałszywą nutę w swoim głosie.

– Wiesz bardzo dobrze, co to ma znaczyć, mój drogi. Jesteś psychologiem.

W tym momencie podchodzi do nich Salia i nie mówią już więcej na ten temat. Tego dnia wypisywanych jest kilku pacjentów, wśród nich Abdulai, młodzieniec, którego Adrian przyprowadził do szpitala i który z kolei po raz pierwszy przywiódł tu Adriana. Jest teraz czysty, przez cały okres pobytu w szpitalu nie brał narkotyków. Attila podpisał jego zwolnienie, a Salia załatwił mu ostatnie konsultacje z Adrianem. Adrian jest tym poruszony, ponieważ Abdulai był pacjentem Attili. Dziękuje Salii, który kiwa oficjalnie głową i wychodzi z oddziału, stukając podszwami butów po brudnym linoleum.

Młodzieniec siedzący teraz na krześle przed Adrianem zupełnie nie przypomina osoby, którą przyprowadził do szpitala. Nie pamięta zresztą tamtego dnia, kiedy Adrian zabrał go z posterunku.

– Ważne jest – mówi Adrian – jak się teraz czujesz.

– Czuję się dobrze, doktorze. Czuję się dobrze w swoim ciele.

Abdulai siedzi z ramionami pochylonymi do przodu i dłońmi wsuniętymi między uda. W jego głosie słychać lekkie drżenie, jakby się wahał, poza tym jednak wydaje się całkowicie normalny, najwyżej nieco zdenerwowany.

– A twoja głowa?

– Z głową wszystko jest w porządku. Tyle że czasem się boję.

– Czego się boisz? Możesz mi powiedzieć?

– Rzeczy, które mi się śnią. – Abdulai potrząsa energicznie głową.

– To powinno się poprawić. Do kogo jedziesz? Do swojej rodziny?

Abdulai kiwa głową. To rodzina oddała go na posterunek policji. Z tego, co pamięta Adrian, policjanci sugerowali, że Abdulai stawał się agresywny.

– Jak tam dojedziesz?

– Pan Salia dał mi pieniądze na poda podą.

– Rodzina nie mogła przyjechać i cię odebrać?

– Moja matka zmarła. Ojciec pracuje.

Przy drzwiach Adrian daje Abdulaiowi trochę własnych pieniędzy i patrzy, jak młodzieniec idzie do frontowej bramy. Nie ma ani jednej sztuki bagażu, nic poza ubraniem na grzbiecie. Spędził kilka tygodni w łańcuchach, dostawał trzy posiłki dziennie. Kilka sesji z Attilą to cała resocjalizacja, którą przeszedł. Teraz go wypisują.

– Co z nim będzie? – pyta później Adrian, obserwując Ileanę podczas ceremonii parzenia herbaty.

Lekarka wzrusza ramionami i wypuszcza z ust dym.

– Jeśli zdoła trzymać się z daleka od narkotyków, może nie będzie nawrotu.

– Więc nie ma żadnych dalszych kontroli?

– Nawet gdyby udało się ich tu ściągnąć, kto poprowadziłby sesje?

– Ja mógłbym.

– Za kilka miesięcy cię tu nie będzie. – Papieros w kąciku ust Ileany podskakuje w górę i w dół, gdy mówi. Adrian obserwuje rosnący słupek popiołu, który osypuje się w miarę wydłużania. Kiedy już ma podsunąć jej popielniczkę, Ileana wyjmując papierosa z ust i z wprawą strzepuje popiół przez okno. – Chodź. Napijemy się herbaty w ogrodzie.

Po chwili siedzą obok siebie na ławce, a lekarka kontynuuje swój wywód:

– Są miejsca, do których może pójść. Rozkwit przeżywają teraz kościoły, które obiecują powtórne narodziny. To samo dotyczy tradycyjnych uzdrowiaczy. Ludzie im ufają i to się liczy. Choć tradycyjni uzdrowiacze są naprawdę całkiem interesujący. Attila bardzo ich szanuje. Niektóre leki antypsychotyczne, które podajemy, są im znane od stuleci.

– Naprawdę? Na przykład jakie leki?

– Z tego, co wiem, należy do nich rezerpina.

– Nie wiedziałem o tym – przyznaje Adrian.

– No cóż – odpowiada Ileana tonem, który świadczy o tym, że wcale jej to nie dziwi. – Nazywamy ich czarownikami.

\*

Adrian nie wspomniał Ileanie, że tego samego dnia spotyka się z Mamakay. Czeka na niego, siedzi w pełnym słońcu, przy stoliku z dwoma studentami i czyta z głową pochyloną nad otwartą książką. Na blacie przed nią stoi pusta butelka po bitter lemon. Przez moment Adrian ma wrażenie, że mogłaby tak siedzieć w każdym miejscu na świecie. Zwalnia kroku, by móc jej się dłużej przyjrzeć. Zatopiona w lekturze Mamakay nie zdaje sobie sprawy, że już przyszedł. Tego dnia ma na sobie dopasowaną kolorową bluzkę odsłaniającą obojczyk oraz sięgającą kostek spódnicę. Na stopach skórzane sandały. Włosy związane chustką. Długie rzęsy. Przygryzając jeden kciuk, drugim wodzi po linijkach tekstu. Lekko się uśmiecha i choć Adrian tego nie widzi, wie, że jej przednie zęby zachodzą trochę na siebie. Wysoko na kości policzkowej ma myszkę, ciemną plamkę na tle ciemnej skóry, i drugą, poniżej kącika ust. Nie będąc ładna w konwencjonalnym znaczeniu tego słowa, jest kobietą, którą Lisa nazwałaby przystojną, neutralizując w ten sposób piękno odznaczające się zbyt wielką siłą oddziaływania.

Nagle parska, śmieje się głośno i podnosi wzrok.

– Dobra książka?

Zaznacza palcem stronę i pokazuje mu okładkę. Trzech panów w łódce Jerome'a K. Jerome'a. Ostatnia rzecz, jakiej się spodziewał.

– Czytałeś to? – pyta Mamakay.

– Ostatni raz, kiedy miałem czternaście lat. O czym teraz czytasz?

– O tym, jak zatrzymali się na lunch.

– I ten facet próbował ich przepędzić?

– Cudowny kawałek! Harris! Niezły z niego aparat, mówię ci. – Mamakay czyta ten fragment na głos i znowu wybucha śmiechem.

Adrian obserwuje ją i też się uśmiecha, a potem śmieje.



Mamakay chowa książkę do torby. Po wyjściu z kawiarni mijają budynki uczelni. Adrian widzi znaki wskazujące drogę do różnych wydziałów, administracji, amfiteatru. Kiedy wspomniała, że idzie tego dnia na uniwersytet, zadeklarował, że chciałby go obejrzyć. Idąc teraz razem z nim, Mamakay podaje kilka informacji, pokazuje różne miejsca. Wspinają się pod górę, tam gdzie wysokie budynki ustępują miejsca starszym dwupiętrowym blokom, a jeszcze dalej łąkom, gdzie między drzewami widać niskie bungalowy.

– Mieszkali w nich pracownicy naukowci. Ładnie tu, prawda?

– Owszem.

– Jesteś chyba zaskoczony.

– Tak – przyznaje Adrian. Teren jest uroczy. Nie bardzo wie, czego się spodziewał. To nie o uniwersytecie rozmyślał przez cały dzień. – Studiowałaś tutaj?

– Tak.

Mijają mały strumyk. Woda spada z kamienistego progu i rozlewa się na pobocze drogi. Chlapiące się w niej dzieci przerywają zabawę, żeby popatrzeć na przechodzącego Adriana.

– To tutaj – mówi Mamakay.

Doszli do zakrętu drogi przy przerwanej balustradzie. Adrian rozgląda się, ale nie widzi niczego poza zboczem góry za sobą i drzewami przed sobą. Mamakay przechodzi przez wyrwę w balustradzie, Adrian idzie za nią wąską ścieżką. Po mniej więcej dwudziestu metrach Mamakay się zatrzymuje. Adrian, skupiony na tym, gdzie stawia stopy, o mało na nią nie wpada. Łapiąc równowagę, ociera się o jej ramię; mimo że dotknął jej przez ubranie, czuje przeszywający go prąd.

Mamakay odwraca się do niego z uśmiechem.

– W porządku?

Stoi tak blisko niej. Przez chwilę widzi tylko brązowe plamki w jej źrenicach. Wiatr porusza wiszącą nad nią gałęzią, jej oczy przez sekundę okrywa cień. Adrian przełyka ślinę i kiwa głową. Ogarnia go skrępowanie, jest świadom każdego swojego oddechu. Mamakay odwraca się, on podąża za jej wzrokiem i widzi między drzewami rozciągające się aż do morza miasto, czerwono-brązowe blaszane dachy domów, niewysokich w porównaniu z minaretami meczetów i kościelnymi wieżami, które z kolei wydają się niskie na tle wielkich białych portowych magazynów. Niebo jest zaciągnięte chmurami, horyzont zaciiera się we mgle. To widok, jakiego jeszcze nie oglądał; zadziwia go jego skala. Odgłosy miasta są tutaj stłumione. Jest chłodniej, lekka bryza muska go wilgotnymi palcami.

Serce absurdalnie tłucze mu się w piersi.

\*

Minęło wiele godzin od zachodu słońca. Są w jej mieszkaniu, mimo komarów siedzą przy otwartych drzwiach. W tym miejscu słychać nocne odgłosy miasta, nie zagłusza ich terkot generatora. Z daleka, przez gęstą ciemność płyną dźwięki wieczornej modlitwy i basowy łoskot z położonego niżej baru. Niebieskie stroboskopowe światło wyznacza rytm. Bliżej słychać odbijające się od betonowych ścian kroki i głosy ludzi, którzy idą wąską uliczką za domem. Jeszcze bliżej gruchanie ptaków w gołębniku.

– On śpi na jawie. I upija się – mówi Mamakay o swoim sąsiedzie, właścicielu gołębnika, po czym wstaje, przeciąga się, dotykając palcami sufitu, i opuszcza z powrotem ręce. – Dwa dni temu przyszedł tutaj, walił w bramę i krzyczał na mnie.

– Dłaczego?

– Twierdził, że go obraziłam. Przyszedł mi powiedzieć, że jestem złą osobą. – Mamakay się śmieje.

– Co mu odpowiedziałaś?

– Nic. Wszystko to mu się przyśniło. Z początku nie chciał mi wierzyć, ale inni powiedzieli mu, że to prawda. Oni też mu się śnili, więc musiał im uwierzyć.

– To musi być dla niego deprymujące.

– Owszem. Nie jestem pewna, czy wie, co jest rzeczywiste, a co nie. Biedak. Wyobraź sobie, co by było, gdybyśmy wskakiwali i wyskakiwali z twojej podświadomości.

– To cię niepokoi?

– Nie. – Mamakay kręci głową. – Przedtem był normalny. I będzie znowu. Sporo ludzi wierzy tutaj w sny. Tak jak wy, prawda? Psychologowie?

– W niektórych kierunkach psychologii przywiązuje się dużą wagę do ich interpretacji, zgadza się. – Nigdy tak na to nie patrzył, ale nie może powiedzieć, że Mamakay się myli. Adrian codziennie rozmawia z pacjentami w szpitalu psychiatrycznym i często pyta o ich sny. Jaka to w końcu różnica? Mamakay ma absolutną rację.

Wino jest już wypite i nie mając czego rozlać do kieliszków, Adrian boi się, że ich spotkanie dobiegnie końca. Powtarza sobie, jak czynił to wielokrotnie w ciągu minionych paru godzin, że i tak powinien już wkrótce iść, lecz nie ma na to najmniejszej ochoty. Kawa. Kolejne wino. Kończą się preteksty, które dawkował oszczędnie przez cały wieczór. Prąd wyłączyli zaraz po zmierzchu. Dwie ostatnie świece już się dopalają, rzucając niespokojne cienie na ściany. Adrian patrzy, jak Mamakay idzie po kolejną świeczkę, przeszukuje mieszkanie.

– Przysięgłabym, że kupiłam więcej. Czasami przychodzą inni i je zabierają.

Jeśli skończył się zapas świeczek, nie pozostanie mu nic innego jak wyjść.

– Są. Schowałam je. Tak myślałam.

Adrian oddycha z ulgą.

Na bocznym stoliku stoi fotografia. Pochyla się, żeby ją obejrzeć. Mamakay i jeszcze dwie dziewczyny. W jednej z nich rozpoznaje Mary, szczuplejszą, bardziej młodzieńczą Mary.

– Nasze mundury na inwazję – mówi Mamakay. – Zdjęcie było zrobione w gorącym okresie.

– O co chodzi z tymi džinsami? – pyta Adrian.

– Nosiliśmy džinsy pod sukienkami. Był czas, że ubierałyśmy się tak codziennie, bo nikt nie wiedział, kiedy się pojawią. Jednego dnia w radiu mówili, że rebelianci zostali odepchnięci do granicy, a już nazajutrz w mieście powtarzano, że są w Port Loko. Przestałyśmy wierzyć władzom. Wkładaliśmy niebieskie džinsy.

Mamakay urywa i parska dziwnym śmiechem, jakby przypomniawszy sobie coś absurdalnego albo bolesnego. Adrian nadal nie za bardzo rozumie. Mamakay odwraca się i patrzy mu prosto w oczy.

– Próbowaleś kiedyś zdjąć szybko obcisłe džinsy? To był jedyny pomysł, jaki przyszedł nam do głowy. Żeby powstrzymać ich przed gwałceniem nas. A właściwie, żeby im to utrudnić.

Adrian chce ją o to wszystko zapytać, o wszystko, co się wydarzyło. Nie potrafi sobie tego wyobrazić. Tej bezsilności. Pod tym względem wojna była gorsza dla cywilów, walczący mogli

przynajmniej działać. Cywile byli jak szczury w beczce.

Mamakay podnosi fotografię, przez chwilę jej się przygląda i odkłada na stolik.

– Sarian odeszła – mówi.

– Dokąd? – pyta Adrian. Powiedziała to tak, jakby Sarian umarła.

– Wyjechała do Holandii. Mają tam prąd przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, możesz to sobie wyobrazić?

Adrian może, ale nie mówi tego.

– Nie chciałabyś mieszkać gdzieś indziej? – pyta. Ma chyba na myśli Anglię.

– Nie. – Mamakay kręci głową.

– Mogłabyś o wiele więcej działać. Twoja muzyka...

– Tu mi dobrze. Możesz w to wierzyć lub nie.

Godzinę później został już tylko ogarek świecy. Adrian wstaje, żeby wyjść. Mamakay odprowadza go do samochodu. Jest kompletnie ciemno. Jego buty stukają o beton z hałasem, który wydaje mu się ogłuszający. Ona idzie boso i bezszelestnie. Leżący na podwórku pies podnosi łeb i śledzi opalizującymi ślepiami jego kroki. Zza chmur wygląda na chwilę księżyc i Adrian widzi przed sobą zarys samochodu. Nie orientuje się zbyt dobrze, gdzie jest Mamakay. Idąc prosto w stronę wozu, stawia kroki pewniej, niż powinien, próbuje sobie przypomnieć, gdzie są schodki i doniczki z roślinami. Kilka sekund później zderza się z autem, cofa i zdezorientowany odwraca. W tym momencie Mamakay wpada mu w ramiona. Pod wpływem jej dotyku doznaje erekcji, którą przez cały wieczór udawało mu się w jakimś stopniu kontrolować. Cofa się o krok i opiera plecami o drzwi samochodu. Teraz już nie widzi Mamakay. Otwiera usta, żeby coś powiedzieć, ale po chwili zmienia zdanie i wyciąga do niej rękę.

\*

Ranek. Adrian odwraca się i kładzie rękę na Mamakay, która nadal śpi u jego boku. Obejmuje dłonią jej pierś, zamyka oczy i wdycha powietrze. Jedna po drugiej znikają myśli, które chodziły mu po głowie. Przytulając się do niej, wyczuwa, jak zmienia się energia w jej ciele, jak napinają się mięśnie, kiedy przekracza granicę między snem i jawą. Mamakay odwraca się do niego. Adrian sunie w dół, czując opór mokrego prześcieradła i emanujące z niej ciepło. W nocy z początku tylko trzymał ją w ramionach. Kiedy się teraz kochają, dotyka jej powoli, pieszcząc każdy centymetr skóry. Mamakay jest odprężona i powolna, nie ma w niej śladu próżności czy fałszywej skromności, śmieje się, gdy jej ciało wydaje niespodziewany odgłos, zupełnie inaczej niż jakakolwiek kobieta, którą znał.

A później chodzi nago po mieszkaniu, robi świeżą kawę, przestawia różne przedmioty, przynosi do łóżka okładkę płyty i odłożony artykuł z gazety. Prawie nie zamykają jej się usta i ponieważ nie proponuje Adrianowi szlafroka, ten leży uwięziony w łóżku do chwili, gdy udaje mu się przewyciężyć własny wstyd. W nocy wstał, żeby się wysikać, i odkrył, że w łazience jest pełno roślin. Teraz Mamakay przynosi wodę i myją się wzajemnie, stojąc na białych kamińkach pod oplecionym bluszczem prysznicem na podwórku. Sąsiad wychodzi nakarmić swoje ptaki, ziarna ryżu grzechoczą o blaszany dach, gołębie walczą o nie. Mamakay smaży rajskie banany. Jedzą je palcami i Adrian parzy się w język. Jaszczurka z pomarańczową głową podchodzi do nich jednocześnie ostrożna i wścibska. Mamakay dmucha na kawałek banana i rzuca go na podłogę. Jaszczurka daje susa do przodu i porywa łup swoim czarnym

językiem.

– To tutaj dorastałaś? – pyta Adrian.

Mamakay kręci głową.

– Więc gdzie?

– Na kampusie. Później mój ojciec zbudował własny dom.

– Na kampusie? Tam, gdzie byliśmy wczoraj?

– Tak – odpowiada Mamakay, spoglądając na niego i marszcząc czoło, najwyraźniej lekko zdeprymowana jego pytaniami. – Mój ojciec wykładał tutaj. Jest profesorem historii.

I w tym momencie Adrian zdaje sobie sprawę, jaki był nierozgarnięty. Tamtego pierwszego dnia, wychodząc ze szpitala, spieszył się. Skinął jej głową, a ona spojrzała na niego; to spojrzenie pamiętał przez cały dzień. Rozmawiała z Babagalehem. Babagaleh był służącym Eliasa Cole'a. Z początku Adrian wziął ją za inną służącą. To z powodu Eliasa Cole'a spotkał się z nią na kampusie: chciał lepiej poznać jego otoczenie. W ogóle nie dopuszczał do siebie tej myśli. Oczywiście.

Mamakay jest córką Eliasa Cole'a.

Adrian przez chwilę milczy, a potem mówi jej o Lisie.

– Wiem – odpowiada Mamakay.

– Skąd wiesz?

– Nie skąd – mówi ona, patrząc na niego. – Nie skąd, ale co. Wiem, że tu nie zostaniesz.

Więc chyba dokładny powód nie ma tak naprawdę znaczenia – dodaje, wzruszając ramionami.

# ROZDZIAŁ 34

Kiedy Kai wraca do domu po wizycie w ambasadzie, Abass stoi na balkonie i obserwuje ulicę. Widząc wujka, wybiega mu na spotkanie.

– Mama powiedziała, że masz mi zrobić kolację i pomóc w pracy domowej.

– Ja też cię witam – mówi Kai.

– Cześć – odpowiada Abass.

– Gdzie twoja mama i ciotki?

– Umarło dziecko – oznajmia Abass. – Praca domowa jest z przyrody.

– Jakie dziecko? To, którym zajmowała się Yeama?

– Tak – potwierdza Abass. – Jedna pani miała je i umarła. A teraz dziecko też umarło.

– To smutne – mówi Kai. – Yeama musi być przygnębiona. Czy jej brat już wrócił?

Abass przestaje wymachiwać ramionami i spuszcza ze smutkiem głowę.

– Nie sędzę, żeby wrócił, wujku Kaiu, bo go nie widziałem, a na pewno bym go zobaczył, bo jest żołnierzem i nosi mundur.

A więc ten człowiek stracił całą swoją młodą rodzinę, nie mając o tym pojęcia. Kiedy się dowie, oni będą już pogrzebani. Żadnych telefonów ani poczty, odległe rejony kraju są praktycznie odcięte. Ktoś będzie musiał pojechać do niego z tą wiadomością. Kai codziennie widuje w szpitalu kobiety leżące obok swoich chorych dzieci. Ich apatyczność frustruje zagranicznych lekarzy, którzy starają się je zachęcić do lepszej opieki, do wzięcia odpowiedzialności za monitorowanie oznak życia swoich maleństw. Miejscowe pielęgniarki mniej się temu dziwią. A Kai rozumie ten wyraz twarzy, wie, co widać w oczach matek. To jest poddanie się, rezygnacja w obliczu nieuniknionego. Ludzie myślą, że wojna jest najgorszą rzeczą, jaką widział ten kraj; nie mają pojęcia, jak wygląda pokój. Ile odwagi wymaga proste przetrwanie.

– Zajrzemy tam, kiedy odrobisz lekcje. Złożymy im kondolencje.

– Złożymy im kondolencje – powtarza Abass, testując ostrożnie każde słowo.

– Chodź – mówi Kai. Obejmuje chłopca, przyciska mocno do siebie i opiera podbródek na jego głowie. Czuje wyrzuty sumienia. Jeszcze przed chwilą Abass byłtaki wesoły. –Najpierw jemy czy odrabiamy lekcje?

– Hmm...

– Rzucimy monetą?

Kai wyjmuje z kieszeni monetę. Rzucają i kiedy Abass przegrywa, rzucają jeszcze trzy razy. Abass nadal przegrywa.

– Co macie zadane? – pyta Kai.

– To eksperyment. Potrzebna jest jodyna i coś, co się nazywa zakraplaczem do oczu. Mama mówi, że mi dasz. Cytryny i inne rzeczy.

– Zobaczymy, co da się zrobić – mówi Kai.

W kuchni Abass staje na stołku przy kuchence i podgrzewa w garnku wodę z mąką kukurydzianą. Czekając, aż roztwór zacznie wrzeć, Kai wraca myślami do tego, co przytrafiło

mu się w ciągu dnia.

Najpierw poszedł do ambasady, żeby spotkać się z pracownikiem wydziału imigracyjnego, który oświadczył, że jego podanie jest rozpatrywane, i dał mu do wypełnienia kolejne formularze. Stamtąd Kai udał się do urzędu telekomunikacyjnego, żeby zadzwonić do Tejaniego, ale w ostatniej chwili przypomniał sobie o czterech godzinach różnicy czasu. Tejani będzie jeszcze spał. Kupił więc kartę telefoniczną i po raz pierwszy od wielu miesięcy wpadł do Mary Rose na lunch. Jedząc, patrzył, jak Mary przechadza się po restauracji, dowcipkując z klientami. Najwyraźniej przestała żyć przeszłością. W przerwie między obsługiwaniem klientów przysiadła się do Kaia; rozmawiali o szpitalu, o planach Mary, by wprowadzić dania na wynos i dostawę do klientów. Kai nie wspominał o swojej wizycie w ambasadzie. Kiedy wstał, żeby wyjść, wzięła jego ręce w swoje, spojrzała mu prosto w oczy i biorąc go w ten sposób w jasyr, wymusiła obietnicę, że znowu ją odwiedzi.

Po lunchu znalazł zaciszne miejsce w parku i zadzwonił z komórki do Tejaniego. Tejani wrzasnął, gdy usłyszał wiadomość, a potem najwyraźniej odebrało mu głos.

– Niech ja skonam, niech ja skonam – powtarzał. Kai usłyszał, jak woła do kogoś w drugim pokoju. Domyślił się, że do Heleny. – Więc naprawdę masz zamiar to zrobić. Tak się cieszę.

– To dobrze.

Kai wyobraził sobie Tejaniego stojącego w szortach w ich nowym domu, oświetlonego od tyłu wpadającym przez oszklone drzwi słońcem, potrząsającego głową tak, jak to zwykł robić. A potem przypomniał sobie, że w Maryland nadal jest zimno, a Kai z Heleną nie wprowadzili się jeszcze do nowego domu, właściwie nie znaleźli jeszcze źródeł finansowania.

– Starasz się o wizę Ha Jeden Be, tak?

– Tak to się nazywa? – zapytał Kai.

– Zgadza się. Wysoko kwalifikowani imigranci. Lekarze są na samym szczycie listy. Byłoby łatwiej, gdybyś miał tutaj jakiegoś sponsora. Ale to nie jest konieczne. Będziesz musiał zdać specjalistyczne egzaminy, żeby nostryfikować dyplom. Powinniśmy już teraz poprosić o wyznaczenie terminu, zawsze można go przesunąć. Człowieku, nie mogę w to uwierzyć.

Kai słuchał głosu przyjaciela. Na linii był słaby pogłos. W to uwierzyć. W to uwierzyć. Słyszał amerykańską intonację, która pojawiła się w mowie Tejaniego, przypomniał sobie, jak w szkole małpowali amerykański akcent, jak na uniwerku przyswajali sobie amerykański slang. Tenisówki Converse. Rap. Nagle z zimnym dreszczem uświadomił sobie, że wstępuje na drogę, z której nie ma powrotu.

– Jeszcze nic nie jest przesądzone – powiedział.

Cisza w słuchawce.

– Chcę, żebyś tu przyjechał – odezwał się w końcu Tejani.

– Co mam powiedzieć? Brakuje mi ciebie. – I znowu przerywana trzaskami cisza.

– Masz rację – odparł innym głosem Kai. – Co ja plotę?

Przyjeżdżam.

Rozmawiali jeszcze przez kwadrans. Tejani snuł plany, udzielał mu różnych rad. Kai opowiedział mu o wycieczce do wodospadu.

– Przejeżdżaliście przez Port Loko?

– Tak.

– Ciekawe, co u niego słyhać...

Kai natychmiast domyślił się, o kim mowa. On też się nad tym zastanawiał. Doktor Bangura, specjalista od gorączki Lassa.

– Człowieku, nie wiem, co bym dał, żeby dowiedzieć się, co się z nim stało – kontynuował Tejani.

Bipnięcia w słuchawce ostrzegły Kaia, że kończy mu się doładowanie. Tejani zaproponował, że oddzwoni, ale Kai odparł, że musi wracać do szpitala. Schował komórkę do kieszeni i przez kwadrans siedział na ławce, patrząc na wracające ze szkoły dzieci.

– Chyba już gotowe – mówi Abass, zaglądając do garnka.

– W porządku. Ile potrzebujemy jodyny? – Kai zagłąda do zeszytu Abassa, w którym kanciastym dziecinny charakterem pisma zapisane są instrukcje dotyczące eksperymentu.– Napisałeś tutaj, że musimy najpierw wlać trochę twojego roztworu do dzbanka.

– Ja chcę, ja chcę! – Abass zeskakuje ze stołka.

– Gdzie są twoje owoce i warzywa? Miałeś je chyba przygotować?

– Aha! – Stropiony Abass zaczyna na chybił trafił przeszukiwać kuchnię.

W końcu jest gotów. Eksperyment ma określić poziom witaminy C w różnych produktach. Abass jest zafascynowany tym, że potrafi zmienić kolor purpurowego roztworu, wrzucając do niego kawałki owoców i warzyw. Nadal testuje różne produkty, a Kai zabiera się do smażenia kurczaków. Zostawiwszy chłopcu do dyspozycji część kuchni, pozwala mu wrzucić do próbówki z roztworem kawałek surowej skórki kurczaka, a następnie opisuje symptomy skorbutu, które Abass powoli zapisuje, co chwila ścierając coś gumką i poprawiając. Kai powtarza cierpliwie zdania, panierując kawałki kurczaka i kładąc je na rozgrzanej patelni.

Dochodzi ósma; jego kuzynka nadal nie wraca.

– Chodź – mówi do Abassa. – Zaniesiemy coś Yeامية.

Wkłada kilka kawałków kurczaka do plastikowego pojemnika, bierze plik banknotów z komody w swojej sypialni i idą razem alejką. U Yeامية zastają kobiety siedzące w kręgu, pośrodku którego dopalają się dwie lampy. Kai wręcza Abassowi kurczaki, żeby dał Yeامية, a sam wciska jej do ręki pieniądze. Kobiety reagują na to pomrukiem aprobaty. Abass staje nieśmiało przed Yeامية.

– Rośnie z niego fajny chłopak – mówi ona, gładząc go po ramieniu.

Abass nie rusza się z miejsca. Stoi z rękoma opuszczonymi po bokach i wypiętym brzuchem, nadal przyglądając się Yeامية.

– Bez ojca. – Mówiąc to, Yeama kiwa głową, jakby potwierdzała słuszność własnego spostrzeżenia. – Ale ma dobrą matkę.

Kobiety potwierdzają to zgodnym pomrukiem. Kai słyszy głos kuzynki dziękującej Yeامية za komplement.

– Ma również ciebie – kontynuuje Yeama, wskazując głową Kaia, po czym po raz ostatni klepie Abassa po ramieniu i popycha go delikatnie w stronę wujka.

Nikt nie spodziewa się, że będą długo siedzieli z kobietami; po kilku minutach Kai przeprasza i wychodzi. Razem z Abassem idą z powrotem do domu. Chłopiec milczy, dotrzymując po ciemku kroku Kaiowi.

Kai wie, że pewnego dnia nadejdzie ta chwila. Przybliża się za każdym razem, kiedy ktoś taki jak Yeama wygłasza podobną uwagę. Kai niemal widzi, jak w głowie Abassa kręcą się dziecinne trybiki, jak emocje przekładają się na myśli, myśli przeradzają się w pytania,

pytania, które dopiero się skryształizują.

Pewnego dnia.

\*

Trzecia w nocy. Kai słucha nosowego oddechu Abassa. Chłopiec znowu chciał, żeby Kai pozwolił mu spać w swoim łóżku. Leży teraz ze zgiętą nogą na samym środku. Kai wpatruje się w ciemność, po czym wstaje i wychodzi na podwórko.

Nie obudził go sen o moście ani w ogóle żaden sen, lecz wspomnienie, nagle wtargnięcie jawy do świata jego snów. Przypomnił sobie, jak ostatni raz widział ojca Abassa siedzącego na tylnej klapie pick-upa, w drodze na posterunek na wschodzie. Dwa razy w miesiącu wracał do domu. Pick-up miał już ruszać, ale on zeskoczył na ziemię, uścisnął dłoń Kaiowi i wdrapał się z powrotem. Zawsze wyjątkowo dbał o swój beret. Kai widział, jak bez końca poprawia go na wietrze, w miarę jak pick-up nabierał szybkości. Na twarzy miał typowy dla siebie wyraz pogodnego zdziwienia. W innym świecie byłby szczęśliwy, pracując jako listonosz albo farmer.

Dwa tygodnie później rebelianci weszli do miasta, w którym stacjonował. Przez kilka dni jego poczerńiałe zwłoki, stopione ciało i guma, leżały na wysepce drogowej, skąd nikt nie miał odwagi ich zabrać.

Być może, myśli Kai, powinienem porozmawiać z kuzynką. Zasugerować, że pora już powiedzieć Abassowi o okolicznościach, w jakich zginął jego ojciec. Przez chwilę się nad tym zastanawia. Myśli o kuzynce, o zielonoświątkowcach, którym użyczyła swojego domu, o dystansie, z jakim traktuje syna. Wcale nie chroni Abassa, zachowując się w ten sposób. Chłopiec łaknie obecności matki, a kiedy jej nie ma, zwraca się do Kaia. Lecz kimże jest Kai, żeby ją osądzać? Sam nigdy nie powiedział Nenebah, co zdarzyło się na moście. I co się stało z młodą pielęgniarką, Balia. Ukrył przed nią te rzeczy.

Którejś nocy leżał obok niej w łóżku, nie mogąc zasnąć i wiedząc, że ona też nie śpi. Usłyszał, jak westchnęła. Odwróciła się do niego i położyła mu rękę na piersi, a potem przesunęła ją niżej, muskając sutki, które instynktownie stanęły na baczność. Po chwili poczuł jej palce na brzuchu, którego mięśnie prawie boleśnie się napięły. Kai wstrzymał oddech, zadrżał i napinając nadal mięśnie brzucha, całą swoją mentalną energię skupił na jej poruszającej się dłoni. I poczuł, że maksymalnie na nią reaguje; gdy zwichrzyła delikatnie jego włosy łonowe, miał pełną erekcję. Jej palce odnalazły członek i zacisnęły się na nim. Kai wypuścił z płuc powietrze, na chwilę się odprężył i to był koniec. Próbował odzyskać kontrolę, próbował połączyć na powrót umysł z ciałem, z jej dłonią. Ale to było niemożliwe, przed oczyma widział obrazy, które domagały się, by poświęcił im pełną uwagę, wypierały terażniejszość. Nawet kiedy dłoń zastąpiła ustami, czuł wyłącznie jej język obrabiający zwiędły członek. Cały mieścił się zwinięty w jej ustach, to było zupełnie nowe doznanie. To ona w końcu podniosła się, pochyliła i pocałowała go w usta. Żadne z nich się nie odezwało. Nenebah wtuliła się w jego bok i zasnęła. Nadal było między nimi wystarczająco dobrze, by tak to się skończyło.

Miesiąc później Tejani oświadczył, że wyjeżdża. Wielokrotnie o tym wcześniej rozmawiali; Tejani był na to od początku zdecydowany. Kai odprowadził przyjaciela, przybił mu piątkę i obiecał, że pójdzie w jego ślady. Ale nie poszedł.

W pobliżu jakiś pies zaczyna szczekać wraz z innymi. Kai myśli o minionym dniu i czekającej go teraz podróży. Nie brakuje mu odwagi, żeby się w nią wybrać. Nie.



**Zabrakło mu raczej odwagi, żeby zostać.**

# ROZDZIAŁ 35

– Jak pan spał? Śniło się panu coś jeszcze?

Elias Cole śmieje się zgrzytliwym, gęstym od flegmy śmiechem.

– To nie jest miejsce, w którym można by się dobrze wyspać.

– Budzili pana?

– Zawsze coś się dzieje, ktoś umiera albo próbuje umrzeć. Lekarze i pielęgniarki uparli się, żeby temu przeszkodzić.

– Udaje się panu znowu zasnąć?

– Zastanawiam się, kto będzie następny, boję się, żeby ten sen nie był ostatni. Z drugiej strony, jeśli śni mi się coś przyjemnego... – Znowu ten śmiech.

Adrian się uśmiecha.

– Jeśli pan chce, mogę poprosić lekarza, żeby panu coś przepisał.

– Po co?

– Niech pan mi da znać, jeśli zmieni pan zdanie.

– Oczywiście. – Elias Cole podciąga się w powolny, ostrożny sposób, typowy dla osoby, której każdy ruch naznaczony jest bólem. Kaszle i ten kaszel obejmuje całe jego ciało.

Adrian czeka.

Elias Cole ociera usta ściereczką.

– Nie jestem człowiekiem przesadnym. Urodziłem się w mieście. Nie podzielam wiejskich zabobonów Babagaleha. Dla niego nie ma takiej rzeczy jak śmierć naturalna; wszyscy żylibyśmy wiecznie, gdyby nie klątwy, które rzucają na nas wrogowie. – Elias spogląda na Adriana. – W ciemności przychodzą do głowy najróżniejsze myśli. Człowiek zaczyna sobie wyobrażać.

– Co wyobrażać?

– To jakby zbieg okoliczności, nieprawdaż? Sposób, w jaki umieram, tak podobny do śmierci Juliusa...

– Sądzi pan, że zwłóknienie pańskich płuc jest wynikiem klątwy?

Zaciekawiony Adrian pochyla się do przodu. Stary mężczyzna odwraca się, ich oczy się spotykają. Elias Cole uśmiecha się i w tym momencie wygląda nagle zupełnie inaczej: inteligentny, zimny i czujny. Adrian dostrzega błysk w jego oku. To, co widzi, nie jest publiczną twarzą Cole'a. Dziesięć, dwadzieścia lat temu Elias Cole był na zewnątrz zupełnie innym zwierzęciem. Adrian uświadamia sobie, że wolałby nie mieć w nim wroga. Odchyła się do tyłu.

– Nazwijmy to po prostu ironią losu – mówi stary.

\*

Nasz pierwszy wspólny wieczór spędziliśmy w Ocean Club. Czuję, że ludzie się na nas gapią. W czasach, kiedy każda rozmowa może mieć niepożądane konsekwencje, puste miejsce wypełnia plotka. Po kolacji Saffia i ja wróciliśmy do domu na kampusie.

Jego remont dobiegł już końca i generalnie się udał. Prowadziłem Saffię z pokoju do

pokoju. Niektóre rzeczy wymagały dopracowania. Meble przypisane do nieruchomości rozczarowały. Wyglądały, jakby wybierał je ślepiec. Zasłony w toksycznym żółtym kolorze. Drewniana sofa pokryta obiciem w czerwone ciapki. Obity inną wzorzystą tkaniną fotel, bujak, który, co odkryliśmy później, miał zwyczaj przewracać się i zwałać siedzącego na podłogę.

Nie jestem człowiekiem wyrafinowanym; wyposażenie mojego mieszkania nigdy nie wykraczało poza czystą funkcjonalność. Ale Saffia miała oko do szczegółów. Dlatego wyobrażałem sobie chyba, że pokażę jej pokryty nowym dachem i odmalowany dom, a potem roześmiejemy się razem na widok mebli i w ciągu następnych tygodni pierwszym zadaniem Saffii stanie się urządzenie wnętrza na nowo. Taką przynajmniej miałem nadzieję.

Przyjrzała się pokojowi, stojąc w jego rogu. Trudno było nie spostrzec, że jej wzrok nie zatrzymał się na żadnym przedmiocie, lecz przez cały czas błędził niespokojnie z miejsca na miejsce.

Rzuciłem jakiś żart, prosząc ją o zdanie. Wymyśliłem sobie, że przez kilka chwil będę udawał zachwyconego wystrojem. Pomysł okazał się głupi. Saffia uśmiechnęła się i spojrzała na mnie tym samym niewidzącym wzrokiem, którym omiotła pokój.

– To naprawdę wspaniały dom, Eliasie. Dziękuję.

\*

Czy mnie kochała? Nie sądzę. Czy to miało jakieś znaczenie? Z początku nie. Wydawało mi się wówczas, że Saffia znalazła się w punkcie, kiedy nie myśli się o miłości.

Ale jestem człowiekiem zazdrosnym. Byłem zazdrosny o mojego młodszego brata. Nawet nie o to, że kochała go moja matka. Zazdrościłem mu chyba tej jego radości, tego, co sprawiało, że ludzie reagowali na niego tak, jak reagowali. Był absurdalnie szczęśliwym dzieckiem, a ja nie miałem pojęcia dlaczego. Zazdrościłem Juliusowi tego, że miał Saffię. Zacząłem nawet być zazdrosny o Kekurę i Yansaneha. O tancerza. O każdego mężczyznę, który się do niej zbliżał.

Niech więc pan sobie wyobrazi, jak to wygląda, kiedy jest się w miłosnym trójkącie z duchem. Pański rywal, w majestacie śmierci, nie może nigdy popełnić błędu ani rozczarować. Julius opuścił Saffię, ale robiąc to, odpokutował za wszystkie swoje grzechy, za swój kolosalny egoizm i bezbrzeżną głupotę. I jeśli może się wydać, że w tym, co mówię, jest jakaś sprzeczność, to nieprawda. Opisuję po prostu paroksyzmy, do których zdolne jest ludzkie serce.

\*

Wspomnienie.

To, jak kochałem się z Saffią.

Dotykam jej pleców. Przez kilka sekund, zanim się do mnie nie odwróci, jest zupełnie nieruchoma. Całuję ją. Pieszczę. Ona obejmuje mnie ramionami. Ale przed czymś się wstrzymuje. Dotyka mojej skóry o wiele za lekko, jakby bała się kontaktu. W księżycowej poświacie, która wślizguje się przez żaluzje do pokoju, widzę, że ma otwarte oczy.

Pamiętam Vanesę, jej wypowiedane szeptem zachęty i czułe słówka. Z Vanesą mogłem się całkowicie zatracić. Opanowała do mistrzostwa sztukę kokieterii i uwodzenia i używała jej, by sprawić mi przyjemność. Vanessa potrafiła być szczodłą kochanką dla tych, którzy byli szczodrzy dla niej. Pamiętam symulowaną pasję dziewczyny z baru. Okazała mi przynajmniej jakąś wdzięczność. Podziwiała mnie. Mężczyzna potrzebuje jakiejś zachęty. Myślę o niej

nawet z pewną czułością.

To nieprawda. Nie myślę z czułością o tej dziewczynie. O kimś, kto zarabia na życie, udając rozkosz. To samo dotyczy Vanessy. Vanessa należy po prostu do wyższej ligi, ma większe aspiracje i dlatego potrafi lepiej udawać.

Tak naprawdę, jeśli chce pan wiedzieć, nigdy się tym nie przejmowałem. Nie oczekiwałem, by kobieta przeżywała akt w taki sam sposób jak mężczyzna. Był okres, gdy te kobiety mi wystarczały. Wystarczał mi odbywany z nimi akt miłosny. Lecz teraz już nie.

Nie porównuję tego, co miałem z nimi, z tym, co miałem z Saffią. To wszystko kłamstwo.

Ale nadal pamiętam ten dzień. Dzień, kiedy pojechałem z uczelni do różowego domu z ładunkiem krzesel na urządzone wieczorem przyjęcie. Nie mogę skasować tego wspomnienia. Zakrada się do mojego umysłu jak złodziej, wślizguje niczym wpadająca przez żaluzje księżycowa poświata.

Pamiętam, jak wszedłem przez otwarte drzwi do pogrążonego w półmroku domu. Pamiętam, jak stałem tam w otwartym, przestronnym holu, słuchając tych odgłosów. Odgłosów, które dobiegały zza zamkniętych drzwi sypialni. Przypominam sobie ordynarną uwagę i śmiech kierowcy. I gorący rumieniec na mojej twarzy.

A także to, co naprawdę wtedy myślałem. Że dopóki kierowca nie wybuchnął tym swoim sprośnym rechotem, nie umiałem rozpoznać dźwięków, które obaj słyszeliśmy. Były mi nieznane, ponieważ nie miałem pojęcia, jak brzmi kobieca rozkosz. Gdy usłyszałem ją po raz pierwszy tamtego dnia, nie przypominała w ogóle dźwięków, które wydawała Vanessa. I teraz już wiedziałem. Wiedziałem, co mi robiła Vanessa, i byłem wściekły. Słyszałem dobywającą się prosto z trzewi, dziką, nieposkromioną rozkosz, niedającą się pomylić z niczym innym.

To właśnie pamiętam, kiedy leżę z Saffią.

I chociaż się przed tym wzbraniam, to wspomnienie mnie podnieca. Ale Saffia nie udaje rozkoszy. Gniew wraca, rośnie i dodaje mi sił. Wpadam w szal.

I nagle słabnę.

\*

Przyszedł moment, gdy stałem się zardosny nawet o Saffię, o to, z czym się kryła, czym nie chciała się podzielić. Moja zazdrość – zrodzona z frustracji i nieukojenia – zmieniała się w gniew, niski, niegodny gniew. Chciałem ją złamać. Podczas posiłków siedziałem i patrzyłem, jak żuje jedzenie, patrzyłem, jak porusza szczęką, jak przelyka. Przez jakiś czas stało się to moją obsesją. Obserwowałem ukradkiem, jak chodzi po domu, czyta książkę, szyje albo robi listę zakupów. Jeśli przypadkiem odwracała się w moją stronę i widziała, że się przyglądam, uśmiechała się do mnie tym swoim płytkim, tak dobrze mi znanym uśmiechem. A ja uśmiechałem się do niej. Obserwowałem ją i w innych sytuacjach. Dawniej knułem, by wpaść na nią w tym czy innym miejscu, odkryć, jakie ma plany, i zadbać o to, by zbiegły się z moimi. Teraz bezskutecznie usiłowałem ją złapać na małych kłamstewkach i wykrętach. Odnajdywałem ukryte znaczenia w najbardziej banalnych stwierdzeniach. Przeglądałem jej papiery i rzeczy. Nie wiedziałem, czego szukam. Nie podejrzewałem jej o nic poza tym, że o mnie nie dba. Tymczasem ona prowadziła dom, planowała moje posiłki, wykonywała wszelkiego rodzaju prace domowe; wysłuchiwała mnie i ze mną rozmawiała. I dlatego to było takie straszne.

\*

Pewnego wtorku przez cały ranek pracowałem w swoim gabinecie. Fakt, że miałem blisko do pracy, był jedną z korzyści, jakie dawało mieszkanie na terenie uczelni. Czasami, kursując między biblioteką i swoim gabinetem, wspinałem się sto metrów pod górę. Widząc samochód przed domem, upewniałem się, że Saffia jest w środku. Zachodziłem tam niekiedy dwa albo trzy razy w ciągu dnia. Dzięki niedawnemu awansowi coraz mniej czasu spędzałem w archiwach. Nadal wykładałem, nadal zbierałem materiały i nadal pisałem, ale miałem coraz więcej obowiązków administracyjnych. Nie skarżyłem się. Szczerze mówiąc, nawet mi to odpowiadało. Proste, wymierne i w zasadzie łatwe do zrealizowania cele. Nie traciłem z oczu naukowych nowinek; w ciągu tych lat opublikowałem kilka prac. Jedna z nich, na temat wczesnych systemów monetarnych, spotkała się z przychylnym przyjęciem w kręgach akademickich i przyczyniła do uzyskania przeze mnie profesury.

Ale wszystko to miało dopiero nastąpić.

Samochód stał na podjeździe. Chciałem już zawrócić, kiedy zobaczyłem, że Saffia wychodzi z domu w pomarańczowej chustce na głowie. Nie wsiadła do auta i nie odjechała, jak można było się spodziewać, lecz ruszyła pieszo w przeciwnym kierunku, przez kampus. Po krótkim wahaniu podążyłem za nią i wkrótce dotarliśmy do wschodniej bramy uniwersytetu. Nie korzystano z niej zbyt często z tego prostego powodu, że była oddalona od głównych budynków kampusu. Miała jednak tę przewagę, że wychodziło się przez nią prosto na domy i sklepy jednej ze starych kreolskich wiosek. Można tam też było łatwo złapać jakiś środek transportu. Saffia zatrzymała taksówkę, wsiadła do niej i odjechała.

Wieczorem przy kolacji zapytałem, jak spędziła dzień. Co ciekawe, nie wspomniała nic o wyjeździe poza teren uniwersytetu.

Nazajutrz wezwałem Babagaleha. Służył już wtedy u nas. Przysłała go z wioski ciotka, odznaczał się jednak bardziej od niej uległym charakterem. O wiele łatwiej było mu załatwić niepostrzeżenie to, co było do załatwienia. Prosząc go o to, nieco ryzykowałem. Był z plemienia Saffii, nie mogłem wiedzieć, czy będzie wobec mnie lojalny. Nie pamiętam już, jakich użyłem słów, ale sformułowałem to tak, jakby chodziło o jej dobro. Dałem do zrozumienia, że martwię się o jej zdrowie.

Babagaleh dobrze się spisał. Przez pierwsze dwa dni Saffia nie robiła nic poza tym, co należało do jej codziennych obowiązków. Babagaleh był, a raczej powinienem powiedzieć, jest człowiekiem nadzwyczaj oszczędnym w słowach. Cenię w nim to, że nie ulega pokusie kwiecistego stylu i nie odbiega ustawicznie od tematu, czym odznaczają się często ludzie jego stanu i co ich zdaniem ma świadczyć o tym, jak bardzo są oddani swoim chlebodawcom. Babagaleh wiedział, czego się od niego wymaga. Obserwował, czekał, a kiedy miał do przekazania informacje, po prostu mi je przekazywał. Cytując jego własne słowa, Saffia jeździła do domu, w którym mieszkała kiedyś z panem Juliusem.

Ciekawe, że wiedział o tym ostatnim fakcie, bo wedle mojej orientacji nigdy wcześniej nie był w tym domu.

Nadeszła pora sucha. Z miasta nie było prawie widać wzgórz, poblądłe za welonem pyłu słońce upodobiło się do księżyca. Pamiętam, że był styczeń, ponieważ w tym miesiącu odbywało się zawsze przyjęcie dla pracowników wydziału wraz z żonami.

W tamtym roku, roku, o którym mówię, wieczór był chłodny i wiał pustylny wiatr. Wśród zaproszonych był oczywiście i dziekan; rozmawialiśmy przez kilka minut, a potem opuścił nas,

by – jak to miał w zwyczaju – popracować jeszcze w swoim gabinecie. Jego pracowitość przyniosła owoce, gdy dziesięć lat później został rektorem.

Zdarzyło się coś zastanawiającego: pod koniec wieczoru Saffia poczuła się niedobrze. Wypiła dużo brandy i piwa imbirowego. Złożyłem to na karb jej braku doświadczenia z alkoholem.

Wszystko to działo się, zanim odkryłem, że Saffia wychodzi z domu w pomarańczowej chustce na głowie. Zastanawiałem się, dlaczego nie wzięła samochodu. Teraz ta decyzja wydawała się sensowna. Nadal jeździła volkswagenem variantem. Nie chciała zwracać na siebie uwagi w swojej dawnej dzielnicy.

Zastanawiałem się, co robić. Postanowiłem przeprowadzić własne śledztwo.

Pewnego popołudnia wybrałem się do różowego domu. Minęły dwa lata, odkąd byłem tam po raz ostatni, trzy, odkąd umarł Julius. Niewiele się zmieniło. Sąsiadka, bazarowa handlarka, jak ją nazywałem, wciąż tam mieszkała. W każdym razie krzesło nadal stało na werandzie i miałem wrażenie, że słyszę dobiegający z za domu jej głos. Drzewko pomarańczowe na podwórku wyrosło, jego gałęzie się pochyliły. Drzwi wejściowe były zamknięte na cztery spusty. Po wyprowadzce Saffii i jej ciotki dom wynajęli nowi lokatorzy. Przypuszczałem, że oni też zdążyli się wyprowadzić i właściciel miał nowe plany dotyczące tego miejsca.

Cała posesja wydawała się zaniedbana. Co powodowało takie wrażenie? Mrok za oknami? Brak śladów stóp na kamiennych schodkach, które pokryły się kurzem? Czy po prostu niewyjaśniony ubytek siły życiowej? Różowy dom pogrążony był w bezruchu.

Obszedłem go dokoła, kierując się tam, gdzie, jak pamiętałem, była niewielka furтка. Prawie nikt z niej nie korzystał z wyjątkiem Saffii, kiedy dostarczała na wesela i inne imprezy rośliny w doniczkach i wiszących koszach. Łatwo udało mi się ją otworzyć.

I jakimś trafem wszystko wyglądało dokładnie tak, jak się spodziewałem. Ogród był uporządkowany i wypielony. Przyszło mi do głowy, że być może właściciel zatrudnił jakiegoś ogrodnika na czas, kiedy dom był niezamieszany. Idąc dalej, zdałem sobie sprawę, że to niedorzeczność. Nie ulegało kwestii, że to dzieło Saffii. Zszedłem ścieżką do końca ogrodu, przenosząc się myślami w przeszłość. Do miejsca, w którym stałem pijany pod drzewem i gapilem się na gwiazdy w dniu lądowania na Księżycu. Tam, gdzie przystanąłem z Saffią przy liliach harmattanu w pierwszym tygodniu naszej znajomości. I gdzie ponownie stałem przed dwoma laty, kiedy napomknęła o przyszłości i moje serce wypełniła nadzieja.

Lilie były wspaniałe. Całe dziesiątki, w głębokim szkarłatnym kolorze, chyliły ku mnie swoje lejkwate głowy. Czy kwiat może przybrać jakąś minę? Pytam, bo uzna pan pewnie, że bujam w obłokach, jeśli to powiem albo jeśli tak wtedy myślałem. Stojąc tam wówczas, miałem wrażenie, że otwieram pokój pełen milczących dzieci: uważnych, nasłuchujących, oczekujących. Wiedziałem, że odnalazłem to, czego szukałem. Ruszyłem z powrotem.

Kiedy wychodziłem, handlarka stała na werandzie. Idąc ulicą, czułem na sobie jej wzrok. Przynajmniej raz się nie odezwała.

I w tym milczeniu była bardziej wymowna, niż gdyby chlapnęła coś swoim niewyparzonym jęzorem.

\*

Pod koniec 1972 roku urodziła się nasza córka. Mówiłem sobie, że dałem Saffii jedyną rzecz, której nie dał jej Julius. Nie miało to znaczenia. Saffia była tak samo powściągliwa jak

zawsze. Ogarnęła ją jakaś apatia. Tak jakby zdała sobie sprawę, że wychodząc za mnie, popełniła błąd, ale teraz było już za późno. Dlatego, jak czyni to wiele kobiet, przełknęła gorzki kłęk i się poddała. Bezruch był tym, co pozostało.

Z wioski wróciła ciotka i Saffia przekazała jej większość obowiązków związanych z wychowaniem dziecka. Z wdzięczności nadaliśmy córce imię starszej pani. Nie było to prawdziwe imię dziewczynki, bo to zostało wybrane już wcześniej, ale imię domowe, którego używaliśmy, gdy się do niej zwracaliśmy.

Co do mnie, pokochałem to dziecko od samego początku. A ono odwzajemniło tę miłość. Nie mam wątpliwości, że to doznanie, jakiego doświadczają wszyscy mężczyźni, a w każdym razie ich zdecydowana większość. Być może samo mówienie o miłości małego dziecka jest głupotą, bo czyż dziecko nie kocha samolubnie, podobnie jak szczenię kocha każdego, kto się nim zaopiekuje? Ale przynajmniej raz w życiu nie musiałem pytać, co we mnie widzi, ani zastanawiać się, dlaczego chce ze mną spędzać czas, analizować jej motywów. Była moją córką, a ja jej ojcem. Pierwsza miłość, którą zawsze mogłem traktować jako oczywistą.

Nawet Babagaleh był pod urokiem tego dziecka. Nauczyła go liter, wie pan? Widywałem często, jak siedzi wśród jej lalek i pluszowych misiów przed dziecinną tablicą. Lubiła bawić się w nauczycielkę. Później siadywał z nią, kiedy odrabiała lekcje. W ten sposób nauczył się czytać i robi to całkiem nieźle, choć utrzymuje, że jest inaczej. W piątki zabierał ją do meczetu i popisывał się nią... udając... że to jego córka...

\*

Rzęzenie. Młócenie rękoma. Ciało starego wpada w konwulsje. Jego usta otwierają się i zamykają. Adrian zrywa się, bierze go pod pachy i podciąga wyżej, a potem biegnie do drzwi i wzywa pielęgniarkę. Kiedy ta zajmuje się pacjentem, czeka na korytarzu.

Wszędzie dokoła panuje cisza, słychać tylko chróbot przesuwanego po podłodze wiadra i plusk wody. A potem odgłosy otwieranej bramy szpitala i wjeżdżającego pojazdu.

Adrian myśli o ostatniej części opowieści Eliasa Cole'a. Dzieckiem jest oczywiście Mamakay.

# ROZDZIAŁ 36

Są w barze U Pedra, gdzie Adrian był wcześniej z Kaiem. Adrian zostawia Mamakay przy stoliku i idzie po drinki.

– Jedno piwo, jeden rum z colą – mówi do barmana, podnosząc palec, żeby usłyszał go w zgiełku. Przy barze jest pełno ludzi. Adrian z trudem odwraca się i opiera plecami o kontuar, żeby widzieć Mamakay.

– Super miejsce! – mówi stojący obok niego mężczyzna.

Adrian zerka na niego i kiwa głową. Facet jest młody, w każdym razie młodszy od niego, ubrany w płócienne spodnie i koszulkę polo – współczesny uniform Europejczyka w tropikach. Ma spoconą, żółtawą skórę. Oparty plecami o bar, kciuki wcisnął w kieszenie spodni, palcami osłania krocze. Z drugiej strony wtula się w niego dziewczyna o smętnej twarzy. Jej lewa dłoń przesuwa się w górę i w dół po wewnętrznej stronie jego uda. Adrian pozdrawia ją skinieniem głowy i robiąc to, rozpoznaje w niej dziewczynę w fioletowym topie, którą widział tu raz poprzednio.

– Mam bazę na północy – kontynuuje mężczyzna. – Przyjechałem do stolicy na spotkanie z naszymi fundatorami. Muszę im pokazać kilka naszych projektów, upewnić, że ich pieniądze są w znakomity sposób wykorzystywane, pozwolić im sfotografować się z okaleczonym dzieckiem, a jeszcze lepiej z byłym dzieckiem-żołnierzem. Takie rzeczy doprowadzają ich do orgazmu.

– Naprawdę? – pyta Adrian, rozglądając się za barmanem.

– Trzymaj za mnie kciuki, chłopie. Bo lubię to miejsce i mam zamiar tu zostać. Te kobiety! – Facet głośno gwizdże, po czym nachyla się do Adriana. – Wystarczy im postawić parę coca-coli i możesz się z nimi pieprzyć przez całą noc – dodaje szeptem.

W tym momencie pojawia się barman z drinkami. Adrian odrywa się z ulgą od baru.

– Jestem Robert – przedstawia się tamten. – Słuchaj, przyprowadź tu swoją dziewczynę. Zabawimy się razem.

– Nie, dziękuję – odpowiada Adrian.

Mamakay patrzy na niego, kiedy stawia drinki na stoliku.

– Znasz tego faceta?

– Nie – mówi szybko Adrian. – Boże broń.

– O czym rozmawialiście?

Adrian, choć nie ma na to wielkiej ochoty, powtarza jej wynurzenia Roberta.

Mamakay siedzi w milczeniu, nie patrząc na niego i najwyraźniej już nie słuchając, lecz wpatrując się w Roberta, który nie zwraca na nią w ogóle uwagi, całkowicie skoncentrowany na dziewczynie obejmującej teraz udami jego kolano i kręcącej biodrami w rytm muzyki. Mamakay wstaje od stolika i idzie do toalety. Adrian siedzi i czeka, popija swoje piwo, zastanawia się, jak poprawić jej nastrój. W końcu dostrzega ją wracającą z łazienki. Mamakay uśmiecha się do niego i siada. Adrian ma zamiar zapytać ją, czy wszystko w porządku, ale jego uwagę przyciąga zamieszanie przy barze. To Robert, który z kimś się



kłóci. Adrian widzi, że dziewczyna, która gładziła go po udzie, łapie swoją torebkę i odchodzi. Mamakay też ich obserwuje. Gdy awantura ucicha, bierze szklankę i popija drinka.

– O co im poszło? – pyta Adrian.

– Kiedy byliśmy w damskiej toalecie, powtórzyłam jej, co mi powiedziałeś.

Dopiero po chwili Adrian przyswaja sobie tę informację. Zerka ukradkiem na Roberta, ale pracownik organizacji pomocowej siedzi odwrócony do nich plecami.

– Rozumiem – mówi w końcu Adrian.

Mamakay dodaje coś półgłosem.

– Słucham? – pyta Adrian, nachylając się do niej.

– To moja koleżanka z klasy. Chodziłyśmy do tej samej szkoły. Ma na imię Josephine.

Adrian przypomina sobie, co myślał, gdy po raz pierwszy zobaczył dziewczynę w fioletowym topie, i ogarnia go wstyd. Gdy spogląda ponownie w stronę baru, Roberta już tam nie ma.

\*

Przyjeżdżając tutaj, nie spodziewał się znaleźć szczęścia.

Wieczorami wychodzą z domu, odwiedzając czasami stare, czasami nowe miejsca. Adrian chce poznać jej miasto, chce dzielić z nią jej świat. Stołują się u Mary, względnie kupują coś od kobiet, które rozstawiają swoje stragany na poboczu drogi, żeby sprzedawać jedzenie robotnikom. Niekiedy, nie tak często, Mamakay sama coś gotuje. Je rękoma i śmieje się z jego żartów; potrafi niekiedy być tak samo ekstrawagancka i nieobliczalna w jego towarzystwie, jak on, Adrian, w jej. Prawie nie znał się od tej strony, choć nie jest to strona nowa, pręcej zapomniana. Często się kochają. Adrian nie wie, jak to się stało, że jest do tego zdolny, ale jest i wciąż odnajduje nowe przyjemności. Zdumiewa go, że Mamakay marznie w nocy. Zasypia w jego objęciach, opasując go udami, przytulona do jego piersi. Adrian leży przez godzinę, prawie nie oddychając, żeby jej nie obudzić. Przygląda się jej i choć odległość jest zbyt mała, a pozycja niewygodna, udaje mu się zapamiętać konfigurację wszystkich włosów na jej głowie. W pewnym momencie ośmiela się podnieść rękę i ich dotknąć. Są pytania, które chciałby zadać. Ilu miała wcześniej kochanków? Kim są i jak się nazywają? Który był pierwszy, a który ostatni? Czy któregokolwiek z nich kochała? Chce o to zapytać, lecz nie ma śmiałości. Boi się tego, co się stanie, gdy zacznie, bo wie, że nigdy nie zdoła przestać.

Któregoś wieczoru siedzą i popijają piwo na balkonie na piętrze. Lokator mieszkania wyjechał na kilka dni.

– Trzeba czasami zmienić scenerię – mówi Mamakay. – Mam dosyć gapienia się na beton.

Z balkonu widać dach domu naprzeciwko i stłoczone chaty. Teraz Adrian już wie, że nazywają się panbodies.

Przez otwarty teren maszeruje grupka obdartych dzieciaków, popychając przed sobą jednego z chłopców jako więźnia. Inny chłopiec uderza go i więzień się zatacza.

– Hej! – Mamakay zrywa się z miejsca i krzyczy na dzieci, które zatrzymują się i patrzą w górę, a potem jedno po drugim spuszczaają głowy i odchodzą.

– W Wielkiej Brytanii nie mogłabyś tego zrobić.

Mamakay siada naprzeciwko niego.

– Naprawdę? – pyta rozbawiona.

– Naprawdę – odpowiada Adrian. – Masz jakichś braci albo siostry?

– Nie.

– To chyba niezwykle?

Mamakay kiwa głową.

– Nie wiem, dlaczego zostałam jedynaczką. Chciałam mieć braciszka, wiesz, jak tego chcą małe dziewczynki. Mówiłam o tym matce. Nigdy nie powiedziała tak i nigdy nie powiedziała nie. Po jakimś czasie dałam spokój. Chyba zmieniłam zdanie. Więc nie. Nie mam rodzeństwa.

Adrian nie opowiedział jeszcze Mamakay o relacjach, jakie łączą go z jej ojcem. Powtarza sobie, że tak naprawdę nie ma mowy o konflikcie sumienia. Jego pacjentem jest Elias Cole, nie Mamakay. A i Elias Cole nie jest do końca pacjentem. Trzeba by to jednak wyjaśnić. W Wielkiej Brytanii jego znajomość z Mamakay uznano by bez wątpienia za problematyczną z profesjonalnego punktu widzenia. Ale nie są w Wielkiej Brytanii.

Coś wylatuje z ciemności i opada na drzewo papai z trzepotem skrzydeł, który brzmi jak łopotanie szota grotą. Drzewo jest na wysokości balkonu, liście nieomal w zasięgu dłoni. Mamakay oświetla je latarką i widzą nietoperza owocowego. Adrian słyszy, jak zwierzę wysysa głośno owoc, najwyraźniej niezrażone ich bliskością. Podlatuje drugi nietoperz i mości się w tej samej szczelinie. Adriana zadziwia, jak jednolicie czarne są ich skrzydła, pyski i szpony, zupełnie jakby cała czerń zebrała się w jednym czarnym stworzeniu. Chciałby je narysować, ale pojawiają się tylko po zmierzchu, mówi Mamakay. Przynosi lampę naftową, stawia ją na stole między nimi i siada, opierając pięty o skraj krzesła, obejmując ramionami kolana i trzymając w jednej ręce butelkę piwa. Światło wydobywa z mroku owal jej twarzy i kontury warg, odbija się w jej oczach. Adrian dowiaduje się, że studiowała na uniwersytecie historię, podobnie jak ojciec.

– Myślałaś o tym, żeby zostać na uczelni?

– Nie ukończyłam studiów.

– Z powodu wojny?

– Można tak powiedzieć. – Mamakay wstaje. – Jesteś głodny? – pyta, zmieniając temat. – Bo ja jestem. Muszę coś zjeść. Wyjdźmy gdzieś. – Nagle nie jest już odprężona, lecz podminowana.

– Jasne – odpowiada Adrian, który nigdy jej jeszcze niczego nie odmówił.

\*

Kiedy Mamakay przy nim nie ma, próbuje wyczarować z nicości jej twarz. Zamyka oczy, ale magia nie działa. Gdy są razem, obserwuje, uczy się jej rysów, jej gestów. Mimo to później nie jest w stanie ich odtworzyć. Tak jakby odchodząc, zabierała całą siebie.

Adrian zdaje sobie również sprawę, że ona nigdy go o nic nie pyta, nawet o to, kiedy się znowu spotkają. Gdy są razem, poświęca mu całą swoją uwagę, lecz zachowuje się tak, jakby w ogóle nie budził jej ciekawości. To go niepokoi. Kiedy patrzy na nią, leżącą w łóżku i odwróconą plecami, wraca do niego wspomnienie dziewczyny w fioletowym topie z tamtej nocy w barze, wykrzywione, zniekształcone, zmienione w coś innego. Paranoja zakochanego mężczyzny. Ona coś wyczuwa, bo odwraca się i patrzy na niego, marszcząc lekko czoło.

– O co chodzi? – pyta.

– Czy robiłaś to wcześniej wiele razy?

Mamakay opiera się na łokciu i wodzi palcem wskazującym po jego jabłku Adama. Adrian boi się odezwać.

– Co masz na myśli? – pyta ona, zabierając palec.

– Czy robiłaś to już wcześniej? – odpowiada z zapartym tchem Adrian.

Mamakay wpatruje się w sufit, kreśląc w powietrzu kółka tym samym palcem wyciągniętej ręki. Dla Adriana jest coś hipnotyzującego w tym palcu, przekraczającym granice rzucanych przez księżycową poświatę cieni.

– Nie – mówi Mamakay.

Ulga jest tak olbrzymia, że Adrianowi robi się słabo.

– A ty? – pyta ona, nadal kreśląc kółka po suficie.

– Nie – odpowiada Adrian.

– No to dobrze.

Mamakay ponownie odwraca się do niego plecami. Jego uczucie ulgi znika.

– Dałaś mi szczęście – mówi do jej pleców.

– Cieszę się – odpowiada ona do ściany.

– I to sprawia, że się boję.

Mamakay odwraca się do niego.

– Nie powinieneś się bać – stwierdza, nie szepcząc tak jak on, lecz mówiąc normalnym głosem.

– Dlaczego nie?

– Bo to bezcelowe. Co ma być, to będzie.

Adrian obraca się na plecy i obserwuje księżycowe cienie na suficie. W oddali słychać grzmot. Odwraca się do niej z powrotem, źle ocenia odległość i wali ją mocno głową w twarz. Od siły uderzenia dzwonią mu zęby. Całując ją w usta, czuje smak krwi. Przynosi pudełko zapalek i zapala jedną z nich po ciemku.

– Skaleczyłem cię – mówi, patrząc na jej wargę.

Zapałka gaśnie. Adrian kładzie się i obejmuje ją ramieniem.

Czuje, że jej ciałem wstrząsa chichot. Nagle oboje wybuchają śmiechem.

– Kogo kochałaś najbardziej? – pyta rano, ponieważ powiedział jej już rzeczy, których nie zamierzał mówić, i to go rozzuchwaliło.

– Masz na myśli mężczyznę?

– Tak.

– Nie psa?

– Nie.

– Ani nietoperza?

– Nie mam na myśli nietoperza.

Z radością się z nią przekomarza, ale jest uparty.

Mamakay sprząta kuchnię, szorując blaty vimem. Cieszy go, że nie krępuje się wykonywać przy nim drobnych prac domowych. Odwraca się do niego z rękoma w białym proszku i z gąbką w dłoni; mleczna woda splywa jej po przedramionach i kapie z łokci. Uśmiecha się, lecz mimo to jest poważna.

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

– Tak. Byłaś wcześniej zakochana?

Chce wiedzieć, czy to, co się dzieje, zdarzyło się już wcześniej. Kochankowie zawsze chcą to wiedzieć. Czuje, że zachowuje się stereotypowo, lecz to go nie powstrzymuje.

– Raz – odpowiada Mamakay, podnosząc pobielający palec.

– Tylko raz. Praktycznie razem dorastaliśmy. Byliśmy razem od zawsze, takie przynajmniej mieliśmy wrażenie.

– Wyszłabyś za niego?

– Tak – mówi Mamakay.

W ogóle się nie waha i to go rani, choć prosił ją, żeby była szczerą. Adrian milczy. Ona odwraca się, żeby odłożyć gąbkę do zlewu, a on podchodzi do niej, obejmuje ją w pasie i opiera podbródek o jej łopatkę.

– I co się stało?

– To co się zwykle dzieje. Rozeszliśmy się w różne strony. On był ode mnie bardziej ambitny. W końcu oddaliliśmy się od siebie tak bardzo, że nie mogliśmy się już dotykać. On też się zmienił.

Mamakay wzrusza ramionami.

Adrian stoi nieruchomo. Ona nadal ściera plamę na blacie. Ta gra robi się zbyt niebezpieczna. Nie chce już zadawać dalszych pytań. Przestaje mówić.

A Mamakay naturalnie o nic go nie pyta.

# ROZDZIAŁ 37

Ze względu na dodatkowe dyżury Kaiowi przysługuje każda liczba dni wolnych. Woląc uniknąć spotkania z panią Marą, informuje Seligmanna, że przez jeden dzień go nie będzie. Abass ma ferie i nudzi się w domu, więc Kai zaprasza go na wspólną przejażdżkę. Wyjeżdżając z miasta, zahaczają o szpital, gdzie Kai składa krótką wizytę Fodayowi. Doktor jest niczym farmer, tłumaczy Abassowi: pacjenci są roślinami, które trzeba podlać, albo krowami, które trzeba wydoić. Razem zaglądną do mieszkania Adriana, które stoi puste. Kai spostrzega poprzestawiane przedmioty, książki zdjęte z półek i dwa nowe kubki.

Ruch na trasie jest niewielki, nie trafiają na żadne wypadki i docierają szybko do celu. Przed samym wodospadem widać na drodze ślady jakiegoś pojazdu. Na skałach urządziła sobie piknik para brytyjskich obserwatorów wojskowych, dostarczając rozrywki grupce dzieci. Kai podnosi dłoń w geście pozdrowienia, ale para go nie odwzajemnia, przesuwałac po nim obojętnie wzrokiem. W związku z czym Kai nie uwalnia ich od niepożądaney dziecięcej publiczności, choć z łatwością mógłby to zrobić.

Abass idzie łowić ryby w szczelinie między skałami. Kai rozbiera się do szortów i daje nurka do zimnej wody. Kąpiel tylko w znikomym stopniu uśmierza jego niepokój. Podobnie jak brytyjska para wolałby być sam. Kiedy przyjechał tu raz z Nenebah, zaskoczyła ich grupa zwiedzających kraj zagranicznych inżynierów. Tejani wybrał się obejrzeć miasto, a oni właśnie mieli zamiar się kochać, gdy przeszkodziła im delegacja w szortach khaki i sandałach. Kiedy faceci zniknęli, wrócił Tejani. Był przekonany, że go nabierają.

Czy Nenebah kiedykolwiek tu potem przyjechała?

Kai wychodzi z wody i kładzie się na skałach. Po chwili pada na niego cień Abassa, który trzyma w stulonych dłoniach pchłę piaskową. Europejczycy wstają i odchodzą. Jeszcze raz popływaj, mówi Kai Abassowi, i będziemy jechać.

Mijają samochody stojące w kolejce przed stacją benzynową i wjeżdżają do miasta. Na placu Kai parkuje starego mercedesa przy rzędzie straganów i wysiada. Abass jest już głodny i kręci się przy budach z jedzeniem. Kupują kurczaka, czekają, aż straganiarz upiecze go na węglach, a potem opierają się o samochód i jedzą z kupionym obok pieczywem. Po posiłku Kai siada z powrotem za kierownicą i ruszają powoli do przodu, jadą trasą, którą przed sześciu laty pokonał w środku nocy na piechotę.

– Dokąd jedziemy? – pyta Abass.

– Szukam kogoś, z kim spotkałem się tu dawno temu.

– Nadal tu mieszka?

– Nie wiem – odpowiada Kai.

Abass opuszcza szybę ze swojej strony i nuci pod nosem. Kai próbuje przypomnieć sobie trasę, skręcając na wycucie w prawo i w lewo. Układ ulic mógł się zmienić. Wtedy towarzyszyli im żołnierze, którzy ku zdumieniu Kaia i Tejaniego zaprowadzili ich pod same drzwi. Kai skręca ostro w prawo i zjeżdża stromą uliczką w dół. Zatrzymuje się przy niskim, podobnym do bunkra budynku, każe Abassowi zaczekać, zakrywa koszulą usta i nos i otwiera

drzwi. Wewnątrz są stare długie stoły, rozbite szkło i spalony materac. Poza tym ani śladu laboratorium, które się tu kiedyś znajdowało.

Gdzieś w tym mieście Kai ma kuzyna. Na targu zatrzymuje się ponownie przy straganach z jedzeniem i pyta, gdzie może znaleźć ulicę, przy której mieszkają jego krewni. Kilka minut później podjeżdżają pod wskazany adres. Ktoś biegnie po Ishmaila, który pojawia się uśmiechnięty, zapinając koszulę, i przybija piątkę najpierw z Kaiem, a potem z Abassem. Stają, opierając się plecami o ścianę. Ostatni raz widzieli się kilka lat przed wojną, zanim miasto, w którym mieszka Kai, stało się wyspą na terytorium własnego kraju.

– Kopę lat, przyjacielu – mówi Ishmail. – Co cię tu sprowadza?

Kai odpowiada, że szuka doktora Bangury, specjalisty od gorączki Lassa. Jego kuzyn najpierw kiwa głową, a potem potrząsa nią i cmoka. Doktor nie żyje. Nie zginął na wojnie, to dla niego była pestka. Zaraził się chorobą, którą badał.

Kai milczy. Pamięta, jak doktor aż do późnej nocy ślęczał nad próbkami, w gumowych kuchennych rękawicach na dłoniach i w pływackiej masce z fajką zamiast porządnego wyposażenia. Musiał mieć bolesną śmierć.

Wybierają się na popołudniową niespieszną przechadzkę ulicami miasta. Co jakiś czas Ishmail pozdrawia uniesioną dłonią ludzi siedzących na schodkach domów, wymienia z nimi uścisk dłoni, przedstawia Kaia jako swojego brata. W pewnym momencie mijają balkon, na którym siedzi sześciu młodych ludzi. Inaczej niż w innych domostwach nie ma wśród nich kobiet ani dzieci. Ishmail pozdrawia ich skinieniem głowy. Kilku z nich odwzajemnia jego gest. Nie ma uśmiechów i Ishmail nie przedstawia Kaia tak, jak to robił wcześniej. Trochę dalej, na zabudowanej ciasno z obu stron uliczce, idący przodem Abass odwraca się do nich.

– To tutaj znaleźliśmy wujka Adriana po tym, jak potracił go rower – oznajmia, popisując się precyzyjną dziecinną pamięcią.

Ishmail się śmieje.

– Co to za facet, którego potracił rower?

– Wujek Adrian. Znaleźliśmy go i zabraliśmy do domu.

Ishmail spogląda pytająco na Kaia.

Ten pozwala Abassowi ponownie ich wyprzedzić i dopiero wówczas wyjaśnia sprawę. Dochodzą w milczeniu do odbudowywanego i odmalowywanego motelu, obstawionego bambusowymi rusztowaniami. Na podwórku przywiązane są koza i kozłę. Koza beczy w melancholijny, monotony sposób. Abass dostaje fantę, którą zabiera na zewnątrz, i przygląda się kozie. Przy barze dwaj mężczyźni ubrani w typowe stroje pracowników rządowych oglądają mecz piłki nożnej. Ishmail prowadzi Kaia do stolika w głębi sali.

– Słyszałem coś o tym człowieku – mówi w końcu. – O tym, który, jak twierdzisz, został potracony przez rower. Słyszałem, że jakiś obcy porządnie tu oberwał.

– Kto ci o tym powiedział?

Ishmail wzrusza ramionami.

– Ludzie gadają. – Siedząc naprzeciwko Kaia, pochyla się nad stolikiem i obejmuje ręką piwo. – To śmierdząca sprawa – dodaje półgłosem.

– Został zaatakowany – mówi Kai i powtarza Ishmailowi to, co wie o Agnes, zięciu i nieroztropnej wizycie Adriana w ich domu.

Ishmail kiwa głową, jakby wszystko było całkiem zrozumiałe.

– Wiesz, o co tutaj chodzi? – pyta Kai.

Ishmail kręci głową.

– Jest tu sporo złych ludzi. Nie było cię podczas walk, więc nie rozumiesz. Mnie też tu nie było przez cały czas. Potem wróciłem i zobaczyłem, jak zmieniła się sytuacja. Mówią, że jest już po wszystkim, ale to nieprawda. Widziałeś tych ludzi, których mineliśmy?

– Tych? – Kai spogląda na mężczyzn przy barze.

– Nie, nie tych. Mówię o gościach, którzy siedzieli na tamtym balkonie. Osiedlili się u nas wtedy i wciąż tu są. Ludzie chcą, żeby sobie poszli, lecz oni nie odchodzą. Władze kazały bojownikom wrócić w swoje rodzinne strony, wielu jednak zostało.

– Dlaczego?

– Może dlatego, że znaleźli tu lepsze życie. Może dlatego, że nie mają dokąd odejść. – Ishmail wzrusza ramionami, stawia butelkę z piwem na wilgotnej tekturowej podkładce, obraca nalepką do siebie i dokładnie ją studiuje. – Więc zostali u nas. Dlaczego mieliby nie zostać?

– Czy to jeden z nich napadł na mojego przyjaciela?

Tym razem Ishmail kręci głową ze zdwojoną energią.

– Nie, nie sądzę – mówi i pociąga łyk piwa. Na ekranie telewizora piłkarz nie trafia z karnego. Jeden z mężczyzn wali butelką w blat stołu i coś krzyczy. Ishmail skubie nalepkę na piwie i nie mówi nic więcej. Kai postanawia opowiedzieć mu o swoich planach wyjazdu do Ameryki. Jego kuzyn uśmiecha się, gratuluje mu i podnosi butelkę. Obaj piją.

– Kiedy tam przyjedziesz, wyślij mi jakiś drobiazg.

Niedługo potem kończą piwo i Ishmail wstaje.

– Chodźmy – rzuca.

Na zewnątrz zabierają Abassa, który zerwał trochę trawy i położył ją przed kozą. Niestety, jego dar pozostał nietknięty.

– Może chce jej się pić – sugeruje Kai.

Chłopiec idzie do kuchni po miskę z wodą.

– Ten facet, który został pobity, to twój dobry przyjaciel? – pyta Ishmail.

– Tak – odpowiada Kai. – Dobry przyjaciel. Chociaż jest tu tylko gościem, zbliżyła nas praca w szpitalu. Często u niego nocuję. Facet chce pomóc.

Ishmail kiwa głową.

– Wszyscy powinniśmy mieć przyjaciół. Popatrz na Abassa. Potrafi się zaprzyjaźnić nawet z innym gatunkiem.

Koza klęka na przednich nogach i pije z miski, Abass stoi obok uszczęśliwiony, z rękoma zwisającymi po bokach. Idą w zapadającym zmierzchu przez miasto, tą samą trasą, którą przyszli. W pewnym momencie Ishmail skręca nagle w bok.

– Chodźmy tędy – mówi. – Chyba znam kogoś, z kim mógłbyś porozmawiać.

Kai skręca za nim bez słowa. Docierają do jakiegoś domu. W otwartych drzwiach wisi zasłona, która migocze w padającym ze środka świetle. Ishmail puka w futrynę i delikatnie uchyla materiał. Kai czeka. Słyszy, że kuzyn z kimś rozmawia. Po chwili daje mu znak, żeby wszedł do środka. Na stolku siedzi kobieta i łuska orzeszki ziemne. Na jego widok wyciera ręce w sukienkę.

– Powiedziałem jej, co chciałbyś wiedzieć – mówi Ishmail.

– To ciotka mojej żony. Zgodziła się ci pomóc.

Kobieta podaje mu wierzch dłoni. Kai dotyka go wierzchem swojej.

– Agnes nie zawsze taka była – mówi ciotka. – Wcześniej zachowywała się jak ty i ja.

A potem stała się nawiedzona. – Wstaje ze stołka, wyciera jego siedzenie i stawia go przed nim.

– Proszę.

Kai siada.

Kobieta daje mu trochę orzeszków i wychodzi razem z Ishmailem. Kai przygotowuje się na długie czekanie.

Nie potrafił sobie później przypomnieć, ile godzin tam przesiedział. W którymś momencie zaspany i zmęczony czekaniem na zewnątrz chłopiec przyszedł do niego i Kai pozwolił mu zostać, przytulił do siebie ramieniem. Przychodziły do nich różne osoby. Sąsiadka. Młoda nieuśmiechnięta kobieta. Starsza kobieta z pomarszczoną twarzą i siwymi włosami. Kai słuchał ich, nie przerywając i nic nie mówiąc, witając je tylko, patrząc, jak siadają i opowiadają to, co miały opowiedzieć. Nie odzywał się nawet, kiedy załamywał im się głos, nie starał się ich pocieszyć, zostawiał to innym. Każda osoba opowiadała część tej samej historii. I opowiadając cudzą historię, opowiadała także własną. Kai wysłuchiwał tego, co mu mówiły, i dopasowywał do tego, co wiedział już wcześniej i co powiedział mu Adrian.

To była historia Agnes, a właściwie Agnes i Naasu. Opowiedziana półgłosem w nocy, w cichej izbie za zasłoną, przez wiele osób. Kiedy skończyła mówić ostatnia z nich, księżyc już zachodził i Kai zdał sobie sprawę, ile odwagi wymagało jej ujawnienie.

\*

Mohammed pamiętał Naasu. W każdy poniedziałek szła tą samą drogą na przystanek autobusowy, w wysokich obcasach i garsonce z błyszczącego materiału. W każdy piątek autobus przywoził ją z powrotem i wtedy miała na sobie zwykłą bawełnianą sukienkę. W poniedziałek, kiedy szła na przystanek, Mohammed i inni młodzi motocyklowi taksówkarze wodzili za nią wzrokiem ze swojego miejsca przy rondzie. Mohammed proponował czasem, że ją podwiezie, i Naasu czasami się godziła. Siadała z nogami po jednej stronie i wioził ją na przystanek. Wielu młodzieńców chciało ofiarować orzeszki kola za Naasu, która była jedną z najurodziwszych dziewcząt w mieście i pochodziła z dobrej rodziny. Widać to było po tym, jak się nosiła. Miała pracę w domu towarowym w stolicy. Niektórzy młodzieńcy droczyli się z nią. Kiedy zabierzesz mnie ze sobą do dużego miasta, Naasu? – pytali. A ona uśmiechała się i droczyła z nimi. Była śmiała, ale w taki sposób, że żaden nie miał jej tego za złe. Bo wszyscy znali się od dawna, jeszcze ze szkoły. Wszyscy znali Naasu. Czasami przynosiła pracującemu w szkółce ojcu pączki, bo uwielbiał słodczy. Siadali razem na ramie starego traktora. Jeśli Naasu siedziała ze swoim ojcem przed szkółką, oznaczało to, że jest piątek, dzień, w którym wracała ze stolicy. W miesiącach, gdy obowiązywała godzina policyjna, starała się wrócić do domu trochę wcześniej, bo autobusy raczej nie jeździły nocami. W ostatni piątek, jaki Naasu spędziła w domu, siedziała na przerdzewiałej ramie starego traktora marki John Deere i zjadała z ojcem posypane cukrem pudrem pączki.

Kiedy do miasta weszli chudzi mężczyźni, Naasu była w stolicy.

Tyle zapamiętał o niej Mohammed.

W targowy dzień Binta wstała o szóstej rano, ubrała się i umyła w wiadrze stojącym w rogu podwórka. O wpół do siódmej była gotowa przejść kilometr do miasta z małym koszykiem



pomidorów i ogórków. To była część dnia, którą lubiła najbardziej, spokojne chwile, kiedy szła, mijając pola trzciny cukrowej. Godzinę później słońce paliło już tak mocno, że wysychała rosa i mgła unosiła się spiralami znad ziemi. Idąc wzdłuż rzędów trzciny, zobaczyła przesuwające się między nimi cienie. Czyjeś kozy musiały uciec z pastwiska.

Na obrzeżach miasta minęła Agnes pracującą w swoim ogródku. Ng' dirai? – zawołały do siebie. Mąż Agnes stał trochę dalej; wschodzące słońce przyciemniło kontury jego sylwetki. Binta była zbyt daleko, by go pozdrowić. Ruszyła szybko przed siebie, mając nadzieję, że zjawi się na targowisku przed Agnes, której pomidory były zawsze takie lśniące i mięsiste.

O ósmej Binta rozłożyła swój stragan i pojawili się pierwsi kupujący. Agnes sprzedawała swoje produkty dwa stragany dalej. Jeden z klientów upuścił pomidor i Binta pochyliła się, żeby go podnieść. Zauważyła z irytacją, że się obił i pękła na nim skórka. Trzymając nisko opuszczoną głowę, usłyszała odgłos strzałów. Słyszała je już wcześniej, ale nigdy z tak bliskiej odległości. Wszędzie dokoła ludzie puścili się biegiem, jedni w tym, drudzy w innym kierunku, niczym stado owiec na drodze, niepewnych, gdzie jest bezpiecznie. W końcu wszyscy znieruchomieli.

Na plac weszła grupa mężczyzn. Jeden z nich mówił przez megafon, wzywając ludzi, żeby zebrali się na targu. Miał na sobie mundur polowy i wyglądał jak żołnierz. Ale ludzie, którzy mu towarzyszyli, nie wyglądali na żołnierzy. Żołnierze dostawali więcej ryżu niż ktokolwiek inny w kraju i przybierali od niego na wadze. Ci mężczyźni byli wąscy i kanciąści, dziwnie poubierani. Na szyjach mieli pozawieszaną biżuterię, amulety i podobne do naszyjników pasy z nabojami, na oczach przeciwsłoneczne okulary. Sporo było bosych i obdartych. Dziwni chudzi mężczyźni. Przypominali Bincie kukielki z przedstawień, które oglądała w dzieciństwie. Już wtedy się ich bała. Chudzi mężczyźni rozbiegli się po domach, waląc w drzwi i każąc ludziom wychodzić. Znowu zabrzmiały strzały i trzask pękającego drewna; w powietrzu rozszedł się swąd dymu.

Mężczyzna z megafonem kazał wszystkim usiąść. Przybywających na plac nowych ludzi popychano na ziemię. W końcu stali tylko facet z megafonem i ci, którzy z nim byli. Facet powiedział, że nazywa się pułkownik JaJa, i zaczął mówić. Z początku brzmiało to jak przemówienie polityczne, powtarzał słowa takie jak „rząd” i „wybory”. Mówił, że rząd zdradził ludzi, i wymienił nazwisko, które wcześniej Binta widziała tylko w gazetach.

W tym momencie uświadomiła sobie, kim są ci ludzie, i zorientowała się, że inni też się tego domyślili.

Zaschło jej w ustach.

Pułkownik JaJa wydał rozkaz i czterej jego ludzie wyszli do przodu z dwiema zawieszonymi na żerdziach bambusowymi klatkami. W tych klatkach byli skuleni w ciasnej przestrzeni więźniowie. Jedną z klatek otwarto i wyciągnięto z niej mężczyznę. Po tym, co zostało z jego munduru, Binta domyśliła się, że to żołnierz. Z trudem się wyprostował, trzymając się za bok tam, gdzie na jego mundurze była ciemna plama. W pasie obwiązany był sznurem, którego koniec ciągnął jeden z ludzi pułkownika. Żołnierz nie stawiał żadnego oporu. Pokuśtykał po prostu za nim z pochyloną głową niczym dziecko, które udaje byka. Komendant odsunął megafon od ust i Binta nie usłyszała jego słów. Nie mogła oderwać oczu od żołnierza. Nie zobaczyła ręki sięgającej do pasa, wyjmowanej broni, tego, jak JaJa powoli celował, zanim strzelił żołnierzowi w głowę. Usłyszała tylko, jak jego ludzie wiwatują i klaszczą

w dłonie. O Kuru, powiedział ktoś obok niej. Mój Boże. Ciało legło w pyłe, nogi zadygotały i znieruchomiały.

Otwarto drugą klatkę i wyciągnięto z niej następnego mężczyznę. Uniósł związane ręce i Binta domyśliła się, że błaga o życie. Po kilku sekundach on też leżał nieruchomo na ziemi. Ludzi ogarnął lęk, zaczęli wpadać w panikę. Komendant przyłożył megafon do ust i ostrzegł ich, żeby się nie ruszali. Jakimś mężczyznom kazano uprzątnąć trupy. Binta rozpoznała w nich pracowników szkółki ogrodniczej, wśród nich męża Agnes. Usłyszała, jak z ust Agnes wydarł się jęk.

Huk strzału, głos komendanta, jęk Agnes. Jeśli nie liczyć tych dźwięków, Binta miała wrażenie, że wszystko, co widzi, rozgrywa się w ciszy. Ciemny dym kłębił się nad dachami domów. Na plac dotarł gęsty swąd palącej się cegły, uświadamiając im wagę tego, co się działo.

Pośrodku placu mąż Agnes, który był najstarszym pracownikiem szkółki, ugiął się pod ciężarem zwłok. Niedawno wypisano go ze szpitala, gdzie przeszedł operację przepukliny. Agnes rozmawiała o tym z Bintą. W pewnym momencie mąż Agnes potknął się, oberwał od jednego z chudych mężczyzn i się wywrócił. Inni pracownicy szkółki stali bez ruchu. Binta widziała, jak zwracają się do komendanta, podnosząc otwarte dłonie tak, jak to czynią ludzie, którzy się boją. Z miejsca, w którym stała, wyczuwała, że JaJa jest wściekły. Znała ludzi takich jak on. Ludzi, którzy pragnęli budzić strach w innych, a kiedy to się działo, wpadali w gniew, bo przypominało im to, kim są. Pracownicy szkółki chyba tego jednak nie rozumieli, bo podchodzili do niego coraz bliżej z podniesionymi dłońmi. Mąż Agnes dźwignął się na kolana i trzymając się jedną ręką za brzuch, drugą wyciągnął do komendanta. Nie, pomyślała Binta. Nie dotykaj go. Palce starego złapały pułkownika za ubranie. Młody komendant cofnął się, a potem odwrócił i odszedł. Przez kilka sekund stał bez ruchu odwrócony do nich wszystkich plecami. Bincie zabrakło tchu. Nagle JaJa odwrócił się, szybkim płynnym krokiem podszedł do starego, podniósł broń i strzelił mu w pierś. Rozległy się krzyki, a potem kolejne strzały, tym razem w powietrze. Ktoś przytrzymał Agnes, ale nie było nikogo, kto złapałby jej młodszą córkę Yalie, która podbiegła do ojca. Chudzi mężczyźni przez jakiś czas stali wokół niej, śmiejąc się, a potem któryś z nich ją odciągnął. JaJa wziął motykę od jednego ze swoich ludzi. Binta ponownie zobaczyła w jego ruchach zdecydowanie. Chudzi mężczyźni cofnęli się, a on odrąbał ostrzem głowę męża Agnes, podniósł ją i rzucił do Yalie, która instynktownie wyciągnęła ręce, żeby ją złapać. Chudzi mężczyźni ponownie zaczęli wiwatować.

Śmierć męża Agnes była pierwszą z wielu. Chudzi mężczyźni rozbiegli się potem po całym mieście. To był oddział rozpoznawczy. Kiedy wojna dobiegła końca, dowiedziała się, jak się nazywali. G5. Usłyszała tę nazwę przez radio. Według rzecznika rebeliantów ich zadaniem było „koordynowanie stosunków między ludnością cywilną a ruchem oporu”. Niektórzy nazywali ich Jednostką Sensytyzacji.

W tym momencie Binta milknie. Dłonie nadal trzyma płasko na kolanach, nieruchome i spokojne, z długimi i smukłymi palcami.

Szkółka ogrodnicza była przy drodze, wyjaśnia ktoś Kaiowi. Wzięli stamtąd ludzi, kiedy wchodzili przez most do miasta.

Tak, kiwa głową Kai.

\*

Godzina jedenasta. Na krześle siedzi mniej więcej pięćdziesięcioletnia kobieta, z krótko

ostrzyżonymi siwymi włosami i cienką blizną przecinającą miękką skórę policzka. Isatta była z Agnes w obozach uchodźców w Gwinei i towarzyszyła jej później, gdy po dwóch latach wybrały się w długą pieszą podróż z powrotem do domu.

W obozie stawały chyba czoło większym niebezpieczeństwom niż podczas podróży. W lesie zagrożenia czyhały ze strony węzów, bawołów i rebelianckich żołnierzy. W obozach był głód, tyfus i chłód. Najgroźniejsi byli jednak ci, którzy siedzieli tam razem z nimi, gangi mężczyzn, które wyszukiwały najsłabszych i pozbawionych rodzin, polowali na kobiety niemające oparcia w mężczyznach. Już pierwszego dnia, kiedy tam przybyły, Isatta i Agnes zobaczyły leżące na skraju obozu dziewczyny z rozchylonymi zakrwawionymi nogami. Później wiele razy odnajdywano rankiem za namiotami ciała młodych kobiet z zadartymi do pasa spódnicami. W ciągu dnia rodziny zabierały ciała córek. Te, które nie miały krewnych, leżały dalej tam, gdzie je porzucono. Agnes i jej dwie córki były same, pozbawione męskiej opieki. Isatta zaprosiła więc Agnes, Yalie i Marian do namiotu, w którym mieszkała ze swoim synem. Zaledwie piętnastoletni Hassan przejął obowiązki głowy rodziny.

Przetrwały, trzymając się ustalonych zasad i porządku: stojąc w kolejce po jedzenie, piorąc swoje ubrania w rzece, przynosząc wodę, wyprawiając się we dwójkę po opał i jadalne rośliny. Codziennie szorowały boki namiotu. W nocy spały razem, a syn Isatty kładł się w przejściu. Na zewnątrz wąskie cienie krążyły między namiotami. Modliły się, by nikt się nie zorientował, że czterema kobietami opiekuje się jeden młody chłopak. Uchodźcy żyli w strachu przed atakiem rebeliantów, lecz ci nigdy się nie pojawili. Zamiast nich w pierwszym roku dwa razy zebrała swoje żniwo cholera. Trzecia epidemia zabrała Yalie. Sześć miesięcy później zmarła Marian, kiedy w ranę na nodze wdało się zakażenie.

Dzień po jej śmierci Agnes przepadła jak kamień w wodę. Isatta i Hassan szukali jej po całym obozie, dopiero zmierzch zagonił ich do namiotu. Isatta nie spała całą noc, martwiąc się o Agnes. Tam, skąd pochodziły, wiek mógł chronić kobiety, ale tutaj nie miał znaczenia. Nazajutrz znalazła Agnes całą i zdrową, siedzącą na drugim brzegu strumienia. Zaprowadziła ją z powrotem do namiotu. Przez wiele dni Agnes nie odzywała się, nie poruszała i nic nie jadła. Isatta zbyt się o nią nie martwiła, ponieważ wiele kobiet reagowało w ten sposób na śmierć swoich bliskich.

Porządek. Isatta nigdy nie straciła wiary w porządek. Po kilku dniach zmusiła Agnes do przestrzegania sztywnych zasad, które sama wymyśliła. Codziennie po kąpieli szły do namiotu Czerwonego Krzyża, żeby sprawdzić listę nowo przybyłych. Przez prawie dwa lata Agnes nie miała wiadomości o Naasu. Obie jednak słyszały o plądrowaniu stolicy, w której, jak sądziły, przebywała teraz Naasu – bez ojca, matki i męża.

Namiot Czerwonego Krzyża był miejscem, w którym ludzie dzielili się informacjami o tym, co działo się w kraju. Nagabywano zwłaszcza nowo przybyłych, bo mogli mieć najświeższe wiadomości. W ten sposób dowiedziały się o rozwoju wypadków, o oddziałach, które przybyły z zagranicy, o odzyskiwaniu kilometr po kilometrze terenów zagarniętych przez rebeliantów. Po osiemnastu miesiącach walk wojska rządowe doszły już prawie do granicy, za którą były obozy. Wśród nowo przybyłych coraz liczniejsi byli ci, którzy podróżowali z obozu do obozu, szukając swoich bliskich. Pewnego dnia pracownik Czerwonego Krzyża podszedł do Agnes i zapytał ją o nazwisko.

– Proszę za mną – powiedział. – Mamy dla pani wiadomość.

Wiadomość czekała tam na nią od miesiąca. Była od Naasu, która poszukiwała swoich rodziców i sióstr.

Naasu spotkała się z nimi w pół drogi. Agnes, Isatta i Hassan pokonali ten dystans pieszo. Drogami jeździły już samochody i dzięki pieniądzom Naasu znaleźli środek lokomocji, którym przebyły resztę trasy.

Siedząc z tyłu poda poda, Naasu opowiedziała im swoją historię. Spędziła w stolicy prawie rok, mieszkając u koleżanki z pracy. Po przybyciu wojsk z zagranicy czekała na chwilę, kiedy można było bezpiecznie wrócić do rodzinnego miasta, czternaście miesięcy od tamtego piątku, gdy siedziała z ojcem na ramie traktora John Deere i zajadała z nim pączki. Agnes uściskała Naasu i powiedziała jej o śmierci ojca i sióstr. Dała do zrozumienia, że wszyscy zmarli w obozie. Naasu wybuchła płaczem. Isatta nie mogła od niej oderwać wzroku. Była taka piękna i zdrowa. I tak elegancko ubrana. Miała zaokrąglone ramiona i czarne włosy. Ich były suche i rude. Naasu wyjaśniła, że poznała mężczyznę, który zaoferował jej opiekę, i wyszła za niego za mąż. Błagała matkę o wybaczenie, że zrobiła to bez jej zgody, i Agnes wybaczyła jej, bo przez cały czas modliła się, żeby Naasu znalazła sobie dobrego mężczyznę. W tym przynajmniej przejawiała się boża opatrzność.

Wtedy Naasu wzięła dłoń matki i położyła ją sobie na brzuchu. Agnes poczuła pod palcami zaokrąglenie i Isatta po raz pierwszy zobaczyła łzy w oczach przyjaciółki.

Tak upłynęła im podróż do domu.

Targ był pusty, nie zobaczyli nikogo. Wiele domów sprawiało wrażenie porzuconych, inne zostały zniszczone. Najpierw poszli do domu Agnes i Isattie zabrakło języka w gębie, kiedy go zobaczyła. Budynek był schludny, tynk nowy. Na werandzie, podobnie jak dwa lata wcześniej, stały krzesła. To wszystko dzieło mojego męża, powiedziała Naasu, wbiegając po schodach. Zapadał zmierzch i zaprosiła Isattę i jej syna, żeby zjedli z nimi i zostali na noc. Isatta przyjęła zaproszenie, bo skończyło się jedzenie, które ze sobą zabrali. Cała trójka zaczęła, a Naasu poszła poszukać męża. Isatta rozmyślała o własnym domu, zastanawiała się, co ujrzy nazajutrz rano. Cieszyło ją szczęście Agnes, lecz trochę jej także zazdrościła. Naasu wkrótce wróciła, prowadząc ze sobą męża. Uśmiechała się podniecona, puszczając go przodem, żeby przywitał się z jej matką. Mężczyzna wyszedł spod okapu i zobaczyli w gasnącym świetle dnia jego twarz.

\*

Stara kobieta milknie. Nie patrzy już na Kaia, ale na swoje dłonie, które położyła na kolanach. Kai słyszy jej oddech. Panuje cisza. Ktoś w pokoju ponagla ją, żeby mówiła dalej. To ciotka Ishmaila. Stara kobieta patrzy na nią, a potem z powrotem na swoje ręce.

– Co pani zobaczyła? – pyta Kai, po raz pierwszy się odzywając.

Isatta przelęka ślinę.

– Zobaczyłam JaJę – mówi głosem, który prawie nie różni się od szeptu.

\*

Jadą po ciemku. Abass nie jest w ogóle śpiący; siedzi na przednim siedzeniu przypięty pasami. Kai prowadzi dość szybko, gnany tym, co za sobą zostawił, zwalniając, gdy z naprzeciwka oślepiają go jasne światła.

Ishmail towarzyszył im, kiedy wracali powoli ciemnymi uliczkami do Starego Wiernego. Kai otworzył samochód, wpuścił do środka Abassa, a potem odwrócił się do kuzyna i podał mu rękę.

Machinalnie uścisknęli sobie dłonie, zwierając palce. Kai podziękował mu, Ishmail skłonił głowę i przez chwilę stali w milczeniu.

– Więc teraz widzisz, jak sprawy się u nas mają – powiedział w końcu Ishmail, jakby doszli wspólnie do jakiegoś wniosku. – Taka jest wola Boga.

– Wierzysz w to?

– Gdybyś zapytał mnie kiedyś, odpowiedziałbym: nie, nie wierzę. Gdybyś zapytał mnie dzień po tym, jak to się wydarzyło, nie wiedziałbym, co ci odpowiedzieć. Takie rzeczy zdarzały się wszędzie, nie potrafię ci powiedzieć dlaczego.

– Nie. – Kai westchnął i pokręcił głową. – Nikt tego nie potrafi.

– Więc cóż nam zostaje oprócz modlitwy?

Kai powstrzymał się od komentarza. Zamiast tego uściskał kuzyna, po czym siadł za kierownicą samochodu i wyjechał z miasta.

Uświadamia sobie teraz, że nie mieli nic w ustach, odkąd kupił kurczaka na targu. Na następnym skrzyżowaniu zatrzymuje się, kupuje cztery kolby prażonej kukurydzy i jedzie dalej.

– Teraz lepiej? – pyta Abassa.

Chłopiec kiwa głową. Od wyjazdu z miasta w ogóle się nie odzywał. Przez cały czas siedział nieruchomo, wpatrując się czujnie w ciemność za przednią szybą, nie mrugając nawet, kiedy oślepiały go reflektory z naprzeciwka.

– Więc ten człowiek zabił męża tej pani, a potem ożenił się z jej córką – mówi.

– Tak – odpowiada Kai, nie starając się ukrywać prawdy przed dzieckiem.

– A teraz ona musi z nim mieszkać i siedzieć cicho, bo jej córka nie wie, co zrobił.

Słuchał uważnie każdego słowa, które padło w tamtym domu.

– Zgadza się – mówi Kai.

– I cała reszta też siedzi cicho.

– Tak.

– A my?

Kai zerka na Abassa, który nie odwzajemnia jego spojrzenia, lecz nadal wpatruje się przed siebie. Ciemność pędzi na nich, rozbija się o przednią szybę i zamyka z powrotem za samochodem.

– My też musimy siedzieć cicho? – pyta Abass.

– Nie – odpowiada Kai. – Nie musimy.

– A gdybyśmy mieszkali w tamtym mieście? Czy wtedy musielibyśmy siedzieć cicho?

W zapadłej ciszy Kai słyszy tylko szum powietrza.

– Nie wiem – mówi.

\*

Szpital pogrążony jest w mroku, palą się tylko lampy ewakuacyjne. Kai i Abass mijają wartownię. Drzwi są uchylone; przez szparę widać dyżurującą pielęgniarkę. Ciche kroki, szepty, skrzypienie kół i gumy na linoleum.

Kai otwiera kluczem drzwi do mieszkania Adriana i zapala główne światło. Nikt nie ruszał od rana książek i dwóch stojących na stole kubków. Kai odwraca się i wychodzi.

# ROZDZIAŁ 38

Adrian dociera do izolatki Eliasa Cole'a kwadrans po czwartej. Spóźnił się piętnaście minut. Ulewa i zatkana studzienka kanalizacyjna wstrzymały ruch na ulicach, a potem wstąpił jeszcze do siebie, żeby się przebrać. Na drzwiach izolatki starego wisi laminowany napis: „Odwiedziny odwołane”. Adrian zatrzymuje się z ręką wyciągniętą nad klamką, po wahaniu cofa ją, odwraca się i odchodzi.

# ROZDZIAŁ 39

Młody mężczyzna wierci się na krześle i wbija wzrok w swoje stopy. Prawie nie słyhać jego głosu. Inni siedzący w kręgu patrzą na niego, jakby obserwowali go z daleka.

– Tutaj. – Mężczyzna stuka się w bok głowy. – Wkładają ci to do głowy. Wtedy jesteś potężny. Zwycięzcasz w bitwie.

Na kości policzkowej pod skronią ma kilka małych stwardniałych blizn. Nazywa się Soulay. Przed rozpoczęciem sesji Ileana pokazała Adrianowi jego historię choroby. To żołnierz sił rządowych, który przystał do rebeliantów i którego na mocy wynegocjowanych porozumień przyjęto z powrotem do wojska. Nic z tego jednak nie wyszło. W trakcie drugiej reorganizacji Soulay został zwolniony. Pracował jako ochroniarz, lecz nigdzie nie zagrzebał długo miejsca. Ma na swoim koncie wiele agresywnych wybryków, cierpi również na silne bóle głowy, które jego zdaniem spowodowane są przez podawane mu narkotyki. Adrian wątpi, czy jedno ma z drugim coś wspólnego, nie zmienia to jednak faktu, że migreny są jak najbardziej realne.

– Co ci się ostatnio śniło?

Młody człowiek potrząsa głową. Idzie to powoli. Ktoś inny szura nogami i parska stłumionym śmiechem. To Adecali.

– Tak? – mówi Adrian, odwracając się w jego stronę.

Przywykł już do tego śmiechu. Dziwny i nierealny rozbrzmiewa nie tylko w szpitalu, lecz także poza nim. Myśli o Mamakay, o tym, jak tłumaczyła mu frazę, którą usłyszał i której nie zrozumiał. „To znaczy: upadam i z powrotem wstaję. Kiedy ktoś pyta cię, jak się czujesz, czasami nie możesz szczerze odpowiedzieć, że dobrze. I wtedy to jest właściwa odpowiedź”. Wisielczy humor. Adrian wraca do terażniejszości.

– O co chodzi, Adecali? Co chciałeś powiedzieć?

– On woła swoją mamę. Zrywa się z łóżka.

Adecali również ma koszmary. I nie kontroluje czynności fizjologicznych. Boi się ognia, knotów lamp naftowych, zapalek i zapalniczek. Nikt nie wie dokładnie, skąd wziął się ten lęk i Adrian zastanawia się, jakie wspomnienia ogień budzi w Adecalim, który cierpi poza tym na przeróżne tiki i sięjaka. „M-m-m-mamę”. Spośród czterech obecnych w pokoju pacjentów właśnie on robi wrażenie najbardziej obłąkanego.

– Chciałbyś porozmawiać o którymś z twoich snów? – Te sesje są dla Adriana wyczerpujące. Pod koniec jest skonany. Ale również usatysfakcjonowany. To coś, o czym marzył.

Adecali spuszcza wzrok i już się nie odzywa.

– Jesteśmy tutaj, żeby słuchać i wzajemnie sobie pomagać.

Są całkowicie ulegli. To jeszcze chłopcy. Ich komendanci zajęli miejsce rodziców, a teraz wpatrują się w Adriana. Żaden nie kwestionował celu tych sesji ani nie podnosił tego, że mają prawo w nich nie uczestniczyć. Robią to, co im się każe, jak zawsze. Adecali marszczy brwi – tyle wysiłku kosztuje go wykonanie polecenia.

– Śni mi się... To coś takiego, że boję się zasnąć. Ale to nie m-m-ma sensu. Czasami to się

śni w dzień, czasami w nocy. – Adecali trze palcami czoło. – Czasami czuję zapach czegoś, czego tu nie ma.

– Nie spiesz się – mówi Adrian, starając się nie wywierać na niego presji. – Co to za zapach?

– Czuję zapach pieczonego mięsa. Słyszę krzyki i walenie. A potem czuję zapach pieczystego.

\*

Po południu Adrian ma spotkanie z Attilą. Idąc do jego gabinetu, opuszcza ramiona i wciąga kilka razy w płuca wilgotne morskie powietrze. Wielkie liście ozdobnych palm poruszają się na wietrze z grzechotem, który podobnie jak za pierwszym razem przypomina mu trzepotanie spinakerów na przystani w Norwich. Wysoko na niebie krążą dwa sępy niesione powietrznymi prądami.

Pięć minut później siedzi naprzeciwko Attili. Ten odchyła się do tyłu w fotelu, opiera łokcie na biurku, splata palce i przygląda się Adrianowi spod zmrużonych powiek. Uwielbia bawić się w kotka i myszkę, myśli Adrian. Z drugiej strony trzeba przyznać, że chociaż dyrektor w gruncie rzeczy ignoruje Adriana, dał mu wolną rękę i nie ogranicza go w jego działaniach. Adrian chrząka i zaczyna mówić. Opisuje sesje, ich charakter oraz pacjentów, a także czym się kierował, wybierając tych, a nie innych. Wynikało to w dużym stopniu z tego, czy mówili po angielsku, ale o tym teraz nie wspomina. Attila słucha w milczeniu.

Adrian kończy mówić i czeka na reakcję Attili. Po raz pierwszy zauważa lśniące ciemne kręgi pod jego oczyma. Mimo swego krzepkiego wyglądu dyrektor wydaje się zmęczony. Pochyla się do przodu, przesuwając o kilka centymetrów pióro i przekłada papiery. To tylko gra, myśli Adrian, ta cała jego powolność. W rzeczywistości Attila jest szczwany, przebiegły i szybki. Jest oddany temu, co robi. Nikt nie zdoła go zastąpić.

Adrian czuje, że go lubi. Żałuje, że nie może mu tego powiedzieć.

– Jaki cel chce pan osiągnąć przez te sesje?

Kot bawiący się z myszą.

– Chcę sprawić, by ci mężczyźni wrócili do normalności, do jakiegoś stopnia normalności. Żeby mogli przeżyć swoje życie. Osiągnąć wszystko, co każdy może spodziewać się osiągnąć.

– A co to jest?

– Słucham?

– Czym jest to, co mogą spodziewać się osiągnąć?

– Zachować pracę. Cieszyć się związkiem. Ożenić się i mieć dzieci.

Attila kiwa energicznie głową. Nagle kładzie dłonie płasko przed sobą i odpycha się w górę.

– Muszę wziąć udział w zebraniu w Ministerstwie Zdrowia. Może pan się ze mną przejedzie?

Adrian, który ma różne rzeczy do zrobienia, choć żadnej z nich nie można nazwać szczególnie pilną, wyczuwa, że powinien się zgodzić. Dla dobra relacji z tym ciężkim, niezgrabnym mężczyzną.

– Oczywiście.

Wychodzi razem z Attilą na korytarz, czeka, aż ten znajdzie odpowiedni klucz w wielkim pęku i zamknie drzwi gabinetu, następnie zaś idzie z nim do głównego wejścia do szpitala. Attila wciska się za kierownicę, Adrian siada na miejscu pasażera. Przejeżdżają przez



śródmieście, mijając skręt do dawnego domu towarowego. Jest gorąco, samochód Attili nie ma klimatyzacji. Adrian czuje, że pocą mu się plecy i uda.

Teraz, kiedy oddalili się od ciasnej siatki ulic, ruch jest mniejszy; do samochodu wpada lekki wietrzyk. Adrian odetchnąłby z ulgą, gdyby nie to, że wiatr niesie odór zgniłych ryb i intensywny słodki smród ścieków. Droga opada stromo w dół. Wszędzie widać blaszane chaty, niekończący się krajobraz sklecony z zardzewiałej blachy. Po prawej stronie jest morze, nie zielononiebieskie morze, które widać z kampusu, ale woda koloru gówna. Attila zwalnia. Żaden z nich nie odezwał się, odkąd wsiedli do samochodu.

– Kilka lat temu przyjechała tu ekipa medyków – rzuca luźnym tonem Attila. – Mieli zbadać ludność.

Zjeżdża na bok, zaciąga ręczny hamulec i wygląda przez okno od strony Adriana niczym podziwiający widoki turysta. Przed nimi dwaj nadzy do pasa mężczyźni pchają pod górę wózek wypełniony złomem. Muskularne, smukłe, spocone ciała lśnią w blasku słońca. Przez ulicę przebiega okryty parchami pies, chyba najgorszy przypadek świerzbu, jaki Adrian kiedykolwiek widział. Wokół chat kręcą się wchodzący do nich i wychodzący ludzie. Wir powietrza za przejeżdżającym samochodem przynosi kolejny ładunek straszego smrodu.

– Wie pan, do jakich doszli wniosków?

Adrian kręci głową. Attila nie powiedział ani kim byli badacze, ani jakie prowadzili badania.

– Siedzieli tutaj sześć tygodni. Przesłali mi egzemplarz swojej pracy. Doszli do wniosku, że dziewięćdziesiąt dziewięć procent populacji cierpi na zespół stresu pourazowego. – Attila śmieje się niewesoło. – Zespół stresu pourazowego! I co pan na to?

– Wskaźnik wydaje się wysoki, ale moim zdaniem całkiem możliwy. Z tego, co słyszałem – odpowiada Adrian, który kompletnie nie wie, czego spodziewa się po nim jego rozmówca.

– Kiedy zapytałem pana, co pan chce osiągnąć przez te sesje, odpowiedział pan, że chce, aby ci mężczyźni wrócili do normalności. Muszę zatem pana zapytać, do czyjej normalności? Pańskiej? Mojej? Żeby mogli włożyć garnitur i usiąść w klimatyzowanym gabinecie? Sądzi pan, że do tego kiedykolwiek dojdzie?

– Nie – mówi Adrian, czując, że jest atakowany. – Ale terapia może pomóc im uporać się z wojennymi przeżyciami.

– To jest ich rzeczywistość. A kto przyjdzie i podda terapii ludzi, którzy tu mieszkają? Żeby mogli uporać się z tym wszystkim? – pyta Attila, zataczając krąg ręką. – Pan to nazywa zaburzeniami, przyjacielu. My nazywamy to życiem. – Wrzuca bieg i rusza z miejsca. – I wie pan, jakie zalecenia przedstawili tamci goście na końcu swojego raportu? Kolejne sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów, żeby można było przeprowadzić następne badania.

– Z jego ust wyrywa się ten sam gorzki chichot. – Co musi pan jeszcze wiedzieć, czego nie widać już na pierwszy rzut oka, he? Ale wie pan, te hotele są naprawdę drogie. Zachodnie stawki. Telewizja. Minibar. – Attila spogląda z ukosa na Adriana. – Tak czy owak – dodaje – może pan kontynuować to, co pan robi. Niech pan tylko pamięta, do czego muszą wrócić.

To najbliższe pochwały słowa, jakie od niego usłyszał.

Attila zatrzymuje się przed budynkiem rządowym i odchodzi, zostawiając go na parkingu. Idąc do głównej ulicy, żeby złapać taksówkę, Adrian zastanawia się nad jego słowami. Przypomina sobie rozmowę z Kaiem sprzed dwóch miesięcy, po tym jak napadł go zięć Agnes. „To jest nasz kraj”. Odrzucał składaną przez Adriana ofertę pomocy. I to właśnie najbardziej

**bolało, poczucie, że nikt go tu nie chce i nie potrzebuje. Nie przyszło mu to wcześniej do głowy.**

**Attila. Facet ma oczywiście rację. Ludzie tutaj potrzebują bardziej nadziei niż terapii. Ale nadzieja musi być prawdziwa – tak brzmiało ostrzeżenie Attili. Upadam i wstaję. Spotykani przez Adriana ludzie Zachodu pogardzają fatalizmem. Lecz może to sposób, który ludzie odkryli, żeby przetrwać.**

**\***

**Sobota. Powietrze jest tak nieruchome, że dym z paleniska idzie pionowo do góry. Chmury wiszą nieruchomo na niebie. Wszędzie jest cicho. Na ulicy pustki. Nawet ptaki przestały śpiewać. Adrian sączy kawę na balkonie mieszkającego na górze sąsiada Mamakay.**

**– Powiniennem już iść – mówi, mając na myśli coś wprost przeciwnego. Chce wiedzieć, czy będzie miała dla niego czas później w ciągu dnia.**

**– Nie możesz – odpowiada Mamakay.**

**Adrian się uśmiecha.**

**– Nie mogę? A to dlaczego?**

**– Naprawdę nie możesz. To sprzątająca sobota.**

**– Co to znaczy?**

**– To znaczy, że musisz zostać aż do południa, żeby wysprzątać swoje podwórko. Nikomu nie wolno wyjść na ulicę, chyba że chce ją pozamiatać.**

**Nigdy wcześniej o tym nie słyszał. Mamakay mu wyjaśnia. Jeden z wojskowych reżimów wyznaczył dni sprzątania. To było ich pierwsze rozporządzenie po dojściu do władzy. Zmuszając wszystkich do wysprzątania swojego otoczenia w ostatnią sobotę miesiąca, odmienili miasto. Ale optymizm nie trwał długo. W następnych latach stolicę jeszcze dwukrotnie splądrowano. Mimo to sprzątające soboty przetrwały i to było coś.**

**– Co mogę zrobić?**

**– Wyszłam dziś rano. Zanim się obudziłam.**

**Wyjaśniły się zatem cisza i puste ulice. Skoro nie mogą wyjść z domu jeszcze przez dwie godziny, Adrian przynosi swój szkicownik i ołówki; miał zamiar narysować gołębnik, zamiast tego jednak zaczyna szkicować profil Mamakay, która siedzi odwrócona plecami do porannego słońca. Od szkolnych lat nie próbował szkicować ludzkiej sylwetki. Ale Mamakay nie jest skępowana, nie sztywnieje ani nie próbuje przybrać bardziej oficjalnej ani wdzięcznej pozy, właściwie w ogóle nie zwraca sobie głowy pozowaniem i bez przerwy się wierci. Adrian rysuje swobodnie, krótkimi niedbałymi kreskami, próbując uchwycić krzywiznę jej pleców, zaokrąglony mięsień uda, linię pięty.**

**– Babagaleh powiedział, że spędzasz sporo czasu z moim ojcem. – Mamakay siedzi na poręczy sofy i go obserwuje.**

**Adrian kreśli linię wiodącą od jej podbródka do obojczyka.**

**– Zgadza się.**

**– Czego on chce?**

**– Porozmawiać.**

**Mamakay kiwa głową, opiera podbródek na ramieniu i wygląda przez balkon.**

**Adrian nie był nigdy do końca pewien, jaki dokładnie charakter mają jego relacje z Eliasem Cole'em. Elias nigdy nie przedstawił konkretnego problemu ani nie poprosił o pomoc. Z pewnością nie cierpiał na żadną neurozę. Dawno temu, prawie na samym początku Adrian**

przestał traktować go jako przypadek kliniczny czy nawet możliwy przypadek. Prowadził zapiski, bo czuł, że tego się od niego wymaga. Elias robił na nim wrażenie samotnego człowieka, który pragnie spokojnie umrzeć. Adrian mógłby być księdzem, imamem, doradcą albo zwykłym laikiem.

– Co powiedział Babagaleh? – pyta.

– Nic.

– Naprawdę?

– To skryty człowiek. Nauczył się trzymać język za zębami. Jak wszyscy.

– Co masz na myśli?

– Nigdy tego nie zauważyłeś? Jak nikt nigdy o niczym nie mówi? O tym, co się tu wydarzyło. O wojnie. O tym, co było przed wojną. Tak jakby to była tajemnica.

Adrian przypomina sobie swoich wczesnych pacjentów, a właściwie kandydatów na pacjentów, to, jak nie chcieli opowiadać o tym, co ich spotkało. Składał to na karb traumy. Później zdał sobie sprawę, że na tym polega tutejszy sposób życia. Uświadamiał to sobie stopniowo, być może dopiero teraz to do niego w pełni dotarło. Można było odnieść wrażenie, że boją się zostać wplątani w okoliczności własnego życia. To samo dotyczy prawie wszystkich mężczyzn w szpitalu psychiatrycznym. Pytania wprawiają ich w konsternację. Przypominanie, rozmawianie. Mamakay ma rację, wygląda to tak, jakby cały naród przysięgł, że dochowa jakiejś straszliwej tajemnicy. Dlatego wolą milczenie – jedyny sposób, by jednocześnie stawiać opór i być uległym.

Wszyscy z wyjątkiem Eliasa Cole'a. Po raz pierwszy to sobie uprzytamnia. Na papierze ślad ołówka gubi się i urywa. Wszyscy oprócz Eliasa Cole'a. Adrian zastyga z głową pochyloną nad szkicownikiem.

Mamakay coś do niego mówi.

– Tak, słucham? – pyta Adrian, podnosząc wzrok.

– Pytałam, jak ci idzie rysowanie.

– Och, świetnie. Tak mi się zdaje. Jestem całkiem zadowolony. Łatwo cię rysować. Czy to nie brzmi głupio? Chyba tak.

– Nie – odpowiada Mamakay. – Nie brzmi. Chociaż sama nie potrafisz rysować. Moja matka potrafiła. Rośliny. Była botanikiem.

– Jak wyglądało wasze życie rodzinne?

– Rodzice nie byli ze sobą zbyt blisko. Byłam pośredniczką. Pamiętam, że wychodziłam z matką i wychodziłam z ojcem. Nie pamiętam, żebym wychodziła z obojgiem. Matka była bardzo skryta, ale czasami zabierała mnie ze sobą, żeby zbierać okazy. Suszyłam sama kwiaty, miałam własną małą prasę i wszystko. Ale nie podobało mi się to, jak wyglądały sprasowane kwiaty: bez życia i kolorów. Ojciec zabierał mnie do szkoły niedzielnej i opowiadał różne rzeczy, mówił o historii.

– Dlatego wybrałaś historię jako kierunek studiów?

– Tak. Kiedy byłam starsza, pomagałam mu gromadzić materiały. Przynosiłam książki z biblioteki, zaznaczałam odpowiednie strony. Czułam się bardzo ważna. Zabierał mnie do archiwum na uniwersytecie. Dyskutowaliśmy o tym, o czym pisał. Chciałam chyba sprawić mu przyjemność. Jak wszystkie małe dziewczynki.

– Ale nie ukończyłaś studiów.

**– Nie.**

**Adrian czeka, że Mamakay powie coś więcej, tak się jednak nie dzieje. Po raz drugi ma wrażenie, że jest coś, o czym mu nie mówi. Mamakay przestaje pozować, wstaje i wychyla się przez balkon. Adrian zdaje sobie sprawę, że prawie nigdy nie widział jej w szpitalu. Pamięta tylko ten jeden raz, kiedy rozmawiała z Babagalehem. Nigdy nie widział, żeby odwiedzała ojca, choć chyba musi to robić. Mamakay odwraca się do niego, za plecami ma słońce. Adrian nie widzi wyrazu jej twarzy.**

**– Jest południe – mówi ona. – Jesteśmy wolni.**

# ROZDZIAŁ 40

W niesionym na ramieniu worku miał bochenek czerstwego chleba, kilka cebul i zawinięty w papier kawałek mięsa. Jakiś mężczyzna zatrzymał się i poprosił go o jedzenie. Kai pokręcił głową, ale mężczyzna był uparty i złapał go za ramię. Rozgniewany Kai odtrącił jego rękę, lecz mężczyzny wcale to nie zraziło i złapał go ponownie. Kai przystanął, żeby się z nim rozprawić, i zobaczył, że to żołnierz ze szpitala: łatwo to było poznać po charakterze odniesionych przez niego ran. Mężczyzna był pozbawiony części twarzy, wybuch oderwał mu prawie całą dolną szczękę, odsłaniając zęby i podniebienie. Walczył na prowincji w cudzoziemskich oddziałach. Kai znalazł go na podłodze szpitalnego korytarza, gdzie siedział obok stygnącego od trzech godzin trupa i kałuży oleistej, poczerniałej krwi, nadal przytomny i dobrej myśli, przekonany, że ocalał. Kai wiedział, że nie przeżyje.

Ale coś było nie w porządku. Co on tu robił? Widział, jak mężczyzna mlaska obscenicznie wielkim językiem. Próbował mu coś powiedzieć. Kai rozumiał, że jest głodny i prosi o jedzenie. Nie chciał mu nic dawać, lecz wciąż miał przed sobą okaleczoną twarz. Zdjął worek z ramienia i pochylił się, by go otworzyć. Kiedy podniósł wzrok, żołnierz oddalał się drogą, gwizdząc piosenkę Elvisa.

Kai puścił się biegiem. Mężczyzna nagle znalazł się za nim, ścigał go, doganiał wielkimi susami. Lada chwila mógł go złapać. Kai musiał dotrzeć do domu Nenebah. Nie chciał tam jednak przyprowadzać tego dziwoląga, dlatego zmienił kierunek. Dalszy bieg stał się niesamowicie trudny; musiał zmobilizować całą siłę woli, żeby przebierać nogami. Mimo to zwalniał. Czuł, że mężczyzna jest tuż, tuż. A przed nimi dwoma widać było drogę na most, długą i pustą. Żołnierz wyprzedził go i biegł w stronę mostu. Zatrzymaj się! – chciał zawołać Kai. Tamten pędził dalej, Kai za nim. Znaleźli się na moście. Kai nie widział jego końca, widok zasłaniał biegnący przed nim mężczyzna. Nagle most zaczął się walić, Kai nie mógł znaleźć oparcia dla stóp. Poczuł, że spada. Otworzył usta do krzyku, ale wiatr zapierał mu dech w piersiach.

Gwałtownie się budzi. Siedzi na krześle w pokoju lekarskim. Przy stoliku do kawy rozmawiają między sobą trzej doktorzy i pielęgniarka. Seligmann pracuje przy komputerze, pogwizdując Love Me Tender. Kai siedzi nieruchomo, ciężko oddychając. Spocił się pod pachami, krople potu spływają mu po karku. Rozgląda się, żeby sprawdzić, czy ktoś go obserwuje, ale jego koledzy nadal ze sobą dyskutują. Czeka jeszcze minutę, po czym idzie do łazienki, spryskuje twarz wodą i pije ze złączonych dłoni. Przegląda się w lustrze i myśli o Nenebah.

W trakcie drugiej inwazji stanowił oparcie dla całego domu. Jako lekarz miał zapewniony transport i ochronę, używał swoich wpływów, żeby zdobyć niewielkie ilości pożywienia. Miasto było podzielone na dwie części, jedna pozostawała pod kontrolą rebeliantów, drugą zajęły oddziały rządowe i siły interwencyjne. Dzielił je most, choć nie był to most z jego snu. Ten spinał wschód z zachodem miasta. Oblężeni na zachodzie mieszkańcy z jednej strony mieli armię rebeliantów, z drugiej – góry i morze.

Kai przecina dziedziniec, idzie do mieszkania Adriana. Pada lekki deszczyk, który osłabia upał. Przeznaczył to popołudnie na pchnięcie do przodu podania o pracę w Stanach Zjednoczonych. Wbrew zapewnieniom Tejaniego liczba wymaganych dokumentów jest przytłaczająca. Referencje, poświadczone kopie dyplomu i innych kwalifikacji medycznych, świadectwo urodzenia. Sprawę utrudnia fakt, że miejskie archiwa były plądrowane i palone. Musi również przejść pełne badania medyczne. To akurat nie powinno być trudne, tyle że Kai nie powiedział jeszcze nikomu w szpitalu o swoich planach. Ten sam problem dotyczy referencji. Kogo o nie poprosić? Seligmanna? Może to zostać poczytane za zdradę.

Zastanawia się nad tym wszystkim, idąc korytarzem.

Dwa dni wcześniej siedział wieczorem w domu, przeglądając formularze. Do pokoju wszedł zmęczony zabawą Abass i rozłożył się na sofie, opierając podbródek o bark Kaia.

– Co to jest Wydział Imigracyjny? – zapytał nagle.

Kai poczuł, że kuzynka zerka na niego, podnosząc wzrok znad książki.

– Wiesz, jak nieelegancko jest czytać komuś przez ramię? – skarcił Abassa.

Odłożył papiery rubrykami w dół, ściągnął dzieciaka z sofy i zaczął go łaskotać, przez cały czas czując, że kuzynka ukradkiem im się przygląda.

W pustym mieszkaniu Adriana siada teraz na trzcinowej sofie i kładzie przed sobą kopertę z formularzami. Przynosi sobie z kuchni szklankę wody, układa papiery w jeden stos i zaczyna je czytać. Po dziesięciu minutach wstaje i włącza wentylator. Deszcz, jak to często bywa, przyniósł tylko chwilowe wytchnienie; chmury rozeszły się i słońce świeci jeszcze mocniej. Już od kilku tygodni nie widział Adriana. Praca w szpitalu psychiatrycznym musi być bardzo absorbująca. Kai nie zdążył go nawet poinformować o podróży do rodzinnego miasta Agnes. Musi to zrobić.

Po powrocie z Port Loko Kai dużo rozmyślał o losie tej kobiety. Nie skupiał się na najbardziej drastycznych faktach, ponieważ tego rodzaju okropności stanowiły chleb powszedni wojny. Często miał z nimi do czynienia. W przypadku Agnes chodziło o ich trudne do zniesienia następstwa, wiedzę, z którą nie można było nic począć, której brzemień trzeba było nosić. Przez jakiś czas śnił częściej niż zwykle. I chociaż to były jego sny, wynikające z własnych doświadczeń, w jakiś sposób wiązały się z Agnes.

Na stole leży opasły tom, własność Adriana. Kai podnosi książkę, otwiera w zgięciu, a potem odwraca, żeby przeczytać tytuł. Historia chorób psychicznych. Zagląda z powrotem do tekstu i śledząc adnotacje i zaznaczenia Adriana, czyta, z początku machinalnie, a potem z coraz większym zainteresowaniem.

Fuga dysocjacyjna. Charakteryzuje się nagłymi, nieoczekiwanymi podróżami z dala od domu. Nieodpartej potrzebie wędrówki towarzyszy często późniejsza amnezja. Rzadko diagnozowana choroba, w której umysł tworzy alternatywną rzeczywistość. Ta rzeczywistość może być uznawana za bezpieczne miejsce, schronienie.

W swojej pracy chirurga Kai widywał ludzi, którzy trafiali do szpitala ze straszliwymi ranami. Wydawało się, że niektóre obrażenia uniemożliwiają nie tylko chodzenie i mówienie, lecz także powrót do przytomności.

Kiedyś w czasie wojny został wezwany wraz z innymi członkami personelu medycznego przed szpital, by zająć się pasażerami ciężarówki, która właśnie przyjechała z prowincji. Pierwszą osobą, której pomógł zejść ze skrzyni, była kobieta z niemal zupełnie odciętymi dłońmi, które zwisały z nadgarstków niczym złamane skrzydła. Zobaczył mężczyznę

podskakującego na jednej nodze i przyciskającego do piersi amputowaną stopę. Było tam kilkadziesiąt osób: mężczyźni, kobiety, dzieci. Niektórzy spędzili kilka dni w buszu. Kai pracował z większą prędkością i furją, niż zdarzyło mu się kiedykolwiek wcześniej w życiu.

A potem, gdy pytano któregoś z ocalonych, jak udało im się przeżyć, nie potrafili odpowiedzieć. Jakby podczas tych dni spędzonych w buszu i jazdy do miasta byli w jakimś transie. Umysł tworzy alternatywną rzeczywistość.

Kai przypomina sobie rozmowę, jaką odbył z Adrianem tu, w tej kuchni, po tym jak zaatakował go JaJa. Zakładał wówczas, że JaJa jest zwykłym obwiesiem, handlarzem narkotyków. O chorobie Agnes wiedział niewiele, tyle, ile powiedział mu Adrian. Przyjaciel twierdził, że Agnes odbywa te podróże, podróże, o których piszą w książce, ponieważ czegoś szuka.

Ale Agnes niczego nie szukała.

Ona przed czymś uciekała. Uciekała przed niedającymi się znieść okolicznościami. Uciekała z domu, od córki, a przede wszystkim uciekała przed JaJą. Różnica między Agnes i rannymi, którzy trafili do szpitala, polegała na tym, że Agnes nie miała miejsca, w którym mogłaby się schronić.

Kai odkłada książkę na stolik. Musi porozmawiać z Adrianem. Jego przyjaciel zasługuje na to, by wiedzieć. Jeśli w ogóle coś z tego wyniknie, będzie miało znaczenie dla przyszłości. Zaczeka tu na Adriana.

Spogląda na zegarek. Wpół do trzeciej. Nagle ogarnia go zmęczenie. Wyciąga się na sofie i po paru minutach zasypia. Przed jego oczyma przesuwają się obrazy zburzonych i spalonych domów, dygoczących kończyn, czasami idącego z uśmiechem Fodaya, innym razem tych ludzi z ciężarówki z poucinanymi rękoma i nogami. Uśmiecha się do niego nieśmiało młoda pielęgniarka Balia. W jego uszach rozbrzmiewa bełkot mężczyzny pozbawionego szczęki.

Nie ma w tym żadnej ciągłości, niczego, co można by określić mianem koszmaru. Po prostu szereg przesuwających się przed nim, zarejestrowanych scen.

Tak wygląda jego sen.

# ROZDZIAŁ 41

Adrian idzie do izolatki Eliasa Cole'a prosto z gabinetu pani Mary. Spotkanie z nią nie było zbyt udane. Nowe koncentratory tlenu zostały zatrzymane na cle.

– On może umrzeć – powiedział.

– I tak już umiera – odparła. – Mówimy o kilku dodatkowych tygodniach albo miesiącach.

Może nie powinien był drążyć tej sprawy, ale nie mógł się powstrzymać. Pani Mara nagle umilkła, ciężko usiadła i potarła powieki. Poczł się jak gbur.

Kiedy przecina dziedziniec, wraca do niego wspomnienie niedawnej rozmowy z Mamakay. Tu w krainie niemych Elias Cole postanowił mówić. Adrianowi nigdy nie przyszło do głowy zapytać dlaczego, podobnie jak nigdy nie kwestionuje obecności pacjenta w swoim gabinecie, zastanawia się tylko, jak mu pomóc. Różnica między Eliaszem Cole'em a mężczyznami w szpitalu psychiatrycznym oraz jego wczesnymi pacjentami polega na tym, że Cole odebrał staranne wykształcenie. Im bardziej jest ktoś wykształcony, tym lepiej potrafi wyartykułować swoje doświadczenia. I oczywiście poddać je intelektualnej analizie. Ci gorzej wyedukowani skłonni są okazywać swoje problemy w gwałtowny sposób, uciekając się do przemocy, lub psychosomatycznie: poprzez głuchotę, ślepotę, niemotę, paraliż, halucynacje wizualne i węchowe. Pieczone mięso Adecalego.

Wskazywanie tych różnic poza środowiskiem psychiatrów nie jest dobrze widziane, lecz takie są fakty. Zdaniem Adriana ta druga kategoria pacjentów jest o wiele łatwiejsza do leczenia; w pierwszej trafiają się interesujące wyzwania. Wchodzi do izolatki Eliasa Cole'a.

– Jak pan się czuje?

– Dokładnie tak, jak pan widzi – mówi Cole. – Jeszcze żyję. – Kaszle i odpluwa w chusteczkę. – Przepraszam za ubiegły tydzień. Lekarze uważają, że za bardzo się forsuję. Powiedzieli, że powinienem spróbować nie mówić. – Śmieje się niewesoło. – Wysłałem Babagaleha z wiadomością, ale nie mógł pana znaleźć.

Spogląda na Adriana, którego ogarnia poczucie winy. Zastanawia się, jaką wiedzą dysponuje Elias Cole, co oznacza to spojrzenie.

– Przepraszam – mówi. – Kiedy mnie tu nie ma, jestem na ogół w szpitalu psychiatrycznym.

– Aha! I jak się czują pensjonariusze? Mam nadzieję, że przynosi im pan spokój ducha.

– Ciekawe, że pan to mówi. Czy pan też szuka spokoju ducha?

Znowu to spojrzenie. Co dokładnie oznacza? Mamakay odziedziczyła je po nim, chociaż w jej wykonaniu wydaje się bardziej rozbawione, mniej wyrachowane. Adrian nie spodziewa się, że Cole odpowie na jego pytanie, lecz ten nagle się odzywa.

– Powiedziałem panu kiedyś, że ta historia ma dwa zakończenia. Teraz czekamy na trzecie.

\*

Mój awans na stanowisko dziekana zbiegł się w czasie z naszą wyprawką z terenu uczelni. Nie ulegało wątpliwości, że sytuacja się zmieniła. Kampus nie był już taki jak kiedyś. Wśród studentów mieliśmy coraz więcej wichrzycieli. Tak się złożyło, że zacząłem zarabiać na



tyle dobrze, by móc zbudować dom, spełniając tym samym marzenie, które od pewnego czasu snuło mi się po głowie.

Nowy dom znajdował się w zachodniej części miasta. Udało mi się kupić kilka działek, dzięki czemu otaczał go spory ogród. Po kilku latach spędzonych na kampusie, gdzie terenami zielonymi zajmowali się ogrodnicy uczelni, Saffia znowu miała własny ogród. Zabrała się do pracy, tworząc tarasy, sadząc drzewa z tyłu i urządzając trawnik i rabatki z przodu.

Co do mnie, coraz bardziej angażowałam się w sprawy uniwersytetu. Dziekan został mianowany rektorem. W kraju brakowało wszystkiego, często wyłączano prąd. Mieliśmy strajki i petycje – studenci zupełnie nie przypominali tych z czasów mojej młodości. Wydawało im się, że potrafimy wyczarować światło w ciemności, uważali, że muszą zwalić na kogoś całą winę.

Byliśmy małżeństwem przez dwadzieścia jeden lat, z tego cztery lata przeżyliśmy w naszym nowym domu.

Ze wstydem przyznaję, że byłem tamtego dnia gdzie indziej. Tak się zatem złożyło, że wiadomość dotarła najpierw do Babagaleha.

To pańska pierwsza pora deszczowa, więc widzi pan, co deszcze wyczyniają w tej części świata. A to, co pan widzi, to dopiero początek. Suną przez Atlantyk i tutaj, na skraju kontynentu, atakują nas z pełną siłą.

Saffia nadal prowadziła swoją firmę, dostarczając kwiaty na wesela i podobne imprezy. Niewiele par bierze ślub w porze deszczów, większość woli koniec ramadanu, w zależności, kiedy przypada, albo święta Bożego Narodzenia. Czasami jednak wesele urządza się i w tym okresie. Para może mieć własne powody.

Do dzisiaj widzę, jak stała rano na podjeździe, a Babagaleh ładował doniczki z tyłu samochodu. Nigdy nie sprzedała varianta, który służył do jej wyłącznego użytku. Tamtego dnia miała zawieźć kwiaty na wesele w Hill Station. Nie pamiętam, czy o tym wiedziałem. Całkiem możliwe, że nie.

Droga z naszego domu do Hill Station zapiera dech każdemu, kto jedzie nią po raz pierwszy. Kiedyś z boczem wzgórza poprowadzono wąskotorową linię kolejową. Lokomotywa ciągnęła tamtędy pod górę pojedynczy wagon. Gdy w miejscu torów wytyczono drogę, jej szerokość pozostała taka sama, chociaż pojazdy poruszały się nią w dwóch kierunkach. Nikt nie zadbał o to, by postawić jakieś barierki. W czasie deszczów woda spływa po zboczu, niosąc na jezdnię błoto i kamienie.

Z tego, co się później dowiedziałem, udało jej się szczęśliwie dostarczyć kwiaty i wracała do domu, prowadząc dwudziestokilkuletni samochód. Według policji w wypadku nie uczestniczył żaden inny pojazd. Nikt inny nie ucierpiał. Jedyne świadek, kierowca jadącego za nią auta, oświadczył, że zjechała na bok, żeby przepuścić jadącą z naprzeciwka wojskową ciężarówkę. Wygląda na to, że źle oceniła łuk zakrętu. Nie ulega wątpliwości, że deszcz ograniczył widoczność i utrudnił prowadzenie, ponieważ Saffia była znakomitym kierowcą. Samochód stoczył się trzydzieści metrów w dół. Nie miała zapiętych pasów bezpieczeństwa, zresztą nie sądzę, by variant był w nie wyposażony. Nie odniosła wielu obrażeń, doszło jednak do złamania kręgosłupa szyjnych.

Policja nie spieszyła się tam podczas deszczu. Jeden z mieszkańców pobliskich chat rozpoznał samochód i wysłał do naszego domu syna, który odnalazł Babagaleha. Saffia już

wtedy nie żyła. Podczas ulewy nie dało się przenieść ciała. Babagaleh pobiegł na uniwersytet. Nie było mnie tam. Trafił za to na moją córkę. Widząc go na kampusie, domyśliła się, że musiało się zdarzyć coś strasznego.

Później Babagaleh przekazał wiadomość mnie. Wiedział, gdzie może mnie znaleźć. Nie mam pojęcia skąd.

\*

Elias Cole milknie i odwraca spoczywającą na poduszce głowę.

– Proszę mi to podać – mówi, wyciągając rękę.

Adrian wstaje, bierze do ręki fotografię w ramce i podaje ją Cole’owi.

– Nie, chciałem, żeby pan to zobaczył.

Adrian spogląda na fotografię, spodziewając się zobaczyć Saffię, lecz zamiast niej widzi zdjęcie Mamakay, zrobione, kiedy musiała mieć około szesnastu lat. Patrzy w obiektyw z ukosa; oprócz młodzieńczej zadziorności widać w jej oczach taki sam chłodny dystans, z jakim przygląda się ludziom i rzeczom także dziś. Opiera się plecami o krzesło, jej ciało jest odwrócone do fotografa bokiem, ale patrzy prosto na niego. Jej łokieć spoczywa na poręczy krzesła, sztywny materiał sukni unosi się nierówno na jednym ramieniu i ześlizguje z drugiego. Wąski naszyjnik biegnie wzdłuż konturu obojczyka i znika pod dekoltem sukni. Włosy ma związane w skomplikowany węzeł szarfą o tym samym wzorze co suknia. Nie uśmiecha się i widać wyraźnie, że ma ściągnięte brwi, a jednak w wyrazie jej twarzy Adrian nie widzi nic surowego. Wydaje się raczej oceniać sytuację, obserwować aparat, a przez jego obiektyw tych, którzy mogliby się jej przyglądać w przyszłości. Jej postawa sugeruje bardziej podporządkowanie się aniżeli uczestnictwo w akcie fotografowania. Widząc ją tak niespodziewanie w tej pozie, Adrian czuje się przez chwilę zdezorientowany. W końcu bierze się w garść i odstawia na miejsce fotografię.

– Chciała zostać historykiem. Po tamtym dniu straciła we mnie wiarę. Z początku myślałem, że oplakuje matkę, ale powstała między nami przepaść, której nigdy nie zasypaliśmy. Była w tym szczególnym wieku: już nie będąc, a jednocześnie nadal będąc dzieckiem. Jakimś cudem się dowiedziała. Ludzie plotkują, nie sposób ich powstrzymać. – Cole zamyka oczy. – Nie sposób. Miałem wrogów, musieli być tym zachwyceni.

Na zewnątrz słońce prawie już zaszło. Deszcz przestał padać i kolory ziemi przesyciły niebo głęboką czerwienią. Na drucie kolczastym trzepoczą szkielety dwóch latawców. Ktoś idzie korytarzem; odgłos jego kroków najpierw się zbliża, a potem oddala.

– Chyba nie do końca rozumiem – mówi Adrian.

Stary mężczyzna wzdycha.

– Babagaleh wiedział, gdzie mnie znaleźć. Nie rozumie pan? Przypuszczam, że musiał wiedzieć przez cały czas. Być może Saffia też wiedziała. Trudno powiedzieć.

– Gdzie pan był?

– U swojej kochanki.

Adrian stara się ukryć zdumienie.

– Tak, u kochanki. Od czwartego roku małżeństwa z Saffią miałem kochankę. Przez cały czas tę samą, pod tym względem byłem lojalny. Musi pan zrozumieć... nie... chciałbym, żeby pan zrozumiał: ona dawała mi coś, czego nigdy nie otrzymałem od Saffii. Przy niej nie czułem się wybrakowany, gorszy. Wszystko to jest bardzo banalne, wiem. Niech pan mi wierzy,

**zawsze zdawałem sobie z tego sprawę. Nie miało to żadnego znaczenia.**

**– I był pan w jej domu, kiedy Saffia miała wypadek?**

**– Tak, byłem u Vanessy.**

# ROZDZIAŁ 42

W ciężkim powietrzu milkną ostatnie dźwięki klarnetu. Adrian na wpół unosi się z krzesła, kiedy Mamakay przechodzi przez patio, osuwa się na sąsiednie krzesło, bierze butelkę piwa i podnosi ją do ust. Jej sukienka jest mokra, twarz i szyja spocone. Adrian całuje ją w policzek, jednocześnie słony i słodki.

Mamakay odstawia butelkę i wzdycha niczym dziecko.

– I jak było? Dobrze słyszałeś?

– Oczywiście. Było wspaniale.

– Z wyjątkiem jednego kiksusa w połowie – odpowiada ona, kiwając głową.

– Było świetnie – upiera się Adrian, który i tak by się nie poznał.

– Tak sobie.

Ludzie mijają ich stolik. Mamakay przybija piątkę z jednym z członków zespołu i facet siada obok niej. Przez kilka chwil rozmawiają o muzyce w języku zupełnie niezrozumiałym dla Adriana.

Przez cały dzień myślał przede wszystkim o rozmowie z Eliasem Cole'em – aż do chwili, gdy Mamakay wyszła na estradę i zaczęła grać. Pociąga łyk piwa. Mamakay prawie skończyła swoje. Adrian podnosi dłoń, pokazując, żeby podano im dwa następne.

Elias Cole poprosił go o pomoc. Nie wiedział o Adrianie i Mamakay, tak się przynajmniej wydawało Adrianowi. W tym sensie nie była to zatem bezpośrednia prośba i Adrian mógłby ją zignorować. Profesjonalnie też nie był mu nic winien. Z drugiej strony nie zwykł się migać, tak go wychowano i weszło mu to w krew. No i jest przecież Mamakay. Elias Cole jest jej ojcem. Elias Cole umiera. Adrian pociąga łyk piwa. Obserwuje ludzi w klubie, ludzi, którzy nadal stoją na parkiecie po występie, kelnera w za dużych butach, który idzie z wielką tacą zastawioną drinkami, siedzące przy barze z odsłoniętymi ramionami dziwki, rozmawiającą ze swoim znajomym Mamakay. Obserwuje, jak fruują i trzepoczą jej dłonie – w taki sam sposób, jak kiedy gra na klarnecie. Powiedział jej o tym kiedyś i odparła, że to oznaka marnej techniki. Nie stawia granic fantazji, liczy się tylko ucieczka, którą zapewnia muzyka.

Zeszłej nocy, kiedy księżyc był cieńszy niż teraz, przyglądał się śpiącej Mamakay. Patrzył, jak poruszają się gałki jej oczu, i wiedział, że śni. Chciał ją obudzić i zapytać, czy śni o nim.

Kocha ją. Powiedziałby jej to zeszłej nocy. Powiedziałby jej teraz, lecz nie może. To zbyt trudne, zbyt skomplikowane. Jest przecież dom. Jest Lisa. Jest Kate. O Boże, Kate. Nie może o tym myśleć. Odwraca wzrok od Mamakay i patrzy w mrok, ku morzu. Ponad zgiełkiem i muzyką słyhać dźwięk przyboju, przypominający pękające kryształy.

I ponieważ chce mówić o niej, o nich obojgu, ale przede wszystkim o miłości, zamiast tego Adrian rozmawia z Mamakay o jej ojcu.

Idą pociemniałą plażą. Za nimi powoli pustoszeje Ocean Club. Adrian relacjonuje rozmowę z jej ojcem, w trakcie której siedział przy łóżku starego, robi to najdokładniej, jak może, stara się dobrać najważniejsze słowa. Nie mówi wszystkiego, tylko to, co dotyczy Mamakay. Kiedy kończy, idą dalej. Ciszę przerywają tylko ich kroki, ciche skrzypienie mokrego piasku.

**Adrian odwraca się i widzi jej profil obwiedziony światłem księżyca.**

**– Na pewno chciałby z tobą porozmawiać – mówi.**

**Mamakay nie odpowiada. Adrian czeka w milczeniu. Nie słyhać nic prócz dźwięku przyboju i czasami jadącego drogą samochodu. Konstelacja rzadkich światel rysuje przed nimi kształt półwyspu. W końcu docierają do pustego i zamkniętego plażowego baru. W piasku tkwią betonowe stoły. Mamakay siada na jednym z nich i podkula pod siebie nogi.**

**– Nie masz pojęcia, jaki jest mój ojciec.**

**– Nie znam go tak dobrze jak ty, nie.**

**Mamakay potrząsa głową i spogląda na morze.**

**– No dobrze – mówi Adrian. – Powiedz mi, czego nie wiem.**

**– W porządku, opowiem ci historię. O moim ojcu i matce. O tym, co się wydarzyło. I sprawiło, że zaczęłam rozumieć, co się dzieje między nimi. Mówiłam ci, że zawsze między nimi pośredniczyłam, pamiętasz? Nigdy nie robiliśmy niczego jako rodzina.**

**– Pamiętam.**

**– No więc raz, kiedy miałam dziesięć, a może jedenaście lat, wybrałyśmy się z mamą na miasto. Pojechałyśmy do Red Rooster, restauracji, w której podają dania z kurczaka. Do moich urodzin było jeszcze daleko i pamiętam, że zapytałam, dlaczego tam jedziemy. Dlatego, odparła, że jesteś taką dobrą córką. Tak naprawdę wcale jej nie uwierzyłam, dziecko zawsze wyczuwa, gdy rodzic je nabiera. Ale było mi wszystko jedno. Cieszyłam się, że jedziemy. Weszłyśmy do Red Rooster i zamówiłyśmy skrzydełka i zimne napoje. Matka była w dobrym nastroju, żartowała sobie. Lubiałam, kiedy taka była; nie zdarzało się to zbyt często. W obecności ojca była, jak by to powiedzieć, o wiele bardziej zgaszona.**

**Mamakay przestaje mówić, bierze głęboki wdech, zadziera głowę i patrzy w niebo.**

**– Po mniej więcej półgodzinie do restauracji wszedł jej znajomy. To małe miasto. Wtedy było jeszcze mniejsze, wszyscy się znali. Widziałeś, jak to wygląda. A ja nigdy wcześniej nie spotkałam tego mężczyzny. Nie należał do kręgu znajomych moich rodziców. Ale w Red Rooster jadało wiele osób z okolicznych biur, pomyślałam więc, że ten mężczyzna pracuje gdzieś w pobliżu w centrum miasta. Pamiętam, że był ubrany w garnitur, miał jednak potargane włosy i nieprzystrzyżoną brodę. Był bardzo miły; zwracał się do mnie bezpośrednio i traktował jak osobę dorosłą, a nie jak dziecko. Matka bardzo się ożywiła w jego towarzystwie. Pamiętam, że byłam zazdrosna: chciałam, żeby to mną się zainteresował. Zaczęli ze sobą rozmawiać i wkrótce o mnie zapomnieli. Przez jakiś czas się dąsałam, a potem trzeba było wracać do domu.**

**Mamakay zsuwa nogi ze stołu i idzie w stronę morza. Adrian rusza za nią.**

**– W samochodzie w drodze do domu matka poprosiła, żebym nie mówiła ojcu o tym, że byliśmy w Red Rooster. Powiedziała, że zakazał jej wydawać pieniędzy na głupstwa, więc to będzie nasza tajemnica. – Mamakay wzrusza ramionami. – Zgodziłam się i potem specjalnie o tym nie myślałam. Później, kiedy byłam starsza i dziewczęta zaczęły opowiadać o chłopakach, zastanawiałam się, czy matka nie miała przypadkiem romansu z tym mężczyzną. Uznałam to chyba za odpowiednio dramatyczne wyjaśnienie – dodaje, śmiejąc się. – Ale z czasem i o tym zapomniałam. Boże, dałabym wszystko, żeby zapalić. Masz może papierosa?**

**– Nie – odpowiada Adrian, który nie pali i nie wiedział, że ona to robi. – Chcesz kupić?**

**– Nie przejmuj się. Chodźmy.**

Mamakay zdejmuje sandały i pozwala, żeby woda obmyła jej stopy.

– Minęło trochę czasu. Musiałam mieć koło piętnastu lat. Grzebiąc w przyborach do szycia matki, znalazłam stary wycinek z gazety. Pamiętam, że wycięto go ząbkowanymi nożyczkami i papier poszarpał się trochę przy brzegach. Była tam fotografia i krótki artykuł. Zdjęcie przedstawiało mężczyznę, z którym spotkałyśmy się wtedy w Red Rooster. W artykule napisali, że próbował wysadzić most na półwysep.

Adrian staje w miejscu.

– Jezu!

– Właśnie.

– Zapytałaś o to matkę?

– Oczywiście. Powiedziała, że to przyjaciel z dawnych czasów.

I że nie widziała go od wielu lat. Twierdziła, że nie pamięta tamtego dnia w Red Rooster. Ale wiem, że się nie pomyliłam. Kiedy następnym razem zajrzałam do przybornika, wycinka już tam nie było.

– Jak on się nazywał? Ten mężczyzna. Pamiętasz?

– Conteh. Kekura Conteh.

Adrian przez kilka chwil milczy. Zbliżają się ponownie do Ocean Club.

– Kekura był opozycjonistą – mówi Adrian. – Czy twoja matka mogła być w coś zamieszana?

Mamakay śmieje się cicho.

– Nie. W każdym razie nie sądzę. Wydaje mi się, że do tej próby zamachu na most doszło przed naszym spotkaniem w restauracji. I choć na wycinku nie było daty, robił wrażenie naprawdę starego. Papier odbarwił się, krawędzie zwinęły. Może rzeczywiście byli tylko znajomymi. Rzecz w tym, że kiedy wracałyśmy do domu z restauracji, powiedziała, bym nie mówiła nic ojcu. Wydawało mi się, że prosi o to, bo uważa, że ojciec mógłby być zazdrosny. Ale wcale nie o to chodziło.

– A o co?

Mamakay odwraca się do Adriana.

– Chciała zachować to w tajemnicy, bo mu nie ufała. Rozumiesz? Matka nie ufała mojemu ojcu.

Wchodzą z powrotem do Ocean Club. Mamakay siada przy stoliku. Opiera podbródek o dłoń i zasłania palcami usta. W lokalu nie ma innych gości. Właściciel przynosi im dwie butelki piwa i daje gestem znać, żeby się nie spieszyli.

– Na pewno dobrze to odczytujesz? – pyta Adrian. – Sama mówiłaś, że dzieci mogą błędnie interpretować różne rzeczy. Może być inne wytłumaczenie.

– No dobrze. Zdarzyło się coś jeszcze – wyjawia Mamakay.

– Wiele lat później, kilka miesięcy po śmierci matki. Na uczelni doszło do protestów. Studenci mieli dość ówczesnej władzy. Zresztą nie tylko oni, ale wszystko ogniskowało się na uniwersytecie. Stale wyłączano energię, a wszyscy staraliśmy się uczyć do egzaminów. Grupa studentów przygotowała petycję, w której domagaliśmy się ustąpienia rektora. Podpisałam się pod nią wraz z innymi. Tego dnia, kiedy poszli ją złożyć, miałam egzamin, w przeciwnym razie też bym tam była.

Mamakay nie patrzy na Adriana. Jej wzrok błądzi gdzieś po stole, między podstawkami do

piwa i śladami po papierosach.

– Po egzaminach studenci świętowali. Codziennie urządaliśmy imprezy, zbliżał się koniec roku akademickiego. Wszyscy oprócz mnie mieszkali w akademiku. W tamtym semestrze siedziałam w domu, żeby dotrzymać towarzystwa ojcu. Ostatniego wieczoru wezwał mnie i powiedział, że tej nocy nie pójdę na kampus. Nie wyjaśnił dlaczego. Zamiast tego mówił wiele innych rzeczy. Za często nie ma mnie w domu. Przyjaźnię się z niewłaściwymi ludźmi. Krążą o mnie plotki. Byłam zła i zaczęłam na niego krzyczeć. Że o nim też krążą plotki. O nim i o kobiecie imieniem Vanessa.

Adrian zerka na Mamakay.

– O tak – mówi ona, dostrzegając to spojrzenie. – Wiedziałam o Vanessie. Wiedziałam od dosyć dawna. Poszłam do mojego pokoju i jakiś czas tam siedziałam. Tłumaczyłam sobie, że ojciec zachowuje się nierozsądnie. Co dziwne, właściwie raczej mnie rozpieszczał. W końcu zeszłam na dół i znalazłam go w gabinecie. Nic nie robił, po prostu siedział za biurkiem. Zrobiło mi się go żal. Pomyślałam, że może podobnie jak ja myśli o mojej matce. Usiadłam na podłodze i położyłam mu głowę na kolanach. A on położył po prostu rękę na moich włosach.

Mamakay znowu milknie. Nie podnosi wzroku znad stolika, przyciska tylko palcami dolną wargę. Kiedy się odzywa, mówi cicho, kontrolując emocje:

– Tamtej nocy siły bezpieczeństwa przypuściły szturm na kampus. Zaatakowali studentów. Wiele osób odniosło obrażenia. Policja weszła do akademików. Aresztowano dwunastu studentów, w większości tych, którzy przedstawili petycję. Zostali wydalen i nigdy już ich nie zobaczyliśmy. Wszyscy brali udział w imprezie, na którą zostałam zaproszona w jednym z akademików. Mówiono potem, że to było pierwsze miejsce, do którego weszła policja. Później wdarli się do sypialni. Studenci zorientowali się, co się dzieje: niektórzy próbowali zabarykadować drzwi i walczyć. Możesz sobie wyobrazić, co z nimi zrobili... – Mamakay przerywa, a potem z jej ust pada ostatnie zdanie: – To byli moi przyjaciele.

– Wtedy rzuciłaś studia.

– Tak. Rzuciłam. Było mi wstyd.

Mamakay woła właściciela i prosi go o papierosa. Mężczyzna częstuje ją z własnej paczki. Mamakay bierze go, niewprawnie zapala i zaciąga się dwa albo trzy razy. Żadne z nich się nie odzywa. Po chwili Mamakay gasi niedopalonego papierosa i spogląda na Adriana.

– Jak widzisz, są rzeczy, których o nim nie wiesz.

# ROZDZIAŁ 43

Seligmann po południu wyszedł, ma spotkanie w ministerstwie. Jest mała szansa, że wróci przed końcem dnia, co oznacza, że Kai będzie operował sam, z anestezjolożką. W sąsiedniej sali pani Goma wykonuje amputację ze spokojem, wprawą i użyciem elektrycznych narzędzi. Instrumentariuszka dzieli czas między dwoje chirurgów.

Kai siedzi na stołku, pochylony nad polem operacji, z odtwarzacza płynie muzyka. Zerkając na zegar, widzi, że minęła godzina.

Dzisiaj czuje się dobrze. Dzisiaj kontroluje sytuację. Zeszłej nocy, którą spędził samotnie w mieszkaniu Adriana, przespał cztery godziny, potem przepracował sześć i jakimś cudem przespał jeszcze sześć. Nie doczekawszy się Adriana, zjadł śniadanie na stołówce i poszedł na oddział ratunkowy, żeby przyjąć pierwsze tego dnia przypadki. Razem z Seligmannem zajął się typowymi oparzeniami od paleniska, przepuklinami i bardziej interesującym przypadkiem noworodka z zarośniętym odbytem. Potem nie zostało zbyt wiele do roboty. Seligmann pojechał do miasta, pani Goma zajęła się usunięciem zgangrenowanej kończyny, co zostało zaplanowane już wczesnym rankiem. Kai zaproponował, że pomoże, ale zbyła go machnięciem ręki. To rutynowa operacja, a ona podobnie jak on najwyraźniej lubi te chwile samotności na bloku. Kai przyniósł sobie zatem kawę i usiadł w pokoju lekarskim, żeby uzupełnić zapiski. Zdążył zacząć, kiedy z oddziału ratunkowego wezwano chirurga do nagłego wypadku.

Częściowo znieczulona kobieta siedziała na jednym z łóżek. Z oczyma w słupek wyglądała, jakby miała zaraz zemdleć. Cuchnęła amoniakiem i potem. Kai ściągnął materiał, którym miała obwiązaną prawą rękę, i odkrył, że jej nadgarstek jest przecięty tak głęboko, iż przerwane zostały ścięgna wszystkich palców, może z wyjątkiem kciuka. Ponieważ pani Goma była zajęta, a Seligmann nieobecny, zaczął samodzielnie zszywać ścięgna. To robota dla mikrochirurga, ale w ich zespole nie ma mikrochirurgów, nie ma ich zresztą w żadnym innym szpitalu w tym kraju. Tego dnia Kai jest jedyną szansą pacjentki. Operacja okazuje się skomplikowana – trzeba zlokalizować końcówki ścięgien, które cofnęły się w głąb nadgarstka, wyciągnąć je i odpowiednio napiąć do chwili, kiedy zdoła połączyć oba końce. Jest cierpliwy. Mimo to cieszyłby się, gdyby Seligmannowi udało się wrócić wcześniej z ministerstwa.

Spogląda na anestezjolożkę, która siedzi na swoim stołku wyprostowana jak struna, z szeroko otwartymi oczyma – niezawodny znak, że rozpaczliwie stara się nie zasnąć.

– Co jej się stało? Wiemy coś na ten temat?

Na dźwięk jego głosu anestezjolożka wzdryga się lekko i potrząsa głową. Kai obraca się na stołku i przesuając kartkę łokciem, czyta notatkę sporządzoną przy przyjęciu kobiety. „Możliwa próba samobójcza”. Rozpoznaje charakter pisma jednego ze szwedzkich lekarzy. A może to Holender? Odwraca się z powrotem i szuka końcówki kolejnego ścięgna w nadgarstku kobiety. Jest, blade i wąskie. Ani razu w swojej karierze nie miał do czynienia z niedoszłym samobójcą, nawet o kimś takim nie słyszał. Musi ją skierować do Adriana. W ciągu ostatnich paru tygodni praktycznie go nie widział.

Jego myśli wędrują ku Tejanemu. Za kilka miesięcy powinien spotkać się ze starym



przyjacielem. Nie myśli o tym jednak z radością, lecz z dreszczem trwogi. Czuje nieregularne, dodatkowe uderzenie serca. Zaledwie przed kilkoma tygodniami, wysiadając z podą podą i mijając kolejkę ludzi czekających na przyjęcie do szpitala, czuł przytłaczające go ciężkie brzemie. Teraz niepokoi go myśl o zostawieniu tego wszystkiego za sobą. Próbuje wyobrazić sobie podróż, przyjazd, dom Tejaniego i Heleny. Robiąc coś, na co normalnie nigdy sobie nie pozwala, wybiega myślami do przodu, ku jakiejś nienazwanej przyszłości w nienazwanym szpitalu. Wyobraża sobie szerokie białe korytarze, jasne światła, sunące cicho sylwetki personelu. Twarze ludzi pozostają niewyraźne.

Wyciąga kleszczami końcówkę ścięgna. Palec wskazujący leżącej na stole nieprzytomnej kobiety porusza się, jakby przyzywał go do siebie.

– Przytrzymaj to – mówi anestezjolożce.

Zastanawia się, czy Tejani próbował kiedyś wykonać taką operację. Podchodzi do drzwi i patrzy przez szklany panel. W wiadrze na podłodze tkwi dolna część ludzkiej nogi. Pani Goma, pochylona nad operowanym, obszywa elegancko pozostawiony kikut fałdą skóry. Obserwuje ją Jestina, instrumentariuszka, która zastąpiła Wilheminę. Kai puka do drzwi i wsadza głowę do środka.

– Mogę pożyczyć Jestinę, pani Goma?

Dwie godziny później jest już po wszystkim. Zrobił, co było w jego mocy. Kobieta nie będzie nigdy grała na fortepianie, ale zdoła się umyć i ubrać. Kai wychodzi z sali operacyjnej przez wahadłowe drzwi. Na oddziale ratunkowym panuje spokój. Mija gabinet pani Mary. Powinien z nią porozmawiać, powiedzieć jej o swoich planach, pchnąć sprawy do przodu. Przy drzwiach chwilę się waha. Słyszy, że dyrektorka rozmawia przez telefon, pyta o swojego asystenta. Chwilę później otwiera drzwi. Kai myśli o tym, jak bardzo się postarzała. Uśmiecha się do niego. Kai wie, że jest jednym z jej ulubieńców.

– Witam. Co ty tu robisz? Chciałeś ze mną porozmawiać?

– Nie ma sprawy. To może poczekać.

– Nie, wejdz.

– To może zająć trochę czasu. Wrócę później.

Pani Mara znowu się uśmiecha.

– W porządku. Swoją drogą, gdybyś zobaczył Alexa, powiedz mu, że go szukam.

– Oczywiście. – Kai uśmiecha się do niej, czując się w głębi duszy hipokrytą.

Po lunchu medycy grają w pokoju lekarskim w bule. Kiedy Kai otwiera drzwi, srebrna kula toczy się po czarno-białej szachownicy płytek w jego stronę. Daje krok w tył. Kula zatrzymuje się w miejscu. Jeden z medyków, niski łysy mężczyzna, skacze do przodu, mierzy kciukiem i palcem wskazującym odległość między dwiema kulami i wydaje triumfalny okrzyk. Kai nigdy nie bierze udziału w tych meczach, rozgrywanych głównie przez zagraniczny personel. Dzisiaj uświadamia sobie, jakie to może być przyjemne. Poranne operacje naładowały go energią. Przez kilka minut siedzi bezczynnie, obserwując srebrne kule, które toczą się po podłodze i łagodnie ze sobą zderzają. Jest kilka rzeczy, którymi mógłby się zająć: notatki, korespondencja, ale nie pociąga go papierkowa robota. Postanawia przejść się po oddziałach. Sprawdzić na izbie przyjęć, czy nie ma czegoś nowego. Może odwiedzi Fodaya, złoży mu czysto towarzyską wizytę.

Na zewnątrz słońce świeci między srebrzystoczarnymi chmurami. Powietrze jest gorące,

naładowane elektrycznością odległych burz. Spod wiaty z falistej blachy, która służy jako poczekalnia, kilkanaście par oczu śledzi, jak się zbliża. Kai wyczuwa wzbierającą z każdym jego krokiem nadzieję i zbiorowy zawód, gdy mija ich, nie wymieniając żadnego nazwiska ani nie wskazując pacjenta, który miałby za nim pójść. Wchodzi po rampie do budynku, kiedy dogania go jakiś mężczyzna.

– Panie doktorze!

Kai się odwraca.

– Pan doktor Mansaray, tak?

Kai kiwa głową.

– W czym mogę pomóc?

– Powiedzieli mi, że operował pan dziś rano moją żonę – mówi mężczyzna, szczupły, elokwentny Fula. – Zraniła się w rękę.

– Tak – odpowiada Kai. – Powinna być już na oddziale. Operacja się udała. Właściwie... – Zerka na zegarek, a potem na drzwi izby przyjęć. – Właściwie możemy tam pójść i zobaczyć, jak się czuje. Proszę ze mną.

Idą razem długimi krytymi alejkami. Kai wyjaśnia, jak poszła operacja i czego mogą się w najlepszym razie spodziewać. Mąż, który najwyraźniej nie liczył na zbyt wiele, kiwa głową i jeszcze raz mu dziękuje.

– Jak to się stało? – pyta Kai, pamiętając o tym, co napisano w historii choroby kobiety.

– To moja wina, panie doktorze. Żona była bardzo zła na swoją siostrzenicę. Chciała ją uderzyć, ale ja ją przytrzymałem. A siostrzenica mojej żony wykorzystała to i powiedziała kilka brzydkich słów. Żona próbowała mi się wyrwać i ją puściłem. To był mój błąd. Poleciała do przodu zbyt szybko i stłukła ręką okno.

Wyjaśnienie jest spójne. Trudno byłoby samemu okaleczyć się w ten sposób. A Kai nigdy nie miał do czynienia z niedoszłym samobójcą. Pod wpływem wojny ludzie bardziej starają się pozostać przy życiu. Również pod wpływem ubóstwa. Zbyt wiele wysiłku wymaga przeżycie, żeby tak łatwo z tego zrezygnować. Być może szwedzki lekarz wyobraża sobie, że gdyby tu żył, próbowałby ze sobą skończyć. Nie trzeba zatem kierować jej do Adriana – a szkoda.

Niezależnie od tego i tak musi z nim porozmawiać. Kiedy tylko załatwi sprawę z tą kobietą i jej mężem, pójdzie do mieszkania i jeśli Adriana tam nie będzie, tym razem zostawi wiadomość. Kropla deszczu pada mu na rękę i Kai przyspiesza kroku.

\*

Dopiero po kilku godzinach dociera do mieszkania Adriana. Niebo odbija się w okrągłych kałużach na dziedzińcu. Czekający pacjenci poszli do domu, żeby wrócić innego dnia. W budynku panuje cisza, nawet na oddziale dziecięcym, gdzie trwa popołudniowa drzemka. Kai mija go głęboko zamyślony. Powinien wykorzystać okazję i odwiedzić panią Marę, ale może to zrobić innego dnia. Gdyby zastał Adriana, mogliby wyskoczyć razem na piwo. Od dawna się już nie wyluzował. Ma ochotę porozmawiać z kimś o swoich planach, a nie ma nikogo innego. Nie pogada o tym z Seligmannem, panią Marą ani ze swoją kuzynką. Ma poczynić krok, który zmieni całe jego życie, coś, czego nie robił nigdy wcześniej. Choć w ubiegłych latach jego życie rzeczywiście zasadniczo się zmieniło, on sam nie przyłożył do tego ręki. Nie tak to sobie wyobrażał, obaj nie tak to sobie wyobrażali, on i Tejani. Wojna zniweczyła jego nadzieje, zgasła światło. Wszystko się skończyło. Cudzoziemcy uciekli, ambasady pozamykano, przez

lata żaden samolot nie wylądował na lotnisku ani z niego nie wystartował. Kraj stał się ogarniętym zarazą, dryfującym statkiem.

Kiedys, stojąc na otwartym terenie, widział przelatujący nad głową pasażerski odrzutowiec, w drodze z jednego do drugiego kraju, ze skrzydłami ozłoconymi słońcem. Wydawało mu się niewiarygodne, że w środku siedzą ludzie popijający wino, zajadający z plastikowych tacek i naciskający przyciski wzywające stewardesę. Czy w ogóle zdawali sobie sprawę, co dzieje się poniżej, wiedzieli, że naród pożera sam siebie? Czuł się jak tonący, który patrzy w ślad za odpływającym statkiem.

A potem, kiedy wszystko się wreszcie skończyło, on i Tejani nadrabiali trzy lata nieobejrzanych filmów, oglądali Mela Gibsona w Zabójczej broni 4, Keanu Reevesa uwalnianego z wirtualnego świata, do którego zaraz wracał, ludzi odkrywających zaginioną wyspę, na której nadal żyły dinozaury.

Trudno im było wyrazić, jak desperacko chcą się stąd wyrwać. To była bardziej gorączka niż pragnienie. Za każdym razem, kiedy któremuś z jego przyjaciół, krewnych czy kolegów z klasy udawało się przeskoczyć płot, Kai czuł jednocześnie radość i żal. On został. Nenebah została. Różnica między nimi polegała na tym, że Nenebah jako jedyna spośród ich przyjaciół, rodziny i znajomych nigdy nie miała ochoty wyjeżdżać. Im więcej ludzi wyjeżdżało, tym bardziej upierała się, żeby zostać. Kochała swój kraj, tak jak rodzic kocha to z dzieci, które najbardziej go rani. Co będzie, jeśli wszyscy wyjadą? Domagała się, żeby odpowiedział na to pytanie. Budziła w nim poczucie winy.

A teraz przyszła jego kolej i nigdy jeszcze nie czuł się taki rozdarty. Bo nigdzie nie wiedział tak dobrze, kim jest, jak tu, w tym budynku, gdzie rzadko kiedy ma chwilę dla siebie. Może z zawiązanymi oczyma chodzić po dziedzińcach, oddziałach i korytarzach. Na ulicach rozpoznają go pacjenci i on też ich rozpoznaje. Zmiana zaszła poza jego świadomość. W tym miejscu koszmarnych snów i długich nocy wie, kim jest.

Jego gumowe klapki plaskają po mokrym betonie. Podmuch powietrza strząsa na niego ciężkie krople z gałęzi. Kai podnosi głowę do nieba i czuje, jak wiatr wędruje po jego twarzy.

W kieszeni znajduje miętówkę, rozwija ją i wsadza do ust.

Przez chwilę jest tym, kim był kiedyś, przed wojną, podczas studiów. Cofa się w czasie i już nie czuje się rozdarty. Budynki szpitala kurczą się, rozszerzają i zmieniają w inne budynki o innych rozmiarach. Drzewa upodabniają się do pięknych okazów, które rosły na uczelni, z pomalowanymi na biało pniami. Dziedziniec zamienia się w trawnik.

Podnosi wzrok i widzi ją. To Nenebah, idzie w jego stronę. Przez chwilę wpatruje się w nią, w chustkę na jej głowie, książki, które przyciska do piersi. A potem wraca do teraźniejszości, budynki przybierają z powrotem poprzedni kształt, beton zastyga. Osoba, która wygląda jak Nenebah, wciąż tam jest.

To nie jest ktoś, kto wygląda jak Nenebah. To jest Nenebah.

Kai otwiera usta, żeby zawołać ją po imieniu, ale głos zamiera mu w krtani. Bo chwilę później widzi, że drzwi do mieszkania Adriana są otwarte, i widzi wychodzącego za nią Adriana. Dostrzega jego rękę na jej plecach i to, jak ona odpowiada na ten gest uśmiechem. Poznaje, że są razem. Nie wie skąd, lecz wie o tym ponad wszelką wątpliwość. Stoi na dziedzińcu, krople deszczu padają mu na ramiona. I tonie.

# ROZDZIAŁ 44

– Tak, proszę. Panie Adrianie?

Adrian odwraca się do Salii, zdając sobie nagle sprawę, że nie usłyszał ani słowa z tego, co tamten mówił.

– Przepraszam. Mógłby pan powtórzyć?

Salia przygląda mu się przez chwilę, a potem bez śladu zniecierpliwienia powtarza to, co wcześniej powiedział. Adrian czuje na sobie wzrok obserwującej go z drugiej strony Ileany. Zamyka oczy, bierze głęboki wdech i koncentruje się na słowach pielęgniarki.

Godzinę później poranne zebranie dobiega końca. Z biurka, które ma w gabinecie Ileany, Adrian bierze papiery do zajęć z terapii grupowej. Ileana idzie za nim i staje na środku pokoju, nie spuszczając go z oczu.

– Ignoruj mnie dalej, to czymś w ciebie rzucę.

Adrian odwraca się do niej.

– Przepraszam, jestem trochę roztargniony.

– Opowiedz mi o tym.

– To nic takiego.

– Nie. Nie chodzi o to, że jesteś roztargniony, bo to widzę. Miałam na myśli, żebyś opowiedział mi o tym, co naprawdę cię trapi. Dobrze się czujesz?

– Tak – mówi, kiwając głową, Adrian. Spogląda ponownie na swoje biurko i słyszy, że Ileana chrząka i zbiera się do wyjścia.

– Masz czas na wczesny lunch? – pyta, podnosząc wzrok.

– Niestety nie. Muszę się spotkać z moim gospodarzem w sprawie przedłużenia wynajmu domu. Może innym razem?

– Jasne.

Kilka minut później Adrian wchodzi do pokoju, w którym ma się odbyć terapia, zostawia uchylone drzwi, po czym otwiera okna i zaczyna ustawiać w kręgu stojące w rogu krzesła. Myślami wraca do wieczoru sprzed tygodnia. Do milczenia Mamakay w samochodzie. I do swoich wysiłków, by nie dać się wytrącić z równowagi, choć z jakiegoś powodu był głęboko zaniepokojony.

– Nazwał cię Nenebah – powiedział w końcu. Nie przychodził mu do głowy żaden inny sposób, by dotrzeć do sedna sprawy.

– Tak – odpowiedziała, nie patrząc na niego.

– Więc tak masz na imię?

Zdawał sobie sprawę, że w jego głosie brzmi irytacja: już teraz przemawiał jak zazdrosny kochanek. Wyobraził sobie Kaia, jego nagie ramię i rękę, na którą naciągał koszulę.

– Tak – odparła Mamakay.

– Przykro mi, ale nie rozumiem. – Emocje zaczynały brać górę. Czuł się śmiesznie. – Myślałem, że masz na imię Mamakay – powiedział, starając się mówić normalnym tonem.

– Mamakay to moje imię domowe. Mówiłam ci, że nazwano mnie tak po ciotce. Naprawdę

**mam na imię Nenebah.**

**Mamakay wzruszyła ramionami. Nienawidził tego gestu, obojętności, którą sugerował.**

**– Rozumiem.**

**A wydawało mu się, że tyle o niej wie. Okazało się, że nie zna nawet jej imienia.**

**Jakiś dźwięk każe mu podnieść wzrok. Do pokoju wchodzi Adecali i bez słowa pomaga mu poustawić krzesła. Adecali robi postępy, choć nadal prześladowają go zapachy, przede wszystkim piezzonego mięsa. Przed dwoma tygodniami jakiś kramarz rozłożył się przed główną bramą szpitala i sprzedawał piezzone na węglu drzewnym szaszłyki. Ileana i Adrian kupili ich trochę na lunch, podobnie jak kilku mężczyzn, którzy nie byli zamknięci na oddziałach. Jeden z nich przyniósł porcję do łóżka, niedaleko Adecalego. Dziesięć minut później Adrian został wezwany na oddział i zastał Adecalego szarpiącego łańcuchy i plującego na wszystkie strony. Od tej pory odbył z nim kilka prywatnych sesji, starając się nakłonić go do mówienia, na co młody człowiek czasami reagował, uparczywie bełkocząc, a czasami nie reagował w ogóle. Był jednak punktualny. Nie opuścił ani jednej sesji.**

**Drobne kroki, kroki po piasku. Ale we właściwym kierunku.**

**– Dziękuję, Adecali – mówi Adrian.**

**Powłócząc nogami, zaczynają się pojawiać inni pacjenci i kolejno zajmują swoje miejsca. Niezależnie od tego, jak sceptycznie personel podchodził do tych sesji – Adrian usłyszał przypadkiem kilka komentarzy ze strony pielęgniarzy – ci mężczyźni chcieli w nich uczestniczyć. Już wkrótce Adrian przekonał się, że nie musi obchodzić oddziałów, bo podobnie jak Adecali przychodzili z własnej inicjatywy. Kiedy raz się spóźnił, bo zatrzymały go korki, wszyscy czekali na niego w milczeniu przed zamkniętymi drzwiami.**

**– No dobrze – rzuca Adrian, gdy wszyscy usiedli. – Kto dzisiaj zacznie? Ktoś się zgłasza?**

**\***

**W nocy spał niespokojnie. Obudziły go padające na twarz promienie słońca. Mamakay już wstała i robiła śniadanie. Zjedli je na podwórku. Adrian żałował, że to nie sobota: nie musiałby wtedy nigdzie wychodzić. Chciał z nią porozmawiać. Nie kochali się poprzedniej nocy i teraz jedli w milczeniu. Odstawił swój talerz.**

**– Byliście ze sobą blisko? – zapytał. Oboje wiedzieli, o czym mówi.**

**– Tak, byliśmy ze sobą, kiedy studiowałam na uniwersytecie. Od dawna go nie widziałam. Chciał wyjechać za granicę. Stale o tym rozmawialiśmy.**

**– Jest chirurgiem – mruknął. – To on jest tym mężczyzną, o którym mi opowiadałaś – dodał, kiedy się nie odezwała. – Tym, o którym mówiłaś, że go kochałaś.**

**A ona postanowiła go nie oszczędzać. Uciekła spojrzeniem w bok i po prostu pokiwała głową.**

**\***

**Piąta po południu. Coś pali się za szpitalnym murem. Zapach drzewnego dymu, jakby palonego cedru, taki sam jak ten, który obudził Adriana wkrótce po przyjeździe, tamtej nocy, kiedy poznał Kaia. Wyjrzał wtedy na korytarz i zobaczył kobietę, która urodziła martwe dziecko. Kai był pierwszą osobą, z którą mógł tu normalnie porozmawiać; zostali przyjaciółmi. To było przed sześcioma miesiącami. Ile się przez ten czas nauczył? Czasami wydaje mu się, że bardzo dużo, innym razem, że prawie nic. Adrian podnosi na chwilę oczy ku niebu i rusza pograżonym w półmroku korytarzem do izolatki Eliasa Cole'a.**

W swojej pracy spotkał wiele rodzajów kłamców: kłamców patologicznych, kłamców kompulsywnych, pacjentów z różnymi zaburzeniami osobowości. Jednak w gruncie rzeczy, gdyby chcieć uprościć klasyfikację, są dwa typy kłamców: fantaści i puryści. Fantaści są upiększaczami. Łatwiej ich zidentyfikować, bo często popadają w sprzeczność. Kłamca powinien mieć dobrą pamięć, powiedział Kwintylian. Kłopot z fantastami polega na tym, że starając się zrobić jak największe wrażenie, zapominają o szczegółach. Puryści, tak jak ich sobie wyobraża Adrian, mają o wiele chłodniejszy temperament. Intelktualnie rozwinięci, zdają sobie sprawę z tego, jak zawodna jest pamięć, i wolą kłamać przez zatajenie. Ciche kłamstwo, którego nie można ani udowodnić, ani wykluczyć. Fantaści i puryści mają jedną cechę wspólną, którą dzielą ze wszystkimi kłamcami – patologicznymi, kompulsywnymi, skłonni do urojeń i tymi, którzy tłumią niedające się znieść wspomnienia. Wszyscy oni kłamią, żeby się chronić, żeby osłonić swoje ego przed dotkliwym bólem prawdy. A dwadzieścia lat studiów i praktyki nauczyło Adriana odkrywać cel, któremu służy kłamstwo.

Podnosi teraz pięść i puka do drzwi izolatki Eliasa Cole'a. Nie wie, czy ma ochotę na to spotkanie. Kiedy przekracza próg, zapach drzewnego dymu znika i zastępuje go inny, kliniczny, jakby sproszkowanej aspiryny. Jest także nowy dźwięk, terkot. Koncentrator tlenu.

– W końcu go panu dali – mówi.

Elias Cole odsuwa maskę od twarzy.

– Biorę to za oznakę, jak fatalna musi być sytuacja. Ludzie lubią zwlekać do samego końca, zanim uspokoją sumienie.

To prawda, myśli Adrian. Siada, krzyżując nogi i splatając dłonie, w podręcznikowej pozycji psychologa klinicznego.

– O czym pan chciał dzisiaj porozmawiać? Ma pan coś konkretnego na uwadze?

Ostatnim razem mówili o Mamakay, ale Adrian wolałby teraz mówić o wszystkim, byle nie o niej. Ku jego uldze Elias Cole potrząsa powoli głową.

– Powiedziałem panu, co było do powiedzenia. Teraz chcę po prostu spokojnie umrzeć.

Po raz pierwszy Adrian czuje nieokreśloną chłodną falę wrogości do Eliasa Cole'a.

– Jest coś, co mnie interesuje – mówi.

– Tak?

– Dlaczego Johnson zgodził się pana wypuścić? Po tym jak został pan aresztowany?

Adrian widzi, że Elias Cole odwraca się i mierzy go wzrokiem. Jest wyraźnie zaskoczony.

– Dziekan znał Johnsona. Miał z nim jakieś konszachty. Dlatego mógł się ze mną spotkać, kiedy mnie aresztowano. Gdyby nie on, siedziałbym tam prawdopodobnie do tej pory – wyjaśnia i parska nagłym cichym śmiechem.

Adrian się nie śmieje.

– Dziekan poprosił, żeby pan współpracował... – kontynuuje.

– Powiedziałem Johnsonowi, co wiedziałem. Te informacje nie miały zresztą większego znaczenia – przerywa mu stary mężczyzna.

– Ale mówił pan, że i tak wszystko już mu wcześniej powiedział. Niczego pan nie zataił.

– Próbowałem. Johnson był uparty. Aż do interwencji dziekana nie chciał mi uwierzyć.

Adrian nie daje za wygraną, wywierając łagodną presję. Nigdy wcześniej nie rozmawiał z Eliaszem Cole'em w taki sposób, zawsze wierzył mu na słowo.

– Gdy rozmawialiśmy o tych wydarzeniach, a właściwie kiedy pan mi o nich opowiadał, użył

pan bardzo charakterystycznego słowa. Powiedział pan o „układzie”. Dziekan stwierdził, że musi pan po prostu zawrzeć z Johnsonem jakiś układ.

– Tak.

– Powtarzanie Johnsonowi tego, co powiedział pan już wcześniej, nie pasuje do tego opisu. Z pewnością chciał od pana czegoś więcej. Jak pan zauważył, był dumnym człowiekiem. Potrzebował czegoś, co mógłby uznać za symboliczne zwycięstwo.

Elias Cole milczy. Wydyma wargi, odwraca głowę od Adriana, bierze plastikową maskę, nakłada ją na usta i wdycha tlen. W końcu się odzywa:

– Dziekan poprosił mnie, żebym dał Johnsonowi swoje notatniki. Zapisywałem w nich wiele z tego, co się wydarzyło.

Mówiłem panu o tym. To nie były dzienniki jako takie, bardziej zapiski na własny użytek, notatki. Były tam daty, godziny, adresy i nazwiska. Odnotowywałem miejsca, które odwiedzali Julius i Saffia. To mnie wówczas absorbowало. Była notatka o tym, jak go pierwszy raz zobaczyłem, kiedy zwracał się do studentów. choć oczywiście posłał mnie tam wtedy dziekan. A także o pierwszej kolacji, którą zjadłem w jego domu. O rozmowie, w trakcie której Julius wznosił toast za pierwszego czarnego człowieka na Księżycu. I o podobnej frazie, która pojawiła się w gazetowym wstępniaku. Zanotowałem nawet chyba, jaką puszczano muzykę. Wszystko tam było. Johnson oczywiście skwapliwie się na to rzucił.

– I dzięki temu pana uwolnili?

– Tak. Dlatego mnie uwolnili. I dlatego zatrzymali na dłużej Juliusa. Uważali, że coś na niego mają. Gdyby nie te notatniki, nie trzymaliby go w areszcie tych kilka dni dłużej.

– Powiedział mi pan, że był zły na Juliusa... za to, że wpadł pan przez niego w tarapaty.

– To było bardzo stresujące doświadczenie. Pan nigdy nie był w takiej sytuacji. Co pan może wiedzieć?

Adrian milczy, dotykając palcami warg i przyglądając się Eliasowi.

Ten unika jego wzroku i patrzy w ścianę.

– Julius zachowywał się, jakby był moim przyjacielem – mówi z goryczą. – Stale wpadał do mojego gabinetu, zabierał mnie na przejażdżki. Chodziliśmy razem do kasyna. Pożyczali sobie mój gabinet, moją maszynę do pisania. Jednak nigdy nie ufał mi na tyle, żeby mi powiedzieć.

– Zdradził pana?

– Właśnie.

– Ale to przecież pan go zdradził.

– Julius zdradził mnie w większym stopniu – odpowiada stary tak szybko, że jego słowa zlewają się niemal ze słowami Adriana.

\*

Mamakay wstaje i przechodzi kilka kroków po werandzie. Boso i bezszelestnie. Bierze klarnet i przystawia palce do klawiszy. Światło księżycy odbija się od polerowanego srebra. Jest ubrana w zawiązany na karku sarong. Po chwili odkłada klarnet i wraca tam, gdzie siedzi Adrian. Ma ściągniętą, zamyśloną twarz. Analizując to, co jej powiedział, dotyka delikatnie dolnej wargi. Chwilę później znowu wstaje. Adrian czeka.

Postanowił zaryzykować i opowiedzieć jej o swojej popołudniowej rozmowie z Eliasem Cole'em, o wyznaniu, które traktuje jak mały przełom. Niezależnie od tego, czy jest gotów to przyznać, chce nią wstrząsnąć. Chce jej zaleźć za skórę. Chce, żeby myślała tylko o nim

i o nikim więcej, chce jej pokazać, na co go stać. Chce się liczyć.

Mamakay znika na dole, po czym wraca z dwoma piwami i podaje mu jedno.

– Ten facet, Johnson... – mówi i milknie, opierając butelkę o czoło i przymykając powieki.

Trwa tak w bezruchu przez minutę, po czym podnosi głowę, spogląda Adrianowi prosto w oczy i dwa razy kiwa palcem. – Moja matka... – Wstaje, podchodzi do balustrady i odwraca się twarzą do niego. – Jak mam ci ją opisać? Była skrajnie opanowaną kobietą, do tego stopnia, że mogło się wydawać, iż coś ukrywa. Kiedy byłam starsza i dowiedziałam się o Vanessie, złościło mnie, że nigdy nie stawiała mu czoła. Pewnego razu, gdy byłam dzieckiem, pojechaliśmy do miasta. To była sobota. Matka jeździła do supermarketu, do krawca, na targ warzywny i mięsny. Zabierała mnie ze sobą, żebym nosiła sprawunki i dotrzymywała jej towarzystwa. Tamtego dnia wychodziłyśmy z supermarketu w mieście... tam, gdzie stoją teraz ci wszyscy cinkciarze, był kiedyś supermarket. Wychodziłyśmy, gdy podszedł do nas jakiś mężczyzna. Odezwał się do matki, przywitał ją, zwrócił się do niej po imieniu. A ona totalnie go zignorowała. Pierwszy raz widziałam, żeby matka była tak nieuprzejma. Zdziwiło mnie to. Było mi go żal. Odwróciłyśmy się do niego plecami. Obejrzałam się i zobaczyłam, że stoi tam z drucianym koszykiem w rękę. Chudy jak paździerz, w czarnym garniturze.

Mamakay siada, bierze leżącą na małym stoliku kartkę i zaczyna ją składać, co zdarza się jej czasem robić. Adrian widział to już wcześniej. Obserwuje ją. Składa i rozkłada kartkę, tworząc z niej coś, co likwiduje, zanim jest skończone.

– Osiem lub dziewięć lat później, zaraz po śmierci matki, ten sam mężczyzna przyszedł do nas do domu. Ojciec poprosił, żebym przyniosła do gabinetu butelkę whisky. Wiesz, skąd wiedziałam, że to ktoś ważny? Bo kiedy przyniosłam whisky z czerwoną nalepką, ojciec zrobił wielkie oczy i kazał mi pójść po butelkę z czarną nalepką. To był on, jestem tego pewna. To był Johnson. Był u nas kilka dni przed aresztowaniami na uniwersytecie i wrócił kilka dni później. Johnson musiał maczać w tym palce – dodaje powoli. – Powiedziałam ojcu, kto przyjdzie na imprezę, a on przekazał to Johnsonowi. Ojciec wykorzystał mnie, żeby zdradzić moich przyjaciół.

Adrian patrzy na kartkę, którą do połowy złożyła i odrzuciła. Co to miało być? Dom? Ptak? Kto nauczył ją origami? Mógł to zrobić tylko Kai.

– Nie wiesz tego na pewno – oponuje. Jest roztargniony. Nie powinien tego mówić.

Mamakay staje wprost przed nim.

– Wiesz, czego wymagało przeżycie w miejscu takim jak to, gdzie wszyscy byli stale obserwowani, gdzie nigdy nie miałeś pojęcia, kim są twoi przyjaciele? I czekałeś, kto będzie następny?

Adrian wstaje i podchodzi do niej; chce ją wziąć w ramiona.

– Wyobrażam sobie, że to wymagało wielkiej odwagi – mówi.

Mamakay odsuwa się, jakby jego dotyk mógł ją sparzyć. Patrzy na niego z boku werandy i śmieje się niewesoło.

– Och, oczywiście, to nowa ortodoksja. Teraz wszyscy są ofiarami. Wersja oficjalna. Lecz tu właśnie się mylisz, Adrianie. Przeżycie nie wymagało odwagi. Wprost przeciwnie! Żeby przeżyć, trzeba było być tchórzem. Trzeba było dbać, żeby nigdy się nie wychylić, nigdy o nic nie zapytać, nigdy nie powiedzieć niczego, co mogłoby cię wpędzić w kłopoty.

– Rozumiem, o co ci chodzi. Ale przecież mogli zdobyć te informacje od kogoś innego.



Mamakay patrzy na niego z bezwzględnością, jakiej nigdy wcześniej u niej nie widział.

– Wszyscy mówią o jakichś onych. Oni. Jednak kim są ci oni? Kim są? Ludźmi w rodzaju Johnsona? Którym płaci się za to, żeby robili, co robią? Czy może ludźmi, którzy przez cały czas im pomagają, którzy trzymają gęby zamknięte na kłódki i spoglądają w inną stronę? Mój ojciec jakoś przetrwał. Nie tylko przetrwał, on rozkwitł! I przychodzi chwila... – Mamakay bierze głęboki oddech, obejmuje się dłońmi i odwraca w bok – ...przychodzi chwila, kiedy muszę zadać sobie pytanie, jak to było możliwe?

Adrian masuje brwi opuszkami palców i wzdycha. To nie jest to, czego chciał – klócić się.

– Czasami wydaje mi się, że ten kraj jest niczym ogród – kontynuuje Mamakay. – Tyle że ktoś powyrywał w nim wszystkie kwiaty i wykarczował drzewa i odfrunęły z niego wszystkie ptaki i owady, wszystko, co piękne. I w ogrodzie zostały same chwasty i trujące rośliny.

Adrian przez chwilę milczy, podobnie jak Mamakay.

– Jestem psychologiem – mówi w końcu ze znużeniem. – Nie do mnie należy wydawanie ocen moralnych. Leczę chore umysły, w każdym razie próbuję to robić. Nie oceniam ich.

Jego słowa mają ją uspokoić, sygnalizują odwrót.

– Kto to powiedział: „Historia będzie dla mnie łaskawa, bo mam zamiar ją napisać”?

– Churchill – odpowiada Adrian. – Winston Churchill.

– On wykorzystuje cię, żeby napisać własną wersję historii, nie widzisz tego? To dzieje się w całym kraju. Ludzie wymazują to, co się stało, majstrują przy prawdzie, tworzą własną wersję wydarzeń, wypełniając puste miejsca. Wersję prawdy, która stawia ich w dobrym świetle, w której nie będzie miejsca na to, co zrobili i czego nie odważyli się zrobić, w której zadba się o to, żeby nikt nie obarczył ich winą. Mój ojciec wziął sobie ciebie do pomocy. Jesteś lustrem, w którym odbija się jego wersja własnej osoby, jego wersja wydarzeń. Te same kłamstwa, które opowiada sobie i innym. Wszyscy to robią. Nawet ty, kiedy stąd wyjedziesz, będziesz publikował prace i wygłaszał wykłady, za każdym razem czyniąc ich wersję wydarzeń bardziej rzeczywistą, aż w końcu stanie się jedyną obowiązującą.

W jej słowach Adrian słyszy echo swoich wcześniejszych myśli, trochę tylko inaczej sformułowanych. Ciche kłamstwo.

\*

Po północy leży, trzymając Mamakay w objęciach. Kochali się nie raz, ale dwa razy. Jest szczęśliwy. Gniew w końcu w niej wygasł. Jest zbyt gorąco, by przytulać się do drugiego ludzkiego ciała, lecz mimo to nie chce jej puścić. Dopiero kiedy bliskość staje się nieznośna, Mamakay wyzwała się z jego ramion i obraca na plecy.

– Jest coś, co muszę ci powiedzieć. – Nigdy nie mówi szeptem, nawet po ciemku. – Będę miała dziecko.

# ROZDZIAŁ 45

– Byronowi się opłaciło – mówi Seligmann. – Kobiety niczego bardziej nie uwielbiają od utykania. Budzi w nich macierzyńskie uczucia. Co powiecie, żeby naprawić tylko jedną nogę? Drugą zostawimy. Będzie nam wdzięczny. Znajdzie żonę szybciej, niż nauczy się biegać.

Przed zbliżającym się wyjazdem Seligmann jest w świetnym nastroju. Wyjeżdża do domu na cały miesiąc, pod koniec którego

– Kai jest o tym przekonany – będzie znudzony i marudny jak dziecko. W dodatku jego kontrakt ze szpitalem został właśnie przedłużony. Kai zna powód, choć starszy chirurg nie ma o nim jeszcze pojęcia.

– Co ty na to, Jestina?

Seligmann porusza brwiami i mruga do nowej instrumentariuszki nad swoją maską.

Jestina chichocze pod maską i wbija wzrok w podłogę.

– Stopa szpotawa to najlepsza droga do sławy i szczęścia – kontynuuje Kanadyjczyk. – Patrz cesarz Klaudiusz. Dudley Moore.

– Goebbels – wtrąca Kai.

Foday leży między nimi na stole operacyjnym z ciałem owiniętym zieloną chirurgiczną chustą i odsłoniętą lewą łydką i stopą. Seligmann wygina nogę na wszystkie strony i pociąga na próbę każdy palec. Odwraca się, żeby spojrzeć na zdjęcie rentgenowskie na negatoskopie, a potem nachyla się i przygląda uważnie stopie pacjenta.

– To może trochę potrwać. Najpierw naprawimy to kolano, tak jak uzgodniliśmy. I zajmiemy się tym dużym ścięgnem. To powinno być dość proste. Potem zajrzemy w głąb stopy i rozluźnimy kilka z tych więzadeł. Jeśli będziemy musieli się z nimi trochę dłużej pobawić, możemy to zrobić, gdy zaczniemy drugą stopę. Mamy na to kilka miesięcy. – Seligmann łachocze Fodaya w stopę. – Nie ma łaskotek? To dobrze. Śnią mu się anioły. Houston, startujemy! – mówi i przecina skalpelem skórę Fodaya.

Pani Mara przyjęła wiadomość o wyjeździe Kaia lepiej, niż mógł sobie wyobrazić. Życzyła mu szczęścia na nowej drodze życia i przyznała, że nigdy nie liczyła na to, iż go zatrzyma, miała co najwyżej taką nadzieję. Na koniec obiecała, że postara się we wszelki możliwy sposób wesprzeć jego podanie. Było aż tak źle.

Na krótką metę rozwiązała problem, proponując Seligmannowi przedłużenie kontraktu o kolejne sześć miesięcy. Dzięki temu zapobiegła kadrowej katastrofie. Ale Seligmann jest już po siedemdziesiątce, od dawna na emeryturze i pracuje z miłości do ortopedii. Nie będzie tu siedział wiecznie.

Dwie i pół godziny później kończą pracę przy kolanie i ścięgnie Achillesa. Prawdziwe wyzwanie czeka Fodaya podczas fizjoterapii, która będzie trwała parę miesięcy. Pochylając się nad wnętrzem operowanej stopy, Seligmann gwizdże Love Me Tender Elvisa.

– Słuchajcie – mówi. – Co powiecie, żebyśmy zamienili te dwa ścięgna miejscami?

Kai kiwa głową. Wkrótce nadejdzie dzień, gdy będzie musiał powiedzieć Seligmannowi, że wyjeżdża. Seligmannowi, który kocha swoją pracę tutaj prawie tak samo mocno, jak kocha

swoją żonę.

\*

Późnym popołudniem Kai wspina się po zboczu w ogrodzie starego domu. Musi zadzwonić do rodziców, zorientować się, czego chcą: czy ma wynająć dom, czy zabić go deskami. Nie pojawili się dotąd żadni złodzieje, jeśli nie liczyć szabrowników podczas pierwszej inwazji, kiedy rodzice tu jeszcze mieszkali. Tym razem zauważa wybitą szybę w oknie z tyłu domu. Ślady wskazują również, że ludzie przechodzą przez mur, najprawdopodobniej, żeby zebrać chrust na opał i owoce z drzew. Ogród jest zapuszczony. Trawa wyrosła tak wysoko, że prawie nie widać tarasów. Sięga do połowy pni drzew kandelabrowych. Kai wspina się na werandę i przeskakuje przez niską balustradę. Przyszedł prosto ze szpitala i nie ma przy sobie klucza. Obchodzi dom dokoła. Przy rogu się zatrzymuje. Na marmurowej posadzce widać ślady po ogniu. W tę i z powrotem toczy się po niej pusta puszcza po skondensowanym mleku Peak. Duże metalowe drzwi do kuchni są uchylone. Kai wchodzi cicho do środka. Kuchenka nadal stoi. Lodówka zniknęła. W zlewie leżą stare gazety i plastikowe torby. Kai odkręca kran. Nic. Machinalnie wciska kontakt i ze zdumieniem widzi zapalającą się żarówkę.

W domu unosi się zapach pleśni i kurzu. Brakuje drzwi do głównej sypialni. Na podłodze leży materac z wypaloną pośrodku dziurą, podobną do kwiatu o czarnych płatkach. Kai otwiera szuflady komody. W większości są puste, w jednej znajduje starą receptę oraz pojedynczy złoty kolczyk w kształcie jaskółki. Rozpoznał w nim własność matki, chowa go do kieszeni. Sprawdza łazienkę, a potem kolejno inne pokoje.

Po wyjeździe rodziców przez kilka miesięcy mieszkał w pustym domu z potrójną kanapą i telewizorem, jedynymi meblami, których nie oddał. Mija pokój, w którym sypiała jego siostra. W sypialni przy końcu korytarza spędził większą część okresu dorastania. Zostawił tu kupione przez ojca za zamówieniem pocztowym pełne wydanie Encyclopaedia Britannica, które później przywłaszczył, przenosząc z salonu do swojej sypialni. Ileż naiwności jest w wierze, że cała ludzka wiedza zmieści się w dwudziestu oprawnych tomach.

Kiedy rozmawiał z siostrą przez telefon, uzgodnili, że do momentu, gdy sprawa będzie potwierdzona, nie powiedzą rodzicom o jego wyjeździe. W jej głosie nie brzmiała radość, raczej powaga; zapytała go, czy jest pewien. Tak, odparł. Tak, był pewien. Prawie telepatycznie zapytała go, czy ma jakieś wiadomości o Nenebah. Nie, skłamał Kai.

Nenebah. Nic się nie zmieniła i przez chwilę, nim go zobaczyła, zdawało mu się, że sprawia wrażenie szczęśliwej. A potem odwróciła się tam, gdzie stał pośrodku dziedzińca, obnażony, z sercem na dłoni, i zobaczył, że uśmiech znika jej z warg. Przywitali się z chłodną uprzejmością kochanków, których rany jeszcze się nie zabiły. To było takie niepodobne do Nenebah, ten ostrożny, troskliwy ton, pytania o jego matkę, ojca, nawet o siostrę, z którą tak rzadko się widywała.

Od tak dawna robił wszystko, co w jego mocy, żeby o niej nie myśleć. A jednak stopniowo, nie zdając sobie z tego sprawy, pozwolił, by na nowo zamieszkała w jego myślach.

Adrian stał za nią, trzymając rękę na jej ramieniu, spoglądając to na Kaia, to na Nenebah, i na jego twarz powoli wypełzał uśmiech. Co by się stało, zastanawia się Kai, gdyby Adriana tam nie było, gdyby byli sami?

Otwiera drzwi do pokoju i pierwszą rzeczą, którą rejestruje, jest odór potu i stęchłego dymu z papierosów. Okna są zamknięte, na łóżku widać skłębione prześcieradła, w rogu

pokoju parę butów, staroświeckich sznurowanych męskich półbutów, które należały kiedyś do jego ojca, popękanych, wyczyszczonych i wypchanych gazetami. Książki zdjęto z półek i ustawiono na podłodze. Pusta puszcza służy za popielniczkę. Na drucie rozwieszonym między kratą okna i wbitym w ścianę gwoździem wiszą spodnie. Rozwiązuje się zagadka zaginionej lodówki. Kai podchodzi do niej i pociąga energicznie za drzwiczki, które otwierają się z głośnym młaśnięciem uszczelki. Lodówka jest pusta, w nozdrza uderza go wydobywający się ze środka paskudny smród. Kabel z wtyczką leży na podłodze. Kai podchodzi do okna, otwiera je i słysząc jakiś dźwięk za plecami, szybko się odwraca. Zamknięte przed chwilą drzwi do łazienki teraz są otwarte. Ktoś obserwuje go z ciemności.

– Kto tam? – pyta Kai. – Hej, ty.

Rusza w stronę łazienki. Twarz znika. Kai wyciąga rękę, ale nim udaje mu się dotknąć drzwi, kryjąca się za nimi osoba wyskakuje na zewnątrz, odtrącając jego dłoń. To chłopak. Kai łapie go za koszulę, lecz ten wyrывa się i biegnie do wyjścia. Kai chwyta go za rękę.

– Hej – mówi łagodniejszym tonem. – Stój.

Przez chwilę chłopak patrzy mu prosto w twarz i Kai ma wrażenie, że go zna. Uwalnia jego rękę. Chłopak stoi bez ruchu, nie spuszczaając z niego wzroku. Nagle rusza ponownie ku drzwiom wyjściowym i tym razem Kai nie próbuje go gonić. Widzi jego dłoń na futrynie i zauważa, że ma pomalowane na różowo paznokcie. Chwilę później już go nie ma. Stojąc w miejscu, Kai wypuszcza powietrze z płuc. Zapomniał już, po co tu przyszedł. A tak... Myślał, że weźmie encyklopedię dla Abassa.

Ale nie ma tutaj nic dla Abassa ani dla niego. Zamyka za sobą drzwi pokoju, idzie przez dom, drzwi na zewnątrz zostawia otwarte tak, jak je zastał, po czym schodzi w dół z boczna, gdzie w cieniu drzewa awokado zaparkował Starego Wiernego.

Jadąc do domu kuzynki, uświadamia sobie nagle, skąd zna chłopaka. To syn jednego z ich dawnych kucharzy. Rodzice przez kilka lat opłacali jego chesne – do dnia, kiedy matka Kaia wyrzuciła ojca chłopca za podkradanie. Kai zatrzymuje samochód, przez kilka sekund siedzi z rękoma na kierownicy, po czym zawraca pod górę. Wchodzi do domu, idzie do swojej dawnej sypialni, wsadza wtyczkę do gniazdka i włącza lodówkę. I tym razem wychodząc, nie ogląda się za siebie.

\*

Kiedy dociera do domu kuzynki, panuje tam spore zamieszanie. Dwie ciotki błagają o coś, a być może upominają za coś kuzynkę, która potrząsa głową i podnosi ręce, jakby się przed nimi broniła. Wszyscy mówią jednocześnie. Nigdzie nie widać Abassa. Dopiero po dziesięciu minutach Kai dowiaduje się, co się wydarzyło.

Abass odezwał się brzydtko do matki. Teraz siedzi zamknięty w swojej sypialni.

Słowo, którego użył, jest dla jego matki wystarczająco paskudne, by sprawić mu lanie. Ciotki błagają o litość dla biedaka. Żadna nie mówi po angielsku i nie znają znaczenia słowa, w przeciwnym razie z pewnością również opowiedziałyby się za laniem. Ponieważ tak się składa, że ani Kai, ani jego kuzynka nie mają ochoty odegrać roli tłumacza, zawarty zostaje kompromis.

Kai puka do drzwi sypialni i cicho woła Abassa po imieniu. Bez odpowiedzi. Przekręca klamkę, ale drzwi się nie otwierają. Abass zamknął je na zasuwkę po drugiej stronie.

– Abass! – woła Kai. – Podejź i otwórz drzwi.

Cisza.

– Wpuścisz mnie? Twoja matka chce, żebym z tobą porozmawiał.

Słyszy kroki. Abass otwiera drzwi. Robi wrażenie zmartwionego, lecz niezamierzającego się łatwo poddać. Kai wchodzi do pokoju, a chłopiec zamyka za nim drzwi i zaciąga zasuwkę. Siadają obok siebie na łóżku.

– To było brzydkie, jak odezwałeś się do matki.

Abass wzrusza ramionami.

– Nie sądzisz?

Abass nie odpowiada. Kai wyczuwa, że nie ma pojęcia, co znaczy słowo, z powodu którego wpadł w takie tarapaty.

– Musisz przynajmniej wiedzieć, dlaczego to zrobiłeś. Twoja matka poprosiła, żebyś pomógł jej ustawić krzesła na zebranie Kościoła, a ty gdzieś przepadłeś. To też nie było w porządku, prawda?

Abass ponownie wzrusza ramionami. Lekko zniecierpliwiony Kai wypuszcza powietrze z płuc.

– Co się dzieje, przyjacielu?

– Bez przerwy chodzi do kościoła.

– Kto, twoja matka? Jest chrześcijanką, to chyba zrozumiała?

Abass jeszcze raz wzrusza ramionami.

– Nie chcesz, żeby chodziła do kościoła? – pyta Kai.

– Nie podoba mi się, że oni tutaj przychodzą. Tylko się modlą i modlą, a potem zabierają nam wszystkie pieniądze. Kiedyś przychodzili raz w tygodniu. Teraz przychodzą prawie codziennie. A ja ich nie lubię.

Kai zgadza się z nim w całej rozciągłości, lecz nie może się do tego przyznać.

– A co byś chciał, żeby się działo? – pyta.

Abass potrząsa głową i wciska dłonie między kolana.

– No, słucham.

Chłopiec mamrocze coś tak cicho, że Kai prawie go nie słyszy.

– Chciałbym, żeby się ze mną bawiła.

– Rozumiem. – Kai obejmuje go ramieniem. – Ale czy nie jesteś już trochę za duży, żeby się z tobą bawić?

– Chodzi o to, żeby ze mną była... – Abass milknie.

– Chcesz spędzać ze swoją matką więcej czasu, tak?

Abass kiwa głową.

– Rozumiem. – Kai rozgląda się po pokoju. Na parapecie stoją pokryte czerwonym pyłem zwierzęta origami, które złożył dla Abassa przez wszystkie te lata. – Myślę, że modlitwa przynosi twojej mamie pociechę – mówi. – I myślę, że powinniśmy to szanować, bez względu na to, co sami myślimy. Musimy być cierpliwi i grzeczni, nawet w stosunku do kaznodziei.

Trąca lekko Abassa i chłopiec parska śmiechem, a potem poważnieje.

– Dlaczego potrzebuje pociechy?

Znowu to samo. Wkrótce nie sposób będzie tego unikać. Abass jest przekonany, że jego ojciec umarł spokojną, naturalną śmiercią, tyle mu powiedziano. Kai musi porozmawiać ze swoją kuzynką, sprawić, by go wysłuchała.

– O twojej matce porozmawiamy kiedy indziej – mówi. – A na razie ją przeprosisz i wtedy ty i ja będziemy mogli coś zrobić.

– Ale ty też wyjeżdżasz – rzuca Abass, odwracając się i patrząc mu prosto w oczy. – Zamieszkasz w Ameryce.

– To nie stanie się tak szybko – odpowiada Kai. Do tej pory nie zdawał sobie sprawy, ilu rzeczy Abass po cichu się domyśla.

I dopiero kilka godzin później, kiedy członkowie kongregacji dawno już sobie poszli, a Abass zasnął kamiennym snem, Kai uświadamia sobie, co dokładnie od niego usłyszał.

„Ty też wyjeżdżasz”, powiedział Abass, nawet o tym nie wiedząc. „Ty też”.

# ROZDZIAŁ 46

W swoim gabinecie Ileana odprawia rytuał parzenia herbaty: posrebrzany dzbanek, saszetki Liptona, mleko z puszki. Z tym dzbankiem przypomina Adrianowi Cyganę.

– W którym miesiącu? – pyta.

– W trzecim – odpowiada Adrian. Minał tydzień od dnia, kiedy Mamakay powiedziała, że jest z nim w ciąży. Czuje, jak napinają się mięśnie jego brzucha. Jest cały rozemocjonowany.

Ileana podchodzi do biurka i stawia przed nim jego herbatę.

– Z profesjonalnego punktu widzenia powinnam powiedzieć „lekarzu, lecz się sam”. Tego rodzaju rzeczy po prostu nie mają prawa się zdarzyć. – Klepie go lekko po ramieniu jak psa, po raz pierwszy, z tego co pamięta Adrian, w ogóle go dotykając, co może świadczyć o tym, jak bardzo mu współczuje. – Jezu, przekroczyłeś granicę tyle razy, że nie wiem, po której jesteś stronie.

– Wiem – mówi Adrian, potrząsając głową.

Później idzie sam do Gaju Pacjentów. W szczerych słowach Ileany jest sporo prawdy. Nie chodzi o to, jak do tego doszło, ale dlaczego, a co więcej, co teraz będzie. Jest żonatym mężczyzną, z dzieckiem, domem i pracą, do której musi wrócić. Pod stopami czuje ziemię, wilgotną po niedawnym deszczu, jej zapach miesza się z wonią mchu. Deszcz skapuje melodyjnie z wyższych liści na niższe. Pod gęstą chmurą ogród wydaje się pogrążony w ciemności. Po miesiącach spędzonych w skwarze i pyle Adrian wciąż cieszy się deszczem, cieszy się, że może zmoknąć. Słyszając, jak w nocy bębni o dach, i wyglądając w dzień przez okno, podziwia jego siłę. Deszcz pada tak intensywnie, jakby gniewał się na ziemię, jakby był zezłoszczoną kobietą, która okłada razami swojego kochanka.

Myśli o Mamakay, o spokoju, z jakim na pozór zaakceptowała swój stan. Odkąd się poznali, niczego od niego najwyraźniej nie oczekiwała, a teraz to, co się jej przydarzyło, dzieje się jakby na innej, wyższej płaszczyźnie, z której dostrzega przyszłość na wiele lat do przodu, niezależnie od tego, co ich łączy. To zupełnie inny horyzont. Na razie podjęła najważniejszą decyzję, która rzutuje na wszystkie inne, i podjęła ją sama. Postanowiła stworzyć nowe życie. Adrian powinien być jej wdzięczny, że tak mu to ułatwiła. Powinien, ale nie jest. Jej opanowanie przyciąga go do niej; odczuwa pragnienie, niemal przymus, by je zakłócić.

Bardziej słyszy, aniżeli czuje krople deszczu, które padają na wyższe liście drzewa i na ziemię naokoło. W końcu odnajdują drogę i do niego. Siedzi jeszcze kilka minut na ławce, pozwalając, by deszcz zmoczył jego bawełnianą koszulę, czując go na skórze.

Po Ileanie został tylko tłący się w popielniczce niedopalek. Adrian gasi go i robiąc to, zerka na tablicę za jej biurkiem. Wciąż są tam kolorowe szpilki i kolczyki, którymi oznaczył na mapie podróże Agnes. Regularnie sprawdza rejestry przyjęć zarówno tu, jak i w szpitalu ogólnym, ale Agnes nigdzie się nie pokazała. Salia udał się raz z własnej inicjatywy do dawnego domu towarowego i odnalazł tam odźwiernego, który obiecał, że poinformuje ich, gdyby czegoś się dowiedział albo gdyby Agnes się pojawiła. Od tego czasu nic.

Adrian bierze akta Agnes, otwiera je i kartkuje, żeby przypomnieć sobie, co jest tam zapisane. Dobrze wykorzystał okres kilku tygodni, kiedy się z nią spotykał. Incydent ze złotym łańcuszkiem był prawdziwym błogosławieństwem, empirycznym dowodem dysocjacyjnych zaburzeń osobowości. Co ma teraz zrobić z tymi wszystkimi informacjami, które stały się bezużyteczne? Brakuje mu przecież kluczowego elementu, który wiązałby wszystko razem – powodu, dla którego Agnes podejmuje swoje podróże. Tej rzeczy, która sprawia, że Agnes robi to, co robi.

\*

Babagaleh stoi przed izolatką Eliasa Cole’a i informuje Adriana, że stary śpi. Kiedy indziej wchodził do środka i delikatnie budził swojego pana, lecz teraz oświadcza, że Cole miał fatalną noc. Babagaleh przejął dowodzenie, wyraźna oznaka, że Elias Cole kona.

Oddalając się korytarzem, Adrian widzi przed sobą Kaia. Rozpoznał go w półmroku po charakterystycznych klapkach, zielonym chirurgicznym fartuchu i T-shircie, zastanawia się, czy go nie zawołać. Otwiera usta, waha się i przez to wahanie zaprzepaszcza okazję. Kai skręca za rogiem i znika.

W mieszkaniu Adrian wykręca swój domowy numer i słucha odległego sygnału. Już ma odłożyć słuchawkę, kiedy Lisa odbiera telefon.

– Halo? – mówi zdyszana.

– Halo, to ja.

– Halo? Przepraszam, kto mówi?

– To ja, Adrian.

– A, cześć. Przepraszam, w ogóle cię nie słyszałam. Kilka dziewczyn wpadło na lunch.

– Chcesz, żebym zadzwonił później?

– Nie, możemy rozmawiać. Właśnie otworzyły kolejną butelkę. Co słychać? Kiedy wracasz?

W każdej rozmowie powtarza się to samo pytanie. Tego dnia trudno mu je znieść. Zamiast na nie odpowiedzieć, relacjonuje jej przebieg nowych sesji. W trakcie ostatniej coś osiągnął, nakłaniając mężczyzn, by przypomnieli sobie i opisali, względnie narysowali, bo kilku było niepiśmiennych, swoje doświadczenia. Mały, ale znaczący sukces. Pamięta, jakie wysokie oczekiwania miał zaraz po przyjeździe, ile przyjął założeń. Wszystkie były błędne. Tyle trzeba było się napracować, zanim zaczęli mieć do niego elementarne zaufanie. Dopiero teraz czuje, że robi jakieś postępy.

– Lisa?

Chwila ciszy.

– W szufladzie ze sztucami, Anne. Przepraszam. No to bardzo dobrze. Z pewnością mają szczęście, że tam jesteś. Mam nadzieję, że to doceniają.

– Dziękuję.

Kolejna krótka pauza. Adrian słyszy, jak Lisa wciąga powietrze do płuc.

– Kochanie, cieszę się, że dobrze ci idzie, naprawdę. Ale co konkretnie spodziewasz się osiągnąć z tymi ludźmi? Ile problemów może rozwiązać jeden facet w takim jak to miejscu?

Musi przyznać, że Lisa ma dar trafiania w samo sedno.

– Ktoś musi to zrobić – mówi, starając się bezskutecznie, żeby zabrzmiało to nonszalancko. W słuchawce słyszy w tle wybuch śmiechu, zgrzyt przesuwanego krzesła, czyjś głos wołający



Lisę.

– No cóż, tym kimś nie musisz być koniecznie ty – zauważa Lisa. – Nie kłóćmy się – dodaje natychmiast z typową dla niej powściągliwością. – Mam po prostu nadzieję, że nie zapomniałeś o swoich priorytetach.

– Oczywiście – odpowiada Adrian.

Po zakończeniu rozmowy idzie do kuchni, mimo wczesnej pory nalewa sobie szklaneczkę whisky i siada z nią na trzcinowej sofie. Przez chwilę myśli o Lisie i jej przyjaciółkach w Londynie. Mają tam teraz lato. Na pewno siedzą w oranżerii. Oczywiście bez mężów. Jeśli Adrianowi zdarzało się być w domu w trakcie tych wizyt, usuwał się do gabinetu, siadywał na dole, w ogrodzie albo wychodził załatwić jakąś wyimaginowaną sprawę. Popija whisky, przyciskając chłodne szkło do czoła. Uświadamia sobie, że czegoś brakuje w jego emocjach, i dopiero po chwili dociera do niego, co to jest. W ogóle nie tęskni za domem.

Później dzwoni do matki. Wyobraża ją sobie w tym, co wciąż nazywa w myślach nowym domem: stojącym przy morzu bungalowie z potrójnie szklonymi oknami, wzorce architektonicznej funkcjonalności wypranym z wszelkiego uroku i łatwym dla niej do prowadzenia. Na dwa tygodnie przed wyjazdem Adrian złożył matce pożegnalną wizytę. Przyjechał trochę wcześniej i czekał na nią przy furtce, przyglądając się zdobięcym trawnik rzeźbom z wyrzuconego na brzeg drewna i innych przedmiotów. Zobaczył z daleka, jak do niego idzie, siedemdziesięcioletnia eksploratorka plaż, w sztruksowej kurtce, z okalającymi głowę niczym srebrny płomień, targanymi przez wiatr włosami. Bardziej niż kiedyś męska w ubiorze i wyglądzie, jakby chciała wypełnić pustą przestrzeń po jego ojcu. Tamtego dnia była szczęśliwa jak rzadko kiedy.

– Wczoraj w nocy mieliśmy taki sztorm – mówi mu przez telefon. – O coś strasznie się wściekała, mój Boże. – Dla matki morze zawsze jest kobietą, skłoną do zmiennych nastrojów. – Myślałam, że nas wszystkich zaleje. Co za huk! Ale dziś rano światło było cudowne. Naliczyłam co najmniej sześć martwych ptaków. Mewy i dwa szablodzioby. Wyglądały, jakby zmyło je z nieba. Na swój sposób bardzo malownicze; wróciłam po aparat.

Słucha jej i po raz pierwszy uświadamia sobie, skąd mogła się wziąć jego miłość do ptaków. Nigdy się nad tym nie zastanawiał. Pewnie zabierała go na spacer i mówiła mu o tych rzeczach. To wszystko skończyło się wraz z chorobą ojca. Ale wspomnienia niewątpliwie zagnieździły się w jego podświadomości. Nagle czuje się jej głęboko wdzięczny.

– No i jak ci się tam wiedzie? Jak idzie praca?

Rozmawiają jeszcze przez chwilę. Matka słucha go.

– Tak trzymaj – stwierdza pod koniec. – Jesteśmy z ciebie wszyscy bardzo dumni.

– Może byś przyjechała z wizytą – rzuca bez zastanowienia Adrian. – To nie jest wcale taki wariacki pomysł. Naprawdę. Powinno ci się tu spodobać. Tak czy inaczej, to będzie interesujące.

– Och, kochanie, pomysł jest świetny, ale czy nie sądzisz, że jestem już na to nieco za stara?

– Nie, nie sądzę. Są tutaj i starzy ludzie. Widuję ich każdego dnia.

Matka się śmieje.

– Nie odmawiaj – mówi jej. – Powiedz, że się zastanowisz.

– Dobrze, mój drogi. Zastanowię się.

Adrian odkłada słuchawkę. Zdaje sobie sprawę, że nigdy nie rozmawiali o powodach, dla których tu przyjechał. Uznał za oczywiste, że matka rozumie, iż to ona wiąże go z tym miejscem. Nie ma pojęcia, co ona o tym sądzi, jeśli w ogóle coś sądzi.

\*

Jak człowiek taki jak on może wierzyć w miłość? Człowiek nauczony analizować części składowe każdej emocji. Miary substancji neurochemicznych, serotoniny, hormonów, oksytocyny i wazopresyny. On, który nazywa, klasyfikuje i diagnozuje każdy niuans ludzkiej duszy w kategoriach więzi, kompleksów, schorzeń i zaburzeń. Istnieje gdzieś skala miłości wymyślona przez jego kolegę po fachu. Inni identyfikowali neurologiczne ścieżki nagrody, pułapki, którymi najeżona jest droga do miłości. Jeszcze inni twierdzili, że miłość nie jest niczym innym jak piękną formą szaleństwa.

Adrian nie wie tego.

Nad porośniętym mchem podwórkiem nocne niebo, a na nim tyle gwiazd. Obok niego śpi kobieta, z głową na jego udzie. W momencie, kiedy zapadała w sen, poczuł ociążałość jej ciała, na którą jego własne ciało zareagowało drobnymi korektami.

Nie przyjechał tutaj, żeby szukać szczęścia. Przyjechał, by zmienić to, kim jest. I w niej, w tej śpiącej kobiecie, odnalazł swoją ucieczkę, bo oferuje mu sposób, by wyjść z siebie, by nie stać się tym, kim mógł zostać. Zabłąkała się przypadkiem w głąb jego serca i wyprowadziła go na zewnątrz, na światło.

Jak człowiek, którego życiowym zadaniem jest odwzorowywanie emocji, tego, skąd się biorą i gdzie się kończą, jak taki człowiek może wierzyć w miłość?

Adrian nie wie. Ale wierzy. I o to chodzi. Wierzy.

Ponownie.

# ROZDZIAŁ 47

– Dlaczego chce pan pracować w Stanach Zjednoczonych?

Kobieta w sekcji wizowej amerykańskiej ambasady nie spojrzała na Kaia, odkąd wszedł do pokoju. Zamiast tego długo i gruntownie studiuje zapraszający go na to spotkanie list, który zgodnie z zawartą w nim instrukcją przyniósł ze sobą. Kobieta ma sfatygowane włosy i cerę palaczki i przygląda się zamieszczonemu na końcu listu podpisowi, który, jak przypuszcza Kai, należy do niej, do Andrei Fernandez Mount.

– No? – pyta. – Jaki jest powód, dla którego chce pan pracować w Stanach Zjednoczonych?

Jaka jest prawidłowa odpowiedź?

Bo pragnie, by spełnił się jego amerykański sen?

Bo chce zdobyć ten Everest. Czy to był Everest?

– Chcę poszerzyć moje kwalifikacje zawodowe – mówi.

Prawa brew Andrei Fernandez Mount unosi się do góry.

– Moje kwalifikacje medyczne – dodaje Kai. – Chcę nabrać doświadczenia klinicznego i przystąpić do dodatkowych egzaminów medycznych.

– Czy chce pan tam zamieszkać na stałe?

– Nie.

Kai kręci głową. Nie planuje tu kiedykolwiek wracać, lecz nie ma zamiaru tego mówić, w całej tej procedurze nie chodzi o szczerłość. Zadaniem urzędniczki ambasady jest przeprowadzić go przez ten tor przeszkód, by mogła przekonać samą siebie, że ten człowiek wybiera się do jej kraju, bo chce zamieszkać w domu podobnym do tego, na który właśnie wzięła kredyt, robić zakupy w sklepach, w których ona robi zakupy, i posyłać dzieci do szkół, w których uczą się jej dzieci. Kai ma uprawomocnić jej marzenie. Lekarze mają łatwiej. Ponieważ prawda jest taka – jeśli ma to jakiegokolwiek znaczenie – że zależy im, aby przyjechał. Ale Andrea stara się nie dać tego po sobie poznać. Co roku jest pewna ograniczona liczba miejsc, nawet dla lekarzy; to daje jej pewną możliwość manewru, oddaje w ręce władzę.

Kai zerka na swoje stopy. Zdaje sobie sprawę, że zapomniał zmienić buty i nadal jest w klapkach. Mankiet ma zaplamiony krwią. Na ulicy przed ambasadą kolejka mężczyzn czeka, by wziąć udział w loterii wizowej. Spóźnił się pięć minut na rozmowę. Kazali mu czekać prawie czterdzieści.

– Czy przyniósł pan ze sobą dokumentację wstępną?

Kai przesuwa kopertę po biurku. Andrea Fernandez Mount otwiera ją i wyjmuje zawartość, kładzie dokumenty na stole niczym detektyw badający dowody rzeczowe. Kopie jego aktu urodzenia, paszportu, świadectwa ukończenia szkoły, dyplomu i prawa wykonywania zawodu.

– Świetnie – mówi po dłuższej chwili. – Ktoś tutaj będzie musiał odbyć z panem rozmowę, ale to dopiero za jakieś trzy miesiące, bo mamy kolejkę oczekujących. Tymczasem może pan wykonać badania medyczne i zdać egzamin ze znajomości języka. Mogę panu dać listę klinik zatwierdzonych przez ambasadę.

– Czy mogę się zbadać w moim szpitalu?

Andrea zerka na niego.

– Jeśli jest na liście. Wie pan, w jakim stanie będzie pracował?

– Nie jestem pewien. Chyba w Marylandzie.

– Kiedy otrzyma pan ofertę pracy, będzie pan potrzebował stanowego prawa wykonywania zawodu. Pański pracodawca powinien panu w tym pomóc. Czasami podanie czeka na rozpatrzenie do chwili, gdy otrzyma pan wizę. – Andrea wzrusza ramionami. – To paragraf dwadzieścia dwa, ale taki jest tryb, dopóki ktoś nie zrobi z tym porządku. Proszę dać im znać, że złożył pan podanie o wizę. Po oficjalnej rozmowie będę mogła powiedzieć panu więcej. – Andrea odsuwa się na krzesło. – To chyba wszystko. – Całkiem niespodziewanie podnosi wzrok i życzliwie się do niego uśmiecha. – Za tydzień może pan odebrać papiery.

– Dziękuję – mówi Kai, wstając. Spędził w jej gabinecie najwyżej pięć minut.

– Odprowadzę pana. – Teraz, kiedy spotkanie dobiegło końca, jej zachowanie diametralnie się zmienia. – Kto wie, może się kiedyś spotkamy. To w końcu małe miasto – rzuca, idąc z nim do drzwi. – Może mógłby mi pan polecić jakąś dobrą restaurację – dodaje, podając mu rękę. – Zawsze dobrze jest się kogoś poradzić, kiedy człowiek jest gdzieś nowy.

Kai bierze jej dłoń w swoją i czuje, jak Andrea ścisła lekko jego kciuk.

– Przykro mi, ale raczej nie stołuję się na mieście – mówi, po czym uśmiecha się zdawkowo i odchodzi.

Na ulicy mija kolejkę mężczyzn. Patrzą na niego z taką samą niemą nadzieją jak pacjenci czekający na przyjęcie przed szpitalem, zastanawiając się, kim jest i czy byłby im w stanie pomóc. Widząc klapki na jego nogach, tracą zainteresowanie. Żaden z nich nie spotka się z Andream Fernandez Mount.

\*

Po raz drugi w tym miesiącu Kai idzie na lunch do Mary Rose. Jest jeszcze wczesnie, lokal jest prawie pusty. Mary, która dostrzegła go, kiedy wchodził, rusza w jego stronę, manewrując między stolikami. Wspina się na palce, żeby go pocałować, i przywiera do niego brzuchem. Jest ciepły, miękki i jednocześnie sprężysty. Kai doświadcza nagłego pragnienia, by przycisnąć do niego twarz.

– Dobrze wyglądasz, Mary – mówi.

– Dziękuję.

Mary stoi, spoglądając na niego z ukosa. Uśmiech na jej twarzy przesycony jest czułością. Ona wie, przelatuje mu przez głowę. Wie o Nenebah. I ponieważ nie może znieść malującego się na jej twarzy współczucia, mówi jej o tym pierwszy.

– Ach, więc już wiesz. No cóż, tak będzie dla niej dobrze.

Mary kiwa ze zdecydowaniem głową. Odsuwa krzesło, wskazuje Kaiowi, żeby usiadł naprzeciwko niej, i klaszcze w dłonie na kelnerkę.

– Co ci podać?

– Wodę sodową – mówi Kai.

– Nic więcej?

– Jeszcze dziś operuję.

– Przynieś wodę sodową i guinnessa. Zimnego.

Siedzą w milczeniu, kiedy dziewczyna otwiera napoje, nalewa je, a potem stawia butelki na

stole i odchodzi.

– No cóż – odzywa się w końcu Mary. – W życiu nie ma powrotów. – Podnosi piwo i stuka się szklanką z Kaiem.

– Wiem. Trzeba iść do przodu, prawda? – odpowiada Kai i bierze głęboki oddech.

Nic się przed nią nie ukryje.

– Tak czy inaczej, powiedz, co cię do mnie sprowadza. Jak to się stało, że tak często cię ostatnio widuję?

Być może nie powiedziałby jej, gdyby rozmowa nie zeszła na Nenebah, ale teraz zmienił zdanie. Mówi o swojej decyzji, żeby wyjechać, i spotkaniu z Andreą Fernandez Mount.

– Cóż, ty i Tejani nigdy nie przestawaliście o tym gadać – kwituje jego słowa Mary. – Pozdrów go ode mnie, dobrze? A ponieważ podzieliłeś się ze mną wielką wiadomością, pozwól, że ja podzielę się z tobą swoją. Sprowadzam tu mojego syna. Powiedziałam rodzicom, że już czas. Dosyć. Chcę, żeby oboje moich dzieci mieszkało ze mną. Razem. To i tamto. – Klepie się po brzuchu i uśmiecha, kierując głowę w dół. – Decyzja zapadła.

Kai kiwa głową.

– Naprawdę się cieszę. Ile ma już miesięcy?

– Za miesiąc skończy rok. Chcę go sprowadzić na jego urodziny.

Pół godziny później mówią sobie do widzenia. Ludzie zaczynają przychodzić na lunch, Mary coraz częściej rozgląda się na boki i Kai wstaje od stolika. Zbliżając się, żeby go objąć, Mary ponownie stuka go swoim wielkim brzuchem. Tym razem Kai dotyka go dłonią, nachyla głowę, przyciska do niego czoło, po czym prostuje się i całuje Mary w policzek.

– Uważajcie na siebie, wy dwoje – mówi. – To znaczy wy troje. – Przy drzwiach podnosi i opuszcza dłoń. Mary już na niego nie patrzy.

Październik 1999. Tyle dzieci urodziło się w tym jednym miesiącu. Kai musi przyznać, że okazywana przez Mary zdolność wybaczenia jest po prostu bezmierna. Jej rodzice wzięli od niej syna, żeby wychowywał się w wiosce. Kto wie, ile z tych dzieci, które przyszły na świat w tym samym miesiącu tego samego roku, jest wychowywanych w ten sposób? Dzieci takich jak syn Mary, które łączy jedna rzecz. Wszystkie urodziły się dziewięć miesięcy po tym, jak armia rebeliantów weszła do miasta.

\*

Trwają piątkowe modły i ulice są wyludnione. Nie ma poda poda ani taksówek. Kaia mija chłopiec popychający dziecinny wózek załadowany dojrzałymi kokosami. Kai zatrzymuje go, kupuje jeden i czeka, aż chłopiec odkroi czubek, a potem wytnie dla niego łyżkę z odłamanego fragmentu. Potem stoi, zdrapując kawałki kokosowego miąższu, pakując je do ust i obserwując ludzi, którzy mijają go w drodze do meczetu. Trzech cinkciarzy z plemienia Fula w długich jasnych dżalabijach i wyszywanych okrągłych czapkach. Starsza haja z zawiniętą na głowie białą tkaniną. Mała grupka urzędników w ciężkich czarnych butach pod szatami. Chłopiec obserwuje Kaia tak samo bacznie, jak ten obserwuje przechodniów, zupełnie jakby oglądał jakiś pokaz. Słońce praży niechętnie; Kai czuje, jak krew pulsuje mu w żyłach na głowie.

– Chcesz jednego? – pyta swojego towarzysza.

Oczy chłopca lekko się rozszerzają i kiwa energicznie głową, nic nie mówiąc ani się nie uśmiechając, czekając, by przekonać się, co z niego za dowcipniś. Kai daje mu monetę, chłopiec

bierze ją i szykuje sobie jeden z kokosów, z taką samą starannością i troską, z jaką obsługiwał normalnego klienta.

Gdzieś tam, w krainie, która nazywa się Ameryka, myśli Kai, są różne miasta i miejsca. Nowy Jork, Waszyngton, San Francisco, Atlanta, Maryland. Próbuje je sobie wyobrazić, ale udaje mu się tylko przywołać obrazy z filmów i reklam. Nie potrafi powiedzieć, jak tam będzie, poza tym, że to coś bardzo odległego od tego wszystkiego.

W ostatnich dniach inwazji rebelianci wycofywali się z tych ulic. Rozgniewani mieszkańcy zebrali się w końcu na odwagę i obrócili się przeciwko swoim prześladowcom. Lekarze opuszczali czasem szpital i objeżdżali miasto, zbierając trupy, wydając świadectwa zgonu i przewożąc zmarłych do miejskiej kostnicy. Daremny wysiłek zaprowadzenia porządku w chaosie wojny. Na tej ulicy Kai zobaczył leżącą na jezdni młodą dziewczynę wykręconą w paroksyzmie śmierci. Miała czternaście, najwyżej szesnaście lat. Ktoś próbował ściągnąć z niej ubranie. Leżała na ulicy w szkarłatnym biustonoszu i majtkach, bez wątplenia skradzionych wcześniej z jakiegoś luksusowego sklepu. Ludzie, którzy tam mieszkali, nie pozwolili Kaiowi i jego pielęgniarzom tknąć ciała. Była przywódczynią, która poprowadziła atak. Nie mieli zamiaru udzielić jej łaski godnego pogrzebu. Nastoletnia komendantka w kradzionej jedwabnej bieliźnie.

Kai wpatruje się w miejsce, gdzie leżała. Fale gorącego powietrza unoszą się nad asfaltem. W mirażu widzi ją, jaskrawą bieliznę na tle ciemnej skóry. Odwraca wzrok i kiedy patrzy tam ponownie, jezdnia jest pusta. Chłopiec obserwuje go. Kai daje mu niedojedzonego kokosa i odchodzi.

Tym, co powinien zapamiętać, powtarza sobie, tym, czego powinien się trzymać, jest fakt, że od podjęcia decyzji o wyjeździe śpi przez całą noc.

\*

– Dziś wieczorem będzie burza, tak. Tak mi się wydaje.

Foday jest pacjentem, jakich według zachodnich lekarzy już nie ma i o jakich marzą. Nie zadaje żadnych pytań i przyjmuje do wiadomości wszystko, co mówi mu Kai. Foday sprawia, że zagraniczni lekarze z rozmarzeniem wspominają czasy przed wprowadzeniem karty praw pacjentów, która zmusiła ich do otaczania swojej pracy tajemnicą i maksymalnej lakoniczności. Zagraniczni lekarze lubią Afrykę. W Afryce jest pełno ludzi wierzących. Foday jest człowiekiem, który wierzy. Kai wolałby, żeby Foday pokładał w nim mniej wiary. Przesuwa tacę z jego kolacją i opiera pośladki o parapet okna.

– Wiem, że pan Seligmann już z tobą rozmawiał, ale powtórzę, co powiedział, żebyś miał jasność. Będziemy wiedzieć więcej za parę tygodni, kiedy na dobre zdejmemy gips. Wcześniej zmienimy ci go i zmienimy pozycję stopy, żeby można było naciągnąć to ścięgno. Będziemy mieli jakieś pojęcie i oczywiście jeszcze jaśniejszy obraz, kiedy zaczniesz fizjoterapię. Jak twoja stopa?

– Bardzo dobrze, dziękuję.

Zdaniem Kaia ma to coś wspólnego z uprzejmością, jakby przyznanie się do bólu stanowiło dowód niewdzięczności i mogło z kolei spowodować mniejszą życzliwość lekarzy. Pielęgniarki także uważają chyba, że pacjenci generalnie nie zasłużyli sobie na tyle życzliwości, i w konsekwencji niechętnie wydzielają nawet tabletki kodeiny. Może to też wynikać z faktu, że przez lata musiały strzec drogocennych zapasów leków.

– Poproś pielęgniarkę o coś, jeśli będziesz odczuwał jakiś dyskomfort.

– Zrobię to, dziękuję.

– Dobrze.

– Czasami swędzi mnie noga – przyznaje Foday, jakby przypomniawszy sobie coś, co mogłoby usatysfakcjonować Kaia.

– To normalne. Postaraj się jej nie drapać. – Kai się uśmiecha. – Jak się miewa Zainab?

– O, Zainab znowu do mnie napisała – mówi Foday, odwzajemniając uśmiech. – Moja kuzynka przyniosła wczoraj od niej list. Teraz jestem pewien, że mnie lubi.

– Na pewno lubi – stwierdza Kai.

– Pisze, że wybiera się do miasta. Chciałaby tu przyjść i mnie odwiedzić.

– To dobrze.

– Może mógłby pan się z nią zobaczyć? Na pewno chciałaby pana poznać.

– O niczym bardziej nie marzę – odpowiada Kai.

– To dobrze. Cieszę się. I, doktorze?

– Tak.

– Chciałbym jeszcze raz podziękować za radio. Sprawia mi dużo radości.

Kai zupełnie zapomniał o radiu.

– Wczoraj słuchałem, jak mówili o armii żołnierzy zrobionych z gliny i zakopanych pod ziemią w Chinach. Zostawiono ich tam, żeby strzegli cesarza w zaświatach. To coś niezwyklego. Proszę, niech pan mi poda mój zeszyt. – Foday wskazuje parapet.

Kai odwraca się, znajduje zeszyt i podaje Fodayowi, który otwiera go i zaczyna czytać:

– Dla pierwszego cesarza. Osiem tysięcy żołnierzy. Pięćset koni. Ponad sto rydwanów. I wie pan, co jeszcze powiedzieli? – Spogląda na Kaia, który zgodnie z oczekiwaniem kręci głową. – Żaden z wojowników nie ma takiej samej miny. Każdy ma inny wyraz twarzy. Tak ich wyrzeźbili i pomalowali artyści. A potem tych samych artystów, którzy tyle się natrudzili, zakopano żywcem. Bardzo mnie zainteresowała ta historia.

– Rzeczywiście interesująca – przyznaje Kai.

Foday się uśmiecha.

– Powiedzieli, że cesarz chciał prowadzić wojnę w zaświatach i znaleźć nowe cesarstwo z innym cesarzem, który zmarł wcześniej. I po to potrzebował tych żołnierzy. Albo żeby go strzegli. – Foday głośno się śmieje. – Myślę, że ten człowiek był albo bardzo ambitny, albo bardzo się bał.

– Zgadza się – mówi Kai i również się śmieje.

– A może i jedno, i drugie.

Kai milczy.

– Chciałbym to kiedyś zobaczyć na własne oczy – dodaje Foday.

– Może któregoś dnia zobaczysz – kłamie Kai, lecz Foday kręci głową.

– Nie. Ale gdyby znalazł mi pan fotografię, bardzo bym się ucieszył. Chce pan, żebym oddał radio?

– Nie – odpowiada Kai. – Możesz je sobie zatrzymać.

Kilka tygodni wcześniej zabrał radio z mieszkania Adriana.

Trudno byłoby je teraz zwrócić. Ostatnio nie tylko z nim nie rozmawiał, lecz nawet go nie widywał. Całą swoją energię ukierunkowuje na to, żeby o nim nie myśleć. Nie myśleć

**o Adrianie i Nenebah.**

**Żegna się z Fodayem i wychodząc z oddziału, po raz pierwszy uświadamia sobie, że może wyjechać przed jego ostatnią operacją.**

**\***

**Osiem godzin później leży na plecach, obserwując srebrną włócznię księżycą padającą na sufit przez szparę między zasłonami.**

**Nie może zasnąć.**



# ROZDZIAŁ 48

W futbol gra kilku mężczyzn – za mało, by stworzyć regularne pięcioosobowe drużyny, ale dosyć, żeby pokopać piłkę. Boisko wytyczone jest na kawałku twardej murawy i ziemi. Łańcuchy służą jako słupki bramek. Mężczyźni grają na bosaka, bez koszul i z zacięciem. Attila pozwolił na rozegranie meczów pod warunkiem, że Adrian będzie je nadzorował. Ileana i Attila byli zbyt zajęci, a żaden z pielęgniarzy nie jest w wystarczającym stopniu przeszkolony, by móc pilnować rozkutyh mężczyzn. Choć nikt nie wątpił w dobroczynny wpływ wysiłku fizycznego na pacjentów. Adrian obserwuje grę, wyczulony na wszelką zmianę nastroju. Na razie idzie dobrze. Koncentrują się na piłce. Widzi idącego alejką po drugiej stronie Attilę, a za nim Salię. Psychiatra zatrzymuje się i przygląda grającym, po czym pozdrawia skinieniem głowy Adriana, który odpowiada tym samym. Mężczyźni grają dalej.

Po meczu Adrian ma wyznaczoną sesję z Adecalim. Młodzieniec pojawia się wyczerpany i wychudzony i nie siada, dopóki nie zostanie o to wyraźnie poproszony. Adrian przez kilka chwil obserwuje jego podskakujące lewe kolano. Potężne konwulsje wstrząsają co jakiś czas jego karkiem, głową i ramionami. Od wejścia do pokoju ani razu nie spojrzął prosto na Adriana. Z początku niepokoiła go uporczywość, z jaką większość mężczyzn unikała kontaktu wzrokowego. Dopiero Ileana wyjaśniła, że normalnie spoglądanie starszemu w twarz traktowane jest jako przejaw niesubordynacji. Tyle że wzrok Adecalego, który skacze po podłodze, jakby śledził chaotycznie poruszającego się owada, nie ma w sobie nic normalnego.

– Pamiętasz, jak na zajęciach mówiliśmy o posiadaniu specjalnego miejsca, do którego możesz pójść, kiedy stwierdzasz, że sytuacja zaczyna cię przerastać?

Adecali kiwa głową.

– Chodziłeś tam?

Niedawno doszło do kilku zakłóceń porządku z udziałem Adecalego, między innymi wczoraj na stołówce. Na sesjach grupowych robił początkowo duże postępy, ale teraz sytuacja zmieniła się na gorsze.

Adecali kiwa, a potem potrząsa głową.

– Co to ma znaczyć, tak czy nie? Odzywaj się do mnie.

– Nie zawsze pamiętam, co pan nam mówi.

– Więc może poćwiczmy to teraz? Za każdym razem, kiedy przypomina ci się coś strasznego, coś, co cię niepokoi, możesz sprawić, że poczujesz się lepiej. Pamiętasz o technikach relaksacyjnych, o oddychaniu?

Chociaż mężczyźni chętnie uczestniczą w sesjach, o wiele trudniej jest zachęcić ich do samodzielnego wykonywania ćwiczeń. To kwestia zaufania. Mężczyźni zaczynają wierzyć Adrianowi, lecz jego metody nadal są dla nich niezrozumiałe. Nie mają pojęcia o psychoterapii. A znalezienie wymaganego spokojnego miejsca na oddziale może się okazać dość trudne.

Adecali kręci głową.

– Wszystkie te rzeczy sprawiają, że poczujesz się mniej zestresowany i przestraszony. Pomogą ci poradzić sobie z sytuacją. Spróbujemy ich teraz razem?

Adecali potakuje.

Adrian wstaje, podchodzi do okna i patrzy na wzburzone morze. Rybacka łódź wraca do brzegu, pojawiając się i znikając z pola widzenia. Kolano Adecalego przestało podrygiwać.

– Chcę, żebyś wziął teraz głęboki wdech... – mówi Adrian – ...wstrzymał oddech... i wypuścił powietrze.

Kolejno przerabia z Adecalim ćwiczenia, każąc mu zaciskać i rozluźniać pięści, a potem przedramiona i ramiona, kręcić głową, napinać i rozluźniać mięśnie twarzy, gdzie Adecali ma najwięcej tików. Na koniec klatka piersiowa, nogi i stopy. Adecali jest całkowicie uległy, podobnie jak pozostali mężczyźni. Adriana nigdy nie przestawało to zadziwiać, składał to nawet na karb przyjmowanych przez nich leków uspokajających.

– Jak się czujesz?

– Tak, proszę pana. Czuję się lepiej.

Adrian głęboko oddycha.

– Dobrze. Teraz zamknij oczy. Pomyśl o swoim specjalnym miejscu. Jeśli chcesz, możesz mi o nim opowiedzieć.

– Miejscem, które wybrałem, jest drzewo niedaleko wioski, gdzie dorastałem.

– Czy tam zwykle chodziłeś jako dziecko?

– Tak, gdy dostałem lanie od matki. Czasami siadałem pod nim. Czasami się na nie wdrapywałem.

– Dobrze, chcę, żebyś tam siadł i przypomniał sobie, co czułeś. Co widziałeś tam z wysoka? Co słyszałeś? – Adrian przez chwilę milczy i obserwuje Adecalego. – Chcę, żebyśmy teraz porozmawiali o jednym z tych momentów, kiedy przypominasz sobie coś z przeszłości, coś złego. Opisz mi to i o tym porozmawiamy. A potem nauczę cię czegoś, co sprawi, że te wspomnienia przestaną nieoczekiwanie wracać i cię denerwować. Rozumiesz?

– Tak, proszę pana.

Adrian wie z poprzednich sesji, skąd wziął się lęk Adecalego przed ogniem i jego lęk przed zapachem pieczonego mięsa. Adecali należał do rebelianckiej Jednostki Sensytyzacji. Jej zadaniem było wchodzenie do miasta, które miał opanować główny kontyngent rebeliantów, i zapewnianie, przy użyciu specjalnych metod, kapitulacji mieszkańców. Strategia okazała się skuteczna. Dzięki niej mniejsze były ofiary w ludziach – to znaczy w szeregach rebeliantów. Oszczędzało się amunicję. Jednostka dokładnie planowała swoje posunięcia, a potem skrupulatnie i efektywnie je realizowała. Do obowiązków Adecalego należało palenie żywcem rodzin w ich domach.

– Możemy zacząć? Czy chciałbyś mi opisać jeden z tych momentów?

Adecali milczy. Najwyraźniej zabrakło mu słów. To zdarza się często. Bez zachęty Adriana mężczyźni wydają się niezdolni do działania. Być może tak to się odbywało na polu walki. Siła woli Adecalego jest złamana w podobny sposób, jak łamana była przez niego siła woli wieśniaków. Teraz, bez gangu, narkotyków i alkoholu, bez dopingu, jaki dają przemoc i triumf przetrwania, odczuwają wyłącznie pustkę i przygnębienie.

Adecali zaczyna trzeć czoło wewnętrzną stroną dłoni.

– Jakiś czas temu wezwano mnie na oddział – mówi Adrian.

– Byłeś bardzo zdenerwowany. Pamiętasz dlaczego?

Adecali kiwa głową.

– Co się stało?

Kolejna pauza, tym razem krótsza. Mówiąc, Adecali co chwila kurczowo łapie powietrze.

– Przyszli z mięsem.

– Kto przyszedł?

– Ci, co są na moim oddziale.

– I dlaczego cię to zdenerwowało?

– Zrobiło mi się niedobrze.

– Mów dalej. Co jeszcze poczułeś?

– Poczulem strach. – Adecali milknie. Ma szeroko otwarte oczy i wbija je w podłogę. –

Słyszałem głosy. I miałem wizje.

– Co to były za wizje? Opowiedz mi dokładnie, co widziałeś, od samego początku.

– Widziałem płonąca strzechę, strzechę domu. Czulem dym w nosie i w ustach. Słyszałem wołanie i krzyki ludzi. Wielki hałas. Śpiewy. Ludzie zebrali się, żeby patrzeć, kazaliśmy im podejść, żeby zobaczyli, co robimy, i kazaliśmy im nucić i śpiewać. To było moje zadanie. To zapamiętałem. Pieśń powitalną. Sene-o. Czuję bębnienie w uszach. Pijemy palmowe wino. Ja jestem dyrygentem, mam batutę. Ja nimi dyryguję. Jakaś kobieta nie chce śpiewać. Wprawia mnie w wielką złość. Ma na plecach dziecko. Mówię sobie, że trzeba dać tej kobiecie nauczki. Co pomyślą o mnie inni ludzie, jeśli ona nie będzie śpiewać?

Noga Adecalego znowu zaczyna dygotać. Na czole perlą mu się krople potu. Adrian czuje w powietrzu cuchnący odór.

– Mów dalej.

– Muszę dać tej kobiecie nauczki. Za to, że nie chciała śpiewać. Zabieram jej dziecko i rzucam na dach. Kobieta śpiewa, teraz już śpiewa. Zmusiłem ją, żeby śpiewała. – Adecali zaczyna bełkotać i kiwa się na krześle. – Ale teraz ona mnie ściga. Pojawia się w moich snach. Pojawia się nawet, kiedy nie śnię.

– Co to dla ciebie znaczy, kiedy ją widzisz?

– Jej duch widzi mnie i ściga za to, że przeze mnie zginęło jej dziecko.

Adrian pochyła się do przodu i dotyka ramienia Adecalego.

– Dobrze, zatrzymaj się tutaj.

Adecali mruga.

Adrian siada naprzeciwko niego.

– Może chcesz szklankę wody? – Nalewa wodę ze stojącej przed nim karafki i przesuwa szklankę po stole. Adecali hałaśliwie pije. – To, czego doświadczasz – mówi Adrian – to flashback. Flashback to nagle wspomnienie jakiejś złej rzeczy, ale czasami te wspomnienia są tak silne, że masz wrażenie, jakby ta rzecz działa się ponownie, jakbyś znów znajdował się w tamtym miejscu. Czasami zapominasz, gdzie naprawdę jesteś. Naprzykład tamtego dnia na oddziale, kiedy przyszedłem ci pomóc, w pierwszej chwili w ogóle mnie nie poznałeś, zapomniałeś, gdzie naprawdę jesteś. Mam rację?

Adecali kiwa głową. Ścisza szklankę, opierając ją na kolanie.

– Możesz już odłożyć szklankę na stół. Chcę nauczyć cię pewnych sposobów radzenia sobie z flashbackami, gdy się pojawiają. Dobrze? Będziemy odgrywać fragmenty tego wspomnienia, aż się do niego przyzwyczaisz i przestanie cię tak bardzo przerażać. Możesz nauczyć się je kontrolować, tak jakbyś miał je na taśmie, puszczał na magnetowidzie i trzymał w ręku pilota.

Adecali przygryza dolną wargę i patrzy na niego z wyrazem twarzy, który świadczy o intensywnej koncentracji.

– Wiesz chyba, co to jest magnetowid?

Adecali kiwa powoli głową.

Dzięki Bogu choć za to.

– I wiesz, jak się go używa?

Adecali kręci przecząco głową.

Po jego wyjściu Adrian zapisuje przebieg sesji. W pewnym momencie odkłada pióro i podchodzi do okna. Rybacka łódź znikła. Wzdłuż linii horyzontu prawie niedostrzegalnie sunie frachtowiec. Gdyby rzeczywiście tak łatwo było przewinąć przeszłość... Do jakiego momentu by wrócił? Jak daleko by się cofnął? Co, jeśli w ogóle, by zmienił?

\*

Już od prawie sześciu miesięcy Adrian słucha historii Eliasa Cole'a, który traktuje go jak spowiednika. Nasuwa się pytanie, dlaczego. Z doświadczenia Adriana wynika, że pacjent próbuje czasami ukryć przed sobą i innymi nieprzyjemną prawdę i przyznaje się do czegoś o mniejszej wadze. Terapeuta pełni wówczas rolę sędziego i ławy przysięgłych. Jeśli przyjmie prezentowaną wersję wydarzeń, pacjent czuje się rozgrzeszony.

Więc jaka jest prawdziwa historia Eliasa Cole'a?

W swojej izolatce Elias Cole bierze kąpiel. Leży obnażony do pasa, a Babagaleh podnosi jego rękę i myje ją od wewnętrznej strony gąbką, którą zanurzył wcześniej w stojącej na stoliku dużej miednicy. Stary mężczyzna jest żałośnie chudy, po obu stronach mostka widać wyraźnie cienie żeber. Luźna skóra zwisa z kości niczym rzucona na stertę patyków szmata.

– Niech pan zostanie – mówi, widząc, że Adrian zamierza się wycofać. – Babagaleh i tak już kończy. – Daje Adrianowi znak, żeby usiadł. – Idź już – zwraca się do Babagaleha. – Wróc później.

Babagaleh wyciera starego, podciąga prześcieradło na jego pierś i układa je z namaszczeniem. Potem niespiesznie zabiera miednicę, mydło i ręcznik i wychodzi.

– Jak się pan czuje? – pyta Adrian.

Po koncentratorze tlenu nie ma śladu. Pani Mara musiała go zabrać z powrotem.

– Jak pan widzi. Czuję się marnie, a teraz mój stan nieco się polepszył. Generalnie jednak trajektoria zmierza w tym samym kierunku. – Cole lekko się uśmiecha. – A pan jak się czuje?

– Dobrze, dziękuję.

– Bo wygląda pan trochę inaczej. Niech się panu przyjrzę. – Cole zadziera głowę i patrzy na Adriana. – Ma pan bardzo poważną minę, jeśli wolno mi tak powiedzieć. Mam nadzieję, że wszystko jest w porządku.

– W porządku – odpowiada Adrian, przywołując na usta uśmiech. Przysuwa krzesło do łóżka i postanawia od razu przejść do rzeczy. – Słyszał pan o dylemacie więźnia?

– Dylemacie więźnia? Tak, znana mi jest nieco ta teoria. Choć minęło już sporo czasu...

– Jak pan ją rozumie?

– Dwaj podejrzeni trzymani są w więzieniu za to samo przestępstwo. Policja nie ma dowodów, żeby postawić im zarzuty, więc zamiast tego zawiera układ z każdym z aresztowanych, żeby doniósł na drugiego. Układ jest taki sam i w rezultacie, jeśli obaj

zachowają milczenie, obaj zostaną skazani za mniejsze wykroczenie. Jeśli pierwszy doniesie na drugiego, wyjdzie z więzienia, ale ten drugi posiedzi dłużej.

– Zgadza się – mówi Adrian. – A jeśli obaj doniosą, dostaną wyrok dłuższy, niż gdyby zachowali milczenie, choć krótszy, niż gdyby doniósł tylko jeden.

– Mówi pan o mnie i o Juliusie.

– To teoria gier. Ta konkretna forma gry została wymyślona przez pewnego matematyka gdzieś w latach pięćdziesiątych. Stosuje się ją od tamtego czasu.

Stary mężczyzna wciąga powietrze w płuca i powoli je wydycha.

– Rozumiem.

– To gra o sumie niezerowej w przeciwieństwie do gier o sumie zerowej. Daje możliwość współpracy. Istnieje ruch, który przynosi korzyść obu graczom. – Adrian obserwuje pilnie twarz Eliasa Cole'a.

– Jak już powiedziałem, znam tę teorię. Nie wiem, w jaki sposób miałyby odnosić się do mnie i do Juliusa, poza tym, że byliśmy w dosłownym tego słowa znaczeniu więźniami. Rzeczą, która oczywiście umyka pańskiej uwadze, jest fakt, że nie mogłem się do niczego przyznać, ponieważ nie byłem w nic zamieszany. Więc ta opcja była dla mnie zamknięta. Wybrałem jedyną możliwą linię postępowania.

– Oczywiście – odpowiada Adrian. – Doskonale to rozumiem. Zatrzymajmy się na chwilę przy tej grze. Widzi pan, tak naprawdę chodzi w niej o interes własny i o zdradę. Jeśli więzień A zdecyduje się działać we własnym interesie, wygrywa.

– Ale tylko wtedy, jeśli drugi więzień nie zrobi tego samego.

– Otóż to. Jeśli drugi więzień zrobi to samo, wtedy obaj przegrają. Chyba że więzień A wie, że więzień B raczej go nie zdradzi. Daje to więźniowi A silną pozycję. To naprawdę fascynujące. Wynikiem tej gry interesują się nie tylko matematycy i filozofowie. Także ekonomiści. Rywalizujące ze sobą firmy produkujące, no nie wiem, zimne napoje albo karmę dla psów. Muszą zdecydować, czy lepiej jest uzgodnić ceny, czy ze sobą współzawodniczyć.

Elias Cole chrząka, zerka na Adriana i wbija wzrok w koniec łóżka.

Adrian podnosi się z krzesła i staje w polu widzenia starca.

– Są różne warianty tej gry – mówi. – W najbardziej popularnym dwaj ludzie grają w nią wiele razy. W ten sposób mogą poznać swoje reakcje, rozumie pan.

– W rzeczy samej rozumiem, choć nadal nie wiem, do czego pan zmierza, mówiąc o tym wszystkim. Nie zrobiłem nic złego poza tym, że dałem Johnsonowi to, o co prosił, czyli niewielką ilość informacji. Nie skłamałem ani nie spreparowałem dowodów. Johnson był policjantem.

– Ale wiedział pan, co to za człowiek.

– Był policjantem, na litość boską!

– Jak mówiłem, w tym wariantcie gry ci sami ludzie grają ze sobą wiele razy. Dowiadują się, jak reaguje druga strona, ale mają również możliwość karać się wzajemnie za poprzednie zdrady. I nagle gra dramatycznie się zmienia.

Cole nie odpowiada, lecz bacznie obserwuje Adriana, który patrzy mu prosto w oczy.

– Więc założmy, że mówimy teraz o panu i o Juliusie. Czy to możliwe, że karał go pan za zdradę, którą popełnił wcześniej?

– Cóż to była za zdrada?

– Ta, o której mówił mi pan, kiedy się ostatnio spotkaliśmy. Polegała na tym, że nie wtajemniczył pana w to, co się działo.

Elias Cole parska ochryplym, pogardliwym śmiechem.

– Co takiego? Że nie wtajemniczył mnie w wydawanie jakiegoś podziemnego szmatławca?

– Ostatnim razem odniosłem wrażenie, że trochę to pana ubodło.

– Byłem na niego zły, bo mnie w to wplątał. Bo korzystał z mojego gabinetu i mojej maszyny do pisania. Bo przez niego mnie aresztowali.

Adrian przez chwilę milczy.

– Bo nie ufał panu na tyle, żeby powiedzieć, co się naprawdę dzieje. Wydawało się panu, że wasze stosunki są bliższe, niż były w rzeczywistości. Okazało się, że takie nie są. Yansaneh i Kekura... to oni, a nie pan byli prawdziwymi, zaufanymi przyjaciółmi Juliusa. – Nie dopuszcza teraz starego do głosu. Powinien chyba przestać, ale nie chce, i dorzuca ostatnie zdanie:

– Dlatego dał pan Johnsonowi swoje notatniki.

– Tak, dałem Johnsonowi moje notatniki. Jednak nie z powodu, który pan zasugerował. Zrobiłem to, bo Johnson mnie dręczył i upokorzył.

– Poczł się pan lepiej, kiedy pan to zrobił?

– Oczywiście, że nie!

\*

Pół godziny później Adrian idzie korytarzem do swojego mieszkania, rozmyślając o Adecalim i Eliasie Cole'u, dwóch zupełnie różnych rozmowach. Nie bardzo ośmiela się do tego przyznać, lecz utarczka z Cole'em sprawiła mu satysfakcję. Stary upierał się, że oddania Johnsonowi notatników nie można uznać za zdradę, i widać było, że nawet częściowo w to wierzy. Johnson reprezentował w końcu prawo, ramię władzy. Ale Cole coś ukrywał. Zgodził się współpracować z Johnsonem, lecz coś, co zdarzyło się w tamtym czasie, stworzyło więź, która przetrwała długie lata – Adrian był tego raczej pewien.

Co do dylematu więźnia, teorii gier poświęcone było jedno z seminariów w czasie jego studiów na uniwersytecie. Opisywane tam zależności dość dobrze pasowały do sytuacji. Co ciekawsze, choć na pierwszy rzut oka wygraną dawała zdrada oraz wzgląd na interes własny, w warunkach kiedy grę rozgrywano wielokrotnie w dużej grupie ludzi, a nawet między komputerami, sensownym wyjściem stawał się altruizm.

Adrian przypomina sobie salę wykładową, jarzeniówki i betonową posadzkę z lat sześćdziesiątych. Jego profesor, jak on się nazywał? Quinnell. Świadczy to o tym, powiedział im Quinnell, stojąc za katedrą i pochylając się do przodu, że w każdym społeczeństwie prawidłowy osąd moralny jest tożsamy z interesem własnym.

\*

Przychodzi pora, kiedy to, co się wie, staje się jasne.

Gdy się kochają, odkrywa, że nie potrafi się w niej w pełni zatracić. Przyciska twarz do jej szyi, smakuje skórę, sól i pot. Noga przywiera do jego policzka. Ręce łapią go za ramiona. Jego podbródek wsuwa się w zagłębienie nad jej obojczykiem. Sięga w górę i odnajduje jej łydkę i kostkę. Jej dłoń wślizguje się między dwa ciała i łapie go za jądra. On wstrzymuje oddech i oddaje z tchnieniem duszę.

Później ona bawi się częściami jego ciała. Liże brodawkę piersi.

Nawija włos na palec wskazujący. Bada ukąszenie owada i na próbę je ściska. Oporządza

go, mówi Adrian, drocząc się z nią. Raz podrapała go nawet za kolanem. Później, kiedy to sobie przypomniał, dałby się pokrajać, że nic jej nie mówił o tym, iż go tam swędzi.

W tych leniwych chwilach, w których nie ma dla niego nic prozaicznego, przestaje istnieć między nimi fizyczna granica.

I w takim właśnie momencie to, co wie, staje się jasne. Leży na brzuchu w poprzek łóżka, uwięziony przez jej nogi, które zarzuciła mu na uda. Na zewnątrz zaczyna padać nocny deszcz, ciężkie krople spadają z nieba, zagłuszając inne dźwięki. Kiedy ona wstaje, żeby przynieść szklankę wody, czuje, że mu jej brakuje. Wie, że nigdy już nie będzie chciał bez niej żyć, i mówi to. Lecz ona, odwrócona do niego plecami, nie słyszy go, bo nalewa akurat wodę i pada deszcz.

– O co chodzi? – pyta po chwili, odwracając się.

Adrian dostrzega swój błąd i przewyciężając obawy, jakie budzi w nim perspektywa odrzucenia, powtarza to, co przed chwilą powiedział.

– Chcę, żebyś ze mną wyjechała, gdy będę stąd wracał.

Ona siada i kładzie mu rękę na plecach. Milczy i to mu się nie podoba. Znowu budzą się w nim obawy.

– Nie chcę tego – mówi ona.

On spuszcza wzrok.

– Tu jest mój dom. Tu chcę żyć. Chcę wychować nasze dzieci w tym miejscu. – Ostatnie trzy słowa wymawia z naciskiem.

Ogarnia go olbrzymia ulga. Uświadamia sobie, że brakuje mu tchu i że wali mu wściekle serce. Z wysiłkiem opanowuje jedno i drugie. Przyciąga ją do siebie. Na razie nie chce myśleć o niczym innym. Nic nie jest proste z wyjątkiem tej jednej rzeczy, tego uczucia, którym ją darzy.

Dzieci, powiedziała. Nasze dzieci. Zdążył już zapomnieć resztę.

Na dworze zacina otępiający zmysły deszcz. Chwilę później uderza piorun. Adrian zamyka umysł na wszystko poza jej dotykiem.

Bo na razie cała reszta może poczekać.

# ROZDZIAŁ 49

Jego ubrania: T-shirty w różnych stadiach zużycia, sztuk trzynaście. Do przyjęcia, pięć. Trzy pary dżinsów. Porządnych koszul, dwie. Kai wkłada koszulę, którą nosił ostatnio na rozdaniu świadectw maturalnych, i z trudem zapina guziki na piersi. Kładzie ją na stosie ubrań przy drzwiach.

W drodze do British Council zatrzymuje się przy Government Wharf, gdzie ze statków wyladowuje się bele używanej odzieży. Od sprzedawcy kupuje dwie prawie nowe koszule. A także parę spodni, pogniecionych, ale nadających się do użytku. Ściąga przez głowę swój T-shirt i wkłada na ulicy jedną z koszul. Spodnie bierze pod pachę, płaci sprzedawcy i idzie pod górę do budynku Council. W męskiej toalecie przebiera się w nowe spodnie, po czym wraca do recepcji, gdzie wyjaśnia siedzącej za biurkiem dziewczynie, że przyszedł, by zdać egzamin ze znajomości angielskiego. Na sali jest dwunastu innych kandydatów, nikogo z nich nie zna. Recepcjonistka podaje im kartki i wychodzi. Na pierwszych trzech stronach są testy wielokrotnego wyboru. Wybierz prawidłową końcówkę czasownika z podanej niżej listy. Wybierz właściwy rzeczownik z podanej niżej listy. Mężczyzna w trzyczęściowym popielatym garniturze żuje końcówkę ołówka, powoli wodzi nim po papierze. Kai przerzuca kartki. W ostatnim zadaniu ma zwięźle zrelacjonować jakąś informację z mediów. Kai, który od miesięcy nie słuchał wiadomości, pisze o terakotowej armii w Chinach. Nie sprawdza odpowiedzi, ale bierze kartki i kierując się do wyjścia, oddaje je dziewczynie w recepcji.

Od momentu, kiedy wszedł do budynku, nie minęło nawet piętnaście minut.

Do południa ma czas wolny. W ostatniej chwili zmienia zdanie i zamiast wyjść, wchodzi po schodach do biblioteki. Od czasu, kiedy był tu po raz ostatni, całe miejsce zostało odnowione, nadal jednak unosi się w nim zapach czystości i papieru. Jako dziecko spędzał tu całe godziny, przeglądając książki medyczne, nie żeby jak inne dzieciaki szukać nieprzyzwoitych obrazków, ale żeby studiować diagramy, powtarzać sobie łacińskie nazwy kości, mięśni, tkanek i organów.

– Dział historii – mówi szeptem do bibliotekarki, która odsyła go na koniec sali. Afryka. Europa. Oceania. Indie. Chiny. Odnajduje to, czego szukał, wśród wielkich albumów. Terakotowa armia cesarza Qin Shi Huanga. Książka ma ponad piętnaście lat, nie opisuje najnowszych znalezisk, ale jest w niej mnóstwo kolorowych ilustracji.

Bibliotekarka szuka jego starej karty członkowskiej, w końcu wyławia ją spośród innych i wystukuje jego nazwisko na klawiaturze komputera. Kai przechodzi trochę dalej, żeby przejrzeć czasopisma.

I stojąc tam w wąskim przejściu, nagle ją widzi. Siedzi przy jednym z biurek, pochylona nad książką i odwrócona do niego plecami. Kilka innych tomów leży przy jej nogach na podłodze, dwa kolejne przy łokciu. Jedną dłonią podpira podbródek, palcami drugiej skubie koniec chustki na ramieniu, gestem tak niesamowicie znajomym, że niemal zapiera mu dech.

Cały rok nic, a teraz dwa spotkania w ciągu tygodnia.

Przez wszystkie te miesiące żył w zimnym, jasnym tunelu medycyny. Raz minął ją stojącą na poboczu drogi z naręczem książek. Nie pomachał jej ani nie zawołał do kierowcy, żeby się



zatrzymał. Przejechał obok, ku przyszłości, w której jej nie było.

Teraz stoi i przygląda się Nenebah. Tak łatwo byłoby się do niej odezwać. Być może powinien ją poinformować, że wyjeżdża. Po wszystkich tych kłótniach, które nie mają już znaczenia. Z drugiej strony co ważnego może jej powiedzieć w ciągu tych kilku minut w bibliotece publicznej? Czy coś z tego, co powie, może mieć jakiegokolwiek znaczenie? Powinien opowiedzieć jej o tamtej nocy na moście, o dniach, które ją poprzedzały i które nastąpiły potem. W tamtym czasie zamknął się w sobie i odmówił jej wstępu. Była nieustępliwa, agresywna jako kochanka, próbowała to z niego wyciągnąć. Dopiero kiedy jej się nie udało, po kilku miesiącach dała w końcu za wygraną. Kochała tak, jakby szła na wojnę, ale nie była typem kobiety, która czekałaby na mężczyznę. Waleczna na polu bitwy, godnie zniosła klęskę. Odeszła, nie oglądając się za siebie.

Tak jak to się dzieje z najbardziej traumatycznymi urazami, ból przyszedł później. Próbował ją odnaleźć, próbował do niej wrócić. Opuściła już wtedy dom ojca i przenosiła się z miejsca na miejsce. Próbował odszukać Mary, jednak Mary również gdzieś przepadła. W świetle tego, co działo się w mieście i czego echo wciąż rozbrzmiewało na ulicach, Kai czuł się zażenowany. Wrócił do pracy. I od tamtej chwili ani na moment nie przestał pracować.

Teraz nie mógł o niej przestać myśleć.

Ale co z Adrianem? Mógłby powiedzieć sobie, że jej związek z Adrianem jest bez znaczenia, lecz wie, że w przypadku Nenebah wszystko ma znaczenie. Wszystko, co robiła, nabierało intensywności. Podczas gdy dla Kaia liczyła się tylko jedna rzecz i tą rzeczą była medycyna. Medycyna i Nenebah. Liczyły się tylko dwie rzeczy, nic więcej.

Nenebah porusza się na krześle i to sprawia, że Kai wraca do rzeczywistości. Ma zamiar do niej podejść, lecz wciąż się waha, dalej stoi w przejściu, zdając sobie niejasno, na wpeł świadomie sprawę, że znalazł się w kluczowym momencie swojego życia. Dając krok do przodu, uruchomi sekwencję zdarzeń, która określi jego przyszłość. Konsekwencje są olbrzymie. Popęłił błąd, pozwalając jej odejść. Teraz chce ją odzyskać. Nie jest jeszcze za późno.

Ktoś idzie przejściem i Kai usuwa się na bok, żeby go przepuścić. Widzi teraz Nenebah pod innym kątem. Po raz pierwszy dostrzega kartki książki, która leży przed nią otwarta na stoliku. Osoba, którą przepuścił, zatrzymuje się dalej w przejściu. Kai czeka, aż odejdzie. Przechyliwszy głowę, może zobaczyć, co czyta Nenebah. Z tej odległości widzi tylko ilustrację, postać kobiety, ciężarnej kobiety. Zerka na książki, które leżą na podłodze. Na tej, która jest na wierzchu, widać obrazek dziecka w ramionach matki. Może to coś dla Mary? Może była zbyt zajęta, by odwiedzić bibliotekę, i poprosiła Nenebah, żeby coś dla niej sprawdziła. Już w momencie, kiedy to sobie tak tłumaczy, Kai wie, że to nieprawda. Na jego oczach Nenebah przeciąga się i prostuje kręgosłup, a potem wraca do poprzedniej pozycji. Bardziej wymowne od widocznego zaokrąglenia brzucha jest to, jak dotyka go prawą dłonią, jak powoli, kolistym ruchem go gładzi, by dopiero potem odwrócić kolejną kartkę.

Biblioteka, półki, jarzeniówki – wszystko to znika. Kai przestaje cokolwiek słyszeć – wpada w ogłuszający tunel wiatru. Wyciąga rękę i łapie się półki. W myślach cofa się, ucieka z miejsca, w którym jego umysł był jeszcze kilka chwil wcześniej, miejsca, z którego widział możliwość wspólnej przyszłości z Nenebah. Stojący w przejściu mężczyzna przygląda mu się. Kai koncentruje się na tym, żeby zablokować swoje myśli, jedną po drugiej. Ułożyć na nowo

swoje istnienie. Cały wysiłek woli wkłada w to, żeby nad sobą zapanować.

A kiedy to mu się udaje, odwraca się i podchodzi z powrotem do biurka bibliotekarki, skąd bierze książkę dla Fodaya.

\*

Przez godzinę chodzi ulicami, dźwigając wielki album o terakotowych chińskich armiach. Rozumie teraz, dlaczego Mary tak na niego spojrzała. Nie chodziło o to, że Nenebah ma innego faceta, bo zdaniem Mary takie rzeczy można zawsze odkręcić. Ale dziecko to co innego.

Zatrzymuje pustą taksówkę. Nie jest w nastroju, żeby wracać do szpitala. Każe kierowcy jechać na zachód, do barów przy plaży, i obiecuje mu zapłacić wystarczająco dużo, żeby nie brał innych pasażerów.

Siadając w barze, w którym nie był nigdy wcześniej, zamawia piwo, kładzie sobie książkę na kolanach i gapi się w horyzont. Po kilku żarcikach barman porzuca próby nawiązania rozmowy, siada po drugiej stronie baru i podobnie jak Kai wpatruje się ponuro w jakiś niezidentyfikowany punkt.

Plażą idzie biała kobieta w obcisłych czarnych szortach i tenisówkach. Ma kucyk wystający z tyłu bejsbolowej czapki, ramiona zgięte niczym u biegaczki, wysunięty do przodu podbródek i wypięte pośladki. Kai przygląda się, jak mija bar, z blond kucykiem, który kołysze się z boku na bok niczym metronom. Mniej więcej sto metrów dalej widzi, że kobieta zawraca, i nadal ją obserwuje, gdy zmierza w stronę baru, siada na stołku i zamawia coś u barmana. Zdaniem Kaia nie jest zbyt ładna, lecz zachowuje się, jakby było inaczej, odrzucając do tyłu koński ogon i wierząc się na stołku. Lada chwila nawiąże z nim rozmowę, zacznie zadawać mu pytania i będzie chciała, żeby się przed nią otworzył. Zanim do tego dojdzie, Kai kładzie książkę na barze, zsuwa się ze stołka i rusza po piasku w stronę wody. Z początku miał zamiar przejść się tylko wzdłuż linii przyboju, ale piasek parzy go w stopy. Czuje, że koszula krępuje mu ruchy, rozpina kilka guzików, a potem kilka kolejnych i w końcu ją ściąga. W ślad za koszulą idą spodnie i klapki. Podbiega w szortach do brzegu i wchodzi do wody. Fala rozbija się o jego uda i musi stanąć, żeby nie stracić równowagi. Kiedy fala się cofa, wchodzi kilka kroków głębiej, a potem podnosi rękę nad głowę i daje nurka pod następną falę.

Cisza.

Woda ciepła jak krew. Czując, jak silna wsteczna fala ciągnie go na otwarte morze, rozkłada ramiona i daje się jej nieść. Otwiera oczy. Woda jest mętna. Refleksy słońca na piaszczystym dnie. Jakiś wodorost unosi się przed nim w wodzie niczym ciekawski przechodzień. Stłumione odgłosy uderzającego o piasek przyboju. Nad nim szklista tafla morza, przez którą widzi, niczym przez witrażowe okno, kołyszące się, dalekie słońce. Wypływa na powierzchnię, obraca się na plecy, wciąga powietrze w płuca i porusza nogami.

Nie wie, jak długo unosi się tak na falach, czując, jak ogrzana słońcem sól schnie na jego twarzy. Gdy wychodzi na brzeg po ubranie, barmana nie ma, a jego książka leży na półce za kontuarem. Kai zabierają, po czym kładzie na jej miejscu banknot i stawia na nim szklanę. Z piekącymi oczyma, wkłada ubranie na mokrą skórę i rusza w stronę drogi. Z powrotem do jedyne prawdziwego sanktuarium, które zna.

\*

Ósma wieczorem. Kai zjadł wieczorny posiłek na stołówce, udając, że czyta jakieś papiery,

by nikt się do niego nie dosiadł.

Teraz przecina dziedziniec, niosąc pod pachą książkę o cesarzu Qin Shi Huang. Wiatr szeleści liśćmi drzew i poświstuje między budynkami szpitala. W powietrzu czuć miedzianą woń deszczu. Księżyc jeszcze nie wzeszedł, to najciemniejsza faza nocy.

Na oddziale unosi się zapach jodiny i kurzu. Wszędzie cicho. Pielęgniarka siedzi pochylona nad krzyżówkami, zupełnie jakby modliła się do stojącej przed nią na biurku plastikowej figurki Najświętszej Panienki. Uśmiecha się i chce wstać, ale Kai daje jej znak, żeby siedziała. Kiedy idzie przez oddział, tu i ówdzie unosi się najego widok czyjaś głowa albo ręka – małe poruszenie, jakby wiatr cesał pole kukurydzy.

Nad łóżkiem Fodaya pali się szpitalna lampka. Normalnie o tej porze leży z radiem przyciśniętym do ucha. Nie tym razem. Radio stoi na parapecie razem z jego innymi poukładanymi schludnie rzeczami. Foday śpi na plecach. Wyprostowana ręka zwisa mu z materaca. Kai kładzie książkę na parapecie i podnosi jego rękę, żeby położyć ją z powrotem na łóżku. Czując pod palcami rozpaloną skórę, pochyla się nad Fodayem. Młodym człowiekiem wstrząsają dreszcze, czoło ma pokryte potem, oddech płytki i chrapliwy. Szeroko otwarte, nieruchome oczy utkwione są w Kaiu.

– Jezu! – Kai pociąga za sznur dzwonka. Pielęgniarka wstaje od swojego biurka w drugim końcu sali i najpierw idzie, a potem biegnie w ich stronę. – Dzwon na blok operacyjny. Powiedz, żeby byli gotowi. Sprowadź tu sanitariusza! – Dziewczyna patrzy na niego, mrugając i zastygając w bezruchu. Dopiero jego ostry głos przywołuje ją do rzeczywistości. – Biegiem!

Kai macha ręką przed oczyma Fodaya i z ulgą widzi, że ten reaguje. Na twarzy pojawia się nawet cień uśmiechu.

– Co ty wyprawiasz, przyjacielu? – mówi Kai. – Chcesz zmarnować całą moją robotę?

Na sali operacyjnej bierze piłę oscylacyjną i przecina gips na nodze Fodaya, rozchylając go na dwie strony z trzaskiem podobnym do pękającego drewna. Drobnny gipsowy pył opada na podłogę i na jego nogi. Kierując światło lampy operacyjnej na stopę, sprawdza uważnie każde z nacięć. Przeszło miesiąc po operacji wydają się dobrze zagojone. Gips był już raz zmieniany.

– Daj mi latarkę – mówi do pielęgniarki. – Niech ktoś sprawdzi, czy Seligmann jest na terenie szpitala. – Przesuwa światło latarki centymetr po centymetrze nad podeszwą stopy Fodaya, gdzie sucha skóra łuszczy się po kilku tygodniach spędzonych w gipsie. – Podnieś, proszę, jego nogę.

Teraz sprawdza długie nacięcie wzdłuż ścięgna. Jest. Nie zauważył go za pierwszym razem. Ropień nad zagojoną blizną. Bierze skalpel, robi małe nacięcie przy bliźnie i naciska skórę palcami. Na zewnątrz tryska gęsta struga ropy. Seligmann wchodzi przez podwójne drzwi, przeciągle gwizdże i kręci głową.

– Ten wasz kraj. Wszystko gnij e. Robicie na pewno doskonały kompost. – Pochyla się i patrzy na nogę Fodaya. – Badamy. Usuwamy obumarłe tkanki. Zakładamy dren. Podręcznikowy przypadek. Ale wygląda na to, że trochę nas to opóźni.

\*

Która to godzina? Północ? Pierwsza w nocy. Kai nie wie i właściwie mało go to obchodzi. Unosi się na plecach i gapi na gwiazdy. Gdzie jest Wielki Wóz? Nigdy nie rozumiał, dlaczego go tak nazwali. Ludzie próbowali mu to kiedyś wytłumaczyć, pokazywali kształt, lecz on go nie widział. Nie widział i kropka. Czka, a potem beka. Jest pijany.

Nenebah. Chciałby jej dotknąć. Po prostu wziąć ją za rękę. Poczuć dotyk jej skóry. Kiedyś miał zwyczaj chwytać ją lekko z boku za kark, a ona przechylała głowę i łapała w potrzask jego palce.

Jak łatwo przychodziło im mówienie o miłości. A mimo to, gdy chciała upewnić się co do jego uczuć, pozwolił jej się wymknąć, nigdy nie zdołał wyznać, co się w nim zmieniło. Był niesprawny i będąc niesprawnym, pozwolił Nenebah uwierzyć, że problem leży po jej stronie.

Coś uderza go w bok głowy, jakieś drewno, coś pokrytego smołą, kawałek starego polistyrenu. Unosi lekko głowę i na chwilę zanurza się głębiej w wodzie, zalany przez małą falę. Ociera twarz i zerka w stronę odległego brzegu. Sajeszczycy ludzie w barze przy plaży, do którego powrócił późnym wieczorem i w którym powitał go z obłudną miną barman. Pamiętając o spokoju, jakiego zaznał podczas popołudniowego pływania, Kai po raz drugi tego dnia zanurzył się w morzu. Dryfuje niczym porzucona łódź, łódź, której pasażerowie utonęli. Kompletna czerń, idealny spokój.

Kładzie się z powrotem na wodzie i szuka wzrokiem Wielkiego Wozu. Powinien już wracać do domu. Unosi głowę i śledzi snopy świateł samochodu jadącego długą drogą przy plaży.

Ech, myśli i kładzie ponownie głowę na poduszce wody.

# ROZDZIAŁ 50

Srebrne morze, nieruchome i gładkie, sunące po jego tafli odbicie mewy, na niebie kilka eliptycznych chmur, które przypominają stado morświnów. Inne mewy kołyszą się spokojnie na wodzie. Na plaży widać matkę i jej synka. Dziecko, w czerwonych wellingtonach na nogach, biegnie wzdłuż brzegu, oddalając się od matki i co chwila oglądając przez ramię, żeby upewnić się, czy za nim idzie. Adrian słyszy przez szybę stłumiony głos kobiety, która uśmiecha się i jednocześnie woła do chłopca, żeby uważał. Idealny jesienny dzień, myśli. Oglądający się bez przerwy chłopczyk myli kierunek i wbiega do morza; woda wlewa mu się do kaloszy. Matka ściąga je i kolejno wylewa z nich wodę. Drugą ręką przyciska do siebie mocno chłopca. Jego stopy wiszą kilka centymetrów nad piaskiem, lecz dzieciak za wszelką cenę chce się uwolnić, więc matka stawia go na ziemi. Mały ucieka, matka idzie za nim z kaloszami, on upojony wolnością, pokrzykuje i oddala się coraz bardziej. Jasne włosy powiewają za nim, kiedy biegnie.

– Nie ma ciasteczek. Przykro mi, kochanie. Powinnam kupić, ale jeżdżę do miasta tylko co jakiś czas, a sama już ich nie jem. Kiedy zadzwoniłaś, nie miałam pojęcia, że zjawisz się tak szybko.

– Nie szkodzi – mówi Adrian. Odwraca się od okna i od chłopca, podchodzi, żeby odebrać tacę od matki, i stawia ją na niskim stoliku. – Spędzasz pewnie sporo czasu, obserwując to wszystko.

Matka kiwa głową.

– O każdej godzinie jest inaczej. Chodzi mi o niebo, rozumiesz.

Ludzie skarżą się, że Norfolk jest płaski, ale nie patrzą po prostu tam, gdzie trzeba. Trzeba podnieść głowę. Ważne jest niebo. Ale ty oczywiście o tym wiesz. Czasami zapominam.

Przyjechał dzień wcześniej, pod wieczór, zmęczony po długiej jeździe z Londynu. Podczas kolacji, którą zjedli, siedząc naprzeciwko siebie w salonie i trzymając talerze na kolanach, patrzył bardziej na odbicia w szybie, na wchodzącą i wychodzącą matkę, niż na to, co leżało dalej w mroku. Posiłek był skromny, niegdyś wystawna kuchnia matki dostosowała się do wymogów niskiego poziomu cholesterolu i cukru we krwi. Nie rozmawiali, dlaczego tu przyjechał. Adrian nie zająknął się ani słowem na ten temat, a matka nie zapytała. Sam fakt, że się powstrzymała, świadczył o tym, jak poważne jej zdaniem musiały być przyczyny. Otworzyła butelkę raczej dobrego wina, co było pewnie w równej mierze spowodowane pragnieniem uhonorowania, jak i pocieszenia syna.

Ileana odwiozła go na prom, którym dotarł na lotnisko. Samolot wleciał w mrok rozciągający się nad Saharą i tym razem Adrian nie widział wydm ani sięgających skrzydeł tumanów kurzu. Kiedy się obudził, lecieli nad górami, najprawdopodobniej Alpami. Samolot wylądował wczesnym rankiem, terminal był jaskrawo oświetlony, zimny i pusty. Paszporty sprawdzano z przerwami. Na lotnisku Adrian wynajął auto i ruszył od razu do Norfolk. To, jak szybko wszyscy tu jeździli, wstrząsnęło nim.

– Mleko?

– Tak, proszę. – Świeże mleko. Ale on tak przywykł do mleka z puszki z jego lekko metalicznym posmakiem, że mu go brakuje.

Poprzedniego wieczoru wcześniej powiedzieli sobie dobranoc, Adrian wytłumaczył się zmęczeniem, jednocześnie czując wypełniającą go nerwową energię. Gdy matka położyła się spać, wrócił z sypialni do salonu, żeby przeczytać gazetę i obejrzeć wiadomości na kanale informacyjnym. Migoczące telewizyjne obrazy odbijały się na obsydianowej ścianie. Tyle się zdarzyło podczas jego nieobecności. Po obejrzeniu po raz trzeci tego samego skrótu, wszystko wydało mu się znajome. Potem, w środku nocy obudził go dziwny hałas, niczym nawoływanie nocnego ptaka. Położył głowę na poduszce i słuchał odgłosów morza, powolnego oddechu giganta. Kilka minut później zapadł w głęboki sen, który trwał siedem godzin.

Kiedy się obudził, był jasnobursztynowy, wczesnojesienny dzień. Morze było spokojne, trwał odpływ. Całe kilometry lśniącego mokrego piasku.

Patrzy, jak matka nalewa herbatę, drugą ręką odgarniając pojedynczy kosmyk siwych włosów, który opadł jej na oczy. Liczba rzeźb na trawniku zwiększyła się od jego ostatniej wizyty. Coś w rodzaju horyzontalnego Stonehenge. Mężczyzna i kobieta, on ułożony z ostrych poszczerbionych łupków, ona z okrągłych gładkich otoczków, z rozszczepionym kamykiem w miejscu, gdzie spotykały się jej uda. Po śniadaniu poszli na spacer plażą i Adrian wyjaśnił matce powód swojego przyjazdu. Matka słuchała go, zbierając jednocześnie wyrzucone na brzeg przedmioty, a czasami również kamyki, i wkładając je wszystkie do kieszeni spodni, aż upodobniła się do dziecka z kieszeniami pełnymi skarbów. W pewnym momencie przystanęła i przyjrzała mu się, osłaniając oczy przed słońcem, z poważną i zamyśloną miną. Generalnie jednak cała jej reakcja ograniczyła się do kilku mruknięć.

– Zobacz, wygląda jak bursztyn – powiedziała po chwili. – Ale oczywiście nim nie jest – dodała, ciskając kamyk między inne. – Najwyraźniej dużo o tym myślałeś – stwierdziła w końcu.

Przez następne pół godziny szli w milczeniu i wspięli się na wydmnę przy samym końcu plaży. Raz czy dwa Adrian stawał, by podać rękę matce, lecz ona odtrącała ją nieco zniecierpliwionym gestem, czynionym w milczeniu. Na samej górze usiedli i patrzyli na morze. Matka zerwała źdźbło trawy, wsadziła je sobie do ust, po czym położyła się na ziemi i zamknęła oczy. Leżała tak długo, że myślał, iż zasnęła.

– Czy Lisa wie, że tu jesteś? – zapytała w końcu.

– Jeszcze nie.

– Myślałeś o Kate?

– Oczywiście, że myślałem. Myślę o niej bez przerwy.

– W tym momencie, jak sądzę, gonisz za marzeniem.

Jej ton, który nie był w żadnym wypadku oskarżycielski, po prostu rzeczowy, sprawił, że poczuł się jak ktoś niedojrzały i chwiejny. Matka wstała i nie czekając na jego odpowiedź i nie zwracając sobie głowy strzepywaniem nasion trawy z włosów i piasku ze spodni, zaczęła schodzić na dół. Ruszył za nią.

Zjedli lunch w słońcu przy otwartym oknie: szynka, gotowane jajka i sałatka. Trudno było uwierzyć, że to samo słońce tak bezlitośnie praży na równiku. Ta woda, ten sam akwen sięgał stąd aż tam, w którymś miejscu zmieniając kolor z szarego na niebieski, ze srebrnego na zielony. Adrian myślał o Mamakay, wyobrażał sobie, że ćwiczy na klarncie. Uświadomił sobie,

że nigdy nie słyszał, jak ćwiczy. Tylko raz pojawił się niespodziewanie na podwórku, które wypełniała muzyka. Mamakay grała na dole, jej sąsiad i kolega z zespołu na trąbce na górze – improwizowana serenada. Zastanawia się, co Mamakay robi w tej chwili. Tylko jedna godzina różnicy czasu; słońce musi być w zenicie.

Po lunchu matka zapaliła papierosa; coś, czego nigdy nie widział, żeby robiła.

– Wiem, wiem. – Zauważyła jego spojrzenie i wzruszyła ramionami. – Jakie to, szczerze mówiąc, ma znaczenie?

Odstawiła zapalniczkę na stół: ciężką stołową zapalniczkę, która należała niegdyś do jego dziadków.

Po lunchu poprosiła go, żeby wykonał kilka drobnych prac w domu. Naruszona przez wiatr antena telewizyjna kołysała się, jęcząc żałośnie przy każdym silniejszym podmuchu. Adrian ustawił drabinę, wdrapał się na dach i odkrył, że to właśnie było źródłem dźwięku, który słyszał w nocy. Obluzował się kawałek papy i Adrian, który zawołał do matki, żeby przyniosła gwoździe i młotek, z zaskoczeniem zobaczył, jak jej głowa pojawia się nad krawędzią dachu.

– Jak długo zostaniesz? – zapytała, podając mu młotek.

– Jeszcze nie wiem. Dzień albo dwa? Może dłużej.

Nie jest pewien swojego miejsca w tym domu, tak jak to się działo, kiedy mieszkała na starych śmieciach.

– To dobrze. Będiesz mógł mi w czymś pomóc. Chodzi o ten mały pomost od frontu. Nie poradzę sobie z tym sama. Miałam zamiar kogoś zatrudnić, jednego z tych facetów ze wschodniej Europy, ale skoro tu jesteś... We dwójkę nie powinno nam to zabrać dużo czasu – powiedziała i zniknęła, uznając widać, że się zgodził. – Zrobię herbatę! – zawołała.

Nisko wiszące słońce przeszywa pokój, w powietrzu wirują powoli drobinki kurzu porywane raz w tę, raz w inną stronę przez przeciąg. O szybę tłucze się i byczy umierająca mucha. Samotny pies obwąchuje brzeg, ani śladu pana. Na samym skraju pola widzenia znika za skałą niebieski żagiel.

– Przydałaby się łódź – mówi matka, jakby nawiązywała do wcześniejszej rozmowy.

– Jaka łódź?

– Żaglówka. Coś krzepiąco solidnego i drewnianego. Coś, co mogłyby posiadać sowa i kotek. – Matka śmieje się cicho. – Coś, co trzymałoby się razem dzięki kilku warstwom lakieru.

– I płynęło przez rok i jeden dzień – dopowiada Adrian. – Myślałaś kiedyś, żeby opuścić ojca? – pyta po chwili tak nagle, że samego go to zaskakuje.

Cisza. Matka nalewa sobie mleka do herbaty i odstawia pieczołowicie dzbanek na tacę.

– Twój ojciec był chory. Potrzebował mnie. Nigdy bym go nie opuściła.

– Chodziło mi tylko, czy...

– Nigdy – przerywa mu, jakby było to coś, czego jest pewna.

Potem popijają herbatę w milczeniu. Adrian próbuje ją przeprosić, ale matka zbywa jego słowa machnięciem ręki. Zauważa w niej pewną sztywność i żałuje, że był taki nieostrożny; spodobała mu się nowa poufalskość, z jaką się traktowali.

Kiedy matka sprząta w kuchni (nie chciała słyszeć o tym, żeby jej pomógł), Adrian wychodzi na zewnątrz. Zrywa się wiatr. Pod stopami czuje sprężystą trawę, która rośnie w kępach na piaszczystej ziemi. Zauważa jedną z rzeźb matki, wielkiego abstrakcyjnego

Ślimaka ze spiralną skorupą zrobioną z coraz mniejszych morskich muszli. Jest i inna rzeźba, ptasiego pióra, którego chorągiewki sporządzone są z tuzinów autentycznych piór. Mierzący kilka stóp kawałek wyrzuconego na brzeg drewna, oglądany pod pewnym kątem przypomina zwierzę. Na jego grzbiecie ułożony jest drugi – z ciemnymi wygiętymi kończynami: chyba chłopiec dosiadający okrakiem wielkiego niedźwiedzia. Adrian spogląda na horyzont. Na morzu zaczynają galopować białe konie. Obserwując je, ma wrażenie, że znalazł się w kluczowym momencie życia, niczym żeglarz, który wyruszał w rejs przed setkami lat. Nie boi się i nie czuje się odważny. Jedyнным wypełniającym go uczuciem poza tymi, których doświadcza, myśląc o Mamakay, jest wstyd: gorący i ciężki jak smoła.

Matka dołącza do niego na zewnątrz.

– Co chciałbyś zjeść na kolację?

– Dopiero zjedliśmy lunch.

– Wiem. Ale takie rzeczy trzeba zaplanować. Zawsze trzeba – dodaje z uśmiechem.

Dla dzieci zbyt wiele rzeczy jest oczywistych. Dla dzieci szczęście jest oczywiste.

– Może zjemy gdzieś poza domem? – proponuje Adrian.

– Och, nie. Po co tyle wydawać?

– Daj spokój. Dokąd chciałabyś pojechać? Gdzie tu dają dobrze zjeść w pobliżu?

– No, skoro nalegasz. Moglibyśmy pojechać wzdłuż wybrzeża. Jest tam pub, w którym byłam kilka razy.

– Świetnie.

– W takim razie zarezerwuję stolik – mówi matka i idzie z powrotem do domu.

\*

O piątej wracają z centrum ogrodniczego. Przez pozostałą część popołudnia i wczesnym wieczorem Adrian pracuje przy nowym tarasie, układając legary na starym betonowym patio i sprawdzając poziomą położenie każdego z nich. Robi to rozebrany do pasa. Słońce grzeje go w plecy, co jakiś czas kropla potu wpada mu do oczu. Zdaje sobie sprawę, że jest w wieku, kiedy praca fizyczna zaczyna sprawiać przyjemność. Zwłaszcza tego dnia cieszy go azyl, jaki w niej odnajduje; koncentrowanie się na pracy rąk pozwala wyzwolić się z wiru myśli.

Poczucie celu. Musi ułożyć całą konstrukcję, zanim wybierą się na kolację. Prostuje się, żeby ocenić to, co do tej pory zrobił, i czuje prawie przyjemny ból w kręgosłupie i mięśniach grzbietu. Stojąc niczym na tratwie pośród siatki drewnianych legarów, czuje w nozdrzach ostry, zmieszany z solą zapach tarcicy.

W ciągu tych kilku tygodni przed wyjazdem Elias Cole nie przysłał do niego Babagaleha. Adrian mijał kilkakrotnie izolatkę starego, informowano go jednak, że jest niedysponowany. Zastanawiał się, czy ostatnim razem nie przycisnął go zbyt mocno. Przed wyjazdem pożegnał się z panią Marą i innymi członkami zespołu, ale ani razu nie widział się z Kaiem. Kai unikał go, Adrian nie miał co do tego wątpliwości i zdawał sobie sprawę, że jego można winić o to samo. Nie wiedział do końca, dlaczego tak się zachowuje, i nie chciał tego zbyt dokładnie analizować. Adrian nie uważa się za człowieka zazdrosnego. Miał jednak wrażenie, bez przerwy miał to wrażenie, że coś trwa między Kaiem i Mamakay. Jak bardzo i pod iloma względami byli do siebie podobni, naprawdę niczym rodzeństwo. Choćby w tym, jak oboje z rozmysłem zamieszkiwali tylko teraźniejszość, zamykali do siebie drzwi, pokazywali tylko to, co chcieli ujawnić. Zarówno Kai, jak i Mamakay mieli miejsca, do których nikt inny nie miał dostępu, do



których Adrian nie miał dostępu. Nawet teraz czuje w głębi serca obawę, że w tych zakazanych miejscach jest coś, co oboje zachowali z przeszłości, jakiś ładunek emocji, niekompletny, wymagający zakończenia.

Czy dobrze robi? Czasami ma wrażenie, że traci zmysły.

– Niech to szlag!

Drzazga wbiła mu się pod paznokieć palca wskazującego. Ból jest przeszywający i dotkliwy. Adrian przyciska paznokieć, a potem ssie czubek palca. Niebo powlekło się żółtawym blaskiem: na horyzoncie kłębią się ciemne chmury. W ustach czuje smak krwi i żelaza. Na skórę pada mu jedna, potem druga kropla deszczu. W ciągu kilku chwil piasek robi się matowy, a kamyki lśniące. Adrian zbiera narzędzia i wraca do domu.

\*

Pod prysznicem przed kolacją gorąca woda spływa po jego ramionach. W takich chwilach myśli o niej. W łazience jest tak gorąco – mógłby być w jej mieszkaniu. Czuje reakcję swojego ciała, podnosi głowę do prysznica, wstrzymuje oddech. Oczyma wyobraźni widzi, jak Mamakay idzie do niego. Co ona robi? Chwilę później opuszcza dłoń, patrzy, jak nasienie, wirując, spływa razem z wodą. Zewnętrzne napięcie ustępuje, wewnętrzne pragnienie zostaje.

\*

Lokal to bardziej restauracja niż pub: kilka pokoi w amfiladzie, podłoga z terakoty, pomalowana na zielono listwa lamperyjna. Na ścianie naprzeciwko Adriana wisi w przyćmionym świetle portret kobiety, która jest chyba Virginią Woolf. Adrian obserwuje matkę czytającą w okularach kartę dań. Wystroiła się na tę okazję, zmieniając sztruksy na aksamitne spodnie oraz aksamitną koszulę. Przy drzwiach właściciel restauracji pozdrowił ją z pewną familiarnością, tak się przynajmniej zdawało Adrianowi. Próbuje sobie wyobrazić przychodzącą tu matkę. Z kim? Kim są jej tutejsi znajomi? – zastanawia się i po chwili sobie odpuszcza. Wszystkich nas czeka to samo, myśli, musimy wyzwolić rodziców z pęt naszej własnej wyobraźni. Nachyla się nad kartą dań.

Matka zamawia z dużą pewnością siebie. Adrian z mniejszą, onieśmielony przez duży wybór. W końcu wybiera to samo co ona, a potem zmienia zdanie i zamawia miejscowego kraba i kaczkę. Kilka razy podnosi do ust wino. Szczerze mówiąc, czuje się nieco oderwany od rzeczywistości. Mamakay, Ileana, oddział zakutych w łańcuchy mężczyzn, wszyscy tam, gdzie ich zostawił. Myśli o Adecalim, czy nadal dręczą go koszmary, czy ćwiczy chodzenie do specjalnego miejsca. Trzeba ćwiczyć, ćwiczyć, powiedział mu przed wyjazdem. Kontrolować własny umysł. Zajęcia w grupach mają się odbywać bez niego, ale mecze piłkarskie zostały odwołane.

Ceni u matki to, że może z nią zawsze porozmawiać o takich rzeczach. Nigdy nie dała mu odczuć, że jego praca, to, że zajmuje się mroczniejszą stroną ludzkiego życia, jest czymś, co musi zachować dla siebie, jakby mówienie o tym w kulturalnym towarzystwie było krępujące, nie pasowało do koziego sera i kaczki Gressingham.

Zdaje sobie również sprawę, że wszystkie te rzeczy nic dla niego nie znaczą. Miejsca takie jak ta restauracja, dobre wina – nadal je lubi, ale w ciągu ostatniego roku przestały się liczyć.

Przez salę idzie starsza para, u mężczyzny widać charakterystyczne drżenie kończyn. Adrian czuje, jak ściska mu się serce. Zerka na matkę i odkrywa, że mu się przygląda.

Deser i kawę zabierają do baru i siadają obok siebie na wyściełanej ławie.

– To go tak denerwowało – mówi matka, mieszając brązowy cukier w filiżance.

– Co kogo denerwowało?

– Twojego ojca. Denerwowała go choroba. Frustrowała go. Czasami wyładowywał się na tobie.

– Na tobie również.

– E... – Matka unosi filiżankę obiema dłońmi. – To mi nie przeszkadzało. Rozumiałam go. Było tyle rzeczy, które go denerwowały. Choroba, spowodowana przez nią niesprawność, to, że zabrała mu tyle lat. Ale zawsze czułam, że był wściekły ze względu na mnie, a nie na mnie.

– Co przez to rozumiesz?

– Był wściekły na siebie ze względu na mnie. Z początku znikał na całe długie, mroczne dni. Czuł, że nigdy nie powinnam była za niego wychodzić. Przed ślubem kilka razy się tu wybraliśmy. Oczywiście wtedy wszystko wyglądało inaczej. Kiedy poznałam twojego ojca, miał motor; później dokupił do niego przyczepkę. Nie mogłam się do niej wcisnąć, gdy byłam w ciąży, ale mieliśmy motor jeszcze przez rok po twoim urodzeniu. Raz czy dwa pojechaliśmy nim z tobą na wycieczkę. Zakopaliśmy się w piachu. Dokładnie tutaj! – Wskazuje łyżeczką w stronę plaży.

– Co za historia! Potem weszliśmy do pubu, żeby się osuszyć. Mieli tu wtedy pokoje.

Adrian siedzi przez chwilę w milczeniu. W jego pamięci ojciec zawsze był nachmurzony i poważny. Nie przypomina sobie oczywiście przyczepki, lecz pamięta jej zdjęcie. Mężczyzna siedzi na motorze z pustą przyczepką. To była czarno-biała fotografia z ząbkowanymi brzegami; w tamtych czasach robili mniejsze odbitki. Dziwne, jak dobrze ją pamięta. Zawsze myślał, że to zdjęcie dziadka. A więc to ojciec. Fotografię zrobiła pewnie matka.

– A ty co czułaś?

– Ja? Bardzo mnie to ubawiło.

– Nie mam na myśli przyczepki. Chodzi mi o to, czy byłaś zła, że zachorował?

– Tylko na Boga i anioły. Właściwie wiedzieliśmy od początku. Nawet kiedy lekarze mylnie go zdiagnozowali. Myśleli, że to coś związanego z tarczycą. Ale twój ojciec miał wuja, który na to chorował, i uznał, że wie lepiej i że lekarze się mylą. Okazało się, że miał rację. Nigdy tego przede mną nie ukrywał. To ja nalegałam, żebyśmy wzięli ślub. Był zły, ponieważ cud, na który liczyliśmy, gdy byliśmy młodzi i zakochani, nigdy się nie zdarzył.

– Matka uśmiecha się i wpatruje w filiżankę, a potem odstawia ją na spodeczek. Przesuwa palcem po talerzyku, żeby zebrać resztki kremu, i wsadza go do ust. – Nie mógł się powstrzymać, żeby ci nie zazdrościć, ale był z ciebie taki dumny. Jeśli była jakaś rzecz, której naprawdę pragnął, to żebyś stał się osobą, którą się stałaś.

Trzy dni później Adrian stoi przed panoramicznym oknem. Ostatnie promienie księżyca odbijają się w srebrnym morzu. Ciemność ustępuje miejsca brzaskowi. Zza odległych wydm sunie delikatna mgiełka. Adrian otwiera przesuwane drzwi i wychodzi boso na nowy taras. W chłodnym powietrzu unosi się zapach żywicy. Schodzi na trawnik i dalej do samego brzegu, podnosi płaski kamyczek i puszcza kaczkę po wodzie. Kamyczek odbija się raz, drugi i trzeci i znika z pola widzenia.

Sześć godzin później obraca kierownicę wynajętego auta, zjeżdża z autostrady i skręca w stronę Londynu.

# ROZDZIAŁ 51

**Kai siedzi na ustawionym w rzędzie plastikowym krześle i czyta najnowsze listy od Tejaniego:**

Mój bracie,

dziś jest pierwszy dzień, kiedy mam możliwość do Ciebie napisać. Ostatnio strasznie zapieprzałem. Pierwszy raz od kilku tygodni mam pół godziny dla siebie. Ciągle myślę, że mógłbym wysłać e-maila: tak byłoby o wiele szybciej. Zapominam, że musiałbyś iść do kafejki internetowej i czekać tam nie wiadomo jak długo. Człowieku, nie wiem, jak sobie z tym radzisz. Nie potrafię uwierzyć, że nadal musicie ręcznie wypełniać wszystkie karty pacjenta. Więc chyba będziemy się trzymać tego, co znamy. Kiedy tu przyjedziesz, musimy poświęcić trochę czasu, żeby nauczyć Cię porządnie posługiwać się komputerem. Ale prawdę mówiąc, przyjacielu, tak bardzo mi to nie przeszkadza, mimo że jest tylko jedno miejsce w całym mieście, gdzie sprzedają aerogramy. Mogę przynajmniej złapać oddech.

Siedzę więc przy stole w kuchni. Mamy jesień (tak ją tutaj nazywają) i już teraz robi się zimno. Człowieku, kiedy zaczną się chłody, można tu zdechnąć. Muszę załatwić sobie etat naukowy w jakimś ciepłym miejscu. Może w Atlancie, gdzie człowiek czuje się bardziej jak w domu. Słyszałem, że w tamtej części kraju jest sporo naszych ziomków. Nie wiem tylko, czy spodoba się to Helenie. Pracuje na dwóch etatach w dwu różnych domach opieki. Ciężko haruje i zarabia dużo kasy. Potrzebujemy pieniędzy na tę zaliczkę. Helena mówi, że chce studiować, i nie mam nic przeciwko temu, tyle że musimy się zdecydować: bliźniak czy chesne. Więc tak czy owak, powinniśmy o tym pogadać. Kurczę, wiesz, co sobie pomyślałem — widzę tu możliwość, żeby z nią ponegocjować, przekonać do przeprowadzenia się na południe, gdzie nieruchomości są tańsze.

Więc widziałeś się z wielką piękną Mary, która jest teraz jeszcze większa. Moim zdaniem Mamoud ma cholerne szczęście. Przekaż im obojgu moje gratulacje. Kurczę, kocham tę kobietę. Powiedz jej to. Nie obchodzi mnie, że Mamoud będzie zazdrosny. Powiedz mu, że ma ją, bo mu pozwoliłem, i że któregoś dnia mogę wrócić i mu ją odebrać, więc niech lepiej uważa. Niech lepiej ją dobrze traktuje, bo to wspaniała kobieta...

**Pielęgniarka, nadąsana i niedostępna, wychodzi z gabinetu zabiegowego i nie patrząc na czekających ludzi, zajmuje miejsce przy biurku w drugim końcu sali. Kai siedzi tu już całą**

godzinę. Kolejka posuwa się w żółwym tempie. Pacjent wychodzi z gabinetu, a za nim sam doktor, który wywołuje następnego ze swojej listy. Z krzesła wstaje mężczyzna z wielką raną na karku, którą pokrywa masa silnie pachnących ziół. Wszyscy przesuwają się o jedno miejsce do przodu. Kai czeka. Wybrał tę klinikę, bo mieści się daleko od jego pracy, a on postanowił nie robić badań medycznych w swoim szpitalu. Na razie tylko pani Mara wie o jego wyjeździe. Przyjście tutaj wydało mu się prostsze.

Wraca do ostatnich linijek listu Tejaniego.

Jak myślisz, kiedy tu dotrzesz? Trwa to strasznie długo. Musisz ich naciskać, człowieku. Zanim się spostrzeżesz, zgubią wszystkie Twoje papiery. Spodziewam się, że lada chwila będziesz mógł zarezerwować lot.

**Kolejny list, datowany trzy tygodnie później:**

Hej, brachu,

nie ma sensu pytać, kiedy przylatujesz. Rozumiem, że potrwa to tyle, ile potrwa. Spokojnie. Kanapa nadal na Ciebie czeka. Słyszałeś może, co się tutaj wydarzyło w jednej z podstawówek? Przez dwa dni trąbili o tym w wiadomościach. W poniedziałek jakiś czubek z maczetą dostał się na szkolne boisko podczas przerwy. Porąbał całą gromadkę, a także nauczycielkę. Bardzo przykra sprawa. Takie rzeczy często się tu zdarzają, więc może za granicą o tym nie pisali. Tak czy inaczej, wspominam o tym, bo... zgadnij, dokąd przywieźli te poranione dzieciaki? Właśnie tutaj. Było ich czworo. Miałem akurat dyżur, kiedy mnie wezwali. Człowieku, powinieneś mnie widzieć. Byłem jak w transie. Nikt tutaj nie mógł zgadnąć, gdzie nauczyłem się takich rzeczy; skąd taki młodzik jak ja nabrał doświadczenia w opatrywaniu tego typu ran. Nie zająknąłem się ani słowem. Kto by mi uwierzył, gdybym powiedział, że nauczyłem się tego wszystkiego podczas wojny w Afryce, w kraju, o którym nigdy nie słyszeli? Jedno z dzieci zmarło, ale pozostałe przeżyły. Ordynatorka chirurgii poprosiła mnie do siebie i osobiście gratulowała. I co Ty na to?

Zła wiadomość jest taka, że ja i Helena się rozchodzimy. Dojrzewało to chyba od pewnego czasu. Trudno. Nie było wielkiego dramatu ani kłótni. Szuka jakiegoś miejsca, żeby się wyprowadzić. Ja tymczasem nocuję przeważnie w szpitalu. Gdybym chciał, mógłbym zostać u siebie, ale tak jest chyba łatwiej. Spędziliśmy razem miłe chwile. Będzie mi jej brakować.

To tyle na razie.

Trzymaj się, chłopie.

T.

PS Jeśli chcesz, żebym coś załatwił z tej strony, daj mi znać.

## **I ostatni list:**

Drogi Kaiu,

powinienem chyba tytułować te listy „Drogi dzienniczku”, czy jakoś tak, bo mam wrażenie, że jesteś jedyną osobą, z którą rozmawiam. To znaczy nie dosłownie, bo rozmawiam z ludźmi przez cały dzień. I nie chcę powiedzieć, że nie mam przyjaciół. Chodzi o to, że jest rozmowa i jest rozmowa. Wiesz, co mam na myśli, prawda? Nie, oczywiście, że nie wiesz. Ty byłeś zawsze tym milczkiem, który doprowadzał kobiety do szaleństwa. Ja byłem tym, który Twoim zdaniem, miał gadane, ale ostatecznie dziewczyny zawsze garnęły się do Ciebie.

Zapominam zapytać o Abassa, Twojego małego kuzyna. Co u niego? Niedługo skończy chyba osiem lat. Kurczę! Trudno w to uwierzyć. Pozdrów go ode mnie. Wspomnij o mnie jego matce.

Kiedy tu przyjedziesz, musimy się wybrać do Kanady i złożyć wizytę Twoim rodzicom i siostrze. Powinienem tam pojechać wcześniej, ale nie miałem czasu z powodu tych egzaminów. Moglibyśmy wynająć samochód i nim pojechać. Od dawna już chcę to zrobić. Zobaczyć wodospady Niagara. Hej, myślisz, że umywają się do wodospadów u nas w domu? Spędziliśmy tam miłe chwile. Słyszałem o ludziach, którzy przeprawili się przez Niagarę w drewnianej beczce. To prawda, człowieku, przysięgam. Nie robię sobie jaj. I wiesz, że te wodospady zamarzają w zimie? Planując naszą wycieczkę, trafiłem na zdjęcie z 1911 roku. Cały wodospad zamarznięty od góry do dołu. Ludzie chodzili po lodzie. Może powinniśmy tam pojechać latem. Śmiać mi się chce, kiedy pomyślę, jaki byłem podniecony, gdy po raz pierwszy spadł śnieg. Trzymałem go w słoiku w zamrażarce.

Właściwie niewiele tutaj podróżuję. Na początku było krucho z forszą. Poza tym moje podróże ograniczał sposób, w jaki wjechałem do Stanów. Z Tobą będzie inaczej. Więc teraz chyba czekam, przyjacielu. Jest tutaj dużo do obejrzenia. W ciągu pierwszych miesięcy chodziłem z wybałuszonymi gałami. Ostatnio raczej nie wychodzę, ale możemy się kilka razy wybrać wieczorem na miasto.

Siedzę i zastanawiam się, dlaczego nie mam od Ciebie wiadomości. Wybierz mój numer, to oddzwonię. Albo napisz, kiedy mogę do Ciebie zatelefonować. Wiem, że to drogie. Nie martw się o pieniądze, daj mi do siebie zadzwonić. Gdy tylko dostaniesz ten list. Miło będzie usłyszeć Twój głos. Uważaj na siebie, człowieku.

Tejani

**Andrea Fernandez Mount już trzy razy pisała do Kaia, przypominając mu, że ma**

dostarczyć wyniki badań medycznych. Brak świadectwa zdrowia stanowi jedyną przeszkodę wstrzymującą jego przełancowanie do Stanów Zjednoczonych. Poinformowała go również, że zdał pomyślnie test znajomości angielskiego. A więc jednak potrafię mówić po angielsku, myśli Kai. Zawsze dobrze wiedzieć. Złożył z listów łódkę, samolot i ananasa i postawił je na parapecie w swojej sypialni.

– Mansaray.

Kai składa listy Tejaniego wzdłuż tych samych zabrudzonych zagięć, wkłada je do tylnej kieszeni i wchodzi w ślad za doktorem do gabinetu. Lekarz, zmęczony pięćdziesięcioletni mężczyzna, ma siwe włosy i dostojny wygląd. Czyta list, który Kai dał pielęgniarce. Jeśli dziwi go jego treść, nie daje tego po sobie poznać.

– Proszę siadać.

Kai siada.

– Jak się pan czuje? – pyta doktor. – Wszystko w porządku?

– Tak.

– Na nic się pan nie skarży?

– Nie.

Doktor podpisuje drukowany formularz i wręcza go Kaiowi.

– To wszystko? – pyta Kai.

– A czego pan jeszcze chciał? – Doktor wzrusza ramionami.

Kai wstaje. Doktor odprowadza go do drzwi i prosi następnego pacjenta.

Na ulicy Kai zatrzymuje taksówkę. Ma mało czasu. Pyta o trasę i dosiada się do innych pasażerów. Przy ambasadzie Stanów Zjednoczonych wysiada i wchodzi do budynku.

– Do panny Fernandez Mount – mówi żołnierzowi piechoty morskiej.

# ROZDZIAŁ 52

Deszcze się skończyły, chmury zniknęły z nieba. Adrian odczuwa ulgę. W morzu nie ma czerwonego szlamu. Samochody przyspieszają, ludzie zwalniają. Pacjenci są dzisiaj na zewnątrz, na słońcu i grabią świeżo ściętą trawę, tyraliera zgiętych w pasie ośmiu mężczyzn. Adrian obserwuje ze swojego gabinetu Salię, który pilnuje ich ze skrzyżowanymi na piersi rękoma i szeroko rozstawionymi nogami, w nieskazitelnym białym uniformie. W pewnym momencie Salia podnosi wzrok, widzi Adriana i unosi rękę w salucie. Adrian odwzajemnia jego gest i odwraca się od okna.

Gdzieś tu, w tym mieście jest Mamakay. Co teraz robi? Wyobraża ją sobie w tłumie na targu, robiącą zakupy na straganach. Rano namawiał ją, żeby wydała pieniądze, które dał jej na urządzenie domu. Ale Mamakay porusza się powoli i niechętnie i Adrian nie popędza jej, czeka niczym zaklinacz koni, odwrócony bokiem.

Jest szczęśliwy. Od trzech tygodni w zamian za niewielki czynsz mają nowy dom, pomalowany na biało i skromny, ale z porządnymi podłogami i małym ogródkiem. Balkon z tyłu wychodzi na ujście niewielkiej rzeczki. Adrian martwił się komarami, lecz Mamakay zapewniła go, że ich nie będzie, i okazało się, że miała rację.

Jest szczęśliwy. Każdego ranka budzi się ze świadomością, że zaczął nowe życie. W zeszłą środę zobaczył przy supermarkecie głuchego chłopca, z którym rozmawiał na posterunku policji, aresztowanego nie wiadomo za co. Chłopiec poznał go. Adrian dał mu monetę. Chłopiec przycisnął palce obu dłoni do ust, skłonił mu się i uśmiechnął. Adrian patrzył, jak odbiega do swoich kolegów. Kiedy się po raz pierwszy spotkali, on, Adrian, był inną osobą. Ta świadomość jest w nim tak mocna, że dziwi go, iż mały w ogóle go rozpoznał.

Jest szczęśliwy. Z wyjątkiem tych chwil, kiedy myśli o Kate i Lisie; wyrzuty sumienia przeszywają jego ciało niczym prąd. Spogląda w lustro i widzi dwie pionowe zmarszczki między brwiami i siwe nitki we włosach, tam, gdzie ich wcześniej nie było. Zastanawia się, jak może robić to, co robi. W takich chwilach chowa się przed Mamakay, żeby nie dostrzegła tego, co sam widzi – że nie zasługuje na to, co go spotkało.

Wieczorami on i Mamakay czytają razem, z konieczności szukając prostej rozrywki. Rozmawiają i grają w karty. Mamakay przyniosła raz planszę do gry w chińczyka, co z miejsca przypomniało mu Kaia. Wyobraził go sobie z tą rzadką bródką, zbyt młodzięcżą, by porządnie urosnąć. Ukłucie zazdrości było jak ukąszenie węża. Z jakiegoś powodu udał, że nie zna reguł gry, i użył tego jako pretekstu, żeby nie grać.

Wczoraj wieczorem leżała na plecach, podczas gdy on czytał na głos i powoli wcierał olejek w skórę jej brzucha. Z zewnątrz dobiegały odgłosy z meczetu i centrum wideo, w którym puszczano mecz piłkarski. Mamakay może niczym dziecko słuchać wiele razy tej samej historii, jednak w przeciwieństwie do dziecka potrafi wyrwać mu książkę z dłoni i przeczytać sama fragment, poprawiając jego intonację. Ma do tego talent. Niczym dziecko zna na pamięć fragmenty książek.

– „Kiedy nadciąga bieda, trzeba podobno zewrzeć szeregi” <sup>4</sup> – mówi z akcentem

z głębokiego amerykańskiego Południa, którego używa błędnie, lecz w jakiś sposób stosownie. Przeczytała Szerokie Morze Sargassowe cztery razy, ale ani razu Dziwne losy Jane Eyre. Adrian obiecuje sobie, że znajdzie i da jej w prezencie egzemplarz, choć nie ma pojęcia, gdzie mógłby znaleźć w tym mieście wiktoriańską powieść. Gromadzi w pamięci te przyszłe prezenty, chwile, z których wysnuje się przyszłość. Pochyla się i kładzie dłoń na jej brzuchu. Wydaje mu się, że czuje w łonie dziecko, ale to tylko echo jej serca.

Kiedyś ona dała mu prezent. Miniaturową buteleczkę z pigmentem indygo, którą znalazła dawno temu na targu. Butelka zaintrygowała ją, malutka, zapieczętowana ołowiem, nigdy nieotwierana. Adrian nosi ją na rzemyku zawieszonym na szyi, schowaną do kieszeni koszuli. Mówi sobie, że jeśli upadnie, szkło przebije mu serce.

Lęk ogarnia go najczęściej w nocy. Wstaje z łóżka i błąka się po pustym domu. Przez zdarzające się stale przerwy w dostawie prądu musi zapalić świeczkę albo polegać na księżycu. W tych mrocznych chwilach myśli o skali tego, co zostało poświęcone, o Kate i Lisie, o najgorszym, co może się dopiero zdarzyć, i o tym, że szczęście takie jak to nie może długo trwać. Przechodzi przez pokoje i wraca do sypialni, licząc kroki, licząc sekundy. Gdy kładzie się obok niej na łóżku, lęk się przyczaja.

Którejś nocy śni mu się, że ją stracił, i budzi się udręczony. Łóżko pojej stronie jest puste. Kiedy odnajduje ją na tyłach domu, rozmawiającą z sąsiadką, razem z ulgą ogarnia go absurdalny gniew, że go porzuciła, oddała na pastwę koszmarów.

Obserwuje ją, chce dostrzec ślad tego, co ona czuje. Widzi radość, kiedy do niej przychodzi, kiedy ją obejmuje, kiedy daje jej drobne podarki i mówi komplementy. Nie widzi w ogóle strachu. I pyta siebie, jak to możliwe. Może ona go nie kocha. Bo nigdy tego nie powiedziała i nigdy nie mówi o przyszłości.

Za trzy dni, w poniedziałek, ma spotkanie z Eliasem Cole'em. Po powrocie odwiedził dwukrotnie starego, ale w trakcie żadnego spotkania nie było mowy o niczym ważnym. Cole umiera. W trakcie nieobecności Adriana jego stan ponownie się pogorszył i do izolatki z powrotem wstawiono koncentrator tlenu. Nie doszło do pojednania z Mamakay, za co Adrian czuje się odpowiedzialny. Był zawiedziony, gdy Cole nie chciał go do siebie wezwać. Autentycznie interesuje go rozwiązanie, dotarcie do jądra Eliasa Cole'a.

\*

Tej nocy, po raz pierwszy od wielu tygodni, Adrian bierze swój blok i ołówek i zaczyna szkicować. Rysuje miękkim ołówkiem nietoperze owocowe na drzewie rosnącym w ogródku przy nowym domu. Przez pół godziny próbuje uchwycić podobieństwo: intensywną czerń ich pysków, blask oczu i małych ząbków, elegancję i kruchość skrzydeł. Bierze latarkę, żeby podejść do nich bliżej, i najwyraźniej im to nie przeszkadza. Jeden z nietoperzy trzyma pod skrzydłem małe. Stopniowo zaczyna je odróżniać, po charakterze i wyglądzie. Po jakimś czasie przegląda swoje prace. Zrobił kilka szkiców. Pierwszy to studium nietoperzego pyska. Drugi przedstawia matkę i jej dziecko. Trzeci rozpostarte skrzydło: cienką matową skórę, napięte krawędzie, pełne gracji koniuszki. Wydaje mu się niewyobrażalne, że kiedyś uważał te stworzenia za brzydkie. Są po prostu piękne.

– Podoba mi się. – Mamakay, która podeszła do niego ukradkiem, kładzie mu ręce na ramionach. – Mogę zobaczyć?

Podaje jej blok.



– Mogę to zatrzymać? – pyta Mamakay.

– Oczywiście.

Adrian bierze od niej blok i wyrywa arkusz. Mamakay znika i wraca z pustą ramką. Adrian przewraca kartki, cofając się do najwcześniejszych szkiców kolibra, którego obserwował z mieszkania w szpitalu. Zastanawia się, czy Kai wciąż tam nocuje. I czy Mamakay wciąż o nim myśli.

– Proszę!

Mamakay podnosi rysunek nietoperzy w ramce. Adrian uśmiecha się do niej. Tak, to jeden z jego najlepszych szkiców. Najlepszy, odkąd tu przyjechał.

Późnym wieczorem, długo po tym, jak zjedli i się pokochali, bierze ponownie do ręki szkicownik. Mamakay leży na trzcinowej sofie, jej ciało okrywa lappa związana w gruby węzeł na karku.

Deszcz przestał padać i wieczorne powietrze jest rześkie. Upał choć raz wślizgnął się pod ziemię. Bryza igra z rąbkiem stroju Mamakay. Miasto wydaje się bardzo odległe. Adrian obserwuje ją przez dłuższą chwilę, odłożywszy szkicownik na kolana. Trudno się powstrzymać, by jej nie dotknąć. Leży na plecach i czyta w żółtym świetle lampy. Jedną ręką trzymając książkę kilka centymetrów od nosa, drugą odrzuciła za głowę. W pewnym momencie kładzie książkę na piersiach, poza tym jednak nie zmienia pozycji. Adrian bierze do ręki ołówek.

Tej nocy rysuje ją, bez żadnych wstępnych szkiców i prób, starając się uchwycić każdą linię jej ciała. Kreski jedna po drugiej pojawiają się na papierze, każda na swoim miejscu. Adrian pracuje z ogromną koncentracją, czuje napięcie w żołądku. Boi się postawić kolejną kreskę, ale jednocześnie wie, że nie może przerwać, bo wówczas straci ten niepowtarzalny rytm, tę alchemię umysłu, oczu i palców, która go napędza. Kiedy przeniesie tę chwilę na papier, będzie trwała wiecznie, nigdy jej nie zapomni. Siłą woli zmusza Mamakay, by się nie poruszała. Nie przestaje rysować aż do momentu, gdy szkic jest skończony. Być może po raz pierwszy wie o tym od razu. Nie musi ścierać ani poprawiać ani jednej kreski. Portret Mamakay składa się z szeregu zakrzywionych i zwężających się linii. Łuk włosów, miękki owal brzucha. Szkic jest niepodobny do niczego, co do tej pory narysował.

– Skoro tak lubisz nietoperze, mogę cię gdzieś zabrać.

Myślał, że zasnęła, leżała tak nieruchomo.

\*

Gdzie oni są? Adrian nie ma pojęcia. Obróciwszy się, widzi, jak canoe, sterowane przez starego rybaka pojedynczym wąskim wiosłem, oddala się już, kołysząc na falach. Tuż obok leży działo do połowy zanurzone w wodzie. Mały pomost wcina się w morze. Przed nimi stoją ruiny kamiennego fortu, gęsto obrośnięte winem. Mamakay stawia krótsze niż kiedyś kroki, jest lekko zdyszana. Zrobiło się już późno, dochodzi szósta.

Z małej żwirowatej plaży odchodzi ścieżka w głąb wyspy. Mijają cmentarz, na którym stoi kilka nagrobków. Adrian zatrzymuje się, by przeczytać widniejące na nich nazwiska, i zastanawia się, ile trwało wyrycie tych liter w szkockim granicie, przywiezienie go tutaj i ustawienie na grobie marynarza, którego własne życie na tej wyspie nie przekraczało ongiś kilku miesięcy. Trochę dalej stoją w rzędzie pofalowane kopce niewiele tylko od niego mniejsze. To pagórki usypane z muszli ostryg, dziesiątków tysięcy muszli, upamiętniających

czasu, kiedy dieta mieszkających tu mężczyzn składała się z ostryg i rumu; jego butelki leżą na plaży powciskane między kamienie, toczą się w tę i z powrotem po dnie morza.

Schodzą teraz na dół, oddalając się od ostrygowych pagórków, wąska ścieżka biegnie tuż przy osypującym się murze.

– To tu.

Mamakay odwraca się i zatrzymuje. Stoją w bramie, a może to wejście do jaskini. Adrian zagląda do środka. Kolosalna, kipiąca życiem, tłumna ciemność, dźwięk miliarda bijących serc. Ma wrażenie, jakby wyspa była żywą istotą, której wnętrze oboje penetrują.

Czekają na noc na zewnątrz, przed wejściem do jaskini. Kiedy zapada gęsty zmierzch, słyszą wewnątrz ruch, przebudzenie. Pojawia się bezszelestnie pierwszy nietoperz i znika. W ślad za nim lecą inne, pojedynczo, a potem parami i trójkami, zostawiając w powietrzu lepkie, ciepłe zawirowania. Po chwili przelatują koło nich dziesiątkami i dwudziestkami, na koniec całymi setkami. Adrian stoi bez ruchu, wstrzymując oddech na całe kilka minut, które zajmuje nietoperzom opuszczenie jaskini. Powietrze jest gęste od ciał, rozedrgane od trzepotu skrzydeł. Nitki wiatru snują się po jego twarzy i ramionach, kleją się do skóry. Nietoperze są wszędzie, nad nim i wokół niego, ale nigdy go nie dotykają. Ich liczba wydaje się nieskończona, i nagle wszystko ustaje. Uświadamia sobie, że stoi, trzymając Mamakay w ramionach. Oddychają szybko i kurczowo, ich ciała drżą. Przytuleni do siebie, głośno się śmieją.

\*

Adrian otwiera oczy i natychmiast się budzi. Słońce pali mocno, niebo jest ciemnobłękitne. Tego dnia spotyka się z Eliaszem Cole'em. Dwadzieścia minut później, przyglądając się twarzy Cole'a, odkrywa, że szuka w niej podobieństwa do Mamakay. Tutaj, w linii ust, konturze oczu, lekko wystających zębach górnej szczęki. A kiedy Cole się uśmiecha, co zrobił na widok Adriana, podobieństwo można dostrzec w dolnej wardze, wypychanej do przodu przez skraj przednich zębów. Jakie to dziwne, odkrywać twarz młodej i pięknej kobiety pod fałdami skóry starca. Adrian uświadamia sobie, że on i Elias Cole są praktycznie spowinowaceni.

Cole odsuwa od twarzy maskę tlenową.

– Dzień dobry – mówi Adrian. Widok Cole'a w tym stanie sprawia, że bierze kilka głębokich wdechów niczym ktoś, kto zaspokaja palące pragnienie.

– Dzień dobry – odpowiada Cole szeleszczącym jak papier głosem.

– Jak się pan miewa?

Cole wzrusza ramionami.

– Na nic się nie skarżę.

W izolatce jest chłodniej niż na zewnątrz. Wdzięczny za to Adrian siada na tym samym co zwykle krześle. W ciągu ostatnich dwóch dni przeczytał na nowo wszystkie swoje kliniczne notatki, ale nawet po ich przeanalizowaniu nie udało mu się rozgryźć Eliasa Cole'a. Jako mężczyzna jest zaborczy, władczy i ambitny, lecz żadna z tych cech nie przejawia się w patologicznym stopniu. To przypadek wywindowanej ponad miarę przeciętności. Gdyby posiadał jakieś prawdziwe talenty, dziekan zobaczyłby w nim zagrożenie i wyeliminował tak jak wielu innych. Cole sprzymierzył się z dziekanem i związał z nim własną karierę. Kiedy tamten został rektorem, awansował Cole'a na swoje dawne stanowisko. W Anglii Adrian codziennie spotykał ludzi podobnych do Eliasa Cole'a; niektórzy z nich byli jego kolegami. Cole

był zazdrosny o młodszego brata, którego poza tym kochał. Istniały pewne podobieństwa między bratem i Juliusem. Cole sam o nich napomknął. Dobrze sam siebie znał, wskutek czego to, co ukrywał, było jeszcze sprytniej zamaskowane. Chyba że blokada zachodziła na poziomie podświadomości. Adrian raczej w to wątpił. Podejrzewał, że Cole nim manipuluje.

– Jest coś, o co chciałem pana zapytać.

– Ależ proszę.

– Czy spotykał się pan później z Johnsonem?

Cisza.

Czy Cole wybierze łatwe wyjście i skłamię? Adrian trochę się tego po nim spodziewa.

– A więc ktoś z panem rozmawiał – mówi zamiast tego stary.

– Zawsze można się tutaj tego obawiać. Pełno plotek i plotkarzy.

Teraz z kolei Adrian milczy, zastanawiając się nad odpowiedzią, nad tym, w którym momencie napomknąć o Mamakay.

– Z drugiej strony Babagaleh poinformował mnie, że pan i moja córka zawarliście znajomość – kontynuuje Cole.

– Tak – bąka Adrian.

– Myślał pan, że o tym nie wiem? A może martwił się pan, że tego nie zaakceptuję? Otóż akceptuję. Niech pan ją zabierze z tego miejsca. Nie ma tutaj przyszłości.

– Ona chce zostać.

– Nie wątpię. Zawsze mi się sprzeciwiała w tej kwestii. – Pauza. – To od mojej córki dowiedział się pan, że spotykałem się czasami z Johnsonem?

– Tak.

– Hm. – Cole cicho chrząka. – A kto jej powiedział?

– Poznała go, kiedy odwiedził pana w domu. Widziała go wcześniej.

Cole kiwa powoli głową. Przez cały czas się zastanawia, zginając jeden po drugim palce prawej dłoni, tak że poruszają się jak skrzydła wiatraka. Adrian niemal słyszy, jak kręcą się trybiki w jego głowie. Odwraca głowę.

– To była towarzyska znajomość – oznajmia w końcu Cole.

– Piliśmy whisky. Z tego, co pamiętam, lubił czarnego Johnniego Walkera. Kosztowało mnie to fortunę. Rozmawialiśmy na temat sytuacji w kraju. Byłem już wtedy dziekanem. Musiałem mieć rozeznanie, co się dzieje.

– Nie dostrzega pan, jak dziwne mogłoby się to wydać komuś z zewnątrz? Zważywszy to, co mi pan o nim powiedział, co pan do niego czuł?

Cole pstryka palcami, a potem zaciska dłoń. W jego tonie zachodzi subtelna zmiana. Adrian słucha uważnie, starając się zdefiniować, na czym polega, lecz nie udaje mu się tego określić.

– Jak pan trafnie zauważył, jest pan człowiekiem z zewnątrz. To mały kraj. Nigdy nie mieszkał pan w takim miejscu. Tutaj wrogowie są luksusem, na który mogą sobie pozwolić tylko biedacy. Reszta musi, żeby użyć pańskiej terminologii, iść do przodu. Zawarłem pokój z władzami. Nie miałem innego wyboru.

Cole uśmiecha się blado do Adriana.

– Zostaliście przyjaciółmi.

– Wolałbym powiedzieć, że znajomymi.

– Jak do tego doszło? To znaczy, jak do tego doszło, że znowu się spotkaliście?

– Już zapomniałem. Przyszedł chyba do mojego domu. Naprawdę nie pamiętam.

– Czasami ludzi zbliżają do siebie wydarzenia. Coś, co wiąże ich w niezwykle sposób.

Johnson był ambitny i sprytny, ale brakowało mu autentycznej inteligencji, co maskował agresywnością i niewrażliwością. Nawet jeśli Cole nie dostrzegał, jak bardzo sam jest podobny do Johnsona, Adrian wyraźnie to widział. Podobieństwo było w gruncie rzeczy uderzające. Projekcja? Być może. Chociaż w tych sprawach lepiej zbytnio nie mędrkować. Równie dobrze Johnson mógł być dokładnie taki, jak opisywał go Cole. Wiele razy Adrian pytał sam siebie, czy relacje z Johnsonem nie sięgały głębiej, niż chciał tego Cole.

Stary mężczyzna marszczy czoło.

– Był znajomym. Nikim więcej.

– Kto dał Johnsonowi listę studentów? Pan?

Twarz Cole'a pozostaje nieruchoma, lecz Adrian widzi błysk w jego oczach, skurcz mięśnia na policzku. Stary przygląda mu się z pozbawioną wyrazu miną.

– Co pan może wiedzieć o tych sprawach?

– Wiem tylko tyle, ile powiedzieliście mi pan i pańska córka. Jej zdaniem tamtej nocy, kiedy policja zaatakowała kampus, zdradził pan jej przyjaciół. Wydał ich pan Johnsonowi.

Tym razem cisza trwa dłużej. Cole potrząsa głową. Odzyskał panowanie nad sobą tak szybko, że Adrian przez chwilę nie jest pewien, czy je w ogóle stracił.

– Tak jej się tylko wydaje – mówi Cole i potrząsa głową tak długo, aż doprowadza go to do krótkiego ataku kaszlu. Podciąga się na łóżku, wysuwa na zewnątrz kanciaste łokcie, podnosi głowę i głęboko oddycha, zamykając oczy.

– Czy mógłby pan wezwać do mnie Babagaleha?

Adrian spełnia jego prośbę. Nie wchodzi z powrotem do izolatki razem z Babagalehem, ale czeka na korytarzu, opierając się plecami o szorstką betonową ścianę. Przez drzwi słychać jakąś krzątanię, szum koncentratora tlenu, szepczące głosy. Nie słyszy, co mówią. Mija piętnaście minut. Adrian czeka. Jego rozmowa z Eliaszem Cole'em musi się skończyć jakąś konkluzją, cokolwiek to będzie. Cole się męczy. Ta zmiana w głosie, którą usłyszał, gdy wszedł do izolatki, chrobotanie w zwłókniałych płucach, suche i napięte struny głosowe. Cole dogorywa.

Drzwi się otwierają, Babagaleh wychodzi na korytarz i daje znak Adrianowi, który wraca do izolatki. Cole leży na poduszce w takiej samej pozycji, w jakiej go zostawił, ma zamknięte oczy.

– Wszyscy ponosimy konsekwencje tego, co zdarzyło się w przeszłości, nieprawdaż? Ktoś mógłby spytać, co pana tu sprowadziło. Współczucie? Kariera? Rozpad małżeństwa symbolizowany przez obrączkę, której już pan nie nosi? I dlaczego akurat tutaj? Babagaleh powiedział mi, że pana dziadek nazywał się Silk. Że wysłano go tutaj przed wojną. Oczywiście przed waszą wojną. Jako historyk uważam to za ciekawe. Nasza pisana historia jest na szczęście na tyle krótka, że całą ją pamiętam. Naszym ostatnim gubernatorem był Beresford Stuke. Silk służył pod jego poprzednikiem. Wybacz mi pan, ale nie wsławił się niczym szczególnym. Gdyby nie ta niezbyt udana rebelia wodza, jestem pewien, że do czegoś by doszedł. Brat Babagaleha... używam tego określenia w luźnym znaczeniu, twierdzi, że ma ich tylu... jest barmanem w Ocean Club. Nie mówiłem panu? Facet idzie chyba na emeryturę. Pracował tam już za moich czasów.

**Adrian milczy.**

– Pewne rzeczy, które mogły się zdarzyć w przeszłości, miały wówczas mniejsze znaczenie niż mają teraz – kontynuuje Cole, nie patrząc na niego, lecz wyglądając przez okno. – I na odwrót. To, co wydawało się wtedy ważne, dzisiaj jest w zasadzie zapomniane. Leżąc tu, odczuwam presję czasu. Trudno nie myśleć o tych sprawach. Na czym stanęliśmy? A, tak. Mówiliśmy o Johnsonie. Co za facet! Nie lubiłem go. Właściwie nie przesadzę chyba, mówiąc, że go nienawidziłem. Ale rozumie pan, nie wolno robić sobie wroga z kogoś takiego jak Johnson. Nie wolno, jeśli ma się choć trochę oleju w głowie. Trzymaj przyjaciół blisko, a wrogów jeszcze bliżej, czyż nie tak brzmi to powiedzenie? Cokolwiek zrobiłem, miałem na uwadze dobro Mamakay. Igrała z ogniem. Ryzykowała, że ją złapią. Johnson był na ich tropie. Ze mną czy beze mnie, sieć się zaciskała. Musiałem zadbać o moich bliskich. Jeśli dałem Johnsonowi listę nazwisk, uczyniłem tak, bo nie miałem wyboru. Skąd miałem wiedzieć, co z nią zrobi? Julius był głupcem. Nie dostrzegał nadchodzących zmian, mimo że były wypisane na niebie. Może wyobrażał sobie, że potrafi zmieniać pogodę. Podpadł Johnsonowi i podpadł władzom uczelni. Czasami zastanawiam się, kim byłby, gdyby przeżył. Czy zostałby dziekanem swojego wydziału? Mało prawdopodobne. Był marzycielem. Marzył o tym, żeby budować miasta, mosty, wznosić drapacze chmur, lecieć na Księżyc, na litość boską! Tamta noc, pierwsza noc, kiedy byłem na łasce Johnsona, to była najgorsza noc w moim życiu. Mówiłem panu, co się stało. Ukradł mi ciastko, oszukał, twierdząc, że zaraz wróci, zostawił mnie tam i w ogóle się nie pojawił. Walłem w drzwi i nikt nie przyszedł. Nikt nie przychodził przez godzinę, dwie, nie pamiętam już, ile godzin.

Zostałem sam. W końcu ktoś się pojawił. Nie Johnson, bo poszedł pewnie do domu, lecz jeden z jego strażników. Zabrał mnie z tamtego pokoju i zaprowadził na dół, do innego. Było tam znacznie chłodniej, z początku się z tego cieszyłem, ale stopniowo robiło się coraz zimniej i zmarzłem. Próbowałem zasnąć. Tamtej nocy miałem w którymś momencie tę wizję samego siebie, wizję ciemnej, niechlujnej bryły, pozbawionej wszelkich szczegółów, a mimo to będącej bezsprzecznie mną, wizję mojego cienia. Ponownie zasnąłem i obudził mnie chyba krzyk gdzieś w budynku. Usiadłem i nasłuchiwałem. Cisza. Krzyk, jeśli to właśnie wcześniej słyszałem, już się nie powtórzył. Zamiast tego usłyszałem coś innego, dźwięk podobny do kręcącego się małego bączka, terkot i brzęk. Rozlegał się regularnie co pewien czas. Taki sam dźwięk, ale za każdym razem trochę inny, co sugerowało, że wywołuje go człowiek, nie maszyna. W końcu chyba go rozpoznałem. Pamięta pan, jak mówiłem, że Julius zawsze nosił w kieszeni coś, czym mógłby się bawić. Śrubę, nakrętkę, podkładkę. Paciorki Juliusa. Dźwięk dochodził zza ściany. Usłyszałem kaszel. Julius. Zapukałem. Kaszel się urwał. Pukanie rozległo się z drugiej strony. Teraz byłem pewien, że to Julius. Nie śmiałem się odezwać, nie chciałem ściągnąć na siebie uwagi strażników. Julius nie miał takich obaw. „Halo? Halo?“, zawołał. „Kto tam?“. Nie mogłem zgadnąć, że to ja. Nie wiem nawet, czy wiedział, że mnie aresztowano, czy Johnson mu o tym powiedział. Wahłem się. Otworzyłem usta, żeby odpowiedzieć, lecz nagle usłyszałem, jak ktoś idzie. Głośne walenie w drzwi Juliusa. Pozostała część nocy minęła w ciszy, jeśli nie liczyć odgłosów wydawanych przez paciorki Juliusa, tego puszczanego raz po raz bączka. W którymś momencie nawet i to się skończyło. Następnego nocy, po całym dniu udręk zadawanych mi przez Johnsona wsadzili mnie do tejsamej celi. Leżałem z twarzą przyciśniętą do brudnej podłogi. Nie słyszałem paciorków Juliusa. Przyszło mi do głowy, że został przeniesiony, być może

nawet zwolniony, choć raczej w to wątpię. To nim przede wszystkim interesował się Johnson. Bałem się o siebie. Johnson wytoczył przeciwko mnie tyle argumentów, że prawie uwierzyłem, iż jestem w coś zamieszany. Nie bardzo wiedziałem, jak się z tego wykaraskam. A nawet gdyby mi się udało, moja kariera i reputacja legły w gruzach. Była sobotnia noc i nikt na świecie nie wiedział, gdzie jestem. Bałem się, co przyniesie noc, i bałem się następnego dnia. W którymś momencie zasnąłem i się obudziłem. Jakiś owad chodził po mojej twarzy. Zbyt ciemno, żeby zobaczyć wskazówki zegarka. Domyślałem się, że jest gdzieś między drugą a czwartą w nocy. Wbiłem wzrok w ciemność. Nasłuchiwałem, desperacko czekając na jakiś dźwięk, który upewniłby mnie, że żyję. W pokoju na górze słyszałem przynajmniej odgłosy z zewnątrz. Tu na dole nie było nawet okna, nic. Nasłuchując, zarejestrowałem nagle jakiś dźwięk. Podpełzłem do ściany, za którą, jak sądziłem, przetrzymywano Juliusa. Przycisnąłem do niej ucho. Tak, słyszałem to teraz wyraźnie. Rzęzenie. Nie, to było coś bardziej rozpaczliwego od rżenia. Opisałbym to jako łapanie haustami powietrza. Zapukałem raz, a potem drugi, jednak tym razem nikt nie odpowiedział. W głębi serca byłem pewien, że to Julius. Co powinienem był zrobić? Gdybym wezwał strażnika, bardzo wątpię, czy ktoś by przyszedł, a nawet gdyby to zrobił, równie dobrze mogli się na mnie wyżyć. To było straszne miejsce. W rezultacie mogłem wpaść w większe kłopoty niż Julius. Przycisnąłem ucho do ściany, odchyliłem się i zacząłem analizować sytuację. Julius z pewnością miał swoje leki. Starąłem się znaleźć najlepsze wyjście. Powtarzałem sobie, że chyba nie jest z nim tak źle. Że gdyby naprawdę miał poważne kłopoty, z pewnością sam wezwałby pomoc. Zastanawiałem się także, od jak dawna jest w takim stanie. W ciągu dnia strażnicy musieli na pewno wchodzić do jego celi i wychodzić z niej. Rozważałem wszystkie za i przeciw. W którymś momencie usłyszałem kaszel. Uznałem to za dobry znak. W końcu zasnąłem. Kiedy się obudziłem, świtało i mój koszmar trwał nadal. Tamtego ranka odwiedził mnie dziekan. Padła propozycja układu z Johnsonem. W zamian za wolność dałem mu swoje notatniki. Nigdy już nie wróciłem do celi w piwnicy. W pierwszej chwili po uwolnieniu byłem taki szczęśliwy, że w ogóle zapomniałem o Juliusie. Dziekan odprowadził mnie na wydział, żebym mógł zabrać notatniki. Był poirytowany i zły, że musi mi towarzyszyć w czasie, gdy powinien być w kościele. Widziałem, że drażni go odór mojego ciała; przez dwa dni w ogóle się nie myłem. Jeśli Johnson ucieszył się z moich notatników, wołał tego nie okazywać. Dlaczego mnie to nie zdziwiło? Ponieważ wiedziałem, że ten człowiek stosuje najróżniejsze sztuczki i wymyślone przez siebie podstępny. Po prostu mi podziękował i poprosił jednego ze swoich ludzi, żeby odprowadził mnie do wyjścia. Dopiero wtedy przypomniałem sobie o Juliusie. Zatrzymałem się w progu i odwróciłem. Dziekan zobaczył, że się waham. Zerknąłem na Johnsona, który popatrzył mi prosto w oczy. Dziekan spojrzał na nas obu. „O co znów chodzi, na litość boską?“, zapytał. Johnson nie odezwał się, ale dalej mierzył mnie chłodnym wzrokiem. I w tym momencie zorientowałem się, że wiedział. Spostrzegłem to w jego oczach. Johnson wszystko wiedział. Za parę sekund miałem na zawsze wyjść z tego budynku. Mogłem jeszcze wszystko stracić. Zaciśnąłem usta i odwróciliśmy się, żeby wyjść. I tak zapamiętałem Johnsona: jak stoi za swoim biurkiem, przyciskając do piersi notatniki, ubrana na czarno postać, diaboliczny pastor. Widzi więc pan, jak to wyglądało? Nie zrobiłem nic złego. To Johnson pozwolił Juliusowi umrzeć. Jednak prawdę mówiąc... jeśli rzeczywiście chce pan poznać prawdę, a myślałem o tym przez wiele lat... prawda jest taka, że Julius sam był sobie winien. Nigdy nie wiedział, co było dla niego

dobrze. Za dużo się spodziewał.

\*

Więc tak zmienił się cały bieg życia, cała historia.

Dzień później Adrian stoi w oknie i patrzy na mężczyzn grabiących trawę. Prawie skończyli i praca w znacznym stopniu podniosła ich na duchu.

Życie, historia, całe wzorce istnienia odmienione po prostu przez brak działania. Ciche kłamstwo. Akt zaniechania. Jakkolwiek to nazwiemy. Adrian bierze stojącą przy progu teczkę, wychodzi i zamyka za sobą drzwi. Elias Cole nigdy nie weźmie odpowiedzialności za to, co spotkało Juliusa. Defragmentacja sumienia. Cole rozgrzeszył się w momencie, gdy przekazał odpowiedzialność za los Juliusa w ręce Johnsona, w taki sam sposób jak wówczas, gdy wręczył mu listę studentów, wiedząc, a jednocześnie nie chcąc przyjąć do wiadomości, co z tego wyniknie. Zdjął z siebie odpowiedzialność za większą zbrodnię, ale przecież bez jego udziału nie mogła się wydarzyć. Na świecie są miliony Eliasów Cole'ów. Adrian nagle czuje się zmęczony.

Kilku mężczyzn pozdrawia go skinieniem głowy, kiedy ich mija. Nie uśmiechają się ani nie odzywają, lecz wie, że wysoko go cenią. Jest z nimi Salia, który unosi dłoń. Defragmentacja sumienia. Adekali dręczony przez czyny, których się dopuścił. Elias Cole nieporuszony przez te, których zaniechał. Adecalemu kazano się wstydzić, uznano go za winnego. Cole żył otoczony szacunkiem. Ale co uznać za większe zło, jeżeli nazwiemy to złem? Gdzieś w głębi tego, co nazywa duszą, Elias Cole wie. Adrian był jego ostatnią szansą na rozgrzeszenie, ostatnią próbą przekonania samego siebie, że nie splamił rąk.

Adrian jedzie powoli do domu. Chociaż ulicę wypełniają samochody i minibusy, ruch jest w miarę płynny. Na skrzyżowaniu zatrzymuje się i obserwuje mężczyznę z dreadami, który karmi okruchami ciasta zwiniętego przy nim w kłębek chudego psa. Zarówno pies, jak i mężczyzna wydają się całkiem zadowoleni. Adrian przejeżdża przez wszystkie trzy mosty. Najpierw przez ten pierwszy, który oddziela wschodnią część miasta od zachodniej. Na skrzyżowaniu, na którym ruch reguluje kręcący rękoma policjant, skręca w prawo na most na półwysep, gdzie robotnicy spuścili kiedyś w dół małego Juliusa, żeby mógł wyryć w mokrym betonie wszystkie ich inicjały. Małego chłopca, który przez długie miesiące patrzył codziennie, jak budują jego most – most Juliusa. Ostatni i najmniejszy most spina brzegi rzeczki obok jego nowego domu. Adrian skręca w gruntową drogę.

Wrócił wcześniej. Wie, że kiedy to tylko możliwe, Mamakay lubi zdrzemnąć się w upalne popołudnie, bo dziecko nie daje jej spać w nocy. Bywa, że wracając do domu, zastaje ją śpiącą na trzcinowej sofie na werandzie. Z jakiegoś powodu ją to krępuje. Na myśl o tym Adrian się uśmiecha. Zrobi jej niespodziankę. Oto i ona. Jego kroki musiały zabrzmieć w jej śnie, bo porusza się, kiedy on pokonuje ostatnie stopnie. Idzie ku niej, a ona otwiera oczy.

On się uśmiecha.

Ona mruga, otwiera oczy szerzej i lekko marszczy brwi.

– O co chodzi? – pyta Adrian.

Mamakay lekko się unosi. Jej dłoń maca spódnicę, klepie poduszki starej sofy, jakby szukała zgubionego pierścionka. Adrian podąża wzrokiem za jej ręką i widzi szeroką ciemną plamę, która rozlała się po spódnicy i narzucie.

# ROZDZIAŁ 53

W obecności Kaia Zainab zachowywała się skromnie, zgodnie z tym, jak prezentowała się na fotografii: dziewczyna przestrzegająca wioskowej etykiety. Mówiąc do niego, wbijała wzrok w buty, chichotała w dłoń i uśmiechała się, nie otwierając ust. Kai nie mógł się jednak oprzeć wrażeniu, że Zainab jest w posiadaniu jakiegoś impertynenckiego sekretu, jakiejś nieprzyjemnej wiedzy na jego temat. Foday gapił się na nią z nieukrywanym uwielbieniem. A Kai również polubił Zainab, mimo że z trudem udało mu się wycisnąć z niej jakieś słowo. Jej jasne spojrzenie świadczyło, że ma przed sobą kobietę, która dokładnie wie, kim jest na tym świecie.

Przechodząc później obok okna, przy którym stoi łóżko Fodaya, Kai słyszy, jak chichot Zainab zmienia się w śmiech: gardłowy i buntowniczy.

Idzie, by uaktualnić historię choroby Fodaya. Główną konsekwencją infekcji jest przesunięcie w czasie tego, co i tak miało nastąpić: zdjęcia gipsu, fizjoterapii oraz ostatniej operacji prawej stopy. Zamyka oczy, odchyła się na krześle i natychmiast zapada w sen, z którego z nagłym wzdrygnięciem się budzi. Są chwile, kiedy senność staje się tak intensywna, że to ona właśnie nie pozwala mu zasnąć. Gdzieś trzaskają drzwi. Kai siada prosto, potrząsa głową i otwiera szeroko oczy. Światło w pokoju załamuje się i rozpada, jego cząsteczki pojawiają się i znikają. Masuje powieki. Za długie bezsenne noce zawsze trzeba zapłacić. W dzieciństwie bał się stworzeń, które mieszkały pod jego łóżkiem, ale ten strach nigdy nie przeszkadzał mu spać. Teraz w każdej chwili zgodziłby się na potwory.

Poprzedniego dnia poszedł do kafejki internetowej na mieście i napisał e-maila do Tejaniego, a potem siedział i czekał, aż dojdzie. Wszystko załatwione, napisał Tejanieniu, procedura dobiegła końca. Andrea Fernandez Mount osobiście zadzwoniła, żeby przekazać mu wiadomość. Podanie Kaia zostało przyjęte. Wizę przyznano. Potem wracał do domu na piechotę, przebijając się własnym niewidzialnym tunelem przez upał, pył, uliczny ruch i tłumy ludzi.

Wstaje i rusza na obchód szpitala: izba przyjęć, oddziały, intensywna opieka, laboratoria. Jest ósma. Sprawdzając w laboratorium wyniki badania krwi, widzi idącego szybkim krokiem Seligmanna, który trzyma w ręku połówkę pączka. Oddaje szkiełko laborantce i rusza za Kanadyjczykiem na blok operacyjny. Przy pierwszych drzwiach widzi Adriana i zastanawia się przez chwilę, skąd się tu wziął. Nie odzywa się do niego i nie wita go skinieniem głowy lub ręki. Jest ciemno. Adrian, który stoi pod jarzeniówką, najprawdopodobniej nie widzi przecinającego dziedzińca Kaia, bo też się nie odzywa i do niego nie macha. Nie rozmawiali ze sobą od kilku miesięcy. Adrian nie patrzy w jego stronę, rozmawia z panią Marą. Kai mija ich szybko i słyszy, jak pani Mara woła go po imieniu. Nie chce się teraz zatrzymywać. Z powodu Adriana, z powodu Seligmanna. O cokolwiek jej chodzi, załatwi to z nią później. Szuka wzrokiem starszego chirurga.

Później przypomni sobie ich twarze. Nie Seligmanna, bo on jeden nie wiedział, co się dzieje, ale twarze innych. Ich oczy. Niektóre wpatrzone w niego, inne spuszczone. Milczenie.



Na bloku nie słyhać typowych pogaduszek. W tamtym momencie nie zwrócił na to uwagi. Był zmęczony, cieszył się, że nie musi brać udziału w żartach, na które nie miał ochoty. Wspomnienie pani Mary, która wyciągnęła rękę, kiedy przechodził, jakby chciała dotknąć jego ramienia. Szybko ich wszystkich minął. Wszystkich oprócz Seligmanna, któremu był gotów asystować.

W pierwszej chwili jej nie poznaje. Seligmann coś do niego mówi. Kai słucha starego chirurga. Ale jest lekarzem, który patrzy w twarz swoim pacjentom, i oczywiście, chwilę później na nią spogląda.

Jest wciąż przytomna. Uśmiecha się na jego widok. W jej oczach nie widać strachu. Mówi, że cieszy ją jego obecność, bo pytała o niego. Zanim jest w stanie powiedzieć coś więcej, nadchodzi ból. Kai widzi jego siłę, to, jak rośnie potężną falą. Jest niesamowity. Jej paznokcie wbijają się w jego rękę. Wbijają się aż do bólu, a on pragnie, by wszystko, co ona czuje, przepłynęło z jej do jego ciała. Patrzy, jak ból porywa ją, jakby pękła tama.

– Śmiało – mówi jej. Na miłość boską, śmiało. Krzycz. Wrzeszcz. To nie ma dla mnie znaczenia. Ale ona go nie słyszy i już go nie widzi. Oddech wydobywa się z jej piersi z długim, drżącym jękiem.

– To ktoś, kogo znasz? – pyta Seligmann.

Kai kiwa głową.

Seligmann bacznie mu się przygląda. Stary chirurg ten jeden raz przestaje pogwizdywać.

– Musimy wydobyć dziecko. Może mieć pęknięcie macicy. Jesteś w stanie mi asystować? Mogę ściągnąć kogoś innego.

– Dam radę.

– Więc do roboty.

Kai nie chce, by w tym momencie się obudziła. Ale nie chce też, by spała. Chce, żeby była przytomna, żeby mógł z nią rozmawiać, wspierać ją. Teraz, kiedy ją odzyskał, nie chce, żeby go opuściła. Podchodzi i bierze ją za rękę.

– Jestem tu. Kocham cię – szepcze. Chce, żeby go usłyszała.

Nenebah się uśmiecha.

– Wiem. Czy nie mówiłeś, że odbierzesz porody wszystkich moich dzieci? A może nie chciałeś? Nie pamiętam. – Otwiera usta. – Alph...

I znowu dopada ją ból.

Kai daje znak anestezjologowi, który wciska tłoczek strzykawki. Ciecz płynie plastikową rurką. Trzymając Nenebah za rękę, obserwuje jej twarz. Czuje, jak jej palce zaciskają się na jego dłoni, a potem rozluźniają. W jej oczach widzi swoje odbicie i wiszącą nad nimi lampę operacyjną. Widzi, jak światła migoczą i nieruchomieją, powieki się zamykają.

\*

Na zboczach wzgórz. Kiedy? Pięć, sześć tysięcy lat temu, zanim przyszła wojna i rzuciła ich wszystkich w różne strony. Byli studentami i siedzieli w swoim ulubionym miejscu, na wzgórzach nad uniwersytetem. Poprosił ją o rękę, a ona przyjęła jego oświadczenia w zamian za pierścionek z plecionej trawy. Popatrz. Nenebah pokazuje palec Tejanemu. Kai zaczyna jej pleść naszyjnik i trawiastą koronę, ozdobioną kwiatami. Z kwiatów zbiegają upojone nektarem mrówki. Jedna z nich maszeruje po jej nagim brzuchu, między dwoma znamionami pod pępkiem. Kai zdmuchuje mrówkę. Hej. Nenebah daje mu klapsa. To był nasz pierworodny.

**Zdmuchnąłeś naszego syna. Kai przyciska twarz do jej brzucha i gryzie. Będzie więcej. Miliony więcej, zobaczysz. Nenebah uderza go koroną kwiatów, obsypując mrówkami i płatkami.**

**Przez miesiąc wymyślali imiona mrówiątek i w końcu sporządzili listę dwudziestu, których nauczyli się na pamięć. A potem, ponieważ wydawało się to o wiele bardziej praktyczne, uznali, że użyją tych dwudziestu imion w porządku alfabetycznym, by nazwać miliony przyszłych mrówiątek. Alpha, Brima, Chernor.**

**Z jakiegoś powodu wszyscy byli chłopcami.**

**\***

**Kai patrzy, jak ostrze skalpela Seligmanna sunie między dwoma znamionami.**

**Przez podwójne drzwi za jego plecami wchodzi pielęgniarka z wiadomością. Na korytarzu czeka Adrian i chce z nim porozmawiać. Ale Kai nie może z nim teraz mówić.**

**– Co mam odpowiedzieć? – pyta pielęgniarka.**

**– Żeby był gotów do oddania krwi. – Patrzy na nią i dostrzega, jak unika jego wzroku.**

# ROZDZIAŁ 54

Jako chłopiec Adrian uwielbiał wiele rzeczy. Uwielbiał swobodę pedałowania drogami wokół domu. Uwielbiał wodę, pływanie, lodowate prądy Morza Północnego. Uwielbiał kłaść się na trawie i czuć słońce na powiekach. Uwielbiał ptaki w całej ich różnorodności. Któregoś lata przez kilka dni obserwował samicę strzyżyka, która budowała gniazdo w pędach winorośli przy jego sypialni, obserwował niczym na ekranie, jak wysiaduje jaja i karmi młode, nie zwracając w ogóle uwagi na Adriana po drugiej stronie szyby. Innego lata, nad morzem, siedział całą noc, nasłuchując wołania bączka. Kiedy je usłyszał, wszyscy jego koledzy spali i nie obudził ich, lecz czuwał przez całą noc, w nadziei, że wołanie się powtórzy. Siedząc tam i obejmując kolana w tę bezchmurną chłodną noc, pośród pograżonych we śnie ciał, na płaskim terenie, pod olbrzymim nieboskłonem, nieopodal chlupoczącej między trzciniami wody, nasłuchując głosu ptaka tak rzadkiego, że był na wymarciu, po raz pierwszy zdał sobie dotkliwie sprawę z własnej śmiertelności. Po raz pierwszy, co uświadomił sobie później, uznał się za skończony byt, z początkiem, środkiem i końcem. Do tamtej pory nigdy nie wyobrażał sobie, że może go spotkać śmierć. Nie miał pojęcia, dlaczego to zdarzyło się tamtej nocy, czy miało związek z bliskim wyginięciem bączkiem, spowodowane było jakąś zmianą w jego życiu, być może chorobą ojca, czy też osiągnął po prostu wiek, gdy uświadomił sobie, że ma za sobą jakąś przeszłość, i po raz pierwszy ujrzał przyszłość zawierającą coś więcej niż tylko popołudnie albo dzień nazajutrz. Miał wtedy szesnaście lat.

W następnych miesiącach i latach przestał interesować się życiem ptaków i zaczął życiem ludzi. Dziesięć lat później został psychologiem. Kiedyś wpadł na ulicy w Norwich na jednego ze współtowarzyszy tamtej wycieczki, obecnie ojca trojga dzieci i właściciela pralni chemicznej. Facet za żadne skarby nie mógł sobie przypomnieć, co działo się tamtej nocy. Przyciskany przez Adriana, kręcił głową i wzruszał ramionami. Adrian opowiedział o krzyku bączka. Nic o tym nie wiem, odparł facet. Spędziłem tu całe życie i nigdy nie słyszałem krzyku bączka. Adrian zdał sobie sprawę, że nikt prócz niego nie słyszał tego ptaka, więc właściwie nie mógł być pewien, czy to się naprawdę zdarzyło. Czasami dochodził do wniosku, że to był sen.

Stojąc teraz na korytarzu, w sinym świetle jarzeniówek, wraca w tamto miejsce. Noc bączka, miejsce, w którym czuł się samotny i śmiertelny. Nie ma pojęcia, jak to się skończy, z wyjątkiem tego, że z pewnością się skończy. Próbuje zobaczyć się w przyszłości, gdzieś poza tą chwilą, lecz nie potrafi. Nie pozostaje mu nic innego, jak dalej egzystować, dokładnie w tym czasie i miejscu. Tak właśnie musi wyglądać piekło. Czekać i nic nie wiedzieć. Nie piekło, ale czyściec. Jeszcze gorszy od piekła.

Podchodzi do niego pielęgniarka i pyta, jaką ma grupę krwi. Adrian nie wie. Pielęgniarka nakłuwa mu palec, rozmazuje krew na szkiełku i odchodzi. Adrian ssie mocno palec, łyka krople krwi i przypomina sobie, jak stał na nieukończonym tarasie przed domem matki z drzazgą pod paznokciem. Wydaje mu się to bardziej snem niż wspomnieniem.

Ludzie mijają go, wchodząc na blok operacyjny i wychodząc z niego. W którymś momencie jest proszony, nie pamięta przez kogo, o odsunięciu się, bo stoi w miejscu, które ściśle rzecz

biorąc, jest sterylne. Prowadzą go do małego pokoiku, dają filiżankę kawy. W szpitalu nie zaprzyjaźnił się z wieloma osobami, nie sądził, że tak dobrze wiedzą o jego związku z Mamakay. Jest znacznie starszy od większości personelu. Mimo to przychodzą, są dla niego mili. W pewnym momencie pojawia się pani Mara i namawia go, żeby zaczekał w jej gabinecie. Adrian kręci głową. Trudno mu się skupić na jej słowach. Jest cały odrętwiały, w głowie ma mętlik na wpół uformowanych myśli. Chwilami chodzi po pokoju, nie mogąc usiąść, kiedy indziej osuwa się bezwładnie na krzesło, jakby wyssano mu z ciała wszystkie kości. Wszyscy dokoła kroczą szybko i zdecydowanie, nie ma z kim porozmawiać, nie ma kogo zapytać, co się dzieje. Chce złapać kogoś za ramię, ale boi się przeszkadzać, wie, jak mało znaczy w obliczu tego wszystkiego, jak bezcelowa jest jego obecność.

Tak tu cicho. Nie słychać stłumionych odgłosów, które pamięta z innych szpitali: skrzypienia obitych wykładziną podłóg, szelestu zasłon, szumu klimatyzacji, elektronicznego pulsu monitorów. Tylko mlaskanie gumowych podeszew po betonie i trzaskanie drzwi. Twarde, niepokojące dźwięki. Nawet światło jest twarde, świeci mocno, razi w oczy, a mimo to niczego nie oświetla.

Kolejny raz wychodzi z poczekalni. Uświadamia sobie, że nie ma pojęcia, ile minęło czasu. Godzina? Minuta? Musi być już chyba po północy. Spozstrzega pielęgniarkę, która pobierała mu krew z palca.

– Co z krwią? – pyta. – Czy nie powinienem gdzieś pójść, żeby ją oddać?

Jednak ona kręci głową, mówi mu, że się nie nadaje, nie ma właściwej grupy. Uśmiecha się do niego, on próbuje wyczytać coś z tego uśmiechu. A potem wraca do pokoju, siada na ławce, na której leży cienki materac, opiera plecy o ścianę i czuje, jak serce kołacze mu się w piersi.

Jakieś dźwięki na korytarzu. Zamieszanie. Adrian wstaje, siada, ponownie wstaje i otwiera drzwi. Korytarz jest pusty, twarde światło odbija się od pomalowanej podłogi. Pustkę wypełnia nagle dźwięk i ruch. Widać wózek pchany przez dwóch sanitariuszy. Leży na nim mężczyzna, który jest przytomny i jęczy z bólu. Ma odsłoniętą nogę, ucięto mu nogawkę spodni. Na nodze ma zakrwawiony opatrunek. Pojawiają się pielęgniarki. Otwierają się drzwi na blok, tam, gdzie jest Mamakay. Wychodzi przez nie chirurg... jak on się nazywa? Seligmann? Tak, Seligmann. Przygląda się mężczyźnie na wózku, bada jego rany i daje szybkie polecenia pielęgniarce. Ta zakłada mężczyźnie opaskę uciskową na ramię. Adrian czuje, jak rośnie w nim napięcie. Brakuje mu tchu. Kim jest ten mężczyzna na wózku? Nie chce go tutaj, chce, żeby umarł albo zniknął, chce, żeby Seligmann wrócił na blok operacyjny. Ten człowiek, ten nowy pacjent jest niepotrzebnym wtrętem.

Popełnił błąd, zostając tutaj, pozwalając jej zostać. Widzi to teraz. Oślepiiony miłością, urzeczony pięknem tego rozbitego kraju, poniósł klęskę. To nie jest miejsce, w którym da się żyć. To jego wina, nie Mamakay, bo ona nie zna innego życia. Powinien być mądrzejszy, dał się omamić, pozwolił, by miazmaty tego miejsca wsączyły mu się w duszę. Kiedy to się skończy, zabierze ją stąd. Pojadą razem do Wielkiej Brytanii. Zaopiekuje się nią. Ona się zgodzi, bo tak będzie najlepiej. Nie będzie tam nic z tych rzeczy. Będzie porządek. Będzie spokój. Będą ludzie, którzy potrafią wyjaśnić. Będzie zrozumienie. Wszystko będzie jasne. Odrzucała wcześniej propozycje wyjazdu, ale teraz to zrozumie. Tutaj nic ich nie czeka, oboje tak jak wszyscy zdani są na łaskę tego miejsca. W domu, w jego domu będzie inaczej. Będzie szczęśliwa, musi być szczęśliwa, bo przestanie żyć w cieniu katastrofy. Jej gniew osłabnie,

**niepokój ustanie, kiedy znajdzie się daleko od swojej przeszłości.**

**Proszę, Boże, niech nie będzie za późno.**

**To mogło być takie proste. To jest takie proste.**

**To nigdy nie jest takie proste.**

**Wie, co robi. Targuje się już z Bogiem, składa ofiary. Właśnie na użytek takich chwil – kiedy jest jeszcze jakaś nadzieja – ludzkość wynalazła bogów. Gdy nadzieja znika, mężczyźni nie wzywają Boga, wzywają swoje matki.**

**Adrian siedzi na ławce z łokciami na kolanach i twarzą w dłoniach. Czuje na nich swój gorący oddech, uświadamia sobie, że czuje na nich jej zapach. Wciąga powietrze w płuca i zatrzymuje je najdłużej, jak może. Im dłużej to wszystko trwa, tym gorzej wygląda. Wpatruje się w ciemność, którą stworzył. Modli się.**

**Raz czy dwa razy słyszy kroki, odgłos otwieranych drzwi na blok operacyjny. Za każdym razem wstaje i podchodzi do drzwi, lecz zanim zdąży wyjrzeć, nie ma tam już nikogo.**

**Żałuje, że nie może po prostu zasnąć, obudzić się i dowiedzieć, że to wszystko w ogóle się nie wydarzyło. Ta chwila, gdy wrócił do domu, plamy na spódnicy Mamakay, jej twarz zapadająca się z bólu, obawa o dziecko, jazda do szpitala, potworne korki.**

**Wącha ponownie palce, ale nie czuje żadnego zapachu. Może go sobie wymyślił.**

**\***

**Druga w nocy. Ćma uderza o sufit i o nagie, jasne żarówki.**

**Srebrzyste ciemne smugi na białej farbie. Adriana boli całe ciało, pot już kilka razy wysechł i wystąpił na nowo pod jego pachami. Musi zaczerpnąć świeżego powietrza. Wychodzi z pokoju i z budynku i staje na dziedzińcu. Na rozłożonej na alejce macie kucają ludzie – to pewnie rodzina mężczyzny, którego przywieźli, jest wśród nich kobieta karmiąca dziecko. Adrian odwraca się od nich i patrzy na niebo. Czuje, jak łzy wzbierają mu w oczach i płyną po policzkach. Bierze głęboki haust ciepłego powietrza. Zamyka powieki. Z gardła wydobywa mu się długie ciche westchnienie, z którego w ogóle nie zdaje sobie sprawy. Jest zrozpaczony.**

**Po kilku chwilach wchodzi z powrotem do budynku, wraca do pokoju, w którym czeka już pół nocy. Zbliżając się do ostatnich drzwi, widzi przez kwadratową szybkę, że blok operacyjny jest otwarty. Wychodzą stamtąd. Puszczą się biegiem i widzi pierwszą wychodzącą osobę. To Kai. Kai!**

**Ale Kai go nie słyszy, nie odwraca się ani na niego nie patrzy. Ściąga z twarzy maskę i idzie, nie odrywając prawie stóp od podłogi. Nie słyszy go, bo krzyk, zanim jeszcze się rozległ, zamarł Adrianowi w gardle. Coś w pochylonych ramionach Kaia... Dlaczego idzie w ten sposób? Adrian pcha drzwi i biegnie korytarzem.**

**– Kai!**

**Na dźwięk jego głosu Kai podnosi głowę. Nagle nie sprawia już wrażenia pokonanego, lecz bardzo przytomnego. Odwraca się do Adriana i rusza w jego stronę korytarzem. Idzie szybko, naprawdę bardzo szybko. Jakie to dziwne, myśli Adrian, Kai idzie ku niemu z pochyloną głową, zaciśniętymi pięściami po bokach, takim szybkim krokiem. I podnosi ręce. Adrian zatrzymuje się, zastyga w bezruchu, czeka. Stojąc tak, przyjmuje całą siłę uderzenia, czuje, jak dłonie Kaia wbijają mu się w pierś i pozbawiają tchu. Zginając się wpół, widzi podbiegającego do nich Seligmanna. Pielęgniarkę z oczyma jak spodki nad maską. Twarz Kaia nad sobą, jego odbijający się echem od ścian korytarza głos, nazywający go sukinsynem. Seligmann jest już**

przy nich, jedną ręką łapie Kaia za pięść, drugą Adriana za ramię. Przyciska go do ściany, patrzy mu w twarz.

Adrian chce coś powiedzieć, zapytać Seligmanna o Mamakay, bo Seligmann na pewno wie i mu powie. Chce zaczerpnąć powietrza i się odezwać, ale nie jest w stanie.

\*

Czwarta rano. Adrian odstawia szklanekę na stół. Obserwuje swoją poruszającą się rękę, słyszy, jak szkło stuka o blat. Naprzeciw niego siedzi Kai. Są w jego dawnym mieszkaniu, które teraz znów służy jako miejsce odpoczynku dla schodzących z dyżuru lekarzy. Sól zaschła na policzku Adriana, ma suchą, napiętą skórę. Czuje skurcze pustego żołądka, lecz nie towarzyszy im głód i łagodzi je kolejnymi łykami whisky. Seligmann dawno już sobie poszedł, wiedząc, że nie jest im do niczego potrzebny. Whisky jest od niego. Żaden z nich nie jest pijany. Choć Adrian chciałby się upić.

Z ust Kaia, który siedzi z zaciśniętymi pięściami, potrząsając głową i wpatrując się w podłogę, wyrywa się westchnienie. W ciągu ostatnich trzech godzin ogarniały go na zmianę rozpacz i wściekłość. Adrian płakał, lecz Kai nie uronił na razie ani jednej łzy.

– Czasami łudzę się, że to wszystko wreszcie się skończy – mówi.

– Co się skończy?

– To umieranie, zabijanie. Że może ten spragniony krwi sukinsyn na górze wreszcie się nasyci. Albo wybierze sobie dla odmiany kogoś innego.

Adrian milczy.

– Dlaczego? Kurwa, dlaczego?

– Nie wiem – odpowiada Adrian.

– Przeżyła wszystko inne, przeżyła wojnę. Nigdy się nie bała, wiesz. Przez cały ten czas nigdy nie widziałem, żeby się bała. Były momenty, kiedy sam się bałem, Jezu... ale ona nigdy. Nawet kiedy ją tu dziś przywieźli. W jej słowniku strach równa się klęsce. Nieważne przed czym. Sztuka polega na tym, żeby się nie poddawać. – Mówiąc o Mamakay, zmienia czas z teraźniejszego na przeszły i z powrotem na teraźniejszy. – Tak jakby śmierć była jakimś wielkim psem. Nigdy nie wolno mu pokazywać, że się boisz. Powiedziałem jej to kiedyś. Spodobało jej się. Śmierć jako pies. A może to był los. Tak, los. nie można pokazywać losowi, że się boisz.

– Też tak uważam – mówi Adrian.

– Że co?

– Że traktowała los jak wielkiego psa.

Kai śmieje się, jakby przypomniawszy sobie coś jeszcze. Chwilę później uśmiech spelza z jego twarzy i ponownie zaciska pięści. Kilka kolejnych minut siedzą w milczeniu.

– Chciałbym wiedzieć, co robić – odzywa się w końcu Adrian.

– Wracaj do domu.

Adrian mruga i patrzy na Kaia.

– Wracaj do domu – powtarza tamten. – Swoją drogą, po co tu w ogóle, do cholery, przyjechałeś? – pyta ze znużeniem, nie podnosząc głosu.

Adrian spuszcza wzrok.

– No? – Tym razem głośniejszy.

Adrian nadal nie odpowiada.

– Mówię serio – kontynuuje Kai. – To poważne pytanie. Po co tu przyjechałeś i czy znalazłeś to, czego szukałeś?

Wpada z powrotem w gniew, na który Adrian dosyć się napatrzył tej nocy. Przypomina sobie ich pierwsze spotkanie, tu, w tym pokoju. Kai nazwał go wówczas turystą, zawsze, nawet kiedy zostali przyjaciółmi, kwestionował jego prawo bycia tutaj.

– Dlaczego sądzisz, że czegoś szukałem?

Kai wzrusza ramionami i dalej wbija wzrok w podłogę.

– Wszyscy, którzy do nas przyjeżdżają, czegoś chcą, przyjacielu. Domyślam się, że przybyłeś tu, bo chciałeś zostać bohaterem. Czy teraz czujesz się jak bohater?

Dla Adriana gniew Kaia jest zrozumiały. Gdyby Adrian w ogóle tu nie przyjechał, żadna z tych rzeczy by się nie wydarzyła. Mamakay żyłaby nadal. Taka jest logika rozpaczki. Podobnie, myśli Adrian, gdyby zabrał ją stąd do Anglii – wtedy też by żyła.

– Wiesz dobrze, dlaczego tu przyjechałem – odpowiada twardo. – Przyjechałem jako członek ekipy medycznej. Potem wróciłem, żeby pomóc. Do tego to się sprowadza.

Kiedy spogląda teraz wstecz, przeszłość wydaje mu się chaotyczną plątaniną dni, tygodni i miesięcy. Patrząc w przyszłość, nie widzi niczego poza wąskim tunelem egzystencji i świadomością, że nigdy już nie zobaczy Mamakay. Ta myśl jest zbyt potworna, by jego umysł zdołał ją objąć. Oddala ją od siebie. Powinien wracać do domu, ale nie chce. Nie chce być sam. Będąc z Kaiem, jest, o ile to możliwe, bliżej Mamakay – i nie ma znaczenia fakt, że Kai jest wściekły.

– I udało ci się?

Adrian zapomniał już, o czym mówili.

– Co mi się udało? – pyta, spoglądając na niego.

– Pomóc? Czy udało ci się pomóc?

Teraz to Adrian czuje, jak budzi się w nim gniew.

– Tak – potwierdza, żeby zakończyć ten temat. Patrzy prosto na Kaia, który w tej samej chwili podnosi wzrok. Ich spojrzenia się spotykają. W oczach Kaia płonie zimna furia. Adrian otwiera usta. Mógłby podać Kaiowi nazwiska mężczyzn w szpitalu, opowiedzieć o zajęciach grupowych, sesjach z Adecalim. O okraszonym uśmiechem sceptycyzmie Attili. Spuszcza wzrok i masuje powieki. Nie będzie o tym mówił. Nie o to chodzi. A swoją drogą, wszystko, co tutaj zrobił, jest bez wartości. – Masz koszmary – dodaje.

Kolejne wzruszenie ramion.

– Kto ich nie ma?

– Wiele osób. Co najwyżej zdarza im się czasami zły sen. Ale nie powtarzające się koszmary. Koszmary, które nie dają ci spać całymi nocami. Koszmary, które wywołują bezsenność: chroniczną bezsenność, wskutek której nie możesz normalnie funkcjonować w ciągu dnia.

– Ach tak – mówi Kai, odchylając się do tyłu i obserwując go przez zmrużone powieki. – Jesteś tego pewien?

– Czego? Że inni ludzie nie mają powtarzających się koszmarów? Tak. Jestem pewien. Podobnie jak jestem pewien, że cierpi na nie wiele osób w tym kraju, osób, które doznały urazu. Dziwiłbym się, gdyby było inaczej.

– Nie, mam na myśli mnie.

– Wiem, że cierpisz na koszmary. Reszty, dysponując pewną wiedzą, można się domyślić. Wiem, że boisz się przejeżdżać mostem. Tym, który prowadzi na półwysep. Zawsze jeździsz dłuższą drogą naokoło.

– Owszem, masz rację. Mam sny. Śni mi się stale ta sama rzecz. Coś, co mi się przytrafiło. Mógłbym ci o tym opowiedzieć, ale to niczego nie zmieni. Nie możemy tego cofnąć. Zresztą jak mógłbyś to kiedykolwiek zrozumieć? Jak mógłbyś zrozumieć, skoro cię tu nie było? Prawda jest taka, że nie mieliście wtedy ochoty o niczym wiedzieć, więc dlaczego was to teraz obchodzi?

– Kai nie patrzy na Adriana, lecz gapi się na szklanę, kołysząc jej zawartością. Na chwilę przestaje, unosi szklanę do ust, pije i zaczyna nią na nowo kołysać.

Na stole leży czerwony papierowy wachlarz. Adrian uświadamia sobie, że to własność Mamakay. Zostawiła go w trakcie jednej ze swoich wizyt, kiedy wciąż tu mieszkał, być może tego samego dnia, gdy zobaczyli Kaia. Sięga po wachlarz.

– Wiem, że ją kochałeś – mówi.

– Tak – odpowiada Kai. – Kochałem ją. Kocham ją. – Cicho parska i potrząsa głową. Chwila ciszy. – Nigdy nie było nikogo innego.

Adrian wstaje i podchodzi do okna. Jakiś kot przemyka w świetle księżyca, w pysku trzyma małe zwierzę, mysz. Wszędzie śmierć. Taka zwyczajna.

– Nie sądzę, żeby kiedykolwiek przestała cię kochać – mówi, odwrócony plecami do Kaia.

– To nie ma teraz znaczenia.

– Ma znaczenie. Nie dla mnie. W tej chwili mnie nienawidzisz, to zrozumiałe. Ale dla niej to ma znaczenie. I dla ciebie.

– Nie nienawidzę cię.

– Myślę, że nadal cię kochała – wyrzuca z siebie Adrian. W końcu to powiedział, jedyną rzecz, o której bał się myśleć, a która mimo to go dręczyła. Kai i Mamakay byli podobni pod tyloma względami; może dlatego Adrian przejmował się nimi obojgiem. Pamięta, jaki był zazdrosny o Kaia. Już nie jest zazdrosny. To uczucie zniknęło, wymazane przez to, co się stało.

Wzdłuż muru przemyka niczym cień przychodzący do pracy szpitalny odźwierny. Adrian patrzy w ślad za nim, aż tamten znika za rogiem. Życie toczy się dalej. Czy nie o tym właśnie mówią pogrążeni w żałobie? O tym, jakie wszystko było normalne w dniu, kiedy zmieniło się ich życie. Błękitne niebo, opadające liście, piosenka w samochodowym radiu, samochodowy wypadek.

Nie pozostaje nic innego, jak nalać sobie znowu whisky.

– Chciała, żeby dziecko dorastało tutaj – mówi Adrian, wciąż zwrócony twarzą do okna.

– Wiem – odpowiada Kai. – Wiem.

– Była tutaj szczęśliwa.

– Wszyscy byliśmy tu kiedyś szczęśliwi.

Adrian stoi przy oknie i nie mówi nic więcej. Słyszy, jak whisky kołysze się w szklance Kaia. Po mniej więcej dziesięciu minutach odchodzi od okna i siada.

– Są sposoby, wiesz, żeby zapanować nad koszmarami – oświadcza.

Kai wzrusza ramionami. Dziwny gest w jego wykonaniu.

– Któregoś dnia. Kiedy będziesz gotów – mówi Adrian. – Nie ma pośpiechu.

Znowu zapada cisza. Nagle Kai prostuje się i stawia zdecydowanym ruchem szklanę na



stole.

– Teraz.

– Co teraz?

– Zróbmy to teraz. No, dawaj.

– Mówisz serio?

Znowu to paskudne wzruszenie ramion.

– Jasne, mówię serio.

Adrian bierze głęboki oddech.

– Jeśli chcesz, zrobimy to kiedy indziej.

– No tak – mruczy Kai. – Wrócimy do tego w bardziej dogodnym momencie.

Adrian czuje, jak bezgłośnie pęka jedna z klamer jego samokontroli. Wstaje, idzie do kuchni, opiera się o blat i głęboko oddycha. Wypija szklanekę wody. Na dworze ciemność zmienia się w szarość, szykuje się do świtu. Adrian unosi zasłonę i wygląda na zewnątrz. Sprzątaczkę zamiata alejki. Słyszy szuranie miotły, dziwnie nieskoordynowane z ruchami mężczyzny, niczym na źle zdubbingowanym filmie. Kai ma rację. Przez całe lata nikt nie chciał nic wiedzieć o rzeziach i gwałtach. Świat odwrócił nieznacznie wzrok, to wystarczyło. Defragmentacja sumienia. Co w gruncie rzeczy tu robi? Tak naprawdę – nigdy tego nie wiedział. Czasami był bliski uświadomienia sobie tego, ale potem mu to umykało. Ostatecznie znalazł coś w Mamakay. Coś innego, coś lepszego. Chce wybuchnąć szlochem i krzyczeć, chce rozbić pięścią szybę. Attila ma rację. Kai ma rację. Tym, czego pragną ludzie, jest nadzieja, i tej nocy Adrian przekonał się, jak to jest, kiedy się ją traci. Przyciska czoło do szyby.

Chce czegoś, czego nigdy nie będzie mieć.

Chce wracać do domu.

Kai siedzi na fotelu z zamkniętymi oczyma, z ręką na oparciu, trzymając luźno w palcach szklanekę. Adrian po raz pierwszy widzi wenflon przyklejony plastrem w zgięciu jego łokcia. Na T-shircie

Kaia jest plama krwi. Adrian nachyla się, żeby wziąć szklanekę. Kai otwiera oczy.

– Nie przeszkadzaj sobie. Śpij – rzuca Adrian.

Kai cicho się śmieje.

– Myślałem, że wiesz, człowieku. Spanie to nie jest moja specjalność – mówi i zamyka z powrotem oczy. – Mówiłem serio, wiesz – dodaje po chwili.

\*

Światło dnia. Hałas. Adrian się budzi. Śniło mu się, że jechał rikszą wyboistą drogą. Zauważył, że nie ma na nogach butów. Zawołał do rikszarza, żeby się zatrzymał, i wysiadł, chcąc poszukać na straganach pary butów. Nie mógł żadnych znaleźć i zaczynał wpadać w panikę. Nie chciał się spóźnić. Nie wiedział tylko na co, nie mógł sobie przypomnieć. Pojawiła się Mamakay i pokazała mu czarne klapki. „Mogą być”, powiedziała. „Na pewno?”, zapytał. W jej obecności poczuł się lepiej. „Tak”, odparła z uśmiechem. „W gruncie rzeczy to bez znaczenia”. Promienie światła. Otaczające go obrazy się rozplywają. Senna wizja zastępowana jest przez rzeczywistość: mieszkanie, wydarzenia wczorajszej nocy. Jest cały sztywny i skonany, jakby go pobito. Z zewnątrz dobiega pianie młodego koguta. Adrian podnosi wzrok i widzi, że Kai dygocze we śnie. Wstaje i dotyka jego ramienia.

– Coś ci się śni – mówi.

**Kai otwiera oczy, mruga i wyciera usta.**

**– Przepraszam.**

**Podnosi się i idzie do łazienki. Po powrocie ma mokrą twarz, szyję i przód T-shirtu. Stojąc w kuchni, Adrian czuje, że Kai podchodzi i staje za nim w milczeniu. Patrzy, jak granulki kawy rozpuszczają się w gorącej wodzie.**

**– Mogę spróbować, to znaczy, jeśli chcesz. Jest pewna rzecz, którą moglibyśmy zrobić – proponuje.**

**– Jaka rzecz?**

**– To będzie wymagało powrotu do miejsca, gdzie to się wydarzyło.**

**– Masz na myśli hipnozę.**

**– Nie. Nie wprowadzę cię w normalny trans, ale będę chciał, żebyś skoncentrował się na tym, co się wydarzyło. To sposób przetworzenia minionych wydarzeń i uniewrażliwienia cię na ich wpływ. Mam na myśli sposób, w jaki o nich myślisz, jeśli wiemy, co to za wydarzenia. W tym przypadku wiemy, a w każdym razie ty wiesz. Może to zredukować symptomy, jakich doświadczasz, sny.**

**– Czy to działa?**

**– Tak sądzę. Muszę cię jednak ostrzec...**

**– Czy może mi się pogorszyć? – przerywa mu Kai.**

**Adrian wypuszcza z płuc powietrze.**

**– Nie – mówi.**

**– W takim razie nie mam nic do stracenia.**

# ROZDZIAŁ 55

Kai wodzi wzrokiem za poruszającym się palcem wskazującym Adriana. Słyszy niemal, jak gałki oczne chrzęszczą mu w oczodołach. Koncentruje się na ruchu palca. Czasami wyprzedza go o jedną milisekundę, czasami się spóźnia. Siedzi na krześle, nie na miękkim trzcinowym fotelu, ale twardym wysokim krześle, opierając równo obie stopy na podłodze. Adrian siedzi naprzeciwko, mniej więcej pół metra na prawo od Kaia. Trzyma palec w górze.

– Nie odrywaj wzroku od mojego palca.

Kai wodzi wzrokiem za palcem, z lewej do prawej, z prawej do lewej. Stopniowo staje się coraz intensywniej świadom własnego ciała, połączonych ze sobą kości, mięśni i ścięgien rozpiętych między stawami, kursującej między nimi krwi. Czuje ciężar dociskający stopy do twardej podłogi, fizyczny wysiłek potrzebny, by siedzieć prosto, żeby utrzymać ciało w równowadze.

– Pomyśl o tym, co czujesz, kiedy wraca wspomnienie mostu i tego, co się stało. O czym myślisz?

Głos Adriana jest spokojny i beznamiętny.

– Była tam dziewczyna. Miała na imię Balia.

– Co z nią?

– Nie mogłem... – Kai milknie i przetyka ślinę. – Nie dała...

– Potrząsa głową.

– Wódź wzrokiem za moim palcem.

Kai koncentruje się na ruchach palca Adriana. Głęboko oddycha. Zmusza umysł do przeniesienia się w przeszłość.

\*

Idzie szpitalnym korytarzem, przestępując przez ciała mężczyzn. W powietrzu czuć chemiczny odór krwi. Słyszy wydawane krzykiem rozkazy, skrzypienie wózków z noszami i skamlenie rannych, przez które przebija terkot karabinów maszynowych i niższa basowa nuta móżdżerzy wybuchających na wzgórzach i wschodzie miasta.

Dzień osiemnasty. Dwudziesty czwarty stycznia 1999 roku. Wszyscy lekarze i pielęgniarki, których udało się zlokalizować, zgłosili się do pracy. Na oddziałach trwał niekończący się młyn. Wszyscy niebędący w ciężkim stanie pacjenci zostali wypisani, żeby można było przyjąć nowych. Opróżniono nawet oddział dziecięcy. Wyglądało to, jakby wybuchła zaraza, zaraza, która otwierała torsy mężczyzn, pourywała kończyny, poszarpała mięśnie i kości, powbiła groty szrapneli w miękkie ciała. Kai nie spał przez całą noc, względnie spał na stojąco. Nie pamiętał, by się zdrzemnął, i nie wyobrażał sobie, gdzie mógłby to zrobić, bo nie było nigdzie wolnego łóżka, krzesła ani kawałka podłogi. Szedł korytarzem, po raz pierwszy od wielu godzin opuszczając blok operacyjny. Kiedy ostatnio nim szedł, był dzień, i teraz znowu świeciło słońce.

Zapach kawy. W pokoju lekarskim zastał nową pielęgniarkę, która robiła w kubkach słabą kawę, dosypując do niej łyżeczką cukier i mleko w proszku. Nowa pielęgniarka była bardzo

młoda i bardzo ładna; trudno było nie zauważyć, że czuje do niego miętę. Jak miała na imię? Balia. Balia podała mu kubek kawy, zamrugła i uśmiechnęła się z zakłopotaniem. Kai odwzajemnił jej uśmiech, podziękował, zwracając się do niej po imieniu, po czym wyszedł na korytarz. Wypił łyk kawy i poczuł, jak ciepło rozchodzi mu się po żołądku i chwilę później cukier przenika do krwiobiegu. Napływ rannych wcale się nie zmniejszał. Nie licząc kawy, Kai przez całe dni nie odżywiał się niczym poza adrenaliną. Generalnie rzecz biorąc, szpital był najbezpieczniejszym miejscem, w którym można było przebywać. O toczących się na ulicach walkach świadczyły ciała leżące na posadzkach.

Kai kluczył między konającymi i rannymi, wypatrując kolejnego pacjenta, kogoś, kto mógł przeżyć. Medycy musieli racjonować swoje zasoby, swoje umiejętności i energię. Wodził wzrokiem po leżących w rzędach zakrwawionych mężczyznach, oceniając rany, szanse przeżycia, eliminując tych, których stan był zbyt ciężki.

Żołnierz, któremu odstrzelono dolną szczękę, miał na sobie mundur sił cudzoziemskich. Oczy Kaia przesunęły się po nim i wróciły, przyciągnięte przez charakter jego urazu. Mężczyzna siedział oparty plecami o ścianę, kiwając głową i gestykulując, starając się poinformować o czymś stojącego nad nim miejscowego reportera. Na oczach Kaia sięgnął do kieszeni, wyjął jakiś dokument, dowód tożsamości albo fotografię, i podał go reporterowi. W jakiś zdumiewający, absurdalny sposób, nad dziurą, gdzie znajdowała się kiedyś jego twarz, mężczyzna jakby się uśmiechał – widać to było po jego oczach.

Kiedy gdzieś blisko rozległy się strzały, Kai stał tam na korytarzu, z kawą w rękę, przyglądając się rannemu. Był zbyt wyczerpany, zbyt skupiony na tym, co trzeba było zrobić, by poczuć coś w rodzaju strachu. Reporter, który jeszcze przed sekundą stał może metr od niego, nagle zniknął. Po raz pierwszy od wielu dni zapadła cisza, krótka chwila ciszy.

A potem pojedyncze słowo.

– Ty!

Mężczyzna trzymający broń celował w pierś Kaia. Wychodzącą akurat w tym momencie na korytarz Balię złapał jeden z jego uzbrojonych towarzyszy. Gdy szli do samochodu, Kai nadal trzymał w ręku kubek z kawą. Nie bał się. Ale ktoś popychał go z tyłu i to go denerwowało. Odwrócił się i odsunął na bok lufę karabinu, wylewając przy tym kawę na koszulę. Zerknął na Balię, która szła z twarzą stężałą ze strachu, stawiając z niechęcią drobne kroczki.

Nikt nie pomyślał o tym, żeby zawiązać im na oczach opaski. Nikt nie miał na twarzy maski. To z pewnością o czymś świadczyło, pomyślał Kai, kiedy jechali przez zamarłe miasto. Zastanawiał się, czy nie powinien zacząć się bać.

Dojechali do starego, częściowo wypalonego budynku rządowego. Pacjentami byli wyłącznie rebelianci. Młodzi, kilkunastoletni, z rękoma, nogami i flakami nafaszerowanymi metalem. Rozmawiali ze sobą w wielu różnych językach, z których część Kai rozpoznał, a część nie. Komendant, do którego go doprowadzono, miał może siedemnaście lat. Kai słyszał, że jego współtowarzysze nazywają go Amos. Powiedział Amosowi, że nie zdoła im pomóc bez materiałów medycznych. Podczas gdy Amos konsultował się ze swoimi adiutantami, Kai rozglądał się dokoła. W gabinecie zostało niewiele mebli, portret prezydenta przebity był bagnetem, ktoś narysował na dywanie kwadraty do gry w klasy. Po jakimś czasie wsadzono go na tylne siedzenie samochodu i zawieziono przez miasto do apteki, skąd instruowani przez niego rebelianci zabrali morfinę, sterylne opatrunki, gumowe rękawiczki, sól fizjologiczną

**i sprzęt do kroplówek.**

**Ciężkie drewniane drzwi posłużyły za stół operacyjny. Przez długie godziny Kai operował z Balią u boku. Pracowali razem sprawnie, choć Bali przez cały czas trzęsły się ręce. Co ciekawe, Kaiowi udało się całkowicie zatracić w pracy, zapomnieć o tym, co go otacza, i okolicznościach, w jakich się znalazł. Widział tylko rany, które można było oczyścić i zaszyć, oceniał, które kończyny da się uratować, a które nie. Wszystkie urazy były świeże. Młody bojownik, który stracił względy swojej dziewczyny i nie mógł znieść docinków kolegów, wyszarpnął zawleczkę granatu i cisnął go na skrzynię ciężarówki, gdzie siedzieli jego prześladowcy.**

**Po ośmiu godzinach zrobiło się zbyt ciemno, by mogli dalej pracować. Kai poprosił kapitana Amosa, żeby pozwolił im odejść. Młody dowódca spojrział na niego mrocznymi, matowymi oczyma, które wydawały się pochłaniać resztki światła. Oświadczył Kaiowi, że może być jeszcze potrzebny, mają oboje zostać. Zostaną zwolnieni rano.**

**Położyli się na podłodze przy ścianie. Kai nie spał, żeby pilnować Bali. Nasłuchiwał dźwięków dobiegających z zewnątrz, budzących lęk kroków, które zbliżały się i oddalały. Próbował dodać dziewczynie otuchy, lecz jego słowa brzmiały nieprzekonująco w ciemności. Zapach gandzi. Śmiech, ostry i niewesoły. Wołanie. Muzyka. Przekleństwa i śpiewy. Krzyki. Głośne wiwaty. Kilka razy wydawało mu się, że słyszy helikopter. Były i inne dźwięki, których nie potrafił rozszyfrować. Potem kroki. Ktoś przechodzący korytarzem walnął w drzwi i Balia przywarła do niego, cicho łkając. Kai słuchał uważnie, próbując odgadnąć, co się dzieje.**

**Gdzieś w połowie nocy otworzyły się drzwi. Ktoś przysunął lampę naftową do twarzy Kaia. Było ich siedmiu, Kai starannie policzył. Miał wrażenie, że przyszli się pogapić, jakby wiedzieli, że w tym pokoju można znaleźć coś niezwykłego. Ludzie zmieniali się miejscami, wchodzili i wychodzili, wołali innych. Kai poczuł, jak zamiera mu serce. Podniósł się, żeby być na tym samym poziomie co ci, którzy weszli.**

**– Czego chcecie? – zapytał.**

**– Ty jesteś doktor? – Sądząc po głosie, to ktoś młody. Kai miał wrażenie, że wszyscy są młodzi, w każdym razie mniejsi od niego. Słyszał, jak podają sobie w ciemności butelkę.**

**– Tak – odparł, mając nadzieję, że być może jest potrzebny.**

**– Kto to? To twoja dziewczyna?**

**– Nie jest moją dziewczyną, to pielęgniarka.**

**– To twoja dziewczyna. Patrzcie, jaka ładna. Dlaczego nie dasz nam wyruchać swojej dziewczyny? Myślisz, że skoro taki z ciebie wielki doktor, to zasługujesz na coś lepszego?**

**Kai powiedział, że chce się widzieć z kapitanem Amosem, ale nie doczekał się odpowiedzi. Trudno było się zorientować, z kim mówi; łatwiej dawało się ich wyczuć węchem, niż zobaczyć. Któryś z nich wyciągnął rękę, złapał Balię za ramię i odciągnął od niego.**

**– Chcemy wyruchać twoją dziewczynę, panie doktorze.**

**Ten, który to powiedział, podniósł brwi i uśmiechnął się szeroko, wyzywająco. Kai widział, jak błysnęły mu zęby, gdy czekał na jego reakcję. Nie odezwał się. Analizował szybko i chłodno sytuację. Decydujące było to, co teraz nastąpi. Nagle Balia zaczęła szlochać. Błagała o litość, niskim, załamującym się, zawodzącym głosem. Śmiech. Balia wykręcała się i wyrywała.**

**– To pielęgniarka – powtórzył Kai. – Puście ją, proszę.**

**Ktoś wciągnął powietrze przez zęby.**

– Tych dwoje przyjechało ze szpitala – oświadczył ktoś inny. – Widziałem ich tam. Dajmy im spokój.

Kai milczał, modląc się, żeby ten, który się odezwał, powiedział coś jeszcze. Wciąż była szansa, że się z tego jakoś wykaraskają.

W tym momencie Balia wrzasnęła. Dostała ataku hysterii. Kai oberwał pięścią w twarz i upadł na ścianę. Przez kilka chwil w ogóle nie wiedział, co się dzieje. Kiedy doszedł do siebie, między chłopcami wybuchła kłótnia, a Balia kuciała na podłodze przy ich nogach z rękoma skrzyżowanymi na piersiach. Kai wstał. Czuł, jak krew spływa mu po podniebieniu. Coś zmieniło się od rana, kiedy razem z Balią zabrano go ze szpitala, w ciągu tych ośmiu godzin, gdy pracowali w prowizorycznej sali operacyjnej. Mógł to sobie wytłumaczyć tylko w jeden sposób. Walcząc o miasto, rebelianci postawili wszystko na jedną kartę. Teraz przegrywali.

Nagroda wymykała im się z rąk. Powrót do buszu był nie do pomyślenia. Brawura, którą okazywali, wynikała ze świadomości, że gra jest dla nich skończona. Nie czekało ich nic prócz śmierci. Nie mieli nic do stracenia i zamierzali zginąć razem z Balią i Kaiem.

Mimo to próbował przemówić im do rozsądku. Ponownie chciał się widzieć z Amosem. Zaśmiali mu się w twarz. Gdzieś blisko wybuchł pocisk. Ktoś rzucił butelkę, która rozbiła się w rogu pokoju. Jeden z chłopców pociągnął Balię za ramię i zaczął szarpać na niej ubranie, wpychać jej ręce między nogi. Kai skoczył na niego. Był od niego większy i z łatwością go odepchnął. Nagle znaleźli się na podłodze. Chłopak szarpał się i wierzgał, złapał Kaia za twarz, zacisnął palce na jego nosie i ustach. Rozległy się głośne gwizdy. Ktoś polał ich jakimś płynem. Kai oderwał jeden po drugim palce chłopca od twarzy. Pozostali ustawili się w kręgu wokół walczących, patrząc, czekając, co będzie dalej. Kai dźwignął się z podłogi. Chwila ciszy, wszyscy utkwili w nim oczy. Wyszedł poza krąg, szukając Balii. Wyobraził sobie, że wystarczy tylko iść i się nie zatrzymywać. Jeśli okaże wystarczającą determinację, nie sprzeciwią mu się. Przeszedł jeszcze dwa kroki. Naprzeciwko niego stanął samozwańczy przywódca, ten z wyzywającym uśmiechem.

– Przepuść mnie, proszę – powiedział Kai.

Chłopak wyszczerzył do niego zęby.

– Zejdź mi z drogi.

Kai wyciągnął lewą rękę, chcąc odsunąć go na bok. Chłopak zaparł się nogami o ziemię. Nie spuszczał Kaia z oczu. Wyglądał nieziemsko: dziwna, piękna, obdarzona morderczym instynktem inteligentna istota. To właśnie uświadomił sobie Kai, kiedy oberwał kolbą w tył głowy. Poczuł, jak zęby dzwonią mu w czaszce i przeszywa go gwałtowny ból. Sekundę później padł znowu na kolana i rzuciła się na niego cała banda. Próbował poczołgać się do przodu. Spadały na niego razy i kopniaki. Ktoś skoczył mu na plecy i zaczął na nim jechać, łapiąc go za szyję i odcinając dopływ tlenu. Przez krótką chwilę opierał się, a potem runął pod ciężarem ciała. Po jakimś czasie poczuł, że napastnicy się podnoszą. Powietrze. Zdawał sobie niejasno sprawę, że ciągną go za ubranie. Czuł palce manipulujące przy pasku, dłonie przy kostkach. Kradli to, w co był ubrany.

Leżał nagi, otoczony kręgiem dzieci. Przywódca obszedł go, kopiąc od niechcienia. Co jakiś czas doskakiwał któryś z pozostałych i zadawał własne razy. Kai próbował podnieść głowę. Myślał o Balii, lecz nigdzie jej nie widział. Ktoś na niego splunął i Kai poczuł, jak flegma ścieka mu po policzku.

– Gdzie twoja dziewczyna? – Głos, który wrył mu się w pamięć. – Może już ją ruchają. A może ty ją najpierw wyruchasz. Nie? Bo jesteś większy od nas. Nie? Tak nas wychowali rodzice. Starsi mają pierwszeństwo. Hej?

Kai nie odpowiedział. Ktoś na niego upadł. To była Balia. Z trudem się wyprostowała i usiadła, ściskając się za kolana i kołysząc z boku na bok.

– Pokaż nam, jak ją ruchasz, ważniaku. Jesteśmy mali chłopcy. Pokaż nam, jak się rucha taką ładną kobietę, panie doktorze. Żebyśmy mogli się od ciebie nauczyć.

Ktoś uderzył go kijem w pośladki. Usłyszał szczęk broni i przystawiono mu do głowy lufę.

– Ruchaj, bo cię zabiję.

Kai podniósł się na kolana. Nie wiedział, co robić. Nie widział żadnego wyjścia. Zabiją jego i zabiją Balię. Był tego pewien. Podpełzł do niej. Nie cofnęła się, ale objęła kolana i załkała. Wszyscy dokoła wyli na całe gardło. Ten, który trzymał kij, co jakiś czas go nim walił. Kai znieruchomiał. Znowu poczuł lufę przy skroni.

– Ruchaj albo ja cię wyrucham. – Najpierw powiedziane, a potem wywrzeszczane do ucha tak głośno, że zakręciło mu się w poobijanej głowie. – Ruchaj albo ja cię wyrucham.

Pistolet odsunął się od jego skroni. Kai próbował zebrać myśli. Był bezsilny. Coś – lufa pistoletu – wsunęło się między jego pośladki, usłyszał śmiech, poczuł, jak wbijają w niego jej koniec. Dotkliwy ból przeszedł falami przez jego ciało. Klaskanie w dłonie. Rechetliwy śmiech. Lufa wbiła się jeszcze głębiej. Padł na twarz, lecz szarpnięty, musiał z powrotem podnieść się na czworaki. Kątem oka ujrzał Balię, która szmyrgnęła w bok. Usłyszał ostry trzask wystrzału i zobaczył niski łuk zatoczony przez jej ciało, gdy padała na plecy.

Konała, ale żyła jeszcze, kiedy niósł ją do pojazdu. Kazali mu wspiąć się na skrzynię i z wysiłkiem przerzucił ją przez tylną klapę. Nikt mu nie pomógł; gapili się i na niego wrzeszczeli. Bał się, że ją zawiedzie, że każą mu ją zostawić. Miasto płonęło. Czuł żar płomieni na nagiej skórze i rozbite szkło pod stopami. Rebelianci byli w odwrocie. Wdrapał się na skrzynię i wziął Balię w ramiona.

Pojechali na zachód, w stronę wzgórz. Nadchodził świt, na niebie jaśniała zorza. Słysząc było pianie koguta – dźwięk tak zwyczajny, że wydawał się pochodzić z innego świata. Odgłosy walki cichły. Skręcili na skrzyżowaniu i skierowali się w stronę mostu na półwysep i plaży. Kai starał się skoncentrować na tym, co się działo, co powinien zrobić, próbował się skupić, wymyślić jakiś plan, lecz nie potrafił. Trzymał w objęciach Balię.

Wjechali na most i się zatrzymali. Ktoś z pistoletem kazał Kaiowi wsiąść. Potykając się, pociągnął Balię za sobą. Kazali mu stanąć przy balustradzie. Czując na plecach chłód metalu, przypomniał sobie, że jest nagi. Przyszła mu do głowy absurdalna myśl, że jeśli go wypuszczą, nie będzie miał się w co ubrać. Kierowca wsiadał z powrotem do ciężarówki. Kai poczuł promyk nadziei. Towarzysz kierowcy obszedł z drugiej strony pojazd, otworzył drzwi, miał chyba zamiar wsiąść. Kai stał, trzymając Balię. Patrzył. Czekał. Zobaczył, że mężczyzna zatrzymuje się i cofa, zupełnie jakby o czymś zapomniał, a potem okrąży z powrotem pojazd i z nagłą determinacją rusza w jego stronę. Wiedział, co teraz nastąpi. Zobaczył, że mężczyzna wyciąga pistolet zza paska, podnosi rękę i celuje. Zamknął oczy, a potem nadal trzymając Balię, odchylił się mocno do tyłu, aż poczuł, jak ciężar ich połączonych ciał ciągnie go w dół. Wtedy odbił się stopami. Coś w nich trafiło. Kula. Nie wiedział, czy postrzelili jego, czy Balię. Spadał.

**Świst powietrza. Czuje, jak wydymają mu się policzki, ręce i nogi kręcą młynka w powietrzu. Nie może oddychać. Wypuścił z ramion Balię, ma świadomość, że jej ciało leci gdzieś obok. Spada. A potem czuje uderzenie wody. Tylko tyle.**

**Uderzenie wody, które mówi mu, że żyje.**



DWA LATA PÓŹNIEJ

# ROZDZIAŁ 56

**Październik 2003**

Ma w Norfolk przyjaciół. Małą grupkę osób, które poznał, kiedy zaczął tu regularnie przyjeżdżać. Są w zasadzie na emeryturze. Wciąż pełni wigoru, tak jak pełna wigoru była jego matka, pragnący dożyć końca swoich dni blisko natury. Rano, podążając śladami matki wzdłuż plaży, Adrian mija ludzi, których rozpoznaje. Starszego pana w tweedach, który w towarzystwie artretycznego labradora wraca plażą ze sklepu, trzymając pod pachą gazetę. Adrian nie uważa go jeszcze za przyjaciela. Staruszek uchyla kapelusza w dość serdeczny sposób, ale coś w jego zachowaniu i kroku, w tym, jak stara się nie zbaczać z najkrótszej trasy do domu, skłania Adriana do przekonania, że nie ma ochoty na rozmowę.

Mieszkająca dwa bungalowy dalej para przyjaźniła się z jego matką, kiedy ta jeszcze żyła. Informują Adriana, że mężczyzna w tweedach jest od pięciu lat wdowcem. Zareagowali na pojawienie się Adriana kartką zostawioną na progu domu i zaproszeniem na sherry. On był wykładowcą na uniwersytecie. Ona jest była nauczycielką tańca i dała mu fotografię jego matki, ubranej w szarą luźną dżersejową sukienkę i upozowanej w stylu Piny Bausch. Wieczorami, bardziej by uprzędzić możliwość pocucia się samotnym niż z autentycznej samotności, Adrian wpada do nich czasami na sherry, kóre podawane jest codziennie o piątej. Sąsiedni bungalow kupili weekendowicze, którzy bardzo rzadko, jeśli w ogóle, dojeżdżają tu z Londynu.

Adrian nie jest ani weekendowiczem, ani stałym mieszkańcem, bardziej kimś pomiędzy. Po śmierci matki postanowił zachować bungalow. Przydaje się, kiedy chce coś napisać, i czasami na weekendy z Kate. Pozostali znajomi Adriana są w różnym wieku. Część to osoby z jego przeszłości, szkolnych i studenckich lat, nadal mieszkający w pobliżu, inni związani są z uniwersytetem, kilkoro – podobnie jak para, z którą pije sherry – było przyjaciółmi albo znajomymi jego matki. Czasem myśli sobie, że ciekawie jest osiągnąć wiek, kiedy można mieć tych samych przyjaciół co rodzice.

Nie jest nieszczęśliwy.

Wieczorami często jada w pubie Pod Jagnięciem i Kotwicą, którego właściciele sporo się napracowali, by stworzyć nastrój symulowanej autentyczności, i gdzie regularni goście ze swoimi psami i stałymi miejscami przy barze oferują równie przekonującą imitację serdecznego powitania. Adrianowi to wystarcza. Pije guinnessa, którego zamówił za pierwszym razem i który został w związku z tym uznany za „jego” piwo. Wita się z bywalcami, siada przy kominku, w którym węgle żarzą się nawet w lecie, czyta swoją gazetę i zamawia danie dnia. Do posiłku wypija kieliszek albo dwa całkiem znośnego domowego czerwonego wina względnie pół butelki białego. Kiedy przychodzi tutaj z Kate, stali goście, w większości mężczyźni, szorstko się z nią przekomarzają, na co ona odpowiada grzecznie i na sto procent serio.

Bawi go to, jak obecność Kate wytrąca z równowagi tych mężczyzn, z czego ona kompletnie nie zdaje sobie sprawy. Podziwia sposób, w jaki potrafi z kamienną twarzą zareagować na żart, a także jej umiejętność oceny charakteru danej osoby już podczas pierwszego spotkania. W czasie kolacji obserwuje, jak Kate starannie przekładała sztuce. Innym razem podejrzwał, jak tańczyła, sądząc, że nikt jej nie widzi, i przypomniała mu Ileanę.

Zaczął wyczekiwać tych chwil, które spędzają razem i w trakcie których odkrył w sobie nową i całkiem niespodziewaną miłość do córki – późny dar na koniec małżeństwa. Po głównym posiłku właściciel pubu nalega, żeby zafundować deser Kate, która wybiera sery.

W mieście jest zajęty. W ciągu dnia przyjmuje klientów, wieczory zajmują mu – o co stara się zadbać – różne zobowiązania: zebrania wydziałowe i rad nadzorczych różnych organizacji, których jest członkiem, pisanie dokumentów, proszone kolacje.

To tu, w Norfolk, myśli o niej najczęściej. Czasami wyłącznie po to jedzie na wybrzeże. Ma to coś wspólnego z wodą, z morzem. Dzisiaj jest sam. Kate została w mieście z matką, a on nie ma ochoty na sherry i niczyje towarzystwo, pozwala pobiec ku niej swoim myślom. Patrzy na morze i wyobraża sobie, jak to często czyni, że fale łączą się ze sobą, zmieniają z szarych na niebieskie, a potem z niebieskich na zielone i cofają go w przeszłość. W takich momentach pragnienie, którego doświadcza, jest potężne niczym kołysanie oceanu.

Już dawno okres żałoby stał się dłuższy od czasu trwania ich związku, ale miłość, którą czuje Adrian, nie jest ani trochę słabsza. W przeciwieństwie do wcześniejszych lat, kiedy oplakiwał zerwane związki w młodości, tym razem nie ma wyobrażania sobie jej odmienionych rysów, jej nowych zajęć, jego nieznanymi rywali oraz następców, którzy budziłoby w nim dziwą zazdrość. Bo śmierć zabiera wszystko, nie pozostawia żadnych możliwości poza jedną – pamiętaniem. Adrian nie może uwierzyć, z jaką intensywnością można kochać dalej kogoś, kto jest martwy. Tylko głupcy, myśli, uważają, że miłość przysługuje wyłącznie żywym. Siada, patrzy na morze i myśli o Mamakay.

Ostatnie dni w tamtym kraju spędził w mieszkaniu z Kaiem. Kai wychodził i wracał z pracy, gotował dla nich obu posiłki, zajmował się codziennymi sprawami. Adrian nigdy nie wrócił do domu, w którym mieszkali z Mamakay. Każdy wieczór spędzali w swoim towarzystwie. Cieszył się, słysząc w zamku zgrzyt należącego do Kaia klucza. Nie musiał już udawać, że pracuje i że dalej do czegoś zmierza. Kai pozwalał mu się oderwać od rzeczywistości i jednocześnie przynosił pociechę polegającą na tym, że czuł się bliżej Mamakay.

Adrian nigdy już nie spotkał się z Eliaszem Cole'em. Od Babagaleha, który uprzątnął dom, gdzie mieszkał razem z Mamakay, dowiedział się o losach pozostałych bohaterów opowieści Cole'a. Yansaneh, któremu odebrano stanowisko wykładowcy na wydziale humanistycznym i przeniesiono na uczelnię na północy, zginął, kiedy kampus został zajęty na samym początku wojny. Vanessa, kochanka Cole'a, żyła z zagranicznym spekulantem, który pojawił się w kraju po wojnie. Pewnego dnia, buszując po internecie, Adrian trafił przypadkiem na nazwisko wykładowcy studiów medioznawczych na jednym z uniwersytetów na południu Stanów. Nazwisko brzmiało Kekura Conteh.

To Babagaleh zajął się również praktycznymi przygotowaniem do pogrzebu Mamakay. Stypę urządono u Mary Rose. Adrian odkrył, że nie zna bardzo wielu gości, co nie było chyba zbyt zaskakujące, zważywszy, że jego związek z Mamakay nie przekraczał na ogół granic świata, który sami dla siebie stworzyli. Przyszła oczywiście Ileana. I Attila, któremu Adrian był za to serdecznie wdzięczny. Niektórzy z gości, sądząc, że Adrian przyszedł z kimś innym, ucinali sobie z nim grzeczne pogawędki, pytając, jak długo jest w tym kraju, za pośrednictwem jakiej agencji znalazł pracę i jak mu się tutaj żyje. A Adrian odpowiadał uprzejmie, nie potrafiąc wyznać, że był kochankiem Mamakay, i nie mogąc nie zauważyć, że to do Kaia

zwracali się jako do osoby, która poniosła największą stratę, i do niego kierowali słowa pociechy. Adrian widział to i uświadamiał sobie, że mu to nie przeszkadza. Stał, opierając się plecami o ścianę, i obserwował żałobników. W pewnym momencie jego wzrok spoczął na Babagalehu, który szedł przez salę, przeciskając się między ludźmi, niepostrzeżenie wypełniając swoje obowiązki. Babagaleh przeżyje nas wszystkich, pomyślał. Chciał zadać Mamakay jakieś pytanie o Babagaleha, ale przypomniał sobie nagle, gdzie jest, i uświadomił, że pytanie na zawsze pozostanie bez odpowiedzi. Przytrafiało mu się to setki razy w ciągu dnia: to, że zwracał się do niej z jakąś myślą na końcu języka.

Elias Cole nie czuł się dość dobrze, by wziąć udział w pogrzebie córki.

Rankiem następnego dnia Adrian przebudził się z przekonaniem, że chce wrócić do Anglii. Wszedł do sypialni, gdzie spał na kanapie Kai, obudził go i poinformował o swoich planach. Ogarnęła go tęsknota za tym, co znajome. Kai pokiwał powoli głową, lecz nic nie powiedział. Godzinę później wyszedł do pracy. Wrócił późnym popołudniem i usiadł naprzeciwko Adriana.

Decyzję, którą podjęli, podjęli razem wczesnym wieczorem. Adrian nie pamiętał później, kto pierwszy zaproponował rozwiązanie. Czy chodziło po prostu o to, że było nieuniknione i że praktycznie i pod każdym innym względem nie wchodziło w grę nic innego? Czy ze tego życzyłyby sobie Mamakay? Rozmawiali o niej do późna, po raz pierwszy od tamtej nocy, gdy umarła.

Ostatnią sobotę spędzili na plaży przy domu Ileany. Kiedy tam przyjechali, morze opalizowało zielonym światłem. Niebo przecięła błyskawica, a grom spowił je cieniem. Gdy się z powrotem rozjaśniło, trójka przyjaciół ruszyła wzdłuż brzegu, zostawiając ciepłe, suche ślady stóp na zmoczonej deszczem skorupie piasku. W pobliżu nie było nikogo, plaża opustoszała. Minęli pusty hotel z barem i stołem bilardowym, wciąż czekający na powrót gości, których odwołano nagle gdzie indziej. W rybackich wioskach panował bezruch, łódki stały odwrócone do góry dnem, sieci porzucone tam, gdzie leżały. To dziwne, zauważyła Ileana, jak bardzo rybacy boją się zmoknąć. Ta uwaga pobudziła ich do śmiechu. Pewne rzeczy nie mają sensu. Ileana podniosła głowę i rękę i coś im pokazała. Daleko przed nimi, na łasze piasku czarna czapla rozpostarła jedno skrzydło.

Któregoś dnia pewnie wróci. Widzi siebie zgarbionego w promieniach słońca, bliskiego śmierci, szukającego miejsc i osób, wśród których żył przez te miesiące, i które pokochał.

Kiedy indziej patrzy na Kate i myśli o tym, co zostawił za sobą.

To pora roku, którą najbardziej lubi na wybrzeżu. Zaczęły przylatywać ptaki. Wzdłuż linii brzegu kroczy małe stado brodzieńców. Adrian trzyma na stoliku przy oknie lornetkę i teraz podnosi ją do oczu. Prawie codziennie widuje pleszki i dzierzby, a wczoraj mignęła mu muchołówka żałobna. Wkrótce wyruszą na południe, ku brzegom Afryki Zachodniej.

A wczoraj przyszedł list od Kaia, który pisuje nieregularnie, lecz w miarę często, i przestał już unikać komputera. Tym razem jednak wrócił do preferowanej przez siebie formy. W kopertę włożony był również dokument zawierający osiem ręcznie zapisanych stron. Adrian rozłożył go i zaczął czytać, a potem zabrał ze sobą na taras, na poranne słońce. Była to historia Agnes, jej męża i córek, historia Naasu i JaJi. Wszystko, o czym Adrian wiedział, że jest prawdą, ale nigdy nie był tego w stanie odkryć, nie był w stanie zweryfikować.

Było tam wszystko, czego potrzebował.

I było coś jeszcze, na samym dole listu Kaia, zapisane tym samym niebieskim długopisem

Biro, jakby Kaia wywołano na chwilę z pokoju i zostawił list na stole. Coś, co Adrian zobaczył dopiero, kiedy czytał list po raz trzeci. W dolnym prawym rogu kartki.

Dziecięce niedbałe gryzmoły.

\*

Dziecko, dziewczynka, staje w miejscu i zerka na swoje stopy, jakby widziała je po raz pierwszy w życiu. Ściska piasek między palcami i podnosi najpierw jedną, a potem drugą nogę. Najpierw jedną, a potem drugą. Unosi ramiona, kołysze między nimi głową, tupie nogami i się śmieje. Chłopiec, Abass, podchodzi do niej, chcąc wziąć ją na ręce, lecz ona wymyka mu się i biegnie dalej wzdłuż linii przyboju. Abass dopada ją w trzech susach, łapie pod pachy i podnosi. Potem stawia z powrotem na ziemi i idą razem brzegiem. Ich uwagę przykuwa coś pozostawionego przez fale.

Kai obserwuje ich z wydmy, gdy zaczynają kopać, w milczeniu koncentrując się na zadaniu. Abass, ciemnoskóry i kanciasty, dziewczynka w przeciwieństwie do niego pulchna i brązowa, z gęstą masą czarnych loczków na głowie. Te włosy wprawiają ciotki Kaia jednocześnie w zachwyt i rozpacz, ponieważ nie dają się związać i zapleść w warkoczyki i nie poddają się ich olejkom i grzebieniom. Dziewczynka wyrywa im się z rąk i rozwiązuje wstążki i opaski. Kai widzi, jak w jej lokach lśnią kryształki soli, kiedy mała biega w promieniach słońca. Wieczorem ciotki będą cmokały z przyganą, próbując doprowadzić do porządku włosy zniszczone przez słońce, morze i sól. Będą dogryzały sobie wzajemnie i walczyły o to, która ma trzymać grzebień, tak jak wcześniej tego ranka konkurowały ze sobą, która ma ubrać dziewczynkę w kostium kąpielowy, natrzeć jej plecy olejkami do opalania i posłać po sandały. Cała wycieczka była dla nich czymś niezrozumiałym, bo pochodziły z dotkniętego suszą interioru, gdzie ubranie przez całe życie chroniło przed pyłem i skwarem. Odgrywały jednak swoje role i przygotowywały dziecko z takim przekonaniem, że kuzynka Kaia, która wychodziła do kościoła i przystanęła, by im się przyjrzeć, skrzywiła się i wymieniła z nim porozumiewawcze spojrzenie.

Wyjechali Starym Wiernym, z brzuchami wypełnionymi smażonymi bananami, wędzoną rybą, papajami i limonkami. Do Ileany. To było stałym punktem programu, organizowana mniej więcej co dwa tygodnie wyprawa na plażę Malaika i do Ileany. Dorośli siedzą w cieniu przed domem i patrzą, jak Abass prowadzi dziewczynkę między głazy, by szukać wśród skalnych sadzawek okazów morskiej fauny, które łapią i umieszczają w prowizorycznym akwarium na schodkach domu Ileany aż do momentu, kiedy trzeba będzie iść i stworzenia, które nadal pływają, pełzają bądź unoszą się w wodzie, w nagrodę za to, że przeżyły, zostaną wypuszczone na wolność. Kai patrzy. Przy skraju skał stoi samotna czarna czapla, która przypomina mu tę chwilę sprzed dwóch lat, tydzień po tym, jak przekazał skulonego noworodka mamce. W tamtym okresie krążył między mieszkaniem Adriana i oddziałem położniczym, opiekując się mężczyzną i dzieckiem.

Pamięta, jak stał na oddziale kobiecym i obserwował, jak kobieta odbiera od niego dziecko, przytula do siebie i zawiesza między piersiami; jej pieczołowitość świadczyła o tym, że wierzy, iż noworodek przeżyje. To miało trochę potrwać, ale patrząc, jak kobieta owija małą w powijaki, widział, że nie brakuje jej czasu.

Dzień dobiega końca. Powinni już jechać, jeśli chcą zdążyć na prom. Mimo to Kai jeszcze przez kilka chwil obserwuje bawiące się dzieci. Dziewczynka tańczy przy linii przyboju, Abass

nabiera rękoma mokry piasek. Nagle odnajdują to, czego szukali, i dziewczynka wesoło się śmieje.

Ten śmiech wraca do niego raz po raz. Wraca w nocy i w innych niespodziewanych momentach we śnie – jego ton i tembr. Kiedy słyszy go z ust dziewczynki, jest pełny, czysty i absolutny. To Nenebah. Dźwięk tego śmiechu momentalnie przenosi Kaia na zbocze wzgórza, z którego patrzyli na miasto przed ośmiu laty, do tej chwili po zapomnianym żarcie i figlarnym ukąszeniu w trakcie porannych pieszczoł.

W szpitalu przystaje czasem w ciągu dnia, by o niej pomyśleć. W zeszłym tygodniu jaszczurka zeskoczyła mu na ramię z framugi drzwi, a stamtąd na podłogę. Przycupnąwszy w rogu pokoju, przyglądała mu się przez chwilę obracającym się okiem, a potem szmyrgnęła koło niego przez otwarte drzwi. Kiedy działo się coś takiego, Nenebah uśmiechała się i szukała ukrytych znaczeń. Kai chodzi z bloku operacyjnego na oddział i do pokoju lekarskiego, przecinając skąpany w słońcu dziedziniec. Przychodzi wczesnym rankiem, gdy południowa ściana budynku jest cała w fioletowych kwiatach powoju, który ją teraz obrasta. Kiedy opuszcza wieczorem szpital, kwiatki przypominają poskręcane sreberka po cukierkach. Wczoraj bez szczególnego powodu, po prostu dlatego, że miał taką ochotę, wyszedł z budynku inną trasą, przez oddział dziecięcy, którym przemaszerował od początku do końca, podczas gdy papierowy samolot fruwał nad nim w podmuchach wiatru z wentylatora.

W inne dni mija izolatkę, w której dwa lata temu zmarł pewnego dnia przed świtem Elias Cole. Nikogo przy nim nie było, nie sposób powiedzieć, jak stawił czoło śmierci. Wezwano kaznodzieję, który odmówił spóźnione błogosławieństwo i zażądał od Kaia pieniędzy na powrót taksówką oraz ofiary na kościół. Babagaleh zabrał z izolatki rzeczy Cole'a. Kaiowi dał fotografię Nenebah, na której wyglądała, jakby jednocześnie patrzyła prosto w obiektyw i się od niego odwracała. Kai zatrzymał ją razem z innymi rzeczami Nenebah i jej klarnetem. Od czasu do czasu mija jej dawny dom. Teraz jest zamknięty. Babagaleh wrócił na północ, do kochającej, opuszczonej żony.

Wczoraj, po raz pierwszy od wielu miesięcy Kai obudził się w środku nocy. Miał sen i choć jego szczegóły zatarły się w pamięci, zostało po nim wrażenie błogostanu, nowych możliwości. Wstał z łóżka i wyszedł na podwórko. Wiał wiatr, niezwykła rzecz o tej porze roku, bo za wcześnie jeszcze na harmattan. Niósł ze sobą zapach wilgoci, nocnych kwiatów i mokrych owoców. Psy miasta śpiewały w ciemności jeden do drugiego. Gdzieś w wysokiej trawie żaba wzywała do siebie partnera. Kai wziął głęboki oddech, usiadł na schodku plecami do domu i czekał. W końcu zobaczył, jak nad domami wstaje przyćmione, nieustępliwe światło poranka.

Dzisiaj wraca do domu Tejani.

Śmiech dziewczynki unosi się w powietrzu, w końcu porywa go przypływ. Kai wstaje i woła dzieci. Biegając, ścigają się ze sobą, on wychodzi im na spotkanie. Dziewczynka otwiera dłoń i pokazuje mu piaskowego dolara o pięciu płatkach. Oboje są cali zapiaszczeni i Kai prowadzi ich z powrotem do wody. Dziewczynka lubi ujeżdżać fale na jego ramionach, dosiada go niczym byka, który szarżuje między białymi końmi.

Ileana stoi przy śpiących psach przed swoim domem i macha im na pożegnanie. Po chwili siedzą już w Starym Wiernym i jadą drogą biegnącą wzdłuż plaży. Ludzie wypucowali swoje auta i wybrali się nimi na niedzielną przejażdżkę. Jakiś ślepiec z zawieszoną na ramieniu żółtą torbą idzie drogą, postukując złamaną kulą. Stukot metalowej końcówki przebija się przez

zgiełk i warkot silników. Zatrzymują się przy młodej dziewczynie, która siedzi z koszem wypełnionym srebrzystymi rybami, i ślepiec wyprzedza sznur samochodów. Na tylnym siedzeniu dzieci bawią się starym stetoskopem, który Kai podarował Abassowi. Przykładają sobie na zmianę słuchawkę do piersi, do samochodowej szyby, do piaskowego dolara i do pleców Kaia w miejscu między łopatkami.

Po dziesięciu minutach ruszają w dalszą drogę, skręcają na rondzie i zostawiają za sobą inne auta. Teraz oddalają się od morza. Prosto przed sobą mają most na półwysep. Kai odkręca szybę po stronie pasażera i przez wnętrze samochodu przepływa słone bagniste powietrze. Na rozlewiskach ludzie zbierają małże; ich głosy niosą się przez pustkę. Kai wsuwa kasetę do magnetofonu i trzymając jedną ręką kierownicę, odchyła się do tyłu. Na dźwięk perkusji dzieci przestają się bawić stetoskopem. Wstają i wciskają się między przednie fotele. Weil they tell me of a pie up in the sky.

Wszyscy widzą, jak zimorodek sfruwa z latarni do wody tuż przed samochodem i po chwili podrywa się z rybą, która lśni w jego dziobie. Dziewczynka piszczy uszczęśliwiona. Przejeżdżając przez most, nie widzą, bo nie mogą zobaczyć, liter, które pół wieku wcześniej wyrył po jego drugiej stronie, pod inicjałami mężczyzn, którzy tu kiedyś pracowali, palec chłopca. J.K.

# PODZIĘKOWANIA

Pamięć miłości jest dziełem literackim. Są jednak osoby, na których opiniach polegałam, tworząc tło i scenę tej historii, i którym pragnęłabym podziękować. Mam tu na myśli pacjentów oraz personel Kissy Mental Hospital we Freetown, a zwłaszcza doktora Edwarda Nahima, który pomógł mi lepiej zrozumieć problematykę chorób psychicznych i stresu pourazowego. Dziękuję personelowi oraz pacjentom Emergency Medical Hospital w Goderich za to, że otworzyli przede mną świat chirurga ortopedy. Za ogólne konsultacje medyczne i informacje dotyczące problemów, z którymi trzeba się zmagać, prowadząc szpital w Afryce, dziękuję niezręcznemu już doktorowi Mambu Alphanowi Kawie. Korzystając z okazji, chciałabym również przypomnieć doktora Aniru Conteha, specjalistę od gorączki Lassa, zmarłego w 2004 roku wskutek zakażenia wirusem, z którym przez całe życie walczył, podobnie jak to czynił doktor Bangura w Pamięci miłości, jedyny bohater tej powieści, którego postać oparta jest na autentycznej osobie.

Dziękuję również następującym osobom, które przeczytały i skomentowały manuskrypt: psychoterapeutce Polly Bagnall, psycholożce i psychoanalityczce Louise Lyon, a także Michaelowi Mayowi i Blake'owi Morrisonowi. Chciałabym również podziękować Davidowi Godwinowi, mistrzowi pozytywnego myślenia, który zawsze dostrzega szerszy obraz. Dziękuję ludziom z wydawnictwa Bloomsbury, a w szczególności Michaelowi Fishwickowi, wspaniałemu przyjacielowi i surowemu krytykowi, któremu mogę bez obaw powierzyć rękopis tak, jak to już uczyniłam trzy razy. Oraz Simonowi Westcottowi, który przez cały czas siedł ze mną krok w krok.

Użyte przez Adriana określenie „defragmentacja sumienia” zaczerpnięte jest z pracy M. Scotta Pecka People of the Lie. „Jest bezspornym faktem, że żadna grupa nie będzie kierowała się nakazaniami sumienia do momentu, gdy wszyscy jej uczestnicy nie poczują się odpowiedzialni za działania całej grupy – organizmu, do którego należą. Nie doszliśmy jeszcze do tego momentu”.



---

[1](#) Congosa (w języku krio) – plotki.

[2](#) Księga Psalmów, tłumaczył z hebrajskiego Czesław Miłosz, Editions du Dialogue, Paris 1979.

[3](#) Tekst piosenki jamajskiego muzyka reggae, Jimmy’ego Cliffa: Mówią, że kiedy umrę, dostanę gwiazdkę z nieba, ale między dniem narodzin i dniem śmierci nigdy nie słyszeli twojego krzyku... Im bardziej cię gnębią, tym niżej upadną, wszyscy co do jednego!

[4](#) Jean Rhys, Szerokie Morze Sargassowe, przeł. Matylda Topczewska-Metelska, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1987.